Ks. Józef Smulczyński

Ks. Józef Smulczyński

O. AGOSTINO DA MONTEFELTRO:

KONFERENCYE
KAZANIA WIELKOPOSTNE.

TOM I.:

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA.

KONFERENCYE KAZANIA WIELKOPOSTNE

O. AUGUSTYNA DA MONTEFELTRO
ZAKONU BRACI MNIEJSZYCH.

TOM I.:

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA.

KRAKÓW 1909.
NAKŁAD KONWENTU BRACI MNIEJSZYCH

Ks. Józef Smulczyński

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA

KAZANIA

OJCA AUGUSTYNA DA MONTEFELTRO
ZAKONU BRACI MNIEJSZYCH

WYGŁOSZONE W KOŚCIELE ŚW. KAROLA W RZYMIE
PODCZAS WIELKIEGO POSTU 1889.

KRAKOW 1909.
NAKŁAD KONWENTU BRACI MNIEJSZYCH.

L. 426.

Ze strony Prowincyałatu Braci Mniejszych pozwalamy ogłosić w polskim języku Kazania Wielkopostne O. Augustyna da Montefeltro.

Lwów, 14 września 1908 r.

L. S. *O. Daniel Magoński*
Prowincyał.

Tłomaczenie Kazań O. Augustyna nie zawiera nic przeciwnego z duchem nauki Kościoła katolickiego.

W Krakowie, 22 września 1908.

X. Dr. Józef Kaczmarczyk
cenzor.

L. 5325.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

Z KSIĄŻĘCO BISKUPIEGO KONSYSTORZA.

W Krakowie, dnia 23 września 1908 r.

† Kard. J. Puzyna.

ODBITO W DRUKARNI A. RIPPERA W KRAKOWIE.

PRZEDMOWA.

Przed kilku laty w kościele św. Karola w Rzymie miewał konferencye i nauki wielkopostne O. Augustyn da Montefeltro Zakonu Braci Mniejszych, które zwracały powszechną uwagę tak, że kościół przepełniony był słuchaczami, między którymi przeważali wyższych szkół uczniowie. W Bolonii zaś, Pizie, Florencyi, Genui i Turynie zamykano Uniwersytety, gdyż tak profesorowie jak i uczniowie pragnęli usłyszeć słowo Boże, głoszone usty ubogiego syna św. Franciszka.

Przyrównywano powszechnie O. Augustyna do św. Wincentego Fereryusza, gdyż i on podobnie z niezwykłą siłą i namaszczeniem dzisiejszemu postępowemu światu słowy prostemi przypominał prawdy wieczne, z tak wielkim skutkiem, że słuchacze przejęci skruchą za winy popełnione zwracali się z manowców na drogę wiodącą do Boga.

W krótkim czasie „Kazania“ te wydano w języku włoskim, a później przetłómaczono na język angielski, gdzie dwóch wydań się doczekały i na niemiecki w sześciu wydaniach, brakowało ich w języku polskim; by temu brakowi zaradzić, przystąpiliśmy do przetłomaczenia konferencyi O. Augustyna w języku ojczystym. Dałby Bóg, aby i na Polskiej Ziemi jak najobfitsze duchowe owoce naszemu społeczeństwu przyniosły.

Kraków, w marcu 1908.

O. Zygmunt Janicki
Zakonu Braci Mniejszych.

TREŚĆ:

	Str.
Przedmowa	V
O. Augustyn de Montefeltro	1
I. Istnienie Boga	11
II. Istota i przymioty Boga	22
III. Dusza	36
IV. Przejawy życia duszy	51
V. Nieśmiertelność duszy	64
VI. Cel życia ludzkiego	80
VII. Prawa Boże	94
VIII. Religia	109
IX. Rodzina	121
X. Cierpienie	141
XI. Nadzieja	159
XII. Święcenie niedzieli	173
XIII. Wolność	196
XIV. Zarobkująca klasa	211

O. Augustyn de Montefeltro.

O. Augustyn pochodzi z bardzo zamożnej rodziny osiadłej w miasteczku toskańskiem Montefeltro, gdzie urodził się 1 marca r. 1843 i zwał się pierwotnie Luigi Vicini. Studya niższe odbył w miejscu rodzinnem, następnie udał się na uniwersytet w Urbino, gdzie świetnie ukończył prawo cywilne i kanoniczne. Ale nadszedł czas służby wojskowej, od której fizycznie wątły młodzieniec starał się usunąć. Ujęto go jednak wkrótce i przez dłuższy czas więziono w Rocca di S. Casciano, poczem odstawiono do służby wojskowej we Florencyi. Opłaciwszy się jednak t. zw. „taksą wojskową“ został wkrótce uwolniony z powodu słabego ustroju fizycznego.

Oddał się tedy całkowicie studyom teologicznym i w r. 1867 odebrał święcenia kapłańskie. Dzięki swym rozległym wiadomościom prawniczym i przywilejom familijnym otrzymuje wkrótce kanonię w rodzinnem mieście Montefeltro. Piastując to stanowisko, zaszły między nim a jego przełożonym biskupem dyecezyalnym, nieporozumienia, które skończyły się tem, że dostał rozkaz odbycia ośmiodniowych rekolekcyi w jakimkolwiek dowolnie przez niego

obranym zakonie. Młody kanonik obiera na ten cel Monte Alwernia, gdzie niegdyś św. Franciszek z Assyżu odebrał łaskę św. Stygmatów. Po upływie dni ośmiu prosił o przydłużenie tego czasu łaski.

W r. 1871 powrócił do Montefeltro. Jednak nie podobał sobie już więcej w zgiełku światowym, i po krótkim czasie otrzymawszy zezwolenie i błogosławieństwo swojego biskupa. udaje się do założonego przez św. Leonarda da Porto-Maurizio o bardzo surowej regule Ritiro Braci Mniejszych nieopodal pod Florencyą, pod wezwaniem Santa Marya Incontro i prosi o przyjęcie do zakonu. Przełożonym tegoż był natenczas świątobliwy O. Andrea de Quarto; oddał się tedy Luigi Vicini całkowicie duchowemu kierownictwu O. Andreą, któremu w habicie postulanckim towarzyszył odtąd jako dzielny pomocnik tego męża bożego na ambonie i w licznych przez tegoż organizowanych misyach i rekolekcyach.

Uporządkowawszy swoje sprawy świeckie i wypróbowawszy dostatecznie swoje powołanie, obleczony został w suknie zakonne 8 września r. 1874 i odbył nowicyat w Ritiro Santa Maria Incontro, gdzie też złożył pierwsze śluby, a uroczystą profesyę na ręce jenerała zakonu, w kościele Portiunculi w Assyżu.

16 lutego r. 1879 zmarł ojcowski jego przyjaciel i przewodnik duchowy O. Andrea de Quarto, otoczony nimbem świętości, i odtąd O. Augustino sam już tylko sprawuje nadal urząd kaznodziei w duchu zupełnego posłuszeństwa względem swoich przełożonych, przedewszystkiem względem Jeneralnego Ojca zakonu, bez którego specyalnego zezwolenia nie rozpoczynał ani kazań wielkopostnych, ani też misyi.

Na urząd kaznodziei wielkopostnego w kościele San Carlo na Corso w Rzymie, powołał O. Augustyna sam Papież Leon XIII. Kazania O. Augustyna cieszyły się niesłychanym napływem słuchaczy, a co ważniejsza, że dokonały licznych nawróceń w tym krótkim przeciągu czasu.

Styl kazań O. Augustyna jest najprostszy jaki pomyśleć można. Zdania jego są krótkie i bez oratorskich ozdób. Umie on podać najtrudniejsze zagadnienia filozoficzne tak niewieloma słowami, jasno, zwięźle, przekonywająco i dla wszystkich zrozumiale, że słusznie uchodzi za najpopularniejszego mówcę. Cechą jego na ambonie jest spokój. nigdy cienia jakiejś namiętności, lecz mówi prędko, tak iż niema stenografa, któryby mu zdążyć zdołał. Potężne wrażenie jakie wywierają jego kazania, przypisać trzeba prócz łasce bożej, uczuciu, które odnosi się z każdego jego zdania, że pochodzi z głębi szczególnie uświęconej duszy, prócz tego z całej mowy tchnie przedziwnie jakieś namaszczenie. Urok ten wynika z głębokiej jego wiedzy, pobożności i miłości Boga i bliźniego.

Podczas pobytu w Monte Alwernia i w ciszy Incontra oddawał się O. Augustyn studyom filozofii scholastycznej. Gwiazdami przewodniemi w zakresie filozofii i teologii są mu ŚŚ. Tomasz z Akwinu i Bonawentura, a z pomiędzy OO. Kościoła ŚŚ. Augustyn i Chryzostom. Na tym to gruncie wyrosły jego kazania, a dowodem jak przetrawił spuściznę umysłową tych mędrców bożych, jest jasność i łatwość, z jaką podaje ogółowi poglądy ich. Z tą skarbnicą wiedzy przeszłości, łączy zadziwiające wszechstronne obznajmienie z wszystkiemi dziedzinami nowoczesnej nauki. A z wszystkiego przebija prawdziwa pobożność i miłość boża. O. Augustyn jest pomimo całej swojej uczoności i wielkich zdolności prosty, skromny

i pokorny jak dziecko. Uprzejmy w obejściu, umie też być dziecinnie wesoły. Pochwałą zrazić go tylko można, dlatego nie bierze do ręki żadnego dziennika, w którym przypuszcza, że znalazłby o sobie chwalebną wzmiankę. Jest to człowiek oddany Bogu i modlitwie i przejęty szczególnem nabożeństwem i miłością do Niepokalanej Matki Bożej, nie wstępuje też nigdy na ambonę, nie uprosiwszy wpierw u stóp Ukrzyżowanego i przed obrazem Najśw. Dziewicy błogosławieństwa i siły.

WSTĘP.

Prawda.

M. S! Z jakiejkolwiek strony przyjrzymy się społeczeństwu ludzkiemu, czy to od góry, czy od dołu, czy z punktu widzenia politycznego czy religijnego, skonstatujemy fakt, że społeczeństwo nasze tak głęboko popadło w zepsucie, iż trudno nawet, by mogło popaść głębiej. W innych czasach z jakąż radością powitałbym sposobność przemawiania do was, florenccy słuchacze, lecz obecnie, ach! z czegóż się tu cieszyć, kiedy zewsząd Wiara nasza święta łżona, wyszydzana przez filozofów, zaprzeczana przez materyalistów, wyśmiewana przez niedowiarków!

Nie pierwszy to raz spotyka mnie szczęście przemawiania do was. Wiecie zatem kim jestem, i wiecie również, że jedno mam tylko życzenie i jeden cel, a tym jest — roztoczyć przed wami prawdę. Nie staję tutaj jako przedstawiciel jakiegokolwiek stronnictwa. Nie, ja przybywam w imię Boże, jako przesłaniec Jego zmiłowania. Jedno tylko mam względem was posłannictwo, i miałbym poczucie niespełnionego obowiązku, gdybym wam je nie obwieścił, przychodzę oznajmić wam Prawdę!

Nie pora w chwili obecnej zwijać nasz sztandar, który jest przecież sztandarem Jezusa Chrystusa! Przeciwnie, wznieśmy go wysoko, a ujrzymy na nim jedno jedyne słowo: „Prawda“!

Zatem moi słuchacze, co to jest prawda? Prawda według orzeczenia ludzkiego jest początkiem wszechrzeczy, rdzeniem piękności, tajemnicą szczęśliwości, i właśnie dlatego, że prawda tak ważną jest rzeczą, tak wielką wagę przywiązywały do niej ośmnaście stuleci poprzedzających nasze. Zostawmy jednak minione stulecia, a rozglądnijmy się w koło siebie. Problemem naszego stulecia jest również to samo odwieczne hasło: „Prawda“. Ale czemże jest ta prawda, moi słuchacze? Słowo to jest na ustach wszystkich, lecz któż według niego postępuje? Były czasy, w których słowo „prawda“ głęboko wryło się w dusze ludzkie, lecz jakże dzieje się obecnie? Czy uznają słowo to filozofi, ludzie wybitni, królowie, książęta, zwierzchność i lud? Powstają dzisiejsze czasy przeciw zasadzie zwierzchności i posłuszeństwa. Czyż zwierzchność nie jest już tylko formą czczą? A posłuszeństwo? Każdy chce być swoim tylko panem i podlegać tylko swoim zachceniom i w tem to właśnie objawie tkwi zarodek anarchii. Zobojętnienie religijne jest drugim znamieniem ludzi teraźniejszych czasów. Pyszna nienawiść zajmuje miejsce miłości wzajemnej, widzimy bowiem aż nadto często, jak synowie tej samej ojczyzny zbroją się jedni przeciw drugim. I jak gdyby na domiar złego przyłącza się do wszystkiego słabość woli, wszystkich nieomal cechuje chwiejność, i każdy myśli tylko o osobistem użyciu. Gdzież są jeszcze silne charaktery? Gdzież są ci, w których żyje jeszcze duch zaparcia się siebie samych? Tak też jałowy egoizm

wyparł miłość dzieci do rodziców i miłość ojczyzny. A gdzie brak zasad, tam niewiele od ludzi spodziewać się można. Bezwątpienia — Bóg nas, ludzi, nie potrzebuje, chociażby najwyższych i najmędrszych. Ale chce Bóg współpracownictwa ludzi w spełnieniu Jego świętych wyroków.

Niezaprzeczenie przebywa ludzkość obecnie przesilenie, które datować będzie w przyszłości epokę historyczną. Każdy niemal człowiek z osobna odczuwa dziwny jakiś niepokój, a gdy dla pokrzepienia chce spojrzeć w przyszłość, czarne chmury zakrywają mu widnokrąg. I któż nam, Wielki Boże, przybędzie z pomocą?

Nauki, przemysł, rzemiosła wielki uczyniły postęp; lecz czego nam brak, to ludzi, albowiem ci, którzy chcą ratować społeczeństwo, umiłować muszą prawdę, a takich właśnie ludzi brakuje nam!

Jakie są tedy przyczyny tego niedostatku? Przedewszystkiem, bezwątpienia wzmagającym się złym wpływom i mnóstwu innym przyczynom, które tu wymienić niepodobna, że wymienię z nich tylko niektóre jakoto: nieograniczona wolność prasy, podawane ogółowi opisy gorszących zdarzeń drukowanych w wielu dziennikach, i żądza użycia, a dając do tego brak wiary, idący w parze z nieżyczliwością świadomą — będziemy mieli w głównych zarysach zło, które ludzkość toczy.

Ludzie dzisiejsi zasadzają częstokroć swoje szczęście na materyaliźmie, a w rezultacie wynika z tego nieszczęście i cierpienie tak bolesne, srogie i nieznośne, iż w samobójstwie szukają wyzwolenia. Nigdy bowiem jeszcze, jak to wykazuje doświadczenie dziejowe, materyalizm i chęć użycia nie zawiodły narodów do wielkości ani nawet dobrobytu.

Ale skoro raz widzimy jasno przyczynę zła, trzeba na nie czemprędzej obmyśleć lekarstwo. Niejeden mniema, że takowe posiada i występuje z nim na widownię. Każdy ma swoją własną receptę i wierzy w jej niezawodność. Niektórzy głoszą, że jeżeli pomyślność społeczeństwa ma być ugruntowaną na stałej podstawie, to musi ona oprzeć się na nowych z gruntu fundamentach, a naukę Jezusa Chrystusa, jako przestarzałą i nieodpowiadającą czasom teraźniejszym, należy obalić i zniszczyć. Zakosztowaliśmy już jednak owoców tych zasad i jeżeli dalej pójdziemy tą samą drogą, w niechybną zgubę wtrącimy społeczeństwo.

Cóż więc należy czynić, ażeby zapobiedz obecnemu stanowi rzeczy? Daremnie z pomocą spieszą uczeni nowożytni ze swemi suchemi teoryami przesiąkniętemi materyalizmem lub racyonalizmem, lecz czyż one są w stanie zapobiedz złemu? Czyż sam rozum i logika ludzka, zdołały ujarzmić kiedykolwiek swemi czczemi wywodami, wezbranie namiętności ludzkich? Chojnie szafują ci filozofi obietnicami uszczęśliwienia ludzkości, która w zamian obdarza ich zaufaniem, ale czyż oni są w stanie dać jej to szczęście? Zaprawdę nie! I spostrzeże ludzkość rychło, iż oszukiwano ją i przemocą zacznie się domagać swych praw, a wtedy z bronią w ręku poskramiać ją trzeba będzie. Bomby i dynamit, oto owoce nauk tych filozofów i ateistów.

W Imię Jezusa Chrystusa i z Jego wszechmocną pomocą usiłuję w tych moich przemowach ukazać wam jedyne skuteczne lekarstwo na niebezpieczeństwo okalające nas zewsząd.

Podstawą wszystkiego jest poznanie Pana i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa. W poznaniu Jezusa

Chrystusa leży suma i istota prawdy wszelakiej. Osiągnąwszy ten cel, znikają wszelkie hipotezy, jasne, dobitne prawidła kierują postępowaniem naszem i nie wahamy się już między jednym błędnym wnioskiem a drugim, od negacyi do negacyi i nie tułamy się od systemu do systemu. Jezus Chrystus poucza nas o naszych obowiązkach względem Boga, nas samych i bliźnich naszych, o miłości rodziny i Ojczyzny i bronienia ich spraw do tchu ostatniego. Być może iż w moich kazaniach niejedno zrazu wyda wam się ciemnem i niezrozumiałem, nie trzeba jednak zapominać i nie wolno, że w tym życiu widzimy prawdę tylko jak gdyby w odbiciu lustrzanem.

Zbliżając się do ołtarza w którym widzimy Jezusa, czujemy jak On pociąga nas ku sobie, kochamy Go całą duszą, a w Nim wszystko co piękne szlachetne i dobre. Kochamy Go całem sercem, a świadomość tego nie zabiera nam pełni szczęścia jaką z tego poczucia doznajemy, tylko bowiem egoizm staje na przeszkodzie prawdziwego wesela, zagradza bowiem drogę miłości prawdziwej, egoizm zatem przedewszystkiem zwalczyć musimy. I tem jest chrześcijaństwo. Pod wpływem Wiary staje się człowiek zdolnym do największych ofiar, albowiem wiara ta również ukazuje nam koronę chwały, która uwieńczy kiedyś skronie nasze w niebie, a gdyby to nie miało być dostateczną dla nas pobudką przypomina nam Sędziego sprawiedliwego, przed którym każdy Kiedyś stanąć musi, by odebrać nagrodę lub karę za popełnione winy. Zaprawdę tkwi w Chrześcijaństwie moc, która potrafi rozpalić w sercach naszych na nowo płomień miłości braterskiej i połączyć wszystkich węzłem miłości i nadziei. Gdy to nastąpi, ustąpi przesilenie obecne, silny wesprze słabego, a wojny i niepokoje znikną z powierz-

chni ziemi. Doznał wpływu tej siły wstrząsającej stary pogański świat, gdy jęczącemu pod jarzmem haniebnego zepsucia wszczepiono zasady ładu i moralności przez rozszerzenie nauki chrześcijańskiej. Niechaj skorzysta świat nowożytny z tej nauki, jaką pozostawiły im w spuściźnie odległe wieki i niechaj wstąpi w ich ślady, a wtedy chociaż wiara dzisiaj wielokrotnie obumarłą się zdaje, powstanie na nowo żywa z pośród ciemności i nierządu.

Kiedy ciemne chmury zbliżającej się nawałnicy padną cieniem groźnym na próg domostwa, w którem weseli się ludzka czereda, wtedy zrywa się ona i wznosząc ręce do Boga i Pana, błaga Go o ratunek. I słusznie czynią ludzie, wołając do Boga o pomoc, bo jeżeli On im nie pospieszy na ratunek, zniknie na zawsze nadzieja przywrócenia do dawnego pierwotnego stanu szczęśliwości. Tak więc, jeżeli człowiek z życia i serca swego usunie Boga, nadejdzie zawsze czas, w którym szukać Go będzie. a szczęśliwy ten kto odnajdzie Go wtedy.

I.

Istnienie Boga.

M. S.! Ciężkiej próbie poddają czasy obecne zdrowy rozsądek ludzki, cywilizacyę chrześcijańską i dobro Ojczyzny naszej, porządek społeczny burzą napaście ateistyczne! Ludzie zwiedzeni na manowce, urągając poszechnie przyjętym tradycyom mnogich wieków, depcą zdobycze nauki, interesa społeczeństwa, prawa rządzące krajem, drogowskazy sumienia i wydają Bogu otwartą wojnę. Dzień za dniem wykonują konsekwentnie plan swej grzesznej kampanii odnosząc się z nieubłaganą mściwością i upartą nienawiścią do wszystkich zarówno dziedzin wiedzy ludzkiej. Nie tylko, głoszą że nie znają Boga, lecz zaprzeczają Jego istnieniu wogóle, istnieniu Boga, które jest podstawą, koniecznością bytu, Boga będącego najwyższym prawodawcą wszechświata, stworzycielem i opatrznością każdego, który jest treścią wszelkiej doskonałości potęgi i wiedzy, wynikiem rozpoznania naszego i dobrem najwyższem. Uczeni dociekają Jego istnienia w laboratoryach, dyskutują o Jego prawach najświętszych; nie wielbi Go już wiedza, a poezya wydrwiwa aż nadto często. Lecz głos niebios kładzie pro-

test przeciw temu pogwałceniu prawdy. Są jednak tacy, chociaż tych niewiele, którzy nie odrzucają tradycyi przeszłości i wielkich swych poprzedników; zapamięta ich wszystkich Bóg, z jakiegokolwiekby stopnia hierarchii ludzkiej pochodzili, tych, którzy dumni z tego iż mszcząc Boga za zniewagi Mu wyrządzone, oddają jawne świadectwo prawdzie. Lecz zkąd inąd czyliż nie smuci Chrystusa, że usunięto Krzyż Jego z izb sądowych, że usunięto Go ze szkół, że są szpitale gdzie Krzyż nie towarzyszy konającemu krzepiąc go wiarą i nadzieją w walce ostatniej, że są groby, na których nie wznosi się jako zadatek lepszej przyszłości wieczystej?

Ateizm ukazuje się nam dzisiaj otwarcie, bezwstydnie. Nie kryje się już pod płaszczykiem racyonalistycznego systemu filozoficznego, występuje jawnie w prawodawstwie, w prasie, na scenie i wkrótce wtargnie do rodziny i rychło patrzeć jak rozgości się przy domowym ognisku. Oto niebezpieczeństwo jakie nam grozi, sądząc z obecnego stanu rzeczy.

1. Bóg — słowo to wymówił każdy z nas kiedyś po raz pierwszy na kolanach matki i u jej piersi. Słowo to streszcza dla nas wszystko co istnieje najszlachetniejszego i najwznioślejszego. Dziejopisarze śledzący przebieg historyi świata od początków do dni teraźniejszych oddają zgodnie świadectwo ogólnej dziejowej wierze w Boga. Metafizycy w badaniach ducha ludzkiego napotkali to samo wrodzone poczucie idei Boga tak u prostaczków jak i uczonych, u uobyczajonych obywateli jak i u prostaczków i barbarzyńców. Zapytaj pasterza z gór, zapytaj go, czy wierzy w nieskończoność, a odpowie ci że cię zgoła nie rozumie. Lecz gdy zapytasz czy wierzy w Boga, odpowie ci, że tak. Ktoś co nie wierzy w Boga

niejako gwałt zadaje swojej naturze, a zarazem wszystkim żywym i umarłym.

Zarzuci mi niejeden tutaj, że nie jest prawdą, jakoby wszyscy ludzie w Boga wierzyli byli, i w gruncie wierzyli po dziś dzień jeszcze. Jednakże zaprawdę, jeżeli istnieją ludzie, w głębinie duszy których nie tkwi idea Boga i Jego poczucie (co nie zostało ostatecznie stwierdzonem nigdy), to są to tylko pojedyncze wyjątki. Ateizm ogranicza się do pojedynczych osobników pozornie do poszczególnych obozów. Ateizmu nie można również uważać jako wyniku badań naukowych, przeciwnie bowiem, poważna głęboka nauka rozświetla ideę Boga, rozwijając ją coraz szczegółowiej.

Jak tłomaczyć tą ogólnie przejawiającą się, a więc wrodzoną wiarę w Boga? Nie można przypisywać powstanie tej idei uczuciowi strachu, bo uczucia tego nie doznają wszyscy, a przynajmniej objawia się ono bardzo różnorodnie w przeciągu wieków. Nie powstało też stopniowo z rozwojem politycznym, wystarczy bowiem zapoznać się pobieżnie z prawodawcami najdawniejszych czasów aby się przekonać, że wszyscy opierają, w wielu punktach przynajmniej, prawa swoje na idei Boga, bóstwa. Nie można podawać jej również jako błędnego pomysłu przodków naszych dziedziczonego przez nas z pokolenia w pokolenie, bowiem przeciąg tylu wieków sprostowałby pomyłkę narzuconą naturze. Nie, fenomen ogólno-ludzkiej wiary w Boga da się tylko wytłómaczyć jako wrodzony naturze naszej, jako działanie zmysłów na rozum, jako prawo silniejsze od wszystkich innych, jako konieczność niezbędniejszą od wszelkiej innej, ponieważ nie zdołała jej przemódz ani sparaliżować jej wpływu nawet zła wola. Wyjątek w tej ogólnej regule

ludzkości stanowią tylko ludzie o całkiem zepsutej duszy i zamierającem sumieniu. Dlatego to powiada św. Tomasz z Akwinu wraz z Cyceronem i Seneką: „To co twierdzą wszyscy ludzie, nieprawdą być nie może". Zresztą w tego rodzaju kwestyach przyjmowała ludzkość zawsze twierdzenie ogółu, jako świadectwo naturalnego, a więc prawdziwego rozumu ludzkiego. Przeto zakonkludować musimy, że jeżeli sama natura ludzka skłania nas niejako do wiary w to, że Bóg istnieje — przeto — istnieje Bóg. Ateizm jest zatem największą anomalią natury, potępia go bowiem prawo naturalne. Bo albo wierzymy w Boga łącząc się z ogólnem przekonaniem, przeświadczeniem ludzkości i idąc za naszym instynktem, albo zaprzeczamy istnieniu Boga i odrzucamy ogólne świadectwo ludzkie. Innemi słowy, musimy albo wierzyć w Boga, albo przestajemy być ludźmi.

Niektórzy przecież poczuwają się do obowiązku pewnych co do tego wątpliwości i do rzucenia uwagi, że jeżeli wiara w Boga jest wybitnem znamieniem ludzkości, jak tedy być może, ażeby istniało tylu ateistów? Ale przedewszystkiem, czy wierzycie w to naprawdę, że istnieją rzeczywiście ateiści, dlatego, że wielu wątpiących mniema być niemi? Czy nie widzicie raczej że ten trud podjęty przez wielu ażeby sobie udowodnić, że niema Boga wskazuje dostatecznie że czują w sobie i nad sobą Jego władzę? Pewien starożytny poeta spytał raz pewnego filozofa. „Czy wierzysz w bogi"? A filozof odpowiedział: „Wierzę, czego dowodem jest moja ku nim nienawiść". Jakże wielu tego rodzaju ateistów istnieje w naszych czasach!

Przejdźmy teraz do innego szeregu dowodów będących zarówno ściśle naukowemi jak i popularnemi, do

prawd, które udowodnić się dają rozumem i doświadczeniem życiowem. Prawdy te bywały zawsze przedmiotem badań metafizycznych, zajmowali się niemi po kolei wszyscy filozofowie, począwszy od Anaksagorasa aż do Sokratesa i Cycerona, znakomiciej rozwinął je św. Augustyn; nawet Kant, który uznać je nie chciał, z sympatyą wyrażał się o nich. Mogą one być przedłożone w skróceniu jak następuje:

1) Natura cała, mianowicie, niebo, ziemia i wszystko co z niej wyrasta i żyje, roślinność, zwierzęta i ludzie, natura ta istnieje, widzę ją bowiem i czuję. Odzywa się tedy mój rozsądek: nie może istnieć robota bez jej wykonawcy a z pewniku tego względem którego niema wyjątku wynika, że poza naturą istnieje jej najwyższy Wykonawca, stworzyciel wszechświata, że wykonawca ten odwiecznym być musi, ponieważ przez nikogo, jako pierwotna przyczyna wszystkiego, stworzonym być nie mógł.

2) Natura żyje, porusza się, a rozsądek mówi mi znowu, że ruch nie powstaje sam ze siebie, że wszystko co się rusza, musi być przez kogoś w ruch wprawione, a pewnik ten dowodzi, że musi być pierwotna przyczyna ruchu, będąca zarazem krynicą życia odwieczną i nieskończoną.

3) Wszystkie objawy życia natury cechuje systematyczność i regularność, a rozsądek powiada mi znowu, że systematyczna regularność i porządek muszą być przez kogoś obmyślane, a z tego aksyomatu wynika, że istnieć musi najwyższy, doskonały, wszechwiedzący zarządca.

Przyjrzyjmy się w dalszym ciągu rozwojowi tego problematu: zmysły nasze dowodzą nam, że coś w ogóle

istnieje. Jeżeli nie chcemy popaść w ogólne zwątpienie, przyznać musimy istnienie widomego świata i przedmiotów otaczających nas; przyznać musimy przynajmniej istnienie nas samych. Więc jeżeli w ogóle coś istnieje, musi istnieć Bóg. Rozważmy logiczne następstwo obu poprzednich zdań.

Istnienie wyobrazić możemy sobie w dwóch tylko formach: albo istota jakaś istnieje sama przez siebie, albo bierze od innej swoją istność. Filozofia w pierwszym wypadku nazywa konieczną istnością, a pochodzenie, nieistotne lub przypadkowe, takie, które istność swoją od innej otrzymuje. To zaznaczywszy przyjrzyjmy się jak istnienie natury potwierdza istnienie Boga.

Udowodnienie to wypływa z następującego dylematu: Albo wszystkie jestestwa są istotami pochodniemi, lub istnieje jedno konieczne jestestwo. Jeżeli jednak jestestwa są pochodzącemi, musiały byt swój otrzymać od jakiegoś innego jestestwa, lecz od jakiego? Żadna przypadkowa istota nie może zapoczątkować się sama ze siebie, ponieważ musiałaby istnieć i nie istnieć, bo dowodząc że egzystencyę potwierdza czynność, nikt nie może być czynnym nie egzystując. Musi zatem być ktoś, który istnieje sam przez się, istota która wszystkie inne pobudziła pierwotnie do istnienia, nie otrzymawszy wprzód swego bytuod nikogo — tą istotą jest Bóg.

Materyaliści twierdzą że odwieczną jest materya — łatwo jednak dać na to odpowiedź przeciwnikom wiary naszej! Dajmy na to że materya istniała wpierw zanim się człowiek ukazał na ziemi. Twierdząc jednak,

że nie jako pewnik przyjętym być nie może czego zmysły objąć nie potrafią, pytam czy materya istniejąca miliony lat przed nami może jakkolwiek być pojętą przez zmysły? Musimy chyba uznać nieudolność rozumowania takiego i odwołać je!

M. S! Widzimy jasno że filozofia, materyalistyczna i pozytywna wyjaśnia nam zaledwie część problematu! Od początku bowiem istnienia, zadaje sobie człowiek trzy pytania: Kim jestem? Zkąd pochodzę? Dokąd idę? – Odpowiadają jako tako na pierwsze i ostatnie z tych pytań, lecz cóż poczynają z drugim? Żaden ze zwolenników materyalizmu nie dał na nie odpowiedzi. Według ich systemu, człowiek im dalej spojrzy wstecz tem mniej znaczącą był istotą. Lecz gdyby tylko był atomem pierwotnie, to i temu atomowi musianoby przyznać — istnienie.

Któż zatem stworzył, zkąd wzięło się to istnienie? Zniewoleni są przyznać materyi odwieczną rozumną energię która rozwijając się sama zaprowadziła ten piękny porządek rzeczy który spostrzegamy dookoła siebie, muszę więc przyznać materyi pierwiastek duchowy, myślący, „Kamień filozoficzny“. — Lecz któż się takim tłomaczeniem zadowalnia?

Świat nie jest gnuśną bryłą, lecz przeciwnie ośrodkiem ruchu i życia. Począwszy szlakiem niebieskich dążących szlakiem przestworza a skończywszy na kryształach kamiennych kształcących się w łonie ziemi, od motyla igrającego w promieniach słońca, aż do lwa bieżącego przez pustynię, od robaczka kryjącego się pod źdźbłem trawy, aż do orła zataczającego dumnie kręgi powietrzne — przenika wszechświat i ogarnia przepotężny prąd życiowy. Zkąd pochodzi ten ruch we wszech-

świecie? Więc albo przyjmiemy że prąd ten otrzymuje świat od pierwiastka odmiennej od niego natury, i będącego poza nim albo, że jest on treścią materyi, jej istotną własnością. Przypuszczając, że energia materyi jest jej właściwością staniemy w sprzeczności z wiedzą naturalną i mechaniką. Musimy zatem dojść do przekonania, że ruch i życie pochodzi od pierwiastku zewnętrznego, a pierwiastkiem tym jest — Bóg.

Ruch ten nie jest bynajmniej bezmyślny i przypadkowy, lecz regularny i siebie pewny. Zauważmy dalej, że porządek ten nie jest powierzchownym tylko, lecz że wkracza do najdrobniejszego szczegółu wszechświata. Ład ten przemocą niejako nasuwa się uwadze naszej i objawia się nietylko w niezmierzonej przestrzeni sfery niebieskiej, lecz i w najmarniejszem stworzeniu, pełzającem po ziemi. Przejawia się nietylko w fenomenach widocznych gołemu oku, lecz i uzbrojonemu w narzędzia optyczne, najbardziej udoskonalone. Jak mamy sobie tłomaczyć ten ład? Mówią niektórzy: prawami natury! Ależ prawa te właśnie wykazują Boga i nie mogą obejść się bez Niego. M. S! Czytając Iliadę i Odyseę podziwiamy geniusz Homera, gdy wznosimy oczy ku tej oto kopule przychodzi nam na myśl Brunelleschi, a gdy stajemy wobec przedziwnie pięknej harmonii gwiaździstego nieba, dlaczego nie podziwiać w niej dzieła Stwórcy, i nie uwielbiać Boga?

Najgłębsze poznanie natury, musi nas przywieść do Boga. Przypatrzcie się dziejom umiejętności wszelakiej, a przekonacie się, że są to tylko stopnie wiodące ludzkość przed tron Boga. I gdyby nauka ważyła zamach na tron ten, natenczas spytalibyśmy: do jakiegoż rezultatu doszła wiedza przez wszystkie swe długoletnie

trudy myślowe? Postęp nowożytnej nauki, dziwa analizy osiągnęły zadziwiające rezultaty i doprowadziły do wielkich odkryć, które po wiek wieków sławę naszego stulecia stanowić będą; ale zapytuję raz jeszcze do jakiego wyniku doszła nauka przez swoje odkrycia i analizę? Jeżeli nauka nowożytna, podjąwszy się analizy jednego liścia, ukazuje nam go w zimie zwiniętego w trąbkę, suchego, z wiosną zaś śledzić nam każe krążenie soków, jak, pobudzone przez promienie słoneczne wciskają się przez poszczególne włókienka, wszędzie ożywczy wpływ swój wywierając, aż do tkanek najgłębszego jądra, jeżeli zwróci uwagę naszą na pory przez które wciąga powietrze i odżywiając się nim wydychuje je następnie wydając aromaty zdrowotne; jeżeli ukazuje nam porządek przedziwnego systemu, wskutek którego ziemia zawsze na nowo porasta w zieloność aby uweselać oko i serce ludzkie — zapytuję — cóż innego uczyniła wiedza jak nie to że wykazała dobitniej i jaśniej istność Boga? A dalej, gdy wiedza rozwinąwszy skrzydła uniesie nas ponad obrąb przestrzeni ziemskiej, mierząc przestwory poprzeżynane przez planety i przepowiedzieć potrafi, że taką a taką planetę ujrzymy w ściśle przez nią oznaczonej chwili i przestrzeni — cóż ona innego uczyniła jak nie to, że dostarczyła jednego dowodu więcej na istność Boga?

Dlatego musimy się koniecznie poczuwać do pierwszego zdania naszego wyznania wiary: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi“. Bo jeżeli przekonywujące jest powiedzenie arabskie: „Wierzę, że tędy przeszedł człowiek, bo widzę w piasku ślady stóp jego“, to idąc dalej, musimy powtórzyć za Newtonem: „Wierzę w istnienie Boga jedynego“, a za

Linne'm: „Widziałem przechodzącego Boga, patrzyłem w piękno Jego stworzenia i wznoszę hymn pochwalny na cześć boskości Jego".

II. Szukajmy dalej Boga w samych sobie. Teraźniejszość wyrywa nam się z ręki, przeszłość już do nas nie należy, przyszłość nie jest w naszej mocy. Pomimo tego niedoskonałego stanu, oglądać mogę niezliczone cuda. Mogę wyobrazić sobie piękność, nie tę niedoskonałą, lecz piękność doskonałą i bez skazy. Mogę pomyśleć sobie prawdę, niezaprzeczoną, bezwarunkową, pewną, wyższą ponad wszelkie dochodzenia. Mogę wyobrazić sobie szczęście, nie to przemijające i kapryśne, lecz szczęście zupełne, niezmienne, które byłoby zdolne zaspokoić wszystkie pragnienia duszy mojej i całej ludzkości. I mogę wyobrazić sobie wolę wszechmocną, rozum dla którego niema nic zakrytego, który zgłębia tajniki wiedzy i wszystko w sobie zawiera co jest wiedzą.

I staję zdziwiony przed obliczem wyobrażenia mojego, które przejmuje mnie zachwytem i podziwem. Zapytuję zatem, zkąd pochodzi ta możność „wyobrażenia"? M. S! To nasuwające się duchowi ludzkiemu pojęcie nieskończoności i doskonałości, wytłomaczyć da się w jeden tylko sposób: myśl ta jest we mnie, wlał ją w duszę moją Nieskończony, którego jestem obrazem i podobieństwem. Lecz nie tylko poczucie nieskończoności jest w nas, tkwi w umyśle naszym jeszcze jedno wyobrażenie, a jest nią idea miłości, która nas na wieki uszczęśliwić zdoła.

Tak jest, istnieje Bóg i jest istotą rzeczywistą a nie złudzeniem, bo inaczej byłbym na to stworzonym,

aby kochać złudę, a serce moje byłoby jedynie ofiarą haniebnego oszukaństwa.

Istnieje jeszcze jedno dziwo w mojej istocie wewnętrznej, mianowicie konstatuję w sobie — sumienie! Któż z nas nie słyszał bowiem tego głosu wewnętrznego mówiącego mu: „Uczyniłeś dobrze, uczyniłeś źle"! Człowiek musi stawać twarzą w twarz przed tym tajemniczym sędzią, i nie zdoła ujść przed nim!

Któż to nałożył mi sumienie, tego sędziego przed którym stawać muszę, czy chcę lub nie? Czy uczyniła to rodzina, społeczeństwo, czy wynik to mego wychowania? Ależ sumienie stoi nader często w sprzeczności z tem, na co się w rodzinie przyzwala, co w towarzystwie uchodzi i co wychowanie wpaja. Chcąc wytłomaczyć sobie sumienie musimy wznieść się ponad to, co ludzkie. Sumienie wpoił nam Bóg, którego przyzywam w żarliwej, serdecznej modlitwie z nadzieją i ufnością, jako do Tego, który przybywa w potrzebie z chętną zawsze pomocą.

Prawda, są tacy, którzy dowodzą iż nie wierzą w Boga, lecz myślę że przy łożu konającego ojca, stojąc nad grobem matki lub dziecka, odnajdą wiarę w Niego. A przynajmniej u kresu własnej ziemskiej pielgrzymki uchylą głowę przed Panem i Bogiem swoim. Tą nadzieją pokrzepiam się w myślach o tych braciach moich którzy odbiegli od owczarni Pańskiej. A Ty o Boże! nie dozwól by mnie zawiodła ta nadzieja moja!

II.

Istota i przymioty Boga.

M. S. Istnieje Bóg — wykazuje nam to historya, wszystkie narody jednoczą się w tej wierze, filozofowie i lud przytakują jej zgodnie. Platon wyznaje swoją wiarę w Boga, a Arystoteles, Cyceron i Seneka obrali tę wiarę za temat swych najpiękniejszych dzieł. Narody całego świata, począwszy od najdawniejszych czasów, dawały dowody wrodzonej wiary w bóstwo. W różnorodnych krajach idea Boga była powszechnie pierwszym objawem wyższego stopnia kultury, tak, że stanowczo twierdzić można, iż ogólna moralna wiara ludzkości w Boga, jest silnie ugruntowana historyczną prawdą. Następnie porządek i harmonia stworzenia objawiają istnienie Boga, tak jak wiekopomnem zostanie powiedzenie Volter'a: „Tak jak zegarek dowodzi istnienia zegarmistrza, tak samo dowodzi wszechświat istnienia jednej najwyższej istoty".

Tak jest, istnieje Bóg. Dyktuje nam to rozum, który uznaje Go za istotę najwyższą i przez który do Niego dążymy. Sumienie również potwierdza istnienie Boga, i naprawdę szukając Go, znajdziemy Go wszędzie

i nigdzie przed nim ujść nie jesteśmy w stanie. Nawet t. z. ateiści prędzej lub później dochodzą zwykle do uznania Boga. Posłuchajcie słów jednego z największych uczonych współczesnych: „Istnieją dwa rodzaje ateistów, świadomych i nieświadomych. Nieświadomi ateiści są ci którzy nie wierzą w Boga, ponieważ nie ujęli jeszcze w ogóle idei Boga, ci stoją jeszcze na najniższym stopniu kultury. Ateiści świadomi są przeciwnie tacy, którzy Boga znali, w Niego wierzyli, i z czasem dopiero zatracili wiarę. Bywają nimi często filozofi, profesorzy, uczeni, ludzie rozległej wiedzy, jednym słowem; przewodnicy ludzkości! Tak więc, jakkolwiek dziwnem się to wydać może, ludzie ci, o tak rozległym naukowym widnokręgu, stoją pod pewnym względem na tym samym gruncie co i najciemniejsi, a cała ich nauka doprowadziła ich do tego, że dorównują najprymitywniejszym umysłom.

„Kim jest Bóg?", pytał św. Tomasz z Akwinu swego nauczyciela, dzieckiem będąc; a skoro otrzymał odpowiedź, pytał dalej, „kim jest Bóg", i zawsze nie zadawalniały go słyszane określenia. Kim jest Bóg? Dzisiejszego poranku dowiecie się moi słuchacze, kim jest Bóg.

Dwie zcierające się ze sobą nieustannie siły, mianowicie: filozofia i religia katolicka, rozwiązują problemat ten każda wprost inaczej. Filozofia podaje nam mylne i złe wyjaśnienie, przeciwnie, religia katolicka podaje nam jedyne rozwiązanie, jakie przyjąć możemy, ponieważ zgadza się z zasadami prawdziwej wiedzy.

Zacznijmy od filozofii. Kiedy narody odwróciły się od Boga, mogły już tylko polegać na samych sobie. Pierwotna tradycya przestała istnieć dla nich, zostali tedy pogrzebani w ciemności. Lecz szlachetniejsze po-

pędy natury ludzkiej, łaknącej i stworzonej dla prawdy, poczęły jej szukać dokoła siebie, własnym rozumem, za pomocą obserwacyi zaczęli ludzie szukać wyjaśnienia prawdy. I to dało początek filozofii. Cóż tedy osiągnęła filozofia, do jakich doszła wyników, po długiej, żmudnej pracy? Otrzymała zaledwie kilka okruszyn prawdy, które zagrzebała w dodatku w błędne koła systematów filozoficznych. Nie chcąc przyjąć pojęcia jednej najwyższej istoty, i nie chcąc uznać nauki objawienia, stworzyła filozofia ślepe bóstwo: przeznaczenie. Mając jednak poczucie, że ludziom potrzebną jest wiara w jedną najwyższą istotę, która to wiara najbardziej odpowiada potrzebom natury ludzkiej, zawezwała filozofia aby wiarę tę obalić, na pomoc politeizm, głoszący zasadę, że szczęście polega na zaspokojeniu popędów zmysłowych, uniewinniając i popierając temsamem wszelkie przekroczenia i nadużycia świata pogańskiego, przypisując zjawiska widome, porządek i przedziwną harmonię świata dziełu ślepej, przypadkowej siły.

Przyjrzyjmy się systemom filozofii wschodniej. Przedewszystkiem na wschodzie filozofia i religia łączą się w jedno, ponieważ filozofia obfituje w allegorye i obrządki rytualne, będąc wytworem umysłów które zwykły powodować się, dzikim, wybujałym fanatyzmem. — Już w najodleglejszych czasach spaczył panteizm i teorya o wędrówce dusz, ówczesny pogląd filozoficzny na świat. Te same błędne wierzenia powtarzają się następnie w mitologiach greckiej i rzymskiej. (religia bogów). Chociaż w późniejszej epoce rozszerzył się widnokrąg myśli i chociaż platonizm rzucił snop światła ówczesnemu światu, to jednak zakończyła się ogólnem zwątpieniem. I nie było to jeszcze jej ostatnim i najgorszym nastę-

pstwem. U szczytu swego blasku i uznania stała się zasadnikiem wszystkich racyonalistycznych i materyalistycznych błędów, co wywołało straszny zamęt pojęć; z zamętu tego wyłoniła się filozofia aleksandryjska, jako przeciwstawienie sceptycyzmu. Ale że pojawiła się prawie równocześnie z chrystyanizmem, czuła się w obowiązku, będąc wyrazem nowej pogańskiej idei, pogańską zostać i zwalczać Chrystusa i Kościół Jego, nie bronią wiedzy lecz zarzutami i oszczerstwem. Pomimo to jednak, w ich napuszystych i nadętych teoryach kryją się tu i ówdzie wielkie prawdy i spora doza mistycyzmu.

Przejdźmy do filozofii nowożytnej. Początek jej datuje się od czasów odrodzenia i rozwija się dalej torami starych systemów, nie wydając ani jednej teoryi którejby odnaleść nie można u wolnomyślnych filozofów starożytnych. Nowożytna filozofia zaprzecza racyi bytu każdej religii w ogóle, zaprzecza istnieniu Boga żywego, o jakim poucza Kościół katolicki, a teorye te, jak się sami o tem łatwo przekonać możecie, silny znalazły oddźwięk w historyi, powieściopisarstwie i poezyi nowożytnej. Filozofia nowoczesna nosi w sobie zarodki przewrotu zdolnego zmienić oblicze ziemi. I tak są ludzie u szczytu XIX stulecia którzy ważą się twierdzić, że Bóg jest chaosem, że świat pozostawiony jest sam sobie, że Bóg jest wyobrażeniem zła, że słowo Boże z ust i serc naszych wygnanem być musi. I czy sądzicie że przesadzam może? Czy nie wiecie może jak o Bogu wyrażają się niektóre czasopisma, które wkłada się niemal dzieciom w ręce, dalej jak wyrażają się o Nim profesorowie płatni z funduszów naszej niebogatej ojczyzny, a dalej książki i dzienniki czytane przez wszystkich? Jeżeli pojęcie Boga, pomimo świetnych zdobyczy naukowych

jest za trudnym problematem do rozwiązania rozumowego dla wielu nowożytnych uczonych i filozofów, jakże tem więcej my, wytrwale stać powinniśmy przy szkole naszej religii, t. z. przy Kościele katolickim ponieważ jedynie On jest w możności dać nam pojęcie Boga, zgodne z zasadami wiedzy. Gdy religia katolicka mówi nam o Bogu przez pośrednictwo Kościoła, to stawia przed umysłem naszym pojęcie nieskończenie wielkie, a zarazem takie proste w swej wielkości że zarazem przystępne dla dojrzałego umysłu i dla rozumu dziecka. I my tedy zwróćmy się do naszej Wiary św. i to z bezwzględnem zaufaniem, ażeby od Niej otrzymać odpowiedź na pytanie: „Kim jest Bóg?“

Kim jest Bóg sam w sobie? Jakim jest Bóg jeżeli przyjrzymy Mu się przez pryzmat Jego przymiotów? Kim jest Bóg, rozważany przez nas w swoich czynach? Otwórz Ewangelię św. źródło prawdziwej wiedzy i posłuchaj jej odpowiedzi, będzie jasną i dokładną, a jestto zarazem pierwsza odpowiedź katechizmu, pierwszy artykół wyznania Wiary, jestto pierwsza nauka, nabyta na kolanach matki. Zbliż się tu kochane dziecię, które przysłuchujesz mi się tak pilnie i powiedz mi, kto jest Bóg? A dziecko odpowie bez wachania: „Bóg jest duchem nieskończenie doskonałym, stworzycielem nieba i ziemi, najwyższym Panem i rządcą wszechrzeczy“. Zaiste, piękna to odpowiedź i czyście słyszeli ją dobrze? „Bóg jest duchem“ zwalcza to na wstępie bezrozumną teoryę panteizmu. “Bóg jest doskonałym“, co obala twierdzenie, religii przeciwne, że Bóg jest sprawcą zła. „Stworzycielem nieba i ziemi“, więc słowa te niweczą teoryę że świat sam przez się istnieje od wieków. To pojęcie Boga tak wzniosłe w swojej prostocie, przenika już duszę dziecka i oświeca jego

umysł i sprawia że pod okiem czuwającej Opatrzności urasta w mądrość i poznanie istotnej prawdy, podczas gdy w sercu jego przechowuje się ta dziecinna miłość i cześć, które w zaraniu życia wpaja to życiodajne pojęcie Boga.

Zapytawszy katechizmu, zapytajmy jeszcze o Boga i nasze „Wyznanie Wiary“. W niewielu słowach zaspokoi ono wszystkie nasze pytania. Przyjdź tu raz jeszcze dziecię kochane i wypowiedz Skład Apostolski, tak jak cię go nauczono w obrębie murów szkoły katolickiej! A dziecię wzniesie oczęta ku górze i zacznie: „Wierzę w Boga Ojca, wszechmogącego Stworzyciela nieba i ziemi“. — Cóż to za wielkie zeznanie M. S.! Bo ten to artykuł Wiary naszej św. powtarzał kościół na wszystkich soborach, podczas gdy wszystkie tradycye świadczyły zgodnie o prawdzie w niej zawartej. To określenie Boga, które nam katechizm i Wyznanie Wiary podaje jestto to samo, które Bóg objawił Mojżeszowi, a z chwilą kiedy objawienie to w księgi zapisanem było, rozwiązanem zostało po raz pierwszy, najważniejsze zagadnienie świata. Ale odłóżmy na chwilę katechizm i Wyznanie Wiary, a starajmy się wznieść serca nasze bezpośrednio do Boga.

Jesteśmy stworzeniami i dziećmi bożemi, i chce On jak Ojciec dzieciom swoim dać się nam poznać! Wznieśmy oczy nasze ku niebu i jak to niegdyś uczynił Mojżesz, tak i my prośmy Go: „Dziećmi twoimi jesteśmy, Panie! i abyśmy wszyscy uznali Ciebie Bogiem prawdziwym, naucz nas, jak o Tobie myśleć mamy“.

„Ego sum, qui sum“. Jestem ten, który jestem! Co za określenie! Olśniewa umysł nasz światłem i napełnia podziwem! Zaiste o! Panie, Ty nie jesteś jako okolep-

nia następujące po sobie, nie jesteś jako niebo i ziemia które dnia jednego zapadną się w sobie, nie jesteś jako planety na przestworze niebieskim, które ponieważ miały początek i koniec mieć będą. Jesteś zaprawdę jedyną najwyższą istotą od wieków do wieków.

Ale wróćmy do naszego rozbioru, ażebyśmy lepiej pojąć zdołali całą myśl zawartą w odpowiedzi danej ludziom od Boga. Bóg powiedział: „Jestem istotą najwyższą, pierwotną przyczyną wszelkiego istnienia, istotą która jest samej sobie podstawą i bytem, doskonałą dla tego, bo istotnie ze swą naturą zespoloną, ponieważ niema woli ponad wolę Jego i ponieważ źródło wszelkiego stworzenia, da się pomyśleć tylko jako doskonałość. Wszystkie te pierwiastki doskonałości które spostrzegamy w stworzeniach skarzone, jaśnieją w Nim jako w środowisku wszelkiego dobra, w niezmniejszającej się nigdy pełni swej wspaniałości i doskonałości. I dla tego ażeby choć w części pojąć tę Istotę doskonałą, przyjrzyjmy się bliżej tym doskonałościom, których choć spaczone wielu błędami skarzone odbicie odnaleść można w stworzeniach Jego.

Co zatem spostrzegamy w stworzeniach bożych? Spotykamy w pewnym stopniu i mierze: jednolitość, prostotę, stałość, stateczność, wytrwałość, inteligencyę, piękność i dobroć! Z tego musimy wywnioskować że Bóg jest: doskonałą jednolitością, wiekuistą niezmiennością, nieskończoną rozciągłością, wieczystą istnością, inteligencyą, absolutną skończoną pięknością i dobrocią największą. W Bogu jest jedność, więc jest On, i być może — tylko jednolitością. „Istnieje tylko jeden Pan i jedna Wiara“, powiada św. Paweł. Bóg jest nieobjętym, a nieobjętość ta leży w naturze nieskończoności.

Bóg jest doskonałą jednolitością ponieważ czysty, zupełny duch złożonym być nie może. Bóg jest początkiem wszechrzeczy, pierwiastkiem przyczyn wszystkich, a że jest najzupełniej doskonałym, więc idąc konsekwentnie dalej, stanowić musi najzupełniejszą jednolitość. — Bóg jest niezmienny; objawia to sam w Piśmie św. temi słowy: „Jam jest Panem, jam niezmienny“. I w istocie, dlaczegoby się miał zmieniać Bóg? Czy żeby się stać lepszym i większym? Ale jakżeby to być mogło skoro Bóg jest już skończoną doskonałością. Czy może żeby stać się mniejszym? Ale w takim razie nie mógłby być nieobjętym. Bóg jest istotną rzeczywistością i nie można odnosić do Niego nic takiego, coby było tylko możliwością.

A że zmiana wyraża przejście z możliwości do rzeczywistości, tedy Bóg będąc istotną rzeczywistością, zmieniać się nie może. — Bóg jest wieczny, nie miał nigdy początku i końca mieć nie będzie, bo gdyby istniała jakakolwiek granica bytu bożego, nie mógłby Bóg, być nieskończonym. Bóg jest niezmierzony; Bóg jest wszędzie obecny, ponieważ jest nieskończony i ponieważ jest jednolitością. Św. Augustyn powiada: „Wyobraź Go sobie jako prawdę, jako mądrość“, a objektywna prawda nie jest zależną od czasu ani przestrzeni. Przed stworzeniem świata istniała prawda sama w sobie, po stworzeniu, nie można wyobrazić sobie żadnego bytu któryby nie był pomyślanym przez prawdę, Tak samo jak teraz w obec widomego świata, nie możemy twierdzić, że prawda nie jest pierwiastkiem ogarniającym stale wszystko, lecz, że przenosi się z miejsca na miejsce tak samo twierdzić nie możemy, że Bóg przenosi się z jednego miejsca w drugie. Obecność boża jest abso-

lutną, tak jak to odnieść można do prawdy i mądrości. I cóż tedy wynika z tego? Z tego wynika, że Bóg w przeciwstawieniu do nauki sofistów którzy chcą Go podawać za istotę nieosobistą, nieokreśloną, objawia się sam światu jako istota jednolita, a objawiając siebie samego staje się źródłem z którego całe stworzenie czerpie ruch, życie, znaczenie i zrozumienie; Bóg obejmuje sam siebie i wszystko inne poza sobą, bo gdyby tak nie było brakowałaby Mu jedna z najpiękniejszych Jego doskonałości. Bóg samopoznaje sam siebie, gdyż w przeciwnym razie ubyłaby Mu doskonałość nieobjętości, i obejmuje wszystko istniejące poza sobą, gdyż w przeciwnym razie mógłby się stać doskonalszym aniżeli jest. Dlatego niema dla Boga przeszłości ani przyszłości, wszystko jest dla Niego teraźniejszością. W Bogu jest piękność, jest On przecież źródłem piękna wszystkich swoich stworzeń, źródłem tego co nazywamy harmonią, to znaczy doskonałem zrównoważeniem piękności i wspaniałości przechodzącej miarę naszego pojęcia, i której piękność świata jest zaledwie słabym odblaskiem! Ta piękność, będąca ideałem geniuszu Rafaela i którą, wątpiąc w możliwość jej oddania, starał się utrwalić na swym nieśmiertelnem płótnie; ta piękność będąca ucieleśnieniem pięknych kształtów i harmonijnego zrównoważenia o której śniła natchniona dusza Fidyasza; harmonia, w której słodkie i łagodne kadencye wsłuchiwały się dusze Mozarta i Rossiniego; poezya natury w nieskończoności Oceanu i nieba gwiaździstego—to wszystko jest tylko nikłym odblaskiem piękności bożej, tej piękności do której dąży każda nieskalana dusza. Bóg jest dobrotliwy. Zarówno sam w sobie jest Bóg dobrocią, jak i względem swoich stworzeń, na które

zlewa obficie dobrodziejstwa swoje, które przyzywa do siebie gdy zboczą z drogi prawdy, na które czeka cierpliwie i którym przebacza miłosiernie. O pobożni słuchacze moi! jakże zdołam wyliczyć wam wszystkie objawy dobroci i miłosierdzia bożego, wcielenie, Eucharystyą św. i tyle innych na każdym niemal kroku, a w końcu wystarczy przypomnieć wam, że Bóg stworzył człowieka aby pędził z Nim niezmierność Jego własnej szczęśliwości.

Dlatego też, moi słuchacze, abyście Boga poniekąd zrozumieć mogli pragnąłbym abyście wierzyli, że Bóg jest niewidzialny a zarazem wszechwiedzący, nieobjęty, a zarazem obejmujący wszechświat, niezmienny w swojej istocie a zarazem przyczyną wszelkiego ruchu i zmiany; wieczny t. zn. bez początku i końca. Mówiąc to, mówię wam prawdę, a jednak jakie dalekie słowa moje do jej całkowitego oddania. Dla częściowego przynajmniej zrozumienia Boga, chciałbym ażebyście wierzyli że Bóg istnieje sam przez się, że żyje i rządzi w pełnym poczuciu swej boskiej natury, że jest niezmierzony w swej potędze, bez możliwości ubytku takowej, że jest władcą czasu nie podlegając takowemu, że Jego natura jest dobrocią, Jego wola wszechmocnością, Jego ruchem spokój, Jego trwaniem — wieczność.

I jeżeli, wszystkie doskonałości jakie umysł ludzki wyobrazić zdolny, zbiorę w jedną całość, lecz doskonalszą, większą i pełniejszą od możności zrozumienia ludzkiego, wtedy dopiero dałbym wam wyobrażenie Boga, wtedy dopiero, słuchacze moi ujrzelibyście Boga i Pana naszego! A tak, dałem wam tylko nieudolne Jego pojęcie i słaby odblask Jego wielkości.

Uznawszy raz Boga, powstaje w umyśle naszym światło, rozpraszające wszelkie ciemności, tak jak w pierwszym dniu stworzenia Duch Boży unosząc się nad wodami, rozprószył ciemności zalegające powierzchnię głębiny wód. — Skoro raz poznaliśmy Boga, umysł nasz nie błąka się już bezcelowo od jednej wiary do drugiej, przeciwnie, w silnem poczuciu wiary w Boga prawdziwego, nietylko zyskuje moc krzewienia wiedzy, władzę poskramiania rozkiełzanych żywiołów, lecz, oświecony Duchem wieczystej mądrości, dochodzi do zrozumienia praw rządzących wszechświatem.

Katolickie pojęcie Boga, daje nam podstawę i klucz zozwięzujący przedziwnie wiele zagadnień umysłowych. Religia jest zatem uświęconą koniecznością dla człowieka, bo podczas gdy z natury swojej, wynosi majestat boży i objaśnia Jego przymioty to z drugiej strony, uświadamia człowieka co do jego własnych niezmiernych przywilejów. — Skoro raz poznaliśmy Boga ukazują się oczom naszym nadprzyrodzone właściwości, wyróżniające społeczeństwo ludzkie w wszechświecie. Poznajcie prawdziwe dzieje traktujące o pochodzeniu człowieka, o jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, o sprawach przyrodzonych i nadprzyrodzonych, o niebie tam w górze i o tym padole, dzieje, które tłómaczą nam sprawy widome i zakryte, poznajcie takowe w świetle mądrości bożej, jakże jasno i prosto w umysłach naszych rozwiną się zawiłe następstwa burzliwych konfliktów historycznych w dziejach narodów i państw. I jakież szerokie pole, w tym duchu, otwiera się poezyi i innym sztukom pięknym! Jednem słowem — w świetle wiary, przestaje być wszechświat zagadką, bezmyślną, przypadkowo do bytu powołaną bryłą, lecz przeciwnie, dziełem dążącem do

wielkiego, przedziwnie obmyślanego celu. Każda istota zajmuje w nim dla siebie przeznaczone miejsce, każde stworzenie otrzymuje stanowisko zmuszające je do współpracownictwa z innemi dla stworzenia jednej skończonej całości. I czy w ten sposób pojęty wszechświat nie przedstawia niewyczerpaną skarbnicę natchnienia dla artysty? Poezya, sprowadzona na właściwe sobie pole, stanie się znowu wyrazem nadziemskich, wzniosłych myśli. Muzyka niebiańską harmonią swoją porywając ducha naszego, wywrze nań swój zbawienny wpływ. Malarstwo czarująco zachwyca oczy nasze oddaniem wzniosłego, czystego ideału. Budownictwo bez zapory wzniesie się w majestatycznym swym locie ku niebu, a krasomówstwo potwierdzać będzie prawdy naszej duszy. Rzecz każda w Bogu uszlachetnia się i podnosi, tak jak bez Niego psuje się, zaciemnia, błądzi i ginie!

II. Powiedziałem, że bez Boga upada rzecz każda. Pomyślmy, jaką będzie historya dziejów świata bez Boga? Historya ta, śledzenie rozwoju ludzkości i narodów w biegu czasów, stanie się prostym katalogiem wydarzeń, ciemnym chaosem.

Bez Boga, czem będzie wiedza? Niech mnie Bóg broni ażebym zmniejszał zasługi nowoczesnej wiedzy, lecz cóż osiągnie ona jeżeli nie będą nią kierować dogmaty objawienia? Traktuje ona tylko o zewnętrznych czynach i objawach, które wprawdzie w przedziwny sposób objawiają wielkość bożą, ale o prawach ich rozwoju, o źródle zjawisk tych, nie może nic nam powiedzieć; widzi tylko powierzchnię i zamiast stworzyć jedną piękną, jednolitą całość, tworzy mozajkę, wspaniałą być może, lecz posiekaną, złożoną z cząsteczek nie mających

naturalnego zespołu i związku. I to wyjaśnia nam również niezadowolnienie, które jest objawem charakterystycznym nowoczesnych nauk, ztąd sprzeczności, zniżenie się wiedzy, która pozbawiona najważniejszej podstawy życiowej, nie jest niczem więcej jak trupem, od którego, jako takiego, wiele prawdziwie dobrego spodziewać się nie można.

A człowiek? Cóż dzieje się z człowiekiem bez Boga? Bez Boga nie wie człowiek zkąd pochodzi i dokąd dąży, a także i to, jaką jest jego rola na tej ziemi; błądzi w ciemnościach i na każdym kroku zawadza o kamień na swej drodze. Daremnie zwraca się po wyjaśnienie do swego własnego i bliźnich swoich rozumu, odpowiedź bowiem pozostaje dla niego zagadką. Spadające nań nieszczęście przyprawia go o rozpacz. Śmierć której nikt ujść nie zdoła, zbliża się ku niemu coraz więcej, lecz co gorsza, zagraża częstokroć przedmiotowi naszej najczulszej miłości, ojcu, matce, bratu lub siostrze, i wtedy to, słuchacze moi, wymierzaną bywa kara tym, którzy żyją bez Boga, bo żyć muszą dalej, bez pociechy w nieszczęściu i popadają w rozpacz. A życie moralne człowieka, jakżesz ono wygląda bez Boga? Bo moi słuchacze! jeżeli niema Boga, nie będzie temsamem w przyszłem życiu sędziego, któryby karał za grzechy popełnione w tym żywocie; nie będzie nikogo, ktoby rozsądził ofiarę i jej prześladowcę, — niema prawa, ani bezprawia! Prawda i sprawiedliwość nie są niczem innem jak czczą chimerą! A jakiż będzie porządek społeczny bez Boga? Gdyby człowiek sam bez Boga stanowił podwaliny życia społecznego, to społeczeństwo rozpadłoby się wkrótce, obalając bowiem jawnie autorytet nie mający żadnego wyższego poparcia, nie dałoby

się nigdy osiągnąć ładu ni posłuszeństwa. W końcu bez Boga jakim byłby los narodu? Nie łudźmy się, moi słuchacze! Jeżeli niewiara w Boga stanie się raz ogólną w narodzie, jakże spodziewać się możemy po nim ładu, harmonii i spokoju? Bez Boga nie jest możliwą zgoda pomiędzy ludźmi i wszystko rozpada się w nieładzie i zaburzeniach. Ponieważ bez Boga istnieć nie może jedność przyczyny, istnieć również nie może jedność celu. Zamiast kroczyć wspólnie w zgodzie która żąda od nas wierności, posłuszeństwa, ogólnego współudziału w wypełnianiu przeznaczenia odwiecznej harmonii stworzenia, idzie każdy oddzielnie swojemi manowcami, miotany wichrem jako przydrożny piasek, aż dopóki w nieopisanej rozterce nie przybije do portu wieczności.

Bez Boga nie jest możliwą miłość braterska pomiędzy ludźmi. Oddzielcie człowieka od Boga, a popadnie coraz to głębiej w nieprzyjazne uczucia względem swoich bliźnich. Bez Boga niema wolności, a w zamian panuje przemoc, przeciwniczka wolności. Bez Boga niema mocy, bo jakżebyśmy mogli czuć się silnemi bez istotnej spójni i podstawy siły — jedności! Bez Boga zagarnie nieodwołalnie przemoc władzę na ziemi, wojny społeczne uzbroją jednych przeciw drugim i zamiast społecznego podziału własności, o każdą piędź ziemi potoczą się boje.

Świat bez Boga jest jako martwa pustynia, — pod stopami naszemi piasek piekący, ścielący się w nieskończoną dal, a niebo nad nami beznadziejne, bo znikła zeń nadzieja wraz z Bogiem jako chmura poranna; tak więc bez ochrony, wystawieni na żar południowego słońca, ginąć powoli musimy wśród nieznośnej spieki!

III.

Dusza.

M. S. Istnienie Boga wszechmocnego jest zatem prawdą, którą umysłowi naszemu narzuca obserwacya życia, świata że dziejów jego z taką bezwzględną stanowczością że nikt jej odrzucić nie może. Pytaliśmy się: „Kto jest Bóg“, a różne szkoły filozoficzne wysilały się na odpowiedź i w rezultacie dały nam tylko bardzo niejasne pojęcie tej wielkiej prawdy. Tylko wiara katolicka ukazała umysłowi ludzkiemu Boga jako doskonałość skończoną. Katechizm, Wyznanie Wiary, Księgi Genesy określiły Go jako ducha nieskończenie doskonałego, stworzyciela nieba i ziemi, pana i władcę wszechrzeczy.

Uzmysłowiwszy sobie prawdziwe pojęcie Boga, powinniśmy się postarać z kolei o prawdziwe uzmysłowienie pojęcia człowieka. I rzeczywiście, jeżeli istnieje kwestya, która po poznaniu Boga umysł ludzki najbardziej przykuwa, to zaiste kwestya, której przedmiotem jest człowiek. Bez zaprzeczenia, że nader ciekawym problematem jest wykrycie przyczyn elektryczności, ciepła, jednak wszystkie tego rodzaju zagadnienia leżą

poza nami, i względną mają dla nas tylko wagę, podczas gdy nader żywo obchodzi nas, czem my sami jesteśmy? Szukał człowiek odpowiedzi na to pytanie w wiedzy, filozofii, lecz pozostało dla niego nieprzeniknioną zagadką; zbadali wprawdzie uczeni zjawiska psychologiczne i fizyologiczne, towarzyszące ustrojowi człowieka, lecz nie zdołali spojrzeć poza nie. I tajemnica ta nieprzeniknioną pozostanie tak długo, dopóki człowiek będzie chciał własnemi siłami rozwiązać problemat, który tylko Objawienie rozwiązać może. Teorya ewolucyi i pozytywizm nic nam pod tym względem nie tłomaczą, a epikurejska filozofia nie jest niczem innem, jak tylko zaprzeczeniem Boga i zaprzeczeniem duszy. Mędrcy tego świata chcieliby zedrzeć z czoła ludzkiego koronę królewską, tak jak ją zdarli domniemanie z czoła Bożego! Lecz próżne wysiłki! Bóg patrzy na zmienne sprawy tego świata, lecz sam jest niezmienny i wiekuisty, i pozostanie zawsze pomiędzy ludźmi, nie pozwalając im prawdziwego o Nim i o sobie samych pojęcia.

Jakiem jest zatem prawdziwe pojęcie człowieka? Pytanie to będzie treścią dzisiejszego kazania i rozważania naszego, o ile się wraz ze mną nad tym przedmiotem zastanowić zechcecie.

I. M. S.! Czem jest człowiek, i co o nim myśleć mamy? Jakie zajmuje stanowisko w rozległej hierarchii istot stworzonych? Posłuchajmy najpierw odpowiedzi ateistycznej szkoły! Człowiek jest organizmem żyjącym, mniej lub więcej czynnym od każdego innego organizmu, i cokolwiekbyście pozatem w człowieku upatrzeć chcieli, będzie tylko fikcyą. A dusza? Duszę wykluczyli łatwo ze swych pojęć, i w rzeczy samej, jakże wyma-

gać od nich wiary w istnienie duszy, skoro skalpel, który wszędzie dociera, nie napotkał jej w żadnej części organizmu ludzkiego? Co innego dawniej w epoce dzieciństwa wiedzy, kiedy tłomaczenie takie pokrywało niewiadomość parawanikiem mistycyzmu, lecz dzisiaj mistycyzm ten niepotrzebny, odkąd nareszcie zwyciężyła zasada, uznawania tylko faktów namacalnych. Badania fizyologiczne ukazują nam tylko szereg zjawisk, wypływających kolejno jedne z drugich i tworzących niezmienny i nieprzerwany łańcuch wydarzeń, polegających na ciągłej przemianie, podobną do tych, jakie spostrzegamy w naturze. Spostrzegamy, że działanie siły tkwiącej w materyi od jej prabytu, wywołuje szereg przedziwnych zjawisk, wypływających jedne z drugich. Weźmy np. węgiel. Węglem wywołujemy gorąco, gorącem ruch, a ruchem czyn, pracę. Wiedza określa ściśle te zjawiska i najzupełniej każde z nich tłomaczy. Przejdźmy do mechanizmu istot żyjących, a ujrzymy podobny proces. Pożywienie utrzymuje w nich ciepłotę, ciepło wywołuje ruch, lecz źródłem wszystkiego jest materya. Materyaliści mówią nam znowu: „Jeżeli chcecie, abyśmy uznali istnienie duszy, to możemy ją uznać jako określenie fizykalnego mechanizmu ludzkiego organizmu!“ Lecz pominąwszy surową formę określenia tego będącą daty nowożytnej, twierdzenie samo nie jest nowem. Gdy Sokrates wychylał kubek trucizny, jeden z jego uczni zaskoczył go pytaniem: „Czy nie jest może dusza ludzka harmonią naszego organicznego ustroju, wynikająca z właściwości naszego organizmu, podobnie jak harmonię muzyczną wykonują eteryczne drgania strun cytry wprawiające ją w ruch.

Ale wracam do sofistów i zapytuję: Uznajecie tylko

fakta oczywiste, niech i tak będzie, zostańmy przy tej zasadzie i zapytajmy praktycznego doświadczenia: „Co to jest człowiek, jakie mamy sobie o nim urobić pojęcie?“ (Nie mam tu na myśli zewnętrznego i powierzchownego określenia, lecz zbadanie istoty i natury człowieka w ścisłym znaczeniu tego słowa).

M. S.! Abyśmy się nawzajem poznali, wy mnie, a ja was, trzeba, abyśmy nawzajem wymienili przed sobą nasze zapatrywania, myśli i dążenia, i dopiero wtedy powiedzieć będziemy mogli, że znamy się, bo są w człowieku strony, które powierzchownie łatwo poznać, i inne które poznać trudniej. I chociaż materyaliści zewnętrzne objawy funkcyi organicznych, potrafili wyśledzić, ich przebieg i drgnięcie niemal ich każde określić potrafią, to jednak przeoczyli, że funkcye fizyologiczne nie są jedynie wynikiem podrażnienia nerwów, lecz że towarzyszą im również jeszcze inne zjawiska odmiennej natury. Dlatego nie wolno oficyalnie materyalistom udzielać młodzieży zasad swej fałszywej wiedzy, którą przedewszystkiem samo już doświadczenie obala. Dusza nasza nie popada pod ich skalpel! Skądinąd dziwi mnie żądanie tych, którzyby chcieli w anatomicznych poszukiwaniach odnaleźć duszę, ponieważ z chwilą, w której w jednej z komórek mózgowych odkryliby duszę, przestaćby musieli wierzyć w istnienie duszy, jako istoty duchowej. Niechaj Bóg chroni nas od lekarzy, którzy nie wierząc w istnienie duszy, nie zdolni są do uznania moralnych czynników, wywierających tak ważny wpływ na zdrowie ludzkie! Niechaj Bóg chroni nas od takich, którzy pod pozorem złagodzenia cierpień chorego, narażają życie jego! Oni nie wierzą w duszę; lecz powinni przynajmniej uszanować wiarę w nią, chorego. Bo przez

to przekracza lekarz nie tylko swój obowiązek, lecz grzeszy i względem wolności sumienia. Ale na czemże opierają kłamliwe dowodzenia swoje ci, którzy chcą zaprzeczyć temu, co stanowi naszą istotną wielkość i potęgę? Czytajcie ich czasopisma i dzienniki, przysłuchajcie się ich mowom, a wyjaśnią one wam to niebawem: nie chcą przyznać istnienia duszy, ponieważ dusza duchową jest istotą, a istnienie duchowej istoty nie jest możliwem, ponieważ takowej pojąć nie są w stanie! Zaiste przekonywujący dowód! Jeżeli przyjmują tylko to, co pojąć są zdolni, to zapytajmy, co oni uznają? Ich wyznanie wiary zawarte być musi zaiste w bardzo ciasnych ramach! Jakże tłomaczą sobie oni np. zdolność myślenia?

„Szukaliśmy wszędzie duszy, lecz nie udało nam się znaleźć jej nigdzie! Lecz, gdzieście jej szukali? W laboratoryum anatomicznem, w rozćwiartowanym trupie ludzkim? I w tem tkwi właśnie pomyłka ! Dzierzyliście w rękach waszych pustą klatkę, z której umknął ptaszek i śpiewa w lesie. Ludzie ci, czynią podobnie jak tacy, którzy odwiedzają was podczas, gdy niema was w domu. Niechaj w żywem ciele szukają duszy, a nie w martwym trupie! Niechaj podpatrzą artystę, który myśl swoją przenosi na płótno, a dopatrzą się duszy! Niechaj przyjrzą się tym, którym zaniepokojone sumienie, moralne sprawia katusze, a znajdą duszę! Pewien uczony fizyolog, chcąc aby młodziutcy uczniowie jego zrozumieli, że prócz ciała posiadają i duszę, wchodząc pewnego dnia do klasy, w której zebrani oczekiwali na niego, przystąpił do jednego z nich, uderzył go i wskazał mu drzwi. Dziecko z płaczem wyszło z pokoju. Zwrócił się następnie profesor ów do drugiego

z uczni, wręczył mu list i wskazał mu również drzwi, a dziecko płacząc, także wyszło z pokoju. Wtedy zapytał profesor pozostałych uczni, czy nie wiedzą dlaczego płakał pierwszy z nieobecnych uczni? Odpowiedzieli, że dlatego, iż zostało skarconem i bitem. Zapytał następnie dlaczego drugie z dzieci płakało? Lecz nikt nie umiał mu na to odpowiedzieć. Wtedy wytłomaczył im, że drugie dziecko zostało również uderzone, lecz moralnie, a nie fizycznie, ponieważ list zawierał wiadomość o śmierci jego matki. Zrozumiały tedy dzieci, że posiadają istotę wewnętrzną, daleko szlachetniejszej natury od ich istoty zewnętrznej.

Czy chcecie się dopatrzyć własnej duszy? Obserwujcie i badajcie samych siebie, wniknijcie we własną istotę, a jasnem stanie się wam istnienie duszy. Czy nie mówicie często: „Ja myślę?“ Ze słów: „ja myślę“, wynika logicznie: „a więc istnieję“. I czy nie mówicie: „Ja czuję“, i znów nasuwa się wynik: „a więc istnieję“. Czy nie mówicie dalej: „ja chcę“, a mówiąc to, czy nie mówicie innemi słowy: „ja jestem?“ Jest to zawsze to samo „ja“, które czuje i chce, jedno i to samo ja, które wierzy mówi i działa! Jest to dusza, która istnieje poza ciałem i pomimo ciała. Chociaż dusza z ciałem ściśle lest w tem życiu złączona, to jednak różni się od niego zasadniczo. Czy chcecie ujrzeć ją namacalnie niejako? Posłuchajcież: czy nie powtarzamy zawsze „ja“, we wszystkich fazach naszego życia, „ja“ w dzieciństwie, „ja“ w młodości, „ja“ w wieku podeszłym. Tak, to dziecko, którego wyobraźnia bujała jak barwny motyl z kwiatu na kwiat, to byłem ja, to było chłopie, które poddawało się upodobaniom swych skłonności, to byłem ja ten młodzieniec, który kolejno ulegał swym

namiętnościom, to zwyciężał je — byłem ja, tym człowiekiem dojrzałym, który powoli rozumieć zaczynał mechanizm życia — byłem ja; starcem, który błędy żywota począł opłakiwać — byłem ja. Więc zawsze „ja“, pomimo, że materya, która tworzy ciało moje ciągłej podlega przemianie, zmienia się, jako fale następujące po po sobie, a przecież mówię „ja“, zawsze ten sam „ja“! Czyż byłoby możliwe, ażeby to ta zmienna materya mówiła „ja“? „Ciało ludzkie“, powiada jeden z nowoczesnych uczonych, „złożone jest ze składników, odnawiających się nieustannie. Wszystkie części organizmu ludzkiego nieustannej ciągle podlegają zmianie. Dnia każdego ubywa dawnych, a przybywa nowych składników ciału naszemu, tak, że po 8 latach nowe ciało i kości zastępują dawniejsze. Ręka, którą piszecie dzisiaj nie składa się już z tej samej materyi, z której składała się 8 lat temu.To samo dotyczy i naszego mózgu. Czara mózgowa nie zawiera ani jednego z tych składników, które zawierała przed ośmiu laty. Dobrze, lecz w takim razie jakże się dzieje, że pamiętamy to, czegośmy się przed ośmiu laty uczyli? Jeżeliby rzeczy te przechowywały tylko komórki mózgowe, jakżeby być mogło, aby przetrwały całkowitą takowych przemianę? Komórki podlegają przemianie, a pomimo to pamięć przechowuje skarby nagromadzone przez człowieka. Tu przecież istnieć musi coś poza materyą, coś żywotnego, coś, co przygląda się snującej się z siebie nici życiowej.

I nie tylko w ten sposób objawia się nam dusza, lecz daleko jawniej czynem, który przewyższa zakres działania materyi. Wykonując czyn, dusza nasza myśli. Otóż myśl i uświadomienie sobie takowej, są istotnie zjawiskami jednotliwemi. Wystarczy zdanie to sformułować, ażeby odczuć prawdę jego, Przynajmniej dotąd nie odkrył nikt miary myślowej. Bo czy można obrachować np. $^1/_{10}$ jakiegoś twierdzenia, $^{25}/_{100}$ jakiegoś spostrzeżenia, plus lub minus aktu woli? Więc tedy, jakżeż produkt jednotliwy mógłby pochodzić z czegoś złożonego?

„A dlaczego nie?“ powiada jednak materyalista, „czyż myśl nie jest wytworem mózgowym? Jeżeli bowiem mózg nie jest w porządku, podobnemi stają się i myśli, jeżeli nie wytwarza się w nim fosfor, nie wytwarzają się również i myśli!

Pomimo to pozostaje myśl geometrycznym dowodem na istnienie i duchowość duszy. Zegar oznacza, lecz nie tworzy sam czasu, jest właśnie zasadnicza różnica pomiędzy warunkami, które wpływają na zjawiska, a przyczynami, które je stwarzają. Uprzytomnijcie sobie, że myśl nie uchodzi, chociaż człowiek śpi. I uprzytomnijcie sobie, że człowiek poza gwiazdami odkrytemi przez astronomów jeszcze miliony podobnych wyobrazić sobie może! Co się zaś tyczy ustalenia stosunku pomiędzy mózgiem a inteligencyą, z tem do porządku dojść nie może biedny materyalista, ponieważ stosunek ten nie jest nic innego, jak bliską spójnią jaką wytwarza wpływ myśli na mózg. A uświadomienie sobie tego stanu rzeczy wystarcza, ażeby wytłomaczyć fizyologiczny objaw pomieszania zmysłów.

Niektórzy mogliby jednak tutaj wtrącić: “Widać, że nie wie ojciec o najnowszych odkryciach“. O jakich że to? O transfuzyi krwi, której dokonano na głowach zwierząt, na których można było obserwować występujące i znikające objawy żywotne fizyologiczne. Więc i cóż z tego wnioskować chcecie? Że może inteligencya

leży we krwi, w mózgu? Sami materjaliści orzekają: mózg jest mechanizmem intelektualnych objawów, jeżeli mu brakuje jednego tylko z potrzebnych warunków, wtedy znika objaw, skoro jednak istnieją potrzebne warunki, powtarzają się objawy. Nie należy więc brać przyczynę za warunek jakiegoś zjawiska.

Lecz to nie wszystko jeszcze. M. S.! dusza nie tylko myśli, lecz i sądzi. Widzimy człowieka i zaraz nasuwa się sąd o nim. Ażeby powziąć zdanie musi istnieć podobieństwo lub sprzeczność z tem do czego go porównujemy. I musi istnieć pierwiastek jakiś, łączący dwa pojęcia. Czy pierwiastkiem tym może być materya? Nie. Istota, która w nas porównuje i sądzi niema zaiste z materyą nic wspólnego.

Jednak nie koniec na tem. Dusza nie tylko myśli, sądzi, lecz jest zarazem twórczoczynną, i cóż ona może tworzyć? Ogólne abstrakcyjne pojęcia, t. z. rzeczy, które w naturze konkretnej nie egzystują. Więc jeżeliby materya była źródłem mego rozpoznania, ukazywałaby mi tylko obrazy z materyi powzięte, a nie oderwane pojęcia.

I co więcej? Dusza nie tylko myśli, nie tylko sądzi i stwarza, ona ma jeszcze wolę! M. S.! Któż z nas nie zdaje sobie sprawy z posiadania tego najpiękniejszego daru, jakiego Bóg udzielił swoim stworzeniom, mianowicie z posiadania wolnej woli, wolności? Któż nie słyszał tego okrzyku świadomych siebie istot, którego żadna moc na świecie stłumić nie zdoła: „Ja chcę!“ I chcą mi tu udowodnić, że niema wolnej woli, tylko ślepe fatum, ślepy przypadek, kiedy ja czuję, że wolnym jestem, że chcę, bo chcę, że mogę mówić lub milczeć, poruszać się lub nie, że w podległem ciele, posiadam

niepodległą duszę — z czego wynika że gdyby dusza była tylko materyą, niedorzecznem byłoby twierdzenie że jest wolna. Ale i na tem jeszcze nie koniec. Dusza nie tylko myśli, sądzi, tworzy i chce, ona jeszcze rozkazuje ciału. A jakżeby mogła rozkazywać ciału, gdyby tak jak ono, była tylko tworem materyi? —Tego człowieka oto, uderzono w twarz, krew w nim kipi i już podnosi rękę by oddać uderzenie. Lecz coś jak gdyby raptem powstrzymuje go, opuszcza wzniesioną dłoń. Co się to stało? Oto dusza wydała rozkaz ciału które ją usłuchało. Człowiek ten przebaczył swojemu krzywdzicielowi. M. S! przywiedzcie sobie na pamięć naszych męczenników. Uśmiechali się w rękach swoich oprawców, bowiem ciało tylko było w niewoli, lecz dusza wolna! I czyżby ktokolwiek z nas nie słyszał wołania własnej duszy ku ciału: Obudź się, powstań istoto krucha! Usłysz głos pana twego! I któżby nie przeżył jednej bodaj godziny w życiu, w którejby nie czuł że ciało jego podległem było duchowi? Żałowałbym zaiste tego, ktoby chwili takiej nie przeżył i zrozumiałbym że może być materyalistą. Lecz gdyby tylko przez jedną jedyną chwilę zapanował nad tą buntowniczą materyą, musiałby uznać siłę której waga odmierzyć nie może, siłę którą ludzie oznaczają mianem, nic wspólnego z materyalnością nie mającem, mianowicie — duszą.

Na razie zostawmy na uboczu ten i tak już przeżyty materyalizm. Zapytajmy Ewangelii św. i od niej czekajmy odpowiedzi na pytanie nasze: „Czem jest człowiek? Czem jestem ja?“ Wiara odpowiada: „Człowiek jest istotą rozumną złożoną z duszy i ciała“. Weź mówi dalej wiara nasza święta, święte księgi do ręki i przeczytaj sprawozdanie o stworzeniu człowieka: Rzekł

Bóg: Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze, i oddajmy mu rządy nad wszelkim stworzeniem, ziemskim, wodnem i powietrznem". W tych kilku słowach zawarta jest wielka godność i znaczenie nasze. Człowiek jest dzieckiem ziemi i z jej mułu poczęty, a przecież panuje na niej. Lecz jeżeli człowiek jest królem stworzenia, to jedynie dla tego, że nosi w sobie pierwiastek zgoła nie ziemski i o tem również poucza nas Wiara św. w słowach: „Tedy powróci proch ciała do ziemi z której powstało, a dusza do Boga, stworzyciela swojego". Patrz i uznaj jak wielkiem jest dzieło stworzenia! — Gdy Bóg ulepił ciało ludzkie z mułu ziemi, tchnął w nie życie i ożył człowiek. Duch podtrzymywany pokarmem nadprzyrodzonym, wznosi się ponad wszystko, co ziemskie! Widziano ludzi, którzy życie oddawali za cześć i cnotę i nie tylko własne swe życie, lecz życie ukochanej małżonki, dzieci, oddając materyę duszy w ofierze.

I to są te dwa elementa istniejące w człowieku, jego ciało i dusza. O! M. S.! czyż nie czujecie tego nieraz jak dusza wasza skrzydłami anielskiemi wyrywa się ku górze? I dlaczegóż chciał Bóg tego dziwnego a pięknego połączenia duszy z ciałem? Oto dał Bóg człowiekowi duszę aby za jej pomocą podźwignął z prochu i podniósł cały materyalny świat dookoła siebie.

M. S.! Czy z chwilą gdyśmy sformułowali to szczytne posłannictwo człowieka, nie pojęliśmy zarazem czem powinien być człowiek, pod względem religijnym, w zakresie rodziny i społeczeństwa? Człowiek będący podobizną bożą, naturą istoty swojej staje się współpracownikiem Boga i Pana swojego. Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga, obdarzony przezeń pierwiastkiem autorytetu i panowania. Rządzi on w imię

Boga nazywając własnością swoją to co mu udzielonem zostało, lub co sam zdobył dzięki wrodzonym zdolnościom. Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga, musi z nim być w zgodzie lub niezgodzie zależnie od tego czy złemi lub dobremi są czyny jego.

Sam przez się, jakże niewiele znaczyłby człowiek! Jest on bez zaprzeczenia tylko biednym wygnańcem który tęskni do ojczyzny, jest ofiarą niezliczonych złudzeń. Lecz chrześcijaństwo, wzniosła religia Jezusa Chrystusa podnosi go do godności bohatera i świętego. Usuńcie chrystyanizm a zastąpcie go materyalizmem, a zniknie wraz z nim znaczenie i godność człowieka, z niemi religia, a zatem obyczaje, czego naturalnym następstwem upadek porządku społecznego i rodzaju ludzkiego.

II. M. S.! Usuńcie chrystyanizm ustanawiając na jego miejsce materyalizm, a zniknie wraz z nim znaczenie i godność człowieka, czego nieuniknionem następstwem będą zaburzenia i konflikta społeczne. Według zasad materyalizmu, potrzeba zmuszałaby jedynie człowieka do czynu, dlatego to zciera materyalizm znamię boże z człowieka, zapomina on o obowiązkach swoich względem Boga i staje się zaprzeczeniem wszelkiej religii.

Lecz materyalizm jest zarazem zaprzeczeniem wszelkiej obyczajności. Bo na czemże opierałaby się cnota bez istnienia duszy i gdyby jedynemi kierownikami czynów naszych były nasze popędy i zachcenia, cóżby się natenczas stało z obowiązkiem? Obowiązek i cnotę pogrzebałyby złe skłonności naturalne, a każdy środek dla osiągnięcia przyjemności stałby się godziwym. Już to samo wykazuje jakim wrogiem dziesięciorga przykazań jest materyalizm, z czego wynika, że jest również prze-

ciwnikiem wszelkiej obyczajności. Ten próżny materyalizm powstał tylko na to aby z wszelkich pęt wyzwolić namiętności nasze. Lecz pomimo to okrywa się jeszcze płaszczykiem moralności i ośmiela się mówić o obowiązku i odpowiedzialności! Ośmiela się mówić: „Czyń dobrze, wystrzegaj się złego“. Lecz zapytuję was, czy głoszone przez nich sprzeczności godzą się ze zdrowym rozsądkiem. Mówią o wolności człowieka, twierdząc zarazem, że podlegamy ślepym siłom rządzącemi materyą. Pouczają nas o złem i dobrem, twierdząc zarazem że jesteśmy przypadkowem istnieniem materyi i, że dusza nasza istnieć przestaje wraz z rozpadnięciem się mechanizmu wewnętrznego. – Dlaczego w takim razie odłamowi granitu lub rozpętanemu orkanowi nie każecie o obowiązkach, odpowiedzialności, wolnej woli, dlaczego o umiarkowaniu nie każecie dzikim zwierzętom w pustyni, lub o szanowaniu życia ludzkiego, roślinom które nas trują? Czyż według was świat nie zamienia się w państwo ogólnego poddaństwa, i czy w jego obrębie może być mowa o obyczajności? Nie znajdziecie w nim cnoty lecz tylko płaskie zadawalanie zmysłów. Jeżeli istnieje w nim prawo to tylko prawo silniejszego, jeżeli istnieje obowiązek to tylko względem swych zachcianek, jeżeli istnieją przykazania, to chyba te, któremi rządzi się orkan pogrążający w falach morza rybaka i łódź jego, lub te któremi powoduje się tygrys, rozszarpując ofiarę swoją.

I gdyby państwo to dzierżyło rządy to byłyby haniebne i złe, gdyby istniał w niem książe udzielny, to chyba byłby jakimś Domicyanem, rozkoszujący się widokiem przerażenia przedśmiertnego i łez swych ofiar, okrutnik pławiący się w krwi swego narodu.

Powtarzam, materyalizm burzy porządek społeczny. Porządek ten opiera się bowiem na prawach i obowiązkach poszczególnych jednostek, na prawie własności i na osobistej wolności, a wszystkie te prawa usuwa materyalizm, który z natury swojej uznaje tylko prawo użycia. Dziwny zaiste pierwiastek sprzeczności tkwi w każdym z takich systemów niszczących. Tak więc materyalizm według mniemania własnego, dokonał rzekomo wielkiego dzieła, dyktując ludzkości nowe prawa; chciał uwolnić człowieka od zależności od Boga i podał go na łup własnych jego namiętności. Zmateryalizowane społeczeństwo stałoby się jedną otchłanią zdziczenia, gorszą stokroć od społeczeństwa dzikich zwierząt. Z rozluźnieniem węzłów rodzinnych i społecznych rozpowszechniłyby się zamachy na cudzą sławę, życie, mienie i rozwielmożniła zbrodnia. Moralność zeszłaby do rzędu czczego brzmienia, a chciwość grosza jako środka wszelkiego dobra i użycia, stałaby się wszechwładną potęgą. W tem zmateryalizowanem społeczeństwie ścierałyby się nieustannie dwa tylko sprzeczne czynniki, duch samowoli i służalstwa samowoli i buntu przeciw wszystkiemu co kładzie tamę namiętnościom i służalstwa względem tego co zadowolnić je może.

Cóż w obec tego uczynić nam wypada? Oto rzucić odważnie w twarz materyalistycznym doktrynom te słynne słowa: „Precz nędzne!“ Niszczy ona bowiem wszystko, cnotę, moc ducha, podkopując nawet materyalną niepodległość narodu. A tym, którzy do materyalizmu nakłaniaćby nas chcieli, odpowiedzmy słowami Napoleona: „Precz z wami, nie chcę mieć do czynienia z ludźmi, którzy nie widzą w sobie nic więcej prócz garści błota, którzy podają się za zwierzęta i wmówić

chcą we mnie że jestem tylko zwierzęciem.“. Doskonałą odprawę materyalizmowi dał również pewien Anglik ekscentryczny. Spędzał on zwykle wieczór z przyjaciółmi a tematem ich rozmów bywał często materyalizm. Zbijając wytrwale argumenta zwolenników tegoż, odsunął wreszcie pewnego wieczoru kotarę, za którą obecni ujrzeli, wspaniale przybranego, wstrętnego orangutana i rzekł im: „Jeżeli który z was chce uznać tego pana za swego przodka, niechaj poda mu dłoń, lecz co do mnie nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

IV.

Przejawy życia duszy.

M. S.! Posiada człowiek moralne i intelektualne właściwości, które nie tłómaczą się ani istnieniem materyi, ani żadnej innej stworzonej formy materyalnej i dlatego nie trzeba zadawać sobie wiele trudu ażeby uznać niedorzeczność systemu materyalistycznego, który nie gardzi najdziwaczniejszemi teoryami, ażeby nas włączyć do kategoryi zwierząt. Hipotezie tej, odrzuconej zresztą przez wiedzę, nie brak śmiesznych stron. Osądźcie bowiem sami: według antropologii materyalistów protoplastą człowieka jest małpa, która z biegiem czasu zatracała stopniowo włosem porosłą skórę, wydatność szczęki, a w zamian poczęło się kształcić czoło, to pierwsze znamię wolnej myśli człowieka, aż w końcu z małpy wykształciła się tak piękna istota jak jednostki rasy kaukaskiej! Oto jest teorya materyalistyczna o pochodzeniu rodzaju ludzkiego. Powiecie że przesadzam? Wcale nie, przedłożyłem wam wiernie zasady nauki materyalistów. Niektórzy niemieccy uczeni, którzy zwali się sami filozofami, pisali z cynizmem: „Narażając się nawet na dotknięcie dumy ludzkiej twierdzimy, że pierwotne pochodzenie człowieka jest zwierzęce“. — Tak jest, słowa

te wypowiedziano i napisano w Niemczech, powtórzono we Francyi, a i w naszych Włoszech znaleźli się tacy, którzy tę brzydką prozę niemiecką przełożyli na nasz śliczny język. I ta niemiecka doktryna cieszyła się i cieszy dotąd wielkiem uznaniem! Nie — M. S.! To nie tylko duma ludzka oburza się na to urąganie ludzkiej naturze, lecz dusza ludzka powstaje i protestuje przeciw nauce, która na to obmyśloną została, aby znamię boskie zetrzeć z czoła naszego. Więc nie przestajmy wołać: „Precz z tą nauką, sprzeciwiającą się rozsądkowi i wiedzy!“, i wołajmy tak w imię wolnej woli człowieka, w imię serca, które łaknie miłości, w imię Nieskończonego, którego poczucie z sobą na ten świat przynosimy, w imię ciała naszego, którego piękność dowodzi wyższości nad światem zwierzęcym, w imię tych oczu, w których odbijają się wszelkie poruszenia duszy. Odrzucajmy tę niejasną naukę, która narzuca nam braterstwo z małpami! Nienawidźmy jej, ponieważ zadaje kłam zdrowemu rozsądkowi naszemu. Nienawidźmy jej przedewszystkiem dlatego, że obala takie podstawy życia naszego, jak: naukę, prawdę, sztukę i religię. Dusza nasza stwarza sztukę, a dlaczego? Ponieważ niepohamowanie wznosi się do czegoś wyższego, do Boga i piękności Jego! — Jest to znamienny objaw nader subtelnej natury. — Znajdujemy się w tej chwili w sercu tego miasta, które śmiało zwać się może kolebką wiedzy, sztuki i cnoty. Na każdym niemal kroku trafiamy w Florencyi na ślady uczonych, wielkich mistrzów sztuki, i świętych, których wy S. M.! spadkobiercami jesteście. Dlatego to obcowanie z wami wielki ma dla mnie urok i gdybym nawet oddźwięku dla słów moich u was nie

wzbudził, to tuszę przynajmniej, że sympatya moja dla was, przychylność waszą mi wyjedna.

I. M. S.! Wrodzone popędy duszy skierowują ją ku prawdzie, pięknie dobru i ku Bogu, który jest źródłem prawdy i dobroci. Te dążenia duszy składają się niejako na nasz charakter duchowy i przezeń wznosi się człowiek do Boga i Pana. Dążenia te, chociaż są wewnętrznej, duchowej natury, objawiają się tak wyraźnie, że nie pozostawiają nam żadnej wątpliwości co do siebie. I te rzec można, skłonności wrodzone duszy wynikające z normalnego rozwoju naszych duchowych zdolności, powodują działalność duszy w nieustanną czynność, objawiającą się w formach zewnętrznych, zaprzeczyć się nie dających, jak wiedza, sztuka, uczynki cnoty i religii — 4 dowody rozumności naszej duszy.

Zacznijmy od wiedzy: dusza stwarza naukę, a przez naukę opanowuje materyę. Stajemy tutaj wobec faktu, któremu materyaliści zaprzeczyć nie mogą. Zbadajmy istotę tego faktu. Co to jest wiedza? Wiedza jest zbiorem ustalonych wiadomości, które według jednej i tej samej zasady sprowadzone zostały do wspólnej pierwotnej przyczyny. Wiedza stawia więc na pierwszym miejscu jednolitość i pewność prawdy sankcyonowanych przez siebie wiadomości, jest jasnem ujęciem tej samej przyczyny, tego samego prawa, objawiającego się w różnorodnych przejawach. Rozum nasz posiada zdolność przystępnego tłómaczenia przyczyn i praw, by sprowadzić je następnie do ich pierwotnej przyczyny. Dlatego nauka kładzie główny nacisk na pierwotną przyczynę zasad naszej wiadomości. W jaki więc sposób dotrzeć można do źródła tej pierwotnej jednolitej przyczynowości? Co stanowi jej istotę i charakter? W s z e c h-

ogarnianie. Dusza nasza wszechogarnia, i czynność ta jest niezbędną, ponieważ bez tego wiadomości nasze ograniczałyby się do poszczególnych objawów nie obejmując całości. Bo chociaż poszczególne objawy muszą być kolejno przedmiotami wiedzy badającej, to jednak nie mogą one być ostatecznym jej celem. Wiedza nie może poprzestać na tem, co jest indywidualne, przejściowe, lecz dąży do tego, co niezmienne i wszechobejmujące. Wiedza dąży do wykrycia stałych i trwałych czynników, i w każdej rzeczy dopatruje piętna stałego ogólnego. Kto mówi o wiedzy, mówi o czemś ustalonem i ogólnem. Nie można sobie wyobrazić pojęcia wiedzy bez tych dwóch jej właściwości. Każda gałąź wiedzy która ograniczałaby się na szczegółach, byłaby niedokładną i niepożyteczną; niedokładną, ponieważ szczegóły podlegają zmianie, niepożyteczną, ponieważ z poszczególnych objawów nic pewnego wywnioskować i ustalić nie można.

Poszczególne gałęzie wiedzy nie mogą stanowić skończonego przedmiotu myślenia. I w istocie, jakie znaczenie miałaby geometrya, gdyby była tylko tą figurą geometryczną narysowaną na tablicy? Ażeby wiedza prawdziwą była i płodną, musi być syntetyczną.

Jakim sposobem dojść do tego wyniku uogólności? Każda realna rzeczywista istota objawia podwójne, charakterystyczne właściwości czyli cechy: istotne i nieistotne. Właściwości nieistotne stanowią indywidualność objektu, nieistotne zaś są wspólnie dane wszystkiemu, i są tym znamieniem sprowadzającym wszystko do jednego mianownika.

Jak urobił sobie człowiek pojęcie koła? Czy pojęcie to urobić mogła jakakolwiek forma konkretna, czy

nie leży ono poza wszelką formą istotną? Czy można zamiast wyobrażenia poszczególnych ludzkich istot dać jedno wyobrażenie ludzkości? Czyż nie niedorzecznością byłoby dowodzenie, że takie pojęcia są materyalne? Zatem, pojęcia takie są duchowemi, a ponieważ wytwarza je dusza, zatem dusza nasza musi być istotą duchową.

Nie pojmuję, jak mogą materyaliści pomijać argument ten! Ściśle bowiem i logicznie rozumując według ich systematu nie mogłaby istnieć wiedza. Materyalista zestawić może tylko rezultaty poszczególnych badań, lecz skoro tylko wejść chce w sferę uogólniania, wpada w sprzeczność z samym sobą, z czego wynika, że badania jego nie mogą się zaliczać do poważnych, ponieważ nie mają logicznego rozwiązania. Materyalista chcąc dojść do jakiegoś wyniku, odrzucić musi fundamentalne zasady swej doktryny.

Dla tego błądzą ci, którzy twierdzą, że niczego za pewnik uznać nie można, co nie da się namacalnie udowodnić, a po drugie, gdy mówiąc o wiedzy ogólnej, pomijają logikę. A czy wiecie dla czego tak jest? Bo ponad prawami ludzkiemi istnieją nadprzyrodzone prawa natury, których obejść nie można i nawet wiedza przyrodnicza, chociaż przedmiotem jej jest materya, podlega prawom, sięgającym poza materyę. I dlatego to przez wiedzę ujarzmia człowiek materyę, ponieważ rozumnie nagina do swych usług ślepe własności materyi; panując przez to nad światem materyalnym, Ciało jego jest tylko atomem wszechświata, dusza zaś, wszechświata panią, skrystalizowaną jego abstrakcyą.

Przejdźmy teraz do sztuki: dusza promieniuje ze siebie sztukę, a sztuka przeistacza i uszlachetnia materyę. Nie wychylajmy się poza granice pewników nie-

zbitych, inaczej bowiem materyaliści zniweczyliby nasze dowodzenie. Sztuka jest pozytywnym istotnym faktem ujawnia się bowiem w arcydziełach, będących chlubą narodów. Przyjrzyjmy się bliżej tym arcydziełom, aby dociec przyczyny ich powstania i zdać sobie sprawę z wpływu działania, jaki wywierają; przyczyny w duszy mistrza, który je stworzył i działaniu na dusze tych, którzy się pośrednio przez dzieło sztuki z duszą mistrza zetknęli. Gdy mówimy o artyście, o jego arcydziełach, powiedzieć możemy, że uskutecznia on podwójne przeobrażenie: przeobrażenie materyi przez abstrakcyę i przeobrażenie duszy w wyidealizowaną materyę. Są to dwa punkta widzenia, dostarczające niezbitego dowodu, na duchowy charakter istoty duszy. Pierwszy z nich tłomaczy nam istotę sztuki, a drugi wzniosłe jej zadanie.

Zastanówmy się nad pierwszym z tych dwóch punktów myślenia: według ogólnego pojęcia polega sztuka na wyrażeniu piękna w całej jego istocie. Co to jest jednak piękno? „Piękno“, orzeka Platon, ze swoją zwykłą prostotą i głębokością myśli, „piękno jest odblaskiem prawdy“. To znaczy, jest to prawda, ukazana nam w tak cudnej szacie i w takim świetle, iż nie objawia nam się tylko, jako idea ducha, lecz porywa serca nasze jako żywy wyraz tej idei, budzi wzniosłe, wielkie uczucia, tkwiące w człowieku, zmusza serca do podziwu i miłości. Stąd wzruszenie, jakiego doznajemy w obliczu prawdziwego piękna.

A co jest pierwiastkiem tego piękna? Jest to pierwiastek ładu, równowagi, harmonii, ujawniający się w dziele sztuki, lecz który od dzieła samego odróżnić należy. Zatem, w jaki sposób pojmujemy piękno? Ujawniamy sobie pojęcie piękna przez abstrackcyę. Musimy

wznieść się ponad konkretne przedmioty, powierzyć umysł nasz naszej wyobraźni, a wtedy dopiero wyobraźnia nasza zdoła ukazać nam ten niedościgniony pierwowzór, który ujawnia się duchowi naszemu jako Ideał! Powiecie, że jest to tylko zwodnicza chimera, a nie konkretna prawda. Lecz posłuchajcie własnej duszy, a powie wam, że dąży nieprzeparcie do objęcia i wyrażenia ideału. Gdy patrzymy na piękny przedmiot jakiś, czy nie jesteśmy w stanie, wyobrazić sobie coś jeszcze piękniejszego? Spytajcie prawdziwego mistrza, czy zdołał natchnienie swoje wyrazić formą zewnętrzną, a powie wam, że jest ona tylko słabym jego odblaskiem! I czy nie jest cechą genialności ta właśnie twórczość, która sili się na oddanie formy godnej pierwowzoru, ukazanego mu przez własną duszę? Buonarotti mówił: „Dusza artysty nie ustaje ani na chwilę w swym wzniosłym locie, lecz wznosi się coraz wyżej, ażeby dosięgnąć pierwiastku wszechpiękna“.

I cóż to znaczy, że powstały za dni naszych szkoły, które tym tradycyom ducha ludzkiego wytaczają wojnę? Uczniowie ich będą rzemieślnikami, lecz nigdy artystami! Gdyby artysta poprzestał na naśladownictwie, dzieła jego byłyby bezcelowe i bezpłodne. Artysta musi w dzieło swoje tchnąć pierwiastek swój własny, powinien dać niem wyraz poczętej w sobie samym — idei. Bo cóżby za znaczenie miała jego sztuka, gdyby się ograniczała na oddaniu jakiejś myśli li tylko estetycznej? Sztuka nie istnieje tylko dla oczu, bo w takim razie fotograf byłby największym artystą. W dziele artysty natura objawia nam się jak gdyby przeistoczona w ogniu jego natchnienia, w pryzmacie jego wyobraźni.

Sztuka polega na wyrażeniu zasad powszechnego piękna. Artysta, godnie noszący to miano, nie szuka natchnienia w piękności materyalnej, lecz wznosi się ponad niedoskonałą piękność zmysłową, szuka niezmysłowego, nieskończonego piękna i w ten sposób przez abstrakcyę osięga szczytną i wzniosłą formę piękna. Im wyżej sięga, tem wyraźniej dostrzega idealne formy i doskonałe kształty, które stają przed oczyma jego zachwyconej wyobraźni; wiedziony nadziemskiem natchnieniem kieruje lot swój ku górze, i szybując po tych jasnych sferach, nie ogranicza się na biernem napawaniu wzroku pojawiającemi mu się pięknościami, lecz stara się je uchwycić, utrwalić w duszy i umyśle; materya ukazuje mu się w przeistoczeniu, posługuje się nią drżącą ręką, chwilami stawia mu ona opór, zda się, przytłoczy sobą pierwiastek idealny, lecz niezrażony walczy z nią artysta wytrwale, zdobywa się w końcu na największy, nadludzki prawie wysiłek — i oto jak powstaje taka „Ostatnia Wieczerza“ Leonarda da Vinci! Jakie życie, jaka wspaniałość! A człowiek stał się podobnym Bogu, stał się twórcą, jak Bóg!

Lecz przyjrzyjmy się w chwili takiej samemu artyście! Oto stoi on przed swojem arcydziełem, i patrzy, lecz S. M.! cóż widzimy? Oto płomień, który podczas pracy gorzał w jego oczach — zgasł, na twarzy jego maluje się zniechęcenie, po policzkach spływają łzy, budzi się w nim odraza do swego dzieła, i z odrazą odrzuca pędzel i paletę! Dla czego? Cóż się to stało? Jakiż jest powód jego udręki, łez i zniechęcenia? O! bo to, na co patrzał tam w wizyi niebiańskiej oczyma duszy, stokroć było piękniejsze i doskonalsze od tego, co oddać zdołał!

„Lecz“, dorzucają materyaliści, czyż nie twierdziliście sami, że artysta dokonuje przeistoczenia materyi pierwiastkiem idealnym, i że naodwrót działa na duszę wyidealizowaną materyą? Jednak materya wyidealizowana lub nie, pozostaje bądź co bądź materyą! Więc dlaczegóżby dusze, chociaż wyidealizowane przez materyę nie miały pozostać materyą?“ Zagadnieniem tem stajemy wobec z a d a n i a sztuki. Posługując się materyą, udziela nam artysta swoich myśli i wrażeń, budzi w nas umiłowanie i zapał do piękna, podnosi duszę naszą do wyżyn artyzmu, aby dzieliły jego radość i szczęście, porusza nas do głębi, słodko upaja, a serce nasze bije szybciej, przejęte podziwem! Młodzi artyści! czyż nie doznaliście tego uczucia? A jeżeli nie, to idźcie do waszej galeryi obrazów i przyjrzyjcie się z uwagą jednemu z arcydzieł pędzla, lub idźcie do bibliotek, weźcie waszego Dantego do ręki, otwórzcie go i przeczytajcie ustęp z pieśni Ugolina lub Franciszki z Rimini, czytajcie ze skupioną uwagą i popuście cugli waszemu młodocianemu entuzyazmowi, a jeżeli potraficie poddać się mu, przeniesie was w krainę ideału i wstrząśnie wami dreszcz podziwu i miłości do czytanego dzieła, geniusz mistrza owładnie wami i ujrzycie co on widział w natchnieniu. Każcie materyaliście ocenić dzieło sztuki ze stanowiska wiedzy i niechaj udzieli wam wrażeń swoich. Nie dojrzy on w niem ani piękności, ani natchnienia, ani ideału, bo pojęcia te nie są konkretne, a więc nie istnieją dla niego! A piękność zawarta w dziele sztuki jest bezcielesna, nienamacalna i nieujęta.

W każdem dziele sztuki uwidoczniają się dwa elementa, myśl i wyrażenie tejże, uprzystępnione zmysłom,

symbol myśli i jej znamię; myśl bowiem i symbol nie są jednem i temsamem. Wysiłek artystyczny nie powoduje materyalna część obrazu. Czy myślicie, że Rossiniego „Stabat Mater“ zawarta jest w zeszytach nutowych, wystawionych w księgarniach na sprzedaż? Są w nich tylko widome znaczki, linie i nuty. A może dzieło to polega na wibracyi instrumentów muzycznych? Lecz tony oddać można również i przez telefon. Harmonia przechodzi z uszu do mózgu, lecz uszy i mózg trupa nie odczułyby jej i tylko dusza może ująć ją i oddać.

A teraz, jakaż będzie konkluzya tego cośmy powiedzieli? Tajemnica artysty polega w mocy przeistaczania przedmiotów materyalnych w idealne, czyli duchowe. Nie posiadałby jednak mocy tej, gdyby nie był obdarzony duchową duszą; zadanie sztuki polega więc na tem, aby za pomocą tejże, za pomocą pierwiastków nadprzyrodzonych w niej zawartych pobudzać takowe do życia w duszy widza. Samo zmysłowe wyobrażenie czegoś byłoby tylko czczym symbolem bez myśli i znaczenia, takiem byłoby, gdyby nie było dziełem duchowej duszy. Daremnie szukanoby w słowniku materyalistów pojęcia piękna i prawdy. Są to ideały, którychby ani zrozumieć, ani oddać nie umieli, i dlatego pozostawiają pojęcia te na uboczu. Co się tyczy ich sztuki, to tą tylko mianem barbarzyństwa określićby można. Iskrę bożą tlejącą w duszy artysty duszą i gaszą zimne materyalistyczne formuły tego systematu, który nie jest właściwym obrębem dla sztuki, dziecka wolności i porywów duszy. Żądać od nich sztuki prawdziwej byłoby to samo, co żądać od ciemności światła, a od śmierci życia, bowiem w materyalistycznem pojęciu piękna znajdziecie grób a nie drogę do sztuki.

II. M. S.! Dusza nie stwarza tylko wiedzę, opanowującą materyę, i nie tylko sztukę, która ją utrzymuje na wyżynach, lecz dusza wytwarza również cnotę, poskramiającą zwierzęce skłonności materyi. Nie można zaprzeczyć, ze człowiek jest swobodnie działającą istotą i że to dowolne działanie duchowej jest natury. Najwidoczniej uwydatnia się ten duchowy pierwiastek, kiedy dobra materyalne poświęcamy dobrom moralnym. Pojęcia dobra i szlachetności o ile odróżniają się od pożytku i przyjemności, pojęcie dobra ogólnego w przeciwstawieniu do dobra osobistego — idee te należą do rzędu pojęć, które z ciałem i krwią naszą nic nie mają wspólnego. Wiem, że istnieje filozofia, która pierwiastku tej idei dopatrywała się w duszy dziecka. Zauważyła, że dziecko dobrem nazywa to, co nań miłe sprawia wrażenie, a wynikiem tego teorya, że poruszenia moralne są tylko wysubtelnionemi wrażeniami fizycznemi, a więc również objawami materyalnemi! Nie chcę z systematem tym iść w zawody pod względem dowodzenia, dodam tylko raz jeszcze, że pojęcie abstrakcyjne duchowej jest natury, nietylko kiedy jest pojęciem oderwanem, lecz i kiedy objawia się w czynie. Wszystkie różnorodne formy wyrzeczenia się siebie i ofiary siebie samego, począwszy od młodej matki poświęcającej życie swoje dziecku, żołnierza, przelewającego krew za ojczyznę, aż do cichej siostry miłosierdzia, która porzuca świat z jego radością życia i wyrzeka się szczęścia rodzinnego, aby oddać się bez podziału biednym i opuszczonym — wszystko są to sprawy zwykłe, które widzimy codziennie! I chociaż nie wszyscy w praktyce wykonują przykazanie zaparcia się siebie, to jednak u wszystkich wzbudza ono głęboki szacunek. „Chociaż

istnieje wielu ludzi złych“, powiedział Rousseau, „to jednak mało jest takich, na którychby cnota nie wywierała wrażenią“. I w istocie blask wiedzy i sztuki przewyższa aureola ofiary i spełnionego obowiązku. Czyjeż serce nie poruszyła do głębi wiadomość, którą tak niedawno podały nam dzienniki, o tej garstce braci naszej, którzy w obronie sztandaru narodowego padli w obcej ziemi? I wiele czasu upłynie, zanim złagodzi się żal serc naszych. Gdybyśmy samą tylko byli materyą, czy bylibyśmy zdolni do tego rodzaju uczuć? Czy zdołałby człowiek wznieść się do szczytów heroizmu i czyżby go tak u innych podziwiał? Materyalizm zadaje cios śmiertelny wszystkiemu co piękne i szlachetne na ziemi. Wiara i ojczyzna odwracają się z ohydą od tej nauki.

Z padołu nędzy, w uczuciu bezsilności, wobec sprzecznych mylnych, i fałszywych doktryn i prądów, ratuje się człowiek gorącą modlitwą do Boga!

Przed nie tak dawnemi czasy zamieściły czasopisma następujące zdarzenie: pewien materyalista złapał pięknego orła, z podziwem przyglądał mu się, a w końcu zawołał: Jakiż to wspaniały ptak, co za potężne skrzydła, co za silne szpony! Jest on zaiste tryumfem materyi! I czy istnieje coś od niej wspanialszego i większego? W tej samej chwili usłyszał głos modlącego się własnego swego dziecka, podszedł ku niemu i ujrzał dziecko swoje klęczące ze złożonemi rączkami i oczyma wzniesionemi do nieba; i oto w jednej chwili dotknięty łaską bożą, pojął człowiek ten znaczenie modlitwy i zrozumiał, że orzeł silniejszym test wprawdzie fizycznie od jego dziecka, lecz że dziecko jego jest zarazem dzieckiem samego Boga wszechmocnego i że ma prawo obcowania z Nim.

M. S.! Na zakończenie poświęćcie mi jeszcze jedną chwilę uwagi. Włochy nasze na polu sztuki i nauki ilością i wielkością świętych swoich, zajęły w świecie pierwszorzędne miejsce. Jednak nasuwa mi się pytanie: czy sławy tej Włochy nie utracą, jeżeli staną się łupem materyalizmu? Mam nadzieję, iż wkrótce wzniesionym będzie pomnik tak bardzo zasłużony, tym walecznym Rzymianom, którzy na polu walki padli w ofierze za ojczyznę, tym mężom walecznym, walczącym pod chorągwią włoską, która z zamierających rąk przechodziła do żywych, dopóty, dopóki starczyło rąk! Miłość nasza wzniesie im pomnik, wdzięczna pamięć wieniec im uwije a na wieniec popłyną łzy i wzniosą się gorące do nieba modlitwy. Włochy z dumą ukazywąć będą obcym przybyszom pomnik ten, mówiąc: „Patrzcie, jak synowie moi umierać umieją“. A dzieciom swym mówić będą: „Podziwiajcie bohaterstwo braci waszych“. A wiara łącząc się z ojczyzną, duma: „O Włochy, co stanie się z dzielnością i bohaterstwem synów twoich, gdy raz przesiąkną zasadami materyalistycznemi?“ To też ufam gorąco, że ojczyzna i religia podadzą sobie zgodnie dłonie, by wyprzeć tą wszeteczną naukę.

V.

Nieśmiertelność duszy.

M. S.! Człowiek jest istotą złożoną z duszy i ciała. Istnienie, jakoteż duchową naturę duszy, udowadniają: świadomość naszej tożsamości i objawy przewyższające możność materyi, a następnie wiedza, sztuka, cnota i religia, których bez istnienia duchowej duszy, trudno sobie wyobrazić. Czy zatem dusza ta przetrwa ciało, czy wraz z śmiercią ciała i ona żyć przestanie?

Istnieje na świecie wiele błędnych przekonań, ale z pośród wielu, które na to zostały wymyślone, aby uwięzić ducha ludzkiego i serce jego uwikłać, najniebezpieczniejszem jest to, które zaprzecza celowi naszego istnienia. I jakież ono jest? Jest to to, które zwraca się do chciwości i wszystkich innych niskich namiętności ludzkich, i które szepce nam kusząco: „Słuchaj, o, człowiecze! Kimkolwiek jesteś, żyjesz na to na tym świecie, ażeby go używać! Czyż nie szkoda ci marnować czasu na to, ażeby w trudzie i pocie czoła do grobu tylko dążyć?“ W tych słowach S. M.! zawarte jest największe niebezpieczeństwo, najsilniejsza pokusa życiowa. Jest to pokusa nie odstępująca człowieka przez

cały ciąg żywota i chyba niema takiego, któryby szeptu jej nie usłyszał. A gdy człowiek odwróci się raz z niechęcią od przepisów Ewangelii św., traci niebo z oczu i obiera ziemię za środowisko swoich myśli i żądań, głuchnie na wołanie wiary i rozsądku i łudzi się, że na tym padole łez dozna wymarzonego szczęścia. „Tu jest moja ojczyzna“, woła on, „i cała moja nadzieja. Lecz gdy spostrzega, że filozofia zarazem napuszysta i dumna niczego mu nie tłomaczy i nie przynosi ulgi w znoszeniu ciężaru życiowego, lecz przeciwnie ciężar ten powiększa, wtedy zazdrościć poczyna losowi zwierząt, dla których wszystko kończy się ze śmiercią i skwapliwie chwyta się nauki głoszącej, że grób jest ostatnim szczeblem życia i że poza nim niema istnienia. Na szczęście ludzkości jest to wynik, do którego dochodzą ci tylko, którzy zapomnieli o Bogu, bo w sercu ludzkiem tkwi głęboko zakorzeniona prawda, że dusza nie umiera, a skoro raz wyzwoli się ze swego więzienia ziemskiego, powróci do Boga, który stworzył ją nieśmiertelną. Jest to bezcenna prawda, która będzie tematem dzisiejszego naszego rozpamiętywania, a której ważność zapewne sami uznacie, ponieważ bez niej runąłby cały nasz gmach duchowy. Upraszam was zatem o szczególną uwagę dla słów moich, któremi usiłuję rozjaśnić wam nieco tę prawdę.

I. Gdy Bóg urzeczywistniając jedną w sobie poczętych myśli, wyrzekł: „Niechaj powstanie wszechświat, niechaj wyłoni się ziemia, pokryje się kwieciem i zaludni żyjącemi istotami, niechaj rozpostrze się firmament i ustroi się lśnieniem gwieździstem, niechaj utworzy się morze i napełnią wody rybami!“ I w połowie dokonane, powstrzymuje mistrz dzieło swoje. Trójca przenajświę-

tsza zda się naradzać i skupiać swe siły twórcze dla dokonania największego swego dzieła, bo oto stwarza człowieka, przed którym otwiera wielką księgę przyrody, oddając rządom jego wszystko żyjące stworzenie na świecie. Lecz chciał Bóg, ażeby z ciałem ludzkiem zjednoczoną była dusza, którąby godnie kierowała uczynkami jego, wetchnął więc zatem w niego ducha życia, i oto — powstała dusza ludzka. Przyjrzyjmy się różnicy pomiędzy tem podwójnem istnieniem, składającem się na człowieka. Ciało żyje, lecz jest tylko połączeniem składników materyi, które rozpada się, skoro tylko ustają warunki jego istnienia. A dusza? Któż zdoła zbadać siły żywotne duszy? Potrąćcie o przeszłość, a pamięć jej wywiedzie wam tę przeszłość aż do początków wszechrzeczy i do życia powoła tych, którzy już prochem są tylko, bowiem na żądanie pamięci nawet śmierć łup swój oddać musi. Lub przyjrzyjmy się teraźniejszości. Któż zdoła wyobraźni, będącej właściwością duszy naszej, zakreślić granice? Przenosi nas ona z szybkością błyskawicy z bieguna do bieguna, przywodzi przed wzrok nasz duchowy przyjaciela, z którym rozstaliście się dawno. A myśl ludzka, która wznosi się ku niebu, oblicza ruchy planet, rozróżnia składniki minerałów lub bada wnętrze ziemi, czyż nie jest jeszcze jedną więcej władzą duszy?

Czy chcielibyście odkryć przyszłość? Nawet w przyszłość wkraczają władze duszy i przewidują rzeczy nie istniejące jeszcze. Przepowiada nietylko zaćmienia słońca i księżyca, lecz i upadki narodów i nie dosyć na tem, bo, jak gdyby obręb wszechświata za ciasnym był dla niej, dociera modlitwą do samego tronu bożego i w świętem uniesieniu przebywa już za życia w królestwie

światłości Stworzyciela swego, wielbiąc Go i chwaląc, przejęta wiarą i miłością. Czy chcecie towarzyszyć duszy w jednym z tych wzlotów? Patrzcie, oto nikną dla niej stworzenia, oddala się od ziemi, ogromnieją horyzonty, rozsnuwają się mgły, rozpraszają ciemności, i dusza wkracza do przybytku pierwobytu, mija chóry aniołów, archaniołów i staje przed ołtarzem Tego, który ofiarował się za nas, wołając ku Bogu, Panu swemu: „Boże mój, otom stworzenie Twoje, Ojcze mój, otom dziecko Twoje“. A z ciałem co dzieje się w takich chwilach? Pozostaje tutaj w dole, martwe, nieruchome ubezwładnione, podczas gdy jego mieszkanka bujała szlakami niebieskiemi.

I ta dusza, która potrafi wskrzesić przeszłość, opanować teraźniejszość i w przyszłość wtargnąć umie, nie miałaby być niczem stalszem od mgły, która zjawia się na chwilę, by rozpłynąć się w nicość? A dusza posiada moc jedną większą jeszcze, bo nie tylko zdolność p o j m o w a n i a i siła w o l i dowodzą jej nieśmiertelności. Bo nic nie jest w stanie przełamać duszy wbrew jej woli, można zachwiać ją groźbą, kusić, lecz nigdy zmódz, jeśli mężnie trwa w oporze. Dajmy na to, że zamierzacie wolę moją przemocą zniweczyć, możecie zwalić mnie na ziemię, zdusić i przytłoczyć, lecz dusza pozostanie wolną, chociaż przyłożycie mi lufę do piersi, bo nic na świecie nie zdoła stłumić jej protestu: „ja nie chcę“. Nie zachwieją hartu jej najstraszniejsze groźby prześladowców, wyższą będzie ponad wszystkie wymysły barbarzyńskiego okrucieństwa i chociaż ciało więzami skrępowane, tryumfuje dusza, a nie kat oprawca.

Chociaż dusza z ciałem ściśle jest połączona, to jednak ona panuje nad ciałem, poddając je czasem naj-

cięższej próbie, śmierć nawet ponosić mu każe, za wiarę, nadzieję i miłość swojego Boga. Więc czyż możliwe, aby ta dusza, władająca tak mężnie ciałem, trzymając je w poddaństwie, tak przeciwnem naturze jego, aby dusza ta nie miała innego przeznaczenia prócz śmierci wraz z nędzną materyą, z którą jest tutaj złączoną?

I jeszcze jedno! Nosimy w sobie serce, łaknące szczęścia! Szczęście! Słowo to wzrusza serce nasze i przenika całą naszą istotę. Uczucie szczęścia silniejszem jest od nas samych. Cokolwiek byśmy czynili, cokolwiek mówili, nie zdołamy wyjaśnić rozumnie tego uczucia, ni zgłębić czasu jego. To pragnienie szczęścia jest popędem naturalnym, który nie na to chyba narzuciła nam natura, aby nas zawieść.

Gdzież mamy szukać szczęścia M. S.? Spytajcie o to całego stworzenia, a jedną, niezmienną otrzymacie odpowiedź: szczęścia tu na ziemi nie znajdziecie. Wszystkie dobra świata tego nie są w możności zaspokojenia serc naszych łaknących szczęścia. Serce ludzkie jest tylko atomem w wszechświecie, a przecież wszechświat nie zdoła wypełnić je. Cezar, który dzierżył połowę świata, mówił z gorzkiem rozczarowaniem: „I to jest wszystko, co świat dać może?“ Nie, twory tego świata nie zdołają zadowolić serca naszego, które łaknie czegoś zgoła innego. I jeżeli natura dała nam serce tęskniące do szczęścia to musiała dać nam i środki do osiągnięcia tego szczęścia. Jakże – natura dla owcy przygotowała paszę, dla lwa łup, a zaniedbałaby przygotowania strawy dla serc ludzkich, i miałaby upośledzić tylko serce ludzkie, podczas gdy najniższe nawet twory zaopatrza w pożywienie i zaspokaja ich potrzeby? Nie. M. S.! gdyby tak było, natura byłaby nam macochą,

nie matką. Natura nie może okłamywać sama siebie! Aby ująć nam ciężaru życiowego, ukazuje nam już tutaj szczęście z daleka, lecz samo szczęście obiecuje dopiero po tamtej stronie grobu, dlatego to mówi św. Paweł o „lepszej krainie“, t. j. o krainie niebieskiej, która ma być celem naszego dążenia. I w istocie pragnienie to tak silnie tkwi w nas, że wystarcza nam oczy wznieść ku niebu, aby pokrzepić się nadzieją przyszłego życia.

Zachodzą jednak w życiu okoliczności, w których to wewnętrzne przeświadczenie chwieje się w nas i przechodzi próbę ogniową, np. w chwilach, gdy spotyka nas nieszczęście, gdy miotają nami gwałtowne wyrzuty sumienia, lub gdy zmaga nas ból utraty drogiej nam osoby. Przyznać jednak musicie S. M., że nieszczęście ma swoje zbawienne skutki, ruguje obojętność z serc naszych i zmusza nas do myślenia o wieczności. Pewna sławna kobieta rzekła niegdyś: „Ten, kto cierpi, żyje nadzieją“, t. j., że pokłada nadzieję nietylko w to życie lecz w przyszłe, lepsze. Nadzieja wplata się do smutku i trwogi serc naszych, jako zadatek lepszej przyszłości, jako przedsmak wiekuistej radości. Takie myśli krzepią nas, uśmierzają nasz ból w chwilach próby. W istocie bowiem myśl życia wiecznego drogą jest przedewszystkiem tym, którzy cierpią. Dlatego powiada Wiktor Hugo: „Dajcie narodowi cierpiącemu, którego ciężar życiowy zwiększa się z dniem każdym, dajcie narodowi temu nadzieję lepszego życia w przyszłości, a lud ten zdobędzie się na cierpliwość, która jest córką nadziei!

Uczucie to budzi się w nas i w chwili, gdy jęczymy pod brzemieniem wyrzutów sumienia. Powiedział pewien słynny powieściopisarz, że: „Gdybym wiedział,

żem nawet mimowoli i wiedzy wyrządził przykrość memu nieżyjącemu już ojcu, byłbym niepocieszony, ponieważ ojciec mój nie istnieje więc nie mógłbym mu tej krzywdy wynagrodzić. Zło, które wyrządziło się osobie nieżyjącej, nazwaćby można czczą złudą, przyznaję to, a jednak czuję, iż będąc w tem położeniu, byłbym niepocieszony!“— Skąd wzięłoby się tego rodzaju uczucie, gdyby wszystko kończyło się wraz z śmiercią?

Czyż dalej nie odczuwamy prawdy nieśmiertelności duszy, stojąc u łoża śmierci drogiej nam osoby, ojca, matki, brata lub dziecka? „Tak smutno myśleć“, rzekła raz pięknie i szczerze pewna osoba, „że ci, których kochamy, umrzeć muszą!“ I czy ta trudność jaką sprawia nam pogodzenie się z myślą, że tych których kochamy nie ujrzymy więcej, nie jest jedną więcej wskazówką, że ujrzymy ich znowu? Oczywiście, że tak, bowiem natura nie może oszukiwać sama siebie, a serce samo sobie niejako, udowadnia na każdym kroku swoją nieśmiertelność. Stojąc u łoża śmierci ojca lub innej drogiej nam osoby, patrząc jak uchodzi to drogie życie w oczach waszych, gdy straszna bladość okrywać poczyna oblicze, które zawsze tak słodko uśmiechało się do was, gdyśmy patrzyli jak gasło światło w drogich nam oczach, gdyście widzieli jak wargi które do was przemawiały tak czule, rozwarły się, by ostatnie wydać westchnienie, gdyście usłyszeli owe okrutne słowa: „Umarł, niema go już“, gdyście drogie ciało kładli do trumny i wynosili z domu, pytam się was, czyście mogli powiedzieć sobie w takiej chwili: „Ja go już nigdy nie zobaczę!“ Nie, nie wyrzekliście tego i nigdy wyrzec nie potraficie, przeciwnie, wołaliście: „Do zobaczenia matko, ojcze drogi!“ I gdyby tak nie miało być, mielibyście pełne prawo zawołać ku

niebu: „Dlaczegoś oszukało nas, dlaczegoś wszczepiło w nas miłość, która w swych obietnicach zawodzi? Czyśmy na to ojca naszego tak bardzo kochali, by go na zawsze utracić? Czy serca nasze na to tylko tak ścisłym złączyły się węzłem, by się w garść prochu zamienić? Jakże to? Po tym tak krótkim bycie, pełnym trosk, a które życiem zwiemy, już nic więcej niema? Czyż miłość i przyjaźń są tylko czczemi słowami, a cnota i sprawiedliwość tylko urojeniem?“ Nie podobna tego twierdzić, i nikt tak myśleć nie może nie zadając tem gwałtu sercu swojemu.

I jak tłómaczyć uczucia jakich doznajemy, stojąc nad grobem otwartym? Czyżby prochy, które składamy w miejsce wiecznego spoczynku, mogły w nas wzbudzać to uczucie najwyższej czci, miłości i żalu? Nie, ale głos wewnętrzny mówi nam, że nie wszystko umarło wraz z tem ciałem. I ten sam głos wewnętrzny po wszystkie czasy nakazuje ludzkości otaczać czcią i miłością miejsca umarłych. Wszystkie narody wierzyły zawsze w to, że sen grobowy nie na wieki trwać będzie, i że śmierć jest tylko zmianą na lepsze. Jest w nas coś, co przeżywa śmierć, a ponieważ pierwiastek ten nie może być cielesnym, bowiem powłoka cielesna podlega rozkładowi w grobie, zatem nieśmiertelnym tylko duch być może. Rousseau powiedział: „Wszystkie wybiegi metafizyki nie zdołają zachwiać we mnie ani na chwilę wiary w nieśmiertelność duszy, czuję bowiem tę prawdę, pragnę jej, i bronić jej będę do ostatniego tchu“.

I po wszystkie czasy, narody wszystkie wyznawały zgodnie wiarę tę. Wiarą w zmartwychwstanie krzepi się Abraham przy ofierze syna swego Izaaka. Opuszczonego od wszystkich Joba podtrzymuje silna wiara, iż na nowo

z martwych powstanie. Bracia Mahabeusze poddają ciała swoje torturze i śmierci ze słowami: „Zwróci je nam Bóg“. Grecy, Persowie i Egipcyanie wierzyli w swoje pola elizejskie i Tartarus; a Rzymianie? Przeczytajcie tylko „Eneidę“ Virgiliusza a dowiecie się jak o nieśmiertelności myśleli! Zda się, jakoby Bóg, najgłębiej w duszę ludzką wrył słowo: „nieśmiertelność“, aby stało się osią i światłem życia naszego, rozpraszające ciemności jego. Nawet dziki Hottentot afrykański prosi, by włożono mu do trumny łuk i sajdak, by miał czem dalej walczyć w krainie duchów. Wiara dzikich plemion, iż w poszumie wichru odzywają się głosy drogich im zmarłych, jest mglistem przeczuciem nieśmiertelności, dowodzącem o dalszem pośmiertnem istnieniu duszy. Kładąc zapasy żywności w grób poległego wojownika, czynią to w przekonaniu iż dusza jego, nadal pożywienia potrzebować będzie. Matka indyjska lejąca na grób niemowlęcia swego mleko pomięszane z łzami, czyż nie dowodzi tym bezrozumnym czynem, iż tkwi w niej poczucie bytu pozagrobowego. I czyż jednogłośne zeznanie ludzkości, może nie być głosem prawdy? Gdyby tylko pojedyńcze głosy tu i ówdzie odzywały się o tem, możnaby powziąć wątpliwość, lecz jest to jednozgodne twierdzenie całego rodzaju ludzkiego, i więcej jeszcze, jest to głos Boga samego!

Boga? Lecz właśnie również Bogiem posługują się ci, którzy zaprzeczają nieśmiertelności duszy. Bo twierdzą, że Bóg stworzywszy duszę, może ją równie dobrze unicestwić, i my tego właśnie wiedzieć nie możemy czy On chce nadal utrzymać ją przy życiu lub nie! M. S.! pozostawmy na uboczu kwestyę, czy Bóg chce niweczyć

dusze ludzkie lub nie, i niechaj wystarczą nam niezbite dowody, że tego nie czyni.

Wymawiając wielkie słowo „Bóg“, co wyrażamy słowem tem? Wyrażamy niem istotę łączącą w sobie wszystkie doskonałości, mądrość, świętość, sprawiedliwość. Zatem, S. M., jaką byłaby mądrość, świętość i sprawiedliwość Boża, gdyby wraz z śmiercią wszystko się dla nas kończyło? Jakąż byłaby ta sprawiedliwość, w czemże objawiałaby się ta mądrość? Czy w przykazaniach jakie nam dał, czy w prawach ludzkich? Ileż jednak przestępstw uchodzi prawom ludzkim, ileż zbrodni dokonuje się w skrytości i bezkarnie na tym świecie, ileż razy przestępstwo posługuje się prawem ludzkiem dla swych celów? Czy może sprawiedliwość Boża objawia się przez opinię ludzką? A ileż to rzeczy uchodzi bezkarnie, które potępić winna opinia publiczna? A ileż razy na odwrót potępia to co pochwały godne? Może w wyrzutach sumienia? Ale czemże są właśnie wyrzuty sumienia, jeżeli nie przeczuciem przyszłego żywota, które grozi nam sprawiedliwością i zadośćuczynieniem? I czyż nie wiecie, że wyrzuty sumienia stępia stopniowo ilość i wielkość popełnionych win. Są chwile w których wracają tem straszniejsze i bardziej niepokonane, lecz nie tak trudno pozbyć ich się na zawsze, ot — trochę trucizny, jeden strzał rewolwerowy — i po wszystkiem! Na pastwę sprawiedliwości boskiej i ludzkiej, pozostaje tylko — trup!

Czy mądrość i sprawiedliwość objawia się na tych którzy wykonują ściśle przepisy cnoty? Ależ, jakże niewiele cnót, po ludzku biorąc, nagradzanych bywa na ziemi? A jakąż byłaby nagroda za bohaterstwo i ofiarę życia? Wiodą człowieka przed tyrana, który odzywa się doń: „Zaprzej się wiary swojej, bowiem w przeciwnym

razie czeka cię śmierć!“ — A człowiek wybiera śmierć, umiera za wiarę swoją. I jakaż byłaby zapłata za męczeństwo? Gdy młody żołnierz, idąc za popędem instynktu życiowego, na widok groźnego nieprzyjaciela opuszcza swoje stanowisko, ratując się ucieczką, lecz zatrzymuje go jenerał rozkazem: „Zostań, umieraj za honor armii, dla chwały naszego sztandaru, dla dobra twojej ojczyzny — i żołnierz umiera! — I gdyby życie kończyło się wraz z śmiercią — czyż nie byłoby to największą niesprawiedliwością i okrucieństwem? I czyżby nic przetrwać nie miało tych szlachetnych młodzieńców, którzy życie swoje oddali w obcej ziemi ze słowem „Italia“ na ustach? Zasługują oni nie tylko na nasz podziw, lecz i na naszą miłość i cześć najwyższą, lecz tylko w razie jeżeli wierzymy, że dusze ich przeżyły ciała, bo w przeciwnym, według nas żołnierz taki działałby jak szaleniec, któryby się rzucał dla złudnej utopii w najgorętszy war bitwy.

Pomyślmy nad tem, słuchacze moi, dlaczego miałby Bóg chcieć dusze nasze unicestwić? Stwarzając je takie jakiemi są, czyż nie byłoby to czynem nielogicznym, godnym dziecka a nie Boga. Dlaczego miałaby ginąć dusza, skoro nic nie ginie w wszechświecie? Można jeszcze na części podzielić atom, lecz zniweczyć go nie można, więc czy dusza jedna tylko w wszechświecie miałaby podlegać unicestwieniu? W takim razie życie ludzkie równałoby się życiu poddanych mu tworów, n. p. trawy którą depce, i znaczyłby mniej nawet, aniżeli dzieło jego. I czyżby nam to nie czyniło Boga dziwnym i niezrozumiałym, iż niszczy najwspanialsze swe dzieło, iż daje życie milionom dusz na to tylko, aby je za chwilę pogrążyć w nicości? Czyżby to można było nazwać mądrością? Według sądu naszego — nazwaćby to można tylko — szaleństwem!

Następnie jeszcze co do świętości i sprawiedliwości bożej. Wszechwidzące oko Jego widzi, iż nieobyczajność i nieprawość zyskują przewagę na świecie, widzi płazem uchodzące przestępstwa, które wyliczyćby nawet trudno. Patrzy na rodziny, które szarpie niezgoda wewnętrzna, patrzy na niesprawiedliwość i tyrańskwo — a gdzież kara za nie? Religię — haczą jej przeciwnicy, wiara — pociąga za sobą ofiary, a jakaż jest nagroda tych, którzy całe swe życie poświęcają na służeniu biednym i opuszczonym? Gdzież zapłata ich? Jakże? I to byłby ten Bóg sprawiedliwy? Bóg będący dobrocią i sprawiedliwością, postępowałby zarówno względem grzechu i cnoty, względem niewinności i przestępstwa? Gdyby tak było, nie istniałoby w ogóle pojęcie sprawiedliwości i wszystko było zarówno dozwolonem. Nie istniałoby dobro ani zło, nie istniałaby dobroć ani sprawiedliwość boża, nie istniałby Bóg!

Jakże, jeżeli wszystko kończy się wraz z śmiercią a gdzież nagroda za dobro, a kara za zło? Rzućcie okiem na społeczeństwo i powiedzcie, co widzicie? Grzech raduje się a cnota płacze, uczciwy człowiek częstokroć w niedostatku a grzeszny używa żywota, bluźniąc Bogu i Panu swemu. I właśnie w chwili gdy zadość czyni sprawiedliwości swojej, miałby pogrążać człowieka w nicości? Czyż nieszczęśliwy naród, któremu odebrano ojczyznę, dzielić ma los tyrana, który mu ją odebrał? Czyż ofiara, z chwałą do grobu niesionego prześladowcy miałaby być nie pomszczoną i pogrążoną w nicości?

Przystąpmy do łoża śmierci. W jej obliczu odsłania się nam wyraźniej tajemnica nieśmiertelności. Umie-

rającą jest zaledwie dwudziestoletnia dziewica. Była ona pracowitem, posłusznem dzieckiem, dziewicą skromną i wzorowo pobożną. Była chlubą rodziców, ukochaną przez rodzeństwo, przedmiotem czci biednych których z rzadkiem poświęceniem pielęgnowała. „To anioł“, mówili wszyscy dookoła. Jednak ona, głuchą zdając się być na wszelkie pochwały, czyniła wszystko na większą chwałę bożą. I oto jest u progu śmierci, świadczą o tem łzy otaczających ją, lecz ona sama spokojna i poddana woli bożej. Uśmiech igra na jej wargach, wyciska ostatni pocałunek na Krzyżu, który wymyka się z drżącej jej ręki i szepce: „Panie, w ręce Twoje oddaję ducha mego“. — I czy Bóg na takie ostatnie anielskie słowa, miałby odpowiedzieć: „Unicestwiam cię“. — A więc nagrodą życia, które jak dym stosu ofiarnego wznosiło się do Pana, jedyną nagrodą miałaby być — nicość? — Czy człowiek nosiłby w sobie silniejsze poczucie sprawiedliwości od Boga samego? I któżby nawet tolerował tylko takie względem Boga wyrzeczone bluźnierstwo?

W tej samej chwili walczy z śmiercią i druga dziewica, lecz jakżeż zgoła inna! Była ona przez całe swoje życie hańbą rodziny, zgorszeniem otoczenia, i ostatnie jej westchnienie jest zarazem ostatniem urąganiem prawu moralności. A teraz, pytam was, S. M.! czy sumienie i prawda, dopuściłby mogły umieszczenia nad marami bogobojnej i skromnej dziewicy, napisu: „Żyła dla złudzenia“, a nad marami bezwstydnej: „Czyniła dobrze, żyjąc bez Boga i nie zachowując przykazań Jego“. I Bóg pogrążyć miałby obie w tej samej nicości? Czyż podobną potworność przyjąć możemy jako pewnik? M. S., gdyby tak było, mędrcem nazwaćby trzeba wolnomyślnego i bluźniącego Bogu i szydzącego zeń, a sprawiedliwego i cnotliwego — głupcem. Gdyby tak było, to wynikiem takiej potwornej logiki byłoby, że: „Bóg jest złem“. Tak jest słuchacze moi, gdyby nagrodą za łzy, ból, krew przelaną w ofierze za prawdę miała być nicość, w takim razie możnaby rzeczywiście słusznie powiedzieć, że: „Bóg jest złem!“ — Nie Panie, nie chcę uwłaczać świętemu Imieniowi Twojemu, lecz przeciwnie, sławić chcę sprawiedliwość Twoją, bo nie mogłeś stworzyć zarówno złego i dobrego. Ty sam, o Panie! dajesz mi prawo tak myśleć, ponieważ wszczepiłeś we mnie poczucie sprawiedliwości, ten popęd, który mnie ku Tobie wznosi! Patrzycie S. M. często na uciemiężenie cnoty, a na tryumf występku, lecz wątpcie, że kiedyś role te się zmienią, najpóźniej nastąpi to w dniu śmierci każdego. Wtedy ujrzycie cnotę uwielbioną w chwale i szczęściu wiekuistem, a występek potępionym na wieki.

II. M. S.! Chciałbym do tego co powiedziałem wyżej, dołączyć jedną jeszcze uwagę. Jedni, wierzą w nieśmiertelność duszy, drudzy zaprzeczają jej. Świat cały podzielony jest na dwa obozy; w jednym z nich widzimy tych, którzy oddali się złemu, rozpustników i przestępców, w drugim tych, którzy wytrwale dążą drogą cnoty. Zapytajcie tych z pierwszego obozu: „Wy, którzyście byli biczem ludzkości, Neronie, Domicyanie, Kromwellu, czego pragniecie dla dusz waszych, czy chcecie, żeby stanęły i zdały sprawę z czynów swoich przed obliczem Sędziego przedwiecznego, tak lub nie? Gdyby wam danem było rozstrzygać o przyszłości dusz waszych, czy chcielibyście aby istniała nieśmiertelność?“ Odpowiedzieliby niezawodnie: „Nie chcemy, niechaj dusza nasza umiera wraz z ciałem“. Bezbożny bowiem pragnie śmierci duszy. A wy, dzieci cnoty i dobra, czego-

byście pragnęły dla dusz waszych? M. S., jestem pewny, że wszyscy dobrzy i sprawiedliwi głosowaliby za nieśmiertelnością duszy. Komu zatem wierzyć mamy? Boże mój, wiem i wierzę, że żadna siła stworzona duszy zburzyć nie zdoła, wierzę również, iż Bóg mądrości, Bóg dobry i sprawiedliwy nie zniweczy jej nigdy i nie może istnieć co do tego żadna wątpliwość. Bezbożni nie wytłómaczyli nam losu człowieka, a kwestyę tę rozstrzygnęli sprawiedliwi słowami: „Dusze nasze są nieśmiertelne".

Temi słowami chciałbym zakończyć, lecz że społeczne dobro narodów jest dla nas kwestyą nader ważną i piekącą, więc ze względu na nią dodam jeszcze słów kilka. Dogmat nieśmiertelności duszy koniecznym jest ze względu na cywilizacyę i dobrobyt narodów, i ci, którzy by go znieść chcieli, oddają duszy najgorszą przysługę. Historya dostarcza nam dowodów, których prawda uderza nas, mianowicie: narody podnoszą się i upadają w dokładnym stosunku do podnoszącej się lub zanikającej wiary. M. S.! naród, chociażby barbarzyński, dziki i pogrążony w ciemności i błędzie, lecz strzegący swych świątyń i ołtarzy i wierzący w życie pozagrobowe, odeprze nawet naród cywilizowany, jeżeli żołnierze jego na wzór tych, którzy walczyli pod dowództwem Arminiusza w borach niemieckich, walczyć będą z wiarą w zapłatę walecznych i z pogardą dla hańby, która okrywa nikczemnych. I któż nie pomni losu Warusa?

Pytam się raz jeszcze: I cóż bez wiary, co stałoby się ze światem? Odrzućcie ją, a cnota straci urok i znaczenie swoje, a wraz z nią znikną nadzieja i szczęście podtrzymujące człowieka w walce życiowej, a wtedy ciężar jego stanie się nie do zniesienia. I w istocie, jeżeli

bezbożnik nie zlęknie się kary wiekuistej, to cóż go powstrzyma na drodze grzechu? Przypomnijmy sobie owe nieszczęsne czasy, kiedy Francya nurzała się w krwawej orgii rewolucyi, aż w końcu zawołał jeden z jej bezbożnych prawodawców: „Dobrzy i źli znikają zarówno z areny świata, ale w jak odmienny sposób! Zaiste, śmierć nie jest kresem życia, lecz początkiem nieśmiertelności". Są to słowa Robespierr'a. Pozwólcie mi zadać jeszcze jedno pytanie: jakaż to siła powaliła w gruzy pomniki bratniego narodu? „To nie dynamit", pisze Figuier, „to materyalizm!"

M. S.! Jeżeli i u nas tych, którzy wierzą w życie pozagrobowe i w Boga istotnego, który rządzi i przebacza, nagradza i karze, owładną zasady apostołów materyalizmu, jeżeli echo ich wszetecznej nauki uzyska poklask wiedzy, wiedzy fałszywej, jeżeli znajdzie drogę do serc ludzkich, wtedy, S. M. wiedzcie o tem wy, którzy ojczyznę waszą kochacie, wtedy zagrzmi okrzyk: „Finis Italiae", jak zabrzmiał swego czasu nad nieszczęśliwą Polską, bowiem stając się ofiarą anarchizmu na wewnątrz, bezbronną stanie się na zewnątrz, wobec nieprzyjaciół swoich.

VI.

Cel życia ludzkiego.

M. S.! Człowiek posiada duszę obdarzoną duchowemi własnościami, będącą zarazem nieśmiertelną. Rozumności duszy dowodzą: świadomość naszej tożsamości, jej czynności duchowe, przekraczające znacznie władzę materyi, dalej cnota i religia, którychby bez istnienia duszy ani zrozumieć ani wytłómaczyć nie można. Nieśmiertelności duszy dowodzą dalej zdolności pojęcia i woli wrodzone każdemu pragnienie i dążenie do szczęśliwości, a przedewszystkiem przekonywują nas o tem atrybuty Boże, Jego mądrość, sprawiedliwość i świętość. Lecz słuchacze moi! W jakim celu dał nam Bóg tę duszę? Innemi słowy: na co dał nam życie? Co jest celem Jego? Po zagadnieniach omawianych poprzednio, to właśnie nasuwa się samo przez się każdemu umysłowi myślącemu. Skoro człowiek dochodzi do wieku umysłowej samodzielności, pierwsze zagadnienie, które powstaje w nim jest pytaniem: „Ale dlaczego zostałem stworzony? Jakim jest cel mojego życia? Kategoryczne to pytanie zaspokoić musi odpowiedź, a każda dokryna,

któraby odpowiedzi tej zaspokoić nie była zdolna, z góry temsamem potępioną byćby musiała.

Jakąż tedy jest odpowiedź nas samych na to zapytanie? Zdaje nam się może, że, ażeby otrzymać odpowiedź, wystarcza wejść w samych siebie, obserwować i nasłuchiwać niejako. Lecz odpowiedź otrzymana w ten sposób, okazałaby się złudną, nader złudną odpowiedzią. Ażeby poznać prawdziwy cel naszego ziemskiego życia, trzeba nasłuchiwać tych tajemniczych odgłosów dochodzących nas z wieczności, i wsłuchać się trzeba w każdy dźwięk dolatującego nas potężnego głosu bożego. Jeżeli człowiek nic o nim wiedzieć nie chce, schodzi niebawem na błędne drogi.

Czytając dzieła klasyków starożytnych, czy nie nasuwa wam się niejednokrotnie myśl: jakimże człowiek marnym jest stworzeniem w porównaniu do otaczającego go stworzenia? I w istocie S. M.! od Lukreciusza aż do Pliniusza u Rzymian, od Homera aż do Plutarcha u Greków, nie poprzestają myśliciele i poeci skarg, iż człowiek jest poronionym tworem natury; Pliniusz starszy pozdrawia ziemię, jako nieprzyjaciółkę ludzkości i w jednym znamiennym ustępie powiada, że ziemia jest niepłodną matką, która do łona swego przyjmuje martwego człowieka, i na zawsze w objęciu swym tuli. Starożytni bowiem nie znali celu życia ludzkiego, chrystyanizm dopiero pouczył nas o celu naszego istnienia, i od tej pory występuje człowiek jako stworzenie nieskończenie wyższe od wszystkich stworzonych istot. Chrystyanizm powiedział mu: „Nie tutaj na ziemi twój cel i przeznaczenie twoje, lecz w czemś, co jest nieskończenie większem od ciebie, celem Twoim jest — Bóg

i Pan Twój! Niechaj słowa te staną się przedmiotem dzisiejszego rozważania naszego.

I. S. M.! Żyjąc i przebywając na tym świecie, czy widzimy na nim cokolwiek takiego, coby było godnem i wartem ostatecznego celu życia, które otrzymaliśmy od Boga? Weźmy najpierw pod uwagę świat konkretny, ziemię i bogatwa jej, naturę z jej przepychem gór, dolin, łąk, kwiecia i roślinności, przyjrzyjmy się światowi materyalnemu! Czyżby ta materya miała być celem człowieka? Człowiek będący obrazem i podobieństwem bożem, miałby być stworzonym dla czegoś, co samo przez się niema ani myśli, ani serca? Miałby może człowiek stworzonym być dla błota, które nogami depce, dla błota, które dotknąć nie możemy bez pochylenia i zejścia z naszego wysokiego piedestalu? Czy samem takiem twierdzeniem nie ubliżamy naturze ludzkiej? I czyż nie podporządkowujemy jej materyi?

Istnieje jednak coś, co chociaż szczerą jest materyą, podniósł jednak człowiek do godności ideału swego, mianowicie — pieniądz. Człowiek poświęca wszysko, co leży w jego mocy, ażeby dojść do posiadania pieniędzy, a im więcej ich ma, tem więcej mieć ich pragnie, tak, że pieniądz stał się przedmiotem istotnego kultu ludzkiego. Czy może więc dla niego powołani jesteśmy do istnienia? Są tacy, którzy noszą się z podobnemi myślami, propagując etykę korzyści. Jednakże dla odrzucenia jej zasad wystarcza sobie wystawić coby się stało, gdyby opanowała wszechwładnie ludzkie społeczeństwo. Zasady jej urobiłyby z człowieka istotę zimną, bez serca, egoistyczną i przekupną; wypleniłaby z gruntu ducha ofiary. Przed wykonaniem jakiegokolwiek dzieła, szeptałaby mu chciwa korzyść: „Dzieło to wyjdzie na korzyść

innym, nie tobie, nie troszcz się o nie!“ Przeciwnie zaś, duch ofiary powiada: „Dzieło to wyjdzie na korzyść innym, dlatego wykonaj je“. Człowiek opanowany namiętnością zysku staje się żywiołem wrogim społeczeństwu. Odtrąca biednego, który do niego wyciąga rękę z prośbą o wsparcie, wyniszcza lichwą wdowy i sieroty, które powinienby otoczyć opieką, a gdy wpływowi i możni tego świata żądają, żeby sprzedał im godność i sumienie swoje, zawierając z nim traktat ubliżający, on bez rumieńca wstydu zaprzedaje wszystko bezwstydnie, nawet ojczyznę swoją, stając się jednem słowem moralnym potworem! Namiętność ta tak zgubny wywiera wpływ na piękno moralnej naszej strony, iż słusznie z trwogą zapytać można: co stałoby się ze społeczeństwem ludzkiem, gdyby je opanowała zgubna ta namiętność? Coby się stało? Wybaczcie porównaniu memu, ale wtedy społeczeństwo ludzkie zamieniłoby się w jeden wielki bazar, w którymby wszystko nabyć można, wszystko bowiem byłoby w nim do sprzedania, byłoby to jedno ogólne przekupstwo, mające jedynie zysk na oku. On to jest powodem powstania wrogich sobie stronnictw, które sprowadzają upadek biednej naszej ojczyzny.

Czy może celem życia naszego byłoby użycie? Wystarczy nam na to za odpowiedź skonstatowanie skutków użycia u poszczególnych ludzi jak i u całych narodów. Dusze ludzkie oddające się przyjemnościom i używaniu są nietylko jak te hołdujące zyskowi, zimne egoistyczne natury, lecz gorzej jeszcze, bo podłe, a zarazem okrutne i niedołężne, i nie na nich oprzeć będzie się mogła ojczyzna nasza w razie niebezpieczeństwa, bowiem okrucieństwo jest córką tchórzostwa. I ażeby was przekonać, że dla potępienia tego rodzaju zasad, nie potrzebuję

się odwoływać aż do religii, niechaj potępi je sam ludzki rozsądek. Czyż Bóg i Pan nasz na to dał nam to życie, aby udziałem naszym były tylko zmysłowe przyjemności, dostępne zwierzętom? Czybyśmy stłumiać mieli rozsądek, serce i szlachetne porywy, które gardzą przemijającemi przyjemnostkami? Dusza nasza w takim razie powinna się rozciągnąć na łożu śmierci wraz z ciałem, i robakom rzec: „wyście to braćmi moimi". I jakie miałyby znaczenie czystość obyczajów, godność, honor, cnota, obowiązek i wolność? Byłyby to tylko czcze słowa, bez sensu i znaczenia! Czy chcecie ujrzeć skutki podobnych zasad na zbiorowym narodzie? Przyjrzyjcie mu się sami! Naród oddający się przyjemnościom i użyciu upada wkrótce; wyśmianym bywa w nim duch ofiarności, który poświęca się dla współbraci. Ci, którzy radować [się nie mogą, z dziką nienawiścią patrzą na tych, którzy używają radości życia. My, słudzy Boga pokoju, słudzy Jezusa Chrystusa, przystąpilibyśmy do nich ze słowami: „Uzbrój się w cierpliwość i poddanie woli bożej". — Lecz oni ukazaliby nam łachmany swoje i wygłodzone członki, ukazaliby nam dzieci swoje, wołające o chleb, podczas gdy oni łzy tylko mają do rozdania i uskarżając się na marną swą zapłatę, a co gorsza na brak pracy, rzekliby: Na co mi się zbroić w cierpliwość, kiedym od moich ciemiężców silniejszy? Skoro użycie jest celem życia ludzkiego, tedy i dla mnie wybić musi godzina radości! Znużeni jesteśmy do ostateczności tą wieczną żebraniną". I zaczajeni w ciemnościach oczekiwać będą chwili sposobnej, by rzucić się na społeczeństwo i wydrzeć mu swoją część radości życia!

Powiecie mi tutaj: Ojcze, to są zgoła niebezpieczne

słowa! Przyznaję to sam! Lecz jeżeli przyjemność jest celem życia, jakiem prawem chcielibyście jej odmówić komukolwiek? — Zasady takie przerzucać będą społeczeństwo między młot a kowadło egoizmu uprzywiliowanych, a nienasyconej żądzy upośledzonych. Czy może cel życia ludzkiego polega na czemś wznioślejszem, na zdobyciu sławy?

Sława, czarowne słowo, zyskujące poklask ogólny, które nas oszałamia i bierze całkowicie w moc swoją! Sława jest tym najsilniejszym czarem, której nieświadome przeczucie wstrząsa duszą dziecka i umysłem młodzieńca przy zetknięciu się jego z historyą wielkich dzieł ludzkości. Od czasów Cezara aż do Napoleona sława była dla młodych rycerzy czynnikiem silniejszym od miłości, a nawet od śmierci. Sława budzi w narodach stłumione echo minionych czasów, ukazując im wszystko, co wzniosłem jest i szczytnem, a gdy ukazuje się nad czołem bohatera, wtedy witają go wszyscy z nieopisaną czcią i uniesieniem. Więc czyż ta sława ma być celem ludzkiego życia?

Czem jest właściwie sława? Zapytajmy o to ksiąg św. a powiedzą nam, że sława jest jako trawa więdnąca, jako kwiat, jako sen rychło znikający; albowiem dzisiejszy władca Kapitolu, znaleźć się może jutro na tarpejskiej skale!

Czy chcecie przekonać się o tem, że jedynym celem, godnym rozumnego i wolnego stworzenia może tylko być Bóg? Zbadajmy pierś człowieczą a przekonamy się, że nic ziemskiego wypełnić jej nie zdoła i że wszystkie nieskończone jej pragnienia bezwiednie zdążają do Boga? Zapytajmy naszego instynktu życiowego, czego on chce i do czego zdąża? Do nieskończoności! Czło-

wiek istota znikoma i doczesna pragnie i tęskni do nieskończonych i nieograniczonych widnokręgów i nie może zgodzić się na myśl o śmierci i nicości. Gdy mu o niej mówić odsuwa się z niechęcią i trwogą, a widząc blizki kres życia powiada: „to mi nie wystarcza“. Apelles zwykł był mówić: „Maluję dla wieczności“, ale malował tylko na kawałku zniszczalnego płótna, i z wszystkich jego arcydzieł pozostało już tylko wspomnienie.

Cóż czyni i myśli człowiek, dochodząc do wrót grobowca? Czy godzi się z myślą o wiecznej śmierci? Czy mówi zrezygnowany: liście drzew i kwiaty więdną, wysycha woda, wszystko zamiera, czy nie słuszne, że i ja umrzeć muszę? Nie, człowiek taki zastrzega się śmierci, nie przyznaje jej całkowitego nad sobą zwycięstwa, i będąc na poły w grobie, śni o życiu wiecznem!

Lecz zauważcie jeszcze i to, że to usilne prągnienie wieczności nie odnosimy do życia naszego na ziemi, pragniemy bowiem życia doskonalszego. Ziemia nie wystarcza nam w zupełności, tak, że dusze doskonalsze odrzuciłby ją rade jako ciężar i brzemię. Któż z nas bowiem nie zaznał wstrętu życiowego? Iluż to znam ludzi znękanych i smutnych, którzy radziby co prędzej ujrzeć kres swego życia? Więc czyż samobójstwo nie byłoby czynem człowieka, który pragnie co prędzej pogrążyć się w nicości? Nie, samobójstwo jest raczej czynem niecierpliwości duszy, która łaknie co prędzej innego żywota. I jest to taką istotną prawdą, iż tkwi w nas pragnienie życia nieskończonego, iż nic tego pragnienia stłumić w piersi ludzkiej, ani zastąpićby nie zdołało.

Cóż mam mówić o potrzebie poznawania? Jest ona

potrzebą naszego rozumu. Ażeby ją zadowolić, oddajemy się badaniu naukowemu. Ale czyż ono w zupełności zaspokaja potrzeby naszego rozumu? Niektórzy twierdzą, że tak, lecz czy oni mają słuszność? Tajemnicze głębie matematyki, prawa rządzące liczbami i niezliczone kombinacye tychże, wogóle cały świat widzialny dookoła człowieka zachęca go do badań i dociekań, ukazując umysłowi ludzkiemu nieograniczone horyzonty; niebo okryte światami odsłania mu tajemnice swoje, poznajn płanety i tworzące się dopiero słońca, w tym niezmierzonym oceanie gwiazd; obok tego światło, elektryczność i magnetyzm uchylają mu powoli tajniki swoje, dopełniając wielkiego dzieła stworzenia. Z łona ziemi, z królestwa roślin, ze środowiska istot żyjących wznosi się potężny hymn ku chwale życia!

Czyżby więc świat ten nie mógł wypełnić umysłu ludzkiego? Ażeby rozświecić drogę swoją, bierze człowiek pochodnię filozofii i schodzi do głębin wiedzy ludzkiej, pojęć i uczuć, namiętności wytwarzają w naszych oczach cudne i skomplikowane zjawiska, jakoteż i problemata, które są jednym dowodem więcej siły żywotnej naszego rozumu. I zjawiska te są stokroć piękniejsze od zjawisk natury; więc może świat ten niewidomy a przepiękny wypełnić zdoła umysł ludzki?

Gdy Krzysztof Kolumb przeczuwając nieodkryte jeszcze światy, przekonał się, że nieskończoność oceanu była tylko złudzeniem, bowiem nowo odkryty świat dowiódł dosadnie granic jego. Lecz umysł nasz nieda się porównać z odkryciem genialnego Genueńczyka, albowiem ocean prawdy jest w istocie bezbrzeżnym i im dalej zagłębiamy się weń, tem bardziej olbrzymieje przed nami i nikt z załogi nie zawoła: „ląd, ląd!“

Wszędzie natrafia wzrok nasz na różnorodne zjawiska, które przesuwają się przed nami, jako odłamy prawdy: Zadowalniać to może duszę dziecka, lecz nie umysł dojrzałego człowieka; człowiek żąda całości, syntezy. Ludzie wiedzy powiadają: od rozpoznania species, przeszliśmy do rozpoznania gatunku, od gatunku do kategoryi i t. d., wszystko to da się wyprowadzić z kilku zasadniczych podstaw, lecz to nie wystarcza umysłowi ludzkiemu. Żąda on poznania substancyonalnej żywej jedności, będącej początkiem, (pierwiastkiem) i końcem indywidualności, jakoteż species, gatunku, kategoryi, jednem słowem wszechobejmującej całości.

Cóż wam powiem teraz o miłości?

M. S.! Jak umysł nasz stworzonym jest do poznawania, tak serce nasze do miłości. Tak jest, serce nasze tak jest podatne do miłości, jak ptak do lotu. M. S.! miłość jest początkiem i końcem naszego życia, wszystko wypływa z niej i do niej zmierza. „Biada wiedzy, powiedział słusznie jeden wielki myśliciel, „która odwodzi od miłości!“ — Czyż w języku ludzkim kochać, być kochanym, lub cieszyć się czyjąś dozgonną przyjaźnią — nie znaczy to samo co szczęście? Szczęście! To niepokonane pragnienie serca! Jakież wielkie szczęście wypływać musi z zaspokajania tej trawiącej potrzeby miłości! Pomijam tutaj grzeszne uczucia, znamy aż nadto dobrze tę przepaść, w której ginie dusz tyle, te zdradliwe sieci, w które tyle popada dusz biednych! Mam na myśli dozwolone uczucie, upiększające żywot nasz tu na ziemi. Doskonałość, najwyższe przykazanie miłości polega na tem, ażeby była uczuciem uprawnionem iujarzmionem. — Lecz któż zdoła płomieniom oznaczyć granice? Któżby nie chciał zburzyć więzienia swego?

A jednak jest to koniecznem, bowiem uczucie nie trzymane na wodzy, prędzej czy później mści się samo w sobie. I ileż to ludzi padło już ofiarą zdradliwego uczucia? Ale czyż sądzicie, że najzupełniej nawet uprawnione najczystsze uczucie dla drugiej istoty ludzkiej zdoła wypełnić serce nasze po brzegi? Nie — przenigdy! Pustka jakowaś w sercu towarzyszy nawet tym szczęśliwym obdarzonym uczuciem, dowodem tego są jakowaś tęsknota w duszy, a nawet czasem i łzy wylewane w chwilach szczęścia. Im bardziej miłość nasza się rozdrabnia, tem głośniej nawołuje serce ku miłości Nieskończonego.

O Boże, mój Boże — czego chciałeś stwarzając to serce? Chciałeś je mieć dla siebie. Dlatego — idźmy za skłonnością tego serca naszego i skoro już zmęczone ciężarem miłości ziemskiej, pozwólmy wznieść mu się do Boga.

Jeżeli nie przekonywuje was zbadanie tych wyższych właściwości serca, potwierdzą wam to samo jego niższe instynkta. Obserwując uczucia zmysłowe, powiedzcie, czy zdołały kiedykolwiek zaspokoić was w zupełności?

Odnieśmy się teraz do artystów, prawdziwych wielkich geniuszów artystycznych i cóż wam oni powiedzą o sztuce? Powiedzą, że czują się bezradni i bezsilni, wobec niemożności oddania ideału swego; widzimy Wirgiliusza, który pali Eneidę swoją, Buonarotti'ego dumającego smutnie przed swoimi rzeźbami, marzył bowiem o sztuce tytanicznej, której nie był w stanie stworzyć. Leonardo da Vinci zniechęcony, nie kończy swej „Ostatniej wieczerzy“. Widzimy Miltona przyznającego wyższość każdego innego poematu nad „Rajem utraconym“,

Fenelona, który w 18-tu manuskryptach swojego „Telemaka“ pozostawia swiadectwo nieskończonego dążenia ku doskonałości; najdowodniej potwierdza dowodzenie nasze artysta muzyk. Gdy zamilka ostatnia nuta jego melodyi, on nasłuchuje dalej, natęża ucho, i wsłuchuje się w tę drugą, niewyśpiewaną melodyę. I dlaczego tak jest? Bo im bardziej żbliża się do urzeczywistnienia ideału swojego, tem ten ideał oddala się coraz wyżej. Powołuję się na świadectwo wasze. Powiedzcie mi, czy wobec arcydzieł duchów potężnych, gaśnie czy wzmaga się miłość wasza dla piękna?

M. S.! Jest to właściwością każdej wielkiej, prawdziwej sztuki, iż bierze duszę naszą w swe posiadanie, i podnosi serca nasze ku Bogu! Rafaelu! w niemym podziwie, godzinami całemi wpatrywałem się w twoje freski i „stancye“ watykańskie i czułem, że duszę moją porywają ku Bogu. Rossini, Bellini, wsłuchiwałem się z lubością w harmonijną głębię waszych symfonii, i do znając nieograniczonego szczęścia, iż serce moje znalazło wyraz uczuć swoich, czułem się uniesiony niemi do samych stóp bożych.

Odpowiedzcie mi na jedno pytanie. Czy patrząc na zachód słońca i podziwiając to misterium natury, czy nie wyzwala się dusza nasza z więzów ziemskich chociażby na chwilę i czy nie unosi ku niebu? A następnie ogarniał nas jakowyś smutek i melancholia, przyczyny których zdać sobie sprawy nie możemy i pytaliśmy samych siebie: dlaczegom smutny i skąd pochodz smutek ten, czego mi nie dostaje? Duszo moja, śledzisz tęsknie za przeciągającą chmurą, lecz czegóż od niej chcesz? I patrzysz za uciekającą wodą, a czego od niej żądasz? A dusza odpowiada: Ja chcę B o g a!

Szedł pewnego wieczoru św. Augustyn brzegiem morza, zachodzące słońce słało mu ostatnie swoje promienie i przyszła nań chwila wewnętrznego skupienia i wglądnięcia w tajniki własnej duszy. Zapytał Święty: dlaczego wzdychasz, dlaczegoś smutna duszo moja? A głos który zdawał się unosić nad wodami, szeptał mu: wznieś się ponad siebie! Począł tedy rozmyślać Święty nad znaczeniem tych słów. — Tymczasem cienie zaległy ziemię i gwiazdy ukazały się na niebie. Św. Augustyn podniósł wzrok ku górze i zapytał: Boże, któryś jest nademną, objaw mi dlaczego smutną jest dusza moja? A w nieskończonej harmonii otaczającej go dokoła, zstąpiła zda się z gwiazd ku niemu odpowiedź: „Quaere super nos“ Więc Święty wzniósł się aż do chórów anielkich i zapytał: Czy nie wiecie wy duchy niebieskie dlaczego smutną jest dusza moja? — I zdało mu się, jakoby aniołowie zgodnym chórem odśpiewali mu: „Quaere super nos“. Więc wzniósł się wyżej jeszcze do samych stóp Boga i Pana i zaspokoiło się serce jego i rzekł: „Oto jest Ten, którego pragnęła dusza moja i którego pożądała“. — Tak jest, Bóg sam dopiero jest ostoją naszej duszy, prawda, dobro i piękno ziemskie, wzmagają tylko jej tęsknotę ku niemu! Bóg jest celem naszego życia!

II. M. S.! Mówiłem do was dzisiaj słowami rozumu, pozwólcie mi jednak przez chwilę mówić językiem wiary! Czy widzicie tam w lichej stajence to nikłe niemowlę złożone na słomie? Jest to syn Najwyższego, który stał się człowiekiem. A dlaczego to uczynił, dlaczego urodził się w takiej nędzy? Zapytajcie o to aniołów, posłuchajcie, co śpiewają przy stajence Jego: „Dla was, o ludzie, dla dobra waszego, aby wam dopomódz do osiągnięcia

waszego celu". I patrzcie potem na prześladowanie Jego i trudy i zapytajcie świętej Jego Matki, na co one były podjęte, a odpowie wam; „Dla was, dla dobra waszego, ażeby być wzorem życia waszego na ziemi". I widzimy Go bieżącego ulicami Nazaretu, okrytego kurzem i potem trudów apostolskich, lżonego i zapoznanego. Na co te poniżenia? Zapytajcie o to waszych aniołów stróżów, a odpowiedzą wam: „Dla was uniżył się, dla dobra waszego, aby wam być przykładem w osiągnięciu celu waszego". Lecz nie poprzestajcie na tem, i idźcie za nim na szczyt Kalwaryi i patrzcie na Krzyż, na tego Chrystusa, zawieszonego pomiędzy niebem a ziemią, na rany Jego i Krew świętą. I pytacie: Na co ten bezmiar cierpienia? A Chrystus sam odpowie wam głosem konającym: „Dla was ludzie, dla dobra waszego, ażeby wam dopómódz do osiągnięcia celu waszego istnienia".

M. S.! I cóż więcej jeszcze przekonać nas może, że tylko Bóg może być celem życia naszego? I cóż tedy czynić mamy, aby cel ten osiągnąć? Zacznijmy na ziemi już czynić to, co w niebie wiekuiście czynić będziemy. W niebie twarzą w twarz w Boga spoglądać będziemy, dlatego i na ziemi powinniśmy się już starać przebywać z Nim, pomimo słabego pojęcia, jakie w tym życiu o Nim mieć możemy. W niebie kochać będziemy Boga miłością konieczną, bo jakżeby można nie kochać dobro najwyższe i piękno najdoskonalsze, skoro raz ukaże nam się bez osłony? Dlatego powinniśmy się starać pokochać Go już na tej ziemi, zmuszać niejako serce nasze do tej miłości. W niebie posiadać będziemy Boga, będzie On przedmiotem naszej miłości i szczęścia i nie będziemy w obawie utracenia Go kiedykolwiek. Ale na to, ażeby Boga posiąść w niebie, powinniśmy dać Mu

się posiąść na ziemi, powiniśmy się rządzić prawami Jego i zachowywać przykazania Jego. Tak jest, S. M.! powinniśmy oddać się Bogu, nie w taki jednak sposób, ażeby zaniedbywać przez to nasze obowiązki rodzinne lub społeczne, lecz tak, ażeby wśród spraw ziemskich nie zapomnieć o Bogu, i nie zaniedbać wieczności dla znikomego czasu, duszy dla ciała.

Boga poznać, służyć Mu i kochać Go, oto cel życia ludzkiego, cel konieczny, do którego dążyć musimy pod grozą kary śmierci wiekuistej, bowiem żadna istota istnieć nie może bez podstawy swego istnienia, a podstawą tego istnienia jest Bóg, a celem dojście do Niego. Dla tego dał Bóg człowiekowi rozum zdolny do poznania Go, serce zdolne do pokochania Go, wolę zdolną do zjednoczenia się z Jego wolą i dlatego jesteśmy katolickimi chrześcijanami.

A cóż czyniłem dotychczas? Zamiast uznać Cię, o Boże mój! wyznawałem błędy i przesądy, któremi chciałem usprawiedliwić namiętności moje; zamiast kochać Ciebie, kochałem tylko siebie, zamiast poddać się prawom Twoim, ulegałem skłonnościom moim. Będąc stworzonym dla tego co wielkie i piękne, dałem się wciągnąć do kałuży. Ale czyż odepchniesz, o! Boże, stworzenie Twoje? Błagam Cię Boże, nie opuszczaj mnie, dokonaj we mnie rozpoczętego dzieła miłosierdzia Twego, nie pozostawiaj mnie samego, dopóki nie połączę się z Tobą o Panie mój! I nie sam jeden chcę połączyć się z Tobą, lecz pragnę, aby duszy mojej towarzyszyły dusze wszystkich braci moich.

VII.

Prawa Boże.

Dał nam Bóg duchowo uzdolnioną i nieśmiertelną duszę, ażebyśmy Go poznali, pokochali i służyć Mu mogli na ziemi, a w niebie posiadaniem Go cieszyli się na wieki. Ale czy Bóg pozostawił nas w zupełnej od siebie niezależności? Rozważcie dobrze słowa te, powiedziałem niezależność — a nie wolność całkowitą. Czy więc pozostawił nam Bóg wolność całkowitą, czy rości sobie do nas niektóre prawa, których przestrzegać musimy.

Słyszymy zewsząd w czasach dzisiejszych skargi, że społeczeństwo nasze rządzić się nie daje, że pojęcie zwierzchności jest zapoznanem, i że wykonanie wyroku prawa wywołuje oburzenie ogólne. Słyszy się skargi na rozkiełzanie pojęć i namiętności, na wyuzdaną zuchwałość i ogólną niesubordynacyę. Ale jakże się uchronić od skutków utylinarnego ateizmu, z którego jak ze swego fundamentu wyrastają nowożytne teorye? Lecz skoro się nie uznaje rządów bożych, jakże tembardziej trudno poddać się rządom ludzkim? Wyznając głośno panowanie rozumu, niezależność moralną, ucząc, że pierwotną przy-

czyną bytu jest hipoteza, jeżeli nieustannie wpaja się ludziom, że Bóg, jeżeli wogóle istnieje, nie troszczy się o nas, że człowiek jest jedynym panem swych losów, jeżeli już doszło do tego stopnia mniemań, na jakimże fundamencie miałoby się oprzeć sumienie? Gdzie podstawa ładu i porządku społecznego? „W dniu, w którym ojcowie nasi“, powiada Proudhon, „ogłosili edykt praw ludzkich, zaprzeczyli zwierzchności bożej nad światem“. A o kilka wierszy dalej, powiada z nieubłaganą logiką: „na podstawie czego rozwinąć się może tylko anarchia lub autokracya!“ — I jedna z tych dwóch ostateczności musiałaby wejść w życie nieuniknienie gdyby Bóg nie wchodził rzeczywiście w rachubę u sumień ludzkich. Bo w istocie, jakiemi byłyby prawa ludzkie bez praw bożych? Byłyby surowe, krwawe, nieubłagane, i gdybym wam przedstawił dzieje ich rządów, zaiste wstrząsnąłby nami dreszcz zgrozy. Musiałbym wam opisać tych niskich pochlebców, którzy doszedłszy do władzy, sami tyranami się stali i za życia, a nawet i po śmierci jeszcze byli katami i gnębicielami rzesz ludzkich. I w istocie, prawa ludzkie bez boskich są czczą iluzyą! Bo i na jakiej powstałyby zasadzie? Jakżeby je wogóle rozumieć można? Byłoby to to samo, co bez prawa ciężkości chcieć ustanowić równowagę ciał! Chcecie ładu, sprawiedliwości i wolności? Bardzo dobrze, ale jakżeż się to da uzyskać bez zastosowania praw bożych? Bóg jest nie tylko pierwotną przyczyną wszechrzeczy, prawodawcą ich wzajemnego do siebie stosunku, lecz także podstawą porządku, sprawiedliwości i wolności, jest nietylko dawcą życia lecz i panem jego trwania. Bóg ustanowił prawa tak dla ciał jak i dla dusz i biada temu, kto się z pod nich wyłamywać chce! Jest to tylko utopią doktryn hu-

manitarnych. Im się głośniej proklamuje „wyższość“ wyzwolonego człowieka, tem dobitniej czuje człowiek, że czy chce czy nie, uznać musi nad sobą Pana.

Zadaniem dzisiejszego kazania będzie zbadanie naszego stosunku do Boga, naszych względem niego obowiązków i zależności jako Jego stworzeń, i praw Jego do nas jako naszego Stwórcy.

I. M. S.! Jakie stanowisko wyznaczył człowiekowi na tym pięknym świecie jego Mistrz najwyższy? Czy stanowisko władcy absolutnego? Wprawdzie to wszystko co rozciąga się u stóp jego jest mu poddanem, lecz ponad nim, czy nie istnieje moc, przed którą musi uchylić czoła? Wiedza wykazuje stopniowanie kategoryi stworzenia, od minerałów do roślin, od roślin do zwierząt a od zwierząt do człowieka. Jestto naturalnie błędnem mniemaniem, według twierdzenia materyalistycznego ewolucyonizmu, niemniej jednak jest prawdą. Ale w stopniowaniu tym nie możemy zatrzymać się na człowieku, lecz powinniśmy wznieść się aż do Boga, początku wszechrzeczy, przyczyny wszelkiego istnienia. Istnieje pewien kierunek wiedzy, który się wysila aby zaprzeczyć Boga jako Stworzyciela, uznając Go bowiem jako Stworzyciela, musianoby Go uznać jako prawodawcę.

Wystarcza spojrzeć na człowieka, ażeby sobie zdać sprawę z tego, że Bóg jest absolutnym panem a człowiek podległem Mu stworzeniem. Przyjrzyjmy się bodaj powierzchownie naszej naturze, stanowisku w świecie, naszym dziełom, a uwidoczni się nam ta zależność człowieka.

Rzućmy okiem na naszą naturę. Nie pytano nas przedewszystkiem czy chcemy przyjść na ten świat, i słusznie mógł wołać Job: „Dlaczego Panie powołałeś mnie

z łona mej Matki?“ Nie pyta nas się nikt, czy chcemy żyć i nie pyta nikt czy chcemy umierać! Nie mamy nawet prawa żądać, by nas zawiadomiono o czasie naszej śmierci, i nie możemy wybierać sobie ani czasu, ani miejsca, ani rodzaju śmierci, i chociaż jest wprawdzie w naszej mocy odebrać sobie to życie samobójstwem, to jednak samobójstwo gotuje nam los stokroć gorszy od tego, przed którym ujść pragniemy. Tak jest, S. M., losem człowieka jest przyjść na ten świat bez swojej wiedzy i woli, żyć na nim i walczyć chociaż nie jest ojczyzną naszą i opuszczać go wreszcie na rozkaz wyższy, nie wiedząc jak i dlaczego.

I rzućmy okiem na nasze stanowisko. Niema chyba nic bardziej zależnego od niego. Zależymy przedewszystkiem od ludzkiej natury naszej, która na każdym kroku stawia nam we wszystkiem przeszkody i do śmierci nas wiedzie. Pracujemy z trudem połączonym z wieloma przeciwnościami. Gdzie jest ten, jak mówi Pismo św., który choć jedną zmarszczkę z czoła swego zetrzeć zdoła? Zależni jesteśmy od świata roślinnego i zwierzęcego, od potęgi elementów, od wody, powietrza, bo w istocie S. M., cóż na pozór bardziej mało znaczącego od tego przestrzeń atmosferyczną wypełniającego gazu, a od którego przecież cały żyjący wszechświat bierze życie? Zaledwie że spostrzegamy jego istnienie, lecz gdyby go zabrakło, czy wiecie, że za tydzień zmieniłaby się doszczętnie powierzchnia ziemi; naszą biedną, martwą, wyludnioną planetę zaległoby milczenie śmierci. Widzimy zatem że od działania delikatnego związku chemicznego zależy egzystencya nasza i egzystencya świata.

Dalej, nic bardziej zależnego jak człowiek w stosunku do dzieł swoich i wynalazków. W każdem z dzieł

naszych kryje się pewna niedoskonałość, broniąca przystępu doskonałości. Ograniczone zdolności nasze nie dozwalają nam osiągnąć w dziełach naszych upragnionej doskonałości. „Człowiek upada nieustannie“, powiada pewien mędrzec, „a Bóg podnosi go zawsze“. Człowiek obrabia rolę, zasiewa ją, lecz nie jest w jego mocy zesłać jej deszcz lub promienie słoneczne. I we wszystkiem dzieje się podobnie, bo stosując nawet najskuteczniejsze i najprzemyślniejsze metody czyto w polityce, czy w zakresie przemysłu lub w jakimkolwiek innym zakresie działania ludzkiego, w każdym okażą się braki i luki, których człowiek przewidzieć, ani usunąć nie jest zdolny i uczyniwszy, według mniemania swego wszystko, co uczynić mógł, zawsze jednak coś jeszcze pozostaje mu do uczynienia. Brakuje człowiekowi elementu, bez którego niema całości, rezultatu, bez którego okrąg zawartym, ani żadna czynność skończoną być nie może. Nawet niewiara zna element ten, nazywając go „przypadkiem“, wiara zaś daje mu miano „Opatrzności“. A więc w rezultacie, niewiara zeznaje to samo co religia, że człowiek ukazuje się bezsilnym i zgoła niedoskonałym w dziełach swoich.

Jakiebyśmykolwiek zaufanie chcieli wzbudzić w samych siebie, przyznać musimy, że cała nasza egzystencya składa się z elementów od nas niezależnych, i prawda ta stworzyła przysłowie: „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi“. Człowiek zapobiega, a Pan Bóg nim kieruje, tak zawsze było i jest po dziś dzień. Nie myślę żeby zdobycze wiedzy cokolwiek pod tym względem zmienić mogły. Nauka odkryła siły materyi, naginając je niejako do usług naszych. Lecz służą nam tylko pod jednym warunkiem, mianowicie, abyśmy nawzajem oddali im się

w służbę. Gdy widzimy człowieka unoszonego parowozem, mówimy: jakiż to ładny widok, oto owoce postępu. Gdzie już owe czasy, w których trzeba było kilku dni do przebycia przestrzeni, którą przebywany teraz w kilku godzinach! Występuje człowiek w istocie jako król przyrody. Jako król, zgoda, lecz biada mu jeżeli przekroczy jedno choćby z jej praw, bo w takich razach zdarza się, że kociołek parowy eksploduje wylatując w powietrze, a z nim razem i król przyrody!

Tak jest, jest człowiek królem w istocie, lecz pod warunkiem uznania swej zależności od Boga. Wszystko bowiem czegokolwiek się tkniemy, sprowadza nas do stóp bożych i do stóp ołtarza.

I na tem by właściwie dowodzenia nasze zakończyć można, bowiem dosyć są chyba jasne i wystarczające. Lecz, że żyjemy w stuleciu, w którem pycha panuje wszechwładnie, w stuleciu, które wojując sofizmatami stara się obałamucić biedną młodzież i lud, pozwólcie mi zatem, że szerzej nieco rozwinę tę kwestyę.

Inne właściwości i znamiona odróżniają dzieła ludzkie od dzieł boskich. Skoro dzieło ludzkie zostało raz ukończone, wtedy nabiera pewnego rodzaju niezależności. Zanim jest jednak ukończone, zależy od elementów, narzędzi i materyału; kamień nagromadza się do budowli, bronz i marmur do wzniesienia pomnika, a pendzel i farby leżą przed rozpostartem płótnem. I skoro obraz, budowla lub pomnik ukończone, odwraca się od nich mistrz i zwraca ku innej pracy, a dzieło jego zostaje. Michał Anioł i Rafael nie żyją, lecz muzea rzymskie przechowują arcydzieła tych wielkich duchów. Dzieła boże są zgoła inne; nie można bowiem rzec, że Bóg wykonawszy jedno dzieło zwrócił się następnie do drugiego, bo

i jakże miałby się odwracać, skoro jest wszędzie i o tej samej porze obecny.

Lecz nietylko dla swej wszechobecności jednoczy się z nami Bóg, lecz i dla innych jeszcze przyczyn. Przyczyną tą jest ciągła zależność nasza od Boga, niezbędna dla utrzymania nas przy życiu, a uchronienia nas od niebytu. Czy widzicie dym unoszący się z machiny parowej? Machina bieży i znika w oddali, lecz dym pozostaje po niej chwil kilka. I przypatrzcie się strumieniowi górskiemu, który z wyżyny w otchłań wpada, jeżeli strumień taki zatamujemy u źródła jego, czyż dalej płynąć będzie? Odłączcie człowieka od Boga a powróci do nicości! Słyszałem następujące porównanie: Bóg jest dla człowieka tem, czem dla nieskończonego oceanu fale (morskie), które go wiecznym swym ruchem rozprzestrzeniają i utrzymują. Jest to piękne porównanie, lecz nie ścisłe. — Wstawmy przedmiot jakiś do wody, woda go tylko zewsząd obleje, lecz Bóg dla nas, stworzeń swych, więcej czyni daleko, bo przenika nas, jednoczy się z nami, jest naszem oparciem i życiem. Gdyby Bóg oddalił się od nas, gdyby odmówił nam swojej pomocy, rozpadłoby się życie nasze i znikło jako cień. Bez Boga rozum niezdolny do myśli, siła do czynu, bez Boga nie wydałyby wargi nasze dźwięku i nie widziałyby oczy nasze, bez Boga nie moglibyśmy zachować czegokolwiek. Ale na to aby coś zachować trzeba to coś posiadać, a przecież byt nasz nie należy do nas, więc jakżebyśmy nim rozporządzać mogli? Wszystko co posiadamy i to czem jesteśmy, mamy i jesteśmy przez Boga i żyjemy dzień po dniu, godzina po godzinie, minuta za minutą, jak ta wskazówka na zegarze słonecznym, która istnieje tylko dzięki słońcu.

I w istocie, gdyby mogło być inaczej, gdyby byt nasz przez jedną chwilę mógł stać się niezależnym, wtedy nastałaby również chwila, w której głos stałby się niezależnym od śpiewaka a światło od pochodni, a stworzenie stałoby się samo swoim stwórcą, bowiem istniałoby samo przez siebie. Lecz nosić w sobie przyczynę swego istnienia jest właściwością Boga tylko samego, w przeciwnym bowiem razie, stałoby się Bogiem stworzenie.

Nie zda się na nic twierdzenie, iż każde stworzenie posiada w sobie pierwiastek zachowawczy, twierdzenie takie bowiem dowodziłoby tylko niewiadomości naszej. Tak samo jakeśmy potrzebowali Boga w pierwszej chwili życia, tak samo potrzebujemy Go w następnych.

Mówimy, iż wszechświat jest jednym śpiewem, jednym chórem harmonijnym. Jest to prawdą, lecz któż chórem tym kieruje, jeżeli nie Bóg? Jest On wielkim kapelmistrzem wszechświatowego koncertu. Pod ręką bożą — pozwólcie, iż użyję tutaj porównania, tak aby mnie dziecko każde zrozumieć mogło — gra wszechświat jak olbrzymie organy. Każde stworzenie jest, jak mówi św. Tomasz, jak gdyby jedną nutą która brzmi tak długo, dopóki palec boży przyciska klawisz, lecz skoro tylko palec się podnosi, zamiera dźwięk — kończy się trwanie stworzenia, ton bowiem drga tylko dopóty, dopóki podoba się mistrzowi, który go stworzył. Nie jesteśmy zatem niczem więcej, jak tylko dźwiękiem, drgnieniem, i nasz początek i trwanie jest tylko aktem woli Boga, bez Boga, my sami i wszystko co posiadamy, przestałoby istnieć, albowiem wszystko zostało stworzone i jest utrzymywane wszechmocą i wolą Boga. Bóg wznosi prawicę

i oto powstajemy, i spuszcza ją Bóg a zapadamy się w nicości.

Oto los wszelkiego stworzenia! Bóg nie mógł powiedzieć stworzywszy świat: „Teraz odchodzę, skończone dzieło moje, a teraz wy, stworzenia rozpocznijcie wasze“. I gdyby istotnie odszedł Bóg, Bóg, który wszystko dookoła utrzymuje przy życiu nieustannie, ustałoby życie wszelkie i wszystko obróciłoby się w nicość. Dziecię, które mówi do matki: „Pan Bóg dał nam ten owoc“, nie mówi źle. Bóg bowiem stwarza twór wszelki, który go tem życiem objawia i chwali. Wszystko stworzenie oddaje Bogu cześć i dziękczynienie, każde na swój sposób, a my istoty obdarzone rozumem i sercem, nie chcielibyśmy uznać zależności naszej od Boga? Ale skoro nie chcemy uznać Jego zwierzchności i władzy nad nami, to pozwólcie zapytać się, dlaczego w takim razie, korzystamy ze stworzonego przezeń słońca, powietrza i t. d., dlaczego nie stworzyliśmy sobie sami świata naszego? Więc jakim tedy prawem buntujemy się zamiast służyć i słuchać i lżymy, zamiast wielbić? Czyśmy pomyśleli o tem coby się to stało, gdybyśmy się dali unieść pokusie buntu? To samo, co z promieniem światła, któreby się chciało odłączyć od swojego ogniska i samo przebiegać świat, i świecić. Jaki byłby los takiego promienia? Śmierć, znicestwienie! Bo z chwilą w którejby promień ów odłączył się od swego środowiska, odciąłby się tem samem od źródła ruchu i światła, które jego stanowią naturę. Podobnie z człowiekiem. Chcąc uniezależnić się od Boga, odciąłby się od wszelkich warunków egzystencyi.

I nie było jeszcze stulecia, któreby zależnie od Boga nie wypełniło doniosłego zadania zakreślonego mu

najmędrszą wolą Opatrzności. Zdarza się, że nieraz ludzkość wielbi Boga i cześć Mu oddaje pod inną postacią, bo ażeby przynajmniej nie wielbić Boga jako takiego, urabia sobie ludzkość bożyszcze z honoru, rozumu, natury, wiedzy, wolności, równości i postępu. Słowa te schlebiają uszom naszym, a wzbudzane przez nie uczucia wzruszają serca, sidłając podstępnie umysły, jest to mowa naszego stulecia, a raczej głos jego ujemnych żywiołów, które opanować i przed ołtarzem bożym ukorzyć powinno być naszem staraniem i obowiązkiem. A wtedy nad ołtarzem bożym zajaśnieje napis jak ongi nad areopagiem ateńskim: „Ignoto Deo!“ Gdybym się przez chwilę posłużył językiem naszego stulecia, powiedziałbym wam, bracia moi, wam, dzieciom czasów ostatnich, że wy bezwiednie, a jednak czcicie Boga. Zastanówcie się sami, czy nie mówię prawdy, przyjrzyjcie się bowiem po kolei wszystkim bożyszczom waszym, a uznacie, że wszystkie chylą głowy przed Bogiem i Panem swoim.

Pierszym waszym bożyszczem jest honor, godność wasza osobista, baczycie na nie pilnie i powołujecie się na nie nieustannie. Lecz godność czyli honor musi być czystym i ustalonym, a czystość takową mąci i stałość zachwiewa brak poczucia, iż pierwszym obowiązkiem ludzkim jest: „oddać Bogu co bożego“. I cobyście powiedzieli o honorze żołnierza, któryby oddawał należne oznaki czci kapitanowi, a zaniedbałby takowych względem jenerała?

Przyjrzyjmy się innemu bożyszczu ludzkiemu, naturze. Wdzieramy się coraz głębiej w jej tajniki a postępy nasze w tym kierunku należą do największych zdobyczy stuleci; ale natura jest działaniem przyczyn

a nie ich źródłem, i im wspanialszy przedstawia nam fenomen, tem jaśniej ukazuje nam moc wyższą, która nią rządzi.

Rzućmy okiem na inne jeszcze bożyszcze ludzkie, na rozum. W imię rozumu szerzycie wiedzę i toczycie walkę o hasła, a ja wam mówię, również w imię rozumu, że Bogu zań cześć składać powinniście, ponieważ udzielił go wam Bóg. A gdy ograniczony rozum ludzki staje bezradny wobec tajemnicy życia przyszłego, musi zawezwać pomocy Objawienia, które mu klucz do niej podaje. I zastanówmy się, czy odrzucając tę pomoc czynimy rozumnie, i czy sami, bez tej pomocy doszlibyśmy do jakichkolwiek wyników?

I przyjrzyjmy się jeszcze innemu bożyszczu — wiedzy. Nie mam tu na myśli wiedzy głębokiej, prawdziwej, lecz tę dwuznaczną, nadętą wiedzę, którą popisuje się tak łatwo i chętnie, po dziś dzień wielu. M. S.! to jedno jest niezachwianym pewnikiem, że jeżeli uczonych nie zbliża ich wiedza do Boga, najlepszy to dowód, że nie za wiele i niezbyt głęboko myśleli. Bacon powiedział: „Głęboka wiedza sprowadza nas do Boga, średnia zaś oddala nas od Niego, bowiem wiedza taka oszukuje człowieka a nie oświeca“.

Wolność! W imię tej wolności zaprzecza się dzisiaj Boga! Lecz ponad te głosy podnoszę głos mój i wołam do was ludzie: Któż przyniósł wolność prawdziwą na ziemię? Chrystus Pan, który założył podwaliny prawdziwej wolności!

I jeszcze inne hasło ludzkie, mianowicie — równość. Lecz ludzie nie zdają sobie z tego sprawy, że jedna tylko może istnieć równość, równość wobec Boga, wobec Chrystusa Pana. Bóg uważa nas za dzieci swoje, Chrystus Pan za braci, za wszystkich nas bowiem umarł, i za wszystkich krew swoją przelał.

Braterskość — i pod tym względem objawiają ludzie złą wolę albo niewiadomość. Któż bowiem słowo to pierwszy wymówił na ziemi? Któż to, jak nie Chrystus Pan obwieścił nam naukę o braterstwie ludzkości, i któż pouczał ją o tem, jak nie Chrystus Pan? Braterstwo jest więc słowem i sprawą Boga, Pana naszego.

Ostatnie bożyszcze — postęp. Jest on koroną spraw ludzkich, lecz o ile służy dziełu bożemu i prawdzie.

Powinna ludzkość wreszcie uznać prawdę, którą nam historya tak jasno i dobitnie podaje: że dla pożądanego rozwoju społeczeństwa nie wystarcza sama tylko wiedza ani sława, lecz że ponad wszystkiem powinien stać Bóg. Odczuwamy w naszem stuleciu działanie dwóch przeciwnych sobie prądów, jeden z nich skrzydłami miłości unosi nas ku Bogu, a drugi popycha w przepaść wątpliwości, nienawiści i rozpaczy. Znamienną jest mowa naszego stulecia i podwójne ma ona znaczenie, właściwym celem jej jest zamknięta w niej myśl boża. Wraz z pobudzonem uczuciem godności osobistej, odkrywa nam się droga do prawdy i oświeca rozum nasz do zgłębienia tajemnic stworzenia drogą wiary, bez której stworzenie pozostałoby dla nas zawsze nierozwiązalną zagadką. M. S.! pozwólcie mi przytoczyć tutaj słynne powiedzenie de Maistr'a, które brzmi: „Miejmy nadzieję że stulecie nasze, które zaczęło swój żywot od ogłoszenia praw ludzkich, zakończy je uznaniem praw boskich!

II. M. S.! Jakiemi są prawa Boże? Jakie są nasze względem Niego obowiązki? Przedewszystkiem musimy zdać sobie sprawę z tego co nie jest prawem bożym, i co nie jest naszym obowiązkiem. Bóg ma wszelkie

do nas prawa, ponieważ wszystko co posiadamy i czem jesteśmy, Jemu zawdzięczamy. Bóg dał nam umysł, dlatego ma prawo żądać, aby umysł ten uznawał Go i wierzył w Niego; obowiązkiem naszym jest zatem wierzyć. Dał nam wolę lecz na to, abyśmy dobrowolnie przykazania Jego wypełniali, dlatego jest naszym obowiązkiem wypełniać te przykazania. Bóg jest sprawcą otaczającego nas stworzenia, więc i wszechwładnym Panem jego, sam też unormował prawa nasze i stosunki do stworzenia, dlatego powinniśmy poddać się tym prawom. Bóg jest sprawcą życia naszego i jego rozwoju, dlatego ma Bóg prawo do życia naszego, do lat, dni i godzin jego, do dzieciństwa naszego, naszej młodości, wieku dojrzałego i starości, do naszego pierwszego i ostatniego tchnienia.

Chcąc tym prawom zaprzeczyć, trzebaby zadać kłam całemu stworzeniu, a stworzenie porywające się na prawa boże, wielkiej dopuszcza się nieprawości.

M. S.! Częstokroć niejeden z nas chwali się, mówiąc: „Nie obraziłem nigdy niczem bliźniego mojego, nie przyniosłem nigdy uszczerbku ani jego godności, ani własności, jestem zatem człowiekiem honorowym“. Godność człowieka polega jednak na tem, ażeby oddać każdemu, co mu się od nas należy. Skoro więc nie oddajemy w pierwszym rzędzie Bogu co jest bożego, mniejsze daleko w obec tego ma znaczenie, czy naruszyliśmy w jakikolwiek sposób dobro człowieka, lub nie. Z chwilą, gdy odmawiamy Bogu Jego należytości, słusznie też i współbracia nasi obawiać się mogą, że gdyby nie powstrzymywały nas ochronne zarządzenia ludzkie, targnęlibyśmy się na ich dobro, gdyby nam to jakąkolwiek przedstawiało korzyść. Coby się stało z prawami poszczególnych jednostek, z wolnością, własnością, gdyby

nas własne sumienie nie pociągało do odpowiedzialności? Na czem opierałyby się i jakąż moc nadaliby prawodawcy prawom swoim, gdyby nie prawa boże? Jakiemby prawem jeden człowiek mógł rozkazywać drugiemu, gdyby nie był upoważnionym zwierzchnictwem nadanem mu przez Boga? Czyżby prawem przemocy? „Sic volo, sic jubeo stat pro ratione voluntas?“ Jestto jednak zasada tyrańskwa, które rychło bywa obalane. Czyżby do władzy jednego człowieka nad drugim upoważniać miała genialność umysłowa? Ale genialność nie jest rzeczą któraby zawsze dała stwierdzić dowodnie na zewnątrz. a w każdym razie z takim geniuszem współzawodniczyć by mogli i inni. Lub czy zdobyć by można autorytet powszechnem głosowaniem? Z powołania mojego troszczę się tylko o sprawy dotyczące wiary i unikam z daleka kwestyi politycznych. Lecz w tym wypadku, skoro zaczepiam raz o kwestyę społeczną, przyznać mi racyę musicie, iż jestto niezbitą prawdą, iż ludzka zwierzchność powinna pochodzić i opierać się na zwierzchności bożej.

A przecież są ludzie, którzyby radzi zaprzeczyć zwierzchności bożej nad światem, a przytem nawołują: „Dochowujcie statecznie praw naszych o własności, wolności i bezpieczeństwie życiowem“. Lecz M. S., zważcie sami, czy rozsądnemi są te słowa? Pracującej i cierpiącej masie ludu czy wystarcza wasza ludzka filozofia? Czy ten biedny, pracujący lud zadowolni się tajemnicą nicości, którą im dajecie jako obietnicę nagrody za życie pełne trudów? Przenigdy! Pamiętajcie o tem, że biada narodom, które praw bożych nie zachowują. Biada państwu jakiegokolwiek ustroju, biada zwłaszcza ludowi, jeżeli praw bożych nie uznaje. Louis Blanc w swojej hi-

storyi dziesięciolecia wypowiedział zdanie, które pragnąłbym ujrzeć utrwalone wszędzie: „Wszystko co się usuwa z pod zwierzchności bożej, przechodzi pod samowładzę katowską!“

Zdanie to dowodzi, jak to sami widzicie, że skoro tylko naród gwałci prawa boże, popada zaraz prawom brutalnej przemocy.

Dlatego to wy wszyscy, którzy o prawa ludu walczycie, ty przedewszystkiem młodzieży, która bronisz praw ludu, bowiem w was lud pokłada nadzieje, posłuchajcie słów tych: „Istnieje jedno tylko możliwie wykonalne hasło: uznanie praw bożych, które chronią praw ludu, w przeciwnym bowiem razie szybkimi kroki popadniecie pod władzę tyrańskwa“.

VIII.

Religia.

M. S.! Dał Bóg człowiekowi wolność. Stworzył Bóg człowieka istotą wolną, lecz nie stworzył i nie mógł stworzyć istotę zupełnie niezależną. Człowiek z konieczności zależy od Boga i ma względem Boga wielkie i święte obowiązki do spełnienia. A teraz — jak zachowuje się człowiek względem tych obowiązków? Obowiązki nasze względem Boga zawarte są w religii. Jak jednak ludzie przyjmują i wykonują przepisy religii? Jestto dowiedzioną prawdą, że zapoznanie przepisów religijnych powodowało zawsze groźną w następstwa chorobę organizmu społecznego, a w naszem stuleciu to odsunięcie wiary z życia ma ogólną barwę i znaczenie. Lecz współcześni zatopieni sami w sobie, zmęczeni wynalazkami i szybkim postępem świata, zapominają o tem, iż są istotami stworzonemi, zależnemi, podlegającemi prawom i obowiązkom. Ludzie teraźniejsi uważają się za władców świata a nie tylko użytkowników tegoż, według ich mniemania ludzkość szybkim krokiem dąży do wyzwolenia się. Cześć, rozum, wiedza, natura, wol-

ność, równość, braterstwo, postęp — oto ich ulubione hasła i potężna myśl przewodnia naszego stulecia. Niektórzy pogrążeni w interesach, spekulacyach i przyjemnościach, proklamują zupełną zbyteczność religii, inni znów twierdzą, że Bóg był pięknym pomysłem średniowiecza, a religia Jego mądrze obmyślonym systemem autokratycznym, lecz dzisiaj jest Bóg tylko przestarzałem wyobrażeniem, z którego wyzwolić się najwyższa pora. I oto mamy obraz duchowy naszego stulecia z jego ulubionemi doktrynami!

Bywało i dawniej, że młodzież obojętniała względem praktyk religijnych, lecz zatrzymywała przynajmniej wiarę w Boga, nadzieję w zasługi Jezusa Chrystusa i jakąś iskierkę miłości bożej, którą lada cieplejszy podmuch ożywiał na nowo. Lecz dzisiaj nie istnieją dla nich Sakramenta św., nie istnieje Bóg! Czyście kiedy obserwowali uważnie tych młodych, którzy w nic nie wierzą? Miałoby się ochotę z nich śmiać, gdyby litość nad nimi nie wyciskała łez z oczu. Opuściwszy zaledwie szkołę, niezdolni ni jednej dojrzałej myśli, a potępiają religię, której hołdowały wielkie umysły. 19-cie wieków chrystyanizmu to dla nich bajka; obcą jest im wiara Chrystusowa i dlatego najczęściej w nią nie wierzą. Pewien znakomity człowiek powiedział: „Zbadałem i uwierzyłem“. — Lecz młodzież nasza nie bada i z góry odrzuca chrystyanizm i wszelkie przepisy religijne, mówiąc: „Na co religia, skoro żyć bez niej można“. Więc myślicie, że można żyć bez religii? Otóż że nie można, religia bowiem tylko zciera z człowieka znamię nieprawości. O tem to właśnie zamierzam mówić dzisiejszego poranku, jest bowiem sprawą wielkiej wagi ostrzegać młodzież przed trucizną, którą ją karmi społeczeństwo.

I. M. S.! Czy można żyć bez religii? Stwierdźmy to. Co to jest religia? Religia jestto określenie stosunku naszego do Boga, t. z., że jest zbiorem dogmatów, przepisów moralności i kultu. 1) dogmatów, które są wyrazem stosunku ograniczonego rozumu ludzkiego, do nieskończoności i doskonałości rozumu bożego; 2) przepisów moralności, które są wyrazem stosunku niedoskonałej woli ludzkiej do doskonałej woli bożej i 3) kultu, będącego wyrazem dziękczynienia, czci i miłości, które stworzenie Stwórcy winno. I czyż można żyć bez tych czynników? Z wszystkich krańców ziemi podnosi się głos wołający potężne: „Nie“. Bo pokażcie mi naród bez wiary, bez moralności, bez kultu, jednem słowem naród bez religii? Nie znajdziecie takowego! Tu i ówdzie znajdziecie tylko jednostki bluźniące Bogu, lecz zagłusza je hymn chwały całego świata, wznoszący się do tronu bożego. — Bo rzućcie okiem wstecz, ku minionym stuleciom gdziekolwiek w obręb kuli ziemskiej, tak u ludów dzikich jak i cywilizowanych, napotkacie zawsze ołtarz i świątynię i przekonacie się, że człowiek zampomnieć może o sztuce i wiedzy, lecz nie o religii.

We wschodnim hebrajskim i chrześcijańskim świecie ogarnia wszystko idea nieskończonego Boga. W państwie rzymskiem, królewski ten naród przez swoich filozofów, wodzów i poetów objawia swoją religię; religia jest u niego podstawą społecznego ładu i źródłem dobrobytu. Na całym świecie objawia się zjawisko religii to samo u wszystkich ludów; łakną one bowiem Boga, i wszystkie krążą dookoła idei boskości.

I czegóż dowodzi ten powtarzający się wszędzie objaw? Że religia jest głęboko wkorzenioną potrzebą natury ludzkiej i że bez niej człowiek żyć nie może.

Zapytajcie o to własnego waszego rozumu. Gdyby można bronić odrzucenia godnej doktryny, którą nawet Voltaire zwie doktryną głupstwa, gdyby bronić można ateizmu, gdyby prawdą było, że nie istnieje Bóg, wtedy możnaby żyć bez religii. Bo i na cóż stosunku z Bogiem, skoro ten Bóg nie istnieje? Lecz skoro istnieje Bóg, który powołał nas do życia, dlaczego nie mielibyśmy składać Mu dzięki za życie, które mu zawdzięczamy? Jeżeli istnieje Bóg, który nami rządzi, który mówi nam co złe a co dobre, dlaczego nie mielibyśmy zachowywać praw Jego? Jeżeli istnieje Bóg który po śmierci sądzić nas będzie, dlaczego nie mielibyśmy przygotować się godnie do obrachunku z Nim? Rozsądek mówi nam, że człowiek jest zależnym od Boga i że uznawać musi tę zależność, składając Mu hołd całą swoją istotą.

Wielu dowodzi, że Bóg będąc nieskończenie szczęśliwym nie potrzebuje przecież hołdu stworzeń swych, mylnem jest jednak to twierdzenie, bo chociaż Bóg rzeczywiście nie potrzebuje dla swego szczęścia hołdu stworzeń swych, to jednak dla naszego dobra nie może zwolnić nas od tego względem Niego obowiązku.

Nie może zatem podlegać dyskusyi zasadniczy pewnik, iż stworzenia zależne są od swego Stwórcy i że odwoływać się do Niego muszą. A zdrowy rozsądek mówi człowiekowi: po akcie stworzenia stała się religia koniecznością!

Lecz nietylko dlatego nie można żyć bez religii, że jest fundamentalnem prawem naszego bytu, lecz także dlatego, że jest ona wstępnym warunkiem naszego szczęścia. Bo od czegóż zależy szczęście nasze i powodzenie? Szczęście jednostki zależy od udoskonalenia się i rozwoju duchowych jego zdolności. A jakież są te nasze duchowe zdolności? Są niemi: myślenie, kochanie i działanie. Ażeby zatem człowiek mógł być szczęśliwym, musi przedewszystkiem rozum jego poznać prawdę, bowiem rozum jest dla prawdy stworzony, szuka prawdy, garnie się do niej jak roślina do światła i ciepła. Ażeby człowiek mógł być szczęśliwym, musi serce jego ukochać dobro, bowiem serce stworzone jest do miłości jak ptak do lotu. Ażeby człowiek mógł być szczęśliwy, musi sumienie jego stosować się do wskazówek regulujących jego czynności. Gdzie jednak szukać tych wskazówek jeżeli nie w religii? Religia doskonali rozum, ponieważ ustala jego styczność z Bogiem, doskonali serce, albowiem daje mu zażywać spokoju w Bogu, wprowadza ład do czynności naszych, ponieważ wprowadza umysł nasz w porozumienie z Bogiem. Zatem szczęście człowieka leży w religii, lecz że zupełna szczęśliwość nie jest udziałem życia ziemskiego, dopełnia religia nadzieją tego czego nam tutaj nie dostaje, ukazując nam lepszą krainę przyszłości. Stąd to pochodzi ten spokój i pogoda, która maluje się na obliczu głęboko religijnych ludzi.

Lecz nietylko dlatego nie możemy żyć bez religii, że jest ona fundamentalną podstawą naszego życia i warunkiem naszego szczęścia, lecz także i dlatego, że tylko religia użycza nam prawdziwej wielkości i siły. Prawdziwą wielkość! Bo jakże istotnie wielkim jest człowiek jeżeli nań patrzymy z punktu widzenia religii! Pochodzi od Boga, który stworzył go na obraz i podobieństwo swoje. Lecz jakże inaczej wygląda zaraz człowiek wyzuty z religii! Gdyby pragnienia nasze i nadzieje nie wiązały się z wiecznością, to widok umierającego człowieka nasuwałby nam z pewnością myśl: o! jakże marną istotą jest człowiek! Nikłem złudzeniem

i cieniem tylko! I rzeczywiście, przychodzi on na ten świat, zajmuje miejsce pomiędzy istotami żyjącemi, spędza na nim kilka znikomych lat, czasem trochę narobi sobą hałasu i kładzie się do grobu. I to byłoby życiem? Ależ w takim razie los bezrozumnego zwierzęcia byłby bardziej pozazdroszczenia godnym od naszego, bo zwierzę przynajmniej nie doznaje wyrzutów sumienia za popełnione w przeszłości winy, nie doznaje goryczy teraźniejszości i obawy przyszłości.

Nasza siła! Co daje człowiekowi prawdziwą siłę? Religia czyni człowieka niepokonanym, ukazuje mu bowiem granicę, której nic przekroczyć go nie zmusi. Czyni go odpornym nawet względem okrutnego tyrańskwa, wkładając mu w usta piękne słowa: „Boga się boję a poza tem nikogo na świecie“. Bo skoro człowiek pozbędzie się wszelkiej religii i słucha tylko podszeptów ciała, popada wnet w tyrańskwo przytłaczające godność jego i sumienie. Dlatego to powiada Arystoteles mówiąc o męstwie: Dusza nie mająca bojaźni bożej nie jest mężną, jest bezsilną i słabą, bo tak samo jak człowieka, który wszystkiego się boi mężnym nazwać nie można, tak i takiego, który niczego się nie boi, nawet Boga, mężnym by nazwać nie można“. A Platon powiada: „Tak jak pies towarzysząc swojemu panu jest odważniejszy, czuje bowiem poza sobą istotę wyższą, tak i człowiek wierzący w Boga posiada męstwo, na które bez tej wiary zdobyć by się nie mógł“.

Czy dacie wiarę, że mówiąc o niezbędności religii w życiu ludzkiem nie powiedziałem jeszcze najważniejszej rzeczy? Mianowicie, że tylko dzięki religii różnimy się od zwierząt. Bo czemże innem zasadniczo różnimy się od nich? Czyż zdolnością doskonalenia się, rozumem,

mową? Bez wątpienia, zaznaczamy naszą wyższość nad wiatem zwierzęcym, mówiąc i myśląc. Bo dopokąd goryl nie napisze swojej „Boskiej komedyi“, ani nie zaoży szkół w swoich lasach, dotąd możemy ich za przodków naszych nie uznawać. Z pewnością, iż zdolność nasza do doskonalenia się i postępu dowodzi również wyższego naszego pochodzenia, bo podczas gdy my postępujemy ciągle, ci nasi domniemani przodkowie z lasu pozostają ciągle na tym samym stopniu kultury, jak przed setkami lat. Dowodzimy również wyższości naszej mową, podczas gdy mieszkańcy lasu nie przysyłają nam jeszcze swoich czasopism ani dzienników. Jednak niektórzy badacze natuty dowodzą, że wszystkie te własności w niższym i niedoskonałym stopniu zdołali spostrzedz i u zwierząt. Lecz z chwilą gdy człowiek wzniósłszy wzrok ku niebu woła: „Wierzę w Boga“, gdy klęka i modli się do Boga i Pana, z tą chwilą dzieli go niezmierzona przepaść od świata zwierzęcego, bowiem zwierzęta chociaż podległe Bogu nie znają Go, i tylko człowiek otrzymał przywilej poznania Boga. Nie przystoi zatem człowiekowi i uchybia jego godności iść w życie przecząc Bogu, mając bowiem zwrócony wzrok tylko ku temu co poziome, znaczy „nie być człowiekiem“, a powiada Alfred de Musset: „...albowiem nie wierzyć w nic jest tylko przywilejem i cechą zwierząt“.

Pewien młody człowiek odbywszy studya za granicą, znajdując się razu pewnego na licznem zebraniu towarzyskiem, przyznawał się otwarcie i bezwstydnie do swoich przekonań ateistycznych. Widząc jednak, iż nikt zdania jego nie podziela, zawołał: „Czyżby wszyscy tu zebrani należeli jeszcze do tych ciasnych umysłów wierzących w Boga? Oto skutki ciasnego zasklepiana się

u siebie! Gdybyście byli słyszeli tych ludzi, którzy stoją na czele ruchu umysłowego społeczeństwa ludzkiego, gdybyście poznali szkoły, do których uczęszczałem i słyszeli przemów moich profesorów, przestalibyście wierzyć w tego rodzaju brednie". „Przepraszam pana", odparła na to gospodyni domu, „są w tym pałacu dwie istoty dzielące zdanie pana, mianowicie mój koń i mój pies, ale nie potrzebowali na to aż zagranicznych szkół i profesorów, lecz poczciwe te istoty mają przynajmniej na tyle rozsądku, że nie chwalą się tem głośno".

Ostra i upokarzająca odpowiedź, lecz zasłużona i prawdziwa. Jeden z najsłynniejszych filozofów nowożytnych Quatrefage twierdzi dowodnie, że człowiek nie jest prostym odłamem świata zwierzęcego, lecz stanowi sam dla siebie czwartą osobną kategoryę stworzenia.

Przytem nauka przekonuje nas dowodnie, że człowiek z natury swojej jest religijny, i że dlatego właśnie jest człowiekiem a nie zwierzęciem. Ci, którzy nie mają religii, schodzą z wysokiego stanowiska ludzkiego do zwierzęcego, stając się przez to potworami tak w społeczeństwie ludzkiem jak i zwierzęcem. — Lecz idźmy dalej. Nie można żyć bez religii ponieważ brak jej wyciska na życiu ludzkiem piętno złości i niesprawiedliwości. Co to jest sprawiedliwość? Jest to cnota, która oddaje każdemu co się komu należy. I tak, dziecko otrzymawszy od rodziców życie a następnie wychowanie zaciąga wobec rodziców dług, który spłacić jest obowiązkiem jego synowskiej miłości. Gdyby się ktokolwiek uchylał o tego rodzaju obowiązku, postąpiłby nietylko wbrew naturze lecz i niesprawiedliwie, nie oddałby bowiem bliźniemu, i to najbliższemu z bliźnich, to co mu powinien. Obywatel względem ojczyzny zaciąga podobny

dług jak względem matki, ponieważ ojczyzna ochrania go i utrzymuje, więc winien jej odpłatę za dobrodziejstwa, które od niej otrzymuje; dlatego żąda od nas słusznie sprawiedliwość, ażeby każdy bronił sławy i wolności swojej ojczyzny, czyli innemi słowy — patryotyzmu, który jest rodzajem religii względem ojczyzny. W końcu żąda sprawiedliwość ażeby się opłacać dobroczyńcom za otrzymane dobrodziejstwa; bowiem otrzymane dobrodziejstwo jest zaciągniętym długiem, który albo czynem albo przynajmniej wdzięczną pamięcią spłacić trzeba.

Otóż Bóg jest naszym ojcem, ojcem wszystkich ojców, wszystko czem jesteśmy i co posiadamy Jemu zawdzięczamy, Bóg znaczy dla nas więcej jak ojczyzna, bo ojczyzna jest doczesną, Bóg zaś wiecznym. Bóg zatem jest naszym największym dobroczyńcą, dlatego ni wolno nam żyć nie składając Mu dziękczynienia i czci należnej. Dlatego kto żyje bez religii jest przedewszystkiem złym synem, który długu swego względem najlepszego ojca spłacać nie chce, jest niegodnym obywatelem, niewdzięcznikiem, który nie chce uznać otrzymanych dobrodziejstw. A kto się takiej dopuszcza winy, ten o sobie powiedzieć nie może: „Jestem człowiekiem honorowym i sprawiedliwym". Zatem, życie bez religii nosi na sobie piętno niesprawiedliwości i niewdzięczności.

„Religia", mówi Bacon„ jest pancerzem wiedzy". — Mógł był powiedzieć: „Religia jest pancerzem życia". Pewien znakomity człowiek powiedział raz w tej sprawie: „Gdyby nie było religii istniałoby według mnie jedno tylko szczęście a tem szczęściem byłoby — nie rodzić się wcale". — Bo bez religii, bez jej światła, bez

jej nadziei życie byłoby bezsensowne i bezcelowe. Bez religii niema spokoju dla serca, sumienia i rozumu ludzkiego. Niema spokoju dla serca, bo człowiek odłączony od Boga, pozostawiony sobie, gubi się w niepewności, zapytajcie mędrców tego świata, czy całą wiedzą swoją, zdołali ugasić nieugaszone pragnienie serca? — Niema spokoju dla sumienia, ponieważ każdy na nowo popełniony grzech jest jak gdyby nowe ogniwo, które przydłuża łańcuch wyrzutów sumienia. Bez religii błądzi rozum po manowcach i nie znajdując oparcia, popada z jednego zwątpienia w drugie. I właśnie S. M. wy młodzieży, któraś tych uczuć może nie doświadczyła na sobie, właśnie te wątpliwości i ta bojaźń ducha dowodzą potrzeby religii. Przypatrzcie się człowiekowi, który wątpi o tem czy Bóg istnieje i czy Bogu wdzięczność powinien. Biedny człowiek! Jakże często ogarnia go zewsząd nieznośne zwątpienie! Wczoraj wątpił o Bogu, dzisiaj wątpi o słuszności swojego wątpienia, wątpi o sobie samym; spogląda w niebo i mówi: „może?“ Na każdym kroku słyszy słowa: Bóg, Chrystus, dusza, a ponieważ nie rozumie znaczenia tych słów, zamyka przed nimi uszy. Rzuca się na pole nauk materyalistycznych, przekazuje innym bogatą spuściznę naukową, a jednak w duszy jego pozostaje pustka. Temu, kto mu o Bogu mówi odpowiada: „Pozostaw mnie w spokoju, jestem człowiekiem trzeźwym, nie troszczę się o takie sprawy!“ Lecz możnaby mu na to odpowiedzieć: „Biedny człowieku, czy wiesz skąd pochodzisz, gdzie idziesz?“ „Nie“. „A jak nie wiesz, jakżeż możesz żyć w spokoju?“ Nie zaznając zaś spokoju, skąd czerpać mamy siłę do życia, by godnie nosić, jeżeli już nie imię chrześcijanina, to przynajmniej człowieka?

Ze spokojem, tracimy radość życia, błogie sny i nadzieje przyszłości znikają z duszy pozbawionej religii. Melancholia, smutek, nuda, oto wtedy nasi towarzysze, towarzysze ludzi pozbawionych wiary. „Życie przynosi mi z sobą tylko smutek, smutek który mnie trawi i wszystkie dnie mi zatruwa“, mówił pewien młodzieniec zepsuty przez swoich towarzyszy. Skoro nie mamy religii, wnet owładają nami namiętności, a zły duch rozpaczy prowadzi nas przemocą nad krawędź zguby, tracimy świadomość naszej siły i w końcu tracimy wiarę w życie. Oto otchłań, w którą w końcu wtrąca człowieka brak religii.

Ale nie koniec na tem. Jest w tem wszystkiem coś jeszcze straszniejszego. Dajmy na to, że niewierzącym dobrze powodzi się na świecie, nie leży jednak w ich mocy powstrzymać w biegu to życie, które mija! Człowiek, który nurzał się w przyjemnościach i rozrywkach, nie myślał o tem, że mijają sny młodości i zużywają się siły. Lecz oto dobiega do szczytu życia i z szybkością błyskawicy, stacza się na drugą jego stronę, spostrzegając z daleka swój grób, a grób ten przybliża się coraz bardziej i w końcu otwiera się przed nim. Któż wypowie, co w takiej chwili dzieje się w duszy, dla której zgasło światło wiary? Wtedy, pole zabaw i przyjemności przedstawiają się nam jako zwiędłe kwiaty u schyłku lata, ujrzymy marność i pychę żywota. A któż opisze katusze takiej duszy przy śmierci ukochanej osoby? Któż opisze katusze duszy spragnionej światła i prawdy, chcącej przeniknąć przyszłość, radzącej się wiedzy, nieba i ziemi, a otrzymującej za całą odpowiedź zagadkowe: „może“? Panuje w niej nieopisany lęk i nieustanna walka umysłu z sercem. Smutna ta dusza upada

w końcu wyczerpana na ziemię i radaby zmięszać się z jej prochem! — Czasem wyższe, szlachetne porywy natury ludzkiej biorą górę, pamięć przeszłości, przeczucie przyszłości, w końcu wyrzuty sumienia, jak gdyby nagłym światłem rozjaśniają duszę człowieka. Szczęśliwy ten, który w takiej chwili powraca do Boga! Lecz stokroć nieszczęśliwy, jeżeli łaskę bożą odpycha do końca. I możecie łudzić wszystkich dookoła siebie, lecz samych siebie oszukać nie potraficie nigdy, wy którzy pod pozorem spokoju kryjecie skołatanego ducha. I jeżeli egzystencye takie nie uciekają się do gwałtownego ukrócenia życia, to zamierają powoli w beznadziejności i rozpaczy. Lecz zamiast znaleźć w grobie upragniony spokój, niebyt, — stają przed obliczem Boga żywego. I oto rezultat życia bez religii! Bez religii są ludzie biednymi rozbitkami, którymi miotają fale na wsze strony, nieszczęśliwymi wędrowcami, którzy zbłądzili w piaskach pustyni, dorównywują odrzuconym duchom, które utraciwszy Boga na zawsze, nie przestają oskarżać same siebie jedną tylko skargą: „Utraciłyśmy Go na zawsze!“ Bogiem niedowiarków jest zwątpienie i fatum ślepe, niezmienne przeznaczenie, niebem ich jest kruszec, do którego zwracają się wszystkie pragnienia ich dusz. Gubią się w zamęcie skarg, przekleństw, krzyków bólu i rozpaczy, i w końcu jedni popadają w stan zezwierzęcenia a drudzy kończą samobójstwem.

II. Rzecz dziwna, S. M., sam nawet niedowiarek uznaje potrzebę religii, nie mówi bowiem: „Nie mam religii“, ponieważ czuje, że sprzeciwia się to zdrowemu ludzkiemu rozsądkowi, równając człowieka ze zwierzętami, lecz mówi: „Mam moją religię“. — Przyznać się muszę, że nie mogę zrozumieć znaczenia tych słów!

Czyżby one znaczyły, że człowiek według swojego widzimisię stwarza dla siebie religię? Ale powiedzieliśmy wyżej, że religia jest określeniem stosunków pomiędzy Bogiem a człowiekiem, więc ażeby być konsekwentnym trzeba albo przyjąć religię taką, jaką nam podał Bóg, albo żadną. — „Mam moją religię“, znaczy chyba: „przyjmuję z religii to tylko, co mi się podoba!“ Bez wątpienia wygodne urządzenie, ale w takim razie przyznajcie sami, że tyle byłoby religii ile głów! Cobyście pomyśleli o obywatelu, któryby wołał na ulicy: „Precz z prawem państwowem, ja chcę prawa, któreby mnie dogadzało, albowiem inne są głupie!“ Cobyście pomyśleli o żołnierzu któryby wołał: „Zostawcie mnie w spokoju, ja chcę służyć ojczyźnie według własnego upodobania“. A co o służącym, któryby rozkazy swego pana wykonywał według swego widzimisię? Wtedy rzezimieszek uliczny miałby prawo odepchnąć policyanta, mówiąc: „Zostaw mnie w spokoju, albowiem jest to moją religią cudze dobro bezcześcić i zabierać“. Nie, stanowczo nie przystoi człowiekowi: „Taką a taką jest moja religia“. Lecz jest obowiązkiem naszym powiedzieć Bogu: „Oto Twoja religia Panie, a naszym obowiązkiem jest wypełniać ją“.

Religia jest regułą do której stosować się powinniśmy, według której powinno się kształtować nasze życie, i według której, kiedyś sądzeni będziemy. Człowiek potrzebuje religii w życiu, a potrzeba ta odczuć się daje zwłaszcza w chwili bolu i śmierci. Ból odziera nas ze snów i złudzenia, stawiając nam przed oczyma gorzką rzeczywistość. Wtedy dusza, która w dniach szczęścia odwróciła się od Boga, budzi się jakby ze snu i powraca do Niego. Cóż dopiero w chwili śmierci! M. S.! praktykująca wiara i śmierć, są to dwie rzeczy, które się cał-

kowicie ze sobą zgadzają. Jeżeli wiara jest silna i szczera, wtedy patrzy śmiało śmierci w oczy, przeciwnie dla niewierzących jest śmierć największem nieszczęściem. Spytacie może, jakże, czy śmierć nie jest dla niewierzących tym progiem, który prowadzi ich do tak upragnionego królestwa nicości? Nie, zaiste nie, i, im bardziej zbliża się dusza do grobu, tem jaśniej patrzy, tem łatwiej przenika ciemności błędu i uprzedzenia. Doznali uczuć tych i dwaj wielcy filozofowie ubiegłego stulecia, Voltaire i Diderot, musiano otoczyć wartą ich łoża śmierci, aby zapobiedz ich nawróceniu. W naszem stuleciu zdwojono usiłowania tego rodzaju, utworzono związki którymby można nadać nazwę — towarzystw ubezpieczenia przeciw Bogu. A w tych stowarzyszeniach, które przeważnie zasila się ludem, składa się obietnicę wyrzeczenia się Boga aż do końca życia. Lecz ufajmy i dziękujmy Bogu, iż w duszach, które całe życie za Nim tęskniły obudzi pod tchnieniem śmierci zamarłą wiarę, i, że Bóg osładza ostatni ciężki bój umierającego i utrzymuje w nim nadzieję, ukazując mu niebo a w niebie miłość, zawsze przebaczyć gotową. Myśl ta pociesza mnie, ile razy widzę kogoś umierającego bez pociech religijnych. Bóg tak bardzo kocha duszę ludzką, iż zsyła jej w chwili ostatniej bodaj promyczek światła niebieskiego, pod wpływem którego nawraca się, i grzechu swego żałuje. Jednakże bracia moi, nie odkładajmy na tę ostatnią chwilę powrotu naszego do Boga, bowiem śmierć może nas łatwo zaskoczyć z nienacka. Odrzućmy precz błędy i uprzedzenia, zdobądźmy się na odwagę wyzwolenia się z pod tyrańskiej opinii ludzkiej, a wtedy serce nasze i duch nasz zdobędą wolność i w słodkiem jarzmie pańskim odnajdziemy z pewnością na nowo, utracony spokój.

IX.

Rodzina.

M. S.! Istnieje instytucya stanowiąca podstawę życia społecznego, instytucya ufundowana ręką mistrza, albowiem ręką samego Boga, którą nazwać musimy podstawową, albowiem nie można jej naruszać, nie naruszając zarazem całego gmachu społecznego. Jest nią święta instytucya rodziny. Ważniejszą jest ona prawie od ojczyzny, a małe społeczeństwo rodzinne ważniejszem od ogólno-ludzkiego społeczeństwa, ponieważ byt tego ostatniego ściśle jest związanym z bytem pierwszego, tak, że postęp lub upadek jednego, pociąga za sobą z konieczności postęp lub upadek drugiego.

A jednak w czasach naszych teorye społeczne i humanitarne utopie pomijają całkiem rodzinę. Zapomina się wogóle, że rodzina jest rdzeniem i podstawą naszego istnienia. Rodzina jest drugą duszą ludzkości" powiedział pewien wielki uczony. Zapominają o tem jednak niestety aż nadto często prawodawcy, biorąc w rachubę tylko albo indywidualne jednostki, albo ogół narodu, pomijając w ten sposób rodzinę, od której jednak pomyślność narodu zależy.

Tak jest, M. S.! pomyślność poszczególnego kraju i narodu zależy od rodziny. Historya dostarcza nam pod tym względem niezbitych dowodów. Pomyślność starożytnego Rzymu stała w ścisłym stosunku do rozwoju lub upadku rodziny. W czasach, kiedy władza ojcowska dzierżyła w rodzinie swoje absolutne znaczenie, miał i naród cały, siłę wewnętrzną i zewnętrzne znaczenie, I dzisiaj u narodów nowożytnych widzimy jaką rodzina stanowi siłę, stanowiąc zarazem o jedności zgodzie narodu; siłą taką odznacza się w pierwszym rzędzie za naszych czasów naród angielski. W Anglii ognisko domowe jest świętością i każdy Anglik dokądkolwiek się udaje, radby je zabierał ze sobą.

Zależność dobrobytu ojczyzny od dobrobytu rodziny tłómaczy się łatwo wspólnością interesów i praw obojga, a przy tem właśnie w łonie rodziny, zaprawiamy się do obowiązków, których ojczyzna od nas wymaga. Jeżeli właściwy charakter i duch rodziny podupadnie, gdzież natenczas uczyć się będziemy szlachetności myśli, dobroci i siły woli? Cnoty te stanowią również o sile wewnętrznej państwa i wiemy aż nadto dobrze, co warte są pokolenia zgnuśniałych rodzin. Jeżeli rodzina nie wychowuje dzielnych mężczyzn, skąd weźmie ojczyzna tęgich obywateli? Czyż patryotyzm, ten wstępny warunek wolności ojczyzny znajdzie się w sercu narodu, który nie szanuje rodziny? Patryotyzm, miłość ojczyzny, kraju naszych przodków, przywiązanie do gruntu, na którym stawialiśmy pierwsze kroki, jest echem wrażeń dzieciństwa i rodzina przygotowuje umysł nasz do przyjęcia prawdy, a serce do cnoty. Jest zatem rdzeniem uczuć rodzinnych i kto niema rodziny, ten właściwie niema ojczyzny.

Dlatego to pomówimy dzisiaj o rodzinie. Lecz cóż ja wam o niej powiem? Przemawiając do was zeszłego piątku, starałem się wam udowodnić, że człowiek nie może żyć bez religii, bowiem życie jego opłakany przedstawiałoby obraz. O tem samem chciałbym was przekonać dzisiaj w stosunku do rodziny. Rodzina bez zasad religijnych, jeszcze opłakańszy przedstawia widok, pomijając już nieobliczalne złe następstwa, jakie to pociąga za sobą. Zamierzam zatem bronić dzisiaj argumentu, że niezbędnym fundamentem życia rodzinnego jest religia, i chcieć ugruntować rodzinę na innej podstawie, znaczyłoby to samo, co tej najważniejszej z wszystkich instytucyi nadać fałszywą podstawę, a temsamem zakwestyonować teraźniejszość i przyszłość ludzkiego społeczeństwa. Przystąpmy zatem do rozpatrzenia przedmiotu tak subtelnego a tak w naszych czasach opłakanej treści!

I. M. S.! Składają rodzinę dwa pierwiastki, mianowicie: ludzki i boski. Ludzki pierwiastek powstaje zgodnie zjednoczonej woli mężczyny i kobiety, a odnośne przepisy uskuteczniają zmianę w zewnętrznych stosunkach tychże, kontraktem ślubnym. Władza państwowa wkracza w związek narzeczonych i sankcyonuje go, rozciągając nad nim władzę i opiekę praw miejscowych. Lecz przyjrzyjmy się teraz pierwiastkowi bożemu w rodzinie. Pierwiastek życia rodzinnego, ten związek moralny, łączący dwie dusze ze sobą, który ustala stosunek pomiędzy ojcem a matką, wypłynął z daleko wyższej i doskonalszej woli aniżeli wola człowieka, wypłynął bowiem z woli Boga, który od początku ustanowił związek mężczyzny z kobietą. Przedziwne zarządzenie! Świat powstał z nicości, a gdy powstał, wszystkie jego bogactwa leżały przed człowiekiem, a Bóg rzekł: „Nie

dobrze być człowiekowi samemu“, i w swojej dobroci i nieskończonej dla człowieka miłości, daje mu towarzyszkę, na którą gdy spojrzał Adam, zawołał: „Toć jest ciało z ciała mego i kość z kości moich“. I błogosławił Bóg ich związkowi, jako świętemu źródłu rodzaju ludzkiego. I człowiek przekazuje życie, które odebrał od Boga, innym sobie podobnym stworzeniom. — M. S.! w tych kilku słowach zawarte jest powstanie i cała istota rodziny. A teraz na jakiej zasadzie ugruntował Bóg istotę rodziny? Czy dał jej za podstawę zmysły ludzkie? Zmysły nie stanowią treści naszej istoty ludzkiej i bardzo tylko ograniczone spełniają funkcye, toć i zwierzęta mają zmysły, to też nie one są podstawą rodziny. Musimy wznieść się wyżej ażeby dotrzeć do podstawy tej instytucyi bożej. Człowiek znajduje w rodzinie zaspokojenie nietylko materyalnych, lecz i moralnych potrzeb swoich. Więc czyżby małżeństwo opierało się na podstawie rozumu? Z pewnością nie; rozum i w samotności rozjaśnia dolę człowieka, i nie potrzeba na to związku dwojga istot. A więc chyba podstawą tą jest interes? W istocie, interes, użycie, są to magnetyczne słowa dni naszych, i widzimy aż nader często, że interes stwarza rodzinę, i małżeństwo staje się poprostu handlem zamiennym. W czasach dzisiejszych nie bierze się kobiety w małżeństwo lecz jej posag, nie przykłada się wagi do jej zalet tylko do jej papierów i pieniędzy i coraz głośniej proklamuje się bezbożną zasadę, że wolno mężczyźnie, skoro mu się zechce, zerwać więzy łączące go z małżonką. Rozwód burzy rodzinę, i nie jest niczem innem, jak obłudną poligamią, która spokój i szczęście poświęca kaprysowi dwojgu niestałych, namiętnych ludzi. Zatem rodzina polega na daleko szlachetniejszej i wznioślejszej podstawie, mianowicie na podstawie serca! Na podstawie serc ludzkich ufundował Bóg rodzinę, na potrzebie miłości a nie namiętności, na potrzebie bliskości drugiej bratniej istoty, na potrzebie zlania się dwóch serc w zgodnym akordzie. I jakaż w tem ujawnia się dobroć boża względem swoich stworzeń. Doświadczenie dziejowe i życiowe wykazuje nam jasno i dowodnie, że serce pozbawione religii nie będzie nigdy zdolne do założenia prawdziwie szczęśliwej rodziny. Bowiem niezbędnie do tego potrzebną jest religia, i do niej udawali się o radę i poparcie ci wszyscy, którym zależało na tem, aby utworzyć wzorową rodzinę. Dzisiaj co prawda głosi się mniemanie, że religia nie rozstrzyga o szczęściu, i że równie dobrze i bez religii szczęście rodzinne zabezpieczyć sobie można. A jednak nawet poganie wznosili ołtarze przy ogniskach domowych i ta nieuświadomiona potrzeba moralna religii nie objawiała się tylko u jednego ludu, lecz była zawsze wszystkim wspólna. I trzeba było dożyć dopiero naszych opłakanych czasów, ażeby napotkać ludzi, którzy stwarzać chcą ognisko rodzinne bez Boga i bez religii. Ale jakie też widzimy skutki tego dokoła siebie? Oto widzimy rozdwojenie, niezgodę, rozwody, które już nawet nie dziwią nikogo. I pytacie jeszcze wobec tego: jakże to się dzieje, że płomień ogniska domowego tak ciemny i niespokojny? Jakże się to dzieje, że święte więzy wierności małżeńskiej tak się łatwo rozluźniają i tak szybko rwą? Powiem wam jak i dlaczego. Oto dlatego, że u ognisk domowych wzgardzono światłem bożem i wzgardzono przysięgą złożoną u ołtarza. Jakże wiele łez zostało wylanych w rodzinie tylko dlatego, że brakło tam religii! Wydalacie z rodziny Boga i religię

Jego i cóż wam zostaje? Odpowiecie mi może na to, że pozostaje serce. Tak jest, ale serce podległe ułomnościom i niestałości. Ażeby serce zdolne było poddać się prawom, które stanowią istotnie treść i wartość miłości. potrzebuje do tego światła religii, jest ono bowiem pierwszą zasadą miłości. Bo czyż serce ludzkie samo przez się nie idzie za popędem chwilowych, dorywczych wrażeń. Co np. obudza w sercu t. zw. miłość? Często czyn jeden, jedno spojrzenie, jedno słowo! A co miłość taką zmniejsza i burzy? Jeszcze błahsze powody, najlżejszy podmuch niweczy bańkę mydlaną, olśniewającą nas barwami tęczy. I nie zachodzi to tylko u dusz chwiejnych i słabych, lecz zdarza się to również ludziom silnym i dzielnym. Chyba znacie dzieje miłości Napoleona z Jozefiną?

A czego dokonuje religia w miłości? Religia podsuwa nam poważniejsze pobudki, nadaje duszy naszej godność, zakreśla pragnieniom ludzkim umiarkowane granice, ustala charakter, wyrabia pobłażliwość i uprzejmość obejścia. Niejeden wtrąci tutaj: ażeby dojść do tego, nie trzeba aż religii, wystarcza rozsądek. Rozsądek moi słuchacze wystarcza w teoryi w bardzo wielu wypadkach, lecz nie w praktyce, jak nas tego uczy doświadczenie! Następnie religia nadaje uczuciom tym wyższe i szlachetniejsze pobudki. Jeżeli prawdziwie głęboko religijna dusza, na drodze życia napotka drugą równą sobie uczuwają wtedy obie wzajemny pociąg ku sobie, i jeżeli związek swój poddadzą błogosławieństwu religii, jeżeli klęknąwszy u ołtarza, wspólne zaniosą modły do Pana, to wierzajcie mi, że tym aktem nadprzyrodzonym wzmocnią i utrwalą naturalną skłonność swoją wzajemną, i że powstawszy uczują się silniej

z sobą zespoleni. Myśl o Istocie najwyższej pobudzi ich do miłości daleko doskonalszej od miłości ziemskiej. Zjednoczeni w Bogu, mając wspólny cel życia, śmiało stawią czoło burzom i zmiennościom żywota, i celem ich nie będzie, jak w platonicznej miłości — szczęście samo dla siebie, lecz uwielbienie Boga w Jego stworzeniu. w Jego obrazie i podobieństwie.

Pewna święta dusza powiedziała ongi: „Ażeby miłość żyła, musi nieustannie wzrastać i potężnieć". A jakże w życiu przedstawia nam się miłość małżeńska? Oto doszedłszy do swego szczytu , chciałaby wznieść się jednak jeszcze wyżej. A kiedyż następuje ten szczyt miłości ziemskiej? W pierwszych dniach po zawarciu związku małżeńskiego, a potem czasem prędzej, czasem pomalej schodzi w dół, oddalając się coraz bardziej od szczytu; niektórym wprawdzie ukazują się wyższe horyzonty, lecz przy pierwszych trudnościach ustają na drodze ku wyżynom. Religia posiada moc ustalania i regulowania miłości, zasilając ją niewyczerpanym źródłem którym jest — Nieskończony. Tak jest, miłość prawdziwa zapala się tylko u ogniska miłości nieskończonej. to też dla tych, którzy tę prawdę zrozumieli, istnieje miłość stała i niezmienna, która z biegiem lat nietylko, że nie zamiera, lecz codziennie coraz to piękniejszych przybywa jej barw.

O! wy chrześcijańscy małżonkowie, czyście zrozumieli język, którym przemawia do was religia? Bo jeżeliście go nie zrozumieli, to żal mi was, bowiem serca wasze są jak twardy, zimny krzemień, w którym drzemie wprawdzie iskra ognista, lecz niema jej o co wykrzesać. Tak jest, żal mi was, a z wami żon waszych i dzieci i ogniska waszego domowego! Bo cóż znaczą

żona, dzieci, ognisko domowe bez miłości? A co znaczy miłość bez wzniosłej i pięknej myśli przewodniej, która ją uszlachetnia i oczyszcza? Czując iż zamiera w was uczucie, któreście sądzili nieśmiertelnem, ogarnia was gorzki zawód i skarżycie się na zmienność miłości a dlaczego? Bo wchodząc w związki małżeńskie, nie rozumieliście ważności i świętości tego kroku, bo promienie tej łaski bożej nie padły na serca zdolne i łaknące wyższej i prawdziwej miłości. Wy mieliście tylko na myśli związek tytułu z tytułem, korony z koroną, kraju z krajem, pieniędzy z pieniądzmi, i spostrzegacie zapóźno, że i wy sami zostaliście związani grubym łańcuchem konieczności! Lecz nie wolno obwiniać wam o to nikogo, jak tylko samych siebie, bowiem związek wasz był pogańskim, toć nic dziwnego, że miłość wasza wypaliła się i rozeszła jak dym stosu ofiarnego na cześć pogańskich bogów.

Drugiem przykazaniem małżeńskiem, do wypełniania którego dopomaga nam religia, jest — poświęcenie. Patrząc z jakiem usposobieniem młodzież dzisiejsza przystępuje do związków małżeńskich, zdawaćby się mogło, że wchodzi istotnie do ziemskiego raju, gdzie czekają ich tylko same rozkosze i radości, gdzie nie płacze się nigdy i nie mówiąc już o bólu, żadna nawet myśl smutna nie zaciemnia jasnego horyzontu szczęścia i wesela. Zatem życie ich musiałoby stać się odtąd jednem nieustającem świętem i płynąć po różach i kwiatach! A tymczasem przyjrzyjmy się z blizka stanowi małżeńskiemu, i cóż widzimy? Że trzeba w nim spełniać ciężkie obowiązki, że napotyka się w nim na wiele trudności, a przedewszystkiem na krzyż niejeden! I to są owe skały, o które rozbija się miłość bez religii. Niejeden

z nas zdobywa się łatwo na ofiarę dla osoby ukochanej pierwszego dnia przychodzi to nawet z łatwością, drugiego trudniej, ale dłużej wydaje się niepodobieństwem, miłość bowiem znikła wraz z nastaniem próby! Czy nie zastanawiało was to nieraz, skąd bierze się ta gorycz w pewien czas po zawarciu związku małżeńskiego? Czyż nie zdarza się, że dwie istoty, które niedawno tak bardzo się kochały, nie mogą się wkrótce potem cierpieć wzajemnie? A czy wiecie dlaczego? Bo nie umieją się poświęcać wzajemnie. Czasem nawet fakt taki dziwi was i smuci i mówicie: „Więc to małżeństwo, które tak zdawało się być dobrane, harmonizowały w nim bowiem przymioty serca, charakteru i umysłu, przytem i stosunki materyalne, a jednak nie jest szczęśliwe? Ja wam na to odpowiem, że zapomniano w nim o podstawie każdej rzeczy, która ma być trwałą, o religii, to też gdy przyszły nawałnice życia, runęła cała budowla. Nie myślcie jednak, że łatwo zdobyć się na poświęcenie bez ducha wiary. Przyznaję, że trafiają się tu i ówdzie osobniki wyjątkowo ze sobą harmonizujące, którym przez jakiś czas choćby, poświęcenie łatwo przychodzi, lecz to są wyjątki. Albowiem kto nie zbiera z Panem, ten rozsiewa dobytek swój, i w nienawiść przemienia się miłość każda, nie owiana wonią nieśmiertelności.

A teraz przyjrzyjmy się małżeństwu z punktu widzenia religii. Gdy dwoje narzeczonych, którym życie przedstawia się tak różowo, że radziby wstrzymać je w biegu, zamierza połączyć swoje losy, natenczas staje przed nimi religia, bierze w swe ręce ich złączone dłonie i mówi im: „Pomnijcie dzieci moje, że ten ołtarz św., przed którym stoicie, jest poniekąd dla was otwartym grobem, a pierwsza ceremonia łącząca wasz zwią-

zek — ofiarą, pamiętajcie, że to życie pełne szczęścia i radości, o którem śnicie, zamieni się w pole wzajemnej ofiary, a wieńce róż na waszych czołach cierniowe osłaniają korony. Nie oddawajcie się złudzeniom, iż życie, które w tej chwili rozpoczynacie, będzie rajem na ziemi, bo będzie ono ciężkim i świętym obowiązkiem do spełnienia.

Tak jest S. M.! kwiaty więdną szybko, lecz istnieją kwiaty niewiędnące. Prawdziwi chrześcijańscy małżonkowie są tacy, którzy rozumieli, że najważniejszym krokiem ich życia był ten, który przywiódł ich do ołtarza, gdzie w przytomności nieba i ziemi łączyli swoje losy, składając uroczystą przysięgę, która w oczach bożych związała ich nierozdzielnie, a którą aniołowie spisali w niebie. A religia wówczas wołała im: „znikome radości mijają szybko, a uczucia i skłonności nie wzmocnione i nie uszlachetnione tchnieniem bożem, więdną szybciej aniżeli kwiaty". Bo gdy codzienność życiowa zajmie miejsce snów poprzednich, gdy miłość nie okaże się ani tak ofiarną ani tak wyrozumiałą, jak sądziliśmy, gdy dzień każdy rozwiewać będzie ich iluzye szczęścia, cóż wtedy uczynią, dokąd zwrócą się natenczas tacy małżonkowie o pomoc i wsparcie moralne? Czy do świata? Nie, w poczuciu chrześcijańskiej swojej godności zwrócą się małżonkowie do ukrzyżowanego Chrystusa i u stóp Jego złożą Mu wzajemną z siebie ofiarę, nie dbając jak osądza ofiarę taką świat. Lecz jak bardzo pożałowania godni są ci, którzy z ogniska domowego wydalili religię, chociaż bowiem oddalą religię, nie zdołają wydalić poświęcenia i ofiary! A jakże wtedy źle i smutno w takiej rodzinie, iluż strasznych, czasami nawet krwawych

scen stała się ona widownią, jak o tem świadczą nie rzadko dzienniki!

Nie na tem koniec! Rodzina nies kłada się tylko z męża i z żony, w skład jej wchodzą także i dzieci, które są radością i troską rodziców, które powinny być przedmiotem nieustannej ich pieczołowitości i obawy. Z chwilą bowiem gdy dziecko na świat przychodzi, spada na barki rodziców jego ciężka za nie odpowiedzialność, bo dziecko nietylko ma ciało, ale przedewszystkiem i duszę, dlatego nietylko o dobrobyt ciała, lecz przedewszystkiem duszy dbać powinni, wpajając w nie zasady wiary i godności chrześcijańskiej. Trzeba duszyczkę taką ćwiczyć w bojaźni bożej, bliźniego i siebie samego, trzeba serduszko jego takiej nauczyć modlitwy, któraby dotarła do samego tronu bożego. Lecz czy sądzicie S. M.! iż wywiążecie się z takiego zadania bez pomocy religii? Przecząc istnieniu Boga i nieśmiertelności duszy, nie zatroszczycie się o religijne kształcenie duszyczek dzieci waszych. I te dzieci wychowywane bez religii, będą w dzieciństwie tyranami waszemi, wrogami w nieokiełzanej młodości a później nieszczęściem waszem i hańbą! Ciężko zaiste odpokutujecie zbrodnię, żeście bez Boga i Jego religii założyli ognisko rodzinne. Rodzina wasza będzie odstraszającym przykładem i przestrogą jak czynić nie wolno. Będziecie jak owe latarnie morskie, które ostrzegają podróżnych przed zdradliwemi skałami. Skarżycie się często na nieposłuszeństwo i nieobyczajność dzieci waszych. Ale czy macie prawo do tej skargi? Istniał w Sparcie zwyczaj, iż nowonarodzonego chłopaczka kładziono ojcu na kolana, jeżeli ojciec nań spojrzał, zostawiano dziecko przy życiu, jeżeli zaś nie, musiało umierać. Podobnie czynicie i wy rodzice teraźniejsi!

Umierają synowie wasi, bo nie spojrzeliście na ich dusze, jesteście najczęściej tylko stróżami mienia, lecz nie cnót i zasad waszych dzieci! I dlatego to giną dzieci wasze! — Skarżycie się, że grzeszą nieobyczajnością? A cóż stoi na straży obyczajów, jeżeli nie religia? Jeżeli w wychowaniu brak pierwiastku bożego, i cóż będzie ono warte? Zdoła najwyżej rozwinąć stronę uczuciową dziecka. Skarżycie się, że dzieci wasze nie są wam posłuszne? Bo nie wszczepiliście w nie zasad religijnych i oto mści się słusznie sprawiedliwość boża, bo skoro rodzina nie oddaje czci Ojcu, który jest w niebiosach, to jakiem prawem żądać może ojciec ziemski poddania i posłuszeństwa dla siebie? Z chwilą gdy obalamy zwierzchność bożą, rysują się mury gmachu zwierzchności ludzkiej. Niechaj więc ojciec taki uderzy się w własną pierś, bo w dniu, w którym zerwał z religią, zrezygnował ze swego panowania w rodzinie.

Bóg ustanowił ojca kapłanem i królem rodziny: kapłanem, który ofiaruje Bogu duszę swoją, swojej żony i dzieci, i królem, który ma ich zawieść do królestwa niebieskiego. Lecz jakiż wpływ w rodzinie może wywierać ojciec pozbawiony religii, lub odnoszący się względem niej obojętnie? Co powie ojciec taki synowi swojemu, którego umysł zawikłany w błędach a serce w grzechu, skąd zaczerpie ojciec taki światła i siły, aby zwrócić zbłąkanego syna na drogę prawdy i cnoty? Czy odwoła się wtedy do Boga? Do Boga, którego Imienia nigdy przedtem synowie w ustach jego nie słyszeli, jak chyba w obeldze. Czy powoła się na przykazanie boże, które sam codziennie przekraczał? Czy wezwie na pomoc religię? Ale jakąż, skoro sam żadnej nie wyznawał! Czy powoła się może na prawa swoje ojcowskie?

Przyznaję, że może to wywrzeć pewne wrażenie na młodzieńców, których nie usidłały jeszcze gwałtowne namiętności, lecz skoro zaz młodzieniec staje się łupem tychże, czegóż dokaże to zaklęcie? Czyż w niebie niema Ojca, którego prawa on sam przekracza i obraża? I oto widzimy, że ten nieszczęśliwy ojciec nie może użyć żadnej broni, którąby się przeciw niemu nie zwróciła. Czy można sobie wystawić opłakańsze położenie?

Jeżeli się w tej sprawie odnosimy do ojca, jakże tem więcej dotyczy ona matki! Matka, niewiem, czy stworzył Bóg coś piękniejszego od serca matki, i czy serce matki nie zbliża się najbardziej do tego pierwowzoru miłości bożej, którą cechuje czułość, oddanie się, litość i poświęcenie? Matka jest aniołem stróżem rodziny, lecz tylko wtedy, gdy się kieruje zasadami religii. Jest wonią i światłem rodziny, lecz tylko wtedy, kiedy roztacza dookoła siebie woń i światło religii. Kobieta bez religii! I cóż, pytam was, podtrzymuje tę giętką trzcinę, jeżeli nie religia? Jakże potrafi kobieta niereligijna być dobrą żoną i matką? Będzie wprawdzie kochać swoje dziecko, ale jako owoc ciała swojego, zatem ciało jego a nie duszę. Nieszczęśliwa nie zrozumiała zadania swojego, bowiem nietylko życie cielesne ale i duchowne dziecku swojemu dać powinna. Rozumię dobrze, dlaczego wrogowie religii wytężają wszystkie swe siły, ażeby matki pozbawić wiary, bowiem dokąd matki w serca dzieci wszczepiać będą zasady religii, dotąd będą te dzieci wierzyć w Boga i krzyż nakreślony ręką matki na czole dziecka, chociaż chwilowo nawet zatarty, zajaśnieje zawsze kiedyś na powrót pierwotnym swym blaskiem. Lecz jeżeli kobieta utraci wiarę w Boga i w swoje posłannictwo, jeżeli przed krzyżem nie ugina

kolana, to powiedzcie mi ojcowie i mężowie, któraż kobieta pozostanie wtedy niewinną, wierną, ofiarną i poddaną? Któraż z poświęceniem kochać będzie swoje dzieci? Nieszczęśliwi nie widzą iż usuwając wiarę, ku zgubie wiodą rodziny swoje! Bóg sam wszczepił w serce kobiety wstyd, lecz gdy wydali zeń religię, jakiż natenczas będzie jej wstyd? A jakież tego następstwa? Mąż, dla którego ognisko domowe przestało mieć powab, szuka gdzieindziej pociechy, do której rości sobie prawo i w rozpuście szuka zapomnienia kłopotów i obowiązków rodzinnych. Żona traci przywiązanie do zacisza domowego, które powinno być jej światem i świętością, a do domu zakrada się nieład i nierząd, bo inne teraz zajmują ją sprawy. Matka taka mniema, że zadośćuczyniła wszelkim obowiązkom względem dzieci, dając im pożywienie i ubranie a pozostawiając je opiece i wpływom zepsutych rówieśników, lub bardziej jeszcze od nich zepsutych nauczycieli. I jakież są tego następstwa? Oto dzieci niekochające i nieposłuszne, uważające dom rodzicielski za więzienie, z którego jak najprędzej starają się oswobodzić. I co z tego wynika? Przedewszystkiem zamiera duch rodzinny, a następnie takie postępowanie ojca, matki i dzieci, smutne pociąga za sobą skutki dla nich samych, ich ojczyzny i reszty społeczeństwa. Przypatrzcie się temu człowiekowi! Przepuszcza on w niedzielę w hulackiem towarzystwie dochód całotygodniowej pracy, nie myśląc wcale o dzieciach, nie mających innych środków do życia — chyba chleb żebracki. A kiedy do domu powraca, spotykają go tylko wymówki przekleństwa głośne i niewymówione, które jednak słyszy równie dobrze i do jakich w końcu starć przychodzi w takiej rodzinie? Bo nie panuje w niej już chłód, lecz gorzka nienawiść.

I jakież w takiej atmosferze wyrastają dzieci? Oddają się wszelkiego rodzaju występkom, ani bowiem ojciec ani matka nie zdobędą się na siłę zgromienia ich, to też idąc tą drogą, łatwo stają się przestępcami. Oto do czego doprowadza ludzi życie rodzinne bez religii.

Ale nie na tem jeszcze koniec. Wiecie sami, że niema chyba piękniejszego widoku nad widok starca otoczonego gronem synów, otaczających go dowodami szacunku, posłuszeństwa i miłości! Kto opisze radość i szczęście staruszka, którego pieszczą wnuki i czułą opieką otaczają dzieci? A jakąż pociechę i ulgę przynoszą biednemu starcowi w chorobie, opieka i czułe staranie jego bliskich? M. S.! czyż to nie osładza największych nawet cierpień, a nadzieja ujrzenia tych drogich istot kiedyś w niebie, czyż nie rozjaśnia nawet strasznych ciemności grobu? Ale są to uczucia obce rodzinie pozbawionej religii. Słyszy się nieraz z jaką obojętnością i chłodem dzieci takich rodzin odzywają się się o podeszłym wieku ojca lub matki, z jaką bezczelnością ważą się utyskiwać na ich długie życie. I jakież opłakane sceny zdarzają się w takiej rodzinie! Dzieci prowadzą otwartą wojnę z rodzicami, a z ust znieważanych rodziców wydobywają się przekleństwa i skargi, z których będą musieli zdać kiedyś rachunek przed Bogiem.

II. M. S.! Dochodzą z ogniska domowego uszu moich dwa głosy, głos bólu i głos buntu. Głos bólu wyrywa się z piersi ojca i matki, którym za ich trudy płacą dzieci złością i niewdzięcznością. A krzyk buntu wyrywa się się z ust syna, który zarażony nowoczesnemi prądami, traktować chce rodziców, jak równych sobie.

A gdzież spotykamy takich we łzach tonących rodziców i nieuległych synów? Oto we wszystkich rodzinach. z których wygnano religię.

Podczas potopu, kiedy wody oblewały zewsząd ziemię, unosiła się na ich powierzchni, rozkazem bożym zbudowana arka, a z arki tej wyszła ta jedyna rodzina, która nie zciągnęła na się gniewu bożego. Dzisiaj kiedy podupada wszystko, wiara, tradycye, obyczaje, skądże oczekiwać nam ratunku? Jakąż będzie ta arka błogosławiona, która uratuje społeczeństwo od zagłady? Będzie nią serce ojca i matki! Rodzice chrześcijańscy! Przystąpcie do dzieła odrodzenia społeczeństwa ludzkiego! Ojczyzna zwraca się do was o to błagalnie! Ale jakiż wzór stawię wam przed oczy, według którego kształtować będziecie rodziny wasze? Otóż – z was samych, z przeszłości waszych dziejów rodzinnych. Wzorem tym niechaj będzie dawne życie rodzinne, nie można je bowiem wspominać bez wzruszenia! Wejdźcie ze mną do takiego starego gniazda, przyjrzyjcie mu się dobrze i zachowajcie na zawsze w pamięci. W tym starym domu widzimy przedewszystkiem ojca, matkę, otoczonych gromadką dzieci, chociaż gromadka ta już nie cała, kilkoro bowiem z nich uprowadził anioł śmierci do nieba, gdzie modlą się za pozostałych na świecie. Ale zostało ich jeszcze dosyć i będzie miał kto zamknąć oczy ojcu i matce i zapłakać za nimi. W tem starem domostwie pojęto prawdziwie cel życia ludzkiego, który nie polega na tem ażeby gromadzić bogactwa, przyjemnościami się nasycać i zbytkiem otaczać, lecz na tem, ażeby nie zaniedbując koniecznych spraw ziemskich, przyuczać dzieci do cenienia prawdziwego szczęścia, które polega na wypełnianiu obowiązków i wykonywaniu cnoty. Od najwcześniejszego dzieciństwa prowadzą dzieci łagodną, ale stanowczą dłonią, tak, że wyrastają z nich dzielni obywatele i niewiasty. W rodzinie dawnej panowała oszczędność, ale obok oszczędności pamiętano o bliźnich. Panował w niej porządek i ład. Rano i wieczorem odmawiała cała rodzina wspólnie modlitwy. Czyż istnieje bardziej wzruszający widok i modlitwa bardziej wysłuchania godna, jak modlitwa ojca w gronie swoich dzieci. Co niedzieli, jeżeli ważne powody nie stawały na przeszkodzie, podążała cała rodzina do kościoła, gdzie przy mszy św. dziękowała Bogu za otrzymane łaski, prosząc o nie nadal. Święto Wielkiejnocy zgromadzało wszystkich u stołu Pańskiego, rozumiano bowiem doniosłość tego zjednoczenia rodziny w Panu. Rodzina taka wielu doznawała radości, a chociaż nawiedzały ją i cierpienia, to siłę do ich znoszenia czerpano w miłości wzajemnej. A gdy nadchodziła chwila ostatecznego rozstania, religia koiła ból i trwogę serca. A co za wzniosłe sceny odgrywały się przy łożu takiego umierającego! Podczas gdy kapłan udzielał mu ostatnich pociech religijnych, klęcząca obok rodzina we łzach i bólu, lecz poddana woli bożej, odpowiadała modlitwom kapłańskim. Przed samym zgonem matka lub ojciec raz jeszcze odzywali się do dzieci, a słów ich nie zapominano nigdy. Wsparci na ramionach dzieci udzielali im ostatniego swego błogosławieństwa, mówiąc: „do widzenia dzieci moje, do widzenia tam w górze“! A na grobie ukochanej osoby ustawiano krzyż, a pod krzyżem zgromadzała się cała rodzina w miłości i jedności, aby tam czerpać światło i siłę do dobrych uczynków.

Oto wasz pierwowzór, oto rodzina przodków waszych, naśladujcie ją! I powiedzcie mi, czy taką wiarą

przejęta rodzina, była mniej szacunku godną od tegoczesnych wolnomyślnych rodzin? Zatem musimy budować rodziny nasze na fundamencie wyznaczonym jej od Boga, a tym fundamentem jest tylko religia, i poza nią niema innego, bo tylko ona zdoła urzeczywistnić ideał życia rodzinnego. A wtedy S. M.! lecz tylko wtedy, i czego wam życzę z całego serca i z całej duszy mojej, stanie się rodzina wasza odzwierciedleniem raju na ziemi!

X.

Cierpienie.

M. S. Rodzina nie może istnieć bez religii, bo jeżeli żyje bez niej, opłakany przedstawia widok, a co gorsze, opłakane wywołuje następstwa. Tego dowiedliśmy wczoraj. Lecz czy nie istnieje na świecie nic takiego więcej, w stosunku do czego religia byłaby konieczną? M. S.! Istnieją w religii dwie kategorye tajemnic, pierwsze odnoszą się do Boga i Jego działalności, a drugie do człowieka i do jego nieśmiertelnego przeznaczenia. Bozbożni z upodobaniem roztrząsają pierwszą z tych kategoryi chociaż jest ona zgoła dla umysłu naszego niedostępną, i tego rodzaju badania pozostają zawsze jałowemi. Ale pocóż nam zrozumieć jak się to dzieje, że w Bogu istnieją 3 osoby, jakim sposobem druga osoba Trójcy św. stała się człowiekiem nam podobnym i przebywa obecnie ukryta w przenajśw. Sakr. Ołtarza? Czyż to nie są święte tajemnice boże, zakryte przed nami? I jakżebyśmy je pojąć mogli, skoro nawet zrozumieć nie jesteśmy w stanie jak się to dzieje, że jadło które spożywamy zamienia się w naszą substancyę, i jak nowe istoty odradzają się w coraz to nowych generacyach. My, którzy nie możemy sobie wy-

tłómaczyć poczęcia istoty rodzącej się w naszych oczach, chcielibyśmy rozumieć i przenikać sprawy boże? Czyż to nie uroszczenie bardziej jeszcze nierozumne, aniżeli niesłuszne? Istnieje tak wiele innych zagadnień, które zgłębiać mamy prawo, a których jeżeli nie samą istotę, to przynajmniej przyczyny zbadać nam wolno, mianowicie te, które dotyczą własnej naszej natury, bo jeżeli Bóg stworzył nas jako istoty rozumne, to tem samem, to widać chciał, abyśmy siebie samych poznali. Lecz nie trzeba na to aż głębokich studyów, żeby przekonać się dowodnie, że jesteśmy istotami podległemi cierpieniu. W bolu powiła nas matka nasza, objawem cierpienia bo łzami rozpoczynamy żywot nasz na ziemi, i cierpienie towarzyszy nam aż do samej śmierci. Na co jednak istnieje cierpienie? Pytanie to niechaj będzie treścią dzisiejszego naszego rozpamiętywania. Zobaczymy jasno iż poza religią niema pociechy w cierpieniu, że wszyscy cierpieć musimy, lecz że cierpienie jest zarazem dla nas korzyścią. Posłuchajcie mnie z uwagą, jest to bowiem przedmiot wielkiej doniosłości, a zarazem wielkiej dla nas pociechy.

I. M. S.! Rozważając sprawy tego świata i przypatrując się kolejom tego życia, nie możemy się oprzeć pewnemu zdziwieniu, że wszędzie i z wszystkich stron wychyla się ku nam cierpienie. Istotnie, cierpienie jest faktem tak powszechnym, iż nie ulega wątpliwości; przedewszystkiem doznajemy go sami i potwierdzają nam je 3 świadectwa; świadectwo każdego poszczególnego człowieka, ogólne świadectwo ludzkości i świadectwo otaczającego nas świata. Świadectwo poszczególnej jednostki zawarte jest w słowach Joba: „Człowiek żyjąc czas krótki na ziemi, napełniony bywa goryczami wielu“.

Bo w istocie cierpienie zda się być tym powietrzem, którem oddychamy, atmosferą w której się poruszamy; bo przepatrując przebieg życia naszego widzimy, że spotyka nas ono na każdym kroku i miejscu. Dziecko ujrzawszy świat dzienny wydaje okrzyk cierpienia. Dziecię to wzrasta, a rozpoznawszy ten świat chciałoby użyć jego radości, uwieńczyć się jego kwiatami, lecz oto z piersi jego wyrywa się znowu okrzyk bólu, bowiem zrywając róże, poraniło się o jej ciernie, a wychylając kielich rozkoszy napotkało na dnie jego, gorzkie męty! Zkąd pochodzi to nieuniknione zjawisko? Przyjrzyjmy się innym kształtom jego przejawów. Widzimy przed sobą drogę zroszoną obficie krwią i łzami, ciągnie się ona od kolebki do grobu, pomiędzy złudzeniami młodości, rozczarowaniami dojrzałego wieku a upadkiem starości, i gdziekolwiek się zwrócimy, i cokolwiek przedsiębierzemy w tem życiu, cierpienie będzie naszym nieodstępnym towarzyszem. I na drodze wiedzy spotykamy cierpienie, bowiem tak, jak pierwszym dźwiękiem piersi ludzkiej jest okrzyk bólu, tak samo pierwsze chwile urodzin myśli twórczej, połączone są z męką. Ponieważ tak jak w pocie czoła spożywa człowiek swój chleb codzienny, tak samo w wysiłku i męce spożywać musi chleb duchowy. Jednym słowem organizacya człowieka zda się stworzoną do bólu. Oto zeznanie człowieka.

Mamy poza tem jeszcze ogólne świadectwo ludzkości. Jakimże przekonywującym tego świadectwem jest ta prośba dziecka: „Mamo opowiedz mi smutną bajeczkę, którąby mnie do płaczu pobudziła“. Lub czy nie wstrząsają nami najsilniej sceny z dramatu, w których ból i cierpienie przytłaczają człowieka. Opanowują nas one

i pociągają, i oto świadectwo ludzkości. Pozostaje jeszcze świadectwo otaczającego nas świata. Świat będący siedzibą człowieka i zwierząt które go zamieszkują, wraz z naturą biorą swój udział w cierpieniu ogólnem. Św. Paweł powiada, że cała przyroda oddycha i pracuje cierpieniem. Czyżby Stworzyciel wszechrzeczy na to wydobył nas z nicości, ażebyśmy się stali łupem cierpienia? Jakże? Czyżby najwyższy, którego tronem są niebiosa a ziemia podnóżkiem, lubował się tak jak barbarzyńscy widzowie w cyrku, widokiem naszego cierpienia? W takim razie s. m. Bóg nieskończenie dobry byłby władcą okrótnikiem, i nie ojcem ludzi, lecz ich tyranem, i mielibyśmy wtedy prawo wzniósłszy oczy ku górze zapytać Go: „na co powołałeś mnie do życia? Czy dlatego ażeby napawać się moim cierpieniem“. Lecz nie bluźnijmy Panu, albowiem człowiek sam stał się przyczyną swych cierpień.

Weźmy do ręki księgę, którą od tylu wieków przechowuje ludzkość jako swój legat niebieski, otwórzmy biblię, a już na pierwszej stronie znajdziemy wytłómaczenie cierpienia i rozwiązanie zagadki dręczącą ludzkość. Czyramy tam, że Bóg stworzywszy pierwszych ludzi, złożył im w ręce własne ich losy, poddając ich próbie tem donioślejszej, że rozstrzygającej nietylko o ich losach, lecz o losach całej ludzkości. I cóż się stało? Nasi pierwsi rodzice nie przetrwali pierwszej próby, ulegli pokusie szatańskiej, i dlatego rzekł Bóg do węża: „Iżeś to uczynił, przeklętym będziesz nad wszystkie zwierzęta i nad wszystkie bestye polne; na brzuchu twoim czołgać się będziesz, a proch żreć będziesz po wszystkie dnie żywota twego“. A do niewiasty: „Obficie rozmnożę boleści twoje i poczęcie twoje,

w boleści rodzić będziesz dzieci a wola twa poddaną będzie mężowi twemu, a on nad tobą panować będzie“. A zwróciwszy się do mężczyzny rzekł Bóg: „Iżeś usłuchał głosu żony twej a zjadłeś z drzewa tego o którem ci przykazał mówiąc: Nie będziesz jadł z niego; przeklęta będzie ziemia dla ciebie, w pracy z niej pożywać będziesz po wszystkie dni żywota twego“. Oto dzieje powstania cierpienia i wyjaśnienie wszelkiego zła. Wszelkie bowiem zło i cierpienie powstaje z nadużycia wolności, z nadużycia wolnej woli, jaką nam Bóg dał, i z przekroczenia przykazań bożych. Cierpimy, bośmy dziećmi pierwszych grzeszników. Lecz zapytacie: dlaczego przekazali nam oni swój grzech? Ale powiedzcie mi wprzód, jakże mogli przekazać nam życie, a wtedy wytłómaczę wam, jak mogli przekazać nam swoj grzech. Bracia moi, cierpieć musimy, jest to prawo ciążące nad nami, albowiem jesteśmy dziećmi ojca obciążonego winą. I chociażby człowiek wił się prężył na łożu boleści, nie pękną żelazne okowy któremi do niego jest przytwierdzony. Tu i ówdzie spotykają nas w tem życiu chwile szczęścia, jasne wspomnienia i radosne przeczucia, lecz chwile te mijają tak prędko! Zaiste porównać można szczęście do horyzontu, im bardziej zda nam się zbliżać ku niemu, tem bardziej od nas się oddala. Cierpienie — oto jest wielka rzeczywistość naszego żywota, tak ściśle z naturą naszą związana, że można rzec, iż cała filozofia człowieka nie jest niczem innem jak rozwiązywaniem problematu cierpienia. Lecz cierpienie nie jest tylko karą za grzech, jest także dobroczynną próbą, a zarazem zasługą.

Św. Paweł rozwija i wyjaśnia tę prawdę mówiąc: „Nie dopatrujcie się w cierpieniu ludzkości tylko karzącej ręki sędziego, lecz również i ręki ojca, który

chce was ratować od zguby". — W cierpieniu, w krzyżach uwidocznia się nam również wielka mądrość, dobroć i miłość boża. Czyż to nie jest największa niedorzeczność? Chybaby Bóg, który nas tak czule ukochał nie pozwalał aby stworzenie Jego tak srodze cierpiało! I nie kazałby nam tem więcej cierpieć, im więcej nas kocha! Lecz pomyślmy nad tem! Oto jedno z waszych dzieci bawi się nad brzegiem przepaści, chciałoby zrywać rosnące tam kwiaty, cobyście natenczas uczynili? Pośpieszylibyście bez wątpienia, wzięli je na ręce, chociażby się najbardziej wyrywało. I czyście źle uczynili postępując wbrew jego woli? Inne znowu dziecię bawi się nabitą bronią, więc wyrywacie mu ją z dłoni chociaż dziecko gniewa to i boli. Lecz postępując tak, uczyniliście dobrze, dziecię samo uzna to później i będzie wam wdzięczne. Jeszcze inny przykład: dziecko twoje chore, lekarz przepisał mu gorzkie lekarstwo, a ty chociaż jesteś jego matką, zmuszasz je do wypicia goryczy. A gdy rozchodzi się o operacyę, którą dziecko musi przebyć pod grozą utraty życia, czyż nie weźmiesz dziecięcia na ręce i chociaż krwawi twe serce matczyne, widząc broczącą krew dziecka pod nożem chirurga, trzymasz je silnie nie ulegając jego łzom i jękom. Cierpisz przytem więcej od dziecka, jesteś bowiem jego matką, lecz z pewnością nie nazwie nikt twojego postępowania okrócieństwem, bo gdybyś je prawdziwie nie kochała nie narażałabyś je na takie cierpienia dla jego dobra. Zatem to, co w postępowaniu ziemskiego ojca lub matki tak jest słusznem i pięknem, miałoby być okrutnem w postępowaniu Boga względem nas? Naturalnie, jeżeli nie wierzymy w Boga, jeżeli nie wiemy o tem, że Bóg; stworzył nas dla siebie i dla życia wiecznego, że tylko

chwilowo trzyma nas na wygnaniu, aby nas następnie podnieść ku sobie, to myśl ta będzie światłem naszego życia, źródłem pociechy, i wtedy wielbić będziemy miłość i dobroć bożą w cierpieniu. Że istnieje Bóg, o tem nie mogę wątpić, bo inaczej musiałbym wątpić w samego siebie, że stworzył mnie dla siebie, o tem przekonują mnie mój rozum i serce. Bóg stworzył mnie dla siebie, a więc kocha mnie. Wszystko skłania mnie też ku Niemu. Ziemia ta jest dla mnie za ciasną, więc wznoszę wzrok mój ku górze, aby dojrzeć szersze horyzonty.

M. S.! Jeżeli zamiast ku niebu wzrok nasz utkwimy w błocie ziemskiem, jeżeli zamiast skrzydła nasze rozpostrzeć do lotu ku niebiosom, włóczyć niemi będziemy po ziemi, czyż może na to obojętnie patrzeć Bóg? Jeżeli zapominam o tem, żem więźniem i zadowalam się ciasnem więzieniem moim, czyż nie jest rzeczą bożą uprzytomnić mi to na nowo? I jeżeli igram nad przepaścią, czyż nie ma ratować mnie Bóg? I czyż nie ma wyrwać mi morderczej broni z ręki? I czy mnie chorego nie ma uzdrowić lekarstwem? A wszystko to uskutecznia Bóg przez cierpienie. Przez cierpienie przedewszystkiem ukazuje nam znikomą wartość tego życia, że jest ono tylko przejściem do wieczności dla której stworzeni jesteśmy. Chcielibyśmy usłać sobie wygodne gniazdko już tu na ziemi i w szczęściu spędzać w niem życie? Ale nie zwlekają z przybyciem dnie cierpienia, a wtedy ziemia okrywa się dla nas ciemnym całunem a więc wzrokiem szukamy nieba. Czy pamiętacie straszną burzę, która nawet najodważniejszych mężczyzn przejmowała lękiem. Warczały grzmoty w łonie stalowych chmur, a od czasu do czasu złotym wężem wy-

mykały się z nich pioruny, a muskając wierzchołki najwyższych drzew, zmiatały je jakoby kłosy. Wylękłe zwierzęta z rykiem szukały schronienia. Deszcz strumieniami staczał się na ziemię tak, iż wkrótce znaczna przestrzeń w olbrzymią zmieniła się kałużę. Patrząc na to rozpętanie żywiołów pytaliśmy siebie nawzajem czy to nie nadszedł już koniec świata, i czy to nie wybiła ostatnia nasza godzina. Lecz raptem, jak gdyby niebo i ziemia wyczerpały wszystkie swe siły w tej gigantycznej walce, uspakaja się wszystko, zapada noc, a z nią gwiazda wieczorna jasno i uroczyście przyświeca ziemi, która tak niedawno była widownią rozpętanych żywiołów. Spojrzyjmy w ten przedział chmur, z którego gwiazda wieczorna wychyla się ku nam i zda się pozdrawiać nas życzliwie; wzrok nasz ulata w bezgraniczną nieskończoną dal i przeczuwamy poza temi wałami chmur niebo piękniejsze i radośniejsze od naszego, i w zadumie naszej nawiedza nas jak gdyby tchnienie boskości. Podobny przebieg, S. M. mają i burze życiowe. Ból jest zarazem ogniem trawiącym i światłem rozświecającem ciemności. W pierwszej chwili zdawaćby się mogło, że cierpienie ciemnym całunem okrywa tego, kogo nawiedza, a jednak dookoła siebie roztacza ona światło jasności bożej, i są rzeczy, którychby człowiek nigdy nie zrozumiał, nie przebywszy cierpienia. To też gdy Bóg zsyła na nas cierpienie, spuszcza na nas zarazem promienie swojego światła w nasze życie. Pewna świątobliwa osoba mówiła: „Dusza cierpiąca bliska jest wierze, zaś dusza, która śni, bliska zwątpieniu“. Przypatrzcie się temu szczęśliwemu człowiekowi! Wzrósł w dobrobycie i spokoju, wszystkie sprawy jego kształtowały się pomyślnie, wszystko udawało mu się w życiu; dał mu Bóg towarzyszkę, która stała się światłem jego życia, dzieci pracowite i dobre. Czynił też wiele dobrego, nie było prawie dobroczynnego dzieła, którego by nie popierał. O jednym tylko Bogu nie pamiętał, nie poświęcił mu wśród dnia żadnej myśli, i nie czcił Go ani ranną ani wieczorną modlitwą. A jednak wszystko dookoła mówiło mu o Nim! Słońce o piękności Jego i jasności, i firmament zasłany gwiazdami o Jego wielkości i mocy. W dzieciństwie jego mówiła mu matka o Bogu, lecz on sam nie starał się nigdy poznać Go. Wtem, obalił Bóg szczęście tego człowieka, śmierć zabrała mu ukochanego syna, opanował go smutek, jęki wydawał i skargi, i ugiął się jak giętka trzcina. Lecz naraz zrywa się, bowiem nagle jakieś światło rozświeciło ciemności duszy jego, dawne jakieś wspomnienia obudziły się w nim, i woła: „Boże mój Boże!“ W bólu odnalazł Boga na nowo.

Ale nie koniec jeszcze na tem! Cierpienie posiada również moc uzdrawiającą. Ciężka dolegliwość, najcięższe może z wszystkich na ziemi, trzyma w swej niewoli ciało nasze i duszę, mianowicie — pożądliwość. Człowiek stworzony na obraz i podobieństwo boże, powinien być uduchowniona istotą, i dlatego chciał Bóg, ażeby dusza opanowała ciało, i ażeby ono było jej posłuszne Jednakże, stało się przeciwnie, pożądliwość ciała zwyciężyła i objęła panowanie nad duszą. A co jedynie leczy nas z tej strasznej choroby? Cierpienie. I tak, jak ziemię pruje się pługiem, ażeby ją użyźnić, jak zadaje się głębokie cieńcie roślinie, ażeby ją uszlachetnić, tak samo duszę z tej trawiącej ją choroby — leczy cierpienie. Nie narzekajmy zatem na razy, które nas chłoszczą, powalają nas one tylko na to, aby następnie

podnieść, uzdrowić i poprawić. Oto widzimy człowieka o gwałtownem i drażliwem usposobieniu, nawiedza go cierpienie — łagodnieje i wyciąga ku wam ku zgodzie dłoń.

Cierpienie nietylko, że leczy naszą duszę z chorób jakie w niej wywołuje grzech, lecz przyczynia się zarazem do odpokutowania za nie. Dusza w styczności z uciechami tego świata, zatraca nader łatwo swą piękność pierwotną, a ilekroć plamimy ją grzechem, tylekroć dajemy Bogu słuszną przyczynę karania nas. Coby się z nami stało, gdyby życie nasze było jednym pasmem grzechów? Zdarzy się czasem, że w dnie okrętu żeglującym po pełnem morzu uczyni się mała szpara, przez którą sączy się woda powoli, i jeżeli natychmiast nie zaradza się złemu, tonie nieszczęsny okręt w głębokościach morskich. To samo dzieje się w duszy obarczonej grzechem. Jeżeli nie stara się sama, ażeby zadość uczynić za grzechy, których się dopuściła w ciągu żywota, tonie niechybnie w otchłani sprawiedliwości bożej. I któż z nas twierdzić zdoła, że sumienie nie wyrzuca mu popełnionych win? I kogóż nie ogarnia lęk, przeglądając puste w zasługi karty swojego życia? I kimże nie wstrząsa dreszcz strachu na myśl sądu bożego? Bez przelewu krwi niema odpuszczenia grzechów, mówi Pismo św., a św. Augustyn powiada, że: „Właśnie cierpienie jest ową krwią duszy". Zapewne, że niegodna krew nasza bardzo jest niedoskonałą ofiarą, lecz możemy zjednoczyć ją z zasługami krwawej ofiary Chrystusa Pana. Łącząc nasze cierpienia z cierpieniami Chrystusa pana, udoskonalamy je tak, że stają się miłą Bogu ofiarą. I wtedy cierpienia nasze zamiast smucić nas i przygnębiać napełniają nas świętą pociechą i nadzieją, bo dzięki im wznosić będziemy wzrok nasz ku niebu, gdzie czekać na nas będzie kiedyś nie sędzia, lecz ojciec miłosierny.

Cierpienie nietylko oczyszcza duszę naszą z win, lecz jedna łaski i miłosierdzie boże dla tych, którzy nam są drodzy. Przypomnijcie sobie tych niewielu sprawiedliwych, z Pisma św., którzy pokutą swoją uratowali tylu grzeszników od zguby, a zrozumiecie zadość czyniącą moc cierpienia. Niejeden człowiek, chociaż o Bogu nic wiedzieć nie chce, chociaż znieważa go i lekceważy, to jednak sprawiedliwość boża oszczędza go, a dlaczego? Bo chronią go przed nią niewinne modlitwy jego dzieci, bo ma bliskich, których zasługi łagodzą względem niego słuszny gniew boży. A jakże wielu, dobrowolną ofiarą cierpienia, od zguby ocaliło rodziny swoje i ojczyznę. I jeżeli narodu niejednego nie dosięgnął gniew boży, chociaż siał nieprawość i zgorszenie, to wierzcie mi, że powstrzymała je tylko cicha ofiara dusz czystych, które dobrowolnie ofiarowały się Bogu dla dobra swoich. Dlatego wy matki, które tak wiele cierpicie za dzieci wasze, nie marnujcie tego cierpienia, ofiarujcie je Bogu, za dzieci wasze, a w chwili niebezpieczeństwa, w chwili ucisku ileż wyjednacie im pomocy i łaski wycierpianem za nie cierpieniem.

I jeszcze inny cud cierpienia. Cierpienie stwarza arcydzieła, i to arcydzieła wielkie i wzniosłe. Czy widzicie tę bryłę marmurową, którą wydobyto z łona góry? Jest to wprawdzie wartościowa lecz bezkształtna bryła! Cierpliwe i zdolne dłuto poczyna obrabiać masę tę, i cóż widzimy? Oto wyłaniają się z niej harmonijne linie, najpierw cudna linia czoła, a potem ócz i warg w uśmiechu i zdaje nam się, że żyją rysy marmurowe, jednem

słowem stoimy wobec arcydzieła. Otóż bracia moi, ból jest dłutem, którem Bóg stwarza arcydzieła swoje, obciosuje nim wszelkie błędy i niedoskonałości nasze, udoskonalając dusze nasze pobudzając je do szlachetności i męztwa. Dlatego nie znajdziemy na świecie nikogo prawdziwie wielkiego, i wybitnego któryby był wolnym od cierpienia, do prawdziwej wielkości bowiem nie wystarcza ani geniusz, ani sława, ani nawet cnota. Istotą wielkości jest tajemnica, którą tak nam wyjaśnia św. Augustyn. „Człowiek jest małem i nędznem stworzeniem, zamkniętem w ciasnej klatce doczesnej, tem mniejszem im całkowiciej zadawala się tą klatką. Ażeby być wielkim trzeba usiłować wydobyć się z poza jej krat, a do tego trzeba zdobyć się na wysiłek nielada". „Kratami" jak tłomaczy jeden z nowożytnych pisarzy, „jest owa obręcz ognista którą dziecko zakłada dookoła owadu, a do której owad zbliżywszy się oparza się i umiera". To samo dzieje się z tchórzliwą duszą". Ale wielkie dusze usiłują wydobyć się poza obręcz żarzącą. Bo zważmy, jak i gdzie urabiają się wielkie charaktery. W szkole cierpień! Kto nie cierpiał, ten zna życie tylko powierzchownie, bo tak jak iskrę z krzemienia wydobywa się tylko silnym razem, tak i w duszę uderzać muszą gromy bólu ażeby dojrzała do wielkości. Przejrzyjcie historyę a przekonacie się, że wielcy mężowie bywali zawsze uprzywiliowanemi dziećmi cierpienia, a wieniec laurowy okalający ich czoła był im zarazem cierniową koroną. Przyjrzyjcie się Dantemu; i któż większy duchem od niego, kogoby z nim porównać? Ale przez co stał się Dante takim wielkim? Przez wzniosłość swoich uczuć. Czyżby się jednak Dante był wzniósł na taką wyżynę bez cierpienia. To samo da się odnieść do Tassa, Miltona i Homera.

Ból przekształca żołnierza w bochatera, i to co stanowi waleczność żołnierza jest tem zaparciem, tą ofiarą, którą składa z siebie dobrowolnie na ołtarzu ojczyzny. Surowość dla samych siebie i umartwienia działały cuda u świętych. Zachowywali swobodę w nieszczęściu, śmiali się gdy im grożono śmiercią, na stos płonący rzucali się radośnie, bowiem wiedzieli że z jego popiołów odrodzą się do szczęścia wiecznego.

I oto jeszcze jedna zaleta cierpienia, że odrywa nas od ziemi, a podnosi ku niebu i jednoczy z Bogiem. Człowiek musi cierpieć ażeby nie przylgnąć zanadto do ziemi. Wygnaniec, który wszystko co mu do szczęścia potrzebne zabrał z sobą na wygnanie, zapomni rychło o ojczyźnie, lecz przeciwnie, wygnaniec który wszystko co drogie pozostawił w ojczyźnie, a w obcym kraju doznaje tylko dolegliwości i przykrości, zwraca nieustannie wzrok swój ku wybrzeżom kędy pozostało szczęście jego i dotąd walczy narażając się na niebezpieczeństwa i cierpienie dopóki nie wróci do ojczyzny z której wygnała go niedola. Podobnie dzieje się z nami. Ojczyzna nasza jest tam w górze i gdyby nas tu na ziemi nie nawiedzało cierpienie i któżby z nas zatęsknił do niebieskiej ojczyzny. Lecz widząc znikomość wszystkiego co ziemskie przekonuje się człowiek wkrótce, że niema prawdziwego szczęścia na ziemi, pożąda czegoś doskonalszego i zwraca się do Boga i Pana swego.

Dziękujmy zatem Bogu że tak, a nie inaczej urządził sprawy świata tego, że możemy sobie tu na ziemi wywalczyć szczęście niebieskie, tak jak żołnierz wywalcza odznakę honorową. Bez cierpień życiowych nie dostąpilibyśmy cudnego szczęścia w niebie. Bóg jest samego siebie początkiem i bytem i chciał Bóg abyśmy

my sami byli sprawcami naszego losu, zatem cała wieczność będzie następstwem naszych czynów.

II. M. S.! Cierpienie oświeca, leczy, zadość czyni, cierpienie udziela nam prawdziwej wielkości, i odwraca nas od ziemi a zwraca nas ku niebu, odciąga od zbytniej miłości stworzeń, a łączy z Bogiem, bo do kogóż zwracamy się po pociechę w cierpieniu? Czy chcecie widzieć jak cierpią wolnomyślni i bezbożni? Na widok ten błogosławić będziecie wiarę waszą i obrzydzicie sobie tem więcej niewiarę. Wy którzy bluźnicie Bogu, wy mędrcy, którzy przeczycie życiu przyszłemu, posłuchajcie mnie, bo oto nadeszła chwila! Przyjrzyjcie się tej kobiecie, jest matką i straciła jedynego syna. Grom ten uderzył na nią z nienacka i dlatego tem był dla niej straszniejszy. Patrzcie na biedaczkę, z bólu odchodzi od zmysłów, jak rozbitek tonący szuka dookoła siebie jednego choćby promyczka nadziei, jednego słowa pociechy. Zbliżcie się do nieszczęśliwej i powiedzcie jej ażeby przestała myśleć o niebie, bo jest to próżne słowo i że niema tam jej dziecka, zburzcie ostatnią nadzieję nieszczęśliwej matki, a chyba pęknie serce nieszczęśliwej.

Opowiem wam zdarzenie, które miało miejsce tutaj w Florencyi, a którego sam byłem świadkiem. Mógłbym wam nawet podać nazwę ulicy i numer domu. W r. 1882 umierał tamże mężczyzna w sile wieku, osierocając ukochaną małżonkę i czworo drobnych dzieci. Gdy człowiek ten walczył z śmiercią, doktór jego, który był niedowiarkiem, widząc, że sztuka lekarska nic tu nie pomoże, chcąc go pocieszyć, czy wiecie na jakie zdobył się słowa pociechy? „Mój przyjacielu, nadeszła chwila, trzeba ci się uzbroić w filozofię twoją“. Dziwna zaiste pociecha!

Zauważcie przedewszystkiem, że niewierzący posługuje się zawsze niejasnemi wyrażeniami, mglistemi frazesami, a czyni to dlatego, że po największej części nie wie sam co chciałby właściwie wyrazić. Uzbroić się w swoją filozofię! Proszę was, czy słowa te mogły przynieść pociechę człowiekowi temu? Bez wątpienia spadły nań jak kamień na bolącą ranę. A jakie znaczenie mogły mieć te słowa? Niewiem doprawdy; jeżeli ich filozofia wogóle na brutalnym nie polega egoizmie. Ale cobyście wy w takiej chwili powiedzieli byli. „Może: przeznaczenie fatalizm, trzeba się poddać?“. Ale czyż nie pojmujecie, że takie słowa właściwie nic nie znaczą? Bowiem przeznaczenie i fatalizm wykluczyła cywilizacya chrześcijańska z swojego repertuaru, są to bowiem wymysły bałwochwalstwa. Bo co to jest — przeznaczenie, fatalizm? Czy można pomyśleć jakąś siłę bezpodmiotową? Bez istoty z którejby wyszła i którąby nią władała? I czy taka chimera takie czcze słowo pocieszyć zdoła nieszczęśliwych? Nie, i czy chcecie słyszeć odpowiedź którą ów umierający dał niewierzącemu lekarzowi? „Mam się uzbroić w filozofię? Mój przyjacielu, w obliczu śmierci patrzy człowiek inaczej na sprawy tego świata, otóż nadeszła chwila, abym się uzbroił nie w filozofię lecz w wiarę“. Tak zaiste ona to jest pocieszycielką w cierpieniu, wiara, która nas poucza, że życie nasze jest tylko krótkiem przejściem do życia wiecznego. Powiedziano, że w człowieku kryje się zarodek anioła, bo człowiek jest zaczątkiem doskonalszej istoty, której piękności nawet nie przeczuwamy i nowa ta, doskonalsza istota dopiero wtedy zajaśnieje w nas w całym blasku, kiedy staniemy przed obliczem najwyższej piękności, aby się z nią zjednoczyć, a dzień ten będzie dniem urodzin naszego szczęścia

i radości. O ludzie! wznieście nareszcie oczy i serca wasze ku górze, i rozmyślajcie o tej chwili waszego przemienienia! Bo czemże dla nas w końcu ta ziemska ojczyzna i to życie, które tak prędko mija? I czemże są wszystkie ziemskie cierpienia w porównaniu do bezmiernego szczęścia, które czeka nas w niebie? Niechaj zamęt i zwątpienie nie panuje w sercach waszych, lecz nie złorzeczmy i życiu temu, przeciwnie kochajmy je bracia moi, nie dla niego samego, lecz jako wstęp do życia niebieskiego. Ukochajmy je, jako prolog do długiego poematu który za dyktandem bożym wpisujemy do księgi żywota wiecznego. Kochajmy je jak kocha wieśniak swój zagon, który zasiewa w pocie czoła, w nadziei obfitego plonu! Kochajmy je, tak jak biedny wygnaniec kocha twardą uciążliwą drogę, która go do ojczyzny wiedzie! Kochajmy je, jak młody żołnierz pole walki i chwały.

XI.

Nadzieja.

M. S. Jeżeli istnieje na świecie szczęście, które nas odurza, to istnieje równocześnie cierpienie, które przygnębia i ból, który rani. „Człowiek żyjąc czas krótki na ziemi napełnion bywa goryczą“ powiada Pismo św.; życie człowieka upływa jak dzień robotnika, któremu znojna całodzienna praca zabezpiecza zaledwo kawałek chleba na wieczerzę. I w istocie któż z was chociażby krótko jeszcze żył na ziemi nie zaznał już swojej części cierpienia i goryczy, a każde mijające stulecie obarcza człowieka nowym ciężarem i jedną więcej męką. Pierwszym dźwiękiem jaki wydaje pierś ludzka jest krzyk bólu, i ból towarzyszy ostatniemu jego westchnieniu. Od kolebki do grobu życie jego jest wązką ścieżyną okoloną cyprysami, cierniem zasłaną i skropioną łzami. Bo ileż skarg wydać musi pierś ludzka, ileż bolesnej znieść rozłąki i przez jakie gorzkie przejść rozczarowania. Młodość ma swoje ukrywane troski i biała starość swoje cierpienia. Mieszkańcy pałaców i chat podlegają zarówno temu ogólnemu prawu, i niema takiej straży, któraby przed niem ochroniła nawet wszechwładnego monarchę; niema

takiego życiowego położenia, w którymby się człowiek nie skarżył na cierpienie. Od wschodu do zachodu, od północy do południa, z wysp oceanu, z pustyń, z miast gwarnych i cichych siół, zewsząd rozlegają się skargi i westchnienia. Ale czyż niema lekarstwa na ten ogólny ból i pociechy w tem ogólnem cierpieniu? Z pewnością że jest; ale w czem? Czy mamy się poń zwracać do towarzyszy niedoli? Jakżeż oni zdołają nas pocieszyć? Mogą tylko współczuć i zapłakać z nami, lecz i oni sami łakną pociechy. Zwróćmy się zatem do filozofii i do wiedzy; ale wiedza i filozofia odnoszą się chłodno do cierpienia. Szafują wprawdzie pięknemi słowami i wzniosłymi frazesami, lecz nie usuwają z serca bólu i cierpienia. Nie! raczej już cierpieć samemu, aniżeli udawać się o pociechę do ich pysznych teoryi i pustego dźwięku słów! Ale gdzież ukrywa się ten upragniony pocieszyciel? W religii chrześcijańskiej. Ona jedna posiada tajemnicę słodzenia cierpień naszych, gojenia ran naszych i uśmierzania bólu. „Ona jedna“ – powiada Chateaubriand – „potrafiła nadzieję wcielić w cnotę“. Nadzieja chrześcijańska! Ona jest ową gwiazdą w ciemnej nocy, latarnią wzburzonego morza, jest siłą i pociechą biednego ludzkiego plemienia. O niej to mówić pragnę wam dzisiaj, rozbierając jej pobudki i działanie, wykazując wam następnie, że bez niej tylko nieuleczalny ból istnieć może. Tuszę, iż posłuchacie mnie chętnie, bowiem dla nas biednych pielgrzymów, wystawionych na tyle cierpień, otoczonych tyloma nieprzyjaciółmi ważną nader jest rzeczą zrozumieć w czem kryje się tajemnica naszej siły i pociechy, naszego wesela.

I. M. S.! Bóg stworzył człowieka dla dwojakiego życia: doczesnego i wiecznego. Pierwsze jest cielesnem

i widzialnem, drugie niewidzialnem życiem; pierwszem cieszymy się obecnie, drugie istnieje na razie tylko w naszej wierze, pierwsze jest w naszym ręku, drugie jest przedmiotem naszej nadziei. Pierwsze jest otwartem polem walki i próby, drugie celem, u którego czeka nas zapłata i nagroda zasług, jedno jest przygód pełną drogą, drugie bezpieczną przystanią; pierwsze chwilą, drugie wiecznością. Dlatego nie wolno nam tu na ziemi szukać szczęścia i pokoju, bo życie to nie jest wypoczynkiem lecz drogą, która prowadzi do miejsca wiecznego spoczynku; dlatego to powiada Paweł św.: „Wszystkie stworzenia przebywają bóle duszy porodu własnej do żywota wiecznego“.

Nadzieja chrześcijańska skierowuje myśli nasze ku tamtej stronie grobu, ku życiu wiecznemu, do tej chwili, kiedy wygnaniec powita na nowo Ojczyznę swoją i kiedy nasyci się szczęściem, którego łaknął z utęsknieniem; do chwili, w której chrześcijanin po zwycięstwie nad sobą samym i światem otrzymuje koronę zwycięską, jako ten żołnierz, który wdarłszy się na wał nieprzyjacielski przez chmury dymu i potoki krwi, zdobywa chorągiew i nią radośnie oznajmia zwycięstwo. Z pogodą i weselem w oczach, ze słodkim uśmiechem staje nadzieja, ta piękna córa nieba obok strapionego i jako ta matka heroiczna, która ostatniego z swych synów do męczeństwa zagrzewa, ukazując mu niebo, przemawia doń temi słowy: „Odwagi! Odwagi synu! Bracia twoi osiągnęli już cel swój; patrzą na cię z wysokości nieba, wołają na ciebie ukazując ci koronę, która uwieńczy twe czoło, jeżeli wytrwasz w boju. Oto kończy się twoja wędrówka po dolinie łez, a po niej czeka cię wieczna nagroda nieba. Ciężką wprawdzie

jest walka i groźnym nieprzyjaciel, lecz nieśmiertelna sława i szczęście będą nagrodą twoją".

W czasach naszych wiele podnosi się głosów przeciw tej nadziei, przeciw temu wzniesieniu ducha ku niebu, które religia nasza wzbudza. Chcianoby zwrócić myśl człowieka wyłącznie ku ziemi i sprawom jej. „Niedorzecznością jest przenoszenie myśli ludzkiej z ziemi do nieba" — tak mówi się i pisze — „nadzieja jest tylko fantazyą mnichów, wytworem mistycznych klasztorów". A ja odpowiem na to: są to wywody egoistów, godne tych, którzy tylko w to wierzyć chcą, co widzą i czego dotknąć mogą, w to tylko co zmierzyć lub porachować potrafią; niedorzeczne dowodzenie godne tych, którzy pieniądzu zaprzedali się w służbę. I czegoż spodziewają się ci, którzy niebu wydali otwartą wojnę? Czyż nigdy nie spotkali w życiu cierpienia? Czyż nie płakali nigdy? Nie przekonali się nigdy o bezskuteczności pociech ludzkich? Czyż już niedość, że krwią i potem skrapiamy tę przeklętą ziemię, jeszcze nadzieję naszą całą jej poświęcić mamy. Jakto słuchacze moi, czy nie wolno biednemu więźniowi powstać, wstrząsnąć kajdanami, oprzeć czoło o kraty smutnej swej celi, wznieść wzrok ku niebu i odetchnąć świeżym powiewem, które zmęczoną pierś jego pokrzepia? Skąd byśmy czerpali siłę do zniesienia razów, które zadaje nam potwarz, przemoc i zawiść, gdyby nadzieja nie ukazywała nam sprawiedliwości podeptane prawo, i że zgnębioną, ośmieszoną cnotę obronić i pomścić potrafi? I co wstrzymałoby słabość ludzką od samobójstwa w chwili nieszczęścia, druzgocącego jego egzystencyę, gdyby nadzieja nie ukazywała mu życia wiecznego?

Wy nieszczęśliwi zaprzeczajcie dalej nadziei nie-

bieskiej i zasklepiajcie się w mule ziemi; bogobojnym duszom otwierają się inne od waszych horyzonty. Lecz nie ważcie się biednym braciom waszym, którzy pracują jęcząc w niedostatku, wydzierać drwiąco ostatnią ich kotwicę — nadzieję nieba! Odbieranie im tego, co koi smutek i osusza łzy, choćby tylko było złudzeniem, pamiętajcie o tem dobrze, choćby było tylko złudzeniem, jest barbarzyństwem, nędznem okrucieństwem! Opowiadają, iż pewien młody więzień, w smutnej swej doli polubił pajączka, który odwiedzał go w jego celi. Więzień karmił go codziennie i cieszył się na jego przybycie, którego oczekiwał z niecierpliwością. Pewnego dnia spostrzegł pajączka dozorca więzienia i zgniótł nogą biedne stworzenie. Biedny Silvio Pelico! pozbawiono cię i tej jedynej pociechy! Bez wątpienia była to drobnostka, lecz żywo zabolała więźnia i każdemu mimowoli nasuwa się myśl: „jakiż brutalny był ten dozorca"! Otóż pozbawiać cierpiącego nadziei nieba, jest to pozbawiać człowieka jego ostatniej podpory, spychając go w otchłań rozpaczy; albo tego, który wpadłszy do rwącego strumienia i chwyta się gałęzi, która go uratować może, zepchnąć; to znaczy powiedzieć komuś: „głodny jesteś i spragniony w potrzebie, nieszczęściu, ale twoja nadzieja jest ułudą, z tamtej strony grobu kończy się wszystko!" O wy barbarzyńscy, okrutni ludzie!

Jednakże położenie nasze na tym świecie nie jest tak opłakane; jest ono wprawdzie losem wygnańca, lecz miną dnie wygnania i opadną łańcuchy wiążące naszą duszę. Jęczycie pod brzemieniem życia, lecz pocieszcie się, wznieście oczy wasze ku niebu, tam czeka was wypoczynek po pracy, przystań po burzy. Pocierpcie na tym padole! Może już za lat, może za dni niewiele ogar-

nie was bezmiar szczęścia i radości. Biedni wy bracia moi, jeżeli znajdujecie się między moimi słuchaczami wy, którzy znosicie głód i pragnienie, a co gorsza, otoczeni gromadką dzieci, które wołają o chleb, a wy im tylko łzy dać możecie, które proszą o odzienie, a wy ich tylko w ramionach swoich utulić możecie: Wy najbiedniejsi pocieszcie się! Wznieście oczy wasze ku górze: dzień zapłaty zbliża się; jeszcze chwila tylko, a ubogie chaty wasze zamienią się w pałace, łzy z ócz waszych zetrze sam Bóg i każdą z nich zbiorą skrzętnie aniołowie i zamienią w drogocenne kamienie, które lśnić będą na wieki w nieśmiertelnych waszych koronach. I nie będzie tam ani nieszczęścia, ani bolu; Bóg przyjmie nas w objęcia swoje i bezmiernem będzie szczęście nasze. O jakaż radość napełni cię duszo moja biedna, która tak bardzo oczekujesz chwili, w której Boga bez zasłony, twarzą w twarz oglądać będziesz! Jakiż to będzie balsam dla biednego twego serca, gdy pociągnie cię ku sobie w wieczystym uścisku. Ale na czemże polega ta tak piękna i krzepiąca nadzieja? Rękojmią jej jest nigdy niezachwiana podstawa zasług i Krwi Chrystusa Pana. Przysłuchajcie się słowom samego Zbawiciela: pewnego razu usiadł Chrystus na wzniesieniu, aby stamtąd nauczać zgromadzone rzesze. Powiódł wzrokiem po tej ziemi i widząc ją całą łzami zroszoną i cierpieniem napełnioną, zawołał: „Błogosławieni ubodzy, błogosławieni płaczący, błogosławieni cierpiący!“ Coś Ty wyrzekł, o Panie? Czyż to nie jest okrutna ironia? Błogosławieni ubodzy — Tyś sam Panie przeszedł niedolę ubóstwa! Błogosławieni, którzy płaczą — ale Tyś sam Panie zakosztował goryczy łez! Błogosławieni, którzy cierpią – czyś Ty Panie będąc na ziemi, nie doświadczył jak gorzkiem jest prześladowanie? Lecz nazywasz tych błogosławionymi, „albowiem ich jest królestwo niebieskie“. Czyście słyszeli? Mówi to Chrystus, który jest Bogiem! Jakże Chrystus słowa te potwierdził? Zanim zawisł na górze Kalwaryi, objął wzrokiem duszy przeszłe, żyjące i przyszłe pokolenia i widząc wszystek ból i cierpienie gnębiące ludzi, zawołał: „Żal mi ludu tego, srodze cierpieniem udręczonego“; dodał, idąc za popędem nieskończonej swojej miłości: „Niechaj wszystko cierpienie przejdzie na mnie“. Tak jest, wszystek ból i cierpienie wziął na siebie, i cierpienie, zwalając się górą na Zbawiciela, stępiło na Nim ostrze swoje, nasyciło się Krwią Jego i złagodzone powróciło do ludzi w zmienionej postaci i w znaczeniu, które mu nadał Chrystus Pan. Zbawiciel nie obiecuje uczniom Swoim radości lecz krzyże; lecz św. Paweł wzywa Chrześcijan, ażeby cieszyli się z krzyżów, życie bowiem jest krótkiem cierpieniem, które nam gotuje wieczystą chwałę i wesele. Oto na czem budować powinniśmy naszą nadzieję, a gdyby czczą była, w takim razie nie byłby Chrystus Bogiem!

Jeżeli nadzieja wstąpi w serce cierpiącego, jakąż wniesie tam ze sobą siłę i pociechę! Jeżeli nadzieja zwodniczego zysku dodaje żeglarzowi sił w strasznej walce z żywiołami, jeżeli nadzieja niepewnych żniw łagodzi trudy rolnika, jeżeli wielki bohater, który tak wiele śladów za sobą na świecie pozostawił, potrafił z głodu i zmęczenia padających żołnierzy podtrzymać nadzieją sławy, która czekała na nich u stóp piramid, czegóż dokonać nie powinna nadzieja oparta na słowie Bożem, nadzieja, która nie obiecuje znikomych dóbr ziemskich, lecz wieczną chwałę w niebie.

Moi Słuchacze! Historya nadziei jest historyą hero-

icznych czynów doniosłej sławy. Podziwiajcie pośród mąk i katuszy te miliony męczenników! Kaci ich bledną i opadają ze znużenia, a oni uśmiechają się w bólach najsroższych. Przyjrzyjcie się tam w odległej pustyni tym ludziom wycieńczonym postem i długiem czuwaniem nocnem; niema cienia smutku na ich twarzy, ani łzy w oku, ani skargi na ustach. Podziwiajcie bohaterskie dziewice, które do krzyża wyciągają ramiona i naciskają cierniową Koronę Oblubieńca na czoło, przejmując świat słowami: „Cierpieć lub umrzeć“, lub temi innemi: „Nie umierać, lecz cierpieć“. Podziwiajcie te kobiety, które pukają do waszych drzwi, zbierając jałmużnę dla swoich biednych; mówcie im o zabawach, balach, teatrze, a odpowiedzą wam uśmiechem politowania! I ukażcie im to wszystko, czem świat wabi ku sobie serce człowieka, a spojrzą na to wszystko wzrokiem niewypowiedzianej pogardy; ukażą wam zgrzebne suknie, któremi się odziewają i twarde łoże, na których niezbędnego zażywają spoczynku i opowiedzą wam o modlitwach, któremi wolne wypełniają chwile. I cóż zdołało wywołać taką zmianę w duszach ludzkich i tak je znieczulić na ziemskie radości? Nadzieja nieba, widzą otwarte niebo i wraz z św. Pawłem całują łańcuchy i drżą ze szczęścia i radości.

Bezwątpienia, że i ten, który żyje nadzieją, cierpi również, jak i ten, który nadziei niema. Ale co za różnica między tem cierpieniem! Przypatrzcie się człowiekowi, który żyje nadzieją niebieską; nosi on na czole słodki stygmat poddania i skarży się jedynie słowami Pana: „Oddal odemnie ten kielich goryczy. Wszakże nie moja, lecz Twoja niech się stanie wola“. A człowiek, który nie żyje nadzieją, nosi wyryty na czole ból; rysy

jego mają wyraz zniechęcenia i przerażenia, blizki jest bowiem rozpaczy, Pierwszy wywołuje współczucie, drugi grozę; pierwszemu udzielamy pociechy, od drugiego odwracamy się smutni. I jakżeby mogło być inaczej? Ten, który poza grób nie przenosi nadziei, z goryczą wspomina utracone dobra doczesne; odczuwa dotkliwie przygniatające go cierpienie, unika Boga i ludzi i przeżywa marny żywot, kończący się rozpaczą, a często samobójstwem. Obaj ci ludzie cierpią; lecz co za różnica między westchnieniem pierwszego, a rozpaczą drugiego. Przyjrzyjcie się człowiekowi wiszącemu na krzyżu po prawej stronie Zbawiciela; dopóki nadzieja nie zawitała w serce jego, przeklinał i złorzeczył; lecz zaledwie jeden promień tej boskiej pocieszycielki rozjaśnił mu duszę, ogarnął go spokój i poddanie, a twarz jego rozjaśniło światło wewnętrznej radości: „Wspomnij na mnie Panie, gdy wejdziesz do Królestwa Twego“ — mówi do Chrystusa Pana, a Chrystus odpowiada miłosiernie: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam Tobie, dziś jeszcze będziesz ze mną w raju“.

Przyjrzyjcie się temu męczennikowi z piewszych wieków Chrześcijaństwa, który tak zasłynął gorliwością, Św. Ignacemu z Antiochii; przyjrzyjcie mu się porównując go z gladyatorem, który wraz z nim ma ponieść śmierć na arenie cyrkowej. Jakaż różnica między świętym, który w śmierci widzi wyswobodzenie z pęt cielesnych, a gladyatorem, który poddaje się jej jako nieubłaganemu złemu; gladyator podchodzi przed lożę Cezara i pozdrawia go tym wymuszonym hołdem: „Ave Caesar Imperator, morituri te salutant“. Bój rozpoczyna się; ranny gladyator upada na piasek areny, a padając, widzi dookoła niezliczone tłumy ludu rzymskiego, który

z jego cierpienia czyni sobie widowisko. Przychodzi mu na myśl odległa ojczyzna i rodzina i konając, przyzywa całą mocą swojego goryczą przepełnionego serca zastępy barbarzyńców, aby pomściły przelaną krew jego; umiera z przekleństwem na ustach. Święty przeciwnie: wchodzi na arenę z niebiańskim spokojem na obliczu i zwracając się do uczni swoich, mówi im: „Nie proście Pana aby oszczędziły mnie kły dzikich zwierząt, czuję czego mi nie dostaje, bo oto jestem tem pszenicznem ziarnem Bożem, które kłami dzikich zwierząt zmielone być musi, aby się przeistoczyło w czysty chleb Chrystusowy". A słysząc ryki dzikich zwierząt, woła ku nim: „Przybywajcie! nie lękam się was!" I opadają go dzikie bestye, a on padając pod ich kłami, brocząc krwią, spogląda konającym wzrokiem ku niebu i widząc tłuszczę rozbestwioną, żądną krwi jego i śmierci, nie przeklina jej, bo w sercu jego niema nienawiści, ani rozpaczy. Przyzywa aniołów i świętych i prosi Pana, aby krew jego jako rosa niebieska padła na gród ten, a ponieważ nie opuszcza go nadzieja, umiera błogosławiąc, ze słowem miłości na ustach. A na cóż sięgać w tak odległą przeszłość; zapytajcie tych aniołów, które zwiemy siostrami miłosierdzia! Zapytajcie je, w jakim celu wtargnęły do królestwa cierpienia, a odpowiedzą wam, że starają się wprowadzić doń nadzieję, bo wszędzie, gdzie ona wnika, wnosi ze sobą pokrzepienie i ulgę w gorzkiem cierpieniu. Zachodzi do chaty biednego i do pałacu bogacza; staje przy zgniłym barłogu więźnia i ukazując mu z daleka wolność, chroni od rozpaczy; nawiedza nieszczęsnego skazańca i nawet w sercu człowieka, którego odtrąca społeczeństwo, zapala swoją iskierkę. Nadzieja zasiada u łoża chorego i tutaj właśnie ukazuje się nam najjawniej działanie tej świętej cnoty. Niechaj ci nowocześni uczeni, którzy tak się chełpią z tego, iż nakłaniają sztukę do postępu, odkrywając pomału zasłonę prawdy, która jednak w sztuce niesienia bliźnim pomocy i ulgi, żadnego nie uczyniła kroku naprzód. Niechaj zbliżą się oni do łoża chorego; biedak walczy z nieuleczalną chorobą; w chacie jego brud i nieład i niema on nawet za co sobie kupić posiłku. Ale ludzie ci odwracają się od niego; nie wierząc, nie uznają nadziei nieba, więc na widok tego cierpienia milkną — w takiej chwili bombastyczne ich teorye nie przechodzą im jakoś przez usta. Co najwyżej kładą pieniądz na łożu biedaka, opuszczając czemprędzej to miejsce cierpienia. Bo i cóż mu oni powiedzieć mogą? Skąd wezmą słowa pociechy? Czy powiedzą mu: „Ubolewam nad tobą biedny człowieku, podzieliłbym z tobą chętnie twe cierpienia — współczuję z tobą tem więcej, że sam też zaznałem w życiu cierpienia". Bezwątpienia piękne to słowa, ale czyż nie brzmią one tak beznadziejnie smutno, jak dzwon pogrzebowy. Więc może powiecie mu: „Zapomnij o twojem cierpieniu". — Zapomnieć! Powiedzcie rannemu żołnierzowi, aby nie myślał o ranach, czy przez to uśmierzycie ból jego. Może rzucicie mu słowa, któremi tak hojnie szafujecie: „Uzbrój się w cierpliwość!" „Cierpliwość" – odpowie biedak — „już dziesięć, dwadzieścia lat, zbroję się w cierpliwość, bo od tyluż lat cierpię". Jakież znaczenie może mieć cierpliwość, jeżeli nie towarzyszy jej nadzieja nieba? „Ja wiem dobrze" — woła nieszczęśliwy – „chcielibyście, aby ci co cierpią, tłumili skargi i westchnienia; ażeby bez wahania kładli głowy pod miecz katowski; ta cierpliwość wasza urąga cierpieniu". Więc „cierp i umieraj

bez skargi", oto szczyt pociech, na jakie zdobyć się może mądrość ludzka! Lecz pozwólcie teraz nam, księżom, przynieść pociechę duszy tego nieszczęśliwego brata naszego, która milszą jest Bogu od dusz książąt i możnych tego świata. Wkładamy mu w ręce krzyż, przykładamy do ust jego i serca krucyfiks, mówiąc: „Odwagi synu, odwagi! Pokładaj nadzieję w miłosierdziu Bożem. Ono jest przy tobie; licz na niebo, ono uszczęśliwi cię wiecznie. Odwagi synu! czy nie wiesz, że zwiędły liść opaść musi, aby gałąź zatkwitła na nowo, i że skoro rozpadnie się ta lepianka, znajdziemy się w pałacu, który ręce Boże dla nas gotują. Odwagi bracie, jeszcze dni kilka może, godzin kilka, potem śmiertelność twoja przeobrazi się w światło i tam z góry, w zespole z chórem Aniołów zawołasz: „Błogosławiona śmierci! Nie, zaiste cierpienia ziemskie nie zasługują na taką nagrodę, a utrapienia tego świata na taką szczęśliwość". Na dźwięk takich słów przeistacza się oblicze chorego, który może bliski już zwątpienia, ogarnia go spokój niebiański i zwracając się do żony i dzieci, które z płaczem otaczają jego łoże, mówi: „Nie płaczcie, umieram wprawdzie, lecz jestem szczęśliwy, bo nie mówię wam, żegnajcie mi, lecz do widzenia tam w górze i z nadzieją zasługi Tego, którego męczeński wizerunek podaje mu kapłan, oddaje duszę swoją w ręce Zbawiciela.

Lecz nasuwa się oczom naszym jeszcze smutniejszy widok, bo oto śmierć zdobyła ofiarę swoją; leży przed nami zimny, zdrętwiały trup. Jest nim wasz ojciec, wasza matka, wasze dziecko, które kochaliście bardziej, jak samych siebie. Przystąpcie do niego, wy ludzie, którzy nie wierzycie w niebo. Spojrzyjcie w to drogie oblicze, na którem śmierć wypisała swój wyrok. I cóż powie

wam na to wasza wiedza? Że tego człowieka już nigdy nie ujrzycie? Więc pożegnanie wasze było ostatecznem rozstaniem? Obdarowywaliście miłością rozrzutnie odrobinę gliny, garstkę prochu; drogi ojcze, nie byłem przy tobie, kiedy wydawałeś ostatnie tchnienie; nie dałeś mi ostatniego pocałunku, czyż cię już nigdy więcej nie zobaczę? Droga matko, na dźwięk tego słowa silniej bije mi serce, czyżby ono biło dla garstki znikomego prochu? Oddalcie się nieszczęśliwi, bo albo nie kochaliście nigdy prawdziwie, albo nie widzieliście nigdy ukochanej osoby walczącej ze śmiercią. Niepodobna bowiem patrzeć na śmierć drogiej osoby i godzić się z tą beznadziejną nauką. W takim razie kochając gorąco i widząc śmierć ukochanej osoby, roztrzaskalibyście chyba głowy wasze o kamień jej grobowca; bowiem ukochawszy nicość, nicość jedynie ukoić by was mogła. My jednak pokładamy nadzieję naszą w niebie, gdzie naszych drogich na nowo oglądać będziemy. Widzę was płaczących nad grobem, który zawarł się przed wami na zawsze. Na zawsze? O nie! Nadziejo, córko nieba, przybądź i powiedz, że ukochani nie tutaj się znajdują; oni są tam w niebie, w nieskończonej szczęśliwości, i że zobaczymy ich znowu w liczbie wybranych, bo w niebie nie zatraca człowiek swojej istoty. Święta nadziejo! udzielasz mi dzisiaj sił do zniesienia cierpień, a jutro nagradzasz je wieczną szczęśliwością! Przy tych słowach rozsuwają się mgły, które zalegały dusze, niewypowiedziana słodycz wsącza się do serca i pokrzepia je i nie straszy nas już widmo grobu, ani nie prześladuje woń zgnilizny, lecz trzyma nas nadzieja ujrzenia umiłowanych w chwale niebieskiej. Drogocenna nadziejo! Pocieszycielko strapionych! Przyjaciółko cierpiących! Towarzyszko wygnanych! Podporo

chwiejnych! Pokrzepienie umierających! Nie odstępuj od żadnego z nas! Bądź światłem naszych oczu! Kierowniczką naszych czynów! Jeżeli nas wspierać będziesz w tem życiu ziemskiem, zasłużymy sobie na szczęście w przyszłem niebieskiem.

II. Moi Słuchacze! Jest w Watykanie w Rzymie obraz, który tego, który nań patrzy, przejmuje podziwem. Jest nim Przemienienie Pańskie, Rafaela. Obraz ten zawiera pouczającą naukę, odnoszącą się również do treści dzisiejszego kazania. Posłuchajcie, na pierwszym planie obrazu widzimy chłopca, opętanego przez szatana; ojciec wstrzymuje go z rozpaczą, a zły duch wstrząsa biednem dzieckiem, którego wargi są kurczowo zaciśnięte a oczy wywrócone. Straszny widok! Z boku klęczy dama; ból, strach i beznadziejność przebijają się w jej rysach; obok kilku uczni Chrystusa przygląda się strasznej scenie z widocznem współczuciem, lecz zarazem z bezsilnością. Tłum, podzielony w poszczególne grupy, przypatruje się bezradnie smutnemu widowisku. Oto prawdziwy obraz życia naszego! Scena ta jest sceną bolu bez pociechy i bez rady. Czy życie nasze nie jest również jednym ciągiem nieutulonych cierpień! Niema przy tej scenie boskiego Zbawiciela — jest On bowiem wyżej na górze Tabor i nikt nie myśli o Nim, nikt Go nie szuka; jeden tylko człowiek wznosi ramię i ukazuje Tabor, jak gdyby mówiąc do tłumu: „Tam w górze jest Bóg wszechmogący, udajcie się do Niego, a On uzdrowi wam dziecię". Lecz nikt go nie słucha. Czyż to samo nie powtarza się często w życiu? Kto z nas pyta o niebo? Kto o niem myśli i o nie się troszczy? A gdy ksiądz tym braciom swoim, którzy cierpią, mówi: „Cierpienia wasze otworzą wam niebo", jakże oni przyjmują słowa

te? — Lecz cóż widzimy dalej na tym obrazie? Nie Chrystusa, lecz antytezę Jego, szatana. Czy przesadzę, gdy powiem, że i to zdarza się w życiu często? Bo zastanówcie się i przyznajcie, kto rządzi światem, jeżeli znika zeń nadzieja nieba? Kto wtedy bierze w posiadanie ludzkie dusze, jeżeli natrą na nie przeciwności losu? Nikt inny jak tylko demon, i to demon najstraszniejszy, bo demon rozpaczy. — A wtedy trucizna lub rewolwer kładą nędznemu życiu szybki kres! I dlatego to bracia moi w tak zastraszający sposób szerzy się samobójstwo, które dawniej prawie nieznanem było w naszej ojczyźnie. I dlatego to samobójstwo pogrąża rodziny w żałobie, szerząc grozę w społeczeństwie. Usiłowano odebrać tym, którzy cierpią, nadzieję nieba, a przecież cierpienie beznadziejne zamienia życie w rozpacz! Jakże więc karygodnymi są ci, którzy odbierają wiarę i nadzieję i jak bardzo są oni odpowiedzialni wobec społeczeństwa i ojczyzny, które wiodą do zguby!

Czy chcecie ujść przed demonem rozpaczy? Czy chcecie mieć siłę i męstwo do znoszenia bólów i cierpień? Obudźcie w sercach waszych nadzieję nieba, które stoi zawsze przed wami otworem! Nawet utraciwszy wszystko, co może istocie ludzkiej drogiem być na świecie, zostawszy sami bez opieki i jakiejkolwiek przyjaźni, jako prawdziwi wygnańcy na tej ziemi — nie rozpaczajcie, bo nie zapominajcie, że niebo stoi zawsze otworem! Bóg słucha chętnie zawsze głosu naszego i zawsze gotów przyjść nam z pomocą w walce życiowej, zsyłając nam anioła pocieszyciela, tak jak Chrystusowi Panu w Getsemańskim ogrodzie. Anioł ten zaprowadzi nas do stóp Krzyża i pocieszać będzie temi słowy: „Synu, nie zapominaj, że nie może uczniom dziać się lepiej od Mi-

strza". I przypominajcie sobie, że Chrystus powiedział ongi: „Błogosławieni ubodzy, — błogosławieni, którzy cierpią i którzy płaczą, albowiem ich jest królestwo niebieskie". Dlatego odwagi bracia moi! Życie to jest tylko krótką pielgrzymką, po której wejdziemy do naszej ojczyzny, do domu Ojca naszego. — I nie jest to tylko próżną zwodniczą nadzieją! Bądźcie mężni bracia moi! Nie cierpicie i nie płaczecie sami, jest to wspólny los wszystkich mieszkańców ziemi, lecz łzy wasze liczy Bóg. Wstąpcie otwarcie na drogę cierpienia, jest to bowiem jedyna droga, która prowadzi do królestwa niebieskiego. Trzymajcie ciągle przy ustach kielich goryczy. aby nie wyrywały się z nich skargi i złorzeczenia! Żal mi was, bowiem ciężkim i smutnym jest los wasz, lecz zważcie, że wszystko tu na ziemi takie przemijające, że życie ogranicza się od poranku do wieczora, i że po łzach wygnania następuje radość powrotu do ojczyzny. Spoglądajcie na niebo sklepiące się nad wami, bo ono dla was, dla was z całą pewnością! A jeżeli znajduje się tam ktoś wam drogi, to woła on na was, przygotowując wam mieszkanie w wieczności. Jeszcze trochę męstwa, jeszcze trochę wytrwałości, a zwyciężycie, jeszcze trochę cierpienia, a zaznacie wiecznej radości w niebie!

XII.

Święcenie niedzieli.

M. S! Przystąpimy dzisiaj do omówienia kwestyi, która nie jest tylko mniej lub więcej ciekawym problematem, ale raczej groźbą i niebezpieczeństwem, które zażegnać trzeba, jest nią wielka kwestya społeczna. Z czego się ona wyłoniła? Jakiem jest jej pochodzenie? Co stało się powodem tego nagromadzonego w sercach ludzkich buntu i nienawiści, które trawią ubogą, t. j. robotniczą klasę? Przyczyn tych jest wiele; przytoczę tylko główne: przedewszystkiem nadmiar pracy, następnie grzeszne przyjemności i rozrywki, a w końcu ten teoretyczny i praktyczny materyalizm, tak rozpowszechniony wszędzie. Wszystko to tępi umysł, paczy sumienie, rozgorycza serca i zabija człowieka. Oto przyczyny. Ale jakimi będą środki zaradcze? M. S! Wielu myląc się co do przyczyn tych objawów, zwalało winę na ustrój społeczny, na tak zwaną uprzywilejowaną klasę, i według nich lekarstwo polega jedynie na tem, ażeby ten porządek społeczny zmienić i przywileje usunąć. Jest to jednak całkiem mylne mniemanie; jedynie skutecznem lekarstwem jest wypełnianie tych przykazań Bożych, które od początku świata stanowiły jedyną

normę życia ludzkiego, a przedewszystkiem w zastosowaniu tego podstawowego przykazania, którem jest święcenie dni świętych. Naturalnie przykazanie święcenia niedzieli samo przez się nie wystarcza jeszcze, ażeby nadmiar pracy zmniejszyć, złagodzić i uszlachetnić popędy serc ludzkich, ale ułatwia przystęp moralnym i religijnym wpływom temu duchowi wspólności i ładu, wolności i braterstwa, które narody ocalić może. Zaniedbując święcenia niedzieli, zamyka się temsamem przystęp tym moralnym czynnikom. Przeto gwałciciele sabatu odpowiadają przed Bogiem za zły stan rzeczy obecny, i mogące stąd wyniknąć w przyszłości burze.

Jakżeż my więc zachowujemy święcenie niedzieli? Człowiek będący tak chciwy spoczynku, gdy tenże nie jest mu dozwolony, odtrąca go, gdy mu go Bóg użycza, i występuje tak buntowniczo, jak gdyby zachowanie tego przykazania nie było dla niego samego połączone z największą korzyścią? Bo w rzeczy samej jakżeż my na ogół zachowujemy spoczynek niedzielny? Z dnia bowiem, który powinien być dniem spoczynku, uczynili chrześcijanie dniem orgii i rozpusty, Bóg, który tak szczodrze szafuje dniami, zachował ten jeden dzień w tygodniu dla siebie, a człowiek rabuje i ten dzień dla swojej domniemanej korzyści i swojego użycia, tak, że ten najświętszy dzień w tygodniu najbardziej bywa bezczeszczony. Postanowiłem dzisiaj wykazać wam, że święcenia niedzieli wymaga nie tylko Bóg, lecz własna dusza nasza, bowiem niedziela jest dniem poświęconym Panu, i że zaniechanie jego przykazań jest nietylko buntem względem Boga, ale także ściąganiem największych klęsk na samych siebie, rodzinę i całe społeczeństwo.

M. S! Jakie właściwie znaczenie ma niedziela? Wiecie to wszyscy, że niedziela jest dniem Pańskim. Bez wątpienia wszystkie dnie należą do Boga, On to trzyma je wszystkie w swoim ręku, wszystkie są Jego, jest Stwórcą i Panem wszystkich. W dobroci Swojej i miłosierdziu, dał nam ludziom sześć dni z rzędu, którymi do woli rozporządzać możemy, abyśmy ich używali do załatwienia naszych spraw ziemskich, a po tych sześciu jeden jedyny zachował dla siebie, i żąda, aby w dniu tym, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej godzin kilka poświęcić Jego służbie wyłącznie; resztę zaś przeznaczył na nasz wypoczynek celem nabycia nowych sił fizycznych.

Od początku wyznaczył Bóg w długim szeregu dni, te, które przeznaczył na modlitwę i wypoczynek, a do których rości sobie sam przedewszystkiem prawo. Zarządzenie to sięga do początków wieków. Gdy Bóg oddzielił wodę od lądu, gdy nad ziemią rozpostarł firmament jako namiot olbrzymi, i posiał na nim gwiazdy, jako kwiaty na łące, wtedy stworzył człowieka, dając mu berło panowania w ręce; a gdy po raz siódmy powstało słońce, wtedy Bóg, jak powiada tekst Pisma św. spoczął, i święcił dzień ten. Oto początek święcenia niedzieli! I od tej chwili ustanowiony został porządek czasu, następowały dnie po sobie w tym tajemniczym obiegu, któremu sam Bóg dał początek. Dlatego to zwrócił się Mojżesz do ludu z tym stanowczym rozkazem: „Pamiętaj abyś święcił dzień sabatu“. I temi słowy zaznacza również wyraźnie, że nie ustanawia nowego przykazania, lecz że są one sformułowaniem dawno istniejącego, które przypomina ludzkiej pamięci.

Jezus Chrystus przyszedłszy na ten świat, zatwier-

dził je ponownie; upoważnił tylko kościół swój do przełożenia spoczynku świątecznego z ostatniego dnia w tygodniu na pierwszy, ażeby zaznaczyć różnicę pomiędzy starem przymierzem a nowem, a akt ten uświęcony został bardziej jeszcze poświęceniem dnia tego Ojcu Jego niebieskiemu. Niedziela jest zatem dniem Pana, i w dniu tym najobficiej spływa łaska Jego z nieba na ziemię, jest oraz dniem cudów i tajemnic bożych. W niedzielę rozpoczyna Bóg wielkie dzieło stworzenia, wymawiając potężne słowa: „Fiat lux!“ (Niech się stanie światło). W niedzielę powstaje Chrystus z martwych, otoczony blaskiem swego boskiego majestatu. W niedzielę zstępuje Duch Ś. na apostołów, pobudzając ich do dzieła apostolstwa, którzy odtąd głosili to jego przykazanie po całym świecie. Św. Jan Chryzostom woła: „Cześć niedzieli! Dzień ten bowiem pojednał Stworzyciela ze stworzeniem, w tym dniu objął Bóg, który zda się, po upadku pierwszych rodziców jak gdyby usuwać od świata, na nowo w posiadanie dziedzictwo swoje i wszystkie serca ludzkie“. Lecz jakże my przeważnie obchodzimy ten dzień pański? Jakże niestety często uderzenia siekiery, młota kowalskiego, lub niemniej grzeszna igła krawca lub szewca, protestują temu przykazaniu bożemu i zdają się wołać: „Nie chcemy zachowywać go!“ Krzyk ten przenosi się z miast do wsi, z dolin do gór, ze starego do nowego świata, bogaty uczy go biednego, uczony prostaczka. Lecz S. M! co na to mówi nasz rozsądek i nasze serce? Czyż rozsądek nie przekonuje nas, że pierwszym naszym obowiązkiem jest poświęcić Bogu część tego czasu, który z Jego wszechmocnej otrzymujemy ręki? I czy nie mówi nam sam rozsądek, że dzieje się tylko zadość sprawiedliwości, jeżeli z pierwszego dnia,

od którego Bóg zaczął liczyć czas, godzin kilka Jemu złożymy w ofierze? Poganie nawet mieli swoje dnie świąteczne, a także nietylko te narody, które zwiemy cywilizowanemi, jak Grecy i Rzymianie, lecz i barbarzyńskie społeczeństwa ludzkie. Ale przedewszystkiem co mówi nam serce? Bóg daje nam wiele, a wymaga od nas bardzo mało, pozostawia nam 6 dni dla naszych spraw doczesnych, dla których udziela nam błogosławieństwa swojego, otaczając je najtroskliwszą opieką Opatrzności swojej, a jednego tylko dnia żąda dla siebie. Lecz pomyślmy nad tem, gdyby Bóg sam tego od nas nie żądał, czybyśmy Mu sami już mniej ofiarować mogli, jak ten jeden dzień? Jeżeli ojcu ziemskiemu winniśmy wdzięczność i uznanie, o ileż bardziej winniśmy je Ojcu najwyższemu, największemu dobroczyńcy naszemu? Czyżby to nie było sprzecznością uznać, że Bóg stworzył nas, że zależymy od Niego, i wzbraniać się zarazem oddawać Mu należny hołd wdzięczności? Tembardziej, jeżeli sam obrał i przeznaczył dzień jeden ku temu? Więc bezczeszcząc go, czy nie wielkiej dopuszczamy się zbrodni? Nazywamy rabusiem tego, który się porywa na własność naszą, i wołamy mu: „Szanuj cudzą własność! Cudzą własność nie szanować, znaczy to samo co prowadzi w grób społeczeństwo“. I macie słuszność, należy się bowiem szacunek własności ludzkiej, lecz także i własności bożej — i czyż to za wielkie żądanie, aby na równi z inną własnością traktować własność bożą? Bo niedziela jest bożą własnością, a czyż własności bożej nie przysługuje tak samo prawo nietykalności jak własności ludzkiej? Jeżeli szanować będziecie własność bożą i własność ludzka szanowaną będzie. Lecz biada wam, S. M!, jeżeli raz przekroczycie granice

własności bożej, bo jakąż wtedy będziecie mieć porękę bezpieczeństwa dla waszej własności? Dla waszych domów i pól, Bóg bowiem jest stróżem dóbr wszystkich, a z chwilą, gdy On przestanie je ochraniać, darmo by wtedy wzywać pomocy praw ludzkich, rządu i siły zbrojnej!—A więc szacunek należy się nietylko własności ludzkiej, lecz przedewszystkiem własności bożej.

Niedziela nie jest jednak wyłącznie tylko dniem bożym, jest bowiem także i dniem człowieka. Bóg stwarzając człowieka, dał mu ciało i duszę, i złączył te jego obie istoty tak ścisłym węzłem, iż brak spoczynku duszy przynosi uszczerbek ciału, i przeciwnie, gdy ciało nasze zmęczone i dusza nasza nie może znaleźć wypoczynku. Bóg zatem przeznaczając dzień jeden na spoczynek uświęcony modlitwą, chciał w swojej dobrotliwej Opatrzności, ażeby ciało miało swój wypoczynek, a ilość wypoczynku tego zastosowaną została do proporcyi sił organizmu ludzkiego, przez Tego, który ulepił ciało nasze z mułu ziemskiego. Zatem Mistrz najwyższy ustanowił ten peryodycznie powtarzający się co sześć dni wypoczynek niedzielny. Dał nam Bóg nocny spoczynek dla umorzenia całodziennego zmęczenia, a wypoczynek niedzielny, ażeby odzyskać na nowo siły nadwyrężone całotygodniową pracą. I dlatego wszedł człowiek w zupełności w myśl bożą, nazywając dzień ten „Recreatio“, czyli odrodzeniem. Podobało się Bogu ustalić równowagę naszej egzystencyi jednym dniem wyznaczonym nam na spoczynek.

Dobrodziejstwo to oceniają zapewne mniej ci, którzy nie pracują w pocie czoła na chleb swój codzienny, lecz zapytajcie biednego rolnika, którego wyczerpały całotygodniowe trudy, zapytajcie rzemieślnika, który

sześć dni z rzędu oddaje się ciężkiej pracy, a zrozumiecie, że spoczynek niedzielny, pomijając nawet jego znaczenie religijne, jest opatrznościowem zarządzeniem, tak dalece, że gdyby nie istniało, zachodziłaby niezbędna potrzeba zaprowadzenia go. Nauka wykazuje nam, że gdzie nie zachowuje się niedzieli, tam srożą się choroby i przedwczesne zgony.

Co właściwie nadaje człowiekowi tytuł króla stworzenia? Jego dusza. Przez to, że mamy duszę, jesteśmy obrazem i podobieństwem bożem, i przez nią to stoimy o stopień tylko niżej od aniołów. Dusza nasza stworzona na obraz i podobieństwo boże, odkupiona krwią Boga, oto nasze prawo do wielkości; nie mając tej duszy, równalibyśmy się ze zwierzętami. A teraz pytam się was bracia moi, czy tej duszy uposażonej tak przedziwnemi darami, będącej żywym obrazem bożym, nie należy się jeden dzień w tygodniu wypoczynku i panowania? Jakże to, sześć dni poświęca się ciału, sześć dni poświęconych sprawom świeckim, w ciągu których musimy wzrok nasz nieustannie pochylać ku ziemi, i po nich niema nastąpić dzień jeden, w którym by można wznieść duszę ku niebu przez modlitwę, kazania i ćwiczenia duchowne? M. S! co by się stało człowiekowi podległemu jarzmu pożądliwości i namiętności, gdyby dnie świąteczne nie podnosiły nas z tej kałuży grzechu, której głębia tak jest zdradliwą? Wkrótce nie odnaleźlibyście człowieka w tem stworzeniu o popędach zwierzęcych, umyśle niestatecznym, o sercu, które już nie zdolne przejąć się wzniosłą i szlachetną ideą, jednem słowem dusza taka identyfikowałaby się z materyą. Lecz chciał Bóg aby było inaczej, dlatego powiedział ongi: „Pamiętaj abyś dzień sabatu święcił!“ I odzywa

się do nas prosząco: „Miej litość nad duszą twoją". — Miej litość nad tą duszą, która tak łatwo zapomina rzeczy świętych. Prawdy te są dla duszy twojej tem, czem chleb dla ciała. Czy nie widzisz w jakim stanie znajduje się twoja dusza z chwilą, gdy zapomina o tych świętych prawdach i swojem wiecznem przeznaczeniu. Przeto ulituj się nad duszą twoją, która tyle ma potrzeb, a przedewszystkiem spokoju i wypoczynku potrzebuje ta biedna dusza twoja szarpana przez tyle burz i rozczarowań. Ale gdzież ma znaleźć dziecko spokój, jeżeli nie w domu ojca swojego? Gdzie zatem szukać ma go dusza, jeżeli nie w świątyni Pańskiej? Biedna wygnanka zbłądziła z drogi prowadzącej do ojczyzny, i potrzebuje ramienia, któreby ją skierowało na prawdziwą drogę, a kiedyż ma to ramię znaleźć, jeżeli nie w dniu poświęconym Panu?

Czy nie czujecie potrzeby takiego dnia, w którymbyśmy odsunięci od świata, w samotności serca oddali się rozpamiętywaniu tych spraw, które Zbawiciel nazwał nietylko pożytecznemi i ważnemi, lecz nadto koniecznemi, bowiem od nich zawisło nasze zbawienie wiekuiste. I któreż dnie są Bogu milsze od dni świątecznych? Bo kiedyżby indziej człowiek pracujący pamiętać miał o sprawach bożych? Kiedyżby stawił sobie tę prawdę przed oczy, że bogactwa tego świata są tylko prochem, i kiedyżby miał zbierać skarby dla nieba? Może w zawierusze interesów codziennych, obliczeń, które dzień po dniu pochłaniają go zupełnie? I kiedyż to przychodzi upamiętanie dla bogacza? Czy w teatrach, kawiarniach, na balach i spacerach? A ty ludzie biedny, kiedyż masz pamiętać o sprawach duszy twojej? Czy może wtedy, gdy okryty potem i kurzem pracujesz

ciężko? Lecz powiedz mi biedny ludu, gdyby w takiej chwili zjawił się ktoś ktoby ci mówił o Bogu, duszy, wierności i raju, byłby przez ciebie przyjęty jak Mojżesz przez Hebrajczyków, gdy zjawił się pomiędzy nimi w czasie ich niewoli egipskiej.

Pismo św. opowiada nam, że odpowiedzieli mu co następuje: „Dlaczego męcisz myśl naszą twemi słowy? Jakżeż nam się cieszyć obietnicą ziemi obiecanej; skoro pot okrywa czoła nasze, a zmęczenie przygniata członki nasze?" Podobnie i wy byście odpowiedzieli może temu ktoby wam zaczął mówić podczas ciężkiej pracy o Bogu, raju i nieśmiertelności, nie obrałby bowiem ku temu właściwej pory. Ktoby nie czuł konieczności istnienia sabatu, dnia, w którym przypominamy sobie ponownie, że istnieje Bóg będący naszym Panem, któremu zatem służyć musimy, że mamy duszę nieśmiertelną, którą ratować od zguby powinniśmy? Podróżnik idący przez pustynię, czuje, że nie wytrwa w podróży, jeżeli nie napotka drzewa palmowego, pod cieniem którego mógłby spocząć, i źródła przy którem ugasiłby pragnienie; a my, w wędrówce żywota czy nie mielibyśmy uczuwać potrzeby wypoczynku w cieniu ołtarza i w cieniu Krzyża Chrystusa Pana? Wchodząc na stromą górę, uczuwamy od czasu do czasu potrzebę chwilowego przystanku, a wtedy rzucamy okiem na przebytą i pozostałą do przebycia drogę, więc dlaczegóż nie mielibyśmy uznać za rzecz niemniej zbawienną rzucić od czasu do czasu wzrokiem na grzechy i błędy przeszłego żywota, starając się unikać ich w zupełności? Uważacie za wskazane sporządzić od czasu od czasu wasze rachunki, zestawiając zyski i straty i porównując je ze sobą, a nie mielibyście uznać za wskazane załatwić od czasu do

czasu rachunki wasze z Bogiem, obiecując Mu poprawę przez resztę dni, które nam jeszcze przeżyć pozwoli? Żołnierz oddala się po bitwie ze swego namiotu, aby opatrzyć swoje rany, a my po walkach życiowych nie mielibyśmy uczuwać potrzeby schronienia się w ramiona boże, by wygoić rany, które duszę naszą toczą?

Zaprawdę niedziela dla chrześcijanina jest dniem zmartwychwstania, bo w dniu tym bracia drodzy odradza się on w świetle prawdy, w dniu tym umacnia się w swojej wierze; w dniu tym wznosi się dusza swobodnie ku niebu do Stwórcy Swojego i Pana. Bo czyż majestat ołtarzy, modlitwa w skupieniu ducha, pieśni pochwalne nie pochłaniają naszej duszy przenosząc ją stopniowo z ziemi do nieba? W istocie M. S. już sama myśl o Bogu, który niewidzialnym majestatem swoim napełnia świątynię, ołtarz przed którym widzieliśmy klęczących ojca i matkę, który przesyła nam uśmiech Maryi, matki naszej i miłości pełne błogosławieństwo Jezusa, który strasznym umie być tylko dla dusz pysznych i pochlebców — wszystko to dodaje nowych sił duszy naszej, i przenosi nas mimowoli do lepszej, wieczystej krainy. Jakże znikomym wydaje nam się czas, gdy myślimy o czekającem nas dziedzictwie, i całą siłą duszy i serca błagamy Boga o tę koronę, którą niebo koronuje skronie sprawiedliwych. A gdy zwrócimy się myślą do tych dni, które pozostają nam jeszcze do przebycia na świecie, to wydadzą nam się tylko zwłoką udzieloną nam dla zdobycia szczęścia, którego na ziemi napróżno szukać byśmy chcieli, a które na wieki ma nas uszczęśliwić. I z poddaniem się woli bożej bierzemy na siebie jarzmo Chrystusowe, znosząc z cierpliwością i poddaniem się cierpienia i próby zadość czyniące

sprawiedliwości bożej, i z weselem i radością przebędziemy drogę, która nas dzieli od jej celu.

Niedziela nie jest jednak wyłącznie dniem Pana i dniem odpoczynku człowieka, jest bowiem zarazem świętem rodzinnem. Rodzina! Słowo tak święte, tak krzepiące serca! Rodzina, a więc matka, ojciec, bracia, siostry, jednem słowem to, co najdroższego mamy na świecie! Czy chcecie utworzyć z rodziny przybytek czci, miłości i posłuszeństwa? Czy chcecie, aby w rodzinie panowało szczęście najczystsze, uczucia najserdeczniejsze, dążenia najszlachetniejsze? Jeżeli tego chcecie, święćcie niedzielę! Co stanowi istotę wzorowej rodziny? Wytrwałe wypełnianie obowiązków, z których składa się życie rodzinne i zgoda pomiędzy tymi, którzy wchodzą w skład rodziny. Zachowujcie święta, a jedno i drugie będzie udziałem waszym. Przeciwnie, rodzina, która przestaje uznawać święta, rozluźnia się i upada. Przedewszystkiem ubywają jej wtedy kazania, te słowa boże zagrzewające do wypełniania różnorodnych obowiązków rodzinnych, a jedynie dnie świąteczne dają jej sposobność usłyszenia takowych. Wy ojcowie rodziny, którzy przestaliście chodzić do kościoła, gdy właśnie tam, w obliczu żony, dzieci i zgromadzonego ludu, największą godnością okrywa was Bóg, koronę ojcowską kładąc wam na skronie. Tam, autorytet boży uświęca wasz autorytet. Chcecie panować nad rodziną bez Boga, bo nie przewidujecie następstw takich rządów, lecz odbiją się one wkrótce na waszem życiu rodzinnem, do którego wkradnie się bunt, niesforność i nieposłuszeństwo. Synowie jak istni mali rewolucyoniści powstaną przeciw temu, co zuchwale zwać będą „tyrańskiem ojcowskiem“. Chcecie obejść się bez Boga, lecz z chwilą,

gdy rodzinę waszą nawiedzą burze, wymknie wam się z rąk władza ojcowska i przestaniecie panować w rodzinach waszych; wyzuci z waszej godności, zajmiecie miejsce ostatnie u domowego ogniska, jeżeli nie co gorszego co zdarza się niestety! Że sromotnie na bruk uliczny, jako żebraka nie wypędzą was dzieci. Wy ojcowie rodziny, którzy nie towarzyszycie żonom waszym na Mszę św., zmuszacie niejako te słabe istoty do sprzeniewierzenia się ich tradycyom! Bo czy żonom waszym po za obrębem murów kościelnych przypomni cokolwiek że powinny być aniołami cierpliwości, wierności, czystości i zaparcia się siebie samych? O rzeczach tych zapomina się aż nadto łatwo, a co za korzyść dla was jeżeli żony wasze, matki, dzieci waszych zapominać o tem będą? Wy ojcowie rodziny, którzy przestaliście prowadzić dzieci wasze do kościoła, bo mówicie: „Dzieci moje kochają mnie i słuchają, a gdyby przestały mnie słuchać, potrafię sobie u nich wyrobić posłuszeństwo i szacunek. Dzieci wasze kochają was i słuchają? Być może, lecz tylko dotąd dopóki posłuszeństwo to nie wejdzie w konflikt z ich namiętnościami, z chwilą tą, czyście pewni, że liczyć będziecie mogli na posłuszeństwo dzieci waszych? „Potrafię wymódz na nich posłuszeństwo“. Jakież to bezrozumne, lekkomyślne słowa! Bowiem rządy teroru są zawsze krótkie, i następuje po nich tem straszniejsza reakcya! Ci ojcowie rodziny, którzy rządzą bez Boga, zamieniają życie rodzinne, które powinno być przybytkiem miłości i pokoju — w niewolę i więzienie! Lecz pękną wkrótce zawory więzienia tego i pękną łańcuchy, nadejdzie starość i jakiż będzie koniec tego dramatu rodzinnego? Oto ośmnastoletni młodzieniec, którym owładnęły nieposkromione namię-

tności, przyprawia o drżenie ojca swojego, i jak gdyby głos dyabelski podszeptuje mu: „Żyj i używaj! Postępuj tak z twoim ojcem, jak on postępował względem Boga, pogardź nim, zaprzyj się go, tak jak on wzgardził i wygnał Boga z domu swojego!“ Zaiste wy ojcowie padnijcie na kolana przed Bogiem i Panem, czcijcie Go jeżeli chcecie aby was czczono, bo oto jest niezachwiane prawo: „słuchajcie jeżeli chcecie, aby was słuchano“. I czyż przykazanie nakazujące cześć dla ojca i matki nie następuje bezpośrednio po przykazaniu święcenia dni świętych? Więc jeżeli ojciec i matka tego ostatniego nie zachowują, jakiem prawem żądać mogą od dzieci swoich czci i posłuszeństwa? Pewnego razu, chłopiec, który właśnie odbył pierwszą Komunię św., szedł wówczas z książeczką do nabożeństwa do kościoła, gdy spotkał go ojciec jego i zapytał? „Dokąd idziesz?“ „Na Mszę św.“, odpowiada chłopiec. „Msza św.“, zawołał niewierzący ojciec, „to dobre dla twojej matki i sióstr, a ty choć ze mną do roboty“. — Chłopiec spuścił oczy, a gdy je podniósł, błyszczały w nich łzy! Jakże piękne są łzy takie w oczach dziecka! „Ależ ojcze“, powiada z największym spokojem, czyż przykazanie święcenia niedzieli obowiązuje tylko moją matkę i siostry?“ „Głupstwo, głupstwo“, odpowiada ojciec.“ „Ale za tem głupstwem następuje to drugie przykazanie, które brzmi: „Czcij ojca i matkę!“ — Te słowa dziecka wywarły na ojcu wielkie wrażenie, siła i prawda słów tych olśniła go jak gdyby nagłem światłem z nieba; nie sprzeciwiał się już dłużej zamiarowi dziecka, a następnej niedzieli widziano go jak z synem szedł do kościoła. Róbcie to zawsze ojcowie i matki, prowadźcie dzieci wasze do kościoła, pozwólcie nam księżom przypominać im co

winne Bogu i rodzicom, pozwólcie nam dobrym dzieciom waszym przypominać o nagrodzie wiecznej a złym o karze; wzmoże się wtedy władza ojcowska, wtedy nie będzie bezsilnych ojców ani matek wobec dzieci swoich, ani opuszczonych przez nie, bo miłość dzieci towarzyszyć będzie rodzicom aż do ostatniego ich tchnienia, aż do grobu i poza grób!

Pozatem prócz wzmocnienia autorytetu rodzicielskiego, jeszcze i tę korzyść przynosi niedziela, że wzmacnia węzły łączące rodzinę. Bo wiecie sami, jak przez resztę tygodnia rozerwanem jest życie rodzinne. Ojciec zrywa się wczesnym rankiem i udaje do pracy, matka zostaje w domu, dzieci idą do szkoły lub do swoich zajęć, i nie zawsze nawet godzina południowa jednoczy ich przy stole rodzinnym; schodzą się dopiero wieczorem lecz tak zmęczeni całodzienną pracą, że zmęczenie i chęć spoczynku bierze górę nad wszystkiemi innemi uczuciami. I tak więc rodzina w której się nie obchodzi spoczynku niedzielnego staje się często rodzajem domu zajezdnego, w którym się je i spi wspólnie z innymi, lecz mało zna nawzajem, a mniej jeszcze kocha. Lecz dzieje się inaczej tam, gdzie zachowuje się święta. W dniu tym czuje się człowiek bardziej w rodzinie przy starym ojcu, matce, żonie, dzieciach, tak, przedewszystkiem między własnemi dziećmi, w dniu tym czuje się bardziej ich ojcem niż w inne dnie, i dzień ten jest zarazem świętem jego serca. Matka przybrawszy się wraz z dziećmi odświętnie, udaje się z nim i z dziećmi do kościoła, a potem na spacer, ciesząc się widokiem tych drogich istot z któremi tak niewiele przebywać mogą w dnie powszednie. A jakże ważnym jest dzień ten dla dzieci, spieszą one w dzień ten do kościoła, który nazywać

można tak specyalnie domem ludu. Bogaci, mający swoje pałace, mogą się zadowolnić skromną kaplicą, dla dziecka ludu jednak jedynym pałacem jest kościół, a jedynemi uroczystościami — kościelne. Tam wszystkie sztuki jednoczą się w jeden harmonijny hymn zespołu, a zgromadzony lud napawa się i raduje pięknością służby bożej! Tam oddychają dzieci zapachem kadzidła i kwiatów; tam obija się o ich uszy dźwięk tych słów łacińskich, których chociaż nie rozumieją, to jednak takie wrażenie wywierają na ich małych serduszkach! Wiedzeni wiarą, nadzieją i miłością dążą z domu do kościoła i z kościoła do domu, wnosząc doń pokój i błogosławieństwo boże. O! jakżeż pięknem i wzniosłem jest święto chrześcijańskie! Uroczystości te nie pociągają za sobą ofiary, nie upakarzają biedaka, nie urażają niczyjej dumy, i nie pozostawiają po sobie ani niesmaku, ani wyrzutów sumienia!

Niedziela nie jest jednak tylko świętem Pana, świętem człowieka i rodziny, — jest także dniem ludzkiego społeczeństwa. Bo jakiemi są potrzeby społeczeństwa? Są niemi trzy główne, bez których społeczeństwo istnieć nie może, mianowicie: bojaźń boża, posłuszeństwo i miłość. A trzy te czynniki powołuje do życia niedziela. Przedewszystkiem społeczeństwo powinno być przejęte bojaźnią bożą, bo czyż można bez tego wyobrazić sobie istnienie społeczeństwa? Niedziela jest szkołą bojaźni bożej, bowiem ci, którzy czczą Boga, szanują i bliźnich swoich. Kto jednak nie oddaje Bogu należnej Mu czci, ten i bliźniego łatwo lekceważy sobie. Dlatego to, kiedy lud stroni od kościoła, pogardza świętami, lekceważenie zwolna zaczyna się wyrabiać u niego dla wszystkiego, w co wierzył i co czcił, bo pogarda zarówno jak za-

zdrość obiera za cel pocisków swoich najwznioślejsze przedmioty. A z tego wynika najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla społeczeństwa, bo lekceważenie depcze nietylko serca, lecz i siłę zbrojną, i zagraża nietylko ciałom lecz i duszom. Drugim ważnym czynnikiem jest posłuszeństwo. Czy można wyobrazić sobie społeczeństwo bez posłuszeństwa względem uprawnionej do tego władzy? Niedziela jest wielką szkołą posłuszeństwa, bowiem niedziela zgromadza lud w kościele, ażeby uchylił czoła przed królem królów. Gdy jednak lud przestaje uczęszczać do kościoła, kiedy gwałci dzień święty sabatu, wtedy ten sam lud zawsze logiczny powie: „Jakże mam słuchać człowieka, kiedy nawet Boga słuchać nie trzeba?“ Bo pamiętać o tem zawsze trzeba, że obalając zwierzchność bożą, obala się temsamem zwierzchność ludzką. W końcu potrzebą społeczeństwa jest miłość. Bo jakże można żyć na świecie bez miłości? A niedziela jest wielką szkołą tej miłości, nietylko dlatego, że jednoczy w tym samym domu bożym wspólnie ludzi, którzy z sobą nie obcują, lecz że sprowadza ludzi do kościoła, który wszystkie stany równa i jednoczy. W domu bożym łączą się wszyscy, łączą się wspólną modlitwą, wspólną komunią św., wspólną ofiarą i Sakramentami św.; poza obrębem kościoła nic nas nie jedna i nie łączy, przeciwnie, los jak gdyby silił się aby nas dzielić, bowiem ubóstwo, bogactwo, niepowodzenia, wszystko to rozprasza i rozdziela nas. To też każdy z nas idzie swoją drogą osamotniony, a skoro się spotykają występują nieprzyjaźnie przeciw sobie. Jakiż widok przedstawia się nam poza obrębem domu bożego? Z jednej strony egoizm, który całe narody obala nużając się w osobistym dobrobycie, z drugiej zazdrość, która nawet nie wzdryga się przed ‚bratobójstwem dla dopięcia swego celu. Wszędzie spotykamy tylko gorzką nienawiść, która czeka tylko sposobnej chwili aby wybuchnąć, zagrażając całemu społeczeństwu. A gdy się ozwie krzyk buntu w społeczeństwie, które nie uznaje ani kościoła, ani ofiary Mszy św., ani Chrystusa, ani Boga, wtedy ujrzycie lud tłumnie opuszczający warsztaty i fabryki i zaprzestanie pracy, strzepie kurz pracy okrywający suknie, i bierzyć będzie na oślep groźną falangą, sam nie wiedząc dokąd, a z piersi jego wydobywać się będzie ochrypły głos: „Precz z tymi ludźmi, którzy nas wyzyskują, precz z tą instytucyą, precz z kapitałem, zagłada i śmierć religii!“ I oto społeczeństwo ludzkie, które lekceważeniem świąt doszło do lekceważenia autorytetu, a od lekceważenia autorytetu do nienawiści i buntu, stoi zaiste u progu katastrofy społecznej.

II. M. S.! Cóż w zamian dają ludziom ci, którzy zabierają im święta? Spytajcie się o to tego biednego, odartego z wszelkiego dobra materyalnego i moralnego — ludu, a odpowie wam. Obiecujecie mu materyalne korzyści, ale czyż mu je rzeczywiście dajecie? Bezwątpienia, materyalny dobrobyt jest dobrem, jest on ostatnim słowem ludzkiej cywilizacyi. Aże w dniu dzisiejszym taką wielką do niego przykłada się wagę, tedy powiem wam, że dobrobyt osięga się o wiele łatwiej i pewniej przez religię, zachowując jej przykazanie święcenia niedzieli. Ale czyż to nie jest paradoksem i sprzecznością? Stwierdźmy czy tak nie jest? Co rozumiemy pod materyalnym dobrobytem ludu? Czy zapobierzenie zbytniemu wysiłkowi fizycznemu? Czy jego kulturę duchową? To też religia swoim przykazaniem święcenia niedzieli, rezerwuje dla wypoczynku cały jeden dzień w tygodniu, wzmacniając ciało i odświeżając ducha.

I cóż więcej jeszcze rozumiecie pod materyalnym dobrobytem? Podwyższenie zapłaty? Zwiększenie produkcyi? Otóż do jednego i drugiego przyczynia się religia swoim mądrym prawodawstwem. Przedewszystkiem podwyższa płacę, bowiem wiedzieć musicie, że praca jest wartością a ponieważ każda wartość zmniejsza znacznie jej podaż, a więc ograniczona wydajność pracy wzrasta w cenie, i robotnik przez sześć dni zarobi z łatwością tyleż samo co zarobiłby w siedmiu. Lecz i produkcya zwiększa się zarazem, bowiem organizm wypoczęty produkuje daleko większą ilość pracy, aniżeli taki, który ciągłą pracą zużyty jest i zniszczony. Bo co wy właściwie rozumiecie przez materyalny dobrobyt? Wszystkie czasopisma głoszą: „Chcemy rozwoju i pomnożenia kapitału, ponieważ przyniesie to korzyść ludowi“. Ale M. S.! na to, aby kapitał mnożył się i rozwijał, do tego nie wystarcza sama praca, do tego przyczynia się również rozwój umysłowy, a religia ustawą swoją święcenia niedzieli, cały jeden dzień daje na to ludziom, aby wolni od pracy fizycznej, umysł swój wzbogacać mogli. Czy chcecie wzrostu wolności, ograniczenia służalstwa? I do tego też przyczynia się religia, bo przepisuje jeden dzień przerwy w pracy niewolniczej biednego ludu, zdejmuje w dniu tym z barek jego jarzmo ludzkie, a wkłada lekkie jarzmo boże. Niewolnik całotygodniowej pracy równa się w dniu tym ze swoim panem, z którym spotyka się jak równy z równym przed jednym ołtarzem. Czego chcecie w końcu dokonać tym materyalnym dobrobytem? Czy chcecie odwrócić lud od egoizmu chciwości? Oto religia towarzyszka robotnika kładzie mu dłonie na pyłem okryte czoło, i zwracając się do bogacza — powiada: „Pamiętaj, że robotnik ten nie jest maszyną służącą do wzbogacenia ludzkości, i nie jest prostem narzędziem produkcyi, człowiek ten jest stworzeniem bożem, stworzonem na to, aby Boga chwalić, jest bratem twoim odkupionym tak, jak ty krwią Syna bożego. I jeżeli z twojej winy robotnik ten przekroczy pod jakimkolwiek względem przykazania boże, to nie zapominaj o tem, że gniew Jego nie minie zarówno tych, którzy lekceważą prawa Jego, jak i tych, którzy lekceważą Jego dzieci“.

Tak jest, religia przykazaniem swojem święcenia niedzieli zapewnia pod każdym względem dobrobyt ludu, podczas gdy ci, zapamiętaj to sobie biedny ludu, ci, którzy mienią się twoimi przyjaciółmi i dobroczyńcami, a nakłaniają cię do przestąpienia przykazań bożych, odbierają ci cnotę i czystą radość, ten prawdziwy dobrobyt duszy, a obiecują ci w zamian dobrobyt, którego ci nie dają, bo zamienia on się raczej w niewolnictwo zmniejszeniem wartości pracy, i rzucają cię w końcu jako łup egoizmu na pastwę armii zbrojnej, która poić się będzie krwią twoją.

„Ależ to kłamstwo“ wtrąci niejeden. „My żądamy wolności ludu, wolności robotnika“. Co za ironia! Więc wolność polega na tem, ażeby nie było wypoczynku! Wolność w niewoli i przeciążeniu dająca możność bogaczowi obarczania biedaka położeniem bez wyjścia, stawiając go pomiędzy niemożliwością wykonania żądanej od niego pracy, a przez to w obce niemożliwości wyżycia. I w obec tego są tacy, którzy twierdzą, że zapewniają wolność robotnikom, lecz chyba wolność śmierci głodowej! Nie zmuszają wprawdzie nikogo, lecz mówią robotnikowi: będziesz pracował również w niedzielę, albo utracisz miejsce! I cóż pozostaje biedakowi jak nie poddać się

z rezygnacyą bezwzględnej konieczności. I ważą się twierdzić jeszcze wobec tego, że zostawiają wolność robotnikowi! Jakaż w tym gorzka kryje się prawda! „Ależ płacy ma więcej za to“. Lecz tu wchodzą w grę rzeczy, których zapłacić nie można! Płacą go! Byłby już najwyższy czas obalić to zwierzchnictwo pieniędzy, bowiem nawet złotem całej kuli ziemskiej nie zdołalibyście okupić jednej duszy robotnika! Mówi się wiele o wielkości, o godności ludzkiej, twierdząc, że polegają na honorze i sumieniu, i że człowiek pozbawiony pierwszego lub drugiego, niegodzien miana człowieka, lecz że jest sprzedajnem stworzeniem. Ale jeżeli dzisiaj przekupujecie pieniądzmi sumienie jego przeciw Bogu, jutro gotów zaprzedać was samych za pieniądze. Miecz, który was dzisiaj broni, kto wie, czy jutro ku wam się nie odwróci? Doszłoby do tego, że lud składałby się z płatnych najemników, lecz winną temu nie byłaby masa ludowa, bowiem podlejszym od tego, który zaprzedaje sumienie, jest zaiste ten, który je kupuje. Zasłaniają się wprawdzie zapotrzebowaniem przemysłowem, przyznaję, że istnieje ono chwilowo wyjątkowo, lecz należy zaliczyć to przedewszystkiem do wyjątków. Co do zapotrzebowania przemysłowego, jest to przeżyty frazes, jak gdyby można na pierwszem miejscu stawiać przemysł tam, gdzie chodzi o ludzkość! Przemysł istnieje dla ludzkości, a ludzkość dla przemysłu. Jest on zaiste rzeczą doniosłej wagi, podnosi ludy, daje biednym sposobność do zarobku, nie powinien jednak zmuszać robotnika do bezczeszczenia dni świętych.

Gdybyście wiedzieli jaką wielką ofiarą dla ludu jest pracować w dnie świąteczne? Pomówcie z nim o tem wieczorem, po całodziennej pracy. Ogarnia go zniechęcenie, uważa się za paryasa społeczeństwa, żywiąc najczarniejsze myśli. Lecz któż jest tego przyczyną, któż to będzie musiał zdać rachunek przed Bogiem z tego niedomagania społecznego? Kto odpowie za grzmiącą w oddali już burzę? Rozważcie wasze postępowanie, może czas jeszcze zapobiedz złemu! Właściwie mógłbym na tem skończyć, lecz chciałbym jeszcze i do robotnika przemówić słów kilka, bo są i tacy, którzy gwałcą niedzielę, nie będąc do tego zmuszani. Robotniku biedny, dlaczego nie odpoczywasz w niedzielę? „Mój ojcze, przedsiębiorstwo wymaga tego, zresztą utarty to już zwyczaj“. Lecz odpowiedz mi, czy zwyczaj stawiasz wyżej od prawa Bożego? „Ależ jeżeli nie będę pracował w niedzielę, utracę klientów“. Więc chodzi ci bardziej o klientów aniżeli o Boga? A po drugie wierzaj mi, że nie straciłbyś przez to klienteli, bowiem wiedzą ludzie o tem, że wiara jest najlepszą gwarancyą uczciwości, jeżeli ktoś ma choćby trochę doświadczenia życiowego, ten wie, że człowiek, który nie oszukuje Boga, będzie się również odnosił z uczciwością i do swoich braci, nie da z pewnością takiemu pierwszeństwa, który obywając się bez religii, żadnej niema innej pobudki uczciwości, jak strach przed policyą. Zdarzało ci się pewno nieraz spotkać rodzinę, która przez lekkomyślne życie doszła do kija żebraczego, lecz tem pewniej nie zdarzyło ci się spotkać takiej, którejby ruiny spowodowało zachowanie spoczynku niedzielnego. „I w niedzielę żyć trzeba“. Z pewnością, lecz na to nie trzeba gwałcić spoczynku niedzielnego, i doświadczenie pokazuje nam, że choroby i przedwczesne zgony szerzą się daleko bardziej tam, gdzie się spoczynku tego nie zachowuje. „I w niedzielę chciałoby się coś zjeść“. Za-

pewne i dopowiem za Ciebie „i coś wypić“, co jest jednak daleko kosztowniejszą rzeczą. Jednak nie jedzenie i picie jest naszym głównym celem życia, bowiem mamy duszę, o której także myśleć musimy. „Ale jeżeli nie będę pracować, religia nie karmi mojej żony i dzieci“. Synu mój, nie religia z pewnością odbiera chleb żonie twojej i dzieciom; do tego bowiem doprowadzają inne wiadome Ci przyczyny. I czyś kiedykolwiek widział, żeby rodzina robotnicza cierpiała głód dlatego, że święciła dzień święty? Przeciwnie, jest to faktem dowiedzionym, że tym, którzy zachowują odpoczynek niedzielny, lepiej się powodzi aniżeli takim, którzy tego nie czynią. „Ale pracując o jeden dzień więcej, mógłbym sobie coś na później odłożyć“. Jednak bracie mój, niema żartów gdzie się rozchodzi o Boga, niebezpiecznie zadzierać z Nim, bo oto choroba lub wybryki lekkomyślnego syna, zniweczą w krótkim czasie oszczędności, które kosztem sumienia nagromadziłeś. A gdyby Ci nawet karę oszczędził Bóg, to czy nie wiesz, że własne życie twoje niepewne i krótkie? I co ci przyjdzie wtedy z twoich grzesznych oszczędności? Utrudnią ci chyba walkę śmiertelną. Dlatego to biedny synu ludu, jeżeli oddaliłeś się od Chrystusa pana, to wróć co prędzej do Niego, On zna lepiej Twoje potrzeby aniżeli ty sam, bo sam był ubogim, a zarazem podporą cierpiących i obciążonych, powróć więc do krzyża, do Chrystusa Pana! Udaj się do Niego, On nigdy nie oszukiwał ludu.

Pewnego razu pewien zacny robotnik przebywał w towarzystwie kilku swoich kolegów, mówiono o przyjaciołach ludu, wtedy odezwał się on: znam prawdziwego przyjaciela ludu, i noszę zawsze wizerunek Jego przy sobie, rzekł wskazując na piersi. Wszyscy myśleli,

że rozchodzi się o podobiznę jakiegoś zasłużonego mężalecz on ukazał wizerunek Chrystusa Pana. „Oto ten, który ukochał lud, i który nigdy go nie oszukał“. Bracie mój, Chrystus Pan nie zawiódł nigdy nikogo, zaufaj Mu więc i ty, albowiem On pragnie twego dobra, i krzepiąc cię w tem życiu, udzieli ci w przyszłosci wieczystej nagrody.

XIII.

Wolność.

Moi Słuchacze! Istnieje słowo, które po wszystkie czasy wywierało magiczny wpływ na ludzkość, słowo które doba nasza obrała sobie za cel swój i hasło, słowo które samo przez się zdolne obalić podstawę moralności i porządku społecznego; a jest nim słowo „Wolność". Słowo to rozbrzmiewało ongi głośno w Rzeczypospolitej greckiej, było pierwszem hasłem rzymskiej republiki, a następnie i po dziś dzień okrzykiem bojowym wszystkich rewolucyi jest: „niech żyje wolność".

Lecz dziwna rzecz moi słuchacze, republiki grecka i rzymska nie przedstawiają w świetle dziejów ponętnego obrazu wolności, lecz przeciwnie, raczej zniechęcający i odpychający obraz rozluźnienia i tyraństwa. Skąd ta sprzeczność pomiędzy słowem a rzeczywistością? Stąd, że bezwzględna wolność nie może zamieszkać na tej ziemi. Ci, którzy wznosili jej ołtarze powinni byli zawiesić nad nimi ten napis z ateńskiego araopagu: Deo ignoto! Szlachetna córka nieba podzieliła bowiem tu na ziemi los Boga naszego, obca zapoznana, liczna, poddaje się losowi nigdy nie przeniknionej dla ludzi zagadki. Czemu przypisać tę jej zagadkowość? Żarowi, który wywołuje w naszych duszach. Tkwi coś w tem słowie zawrotnego, coś co upaja człowieka przedziwną swą wonią, i człowiek przestaje być panem siebie i nie jest w stanie z zimną krwią traktować ten przedmiot. Okrywa go wszystkiemi złudzeniami serca, odbierając mu tem jego prawdziwe znaczenie; powinni ludzie pojęcie to z większym rozważać spokojem, i w zetknięciu się z niem nie tracić równowagi. Po drugie pochodzi to z ogólnego zapoznania dobra, bo tylko dążeniem ku dobremu sprowadzamy wolność, tak jak przychylenie się ku złemu sprowadza niewolę i zależność. Chrystus powiedział: „ten który źle czyni jest niewolnikiem zła".

Chciałbym wam dzisiaj powiedzieć cokolwiek o prawdziwej wolności. A chciałbym to uczynić w taki sposób, aby mnie zrozumiały, dzieci ludu. Zbadam te wszystkie wolności, którym się dzisiaj przyklaskuje: wolność myśli, wolność, sumienia, kultu, słowa i działania. Jak widzicie szerokie to pole, lecz powiem o tem tylko tyle, ile będzie koniecznie trzeba, aby jednym odebrać złudzenia a drugich przestrzedz. A was proszę o skupienie myśli i uwagę, ważny to bowiem przedmiot i nader subtelnej natury.

I. Moi Słuchacze! Co to jest właściwie wolność? W ogólnem mniemaniu istota wolności polega na możności wyboru pomiędzy dobrem a złem. Rządając definicyi wolności nawet od człowieka wykształconego, nieotrzymamy innej od tej, którąśmy podali, i dopiero po pewnym namyśle i małem wytężeniu myślowem, zdoła zrozumieć tych którzy o tym przedmiocie cokolwiek powiedzieli. Przebacza się łatwo niedokładność powyższej definicyi biorąc pod uwagę że w czasach dzisiejszych człowiek rzeczywiście tylko na to zużywa swej wolności

ażeby wybierać pomiędzy złem a dobrem. Jednakże powstałe z tego powodu nadużycia nie powinny definicyi tej nadawać znaczenie zgoła inne i niepotrzebne. Istota prawdy nie polega na wyborze pomiędzy złem a dobrem Teologia i filozofia pouczają, że to nie jest właściwa definicya; niemogąc tu przytaczać wszystkich ich subtelnych argumentów, ograniczę się tylko do najgłośniejszych i najprzystępniejszych. Bóg jest wolny i któżby mógł o tem wątpić? Wolność jest bowiem doskonałością, a w Bogu łączą się wszystkie doskonałości. Z tego wynika, że Bóg w żadnym razie nie wybiera i nie oświadcza się za złem, lecz przeciwnie za dobrem. Dlatego to wolność polegać musi na czemś innem jak na wyborze między dobrem a złem. Drugim dowodem, że Chrystus Pan był wolnym jest to, że w przeciwnym razie cierpienia Jego, krew i śmierć, nie miałyby żadnej wartości. Jednakże u Chrystusa Pana nie można nawet dopuścić istnienia zła, był bowiem samą świętością, i dlatego możliwość zła nie da się pogodzić z istotą wolności. Co za tem jest wolność? Jest to możność czynu lub bierności, innemi słowy możność wyboru. Na tę definicyę zgadzali się jednogłośnie teolodzy i filozofowie, a Św. Tomasz powiada: wolność polega na możności wybierania pomiędzy środkami, które prowadzą do celu. „Juliusz Simon powiada: wolność jest możnością działania lub bierności; Bóg mógł stworzyć świat i mógł go nie stworzyć. Chrystus Pan mógł zbawić świat w sposób w jaki go zbawił, lub w inny". Że jednak Bóg i Chrystus Pan posiadają nietylko wolność, ale pełność wolności, że są w posiadaniu zupełnej wolności wykluczającej istnienie zła, z czego wynika, że możność czynienia zła nietylko nie wchodzi w istotę wolności lecz, że jest jej niedoskonałością i słabością. I dlatego wolność, jeżeli nie chce być słabą i niedoskonałą, powinna zawsze skłaniać się ku dobremu, i powracać jeżeli się odeń oddaliła. Dlatego to potrzebuje wolność prawa, któreby ją oświecało i regulowało jej działalność. Juliusz Simon ujął tę prawdę w następujące słowa: „wolność obowiązuje mnie do dobrego", trudno o bardziej trafne słowa.

Rozważmy teraz tę drugą alternatywę: jeżeli prawdziwa wolność ma być zależną od jakiejś reguły, wynikłoby z tego, że prawdziwa wolność, i prawdziwa niezależność nie byłyby jednem i temsamem. Kto mówi o istotnej wolności, ten mówi o sile, która działa, z porozumieniem prawa, kto jednak mówi o absolutnej niezależności, mówi o wolności niezależnej od prawa, któreby na jej czyny wpłynąć mogły. Dlatego to absolutna niezależność i prawdziwa wolność nie mogą być synonimami i nie są też nimi.

Lecz zauważcie czy prawo nie ogranicza pojęcia wolności? Nie, ono podnosi i wzmacnia można je porównać do grobli, które regulują łożysko rzeki aby wezbrawszy nie zalało sąsiadujących z nią pól. Powiecie, że jest to jednak środek tamujący bieg rzeki? Nie, bo jest to sposób ażeby bieg jej potoczył się jedną zwartą majestatyczną strugą. Tak więc regulując wolność nie ranimy jej istoty, lecz zabezpieczamy ją od upadku. Dumny ów republikańczyk Ciceron powiedział: „nie zażyjemy wolności jeśli nie staniemy się niewolnikami prawa". A Platon, Aristoteles i inni wielcy mężowie Grecyi, uważają demagogów jako nieprzyjaciół prawdziwej wolności. Pewien człowiek skrajnej lewicy w Stanach Zjednoczonych, porównał Francyę, która chciała wolności bez prawa, do człowieka któregoby członki miały każdy własną wolę i rozum; i któregoby

jedna noga chciała spoczynku, podczas gdy druga objawiała chęć chodu, któregoby usta zaciskały się, podczas gdy żołądek żądałby strawy, a któregoby usta śpiewały, podczas gdy oczy kleiły się do snu. Te słowa wyjęte z ust ludzi najbardziej postępowych dowodzą, że nawet najzapaleńsi wielbiciele wolności przyznają, że nie może itsnieć bez reguł i praw.

Gdzież jednak szukać mamy tych reguł i praw? Jest to właśnie ta trudna i subtelna strona kwestyi, lecz rozwiązać zdołają ją dwie następujące uwagi: nad umysłem ludzkim zapanować zdoła tylko prawda, bowiem umysł jest dla prawdy stworzony, a czyn ludzki jeśli chce być wolny musi być rozumny, dlatego prawda musi kierować rozsądkiem, a wtedy rozsądek reguluje postanowienia woli, kierując tymczasem naszą wolnością, z czego wynika, że prawda jest regulatorem wolności. Naturalnie, że wolność może przekroczyć to prawo, to nie ulega wątpliwości; lecz z tego cośmy wyżej powiedzieli wynika, że jeżeli nie zastosujemy prawdy w stosunku do wolności to wolność ta upada coraz niżej a przeciwnie wzrasta i umacnia się idąc ręka w rękę z prawdą. Zatem prawda stwarza wolność, odznacza jej zarazem granice, które są zarazem warunkami jej bytu; rozkazuje jej to prawda, lecz tak jak słońce rozkazuje urodzajności pól, nakłada okowy to prawda, lecz okowy zbawienne i świetlane! Dlaczego wolność objawia się tak doskonale u Aniołćw? Dla pełności światła Bożego, które Ich ogarnia, światła żywego wykluczającego wszelkie możliwości błędu. A dlaczego nasza wolność tu na ziemi tak bezporównania mniej jest doskonałą od tamtej? Dlatego, że światło Boże zostało nam udzielone w takiej tylko ilości, aby życie nasze pozostało próbą i walką,

jako istoty same i nieświadome podlegające błędow i kłamstwu tym dwom nieprzyjaciołom wolności! Myślę zatem, iż przekonałem Was dostatecznie o tem, że wolność musi podlegać prawu, że nie można jej utożsamieć z absolutną niepodległością, i że prawem tym jest prawda.

Z tem zastrzeżeniem jakżesz patrzeć będziemy na te różne hasła wolności, które dzień w dzień obijają się nam o uszy? Mam wolność myśli sumienia, kultu słowa i czynu. Na pierwszem miejcu postawmy wolność myśli. Mówi się: mogę myśleć jak mi się podoba! Bez wątpienia Moi Słuchacze! Wolność myśli jest z wszystkich praw ludzkich najświętszem, najdrogocenniejszem. Można mnie bowiem zakuć w kajdany, można odebrać mi wolność ruchów, lecz poruszenia ducha mojego, drogi myśli mojej pozostaną zawsze wyłączną moją własnością, mojem królestwem, i stworzenie żadne nie może sobie rościć do niego prawa. Ale czy jest to całkiem ścisłą prawdą? Czy myśleć możemy co się nam podoba? Czy możemy myśleć że świat powstał sam ze siebie, że nie istnieje Bóg, i że my nic Bogu nie jesteśmy winni? Możemy wszystko to myśleć tak jak wolno nam myśleć, że dwie rzeczy mające wspólne cechy z trzecią są sobie przez to samo równe. Uprzytomnijmy sobie, że posiadamy pod tym względem wolność, lecz tylko do pewnych granic, bowiem nie zawsze o czemś tak myśleć możemy jakbyśmy chcieli, jakby to nam przyjemność sprawiało. Lecz przeciwnie, nie zawsze uchronić możemy myśl naszą od tego co nam jest przykre. Morderca nie pragnąłby myśleć o swej ofierze, lecz widmo jej prześladuje go nieustannie. Mamy wprawdzie możność wolności myślenia o czem chcemy, lecz czy tej możności przysługuje zawsze prawo? Możemy naprzykład myśleć o złych

i marnych rzeczach, ale czyż mamy do tego prawo? Rozum, zdrowy rozsądek ludzki mówią nam, że człowiek nie ma prawa nie wierzyć słowom Boga; wolno zbadać człowiekowi czy to były słowa Boże lub nie, lecz skoro raz dojdzie do przekonania, że były niemi istotnie, nie ma człowiek prawa zaprzeczać im dłużej. Nonsensem byłoby twierdzić, że Bóg dał człowiekowi możność myślenia, a zarazem możność i wolność bezczeszczenia Go! Bóg widzi myśli nasze, i żadna się przed nim ukryć nie zdoła. Lecz zachowując wszelki szacunek dla praw Bożych, jakiem prawem pytam mógłby wyznaczyć człowiek tamę myślom moim? Lecz cóż mówię o prawie kiedy on nawet władzy nie ma ku temu! Wszystkim wspólnie zebranym monarchom świata, wszystkim mocom niebieskim i piekielnym oświadczę, że nie mogą mi zabronić myśleć tak jak ja chcę. Tylko Bóg może czytać w moim sercu i wiedzieć co się w nim dzieje, i w głębi tego nieprzeniknionego serca śmieję się z gniewu króli, z oburzenia ludu. Dopóki myśl w nim ostrożnie się ukrywa, nikt nie może mi odebraś tego prawa. I któżby rościł sobie władzę odmówienia myśli prawa powstania i rozwoju? I czy natura sama nie uświęciła niezależności myśli usuwając ją z pod wszelkiej ludzkiej kontroli?

Ale czy przysługuje mi również prawo wolnego głośnego myślenia? To już zgoła inna sprawa; z kwestyi wolności myśli przechodzimy tutaj do kwestyi wolności słowa. Za tem prawem ogłasza się wielu takich, którzy broniąc wolności myśli twierdzą, że człowiek taksamo jak mając prawo wolnego myślenia, powinien mieć prawo i wolnego wygłaszania tychże; twierdzą dalej że jestto prawem natury, którego pozbawiać ludzi jest niesprawiedliwością i tyrańskwem. Zanim jednak kwestyę

tę rozpatrzymy, zastanówmy się nad kwestyą wolności sumienia.

Zastanówcie się dobrze nad tem wy, którzy głosicie wolność sumienia, czego wy żądacie? Żądacie czegoś niemożliwego a zarazem zbytecznego. Niemożliwego, bo nawet sam Bóg nie może nam dać wolności sumienia, i zbytecznego, bo nawet sam Bóg nie może nam jej odebrać. Tak jest wymagacie czegoś niemożliwego, bo powiedzcie mi co to jest sumienie? Sumienie jest sądem wewnętrznym, którym rozsądzamy nasze czyny i którym badamy o ile one były złe czy dobre, i czyśmy postępując tak jak postąpiliśmy uczynili dobrze lub źle. I tak n. p. zeznaje ono, że jest moim obowiązkiem czynić dobrze, żem nie powinien obrażać bliźniego mego, i t. d. i t. d., nie podobna bowiem aby sumienie wyrokowało inaczej. Dlatego to czuję wewnętrzne zadowolenie uczyniwszy coś dobrego, a wewnętrzny niesmak uczyniwszy coś złego, i nie mogę się od tych myśli obronić. Dlatego to takim niepodobieństwem jest wolność sumienia, tak co do czynu jak co do prawa, bo czy mamy prawo ogłosić złem to co jest dobre, lub przeciwnie? Czy możemy głosić, że mord, kradzież są czemś dobrem? Lub skoro sami dopuścimy się podobnych czynów, czy mamy prawo cieszyć się z tego? Dlatego to absolutna wolność sumienia jest absurdem, będąc zarazem niepodobieństwem.

Ale przypuśćmy, że istnieje potwór ludzki, który zatracił pojęcie złego i dobrego, który to co złe, nazywa dobrem, a przeciwnie dobro złem, i cieszy się, gdy dokona czegoś złego, a smuci czynem dobrym. Jak odnosilibyście się i zapatrywali na takiego człowieka? Lecz na co słów tyle? Mówiąc o wolności myśli, odmawialiśmy wszelkim mocom niebieskim, ziemskim i piekielnym

władzy nad wolnością myśli naszej, a teraz zaprzeczamy im również możności ogłaszania zła za dobro, i narzucania wyrzutów sumienia, skoro mi ono nic złego nie wyrzuca, i przeciwnie. Jakże więc rozumieć mamy wolność sumienia?

Omówmy teraz wolność kultu. Jakie macie prawo na myśli, mówiąc o wolności kultu? Czy myślicie o prawie oddawania Bogu należnego Mu kultu? Ależ tego nikomu zabronić nie można! Albo czy macie na myśli zaprzeczenie wszelkiego kultu dla Boga i Pana? I pod tym względem przysługuje wam pozorna wolność przysługuje nam wolność odmówienia Bogu wszelkiej czci i wszelkiego kultu, ale czy macie do tego prawo? Możecie wybierać dowolnie pomiędzy przeróżnemi kultami, nawet pomiędzy temi, które Bóg odrzucił, ale zdolność i możność nie stanowią jeszcze prawa. M. S.; możecie przejść na protestantyzm lub mahometanizm, jesteście w możności dokonania tego czynu, lecz nie w prawie, tak jak nie przysługuje wam prawo kradzenia lub zabijania. I tak Rzym czcił Jupitera, Spinosa ogłosił wszechświat Bogiem, a Hegiel nicość. Świat podzielonym jest na najrozmaitsze wierzenia: politeizm głosi wielobóstwo, islam obiecuje wyznawcom swoim nikczemne szczęście i radość, judaizm przejęty jest nienawiścią do Chrystusa Pana, a chrystyanizm ogłasza go Bogiem. Oto możecie wybierać dowolnie pomiędzy tem wszystkiem. Lecz jedno jest prawdą niezbitą, że jedna z tych wszystkich religii jest prawdziwą, a tą jest religia katolicka. Bezwątpienia, jeżeli ktoś urodzony poza obrębem kościoła katolickiego, mniema w dobrej wierze, że jedyną prawdziwą jest jego religia i nigdy pod tym względem nie miał najmniejszej wątpliwości, jeżeli dalej stosował się zawsze do wskazówek własnego sumienia, człowiek taki zbawionym być może, ponieważ chociaż bezwiednie, żył w duchu prawdziwej religii, lecz kto wątpi w swoją wiarę, ten powinien, bowiem sumienie jego obowiązuje go do tego, badać i szukać za prawdą.

Dowodzicie następnie, że wolno wam mówić i czynić co się wam podoba, i w istocie mamy tę wolność, lecz czy mamy i prawo ku temu? Tak często nie możemy mieć tego czegobyśmy chcieli, chcielibyśmy szczęśliwej przyszłości, dojścia do majątku, lecz nie możemy osięgnąć tego czego pragniemy, jest to częstym faktem. Lecz, czy może macie prawo mówienia i czynienia tego co chcecie i możecie? Nie, bo jeżeli nie macie prawa myśleć sprzecznie z prawdą, nie macie również prawa mówić i postępować wbrew jej prawom. To samo prawo, które ogranicza niezależność myśli, ogranicza także prawo języka i pióra. Wolne wygłaszanie myśli jest w ogólności niedorzecznością, bo chociaż wolno wprawdzie wygłaszać myśli zgodne z prawdą i prawością, to jednak nie wynika z tego, iż wolno wygłaszać myśli sprzeciwiających się prawdzie i prawości, a wolność nieograniczona wygłaszania własnych myśli, staje się jeszcze większem przestępstwem, w stosunku do bliźniego, bo jeżeli nie wolno nam bezkarnie myśleć przeciw prawdzie, to tembardziej nie wolno nam bliźnich do tego doprowadzać.

Cóż wam powiem o wolności prasy, o tej dowolnej wymianie myśli i poglądów, którą ludzie zwą wielokrotnie najdrogocenniejszem swem prawem? A jest ono w istocie najsłuszniejszą chimerą prawa! M. S.! Czy może człowiek mieć prawo publicznego głoszenia tego wszystkiego, czego niema prawa myśleć ani mówić? Czy może przysługiwać komu prawo wygłaszania poglądów, które obrażają twórcę natury — Boga? Czy przy-

służuje komukolwiek prawo ogłaszania społeczeństwu ludzkiemu rzeczy szkodliwych? Czy ma prawo bezcześcić wszystko i wszystkiemu lżyć i zaprzeczać? Czy ma prawo siać ziarno niezgody w łonie rodziny i ojczyzny? Czy ma prawo pobudzania wszelkich namiętności ludzkich wszelkimi sposobami, jakich mu dostarcza bujna fantazya? Ale w takim razie wolnością zwałoby się najniegodziwsze nadużycie tejże, a świat stałby się wkrótce wskutek tego ruiną moralnego i społecznego porządku. Prasa zarówno jak myśl i słowa podlegać musi prawu, a prawem tem jest prawda i gorliwe jej służenie.

Przejdźmy do wolności czynu. Możecie lżyć mnie i prześladować, lecz czy macie prawo ku temu? Kościół w imię Boga, nakazuje wysłuchania Mszy św. w niedzielę i inne rzeczy, które można wypełniać lub nie. Nie potrzebuje nikt udzielać wam co do tego wolności, i rzeczywiście wielu nie stosuje się do tych urządzeń. Lecz czy macie do tego prawo? Nie, bo kościół nakazuje w Imię Boże spełniać te obowiązki. — Lecz, wtrąci mi niejeden, nie wiem czy się rozumiemy, przynajmniej pod względem religii chcę mieć wolność całkowitą i jeżeli ludzie nie chcą mi jej przyznać, sam ją sobie biorę. Odpowiem na to, chcę służyć Bogu i duszę zbawić, a któż mi to zabroni? Można zamknąć mnie w więzieniu, związać mi usta i ubezwładnić mnie, bo tak czynili Neroni, pomimo to żadne prawo nie uprawnia przemocy. Dlatego to odwołuję się do prawa dobrych uczynków, tak dla mnie, jak i dla wszystkich, ale nie we wszystkiem, bo chociaż nikt nie może zabronić człowiekowi czynić co mu się podoba, to jednak można go wstrzymać od czynów niedozwolonych. Tak więc wolność musi być ograniczoną i wspierana przez obowiązek.

a wolność, która chce się wyzwolić z pod praw wszelkich, zabija własny jej nadmiar. I jest to prawdą niezbitą w stosunku do każdej wolności, tak do wolności moralnej jak i fizycznej, tak do cywilnej jak i publicznej. Co do wolności fizycznej, dajmy na to, że wchodzimy na szczyt góry wąską ścieżyną, wijącą się nad przepaścią. W miejscach gdzie ścieżka najwęższa, umocowali ludzie poręcze, a dlaczego? Ażeby podróżnik w razie zawrotu głowy nie wpadł w przepaść. My jednak nie chcemy uznać tych poręczy, twierdząc, że ograniczają wolność. I cóż się dzieje? Oto zawrót ogarnie nas i staczamy się na dno przepaści, stając się łupem orłów i sępów! To samo odnosi się i do moralnej wolności. Dajcie młodzieży nieograniczoną wolność na tem polu, a zobaczycie, do czego po kilku latach doprowadzi ona tych, którzy byli nadzieją a mogli się stać podporą rodziny i ojczyzny. To samo dotyczy obywatelskiej i politycznej wolności. Moi słuchacze, wolności te powodować się powinny z jednej strony prawem polegającem na ochronie, a z drugiej na ograniczeniu. Ograniczenia te oznaczają prawa, a prawa ustanawia i zastosowuje zwierzchność, a skoro pod pozorem wolności odrzuca się zwierzchność i prawa, wtedy znikają wszelkie zapory, granice i ład, a panowanie obejmuje anarchia. W niektórych państwach umieszczono nad drzwiami więzień te trzy słowa: „Wolność, równość, braterstwo“. Możnaby sądzić, że jest to ironią i urąganiem nieszczęśliwego, który w kajdanach przekracza drzwi te! I jest tak w istocie, lecz zarazem są słowa te przestrogą dla przechodnia, mówią mu bowiem: „Jeżeli chcesz szacunku twojej wolności, szanuj wolność innych“. Niestety aż nadto często zapomina się o tem, o czemby zawsze pamiętać trzeba,

że miłość wolności polegać powinna przedewszystkiem na szanowaniu wolności bliźniego.

II. Moi Słuchacze! Wykazałem wam, że wolność jeżeli ma być prawdziwą, musi być unormowaną, i że jedyną normą wolności może być prawda, to też szerzenie prawdy, tego światła duszy, nie jest nic innego, jak darzenie ludzi wolnością, wydalając z dusz ich ciemność i niepewność, wprowadzając w nie natomiast ład i spokój, przygotowując je tem do przyszłego królestwa wolności, do którego mają wejść po śmierci. Filozofia nazwałaby ustęp poprzedni echem słów swoich, mówi bowiem nieustannie o wolności, jest ona jej myślą przewodnią i dla niej kruszy swe kopie. Niechaj cieszy się wzniosłą tą misyą i jednej tylko od niej wymagamy rzeczy, aby była sama z sobą w zgodzie, niechaj chełpi się i raduje swemi pięknemi teoryami, lecz niechaj i następstwa tychże na siebie przyjmuje. Słuchajmy głosu przemawiającego do nas z powagą i autorytetem, którychby ludzie daremnie przyswoić sobie kusili. „Mówi nam jestem światłem świata, kto za mną idzie, ten nie chodzi w ciemności, albowiem dane mu będzie światło żywota“. Chrystus wyrzekł słowa te, i gdy Jezus w ten sposób objawiał światło Swej nauki, czyż nie zakładał zarazem podwalin wolności? I czy filozofia i wiedza mogą nam dać coś większego nad te słowa? „Trwajcie przy słowach moich, a poznacie prawdę, prawda zaś wyzwoli was“. Wobec tego istnieje chyba to jedno zaprzeczenie, że nauka Jezusa Chrystusa jest fałszywą, że Chrystus był tylko człowiekiem i Prorokiem, jak tylu innych, i że sam przywłaszczył sobie autorytet, i że wskutek tego trzeba dołożyć wszelkich starań, ażeby znieść Chrystyanizm. Jedynym i skutecznym do tego

sposobem jest ogłoszenie Chrystyanizmu nieprzyjacielem wolności. Lecz M. S., skoro przez dziewietnaście stuleci usiłowania te okazały się daremne, bowiem tyle razy odbijały się zawsze o niezmożone skały Ewangelii Świętej i jeżeli Ewangelia i Chrystyanizm są prawdą, to nie mogą być nieprzyjaciółmi, lecz tylko podporą i obroną wolności! I skoro Objawienie przyniosło na świat wolność i prawdę, wynika z tego, że wiara jest narzędziem prawdy, a zarazem i narzędziem wolności. Tak jest, ona to założyła państwo wolności na tym świecie. Gdy myśl ludzką opanowały wszelkiego rodzaju błędy i przesądy, i gdy człowiek wzdychał pod brzemieniem niewolnictwa, ona jedna tylko dzierżyła sztandar wolności. Naprzekór tyraństwa Cezarów, na przekór tyraństwa religii państwowej, ona jedna tylko odważyła się wyrzec: „Non adoro“ i nie uchyliła czoła przed fałszywymi bogami, a setki jej wyznawców za te śmiałe słowa życie, dały użyźniając przez trzy stulecia krwią swoją grunt Katolicyzmu, będąc jakoby hakatombą na ołtarzu wolności. I przez wszystkie wieki bronił zawsze i wszędzie Kościół wolności, a gdy zakażone herezyą rządy, niemoralne narzucały mu zasady, odpierał je czystością swoich wierzeń, opartych na Dekalogu, broniąc godności moralnej i prawdziwej wolności. Dlatego to mówi Św. Paweł o Oblubienicy Chrystusowej, że jest nieśmiertelną, bowiem posiada to znamię Boże i porównuje Kościół do Sary, żony Abrahama, zwąc dzieci jego dziećmi wolności, a innych ludzi dziećmi niewolnicy. I czy rzeczywistość nie potwierdza przedziwnie tych słów Apostoła? — W walce wyborczej, która skończyła się świetnem zwycięstwem O'Connell'a, obiecano pewnemu biednemu obywatelowi uwolnienie go z więzienia, jeżeli odda swój głos przeciw obrońcom ojczyzny.

Myśl o biednej, wszelkich środków do życia pozbawionej rodzinie, zdecydowała go ostatecznie głosować przeciw O'Connellowi, lecz w ostatniej chwili przystąpiła do niego żona, szepcąc mu do ucha: „Nieszczęśliwy, co czynisz, pamiętaj o twojej duszy i twojej wolności! Słowa te osiągnęły cel i stały się hasłem irlandzkiego stronnictwa narodowego. I jeszcze inny fakt: W roku 1848 stanął Alfons Karz przed trybunałem w Rouen, prezydent interpelował go: „Oskarżono Cię o rozsiewanie wieści, jakobyśmy wobec powszechnego prawa głosowania kupowali głosy po cztery franki". „Odwołuję to", zawołał Alfons Karz. „Iście po obywatelsku", woła jednogłośnie rada. „Brawo, brawo!" „Odwołuję to", ciągnie dalej Alfons Karz, „bowiem gdy tutaj szedłem, widziałem w kawiarni dwóch ludzi, z których jeden fundował drugiemu kieliszek nie wiem jakiego trunku, dlatego nie może być mowy o czterech frankach, bowiem głosy kosztują już tylko cztery „sous"! Można sobie wyobrazić jaką burzę wywołały słowa te, tem gwałtowniejszą, że mowca wycelował trafnie i w najdrażliwszy punkt. A przyczyna tego? Guizdt określa ją: „Skoro człowiek przestaje już raz wierzyć w egzystencyę duszy, pozostaje mu tylko bardzo wątpliwe pojęcie i bardzo wątpliwa miłość wolności; zaprzeczenie duszy jest zarazem zaprzeczeniem wszelkiej wolności. Uważając siebie za materyę, poddajemy się tem samem prawu materyi, a więc prawu przemocy; podczas gdy uznanie duszy uwalnia nas od niewoli zmysłów i wiedzie na drogę wolności, bowiem podstawą każdej wolności jest przedewszystkiem wolność moralna!"

XIV.

Zarobkująca klasa.

M. S.! Istnieje w społeczeństwie ludzkiem klasa ludzi która najdziwniejsze przechodziła losy, klasa, która bywała naprzemian przedmiotem szacunku i pogardy, miłości i nienawiści, klasa, która naprzemian bywała albo podstawą dobrobytu, albo groźbą i klęską społeczeństwa, klasa, której potrzeby, dążenia i cele po dziś dzień zajmują ekonomistów filozofów i polityków, i w ogóle wszystkich prawdziwie miłujących ojczyznę i społeczeństwo. Wszyscy oni orzekają, że jest to: „kwestya aktualna, kwestya życiowa społeczeństwa". Wiecie o jakiej to klasie chcę mówić, kochacie ją jak ja ją kocham, jest to dzielna, pracująca klasa. Bije gorąco w czasach dzisiejszych dzięki Bogu wiele serc szlachetnych życzliwie dla robotnika, chciałyby one podnieść w jego własnej godności. Lecz niestety ma robotnik nieprzyjaciół, jedni chcieliby go zgnębić, drudzy zwieść, a ci jak i tamci, chcieliby go wyzyskać i poświęcić swoim interesom. Pierwszymi są ci materyalistyczni chlebodawcy, i przemysłowcy którzy nie uważając robotnika współbrata trak-

tują robotnika jak żywą maszynę, służącą do wzbogacenia ludzkości, którzy wysługują się tym biednym robotnikiem jak niewolnikiem, i wyssawszy zeń pot i krew, pozostawiają go następnie jego losowi. Drudzy są ci, którzy spostrzegłszy, że przemocą nie zdołają wyzyskać pracy robotników, starają się ująć ich sobie pochlebstwem, mówiąc im o równości, braterstwie, podnoszą ich do godności królewskiej, ale tylko na to, żeby obłowić się ich listą cywilną, aby ich mizerną kasę w ręce swoje dostać, i dlatego starają się ich przejąć nienawiścią do prawdy i obowiązku. Aby ostrzedz przed takimi przyjaciółmi robotników, chciałbym im ukazać ich prawdziwych przyjaciół, chcę ich ostrzedz przed podchlebcami i potwarcami, aby poznali i pokochali prawdę, jedyny czynnik, który ich pocieszyć i uratować może. M. S.! Zdajecie sobie chyba sprawę z ważności, ale i trudności tego przedmiotu, ułatwić i rozwiązać może jedynie prawda, dlatego pozwólcie mi rozwiązać ją w całości przed wami.

I. M. S.! Kto jest zatem prawdziwym przyjacielem robotnika? Jest nim ten, kto pociesza go z uwzględnieniem jego osobistej godności, ponieważ na wszystkich stopniach chierarchii społecznej, powinien człowiek zachować poczucie swojej godności, bowiem z tego poczucia czerpie prawdziwą pociechę, a przeciwnie trudno dopomódz w czemkolwiek człowiekowi, który ją utracił. Kto jednak ukazuje robotnikowi jego godność? Kto ze słowami tego rodzaju pociechy zwraca się do robotnika? Czy może ekonomiści? Filozofowie literaci? Może poeci?

Weźmy więc naprzód literatów, ludzi wiedzy, naprzykład takiego Bernarda de St. Pierre. Staje on przed

robotnikiem i mówi: „Robotniku, jesteś pożałowania godny, bowiem trudzić się musisz od wczesnego rana do późnej nocy aby zarobić na chleb codzienny; lecz posłuchaj mnie: istnieją na ziemi góry i doliny, góry, z których spływają strugi wody użyźniające doliny owe, tak, że stają się niewyczerpanym zbiornikiem dobrobytu. Otóż i w ludzkiem społeczeństwie istnieją góry, a temi są bogaci, i doliny, a tą doliną jesteś ty robotniku, dlatego pociesz się i uspokój, pełnisz bowiem twoje posłannictwo w społeczeństwie ludzkiem“. I jakaż z tego pociecha? Czy teorya ta zdoła zaspokoić robotnika? Widzę jak otwiera szeroko zdziwione oczy, lecz nie wysychają z nich łzy.

Z kolei występuje ekonomista, mąż stanu Thiers, staje przed robotnikiem i mówi: „Oto postąpiliśmy naprzód, uwolniliśmy pracę z wielu krępujących ją więzów, nauka uszlachetniła ją tak, iż urosła w cenę i znaczenie, widzimy iż procent zniżył się z sześciu na cztery, że artykuły życiowe i spożywcze potaniały, a płaca zarobnika podwyższoną została. Widzimy też, iż skłonności oszczędnościowe wzmogły się u robotnika, i czyż to nie jest postęp ku ogólnemu pokojowi i dobrobycie? Ale czy słowa te pobudzają u robotnika poczucie jego własnej godności, i czy zdołają dać mu pożądaną pociechę? Widzę, z jaką pogardą i wstrętem, odwraca się od nich robotnik, tak jak odwrócił się od literaty, bowiem wiedza w jego mniemaniu, do nieszczęścia dorzuca jeszcze ironię.

Z kolei zjawia się filozof, mówi o obowiązku, o naturalnej religii, jest to Jules Simon, który sili się pocieszyć robotnika, i w istocie życzliwość maluje się na jego twarzy gdy mówi do syna ludu: „Los twój jest

w rzeczy samej nie wesoły, współczuję z tobą, bo los twój nie jest piękny, lecz cóż robić, pomódz ci nikt nie może! Gdy byłeś dzieckiem, znajdowałeś pociechę w modlitwie i poddaniu się Bogu; lecz to było złudzeniem, Bóg jest za daleko, żeby cię mógł usłyszeć, a do tego choćby chciał, nie może nic dla ciebie uczynić, bowiem położenie twoje wynikło z ukształtowania się z ogólnych stosunków w biegu dziejów, których nikt naruszyć nie może, zakłóciłoby to bowiem porządek i harmonię wszechświata". Oto mamy, filozofa który z pewnością nie uciszy wołania robotnika: „I któż mi przybędzie z pomocą!" A teraz zabiera głos polityk: „Los klasy robotniczej żywo zajmuje nas, i przygotowujemy odnośne prawa, które prędzej czy później zastosowane być muszą". „Ależ słyszę to już od dawna, czekam lecz nic się nie zmienia. Jakże więc mogę wam wierzyć? Wam praca społeczna przynosi korzyść, a mój los pozostanie zawsze zarówno opłakany, nie naigrawajcie się przynajmniej waszym dobrobytem mojej nędzy".

Trudnoby było znaleźć odpowiedź na te słowa, lecz być może, że polityk doda jeszcze: „Jesteś względem mnie niesprawiedliwym, bowiem uczyniłem wiele dla ciebie, bowiem zdobyłem ci prawo głosowania". I oto ostatni jego atut.

Lecz wszystkie te wysiłki zdają się bardziej jeszcze rozdrażniać robotnika, który woła coraz głośniej: „skądże oczekiwać mam pociechy? Któż przyniesie ulgę trudom moim? Jeżeli losem moim ma być tylko praca, któż mi ją ułatwi i osłodzi? Jeżeli zdoła to uczynić jakakolwiek moc ziemska lub niebieska, niechaj przybywa". I patrzcie oto przystępują do niego jacyś ludzie, i mówią: „Robotniku szukasz pociechy, szukasz uznania twojej godności, lecz są one w twej władzy, w twej mocy, ty jesteś panem chwili, spojrz na twe silne ramiona, bez wielkiego nawet wysiłku zdołasz wstrząsnąć społeczeństwem, brak ci tylko organizacyi, lecz zorganizowawszy się, usuniesz łatwo twoich uzurpatorów i władców, i powalisz w proch cywilizacyę". Jednak na te słowa robotnik obdarzony z natury zdrowym ludzkim rozsądkiem, potrząsa przecząco głową i powie: „Jakże ten wielki postęp na wszystkich polach miałby być obalonym, a my czy mielibyśmy powrócić znowu do pierwotnej dzikości? Siła jest prawem tylko bezrozumnych zwierząt, lecz u ludzi słuszność a nie przemoc powinna stanowić o prawie. Najpiękniejszą siłą nie jest ta, która gnębi, lecz ta, która się miłością powoduje. Czytałem to i ja bo od pewnego czasu czytam, że ideałem lwa, ideałem króla zwierząt, nie jest groźny lew, który rozdziera swoją ofiarę, lecz lew, który poznaje swego dobroczyńcę. rządzić trzeba życzliwością a nie przemocą. Oddalcie się! Nie chcę sięgać po tę poniżającą władzę".

Więc inni zbliżają się do robotnika i mówią: „Ty jesteś jedynym użytecznym dla kraju człowiekiem, wszyscy inni są darmozjadzi, uzurpatorzy. Czy nie ty orzesz ziemię, czy nie ty budujesz okręty, lokomotywy? Sam widzisz, że społeczeństwo ludzkie jest jedną wielką fabryką, w której wiele obraca siękółek, lecz któż obraca je, jeżeli nie ty? Dlatego nie potrzebujesz używać przemocy, wystarczy ci odejść, a wtedy niedołężni spostrzegą, iż nie dadzą sobie rady bez ciebie! Słowa te bardziej trafiają do przekonania robotnika, zaczyna przywiązywać do nich wagę. Jednakże pewnego dnia wpada mu do rąk bajeczka następującej treści: Pewnego razu wypowiedziały członki posłuszeństwo żołądkowi mówiąc:

żołądek jest darmozjadem, nie chcemy mu dłużej dostarczać jedzenia. Lecz koro żołądek nieotrzymując pożywienia przestał zasilać wszystkie inne członki, zmuszone zostały podjąć na nowo poniechaną służbę, i pogodzić się z żołądkiem. Bajka ta rozświeca umysł robotnika, poczyna więc powątpiewać i mówi: „A jeżeli oszukano mnie, jeżeli to nie jest prawdą, że potrafię wystarczyć sam sobie?“

I w istocie robotniku nie zdołasz wystarczyć sam sobie. Przedewszystkiem potrzebujesz zdrowia ciała, a więc lekarza, i zdrowia duszy, a więc kapłana. Pragniesz spożywać w spokoju swojej ciężkiej pracy, a więc potrzebujesz nieraz pośrednictwa sędziego, choćby zatem tylko w tych trzech wypadkach, potrzebujesz ludzi, którzyby nie byli robotnikami.

Jednak przerywacie mi, dłoń robotnika kierowała już nożem hirurga, trzymała wagę sprawiedliwości, i składała ofiarę na ołtarzach Pana. Wiem o tem, ale to są wyjątki. W ogólności trudny urząd lekarza, księdza i sędziego wymaga długich studyów, tak iż nie mogą zdobyć się na nie ci, którzy się z pracy rąk utrzymują. Do jakich rezultatów doszedłby uczony, któryby zamiast pióra i cyrkla, siekierę i młot w ręce dzierżyć musiał? Lub któryby na chleb powszedni zarabiał pracą fabryczną? I oto widzisz, jak dopełniają się wzajemnie różne klasy społeczne!

I robotnik zaczyna wierzyć, lecz po chwili woła znowu: „ale któż mi przyniesie pociechę i odda mi godność moją! Biedny robotniku! Widzieliście jak pozbawieni religii przeklinali swój los? Dlatego to robotnicy poznajcie waszą prawdziwą przyjaciółkę, jest nią religia, ona tylko zdoła was pocieszyć i dać wam poczucie

waszej godności. Robotniku, przemawia doń religia, wielką jest twoja dostojność, a wiesz dlaczego? Bo Pan Bóg który jest początkiem wszelkiej mądrości, żadną inną klasę społeczną nie zaszczycił takiem podobieństwem do Swojej, jak właśnie klasę roboczą. Przyjrzyj się stwarzającemu Bogu, a następnie przyjrzyj mu się jako Odkupicielowi! Najpierw tedy w stworzeniu: czyż Bóg nie jest robotnikiem kiedy rozpościera sklepienie niebieskie, kiedy zakłada fundamenta ziemi, kiedy obsiewa ziemię nasieniem i kiedy z gliny lepi ciało ludzkie. Oto masz pierwiastek twojej godności, kiedy jesteś przy pracy, wznoś się duszo do nieba, bo tam jest twój pierwowzór a zarazem niedościgniony ideał, i będziesz sobie cenił los Twój i zawód; jesteś wielkim, bo pracujesz na wzór Boga i Pana! A religia podaje: nietylko pracujesz na wzór Boga, lecz jesteś Jego współpracownikiem, na wielkim warstacie pracujesz wraz z Bogiem! I w istocie gdy Bóg stworzył świat, nie dokończył do pewnego stopnia dzieła swego, nie w tem znaczeniu, jakoby Mu brakowało czegokolwiek pod wzdlędem doskonałości harmonii i równowagi, lecz ponieważ stworzył społeczeństwo istot, którym dał pewne prawa i zdolności tak, żeby mogły dokończyć jego dzieła. Bóg wszczepił w ziemię zarodek życia, lecz człowiek musi przyłożyć swej ręki ażeby wydała pożądane owoce. Bóg zawarł w łonie ziemi metale, lecz wydobywa je z jej głębi i zasila się niemi przemysł. Robotnik jest zatem współpracownikiem Boga, dlatego poddać się może słusznemu uczuciu dumy, bowiem i materya którą opracowuje nosi na sobie ślady ręki Bożej, które zdają się mówić: „nie jesteś niegodny człowieku, bowiem jesteś człowiekiem pracy, i na materyę którą opracowujesz

położył kiedyś Prawicę swoją, On był pierwszym pracownikiem, a ty dopomagasz Mu w dziele Jego; On stworzył, a ty przetwarzasz, On zaczął, a ty kończysz!

A teraz przyjrzyj się Bogu w Odkupieniu! Przekleństwo Boże dotknęło pracę, dlatego musiała ona być powtórnie uświęconą, aby trudy jej stały się lżejszymi. Co więc czyni Bóg? Pracuje sam przez lat trzydzieści. Oto zwiastują posłowie niebiescy ziemi, że przybył na świat dawno oczekiwany Messyasz Odkupiciel świata! Wszystkie serca biją radośnie, wszystko cieszy się i woła: „Ale gdzież On, czy u steru państwa, czy na stolicy uczonego, co za dziwo! Ten Messyasz, ten Odkupiciel świata, ta świętość w społeczeństwie ludzkiem, jest małą dzieciną, biedniejszą od syna robotnika, niema nawet kołyski w którejby spoczął, opiekunem Jego jest rzemieślnik, pierwszymi czcicielami pasterze. A jakiż zawód obrał ten Odnowiciel świata? Na równi z ojcem swoim przybranym stał się robotnikiem, nie obiera zawodu, któryby Mu najłatwiej cześć ludzką zjednał, lecz staje na najniższem szczeblu społeczeństwa, chcąc spożywać chleb zroszony własnym potem! Będąc synem rzemieślnika, hasłem swojem czyni pracę, i oto oczom naszym przedstawia się najpiękniejszy i najbardziej wzruszający widok — nie potęgi Cezarów rzymskich, gruntujących mocarstwa ziemskie, nie uczonych, chełpiących się swą wiedzą i mądrością, nie zbrojne hufce wojowników zdobyły świat, lecz nieznany młodzieniec biednego cieśli! W zaciszu wsi galilejskiej chciał ten Pracownik zanim zbawił świat okazać wam, że dlatego tylko podjął się pracy rzemieślniczej, aby wam ją lżejszą uczynić. A teraz Słuchacze moi, pytam was czy nie

tkwi pierwiastek boski w ludzkiej pracy? Kiedy się nad tem zastanawiamy, że Bóg stawszy się człowiekiem nie uchylił się od tego, aby trzydzieści lat życia swego pracy poświęcić? Jakiż z tego blask pada dostojności na pracę, której się robotnicy oddają! O wy pracujący, uprzytomnijcie sobie to, że Bóg stał się wam równym! Dlatego nie użalajcie się na wasz los, i wspomnienie warstatu nazaretańskiego otoczy skroń robotnika promienistym wieńcem przez wszystkie stulecia!

Jezus Chrystus po trzydziestu latach pracy przy ubogim warstacie w Nazarecie, oddał się dopiero dziełu Zbawienia. Nie chce jednak sam tego dzieła dokonać, chce sobie towarzyszy zjednać i uczni — a gdzie ich szuka? Czy może między uczonymi i majętnymi mędrcami tego świata? Nie moi słuchacze, szuka ich nad brzegiem jeziora, wybiera dwunastu biednych rybaków. którzy tem rybołostwem nędzne potrzeby swojego życia zaopatrują! I ci biedni pracownicy stali się odnowicielami świata, podczas gdy filozofia jednej nawet duszy nie była w stanie odrodzić!

Tak więc olbrzymia budowa cywilizacyi chrześcijańskiej, której uzmysłowieniem jest Bazylika Watykańska, spoczywa na ramionach dwóch robotników rzemieślników, St.: Piotra, który był rybakiem, i St. Pawła który był tkaczem! Zrozumcież więc wy pracujący, że Chrystus otoczył was wielką godnością przez to, że jako robotnik rzemieślnik urodził się między wami, i jako taki żył wśród was, i was rzemieślników powołał na współpracowników przy dziele stworzenia, odznaczenie. którem świat nie mógłby was otoczyć.

Nie zazdrośćcież więc patrząc na tych, którzy wyżej są postawieni od was raczej oni powinniby wam

zazdrościć, że Bóg dla was tak wiele uczynił, a tak mało dla nich! Bowiem ten, który w dobro doczesne opływa powiedzieć nie może, mój Zbawiciel był bogatym jak i mędrzec powiedzieć nie może „Pan mój i Bóg stał na czele szkoły, która naszą naukę głosiła". Możny tego świata nie może rzec „Bóg mój dzierżył w swych dłoniach tę władzę, zanim mi ją przekazał". Ale pracujący robotnik może powiedzieć „Bóg mój cierpiał jak ja cierpię, pracował jak ja pracuję, był robotnikiem jak ja nim jestem". Warstat ubogiego rzemieślnika był królewskim pałacem Jezusa Chrystusa Syna Bożego, berłem narzędzia, a tronem ława w ubogim domku nazaretańskim! Dlatego nie jest to pochlebstwem, kiedy ci się mówi biedny rzemieślniku, Jezus Chrystus należy więcej do ciebie, jak do innych ludzi, bowiem w czasie swego ziemskiego żywota chciał być kapłanem i robotnikiem, a raczej nie, robotnikiem i kapłanem, bowiem trzydzieści lat był rzemieślnikiem, a trzy lata kapłanem. Dlatego moi bracia nie powinni robotnicy zapominać, że prawdziwym ich przyjacielem jest religia, która im ich godność wskazuje, a wynosi z poniżenia. Czemże bowiem była praca przed nastaniem cywilizacyi chrześcijańskiej, przed przyjściem Jezusa Chrystusa? Była niewolą i hańbą, lenistwo odpychało pracę, a dusza jakoby upodleniem była. Zdawałoby się, że u niewielu jednak praca znalazła łaskę. Pług lincinata stał się przecież sławnym, ale było to tylko wyjątkiem. Aristoteles mówi o pracy jakoby o czemś niewolniczem. Plato podobnież — Cycero nazywa robotników ludem do niczego — barbarzyńcami. I dziś widzimy jeszcze, że narody, które Jezusa Chrystusa nie znają zapatrują się na pracę w ten sam sposób. Braminowie indyjscy uważają

się za spodlonych jeśli się pracą zająć muszą, a dzicy z południa Ameryki uciekają od pracy, i zwalają ją na kobiety, z któremi obchodzą się jak z niewolnikami. Nawet i u nas jak świadczy niestety dziennik, pracę czci się tylko słowami. Kłaniamy się bogaczowi a nie temu, komu praca dłonie pokryła odciskami. Tylko religia opromienia skroń pracującego blaskiem należnej siły i wielkości — bierze bowiem promień ze skroni Jezusa Chrystusa, aby zeń uwić koronę na skroń biednego robotnika. Tak religia zbudowała przytulisko dla biednych robotników, do których matki dzieci odnoszą jak do pracy iść muszą. Religia zbudowała ochronki dla sierót, gdzie maleństwa drugą matkę odnajdują. Religia założyła instytucye szpitalami zwane, a w których robotnika czeka ulga w cierpieniu. Religia uczyniła jeszcze więcej zamieniła warstaty na kaplice, robotników umieściła na ołtarzach między świętymi, tak pasterkę jak i rolnika. Może się więc Cycero pytać, do czego jest zdolny robotnik, cóż się z niego da uczynić? Religia może mu odpowiedzieć wskazując na legiony męczenników i św. Dziewice, którzy wyszli z ubogiej robotników chaty.

Nie tylko na tej drodze okazuje religia swoją przyjaźń pracującym, lecz także wyjaśnia mu pracę, aby ta praca ludzka posiadała godność, aby praca godną była człowieka. I nie powinna się ograniczać na materyalnem rozwinięciu energii, powinna dać jeszcze podstawę moralnej karyerze, musi prowadzić do celu jakiegoś, godnego człowieka. Inaczej spada praca do rzędu mechanicznego ruchu, i jakaż jest wtedy różnica między maszyną a człowiekiem, który nią kieruje? Dochodzą oby-

dwie do tego samego rezultatu: człowiek otrzymuje zapłatę, maszyna nie, i to nazywa tymsamym rezultatem.

Tak przedstawiała się praca u starożytnych, tak przedstawia się u niektórych nowszych reformatorów, ale religia wysnuwa pewien wysiłek woli z tego w czem inni widzą tylko pewne naprężenie mięśni — bierze w rachubę siłę wolnej istoty, która w sobie samej jakoby w małem kole uwięziona.

Wyjaśniając w ten sposób pracę, że na jej prawdziwy cel zwraca oczy nasze, otwiera religia przed pracującym nowe widoki, i okazuje mu jego piękną przyszłość, i mówi z Jezusem Chrystusem, pracuj, ale nie dla pożywienia tylko, które nas docześnie wzmacnia, ale dlatego, które wiecznie trwa. Pamiętaj, że praca twa krótka jest, a nagroda wiecznie pozostaje! Nie te rzeczy, które się dadzą ujrzeć mamy wysoko cenić i miłować, ale te, których nie widzimy, bowiem pierwsze przemijają, podczas gdy drugie trwają niezmiennie! Temi słowami wskazuje religia na niebo jako na zapłatę za pracę. Tak kiedy robotnik wieczorem do domu powraca zmęczony, strudzony, i pot ociera z pomarszczonej skroni, wtedy niech nie patrzy z żalem gorzkim na skąpą zapłatę, którą sobie zarobił, lecz z gorącem oddaniem się Bogu niech zawoła: „Nie, to nie jest moja zapłata za pracę, Bóg mój, który dla mnie na krzyżu umarł żeby mi niebo otworzyć, i widział moje cierpienia, bo w Jego Obliczu trudziłem się, On Sam będzie moją zapłatą“.

W tem oświetleniu traci praca wszelką zelżywość, i wszelkie uciemiężenie nad miarę; jest trudem, ale słodkim trudem, jest cierpieniem, ale chwalebnem, bo błogosławionem cierpieniem. Dlatego też wszędzie, gdzie

Chrystyanizm znalazł dostęp, ten inteligentny i swobodny sposób pracy, którego nie znali starożytni, stał się podstawą nowożytnej cywilizacyi. Dawne najemne niewolnictwo zamieniło się w koronę wolności, inteligencyi i godności! Tę godność wniosło chrześcijaństwo w pustyni wschodu, i św. Bazyli ojciec duchowny tysięcy Eremitów mógł zawołać: „Istotą naszego życia pustelniczego jest modlitwa, ale modlitwa w postaci pracy“. Cele tych mnichów podobne były do ula, w którym każden niósł w dłoni wosk-pracę, a na wargach miód-modlitwę.

Później zobaczył Zachód jak powstawały te wielkie Stowarzyszenia religijne, uprawiając rolę naszej ziemi, wznosiły wspaniałe budowle, które nasz wiek wprawdzie podziwia, ale ich nie naśladuje. „Nic nie zdoła się oprzeć tym synom St. Benedykta“ powiada protestant Guizot „którzy stali się prawdziwymi cywilizatorami Europy“. Obawiam się, że nie jesteśmy w stanie pojąć całej wielkości ofiary i heroizmu, jakiego potrzeba było, aby w zwyczaje pogańskich i barbarzyńskich ludów wnieść zamiłowanie szlachetnej i sprawiedliwej pracy. A jednak przemysł nowożytny za punkt wyjścia obrał to wyzwolenie pracy. Dzieła tego przemysłu — może kto temu przeczyć lub nie — są całkowicie chrześcijańskim rezultatem; poza ludami chrześcijańskiemi napróżno szukałoby się czegoś podobnego. Przed przyjściem Jezusa Chrystusa był postęp na polu przemysłu z dwóch powodów po prostu nie możliwym: pierwszym było to, że niewolnik, który pracę wykonywał, mało się troszczył o jakiekolwiek udoskonalenie tej pracy — nie mogło mu bowiem nic na niej zależeć, czy więcej czy mniej na niej zarobi — zarobek ten bowiem cał-

kowicie i wyłącznie przypadał komu innemu nie jemu w udziale. Drugi powód leżał w tem, że ci którzy posiadali oba warunki konieczne do udoskonalenia przemysłu bogactwo i wykształcenie, t. j, bogaci i wykształceni wstręt czuli przyłożyć rękę do pracy, i między komnatą uczonego a izbą rzemieślnika nie istniała żadna łączność. Ale od tego momentu kiedy nastąpiło wyzwolenie pracy przez Chrystyanizm łączność ta się poczęła dopiero. Komnata uczonego zmieniała się w warstat, warstat przeszedł we fabrykę, a później nauka w połączeniu z przemysłem wydała owe maszyny, które produkcyę stokrotnie pomnożyły.

Tak powtarzam to — i choćbym miał nawet przez to wprowadzić niektórych przemysłowców w zdumionie, a przedewszystkiem niejednych uczonych, którzy z powodu uprzedzeń religijnych nie chcą podzielać ogólnego przekonania — powtarzam, że przemysł nowożytny jest owocem pracy chrześcijańskiej! I czegóżby dzisiaj bardziej potrzeba było, jak aby znów Jezus Chrystus nasz przemysł ożywił, aby On Najświętszy przebywał wśród naszych zajęć, aby chodził między rzesze robotników, bo cóż inaczej stanie się z niemi? Przypatrzcie się tylko nowożytnemu przemysłowi. Z uzasadnioną dumą okazują udoskonalenie swoich produktów, i zwołują z zadowoleniem z końca na koniec świata ludzi, aby podziwiali jego dzieła po wystawach! Lecz chociaż dłonie jego są pełne bogactwa, kryją się pod tą wspaniałą szatą hańbiące rany, i smutne ślady zostawiają jego kroki. W podziw mnie wprowadza wspaniałość i przepych nowożytnego przemysłu, ale pytam was ileż to cnót zostało tej wspaniałości w ofierze złożonych, ileż to skarbów niewinności przezeń poszło na marne! Moi Słuchacze! Wy

cieszycie się ze zdobyczy tego przemysłu, a ja boleję nad jego destruktywną siłą! Wy liczycie wieńce i medale, które zdobywacie, a ja ruiny i upadki, które nagromadził. Bo cóż to jest za bogactwo, które się nabyło za cenę dobrych obyczajów? Czemże jest materyalny dobrobyt, który ludzkość z moralności wyzuwa? Dlatego też nie mamy powodu trwać w błędzie, albo praca podnosi człowieka, albo go poniża; albo praca jest środkiem do udoskonalenia i ma być szkołą moralności lub przeciwnie? Czy ci, którzy wychodzą z tej szkoły staną się ludźmi, po których ojczyzna i rodzina będzie się mogła czegoś spodziewać, opieki, oparcia, czy też będzie to społeczeństwo strawione zmysłowością i zwątpieniem?

Moi słuchacze! Z pewnością nie stanąłem tu, aby na przemysł nowożytny rzucać klątwę; jeśli jednak rozchodzi się o robotników, o to biedne dziecię ludu, jakże nie mam wskazać na skały, o które się rozbija jego nędzne życie? Złe nie leży w samej pracy, ani w organizacyi pracy; zło leży w tem, że praca stała się znów pogaństwem, że niema w niej ducha Chrystusowego, aby się mogła podnieść moralnie. Dlatego to otrzymuje się publiczne urzędy tylko za cenę moralnego poniżenia, i dlatego to położenie biednych tych rozbitków stało się jak za pogańskich czasów, kiedy to praca była udziałem tylko niewolników, bowiem obywatele uważali się za spodlonych, jeśli swe dłonie pracy poświęcili, tak dzisiaj są oni jeszcze bardziej niewolnikami jak wówczas, bo dusze swoje poddali także w niewolę.

Dzisiaj częstokroć nie wierzy już robotnik w żadną Opatrzność, tylko widzi wszędzie ślepe fatum, które upodobało sobie biednego syna ludu — widzi tylko

nie dające się zmienić przeznaczenie, przed którem chociażby z buntem ugiąć się trzeba.

I czemże jest taka praca, jak nie hańbiącą niewolą?

Są tacy, którzy się oddali badaniu kwestyi robotniczej, i to z tak zimną krwią, jakby się rozchodziło o algebraiczną formułę, a przecież problem ten tyczy się losu większej części naszego ludu, naszych bliźnich! Czy nie słyszycie tego głosu, który rwie się ku niebu z pośród pracujących mas? Czy to jest radosny okrzyk, czy nie raczej okrzyk bólu i gniewu? Czy brzmi groźbą, czy też nadzieją? Jeśli chcecie być sprawiedliwymi, musicie powiedzieć: krzyk ten jest pełen westchnień i skargi, a przyczyną tego jest raczej wewnętrzne cierpienie niż materyalna nędza! I tak powstała pustka w duszy robotnika, pustka w sercu także, i dlatego cierpi, a zwątpienie wgryza się coraz głębiej.

Skoro już raz zamknęło się dlań niebo — bo życie przyszłe policzono między bajki — zapragnął na ziemi posiąść swój raj, i dlatego trudzi się aby tu użyć przyjemności i radości, i kiedy mu ich brakuje, wtedy wpada w wściekłość, zwraca broń przeciw społeczeństwu i przeciw sobie samemu! I cóż pomoże, że sekty się pysznią z tego, że robotnikom dostarczyły chleba i odzienia, skoro zaczęły od tego, że odebrały im nadzieję życia przyszłego, które bardziej pocieszało i podnosiło na duchu, jak chwilowa pomoc, którą mu dostarczyli zimni ludzie?

Moi Słuchacze! Cóż począć ma robotnik jak nie posiada dostatecznego wędzidła na swe namiętności? Odebrano mu to, co go nad brzegiem przepaści powstrzymywało, to, co mogło trochę balsamu kojącego

na jego rany dostarczyć, i dlatego rzuca się on teraz w wir orgii, traci cześć, traci pieniądze, które tak bardzo do utrzymania swej rodziny, swych dzieci potrzebuje, traci wreszcie honor, wolność, i kończy w więzieniu lub samobójstwem!

II. Moi Słuchacze! Religia kiedy już robotnikowi prawdziwą godność pracy ukazała, kiedy już go pocieszyła, wskazując mu niebo jako zapłatę tej pracy, wtedy zwraca się do niego i poucza o obowiązku. Ale zapyta kto może, czyż tylko religia uczy robotnika obowiązku? Wiem, że są i inne rzeczy, które robotnikom obowiązki ich przypominają. Jest wielu takich, którzy mówią mu o jego rodzinie i o jego honorze. Ale moi Bracia te słowa, które tak głębokie wrażenie wywierają, kiedy wypływają z nauki religii, czyż mają to samo znaczenie na ustach innych ludzi? Zauważciesz, że kiedy ktoś te słowa przed ludem wymawia, a nie jest przejęty duchem Jezusa Chrystusa, to jest on tylko pustym gadułą, pustym dzwonem. Mogą być piękne jego słowa, ale doświadczenie uczy, że jeszcze nikogo nie nawróciły, i tylko religia może skutecznie pouczyć człowieka o jego obowiązkach, ponieważ uświęca ten obowiązek.

Jak często uczy religia obowiązku robotnika? Moi Słuchacze! Nie będę tu mówił o oszczędności, umiarkowaniu, o porządku i pilności w pracy, nie będę mówił o obowiązkach względem rodziny, bo każden przecież je zna.

Chcę tylko przypomnieć o jednym obowiązku, o tym. którego nas uczy Ewangelia, kiedy o Boskim pracowniku, o Jezusie Chrystusie mówi! A jaki to jest obowiązek? Uległość prawnej zwierzchności! I ten to obo-

wiązek o robotnicy, leży w waszym własnym interesie, jeśli chcecie waszą wolność, waszą godność zachować, bo tam, gdzie niema zwierzchności, tam niema wolności. Zwierzchność jest warunkiem wolności, i tam gdzie zwierzchność nie jest w poszanowaniu, tam znajdziecie rozpasanie i tyranię, ale nie wolność!

W samej rzeczy dziś wpaja się w robotnika pojęcie wolności, której oto Ewangelia nie zna, wolności w błędzie, w złem, w niezależności od wszelkich praw ludzkich i boskich, i co za tem idzie? Biedny robotnik rzucił się jak rumak bez wędzidła i steru, i tylko poddaństwo i kajdany znajduje!

Może kto będzie się śmiał z tego i powie: to jest kłamstwo; a jeśli nie jest całkowicie kłamstwem, to czemś doń podobnem — sprzecznością. — Przypatrzmy się więc, czy w tem co powiedziałem, uda się znaleźć kłamstwo lub sprzeczność, a wy robotnicy uważajcie! Moi Słuchacze! Przypatrzcie się wiec robotnikowi w jego życiu ekonomicznem i politycznem, religijnem i moralnem, a potem przypatrzcie się mu w warstacie i na publicznych placach w chwilach buntu. Pytam was: czy robotnik ma wolność w życiu politycznem? Nie jestże niewolnikiem partyi, która go pcha i ciągnie, która nim kieruje i czasem burzyciela z niego czyni porządku społecznego? Czyż można powiedzieć, że istnieje wolność sumienia w działaniu tych biednych mas robotniczych, które głosy swe w urny wyborcze rzucają, oplątani i opętani przez tych ambitnych uczonych naczelników partyi, i ich podstępne pochlebstwa? Czyż możecie to nazwać wolnością robotnika? Przypatrzcie się mu w jego życiu ekonomicznem. — Biedny robotnik staje się często ofiarą i organizacyi tej pracy! Przemysł władający niepodzielnie gruntem i kapitałem wynajął go sobie; wzbogaca się jego potem i można nawet powiedzieć, jego godnością! I stąd biorą się ci darmozjadzi, którzy tak często fabrykę obracają w pole walki, i którzy potem w szpitalach dla obłąkanych lub w nędzy marnie życie kończą.

Przypatrzcie się dalej robotnikowi, czy pod względem religijnym i moralnym można go nazwać wolnym? Biedny robotniku, odebrano ci nawet niedzielę, która przecież jest dniem twego odpoczynku! Tydzień cały skrapiasz ziemię swym potem, ziemię, która tobie owocu nie przynosi. — Gorzki chleb spożywasz tydzień cały, należy Ci się przecie dzień wypoczynku! Lecz nie, odebrano ci go! i aby nie zginąć z głodu, zmuszają cię obracać dzień Boży w dzień pracy! Dalej przypatrzcie mu się w warstacie: czy ma on tam wolność? Nie moi Słuchacze, i tam go gnębią, i nie cofam tego, „gnębią“. I nie pracodawcy do tego stopnia, gnębią go rzeczywiście jak samemu się zdaje, ale wiecie wy, co biednego robotnika najwięcej i najczęściej gnębi? Oto przesądy, fałszywe nauki, które w niejednej fabryce i warstacie w krew jego przesiąkają, i które pod pozorem że wszystko mu zastąpią, w rzeczywistości wszystko mu odbierają.

W niektórych fabrykach wyłania się pewna fikcyjna, bezczelna, inkwizytorska większość, która poszczególnym osobnikom wszelką wolność wydziera, i niema już wtedy robotnik wolności ani sumienia, ani duszy, i nietylko czyny jego szpiegują, lecz chcą jeszcze i na dnie duszy jego czytać, i ten ucisk jest najchaniebniejszy ze wszystkich!

Przypatrzcie mu się dalej na ulicy w chwilach niepokoju. Czy możecie o nim wtedy powiedzieć, że jest

wolnym człowiekiem? I tam go gnębią — w pierwszym rzędzie uciska go zwycięzca i ruchawka się nie powiodła, a kiedy się powiodła, uciska go ten, który owoce jej zbiera, bowiem po skończonej walce ukazują się na widowni ludzie, którzy umieli się ukryć kiedy biedny robotnik pierś swą na kule narażał, teraz zaś stoją na czele, aby zabrać owoce krwawej walki. I wtedy dowiaduje się robotnik od biednej płaczącej matki o strasznej prawdzie, że podczas rewolucyi pozostawiają go sobie samemu, a zyski z niej zabierają sami.

Starajmyż się te biedne dzieci ludu przeciw wrogom ich bronić, okazują podarte, kurzem okryte odzienia, i o pomoc wołają, a gdy im nieszczęśliwym nikt z tą pomocą nie pospieszy, dadzą się owładnąć mrzonkom, za któremi straszne rozczarowanie w ślad idzie. Czyż niema środka aby wesprzyć robotników i nieść im pomoc w ich smutnym losie? Czy mamy może naśladować tych nacyonalnych ekonomistów, którzy myślą, że czynią dobrze oddzielając religię od pracy? Nie! Aby uszczęśliwić człowieka, aby go z losem pogodzić i udoskonalić, nie można zaprawdę uwzględniać jednej tylko strony jego istoty, lecz trzeba się starać zadowolnić całą jego istotę, wszystkie jego właściwości. Robotnik bowiem nietylko jest materyalną istotą, ale też istotą rozumną moralną, i dlatego potrzeba przedewszystkiem zadowolnić jego duchowe i moralne potrzeby, zanim się o zaspokojeniu materyalnych pomyśli. Kiedy klasę pracujących doprowadzi się do tego, że baczy tylko na to ostatnie nie myśląc o Bogu i duszy nieśmiertelnej, to niema już wtedy żadnego Boga, jak tylko pieniądz, i będzie się starał za wszelką cenę o przyjemności zmysłowe i rozkosze, dążąc do nich jak

do ostatecznego celu póki nie wpadnie w ręce Sędziego Sprawiedliwości.

Nie jest to niczem innem jak tylko pchaniem robotnika w objęcia zbrodni że włosy stają na głowie z przerażenia, skąd tyle samobójstw się bierze? — Wygaduje się na robotnika, lecz nie na niego, nie na lud powinno się rzucać kamieniem, bo winnym nie zawsze jest ten, kogo się za takiego uważa, i który więzienie odsiaduje, winnym jest ten, który robotnika z wiary w Boga obziera, i z nadziei przyszłego życia!

Pewnego dnia spotkałem jadąc z Pistoji do Bolognyi młodego człowieka, który wracał z Rzymu z kongresu poświęconego sprawie więźniów.

Słysząc że mówi o tem smutnem życiu, odezwałem się do niego: mówi pan o więzieniu, a w tej samej chwili wygłasza pan zdanie, że człowiek poddany jest ślepemu popędowi. Młody człowiek odpowiedział mi: „Nie zamykamy ludzi w więzieniach za winę, która na nich cięży, zamykamy ich tam, jak się zamyka dzikie zwierzęta w klatce, aby innym ludziom nie szkodzili“ A wiecie wy moi słuchacze, kto uczynił z człowieka dziką bestyę? Ci, którzy mu odebrali hamulec jedyny, a tym hamulcem jest religia!

Uczcież się biedni robotnicy odróżniać prawdziwych przyjaciół od fałszywych, nie uważajcie za przyjaciela tego, który wam obiecuje obce mienie, tego, który aby zyskać wasze głosy, pochlebia waszej ambicyi, i chciałby was użyć jako podnóżka dla swej wielkości. Nie wierzcie tym, którzy wam mówią o postępie, a postęp ten upatrują w wyzbyciu się wszelkich obowiązków, a przedewszystkiem obowiązku względem Boga!

Ograniczcie wasze pragnienia, okiełzajcie waszą ambicyę, starajcie się poprawić wasz los i waszej rodziny, ale z godnością, pilnością i sprawiedliwością.

Nabierzcie przekonania, że szczęście, spokój i ukojenie polega tylko na spełnianiu obowiązków, a przedewszystkiem obowiązków względem Boga i Pana waszego, bo tylko od was zależy dobry koniec życia waszego. Spożytkowujcie wynalazki, jakie wiedza czyni, lecz nie zapominajcie, że waszemu trudowi, waszym usiłowaniom Bóg błogosławić musi, jeżeli chcecie korzyść odnieść.

Bezwątpienia praca jest konieczną, trzeba wykorzystać nowe wynalazki, lecz skutek tej pracy pomyślny niezawsze jest pewnym. Postęp pociąga też katastrofę za sobą, przypatrzcie się tylko lokomotywie naprzykład: Kiedy widzicie jak szybko przebiega, wołacie w zachwycie: „Jakież to to piękne, jaki w tem postęp“ Gdzie te czasy, gdzie całe dnie potrzeba było na przebycie przestrzeni, którą się teraz w kilku godzinach przebywa? Bez wątpienia piękny jest postęp, ale przypatrzcie się teraz maszynie parowej, która się wykoleiła: w gruzach leżą wagony, a pod gruzami widzicie ręce, nogi zgniecionych ludzi, zewsząd odzywają się rozdzierające jęki i skargi, czyż nie przychodzi wtedy pokusa przeklinać ten postęp?

Tak, zawsze nam potrzeba Boga na pomoc, bo nic bez Niego nie znaczymy, i wy, osobliwie robotnicy, starajcie się nauką Chrystusową serca wasze wzmacniać i uszlachetniać!

Widzicie zwierzęta, które was siłą przewyższają, a jednak ku waszej usłudze są stworzone, i kiedy z latami siła ich się zużyje, stają się nieużytecznemi. Inaczej rzecz się ma z człowiekiem, miejcie w Bogu nadzieję, służcie mu z całych sił, a otrzymacie zapłatę za waszą pracę. Pracując na roli, zwracajcie oczy ku niebu, i przyzywajcie błogosławieństwa Bożego na pomoc.

A wy, którzy pracujecie w mieście, wam trudniej jest utkwić wzrok w niezmierzony przestwór nieba, zastąpcież to głębokiem i szczerem zdaniem się na Opatrzność Boską, wtedy i wy pociechy doznacie. Któż dał wam siłę, dał umysł i zdolność do pracy jak nie Bóg, ten Bóg miłosierny, który chciał abyście byli panami materyi, a nie abyście się dali przez nią opanować?

Ale i to jeszcze nie wystarcza! Trzeba moralną podniosłość połączyć z dobrymi obyczajami i statecznymi czynami; praca sama tego nie dokaże, musi się łączyć z modlitwą! Bóg chce, abyście byli religijni, cześć składali za to, coście z Jego dobrotliwej ręki otrzymali. Dlatego to! robotnicy powstańcie sami, i wasze rodziny pociągnijcie pod sztandar ożywczy Chrystusowej wiary. Nie zapominajcie nigdy o religji, ona to hasło robotnicze uzupełnić powinna!

Nieraz widziałem jak robotnik dumnie rozwijał chorągiew, na której słowo „Praca“ jaśniało. Lecz sama praca nie wystarcza, gdyż człowiek nietylko potrzebuje pokarmu dla ciała, potrzeba mu jeszcze duchowych pociech. Dlatego do słowa „Praca“ dodać jeszcze potrzeba „Jedność“, a jedność rodzi siłę, a sympatya serc stwarza moc! Z jednej strony praca daje chleb, z drugiej „Religia“ odbiera nieraz gorycz kawałkowi chleba ciężko zarobionemu. Jedność stwarza siłę, a religia daje jej prawdziwą podstawę, bo wolności nie można stworzyć jednością, której podstawą byłby błąd, bo silnie stoi

tylko na prawdzie. Tak więc prawdziwy sztandar robotniczy musi głosić jak hasło te trzy słowa: „Praca, Jedność, Religia“. I kiedy robotnik pod tym sztandarem będzie kroczył, to może nie będzie bogatym, ale też z pewnością nigdy nie będzie nieszczęśliwym!

KONIEC TOMU I.

Ks. Józef Smulczyński

O. AGOSTINO DA MONTEFELTRO:

KONFERENCYE I KAZANIA WIELKOPOSTNE.

TOM II.:

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA.

KONFERENCYE I KAZANIA WIELKOPOSTNE

O. AUGUSTYNA DA MONTEFELTRO
ZAKONU BRACI MNIEJSZYCH.

TOM II.:

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA.

KRAKÓW 1909.
NAKŁAD KONWENTU BRACI MNIEJSZYCH

Ks. Józef Smulczyński

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA

KAZANIA
OJCA AUGUSTYNA DA MONTEFELTRO
ZAKONU BRACI MNIEJSZYCH
WYGŁOSZONE W KOŚCIELE SW. KAROLA W RZYMIE
PODCZAS WIELKIEGO POSTU 1889.

KRAKÓW 1909.
NAKŁAD KONWENTU BRACI MNIEJSZYCH.

L. 426.

Ze strony Prowincyałatu Braci Mniejszych pozwalamy ogłosić w polskim języku Kazania Wielkopostne O. Augustyna da Montefeltro.

Lwów, 14 września 1908 r.

L. S. *O. Daniel Magiński*
Prowincyał.

Tłomaczenie Kazań O. Augustyna nie zawiera nic przeciwnego z duchem nauki Kościoła katolickiego.

W Krakowie, 22 września 1908.

X. Dr. Józef Kaczmarczyk
cenzor.

L. 5325.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

Z KSIĄŻĘCO BISKUPIEGO KONSYSTORZA.

W Krakowie, dnia 23 września 1908 r.

† *Kard. J. Puzyna.*

ODBITO W DRUKARNI A. RIPPERA W KRAKOWIE.

PRZEDMOWA
DO WYDANIA POLSKIEGO.

Łaskawe przyjęcie mojej „Prawdy“ skłania mię do wydania drugiego cyklu Konferencyi sławnego Franciszkanina, aby ułatwić szerszej Publiczności polskiej korzystanie z tej pracy. O. Augustyn zajmuje się przeważnie kwestyami, mającemi bezpośredni związek z religią chrześcijańską, dlatego słusznie można nazwać to dziełko „Prawdą chrześcijańską“. Przedłożony tomik zawiera dwanaście kazań, które zajmują się zarzutami, czynionymi zwyczajnie naszej religii, jej podstawie, Osobie Boskiego Zbawiciela, tudzież stosunkiem wiedzy do wiary; pytania, przyzna każdy, zgodne z duchem czasu, w którym żyjemy. W celu pełnego, a właściwego zrozumienia doniosłej działalności skromnego syna św. Franciszka, porównywałem jako i w „Prawdzie“ rozmaite stenografowane mowy O. Augustyna. Z pomocą Bożą postaram się wydać w następnych miesiącach

ostatni tom tych Kazań, których treścią są poszczególne prawdy chrześcijańskie. Niechaj dobry Bóg użyczy swego błogosławieństwa tej pracy na ziemi polskiej.

Kraków, w dzień św. Marka ewangelisty.

O. Zygmunt Janicki
Zakon Braci Mniejszych.

TREŚĆ:

	Str.
Przedmowa	V
I. Uprzedzenia względem religii	1
II. Nietolerancya religijna	16
III. Przyczyny niewiary	33
IV. Jezus Chrystus	50
V. Bóstwo i człowieczeństwo Jezusa Chrystusa	66
VI. O nauce Jezusa Chrystusa	88
VII. O miłości Jezusa Chrystusa	112
VIII. Dzieło Jezusa Chrystusa	137
IX. Męka Jezusa Chrystusa	159
X. Wiara	181
XI. Wiedza i wiara	195
XII. Nadprzyrodzoność	205

I.

Uprzedzenia względem religii.

Człowiek, rodzina i cierpienie potrzebują religii. Potrzebuje jej człowiek, bo religia jest fundamentalną podstawą jego całej istoty, głównym warunkiem jego szczęścia; na niej polega jego wielkość i różnica człowieka od zwierzęcia. W rodzinie jest religia podstawą zgody, wychowania, miłości. A mianowicie religii potrzebuje boleść: bez niej niema pociechy, niema siły. A jednak, czy niema ona i swoich ciemnych stron, jakie zdają się nas upoważniać do odrzucania jej?

Zanim Mojżesz zaprowadził lud wybrany do ziemi obiecanej, wysłał dwunastu wybranych mężów z różnych szczepów, i ci mieli zasięgnąć dokładniejszych wiadomości o kraju i jego mieszkańcach. Ci nie usprawiedliwili jego zaufania, i ograniczyli się na tem, że wyszedłszy na szczyt góry, rzucili wzrokiem pobieżnie na Palestynę. Opanowani trwogą, bez zastanowienia, pozwolili wyobraźni zapanować nad umysłem i powrócili pełni nieusprawiedliwionych uprzedzeń. Przyznali wprawdzie, że kraj jest urodzajny, obfity w płody, „mlekiem i miodem płynący“ [1]), ale dodali przy-

[1]) Cf. Ks. Liczby XIII. 28.

tem: „Ten kraj zamieszkują ludzie w porównaniu do jakich my jesteśmy szarańczą, dlatego należy wyrzec się myśli zdobycia i posiadania tego kraju". I już zaczął lud szemrać przeciwko Mojżeszowi. Znaleźli się przecież dwaj mężowie śmiałego serca, Jozue i Kaleb. Ci przeszedłszy kraj wszerz i wzdłuż, opisali wiernie jego płody i oświadczyli ludowi: „Jeśli Pan zechce, zaprowadzimy was tam. Musimy walczyć z trudnościami, pokonać licznych nieprzyjaciół, ale jeśli Pan jest z nami, kto przeciw nam? Pochłoniemy nieprzyjaciół jako chleb". Ten kraj obiecany to wierny obraz religii. Wszyscy przyznają jednogłośnie, że religia jest błogosławieństwem dla człowieka, dla rodziny i ulgą w boleści; ale wielu ma uprzedzenie i trzyma się zdaleka od niej. Nie jest to niewiara ugruntowana na dowodach zdrowego rozsądku, raczej bezkrytyczny przesąd i uprzedzenie. Postanowiłem w dzisiejszem kazaniu rozproszyć te przesądy, chciałbym ukazać prawdę w jej właściwem a najpiękniejszem świetle; uczynię to z tą miłością, jakiej należy oczekiwać od opowiadacza św. ewangelii; albowiem opowiadacz ewangelii musi kochać wszystkich, a nadewszystko zbłąkanych. Ci ostatni mają szczególne prawo do jego miłości, albowiem są nieszczęśliwi. Są tacy, którzy się zdziwią, że między nami znajdują się zbłąkani. Lecz po tem cośmy słyszeli, cośmy widzieli, wziąwszy zwłaszcza pod uwagę czasy w jakich żyjemy, musiałoby nas raczej wprawić w zdumienie, gdyby zbłąkanych nie było, lub byli w mniejszej liczbie, jak przypuszczamy. Zamiast narzekać i utyskiwać, podnieśmy raczej ręce do nieba i błagajmy Boga żeby się raczył ulitować nad temi biednemi duszami, aby nam zesłał

liczny zastęp apostołów miłości, i aby ci nauczyli nas szukać i miłować prawdę.

I. Pierwszy przesąd, pierwsze oskarżenie na niekorzyść religii jest: „Religia jest rzeczą przestarzałą". „Ojcze" powiedział do mnie pewien młody urzędnik, „to co ojciec mówi, jest zapewne dobre i bardzo piękne, ale to należy już do przeszłości. Jakto, nasze stulecie w którem jakoby pogańska cześć bożków na nowo odżyła, miałaby religii jej starość wyrzucać? Czyż wieniec siwych włosów na głowie starca, nie czyni go raczej godniejszym naszego szacunku i czy można robić mu z tego zarzut? Zaprawdę, religia jest stara, nawet bardzo stara; przez nieprzerwany szereg papieży, przez nieprzerwany szereg najwyższych pasterzy, przez stulecia ciemnoty i barbarzyństwa, przez stulecia wiedzy i kultury, przez czasy zarówno uznania i błogiego spokoju, jak i okresy walk i zwycięstw ciągnie się aż het ku górze Kalwaryi do stóp krzyża, na którym Jezus Chrystus oddał swój żywot. A jeśli zechcemy postępować w tył, idąc za śladami zmiennych kolei wybranego ludu, to dojdziemy aż do Mojżesza i Arona. To krok drugi. Trzeci poprowadzi nas przez pieczary proroków do namiotów pierwszych patryarchów, a stąd do kolebki ludzkości, do naszych pierwszych rodziców, a dalej już wprost do Boga, do ojca i źródła, w którem religia ma swój początek. Tak, religia jest stara; bardzo stara; jak piramidy pustyni spoglądają spokojnie na przepływające u stóp ich fale Nilu, tak samo spogląda religia z wysoka na ciągłą zmianę pokoleń, widzi upadek państw, zmianę republik, wymieranie dynastyi. Ileż ruin piętrzy się dookoła niej, tylko ona sama stoi w środku niewzruszona!

Gdzież są ci wszyscy, przy których urodzeniu ona

była, którzy ją prześladowali, którzy jej szanowną starość wyszydzali? Oni chcieli jej przygotować grób, tymczasem ona zaśpiewała Requiem i Deprofundis na ich pogrzebie! Zaprawdę, ona jest stara, ale zmarszczek niema na jej czole; jej członki pokryte wprawdzie bliznami, ale te ślady ran świadczą o jej walkach, o jej tryumfach! I czy nie widzimy, że musi być tak stara jak świat? Czem właściwie jest religia? Religia jest ogółem tych wszystkich czynników, które człowieka wiążą z Bogiem.

Dlatego zaraz od pierwszej chwili, gdy Bóg człowieka z nicości do istnienia powołał, gdy mu dał rozum zdolny go poznać, serce zdolne Go kochać, powstaje religia. Ona rozwijała się tylko z biegiem czasu, odpowiednio do potrzeb ludzkości. Religia jest stara, ale cóżbyście powiedzieli, gdyby była młodą? Zawołalibyście napewne: „Jeżeli religia jest potrzebną, dlaczego zatem nie dał jej Bóg wcześniej? Dlaczego mamy nosić jarzmo ojcom naszym nieznane?“ I w rzeczy samej, cóż się stało z nowymi religiami, z tym produktem dumy i zepsucia ludzkości? Wychodziły świeże i piękne z warsztatu artysty, ale życie ich było krótkie, starzały się bardzo szybko, aby w końcu stać się przedmiotem ogólnej pogardy. Nasza religia nie okazywała z powodu ich egzystencyi żadnego wzruszenia; powiedziała tylko spokojnie: „Przychodzicie zapóźno; ludzie, pragnący być religijnemi, zwrócą się do mnie, a nie do was“.

Starożytność stanowi najważniejszą sławę religii — ona jest także dowodem jej boskości. „Przecież“ dodaje się nadto „nasza religia uległa zmianie“. Co chcecie przez to powiedzieć? Że religia podobna jest do drzewa co zmienia liście, a rozwija pień? „Ach, wasza religia zmieniła się, nie jest ta sama, co z początku, już dawno nie jest religią patryarchów, proroków, apostołów, nie jest religią pierwszych wyznawców Kościoła, nie jest tą samą, która dotykalnie nosiła znamię niebieskiego pochodzenia; namiętności ludzkie, a przedewszystkiem interesy duchowieństwa, dalej wieki ciemnoty i barbarzyństwa, a w końcu czas pożerający wszystko, pochłonął i religię“. Ale, cóż chcecie znowu przez to powiedzieć? Bóg, sprawca religii miałżeby ją wydać na łaskę i niełaskę ludzi? Czy Bóg może sobie samemu zadać kłam? Ząb czasu rozgryza dzieła ludzkie — ale czy to samo może stać się z dziełami Bożemi? Spojrzmy na słońce, czy ono trawi się samo w sobie? Spojrzmy na wiosnę, przynosi nam zawsze kwiaty, tak jak jesień owoce. A Bóg miałby swoje najznakomitsze dzieło, to jest religię, dzieło, na którem jego zewnętrzna chwała i cześć polega, pozostawić bez opieki? Czy może Bóg tak postąpić ze swoim dziełem, jak niezadowolony mistrz, który nieudane dzieło wyrzuca z warsztatu, nie chcąc go więcej mieć na oczach? To byłoby niegodnem Boga. A czy Chrystus Pan nie powiedział: „Na tej opoce zbuduję kościół mój; a bramy piekielne nie przemogą go?“ [1]). Czy nie dał obietnicy: „A oto ja jestem z Wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata?“ [2]). A potem dodał: „Pocieszyciela ducha prawdy zeszlę wam, tego słuchajcie?“ I czy nie widzicie kościoła stojącego, jak żołnierz, gotów do walki? A jeśli kiedykolwiek jaki złoczyńca poważył się niegodną ręką dotknąć świętego skarbu od Pana objawionej prawdy, złożonej w Piśmie Świętem, czy Kościół nie rzucał klątwy na niego? Kościół nie uląkł się żadnej ziemskiej potęgi, nie ukorzył przed ża-

[1]) Mt. XVI. 18. [2]) Mt. XXVII. 20.

dną polityką; on nie zmieni jednego wyrazu w wyznaniu wiary, ani jednej zgłoski w Dekalogu! Widzicie, że Kościół zamiast zmienić jedno słowo w wyznaniu wiary, wyrzekł się raczej najwspanialszych zdobyczy na wschodzie! Przeniósł z ciężkiem sercem stratę Anglii, a nie wystąpił przeciw świętości Dekalogu. Przed Cezarem może to być poszczególna jednostka, lub naród cały, czołgają się w prochu poeci, filozof staje się Sofistą, mowca sprzedaje uczciwość za pieniądze, Kościół jedynie rządzi królami i narodami, on tylko zawsze jednaki, zawsze ten sam, czy w czasie pokoju, czy krwawego prześladowania. On zawsze niezmienny, czy to w ramionach przyjaciela, czy śmiertelnego wroga, który pocałowaniem truciznę zaszczepia. O jego podnóża, niby o skałę fale morskie, rozbijają się pochlebstwa i groźby, a on je cofa mówiąc słowami poety „ty nie pójdziesz dalej". Wiecie zatem, pobożni słuchacze, komu należałoby uczynić zarzut zmienności? Naszym biednym zbłąkanym braciom, którzy pozostawiając każdemu swobodę w tłomaczeniu biblii, pozwalają tem samem tworzyć sobie religię podług własnego upodobania. Ale nie czyńcie tego zarzutu; Pobożni Słuchacze naszej świętej wierze, bo to jest wiara całego katolickiego świata, wiara apostołów! Wsiądźcie na okręt, zróbcie podróż naokoło ziemi, a w którymkolwiek zakątku ziemi spotkacie katolika, usłyszycie to samo wyznanie wiary, ten sam Dekalog, poznacie te same święte sakramenta. I owszem zwracajcie się zawsze o pomoc do przeszłości, nie boimy się tego! Jeśli zdołacie wskazać gdzieś artykuł wiary nie należący do naszego powszechnego wyznania, odrzucimy go natychmiast jako świętokradzki. Katolik poddaje swoją wiarę tylko Bogu, nawet Kościół sam, chociaż nieomylny, nie

tworzy sam prawdy, tylko ją ogłasza. Katolik zależy tylko od nieba, zachowując przytem w zupełności swoją świętą wolność. Spodziewam się, że nie jeden na to odpowie: „A jednak przecież nasza religia odmieniła się". Jak dalece? Może o tyle, że obrzędy i ceremonie nie są teraz te same, co dawniej?

Czy może powiecie, że prawa kościelne, chociaż święte, przystosowały się z biegiem czasu do potrzeb ludzkich? To chętnie przyznaję. Dodam nawet, że pewne zwyczaje i prawa kościelne mogą być także i teraz zmienione; do tego Kościół ma prawo. Zewnętrzna forma nie jest przecież religią, ona jest tylko jej wierzchnią szatą.

Jeśli włożycie nową suknię, któż powie, że osoba wasza zmieniła się? Niewątpliwie – w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, gdy musiała kryć się w katakumbach, nie miała religia tego blasku, którym otoczyli ją królowie, jako wierni synowie Kościoła – na tron wyniesiona, została jednakże zupełnie tą samą co dawniej.

Przypatrzcie się królowi lasów, w którego cieniu wędrowcy od wieków szukają ochłody i spoczynku! W każdym roku zmienia on swoje liście, swoje kwiaty; gałęzie jego rozwijają się coraz więcej, a jeśli burza złamie jeden z konarów, wyrasta natychmiast nowy; istota drzewa nie ulega przemianie, roślina jest zawsze ta sama. Tak samo rzecz się miewa z religią. Siła piorunu, topora, czas wreszcie może ten stary dąb o ziemię powalić; ale drzewo kalwaryjskie nie obawia się burzy piorunów. ani wściekłości ludzkiej, bo ma zapewnienie nieśmiertelności i owoce swoje rodzić będzie, aż do skończenia świata.

Jaka to pociecha dla nas, że nasza religia zawsze

po wszystkie czasy i na wszystkich miejscach jest jedna i ta sama!

Chmura błędu, uprzedzenia czy przesądu może zaćmić chwilowo Twoje oblicze, ale Twego blasku zmniejszyć nie zdoła! Coby się stało ze światem, gdyby słońce naraz zgasło! Jakiż smutny obraz przedstawiłby się naszym oczom? Ale o ileż smutniejszy, straszliwszy obraz świata, pozbawionego naraz religii? Jakaż ciemna noc, jaki przerażający chaos! Dlatego o światło niebieskie, przyświecaj i nadal naszej płanecie, niechaj ludzkość chodzi i nadal w jasności; o pochodnio niebieska, przyświecaj przedewszystkiem naszej ojczyźnie, bo chociaż znajdą się źli ludzie, Twojej jasności nienawidzący, nikt nie jest wstanie zamknąć oczu na światło Twoje. Racz im świecić jeszcze żywszym i jaśniejszym płomieniem, i pomścij przez to na nich tę niewdzięczność!

A teraz zwrócimy się do innego zarzutu. „Religia“ powie ktoś z nas, „przyniosła wprawdzie na ziemię wiele światła; oddała pewne usługi społeczeństwu ludzkiemu i za to winniśmy jej wdzięczność. Ale dzisiaj cywilizacya już bardzo wysoko stoi, pojęcia prawa, słuszności i porządku są ogólnie uznane i wysoko rozwinięte. Przez naukę zdobyliśmy własne światło, oświata stała się ogólną, a to wszystko zastępuje nam teraz tę moralną podporę, jaką niegdyś stanowiła religia“. Zdawałoby się, że mowa tu o starym wiernym słudze, którego wierność i usługi się ceni i chwali, ale pomimo tego — oddala. Ale idźmy dalej. Już bardzo wiele, że uznajemy dobrodziejstwa i usługi religii — no ale jakże ich nie przyznać? Są za wielkie i za potężne, a nadto tak ich wiele! Gdy świat pogański upadał pod ciężarem występków i blizkim był śmierci, zionął Chrystus oddechem miłości

na tego trupa i wtedy zstąpiła z wyżyny Kalwaryjskiej między ludzi miłość. Gdy barbarzyńcy niby rwący potok górski zalali obszary greckorzymskiego świata, ruinami znacząc ślady swego pochodu, zatrzymał ich krzyż. Gdy Mahomet postanowił podbić świat dla półksiężyca i szedł pewien zwycięstwa na zdobycie świata, znowu krzyż stanął na jego drodze, a klęski pod Poitiers, Nawarin, Grenadą, zatamowały jego zwycięski pochód. Gdy walki domowe rozrywały naszą ojczyznę, religia łagodziła nienawiść, skłaniała serca do zgody, niby rozjemca, ukazujący się nagle z różdżką oliwną między szeregami walczących. A jeśli tam i ówdzie mieszała się w sprawy państwa, to jedynie, aby stać się postrachem tyranów, aby bronić uciśnionych ludów. Ale poco wyliczać jej dobrodziejstwa? Każdy je przecież zna. Dlaczego zatem chcemy wygnać tę dobrodziejkę ludzkości?

„Dziś mamy naszą własną cywilizacyę“. Ale czy może z tą naszą cywilizacyą jesteśmy mniej zepsuci? Czy może się nasze stulecie nazwać „stuleciem sprawiedliwości?“ Czy można je nazwać stuleciem wielkich charakterów, męzkiej cnoty, dobrych obyczajów? Jeśli zbadamy z blizka nasz wiek, to będziemy musieli przyznać, że kultura i poczucie prawa nie idą w parze. „Ale rozszerzyliśmy wszędzie ideał porządku społecznego“. Jednak zapytuję, czy przestępstwa zmniejszyły się przynajmniej na liczbę? Nie, przestępstwa rozmnożyły się i napełniają samych sędziów przerażeniem i grozą. „Pochodnia naszego ducha wysyła światło wszędzie!“ Tymczasem zdajemy się nie dostrzegać, że jest to tylko światło nafty.

„Nasza wiedza“. Jaka? Czy ta, która rozbija społeczeństwo, twierdząc, że człowiek jest zwierzęciem i zrzuca z ludzi wszelką odpowiedzialność! O Panie, nie odwracaj

swego oblicza od nas, aby nas pozostawić samym sobie, nie zostawiaj nas na łup własnej słabości! Panie, pozostaw nam Twoją religię, pozostaw, niech ona nam ogłasza, że jesteśmy wszyscy braćmi, dziećmi jednego ojca! Zostaw nam religię na otarcie łez, na ulgę w boleści! Zostaw i dlatego, aby nas podniosła z prochu ziemskiego i wyzwoliła z pęt ziemskich!

Inny jeszcze zarzut powstrzymuje ludzi szczególniej młodzież od religii. Mówi się, że religia jest wrogo usposobiona względem postępu, że jest nieprzyjaciółką wiedzy, a nadewszystko wiedzy nowożytnej i jej postępów.

Moi bracia! Był czas, kiedy mówiono o wolności: „Ile to zbrodni popełniono w imię wolności!“ Dziś możnaby powiedzieć znowu do młodzieży i ludu: „Ileż kłamstw podaje się wam pod napisem „postęp!“ Ale mówmy poważnie. Jest trzy rodzaje postępu: postęp materyalny, intelektualny i moralny. Czy religia sprzeciwia się postępowi materyalnemu? Cóż mają do dogmatów koleje żelazne, telegrafy, gaz, albo elektryczność? Przecież biskupi chętnie spieszą z błogosławieństwem kościelnem, poświęcając wszelkie urządzenia, oparte na postępie powyższych gałęzi techniki. Czy religia jest wrogo usposobiona dla postępu? Nie byłże jej założyciel sam robotnikiem? Czy religia nie uczy robotnika kochać pracę? Anglicy, którzy chyba rozumieją się na materyalnem postępie umieścili z okazyi wielkiej wystawy światowej 1851 r. na najwyższej kopule kryształowego pałacu napis: „Chwała Bogu na wysokości“.

Zastanówmy się, czy religia nie jest chętna postępowi duchowemu. Jakże można coś podobnego twierdzić. Religia nie jest niczem innem jak tylko światłem nieskończoności. Kto śmiałby zaprzeczać, że ewangelia nie

była pierwszem słońcem ludzkości? Żaden z Was nie zapomniał doniosłych słów wielkiego myśliciela: „Mała wiedza oddala od Boga, wielka do niego prowadzi“. A Newton, który był mędrcem, przyznajmy, odkrywał pobożnie głowę, ilekroć słyszał wymawiane imię Boże.

I znowu mówi się, że religia tamuje postęp sztuki! Nasza ojczyzna protestuje temu uroczyście, wskazując obrazy Fra Angelico, Perugina i tysiąca innych; pokaże nam nieśmierielne dzieła Michała Archanioła, Canovy, a melodyjne tony Rossiniego zabrzmią nam w ucho słowy: „Posłuchaj i patrz, jakąto przeciwniczką sztuki jest religia“. Idźcie do Rzymu, tam właśnie i to w Watykanie zobaczycie najpiękniejsze muzeum na świecie.

Byłażby religia może nieprzyjaciółką moralnego postępu? Czy nie Chrystus właśnie położył podwaliny moralności, mówiąc: „Bądźcie doskonałymi, jako ojciec wasz niebieski doskonałym jest?“ [1]). Co za wspaniałe słowa! Czy potrzeba więcej, aby niebo stąpiło na ziemię, jeśli przyjmiemy to zaproszenie ewangelii? O wy, którzy kochacie postęp, zechciejcie przystąpić do naszych świętych, tu znajdziecie mężów postępu, którzy jak św. Wincenty de Paulo, nie posiadając sami ani halerza miliony rozdają między biednych!

Czy religia sprzeciwia się wiedzy? Ale proszę się tylko zastanowić, ile wielkich ludzi przysporzyła wiedzy religia? Jak można obwiniać religię o niechęć dla nauki, czytając w historyi takie imiona, jak Kopernik, Galileusz. Volta, Cuvier, Kartezyusz i tysiące innych?

„Ale nie zaprzeczycie“, natrąci ktoś, „że religia obawia się postępów umiejętności nowożytnych“. Niby

---

[1]) Mat. V. 48.

dlaczego? Może dlatego, że jedna prawda mogłaby przeczyć drugiej? Postępujecie dalej bez obawy na drodze odkryć ku chwale naszej ojczyzny; dlatego użyczył wam Bóg rozumu! Jakto? Ten, który światło stworzył, miał by się światła obawiać?

„Jednakże religia każe uznać tajemnice, jakich umysł ludzki przeniknąć nie może, a nie dozwala nauce zbadać je i dociec". Ale jeśli wolno zapytać, czy jest choć jedna umiejętność wolna od tajemnic? Jakże możnaby przyjąć religię bez tajemnic? Smutna ta religia, którą oko ludzkie przejrzeć i zbadać potrafi! Tajemnice mieszkają w nas samych, wokoła otacza nas świat cudów niezbadany, a religia miałaby nie mieć tajemniczości? To już wystarczyłoby, aby ją odrzucić, jako dzieło ludzkie. Przypatrzmy się bliżej tajemnicom naszej religii: Bóg staje się słabą dzieciną, potem umiera na krzyżu, aby świat zbawić; co to za cud miłości! Jakie wielkie, jak słodkie są tajemnice naszej religii? O dusze pragnące miłości i prawdy, przystąpcie do tego cudownego źródła, ono was napoi, ono was ochłodzi!

Wielu zbliżyłoby się do religii, gdyby ich nie powstrzymywały inne względy, a wiecie jakie? Uprzedzenia polityczne. O tem natychmiast pomówimy.

II. Rzeczywiście wielu zajęłoby inne stanowisko względem religii, gdyby im polityczne przesądy nie stały na przeszkodzie; twierdzą, że wolności politycznej nie można z religią pogodzić, bo ta ostatnia jest podporą tyranii.

Po pierwsze, musze Wam powiedzieć, że religia i polityka muszą być od siebie oddzielone i nie wolno tych dwóch pojęć mieszać. Jeśli to zrozumiemy, kto śmie powiedzić, że religia służy celom despotyzymu? Prawda, Chrystus powiedział: „oddajcie co cesarskiego

cesarzowi, a co Boskiego Bogu!" A któż jest tym cesarzem ewangelicznym? Każda władza, jakiekolwiek nosi imię; dlatego poleca religia szacunek dla autorytetu. Religia ma nie znosić wolności? Jakże to być może, wszak religia i wolność, to rodzone siostry. Religia i wolność rodziły się na drzewie krzyżowem. A gdzie była wolność przed Jezusem Chrystusem? Czy była w Rzymie? Owi wielcy patrycyusze byli często tylko tyranami, a trybunowie stali się jeszcze nieznośniejszymi despotami. Może znajdziemy ją w Atenach? Tam wspierała się na ostracyzmie. A Sparta? tam wszyscy obywatele byli tyranami i mieli swoich helotów. A wszyscy razem, Ateńczycy, Spartanie, Rzymianie byli niewolnikami idei państwa. Jezus Chrystus nauczał dopiero, że wszyscy mamy wspólnego ojca w niebiesiech, i wszyscy jesteśmy wobec niego jednakowo uprawnieni. On jest twórcą państwa równości i wolności, i prawdziwy chrześcijanin nie ma nigdy duszy niewolnika. Czy święty Piotr miał duszę niewolniczą? Ten ubogi rybak, który wobec swoich sędziów wyrzekł słowa: „Zabiliście sprawcę żywota" [1]). A święty Paweł miał duszę niewolniczą, który nie chciał przyjąć wolności z rąk pisarza miejskiego, lecz zarządał, aby sami sędziowie osobiście mu wolność oznajmili, i przyszli ci, wahając się i drżąc! Nie mieli niewolniczej duszy także i ci święci, którzy zawsze ujmowali się za sprawą ludu, i niejedną naukę dali książętom i królom. Nie, w prawdziwym chrześcijaninie nie znajdziecie duszy niewolniczej; ten zawsze stoi na straży swej wolności.

Polityka się zmienia, ale wiara ma obietnicę nieśmiertelności!

---

[1]) Dz. Ap. III. 15.

„Lecz, ojcze, nie możesz zaprzeczyć, że wasza religia sprzeciwia się politycznej wolności". Jakie oskarżenie! Widzicie, to mówi nieuświadomiony lud, to mówi prasa, o tyle winniejsza, o ile uświadomiona! Niema wolności, któraby się nie zrodziła i nie wzrosła pod egidą religii chrześcijańskiej, pod rządami Kościoła i to jeszcze przed reformacyą i rewolucyą. Przypomnijcie sobie wielkie wolności, jakiemi cieszyły się ludy i miasta wieków średnich! Najmniejsza gmina miejska dwunastego i trzynastego stulecia posiada wszystko, do czego dzisiaj zdążamy, zupełną i prawdziwą demokracyę, lud który sam się rządzi, nakłada podatki, wybiera sędziów, utrzymuje własne wojska. I myślicie, że to wszystko działo się przeciw prawom religii? Nie, religia była pierwszą, która pobłogosławiła wszelką władzę, wychodzącą od wolnego ludu. Kościoł sprzyjał zawsze urządzeniom, mającym na celu pościągnąć samowolę wyższych władz.

Gdyby można przedłożyć choć jeden dekret najwyższej głowy naszej świętej religii, któryby potępiał tę formę rządu, ale nie można znaleźć żadnego; żeby wskazać choćby jeden, uchylający słuszne prawo, nie znajdziemy żadnego. Szukajmy takiego aktu najwyższego pasterza, który potępia swobodę, zgodną z wolnością duszy, a nie znajdziemy żadnego, bo religia jest kolumną prawdy, a prawda fundamentem wolności! Dlatego to powiedział Franklin: „Strzeżcie się odbierać ludom religię, gdyż jeśli się narody od religii oddalą, wtedy same sobie ukują kajdany". A jeden ze współczesnych zauważył: „Nie zamykajcie bram świątyni! W miarę jak będziecie zamykali bramy świątyń, będziecie musieli otwierać bramy więzień i galer". Cóż

zostało z tych oskarżeń? Religia mówi do was: „ja oznajmiam wam przebaczenie i miłość; jestem waszą matką i chętnie widziałabym was w zgodzie wszystkich razem. Jeśli jednak namiętności temu przeszkadzają, polecam umiarkowanie, a po skończonej walce otrę chętnie łzy, uświęcę zwycięstwo, pocieszę zwyciężonych, otrę łzy, mam bowiem hasło, które się nigdy nie zmienia; moja chorągiew nosi jako dewizę trzy słowa wiecznotrwałe, i byłabym zdrajcą, gdybym ujęła chociażby jedno z nich; moja chorągiew nosi jako dewizę te trzy słowa: „Prawda, miłość i stąd także wolność!".

II.

Nietolerancya religijna.

Człowiek, rodzina, cierpienie potrzebują religii, i nie wolno jej odrzucać z powodu oskarżeń przeciw niej podnoszonych; albowiem gdy je dokładnie zbadamy, wykaże się wnet ich bezpodstawność. Te urojenia wylęgłe i pielęgnowane w sercach nieprzyjaciół religii, odrywają nas od macierzyńskiego serca wiary. Obaczmy i zastanówmy się, czy też i to twierdzenie o nietolerancyi naszej religii nie jest bezpodstawnym zarzutem.

Czy możecie mi z łaski swojej powiedzieć, jakie jest właściwie położenie katolicyzmu w czasach dzisiejszych? Może ociągacie się z odpowiedzią. nie chcąc obrazić prawdy; Kościół zagrożony bowiem z jednej strony czyni zwycięskie zdobycze w innej stronie i ciągle tryufuje. Położenie katolicyzmu za dni naszych, to stawienie Boskiego Założyciela przed sąd Piłata. Pewnego dnia zawleczono Jezusa Chrystusa przed rzymskigo namiestnika Poncyusza Piłata, który mu postawił pytanie: „Czy ty jesteś królem?“ [1]). A Chrystus odpowiedział mu: „Ty mówisz“ [2]), jestem królem, który panuje nad rozsądkiem, aby

[1]) Jan XVIII. 33. [2]) Tamże XVIII. 37.

go oświecić, królem, który panuje nad wolą, aby ją do dobrego kierować. Ludzie nie znali prawdy, a ja przyszedłem aby ją obwieścić“. Prokonsul powiedział na to: „Quid est veritas? Co to jest prawda!“ i nie czekając odpowiedzi, wydał go w ręce tłuszczy.

Takie jest położenie katolicyzmu w naszych czasach. Nasza religia, ta szanowana matrona, staje przed ludźmi mówiąc do nich: „Jestem królową, powinnam panować nad waszym rozumem, nad waszą wolą, nad waszem sercem. Zapominacie aż nazbyt często o prawdzie, a ja przyszłam na świat, aby was jej nauczyć“. Na to odpowiadają ludzie: „Quid est veritas!“ i wzruszywszy pogardliwie ramionami idą swoją drogą. Ale religia postępuje za nimi; widzi ona, że niewiele im brakuje, aby rzucić się w objęcia błędu i chce ich odciągnąć, przytulając do serca swego. Na wszystkie te dowody miłości odpowiadają jej ludzie: „Nie potrzebujemy ciebie, wszystkie religie są jednakowo dobre!“

I oto jest słynne słowo, które się rozeszło w najniższych warstwach ludności, i dlatego widzicie stała się niewiara tak popularną. Ale to słowo jest obelgą prawdy, bo miesza prawdę z błędem; ono jest bluźnierstwem wobec Boga, że nie posiadał dość mądrości, aby nam pewien określony sposób swojej czci przepisać i że pozostawił zupełnie własnemu uznaniu człowieka, w jaki sposób należy składać cześć bóstwu.

Ale cywilizacya ludów i chwała Boża łączą się w tym wykrzykniku: „Jeden Bóg, jedna religia!“ Aby zaś ogłosić wszystkie religie za równo dobre, należałoby nimi równo pogardzać, i postawić zasadę zgubnego zamieszania i wznieść ołtarz przebrzydłemu ateizmowi.

Argument jest bardzo ważny, ale i trudny do roz-

wiązania; postaram się z wszelką przezornością do tego zabrać!

„Wszystkie religie są równie dobre“. Kto obojętnie wyrzekł raz to pięknie brzmiące słowo, tego nie potrzeba już o nie pytać, on więcej nie myśli. Ale ja mógłbym mu zaraz dać odpowiedź: Jeśli wszystkie religie są tak samo dobre, dlaczegóż staracie się pozyskiwać zwolenników wśród nas? Dlaczego trudzicie się pozyskiwać nawet biednych synów ludu i posługujecie się przekupstwem? Jeśli wszystkie religie są dobre, to i nasza jest przecież także dobra, zostawcie nas w spokoju, niech was nasze losy nie niepokoją. Katolicyzm jest także religią; jeśli zatem dobrą jest wszelka religia, to dobrym jest i katolicyzm. Nie prześladujcie go zatem, nie starajcie się podać go w pogardę; bądźcie konsekwentni i szanujcie go!

Odnośnie do tego punktu słyszałem takie zdanie: „Wszystkie religie są dobre, wyjąwszy katolicyzmu“. Ach, wy nieszczęśliwi! Czy nie sami dajecie tem najlepszy dowód, że katolicyzm stanowi całkiem odrębną religię, że stanowi wyjątek! Jeśli go wyłączacie, to dzieje się dla tego, że się go boicie; a jeśli się go boicie, to dzieje się to dlatego tylko, że jest prawdziwy.

I to byłaby, moi bracia, jak mi się zdaje, wyczerpująca odpowiedź. Ale usłyszymy jeszcze coś lepszego. Wszystkie religie są dobre. Przedstawcie sobie olbrzymią galeryę, która nietyle zawiera kompletny zbiór wszelkich arcydzieł sztuki, ile zupełny zbiór wszelkich religii i wszelkich kultów. Jest tam Brahma obok Mahometa, Mars i Jowisz obok Lutra i Kalwina, a dalej niezliczona ilość figur kamiennych i zwierząt, słowem cały Olimp. Dobrze zatem te wszystkie formy, jakie sobie w ciągu

wieków uczucie religijne wytworzyło, są dobre; wszystkie musiały powstać, zniknąć, odnawiać się, przekształcać, aby odpowiedzieć potrzebie miejsca, czasu i ludzi, wszystkie są święte, wszystkie zasługują na naszą cześć. Jak wam się wydaje ta teorya? Byłaby najbardziej szatańską ze wszystkich kiedykolwiek na ziemi widzianych; nieda się pogodzić z żadną religią, burzy wszystkie a na tych ruinach stawia ołtarz wstrętnemu ateizmowi. Albo czy nie jest to teorya, sprzeciwiająca się zdrowemu rozsądkowi, która nadto rani boleśnie moralność ludzką a przeciwdziała uobyczajeniu ludów i wszelkiej czci Bożej?

Ona sprzeciwia się nasamprzód zdrowemu rozsądkowi.

Wszystko, cokolwiek myśl moja pojmuje, musi być prawdziwe lub fałszywe, to samo stosuje się zaprawdę i do religii. Gdyby znajdował się pomiędzy moimi słuchaczami ktoś, ktoby twierdził, że wszystkie religie są dobre, zapytałbym go: Mój bracie, owe religie, które ty dobremi nazywasz, są prawdziwe czy fałszywe? A może są między niemi niektóre prawdziwe a niektóre fałszywe? Albo może jedna jest prawdziwa, a inne fałszywe? Odpowiedz mi! Jeśli odpowie, że wszystkie są fałszywe albo kilka prawdziwych a reszta fałszywych, w szczególności zaś gdyby odpowiedział, że jedna jedyna jest fałszywa, a inne wszystkie prawdziwe, to dałbym mu odpowiedź: Ty przecież obrażasz bóstwo, nosisz na sobie płaszcz obłudy. Jeśli powie, że wszystkie są prawdziwe, to wtedy odrzeknę: Jakiem imieniem mam nazwać twoją głupotę? Bo zauważcie tylko, wszystkie religie, jakie ziemia nosi, zupełnie się ze sobą nie zgadzają; co jedna czci, druga obrzuca obelgami, komu jedna wonne sypie

kadzidło, tego rzuca o ziemię druga. Twierdzić, że wszystkie są prawdziwe, byłoby to twierdzić, że „tak“ i „nie“ to jedno, że białe jest czarne. Podług waszego mniemania można z katolikami wierzyć w kościół, a z odstępcami temu samemu zaprzeczać.

Podług nich byłoby naturalnem, wierzyć z chrześcijanami, że Jezus Chrystus jest Bogiem, a z Hebrajczykami, że jest oszustem. W najlepszym razie takie twierdzenie byłoby także głupstwem, to znaczyłoby to twierdzić, że Bóg musi przyjąć łaskawie każdy akt tych stowarzyszeń religijnych. Gdyby wszystkie były dobre, to trzebaby wnioskować, że znać Boga lub go nie znać, czcić Boga, albo szatana, albo nie oddawać czci żadnej wyższej istocie w ogólności jest jedno i to samo. Nie, wobec tak jaskrawych różnic religijnych jeszcze twierdzić, że wszystkie religie są równie dobre, znaczy to zaprzeczać Bogu, zaprzeczać prawdzie!

Trzeba być zatem bardzo ostrożnym w uznawaniu równości wszystkich religii; przypuszczenie, jakoby wszystkie zarówno były dobre, jest policzkiem dla logiki, i musimy przyznać słuszność słowom Rousseau'a, który powiedział: „Z pomiędzy tak wielu religii wzajemnie się wykluczających, tylko jedna jest dobrą“. Ta prawda jedynej religii jest wymaganiem rozsądku, a dodam także, wymaganiem ludzkiej moralności i uszlachetnienia ludów.

Byłaby to gruba pomyłka, gdybyśmy mniemali, że religia jest na to, aby służyć dla zabicia czasu, dla rozrywki lub zajęcia imaginacyi. Religia jest piecem ognistym, w którym probuje się cnotę poszczególnego człowieka, oraz całego ludu, i który nadaje dopiero charakterystyczną formę. Cnota człowieka, cnota całego narodu

niczem innem nie jest, jak czynnie stosowaną religią. Dlatego każda fałszywa dogmatyka zawiera zarodek przewrotnej moralności, a konsekwentnie zepsutego pokolenia.

Nic więcej pouczającego i przekonywującego, jak przeprowadzenie analogii między religią a historyą pewnego narodu. Na północy ludy germańskie, skandynawskie przedstawiają swoje bóstwa nie tyle w zmysłowej ile w okrutnej formie; u tych narodów znachodzimy też surowe cnoty, które dają przedziwny obraz czystości i barbarzyństwa, podobnie jak siedziba ich bogów. Rzym gromadzi w swym panteonie wszystkie występki ziemi, to też okropności jego upadku moralnego nie jest w stanie oddać ani poezya Swetoniusza, ani poważny styl Tacyta. Na dalekim Wschodzie zapanował Budaizm; ze swoją niejasną mitologią, i wstrętnym panteizmem, który pogrążył ludy indyjskie w mistyczną nieprodukcyjność, niby w zlodowaciałość śmierci. Islam wreszcie, który synom proroka obiecuje wieczny raj, pełen zmysłowych rozkoszy, nie zna obyczajności i wstydu, znikają one zewsząd, gdzie stanie noga Muzułmanina. Tak, jaka religia takie ludy! Któż miałby odwagę twierdzić, że cywilizacye wszelkie są zarówno dobre? Któż powie, że cywilizacya Indyan, albo dzisiejsza Chińczyków jest tak świetna jak starych Greków i Rzymian? Ten, ktoby się na to zdobył, zasługiwałby na wysłanie do Hotentotów, gdzie niema żadnej cywilizacyi. Jeśli więc cywilizacya jest produktem religii, a nie zawsze ma równą wartość, to musimy z konieczności wnioskować, że i religie nie są sobie co do wartości równe.

Tak więc łączy się umoralnienie człowieka z umoralnieniem ludów w żądaniu jednej jedynej religii.

Cóż mam powiedzieć o czci Bożej? Spojrzmy na Hindostan, a zobaczymy, jak czciciele bożków rzucają się pod koła wozu, aby się na cześć bóstwa dać rozmiażdżyć! Widzimy, jak w Kartaginie matka własne dziecko kładzie na ołtarzu bogów na spalenie; jak w Mekce całe hekatomby ludzi składa fanatyzm w ofierze a w zamian wysyła nam do Europy zarazę morową; jak we Francyi bogini rozumu występuje w postaci bachantki! I miałby Bóg przez te krwawe ofiary, te orgie zmysłowe odbierać tą samą cześć, co przez ofiary chrześcijańskiej niewinności, czystości; czy jedno u niego waży cnota, a nikczemność występku? Co jest godniejsze świętości Bożej, cnoty św. Wincentego a Paulo, czy niepowciągliwość jakiegoś sułtana? Ależ Bóg nie byłby ani świętym, ani sprawiedliwym, byłby obojętnym na dobro i zło! Gdyby rzecz tak się miała, to skryłbym się na pustyni, wyszedłbym na szczyt góry i zawołał: „Boże, oddal się ode mnie, bo nie chcę Boga bez mądrości, bez świętości, bez sprawiedliwości; Boga, który tem samem przypatruje się cnocie i występkowi!“ Ale poco iść na pustynię, lub na szczyt góry? Gdyby wszystkie religie były równie dobre, czyżby w ogólności mógł Bóg egzystować? Bóg obojętny na zło i dobro, byłby również obojętny względem siebie samego; istniałby jedynie chyba w naszej fantazyi. A gdy Voltaire mówił: „Bóg nie jest Jansenistą, Papistą, ani Anabaptystą“, wystawił tylko Bogu świadectwo lekkomyślności. Albowiem Bóg jest dotykalną prawdą, dlatego nie może współcześnie i w ten sam sposób uznawać prawdy i błędu; miłuje prawdę z konieczności, bo z konieczności miłuje siebie, a zaprzeć się prawdy, znaczy zaprzeć się Boga.

Obojętni wiedzą bardzo dobrze, że w dniu, w któ-

rym ich nauka zostanie przyjętą, wybije ostatnia godzina dla religii. Tymczasem nie przeczekali godziny swojego pogrzebu, aby się uwolnić od religii. Mężowie, chcący żyć podług zasad religii panującej w ich kraju, nie są ani katolikami, ani protestantami; ani żydami, ani Muzułmanami; nie podlegają oni ani prawom kościoła, ani przepisom innej religijnej społeczności. Uczynili sobie religię podług swojej woli, i obchodzą się z nią jak z suknią, którą podług upodobania można zacieśnić lub rozszerzyć; słowem religia bez życia i bez siły; inaczej stworzyli przepaść, w którą chcą strącić wszystkie religie. Jeśli wszystkie religie są dobre, to powiedzcie mi przecież, kto jest Bogiem, kogo oni czczą? Jest to Bóg nieskończony w swojej doskonałości; ale od chwili, gdy chcą zakreślić granice jego doskonałości, już zaparli się Boga. Bóg, dla którego wszystkie religie są dobre, byłby głupim bogiem, bo cóżby robił? Uznałby za słuszne właśnie to, co dla świata całego jest niedorzeczne. Poganin podniósłszy oczy do nieba, mówiłby: „Ty, co się Bogiem nazywasz, jesteś sprośnym, jesteś złodziejem, jesteś szaleńcem jak Mars, Merkury i Wenus“. „Mój Boże“, zawoła katolik z najgłębszą czcią, „wierzę silnie w twoją świętą obecność w eucharystyi, która jest przedmiotem wzdychania mojego, mojej radości, moją jedyną pociechą“. „Boże“, powie Kalwin, „ja wierzę, że nie jesteś obecnym w eucharystyi; ona jest dla mnie przedmiotem żartu i śmieszności“. A Bóg musiałby odpowiedzieć: „Macie obydwa słuszność; Wasz kult jest pełnym miłości i podziwu godnej czułości, zaliczę was obu do moich wybranych!“ „Boże“, rzeknie dziki, „jesteś tylko zwierzęciem, złożę Ci w ofierze ludzi – wielki ojcze ludzkości nie wzgardź tym sposobem mo-

dlitwy!“ A Bóg powiedziałby znowu: „Ta forma modlitwy jest wprawdzie cokolwiek twarda, ale cóż zależy na tem, przecież to tylko forma! Pobudka jest doskonała“. Widzicie, oto macie Bogu obojętnych. Czy można z dobrą wiarą przystać na podobną teoryę? Ten Bóg nie jest Bogiem niebios, lecz tyranem ludzkości; wnet zapanowałyby namiętności żadnym nie powstrzymane hamulcem, nienawiść zapanowałaby nad wszystkiem — słowem, ziemia stałaby się przedobrażeniem piekła!

I jeszcze ośmielają się ci ludzie występować i mówić z rozradowaną miną: „wystarczy być sprawiedliwym człowiekiem; reszta jest obojętna!“ Ma wystarczyć być sprawiedliwym? Jakto, czy uczciwym jest człowiek, miotający obelgi na prawdę, podkopujący moralność i rozbijający w kawałki ołtarz religii?

Ale wiecie, jak jeszcze dowodzą? „Nie jesteśmy w zupełności tego zdania, jakoby wszystkie religie były dobre; przeciwnie, wszystkie religie są fałszywe, są one dziełem ludzkiem i dlatego muszą zniknąć z powierzchni ziemi!“ Gdy w jednem mieście mówiłem pewnego dnia kazanie o tym przedmiocie, przyszedł do mnie któryś ze słuchaczy i powiedział: „Trudzicie się daremnie przekonywać nas o tem, wszyscy się na to zgadzamy, że przecież wszelkie religie są wynalezione przez ludzi i dlatego fałszywe“. Aby tym ludziom odpowiedzieć, wystarczy przypomnieć sobie, że egzystencya prawdziwej religii jest istotnym wynikiem istności Boga i egzystencyi człowieka; bo jak to wam już wykazałem w jednem z dawniejszych kazań, w najgłębszej treści istoty ludzkiej leży potrzeba kultu uwielbienia, wdzięczności i miłości ku Bogu. Za całą odpowieź na to dowodzenie, wystarczy twierdzenie faktu, że ateizm jest nie tylko występkiem,

ale absurdem. Ale zwalczajmy dalej tę ich teoryą; sprobuję wystąpić z argumentem dla wszystkich zrozumiałym. Fałsz nie istnieje sam przez siebie; czy to w sztuce, czy w nauce, wszędzie prawda z fałszem postępuje w parze; istnienie fałszu przywodzi na myśl konieczność istnienia prawdy, bo pierwsze jest tylko odwrotną stroną drugiego. Widząc tyle religii na świecie, zmusza nas sama logika do wniosku, że jedna musi być prawdziwą, a wszystkie inne są tylko przekręceniem tej jednej, jedynej. „Gdyby nie było prawdziwej religii“, powiada Pascal, stałoby się prawdziwą niemożliwością dla ludzi, fałszywe religie wynajdywać“. Jakże możnaby fałszować, co wcale nie egzystuje? Fałszuje się to, co jest uznane za dobre; a szczególniej fałszuje się to, czegobyśmy użyli, gdyby było dobre. Nie używalibyśmy fałszywych środków leczniczych, gdyby nie było dobrych; nie wydawanoby fałszywych monet, gdyby prawdziwe nie były w obiegu. Czyli sprowadziwszy to wnioskowanie na pole religii, dlatego zdołano zaprowadzić nowe religie, ponieważ ludzie byli przekonani o istnieniu prawdziwej religii. A potem, jakże zdołacie sobie wyjaśnić źródło tych najrozmaitszych kultów, uprawianych i wykonywanych na ziemi, wy przyznający się do twierdzenia, że religie są dziełem ludzkiem, że ani jedna nie jest prawdziwą? Na to daje się odpowiedź, że to prawodawcy dawni wynaleźli religię, aby dać silną podstawę porządkowi społecznemu. Tymczasem nie trudno będzie pokazać, że to jest mniemanie błędne. Nasamprzód historya zadaje kłam temu twierdzeniu. Zapytajcie historyę o twórcę wiedzy, sztuk pięknych, sztuki rzemieślniczej; na to zdoła mniej lub więcej wyczerpująco odpowiedzieć. Zapytajcie o twórcę

religii, a wtedy za całą odpowiedź wskaże wam Boga. W rzeczy samej, niechże kto ośmieli się postawić takie zuchwałe pytanie: „Kto to rozporządził, aby od tego roku, od tego miesiąca, od tego a tego dnia było bóstwo, aby mu stawiać świątynię i ołtarze?“ Nic historya na to nie potrafi odpowiedzieć. A dlaczego? Ponieważ religia początkowa od Boga samego ludziom jest dana, ponieważ jest starsza jak wszyscy prawodawcy, jak wszelkie zwyczaje, i przez podanie szczepiono ją dalej, aż się rozszerzyła po całym świecie. A jeżeli religia jest ludzkim, politycznym wytworem, zależnym od woli i humoru ludzkiego, skądże mogłaby pochodzić taka zgoda przekonań u wszystkich prawodawców razem, aby socyalny porządek zgodnie oprzeć na błędzie i fałszu? Że ludzie niegdyś, zanim uczyniono pewne odkrycia, żyli w wierze, że słońce obraca się koło ziemi, bardzo dobrze rozumiem; albowiem przekonanie to polegało na złudzeniu zmysłów i bez dokładnego obliczenia matematycznego nie mogło zostać wyjaśnione. Ale w jaki sposób mogła powstać podobna omyłka, aby fałszywą religię zrobić podwaliną porządku społecznego, który ma na celu nałożyć pęta namiętnościom, ustanawiać karę za występek? Wytłómaczenie tego szczególnego faktu jest niemożliwością. Na to zupełna zgoda, że ludzkość potworzyła sobie fałszywych bogów, ale wszystkie wierzyły zgodnie w istnienie boskiej natury; a to, co stanowi zbiorowe przekonanie ludzkości całej, musi być uważane za prawo natury. A zresztą, jakże miałaby religia zostać wynalezioną, na podstawę porządku społecznego? Dotąd zawsze ludzie wierzyli, że fałsz sam w sobie jest zgubny, a tylko prawda zbawienną. I mieliby wszyscy ci ludzie mylić się! Obłęd tylko wykształcił sumienie

ludzkości, nauczył ją odróżniać prawdę od fałszu. Widzimy także, że ilekroć zmysł poświęcenia, miłość, cnota obywatelska wśród ludu znikają, lud ten chyli się ku upadkowi; jakże wytłómaczyć ten fakt?

Ale słyszymy dalej: „Prawda, że prawodawcy wynaleźli religię, aby porządek społeczny oprzeć na pewniejszych podwalinach; nie zapominajmy zatem, jeśli chodzi o porządek, to religia nie dla wszystkich, tylko dla ciemnej masy ludu jest potrzebna“. A dlaczego to? Bo lud jest nieświadomy i dlatego nawet błąd przyjmuje z dobrą wiarą. Ale my, my oświeceni, wiemy, że religia jest ludzkim wynalazkiem, i nikt nie może nas zmusić do jej przyjęcia“. Dla takich uczonych niema żadnego zobowiązania moralnego, a sumienie jest dla nich tylko czczem słowem. Ci ludzie robią wszystko, co się im podoba, powstrzymuje ich tylko urząd policyjny. Gdy w starym Rzymie uczeni przestali wierzyć w bóstwo, sprzykrzyła się religia prędko i ludowi, wpadł w sceptycyzm i to dokonało ruiny tego wielkiego narodu.

„Ale ojcze“, słyszę niektórych, „jeżeli usiłujesz dowieść, że twórcą religii jest Bóg sam, to jakże on może dozwolić na powstanie innych religii, które często przeciw niemu walczą i gnębią wyznawców jego religii?“ Mój bracie, kimże jesteś, jeśli czynisz podobną wzmiankę? Czy należysz może do tych, którzy przyznają Bogu moc i siłę stworzenia świata, a gdy go już raz stworzył, zaprzeczają mu władzy mieszania się w sprawy ziemskie? Ale, jeśli ty odmawiasz Bogu mocy tworzenia cudów, jak możesz mu wyrzucać że tych cudów nie działa? Ale może należysz do tych, którzy wierzą w nieograniczoną potęgę Boskiej Opatrzności? Jeśli tak jest, to twoje żądanie czynnego wystąpienia Boga w celu wy-

tępienia błędu, jest żądaniem despotyzmu i niewolnictwa dla ludzi. Bóg inaczej na nas patrzy; on szanuje naszą wolność i raczej pozwala się obrażać, niż miałby tę ukrócić! Dlatego właśnie powstały fałszywe religie. Powstaje się na Kościół, jeżeli chce kłaść tamę rozszerzeniu fałszów; ale co jest większą nietolerancyą, czy usiłowanie i dążność do zachowania prawdy i przeszkadzanie rozchodzeniu się błędów, czy też zgniecenie błędu zaraz w zarodku jak wybyście chcieli? Szczególny liberalizm, który występuje do walki za fałszywe religie, a z drugiej strony nie może Bogu przebaczyć, że dopuszcza do egzystencyi tychchże! Bez wątpiena, gdyby Bóg jak nieubłagany despota panował nad myślami ludzkiemi, gdyby zesłał błyskawice i pioruny na głowy dysydentów, nikt nie mógłby wątpić o jego panowaniu, ale w tym wypadku nie bylibyśmy niczem innem, jak niewolnikami pozbawionymi własnej woli. Nie bluźnijmy przeciwko Bogu! Nasza niepewność pochodzi stąd, że nie znamy szacunku winnego dla wolności ludzkiej, a przedewszystkiem nie jesteśmy w stanie zgłębić wielką i głęboką tajemnicę miłości Bożej.

II. „Ale ojcze, zostaw już w spokoju te argumenta, odnoszące się do fałszywej religii". Dlaczego? „Gdyby tylko jedna religia prawdziwą była, to wszyscy, którzy poza nią stoją, musieliby z konieczności pójść na potępienie. A to byłoby przecież nadto smutne". Ale czy nie wiecie, że ten wniosek wypływa koniecznie ze słów Chrystusa i z nauki apostołów? „Kto nie odrodzi się z wody i z Ducha świętego", powiedział Boski Odkupiciel, „nie może wejść do Królestwa niebieskiego". „Ja jestem drogą, prawdą i żywotem"; kto nie pójdzie tą drogą, nie może być zbawionym. A św. Piotr odpowiedział żydom, którzy go pytali: „Co mamy czynić?" „Czyńcie pokutę i każcie się ochrzcić"; a więc znowu bez chrztu niema zbawienia.

„Przecież ta nauka jest okrutna!" Odpowiadam na to: Czyście ją zrozumieli? Pewnego dnia spotkała pewna poganka człowieka, który jej powiedział: „Poza prawdziwą religią niema zbawienia. Gdzie może być mój biedny ojciec, który niedawno umarł? W „piekle", odpowiedział ów człowiek. Ale on był przecież tak dobry, tak dobroczynny, tak pełen litości". „W piekle!" „Dobrze zatem", odpowiedziała dzika, to i ja pójdę do niego do piekła". Czy ów człowiek powiedział tej nieszczęśliwej prawdę? Nie, zaiste nie! Prawdziwa religia, tak dobra, jak Bóg sam dobrym jest, ma wzgląd na dobrą wiarę człowieka. Dziecię heretyka albo schyzmatyka, które otrzymało chrzest święty w sposób przepisany, należy do Kościoła, i gdyby zaraz po nim umarło, wprowadzą anieli duszę jego do nieba. Przypuściwszy, że w tej dobrej wierze wzrosło i nigdy nie wątpiło o prawdzie swojej religii, a zawsze było gotowe, oddać Bogu, czego Bóg od ludzi wymaga, jeśli nadto zachowało swoją niewinność, a straconą znowu przez żal odzyskało, należy również do Kościoła i wywalczy zbawienie swojej duszy. Niewierny, słyszący o Jezusie Chrystusie, nie mający nikogo, ktoby mu drogę zbawienia otworzył, należy także do kościoła, jeśli obudzi w swem sercu żywe pragnienie prawdziwej wiary. Inni, którzy o Chrystusie nigdy nie słyszeli, ale którzy wiernie przestrzegają prawa natury wyrytego w każdej ludzkiej piersi, a którzy przy tem okazują zupełne poddanie się woli Bożej, tacy noszą w swem sercu pragnienie i zdolność odrodzenia się, której użycza chrzest, i nie będą przez Boga skazani

na potępienie. Raczej ześle im Bóg z nieba anioła swego, aby im otworzył drogę odkupienia.

„Ale ojcze, któż jest zatem właściwie wykluczony z Kościoła?“ Ten, który go nie zna, ale przez swoje życie czyni się niegodnym poznać go; kto go zna, ale się z nim nie jednoczy; kto się z nim zjednoczył, ale nie wypełnia jego przykazań. Wykluczeni są zatem wszyscy ci, którzy przez swoją własną winę pod jego opiekuńczym dachem nie przebywają.

„Jeśli człowiekowi zdaje się, że znalazł prawdziwą religię, wtedy staje się prześladowcą innego wyznania, a to jest fanatyczna nietolerancya“. Nie istnieje zapewne wyraz, któregoby tyle nadużywano, co wyrazu „nietolerancya“. Są trzy rodzaje tolerancyi: tolerancya obywatelska, osobista i teologiczna. Nie chcę mówić o tolerancyi obywatelskiej; Kościół wypowiedział już o tem swoje zdanie. Tolerancya osobista polega na miłości bliźniego, a ta miłość jest zasadniczą nauką naszej religii. Naturalnie, że religia musi, jak każde stowarzyszenie, mieć prawo występować przeciw wykroczeniom; ale zawsze poświęca sprawiedliwość słuszności. Jeżeli kiedykolwiek zaszło nieporozumienie w tej materyi, religia boleśnie to odczuła i gorzko opłakała. Małe to duchy, które obwiniają naukę chrześcijańską o nietolerancyę. Ile to popełniono zbrodni w imieniu wolności, ale czy chcielibyście obwiniać o to wolność? A ileż zbrodni popełniono w imię postępu; nikomu nie przyjdzie do głowy jednak walczyć przeciw postępowi. Te wszystkie oskarżenia, jakie czytamy w dziennikach, nie mają żadnych podstaw, a powtarzane najczęściej na religię za innemi. Religia katolicka, Kościół mają wstręt do krwi. Kościół jest oblubienicą Jezusa Chrystusa, który za nas umarł na krzyżu i żadnej innej krwi nie przelał, krom swojej własnej.

Tolerancya religijna polega na tem, aby Konfucyusza, Chrystusa, Mahometa postawić na tym samym ołtarzu. Taka tolerancya byłaby przecież niczem innem, ja tylko obłudnem czci okazywaniem i to właśnie czci tego rodzaju, która w swej objętości zawiodła zaprzeczenie wszelkiej czci. Zwykle mało mamy przychylności i zaufania do tych, którzy się nie przyznają do żadnej partyi, nawet i w rzeczach ziemskich neutralni, nieczynni, mało mają przyjaciół. I w rzeczywistości, neutralność jest całą wiedzą egoistów, a przywilejem ludzi niezdatnych do niczego. W Atenach karano podczas rewolucyi ludzi, nie przystępujących do żadnej partyi, i podobna wstrzemięźliwość nie zasługiwała na nagrodę. A więc nie dozwolono nam zostać indyfferentami w rzeczach społecznych, nie wypada zatem uważać obojętności dogmatycznej za przywilej wiedzy, i udawać że oświata obojętność za sobą pociąga. Jeśli czujemy się obowiązanymi w polityce, w filozofii oświadczyć za tem, co białe lub czarne, czy możemy być niezdecydowani, jeśli chodzi o Boga i o religię? Możemy mówić, co chcemy, nasza powściągliwość w tej materyi będzie obrazą Boga, obrazą prawdy. Miejcie zatem staranie o to, aby Waszego ducha nie opanowała podłość; postarajcie się o tę szlachetną odwagę swoich przekonań, która jest własnością wielkiej duszy. Bądźcie zawsze gotowi walczyć o tolerancyę osobistą, ale nigdy o teologiczną.

Na miejsce tolerancyi teologicznej posiądźcie tę tolerancyę, która nas będzie popychała do miłości prawdy i to nie połowy prawdy, o której mówi prorok, ale prawdy całej, która nigdy się nie ugnie, paraleli z fałszem

nie znosi, a przy słuszności twardo stoi. Tolerancya osobista skłania nas do obowiązku miłości, nie tej jakiejś nieokreślonej, bezbarwnej, ale do miłości chrześcijańskiej, co duszę miłuje, tej miłości która biednemu upadłemu chętnie pomocną podaje rękę, która w zbłąkanym nie widzi człowieka, ale anioła, jakim tenże może się stać. Co do mnie, wierzę w to całą siłą mojej duszy, całą siłą mego serca, że nietolerancya religijna nie zapuści nigdy korzeni w naszym kraju. Wierzę z całej duszy, wierzę z całej siły mojego serca, że jeden tylko jest król, który może rozkazywać sumieniom naszym, a tym jest król królów, pan panów! Wierzę, że żadne więzienie nie otworzy się przed nami, krom więzienia uśpionego sumienia! Wierzę, że niema nigdy innej przyczyny wiecznego trwania przy wierze, jak tylko wzniosły powód bojaźni i miłości Bożej!

III.

Przyczyny niewiary.

Człowiek, rodzina, cierpienie potrzebują religii i jest lekkomyślną rzeczą pozbywać się religii z powodu zarzutów jej czynionych, bo te ostatnie nie wytrzymują krytyki; to są wszystko przesądy i uprzedzenia, które nieprzyjaciele religii rozszerzają, aby nas wyrwać z jej macierzyńskich ramion. Taki zarzut skierowany przeciw jej mniemanej nietolerancyi nie ma podstawy; bo dla błędu niema tolerancyi, tylko dla osoby, a ta ostatnia tolerancya nakazuje religię, ta sobie jej życzy. Skądże mogą zatem pochodzić te zarzuty, te uprzedzenia? Przed dziewiętnastu wiekami stało naprzeciw siebie dwóch ludzi, jeden pozbawiony zupełnie wszelkiej ziemskiej potęgi, ale pełen boskiej siły, drugi przedstawiciel ziemskiej władzy, ale pozbawiony przekonania, energii: Jezus Chrystus i Piłat; żywy kontrast prawdy i błędu, odwagi i niezdecydowania. Jezus Chrystus sprawca i poświęciciel wiary, przyszedł, aby złożyć świadectwo prawdzie; a Piłat zapytał go tonem zdradzającym wątpliwość i ironię: „Cóżto jest prawda?“ Jezus i Piłat są obaj wyrazem przeciwieństwa między fałszem i prawdą zarówno w swojem stuleciu, jak i po wszelkie czasy.

Niewiara! Oto macie powód, macie twierdzę, która broni się przed wiarą. Niewiara rozszerza wszędzie swój trujący oddech; głośno i odważnie podnosi straszliwy głos. Zdaje się, jakoby przyszedł koniec chrześcijańskiemu światu, kiedy to, jak św. Paweł przepowiedział, niewiara zada cios najsilniejszy wierze chrześcijańskiej. Ona to usadowiła się w Europie, rozszerza się wśród niezliczonej ilości ludzi, którzy pędzą żywot nie okryci dobroczynnym cieniem religii; chociaż jest ona bez wątpienia masą bezsilną, aby mogła zburzyć dzieło Boże, ale zawsze jest niebezpieczną, z powodu burz, jakich jest przyczyną. W tej niewiernej masie trafiają się tacy, którzy zaprzeczają prawdzie, jaśniejszej od słońca; ci mówią nawet, że niema Boga. Niegdyś byli rzadcy tacy ludzie; uważano ich za potworów ludzkości; ale dziś rozmnażają się oni w sposób zastraszający. Inni znowu godzą się na istnienie Boga, ale zaprzeczają mu jego najpiękniejszych przymiotów, sprawiedliwości, dobroci, opatrzności. Jeszcze inni nie tylko, że nie uznają chrześcijańskiej prawdy, ale gorzej niż poganie żadnego kultu nie uprawiają. A wszyscy razem mają jedną ideę wspólną, nie uznawać żadnej religii. Ci uważają religię za przesąd, który można darować niewiadomości naszych przodków, który dziś jednak nie ma żadnego sensu. W ich oczach człowiek wierny religii i obserwujący jej przepisy jest wstecznikiem, nie rozumiejącym tryumfów nauki i postępu wszystkich kierunków życia. Jest to wielkie zło, zagrażające rodzinie, ojczyźnie, słowem, całemu społeczeństwu. Środek zbawienny, jaki wam przeciw temu przedłożę, polega na tem, aby zbadać bliżej przyczyny tej niewary.

I. Jakie są przyczyny niewiary? Pierwszą przyczyną jest duma; duma, raczej pycha, która człowieka od Boga oddala, która go czyni bałwochwalcą samego siebie i każe mu mówić w poczuciu wielkości własnej: „Niema Boga nademnie. Moje serce do mnie należy; mogę je pokalać, jak chcę. Moje ciało jest wyłącznie moją własnością; mogę je oddać na usługi występku. Moje wargi są także tylko moje; mogę bluźnić podług upodobania. Religią jestem ja sam; precz z wyznaniem wiary, z dekalogiem i przykazaniami Kościoła!“ Pycha jest duszą tej zgubnej doktryny, która prowadzi do panteizmu i do racyonalizmu. Nie można się dziwić, że pycha jest tak skłonną do zakrywania prawdy, boć przecież ona sprawia, że sami przed sobą często prawdę ukrywamy. Nie chcę jednak nadużywać tego argumentu; mogą być niewierzący, którzy nie są pysznego serca; w każdym razie śmiem twierdzić, że mniej byłoby niewierzących, gdyby było mniej pysznych. Niewiara jest buntem woli ludzkiej przeciw autorytetowi religi, i człowiek pewnie nie odmówiłby wiary w chrześcijańską prawdę, gdyby nie miał tak wielkiej wiary w samego siebie. Łatwo jest zatem wyprowadzić pochodzenie niewiary od pychy; jeden fakt jest logicznem następstwem drugiego.

Co było przyczyną buntu pierwszych naszych rodziców? Chcieli tyle wiedzieć, co Bóg. Na jednem miejscu mówi św. ewangelia, że prawdy, które dla maluczkich i niemowląt są jasne jak słońce i zrozumiałe, są zakryte przed oczyma pysznych. Nadętość ducha rodzi zawsze zaciemnienie rozumu. I tak się ma rzeczywiście. Choć się nie wierzy w sądy Boże, nie uznaje nawiedzenia Boskiego, nie można przeoczyć, że duma jest obfitym źródłem wielu opatrznych czynności. Może nie-

wiele znachodzi się takich, co się przyznają do braku wiary; ale ta ich wewnętrzna dyspozycya zawiera już jądro buntu przeciwko wierze.

Skutkiem pychy jest także owa ambicya, co to chciałaby wszystko rozumieć. Przyznajemy, że to jest ofiarą dla ducha ludzkiego wierzyć w to, czego się nie rozumie; ale wszystko chcieć rozumieć, jest pretensyą pychy i ograniczonej wiedzy, bo jak Juliusz Simon utrzymuje: „małym duchom zdaje się, że wszystko mogą wyjaśnić i zrozumieć".

Ta ambicya niezależności jest dążeniem do zupełnego wyzwolenia siebie; ale to jest jedynie głupotą ze strony niewierzących; podług ich mniemania prawdy objawione są bezużyteczne. To naprawdę nie odpowiada godności ludzkiej, tylko pysze; z ludźmi jesteśmy ludźmi, ale dziećmi, jeśli chodzi o Boga.

Ostatnim skutkiem dumy jest żądza odznaczenia się. Są ludzie przerażającej prawie pychy, dla których nieznośnem jest wszystko, co inni czynią, albo mówią, oni tylko sami chcą się wyróżnić. Ci sądzą, że stoją ponad wszystkiem, co ich otacza, i dlatego zdaje się im, jakoby się poniżali, mieli sobie coś do zarzucenia, jeśli wierzą i modlą się tak jak inni. Ażeby się odróżnić od innych, ganią to, co inni podziwiają, a pogardzają tem, co inni czczą. Stoją z podniesioną głową, gdy inni klęczą, a szukają rozrywki właśnie wtedy, gdy inni się modlą. Ich cała wiedza polega na tem, aby się oddzielić od pospolitego gminu, aby każdy widział, że się od prostych śmiertelników odróżniają, że stoją ponad prostaczkami, że potrzebują już innych motywów, aby żyć po chrześcijańsku, jak świat dotąd potrzebował. Ta gorączka oryginalności jest tak silna, że nawet gdyby im

się udało stworzyć sobie religię podług swego mniemania, natychmiast porzucili by ją, gdyby zobaczyli, że ją przyjął tłum pospolity. „Duchy zarówno lekkie, jak pyszne", mówi św. Paweł „poniżają zawsze to, czego nie rozumieją".

I tak przechodzimy do drugiej z przyczyn niewiary, do niewiadomości. Nie chcę tu mówić o ludziach bez wychowania, bez wykształcenia, nie mówię o biednym wyrobniku, który zapewne swoją robotę zna dobrze, a dlatego, że kilka wierszy w dzienniku potrafii przeczytać i to często bez zrozumienia — już czuje się niejako upoważnionym wyrokować o rzeczach religii. Nie mam na myśli także owych młodzieńców, którzy uczyli się cokolwiek arytmetyki, cokolwiek historyi, trochę fizyki, trochę chemii i zabierają się do najtrudniejszych pytań religijnych z tą samą pewnością, ba, nawet z większą pewnością, niż najtęższe głowy. Nie mówię także o damie salonów, która, przeczytawszy kilka romansów, kilka dzienników mody, staje się filozofką i trudni się teologią. Takie rzeczy mogą wywołać tylko uśmiech litościwy, bo, powiedziawszy z Pascalem, aby być niewierzącym, do tego trzeba mieć umysł także. Mówię tu o mistrzach wiedzy, o profesorach. Cóż mogą wiedzieć o religii ci, którzy z taką pewnością o niej sądzą, i z taką pogardą ją odrzucają? Religia ma za sobą dziewiętnaście wieków walki, oporu, tryumfów; wszędzie rozszerzyła swoje dogmaty; największe duchy ozdoby nie mówię już ojczyzny, ale ludzkości całej, wierzyły w nię i broniły jej. Religia przetrzymała upadek państw, republik, ludów całych, została nienaruszona i niezwyciężona. Czy na dowody, jakie nam podaje religia co do istnienia bóstwa odpowiedzieli ci panowie za-

dowalająco? Czy potrafią udowodnić, że boski założyciel religii był oszustem lub fanatykiem? Czy oszukaństwo i fanatyzm postępują w sposób, w jaki on postępował? Czy wytłómaczą, w jaki sposób mogli żydzi, którzy go oddali śmierci, poganie, którzy go prześladowali, potwierdzić jego boskie cuda? I w jaki sposób było w stanie dwunastu biednych rybaków, w stuleciu największego oświecenia w państwie rzymskiem, zaprowadzić wszędzie cześć dla ukrzyżowanego człowieka i przekonać ludzi o jego bóstwie? Jakich sposobów użyli, aby skłonić tak bardzo moralnie upadłe ludy ówczesne do przyjęcia najsurowszego z praw moralnych? Niech wytłómaczą, jak mogło tyle milionów męczenników przelewać krew za jakąś chimerę? Jak mogła ustalić się dalej ta religia pomimo tylu burz, pomimo tylu przeszkód? Dlaczego tyle filozoficznych systemów nie obróciło w niwecz dzieła biednego cieśli i dwunastu ubogich rybaków? Dlaczego wreszcie czas, który wszystko burzy, nie wywarł na tę religię swego rozkładowego wpływu, ale przeciwnie jeszcze tak ją wzmocnił, że w naszem stuleciu jest pełna sił i życia?

Nie wierzcie, aby oni na te pytania odpowiedzieli! Oni znają dowody na istnienie bóstwa, ale nie na religię; oni wcale o niej nie mówią, a jeśli mówią, to dzieje się to jedynie dlatego, aby religię oszpecić. Niegdyś uczyli się czegoś o religii w katechiźmie, który już dawno zapomnieli, a od tego czasu czytywali o niej od czasu do czasu w książkach, ale nie w takich, które rzecz wyjaśniają, lecz w takich, które ją spotwarzają.

Bez wątpienia, jest wielu uczonych mężów, z rzetelną i poważną wiedzą — ci znowu oddają się wyłącznie wiedzy świeckiej i z zapałem śledzą postęp nauki;

ich zdolności duchowe rozwinęły się świetnie, przyniosły im sławę i bogactwa, ale zmysł religijny zaginął u nich; a w końcu zaszli tak daleko, że nawet nie wiedzą o kwestyi religijnej, zniknęła dla nich w zupełności. Ale rezygnując z wiary, mniemają, że zachowali prawo narzucania się na sędziów, a nawet na prawnie upoważnionych sędziów w przedmiotach wiary! niewiadomość zaś rodzi uprzedzenia, które tem są większe, im mniej się człowiek nad sprawą pewną zastanawia. Im większa zatem ich niewiadomość, tem większe przywłaszczają sobie prawa. Ktoś, nierozumiejący się na chemii, nie rozprawia o niej; obawa mówienia o czemś, czego się nie zna, tkwi mimowolnie w naszych dobrych instynktach; jest ona prawie ogólnem prawem. Ale gdy się rozchodzi o sprawy religii, rzecz ma się całkiem inaczej. Im głębsza niewiadomość, tem pewniejsza mowa, a gdy krytyk jest naukowo wykształconym człowiekiem, to dopiero mówi stanowczo, a nawet z naciskiem. Rozmawiajcie z nimi tylko o Kościele, o tradycyi, o naszych wielkich świętych, albo o wielkich doktorach Kościoła; co nam odpowiedzą? To wszystko jest przesąd, wszystko znika przed światłem ich inteligencyi! Tymto możnaby odpowiedzieć owem sławnem motto: „Zbadałem i uwierzyłem; zbadajcie gruntownie i wy także, a również uwierzycie!“

Zaraz obok niewiadomości, można postawić mierną wiedzę. Nic nie wiedzieć nie jest jeszcze najgrubszą niewiadomością, najgorzej to być fałszywie przeświadczonym, że się coś wie. Takimi są pewni pisarze naszych dni, posiadający wprawdzie pokost wiedzy, z mózgiem pełnym encyklopedycznych wiadomości i udający mędrców; ci chcą o wszystkiem wyrokować i źle używają,

raczej nadużywają swojego wpływu. O religii wiedzą tylko z jakiejś książki, która im przypadkiem w ręce wpadła, z jakiegoś dziennika, który utarte, a po tysiąc razy odparte sofizmaty powtarza i na targowisko podaje. To samo źródło ma cała antireligijna prasa, której nieszczęsny wpływ rozszerza się po wszystkie krańce świata, wciska się nawet do zacisza rodzinnego, i niestety znajduje zawsze ciekawych czytelników, a również współczujących na swoją obronę. Między wszystkiemi niebezpieczeństwami, jakie zagrażają życiu religijnemu, jest powyższe — wierzcie mi — największe; bo nigdy nie pisano i niedrukowano tyle przeciwko wierze, co za naszych czasów, i nigdy podobne płody pióra nie docierały z taką łatwością do najodleglejszych wiosek, co dzisiaj. To jest prawdziwe przekleństwo, jakie ciąży na tej ziemi; a dla nas jeszcze zgubniejsze niż dla innych narodów, bo Włosi są duchowo uposażonym narodem, a przynajmniej za taki się uważają, a jeśli sami mało mają inteligencyi, to przypisują ją przecież temu pisarzowi, którego czytają, i przywykają w końcu do tego, że tak myślą jak on.

Nie brakuje wprawdzie pisarzy, którzy bronią wiary. Ale nie do tych się idzie, chcąc poznać religię; najuczeńsi zadawalają się jakiemkolwiek czasopismem; a biedny lud? Biedny lud zadawala się najwstrętniej redagowanem piśmidłem; żyje z dnia na dzień tem, czem taki dziennik go karmi, a wierzy swojemu dziennikowi jak ewangelii, a może czasem więcej jak ewangelii! Jest to zwykła historya św. Pawła przed areopagiem ateńskim, która się ustawicznie powtarza. Kapłani opowiadają o Jezusie Chrystusie, o jego prawach, o jego dziełach o jego obietnicach, jego cierpieniach; tylko obojętny daje

taką odpowiedź, jaką dano św. Pawłowi: „Będziemy cię słuchali innym razem!“ Ci tak zwani apostołowie światła, te gwiazdy, nie znają wcale wiedzy; zadawalają się ślizganiem po wszystkiem, niczego dokładnie nie zbadają, a ta trocha wiedzy, którą mają już, sprawia im zawrót głowy i oddala ich od Boga.

Poruszyłem tutaj jeden motyw, który prawdziwie można nazwać przyczyną niewiary. Ale jest inny jeszcze gorszy. Czasami uda się odwieść niewiadomość z błędnej drogi; ale osłabieniu rozumu towarzyszy niejednokrotnie słabość woli i zepsucie serca; w tem leży trudność. Zajmijmy się nasamprzód słabością woli. Zewsząd słyszymy dziś głos niewiary; bezbożny może bez obawy wylewać swoje lekceważenie religii i tych, którzy ją ogłaszają. Ustawicznie ma na wargach tolerancyę i wolność, a kieruje swoje ciosy w samo serce chrystyanizmu. Nie wlecze się już wiary przed trybunał tyrana, nie potrzebuje ona walczyć na arenie cyrku, zato się ją wyszydza i wystawia na stokroć większe i boleśniejsze męczeństwo. Bezbożni wcale nie ukrywają swoich świętokradzkich nadziei; chcą oni obalić podstawy religii.[1]

Nie jest to z pewnością słaby charakter, który umie stawić czoło tym mowom szyderskim ludzi bezbożnych. Ale jakże żałuje biednego młodzieńca, który chce zachować wiarę wśród pokus młodości, na jak wielkie niebezpieczeństwa widzi się narażonym, na samym wstępie do życia! Widzi pobożność wystawioną na śmieszność, tych posądzonych o obłudę, którzy wiernie wypełniają swoje praktyki religijne, tak jakby to w naszych czasach był jaki interes okazywać się chrześcijaninem! Widzi bezbożność oprowadzaną w tryumfie, uważa

się ją teraz za godność, za świadectwo uzdolnienia do otrzymania pewnych urzędów! I czy ten biedny, młody człowiek zdobędzie się na odwagę, aby się okazać chrześcijaninem? Czy puści z wiatrem żarty bezbożnych? Z początku będzie się wahał ze względu na sumienie; stopniowo będzie się stawał odważniejszy, i zostanie niewierzącym nie tyle z przekonania, co z bojaźni ludzi. Widziałem mężczyzn dojrzałych, którzy stojąc przed najpospolitszym przedstawicielem władzy, usiłowali tym sposobem podnieść się w jego oczach, że byli zuchwali względem Pana Boga.

Niektórzy znowu nie okazują się chrześcijanami, bo chrześcijaństwo nie jest już w modzie; poświęcają swoje przekonanie z obawy przed słowem nagany, który wychodzi z dołu, a mianowicie bardzo głęboko z dołu. Wszystko, coby ich czyniło podejrzanymi, napędza im pełno strachu; ci duszą w sobie każde uczucie osobiste, aby się ugiąć przed opinią publiczną, tym tyranem jak go Macchiavelli nazywa. Są oni w gruncie rzeczy chrześcijanami, słyszą głos Boży, upomnienie religii, wołanie własnego sumienia; ale wszystko to znika wobec ich małoduszności i podczas gdy ich serce jest chrześcijańskie, usta są niewierne. „Słuchajcie“, tak mówił pewien filozof zeszłego wieku na łożu śmierci, „słuchajcie moje dzieci, jaką wam daję naukę: w tej chwili wyznaję przed wami, przysięgam przed Bogiem, którego mam przyjąć, przed Bogiem, który mię będzie sądzić; jeśli w słowach moich, w moich pismach pokazałem się złym chrześcijaninem, to stało się to nie z przekonania, lecz z bojaźni ludzkiej“. Iluż noszących maskę niewiary, musiałoby powiedzieć podobnie, jeśliby chcieli być szczerymi i uczciwymi!

Oto jest tchórzostwo, nawet tyle nie posiadać siły, aby sobie urobić własne przekonanie i nie zdobyć się nawet na tyle odwagi, aby je publicznie wyznać! Jakie to bolesne widzieć człowieka, który całą wieczność poświęca dla bojaźni ludzkiej!

Wy, młodzieńcy, którzy mnie w tej chwili słuchacie, którzy słusznie oburzacie się na ucisk, przeciw tyranom w mowie i piśmie występujecie, czy pozwolicie się ujarzmić? Chcecie się dać zawojować ludziom, którzyby was raczej szanowali za waszą odwagę, i dzielny opór ich szyderstwom, bo odwaga imponuje zawsze? Wy, którzy macie tak naprawdę czułe, wrażliwe serce, zrzućcie kajdany, pogardzajcie temi okowami opinii; miejcie odwagę przyznać się do tego publicznie!

Tu słyszę głos skarżący się. Jest to głos religii! Dlaczego ty płaczesz, o religio? Opłakuję synów, których mi onegdaj bojaźń świata odebrała. Synowie chrześcijańskich rodziców, mogli stać się ich dumą, i ich sławą; ale cóż, oni zapomnieli, że czuwałam nad ich kołyską, że ich karmiłam chlebem aniołów; oni nawet wymazali z pamięci swoją pierwszą św. Komunię! Mieli być moją chwałą, a zamiast tego przerzucili się na stronę moich nieprzyjaciół!

Ale niech tyrania bojaźni ludzkiej będzie niewiem jak wielka, nie zamieniłaby tylu ludzi w niewolników, nie żądałaby tyle ofiar, gdyby inne namiętności nie miały w tem udziału. Niema ani jednej cnoty, którejby nie nauczyło chrześcijaństwo, ani jednego występku, któregoby nie potępiało. Chrystyanizm mówi zawsze o umartwieniu, stawia przed nami krzyże i wymaga ofiar, jakie musimy ponosić; i tylko pod tym warunkiem przyrzeka nam prawdziwe rozkosze w tem życiu, a koronę niebieską w życiu przyszłem. Lecz mówi

się do religii: „Jesteś za bardzo surową; ustąp cokolwiek z twojej surowości! Gdybyś twoje radości, twoje niebo przyrzekała także pysznym, niepowściągliwym, gnębicielom, albo gdybyś przynajmniej znosiła w milczeniu wszelkie wybryki i nadużycia, bylibyśmy skłonniejsi do wierzenia, mniej niedowierzający". Pewien eksminister do jakiegoś świętego króla powiedział pewnego razu: „Usuńcie jedno przykazanie z dekalogu, a będziemy odmawiali wasze wyznanie wiary". Ale religia daje na to taką odpowiedź: „Jest poprostu niemożliwością, to przykazanie usunąć; prawda jest stanowcza i stała, jak Bóg i nie waha się nigdy. Albo trzeba być chrześcijaninem podług przepisu ewangelii, albo się nie jest chrześcijaninem.

Zapewne, ten zmysłowy, nieokiełzany człowiek byłby chrześcijaninem, gdyby chrystyanizm nie przepisywał umartwienia, umiarkowania; ale w tych warunkach staje się niewiernym i szemrze przeciw religii, która w jego oczach ma przedewszystkiem tę winę, że mu jego niskie skłonności wyrzuca. Przypatrzcie się tej oto damie; myśli tylko o stroju, nie zna szczęścia, ani znajduje zadowolenia w domu, niema jej przy ognisku domowem, nie wypełnia swoich obowiązków. Oddaje się hałaśliwym przyjemnościom, spieszy z zabawy na zabawę, a że już dawno sprzykrzyło jej się słuchać ostrzegającego głosu religii, oddaje się niewierze. Jaka ona głupia! Cóż przez to zyska? Czy jej dzieci będą ją więcej szanowały? Czy jej mąż będzie pokładał większe w niej zaufanie? Czy może jej dobra sława będzie przez to lepsza? Ależ ktoby mógł wierzyć w obyczajność i wstydliwość kobiety pozbawionej wiary? Moralność filozoficzna nie daje żadnej gwarancyi. — Ów dumny, ambitny człowiek chciałby otrzymać posadę, a że obecnie

czasy nie sprzyjają pobożności i wierze, a nawet podają te cnoty w podejrzenie, dlatego rezygnuje z wiary i pobożności i pokrywa swoją ambicyę płaszczykiem niewiary. I taki człowiek śmie mówić o obłudzie, a któż jest większym obłudnikiem od niego? Albo był obłudnikiem przedtem, gdy się przyznawał do chrześcijaństwa, albo jest nim teraz, kiedy uchodzi za niewierzącego. Religia potępia skąpstwo. Gdy ci, co cierpią, przyjdą do skąpego i proszą go: „Tylko mały datek dla imienia Jezusowego!" odpowiada skąpy: „Przesąd, urojenie; jestem niewierzącym, a niewiara sama przez się nie jest hojna; niewiara nie poleca wcale miłości bliźniego". Tamten człowiek znowu zrobił majątek i pomnożył go środkami nikczemnymi. Biedny robotnik, biedna wdowa, których wyzyskał, stukają do jego drzwi. Stukasz nadaremnie, biedna kobieto, to jest niewierzący, a taki niema litości; bo tylko religia nakazuje zadośćuczynienie.

Lecz nie doszedłbym do końca, gdybym chciał wyliczać wszystkie namiętności, które się pokrywa płaszczykiem niewiary; ale już z tego, co się wyżej powiedziało, można pojąć, że niewiara nie jest owocem wiedzy, lecz raczej karą za moralne zepsucia naszego wieku. „Serce przyprawia głowę o niemoc", powiedziała niegdyś pewna znakomita dama". Ta z interesu wypływająca niewiara, stara się uśpić pozorami pewność, aby ją wyrzuty sumienia nie niepokoiły; ale przyjdzie kiedyś obudzenie w pełni zwątpienia, jeśli Bóg nie zdziała cudu nawrócenia. Powiecie zapewne, ci wszyscy ludzie porzuciliby swe złe skłonności, gdyby byli przekonani o prawdzie wiary; ale gdy religia udowodniła im prawdę wiary, wtedy mówią, że to jest niemożliwe zerwać z dotychczasowem życiem. Jak serce zepsute, wynajdzie

zawsze tajemne przyczyny uznać prawdę za fałsz, tak z serca zepsutego podnoszą się te chmury, które zaciemniają słońce, i gdy serce rzuca się w ramiona rozkoszy, wynajduje rozum przyczyny, choćby przewrotne, aby serce usprawiedliwić. Tak jest, nie inne są pobudki niewiernych, jak ich własne namiętności; i właśnie dlatego pisał Rousseau: „Dajcie mi człowieka, któremu na tem nie zależy, aby ewangelia była fałszywą, to napewne będzie w ewangelię wierzył".

II. Główne przyczyny niewiary są zatem: pycha, niewiadomość, bojaźń opinii, namiętności. Rozebraliśmy je po kolei, lubo wcale się nie wykluczają, owszem mogą się znachodzić wszystkie razem w jednym poszczególnym człowieku, czyniąc wtedy niewiarę jego, stan jego duszy jeszcze więcej opłakanym, jeszcze rozpaczliwszym. Nie chcę się dalej zabawiać rozbieraniem tego przedmiotu, lub odpieraniem zarzutów; sam zdrowy rozsądek wystarczy, aby nas przekonać; ten rozsądek powiedział przez usta wielkiego myśliciela: „Tak, jak w poezyi obawiamy się łudzić, gdy nie myślimy jak inni poeci, taksamo w rzeczach wiary, obawiamy się pomyłki, jeśli nie myślimy tak jak święci".

Nieomylną podporę daje prawdzie łoże śmierci. Na łożu śmierci można się przekonać o szczerości i wartości pewnej nauki, na łożu śmierci można zmierzyć prawdę i wartość katolicyzmu a niewiary. Pytam się: Czy widzieliście kiedy katolika w godzinie śmierci wypierającego się wiary? Nigdyście tego nie widzieli. Ale odwrotnie, iluż niewiernych (i za to Bogu dziękuję) przyciskało swoje umierające wargi do tych ran świętych, iluż z głębi skruszonego serca wzywało tego, który zawsze przebacza, nawet jeszcze i w tej ostatniej chwili.

Miejmy zatem ufność w Jezusie Chrystusie, ufność w jego religii, ufność w jego Królestwie! Zaprawdę, moi bracia, pomimo olbrzymiego rozrostu, do jakiego doszła niewiara, zachowajcie zawsze waszą nadzieję, zachowajcie zawsze waszą ufność!

Przyjdzie kiedyś dzień, spodziewam się, że stanie się to niedługo, kiedy bluźnierstwo, zaparcie się religii, niewiara, ustąpią miejsca prawdzie. Aby jednak ta nadzieja nie była czczą, musimy podnieść oczy do góry! Aby powstrzymać ten potężny prąd niewiary, nie wystarczy na to siła ludzka. potrzeba tu pomocy bożej, jego potężnej łaski. Aby tę otrzymać, trzeba uciec się do modlitwy, która pozwala nam niejako rozporządzać siłami Boga, oddaje na nasze usługi całą wszechmoc Bożą. Dlatego musimy ufać i modlić się, modlić się i ufać, moi bracia!

Ale to jeszcze nie wystarcza, musimy także pracować. Musimy być nietylko obrońcami, lecz także apostołami naszej wiary. Religia w naszych czasach, jak i po wszystkie czasy, wymaga owej osobistej pomocy, którą nazywamy przykładem. Tak jest, chrześcijanie i katolicy z przekonania, musimy być chrześcijanami i katolikami także z czynu, w praktyce, a mianowicie w praktyce czynnej. Prawdziwie chrześcijańskie życie jest ze strony chrześcijanina najlepszą odpowiedzią dla niewiernego. Jakto często słyszy się słowa: „Dlaczego chcecie, abyśmy przyjęli waszą religię, waszą wiarę, jeżeli wy przy tej waszej religii, przy waszej wierze jesteście gorsi jak my?" Ach, moi bracia, ta uwaga jest aż nadto prawdziwa. Jeśli ich chcemy namówić, musimy uczynić, jak pewna kobieta, która przyszła do pewnego kaznodziei i ze łzami w oczach rzekła: „Mój ojcze, mój mąż

jest niewierny; co się z nim stanie? co będzie z synów, którzy rosną przy jego boku? Co będzie z jego duszy, jeśli go niespodziewanie śmierć nawiedzi? Proszę, poucz mię, mój ojcze, co mam począć, aby nawrócić mojego męża?“ Kapłan odpowiedział: „Moja córko, jeśli chcesz nawrócić twojego męża, to módl się najprzód do Boga, który ma w swem ręku serca wszystkich. Jeśli możesz, daj jałmużnę ubogim, aby otrzymać od Boga tę łaskę; a w końcu bądź dla męża tak miłą, tak dobrą, tak łagodną, jak sama religia, której służysz. Twój mąż nie będzie wiedy miał powodu żalić się na ciebie; od czasu do czasu szepnij mu do ucha jakie dobre słówko, które niech pochodzi więcej z serca jak z ust; te słowa musisz powiedzieć z wielką roztropnością, gdyż nie należy ci zapominać, że miłość nic nie uzyska, jeśli jest nadto niepowściągliwa. Takiem postępowaniem doprowadzisz napewno męża twojego do Boga“. W kilka lat później przyszła ta biedna kobieta powtórnie; miała znowu łzy w oczach, ale tym razem były to łzy radości. „Ojcze, ojcze“ zawołała, „jakże ci jestem wdzięczna! Mój mąż zwrócił się na drogę prawdy“.

Moi bracia, jeśli chcecie nawrócić biednych zbłąkanych młodzieńców, to naśladujcie przykład tej kobiety. Błagajcie najprzód Boga w usilnej, serdecznej modlitwie; potem dajcie jałmużnę ubogim i bądźcie zawsze tak dobrzy i łagodni jak religia, a jakby wam dlatego cierpieć wypadło, to miejcie cierpliwość i znoście ich! Powiedzcie im czasem parę z serca płynących słów, ale czyńcie to w sposób przezorny, bo tacy nie lubią słuchać kazań. W ten sposób uda wam się wyjednać dla nich nawrócenie, i będziecie mieli tę słodką

pociechę, żeście przywiedli chociażby jedną zbłąkaną duszę do Boga.

O mój Boże, mój Boże, spraw przecież, aby chrześcijanie zrozumieli tę wzniosłą misyę i udaremnili przez to usiłowania niewiernych! Spraw, aby prawda błyszczała na czołach naszych tak, jak gwiazda na niebie naszej ojczyzny; aby nigdy chmura dumy, chmura namiętności, chmura bojaźni ludzkiej nie zaciemniała tej prawdy! Spraw, o Panie, żeby bojaźń i lękliwość nie zagnieździły się między nami, niech otwartość i szlachetna szczerość panuje pomiędzy naszymi braćmi! O Jezu, który przyszedłeś na ten świat, aby nas oświecić, nie oddalaj się od nas, nie, zostań u nas; widzisz, jak ciemność niewiary zstępuje z gór, jak światło wiary, które przyniosłeś na świat, zaczyna znikać. Ty, który jesteś słońcem prawdy i miłości, ukaż się wszystkim, niech Cię wszyscy kochają, wszyscy znają, wszyscy wielbią, niech nikt nie oprze się twej czułej miłości i nie ukryje się przed blaskiem twych boskich promieni.

IV.

Jezus Chrystus.

Jest znak, który rządzi światem, który ma wszystko na swoje rozkazy, który oświetla obie półkule i zalewa je potokami światła. Któżby śmiał powątpiewać, że ten znak jest zarazem symbolem wiary i pokoju? A jednak, nie, jest to znak sprzeczności; dzikie walki wrą około niego, a ludzie toczą ustawicznie nieskończone spory. Niektórzy spoglądają ku niemu ze czcią i miłością, inni odrzucają go i prześladują swoją nienawiścią. Tym znakiem pełnym światłości i przeciwieństwa jest Jezus Chrystus.

Zwracam tu uwagę, że nie będę mówił o każdym człowieku z osobna; bo dla każdego jest i zostanie Jezus Chrystus znakiem przeciwieństwa, gdyż podług nauki św. Pawła jest w nas dwóch ludzi, jeden cielesny, nienawidzący Jezusa Chrystusa i postępujący chętnie drogami występku, drugi duchowy, który Jezusa kocha i w jego nauce znajduje zasadę zmartwychwstania żywota. Nie mówię tu zatem o każdej poszczególnej duszy, ale o całem społeczeństwie, o narodach, i zobaczymy napewno, że Jezus Chrystus jest zaprawdę godłem, w którem zaszczepiono niejako wielki symbol przeciwieństwa.

Jedno napełnia nas zdumieniem: codzień słyszymy zdanie, że ludy zbliżają się do siebie, że sobie rękę podają, że telegrafy przenoszące myśli nasze przez ocean, opiewają na wszystkie tony to braterstwo ludów (możnaby prawie powiedzieć, że spełnia się słowo proroka: „Pochyłe góry stają się pagórkami“); ale wznosi się zapora na drodze tego zbratania się ludów, a tą wielką zaporą jest ów znak przeciwieństwa Jezus Chrystus.

I dziś, tak jak w czasie swego ziemskiego życia, dzieli Jezus Chrystus oblubienicę z oblubieńcem, żonę z mężem, ludy z ludami. Można powiedzieć, że mamy nie jeden świat socyalny, ale dwa: świat, który korzy się przed Chrystusem i świat, który się go wypiera. Każdy z nich żyje swojem własnem życiem; świat, który wypiera się Chrystusa, ma swoją wiedzę własną; ta ostatnia rozwija się i postępuje naprzód i tą posługują się ludzie, aby zburzyć podwaliny wiary. Ale świat, który kocha Chrystusa, posiada także swoją umiejętność, która wszystkie inne ogarnia i niemi rządzi, bo wszystkie prawdy wiary i rozumu pochodzą od Boga i mogą stanowić tylko jedną jedyną prawdę. Świat, który zapiera się Jezusa, ma swoją własną moralność, nie zależy ona od przepisów religii, nie ogląda się na nie wcale, lecz idzie za grubymi popędami upadłej natury; świat, który kocha Jezusa, ma również swoją moralność i właśnie tę, którą głosił Chrystus sam. Świat, który zapiera się Chrystusa, ma swoją politykę, a ta jest krótka, jasna i wyraźna: wypędzić Jezusa z praw, zwyczajów, obyczajów, ze szkoły, słowem zewsząd, gdzie się tylko da, wygnać go z ziemi ojczystej, albo przynajmniej zamknąć go wyłącznie w domach Bożych. Ale i świat, który kocha Jezusa, ma swoją politykę, a ta streszcza się w wyraźnem

twierdzeniu, że społeczeństwo chrześcijańskie nie będzie mogło egzystować, jeśli nie będzie ożywione tchnieniem wiary, tchnieniem Chrystusowem. W końcu świat, zapierający się Chrystusa, ma swoją potęgę, straszną potęgę miecza, potęgę praw, które aż nazbyt często sprzeciwiają się Chrystusowi i jego religii, ma on potęgę liczebnej przewagi tej samej tłuszczy, która pod górą kalwaryjską wrzeszczała: „Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj go!“ Ale do świata, który kocha Chrystusa, powiedział tenże: „Nie lękaj się, mała trzodo, ja zwyciężyłem świat!“

Tak więc jest dwa, różne od siebie światy a w samym środku tych dwu światów wznosi się znak przeczenia: Jezus Chrystus! I dlaczego tak? Bo Chrystusa się nie zna; gdyby go znano dobrze, połączonoby się z nim; każdy musiałby go kochać, nawet z miłości ku niemu rozpływać się!

Starajmy się zatem poznać Jezusa; jest to pytanie zasadnicze, kwestya życia, to jest cel, do którego właśnie miały nas doprowadzić poprzednie konferencye. Gdyśmy już zobaczyli, że Bóg egzystuje, że w człowieku mieszka dusza, istota duchowa i nieśmiertelna, że religia jest potrzebna z powodu ustawicznych stosunków między Bogiem i człowiekiem, gdyśmy nadto zobaczyli, że może być tylko jedna prawdziwa religia, bo jest tylko jeden Bóg, musimy teraz dowiedzieć się, która jest ta prawdziwa, jedna religia; a jeśli uda nam się dowieść, że Chrystus jest Bogiem, to wtedy jego religia jest prawdziwa i boska.

I. „Na początku“, mówi Tertulian, „dał się Bóg poznać tylko przez swoją mądrość i przez swoją miłość. Nigdzie nie panowała trwoga; ze wszystkich stron stworzenia podnosił się jeden hymn, hymn wdzięczności.

Aniołowie, potem ludzie stworzyli przez swój bunt przeciw Stwócy przepaść cierpienia. Niebo i ziemia zadrżały; była chwila, kiedy gniew zdawał się zająć miejsce miłości; wielkie milczenie zapanowało w niebie, i Lucyfer został strącony do piekieł wraz ze swoimi towarzyszami“. Adam i Ewa, którzy w swojem nieposłuszeństwie mniej zawinili, nie doznali na sobie całej surowości sprawiedliwości Bożej; mieli tę pociechę, że usłyszeli Boga, mówiącego do węża te słowa: „Przeklętym będziesz pomiędzy wszystkiemi zwierzętami ziemi; na brzuchu twoim czołgać się będziesz; nieprzyjaźń położę między tobą a niewiastą, ona zetrze głowę twoją, a ty czychać będziesz na piętę jej“. Bóg tylko sam potrafi zło wyprowadzić na dobre; przez kobietę przyszedł grzech na świat, przez kobietę miał nam zostać dany Zbawiciel, pogromca szatana, Odkupiciel świata.

Wiara w tego przyszłego Odkupiciela znajduje się we wszystkich wierzeniach religijnych, we wszystkich religiach ludzi, we wszystkich tradycyach. Te tradycye mogły zostać zepsute i zmienione śmiesznemi często dodatkami i pomyłkami, ale nigdy nie zniknęły w zupełności z wiary i ducha ludów. Wszystkie ludy miały te podania potwierdzone i wyjaśnione proroctwami. Wschód posiadał próroctwo Balaama, Rzym swojego Wirgiliusza, który przepowiadał cuda nowych czasów; aż do lasów Germanii i po najodleglejsze wyspy dotarły promienie tej boskiej łaski. I dlaczegóż te promienie nie miałyby dotrzeć i przeniknąć nawet prochu pogaństwa? Bóg zachował przecież wśród pogan swój lud wybrany, prowadził go cudownie po różnych krajach, od narodu do narodu, aby otworzyć przed pełną podziwu ziemią tajemnice przeszłości i przyszłości. Przygotować ludzkość na

przyjęcie Jezusa Chrystusa, było zadaniem tego wielkiego ludu, to jego powołaniem w historyi.

Stosownie do swoich właściwości, jest to właściwość ludów oryentalnych, przedstawia ten lud Chrystusa pod postacią przedobrażeń. Wiecie zapewne, że przedobrażenie, jest to wyższy, boski znak; szatan mógłby proroctwa, cuda naśladować, niejako podrobić, ale nigdy przedobrażenia. Są ludzie, których przyjście przepowiadano przedtem, jak Aleksander, Cyrus, Jan Chrzciciel, ale żaden z nich nie miał w historyi swojego wzoru, czyli, jak się wyrażamy, przedobrażenia. „Co się tyczy Jezusa", powiada pewien znakomity uczony „to cała historya narodu żydowskiego jest tylko szeregiem wydarzeń i osobistości, które go przedstawiają i przed oczy nasze przywodzą". Kończy ze św. Augustynem: „skała odrywająca się od góry, zasłona świątyni, baranek wielkanocny, który wychodźcy na stojąco spożywają, czy nie były przedobrażeniami tajemnicy wcielenia, odkupienia?" Który ze sławnych mężów izraelskich nie przedstawiał Chrystusa w pewien właściwy sposób? Abel zabity ręką Kaina; Izaak obciążony drzewem ofiarnem i wstępujący na górę; Józef przez swoich braci sprzedany, których potem ratuje; Mojżesz, który wyzwala lud z niewoli egipskiej; w końcu Salomon, którego mądrość czy nie jest przedobrażeniem mądrości Zbawiciela? Czy ów człowiek z krainy Hus nie prowadzi nas prosto na górę Kalwaryjską, podczas gdy Jonasz pozwala nam przeczuwać jego zmartwychwstanie.

Do przedobrażenia przyłączają się przepowiednie. Przepowiednia jest to zupełnie pewne przepowiedzenie przyszłego zdarzenia. A od kogóż może wyjść proroctwo, jak nie od Boga, dla którego wszystko jest

przytomne? Jedno jedyne proroctwo byłoby wystarczyło; jeden jedyny wróżbita, od Boga natchniony, może on się nazywać Dawid lub Izajasz, mógłby, jak mówi Pascal być obdarzonym nieskończoną potęgą twórczego widzenia, i odtworzyć naprzód olbrzymią postać przychodzącego Chrystusa. Lecz Bóg chciał, żeby obraz jego jednorodzonego syna został wyrysowany przez więcej osób niż jedna, przez cały szereg proroków; ażeby zaś wszyscy poznali, że Bóg ich natchnął, że Bóg prowadził ich rękę, że on sam tylko posiadał tajemnicę wielkiej postaci Zbawiciela, pozwala prorokom powstawać w różnym czasie, wśród różnych warunków życia i rozmaitego wieku. Zaprawdę, czy jest co piękniejszego, jak oglądanie tej wspaniałej postaci przychodzącego Zbawiciela! Jest to rzecz najcudowniejsza, jaką ludzkość oczom naszym oglądać pozwala.

Spojrzyjcie tylko: pierwszy rys tego wielkiego obrazu, który się później rozjaśni, nabierze osobowości w sposób, wykluczający wszelką wątpliwość, leży w słowach powyżej przytoczonej księgi Genesis: „Położę nieprzyjaźń między tobą, a niewiastą, między nasieniem jej; ona zetrze głowę twoją, a ty będziesz czychał na piętę jej". W tym rysie macie całą niejako anatomię odkupienia.

Drugi rys leży w słowach, które Pan wyrzekł do Abrahama: „Abrahamie, weźmij laskę twoją, wyjdź z kraju twego, a idź do kraju, który ci wskażę; ja uczynię cię ludem narodu wielkiego, a w tobie będą błogosławione wszystkie narody ziemi". Ta obietnica ma przyjść na Izaaka. Izaak jest zmuszony z powodu głodu wędrować do kraju Filistynów. Ale Bóg chcąc tę głowę wiernych uchronić od uwiedzenia, przypomina mu wiel-

kie obietnice dane rodzinie jego: „Uważaj się za cudzoziemca, a będę z tobą; będę Ci błogosławił i dochowam obietnic, danych Abrahamowi, ojcu twemu; w tobie będą błogosławione wszystkie narody ziemi, i w tym, który wyjdzie z ciebie".

Izaak ma dwóch synów i ta sama obietnica ma przejść na jednego z nich, Jakóba. Gdy Jakób ujrzał cudowną, tajemniczą drabinę, usłyszał głos Pana, który do niego mówił: „Rozmnożę potomków twoich jako piasek ziemi; rozszerzycie się na wsze strony, twoi potomkowie będą błogosławieni, a w tobie wszystkie narody ziemi".

Jakób spłodził dwunastu synów; któremuż z nich będzie danem, wydać matkę boskiego Zbawiciela? Jakób, leżący na łożu śmierci, widzi swoich synów zgromadzonych około swojego łoża. Wtedy nawiedza go duch Pański i święty starzec woła w chwili, w której już prawie przestępuje próg wieczności umierającemi usty, syna swego Judę; pozdrawia Judę jako tego, z którego szczepu wyjdzie Zbawiciel: „Twoi bracia czcić cię będą, synowie twojego ojca będą cię uwielbiać; nie wynijdzie berło od Judy, aż przyjdzie ten, który ma być posłan, a który jest oczekiwaniem narodów.

Ale zostawmy drzewo genealogiczne, potomstwo, szczep narodu na teraz w spokoju; przypatrzcie się tym rysom proroczym, które oznaczają rodzinę, z której mają wyjść ojciec i matka zbawiciela. Wielki, wzniosły proroku Izajaszu, który wnet masz być męczennikiem, mów sam, a ludy wszystkie niechaj ze czcią ugną się przed słowami twemi: „Duch Boży będzie spoczywał na nim, on dany będzie na znak pomiędzy narodami, ludy będą się do niego modlić. Z domu Dawidowego wyjdzie dziewica, ona pocznie i porodzi syna, któremu na imię Emanuel, Bóg z nami". Widzicie łzę, która utworzy serce Zbawiciela, widzicie ją cieknącą z dziewicy pokalanej aż do niepokalanej panny; od Abrahama do Izaaka, od Jakóba do Judy, od Judy do Jezusa, aż do Maryi; i to przepowiedzieli prorocy już tyle wieków naprzód.

Ale gdzież się narodzi Mesyasz, który jest oczekiwaniem narodów? Może w Rzymie, stolicy świata? W Jerozolimie, stolicy narodu wybranego? Posłuchajmy Micheasza, który przepowiadał na niespełna 700 lat: narodzi się w Betlejem, małem miasteczku judzkiem.

Kiedyż ukaże się ten tak tęsknie, gorąco oczekiwany? „Cierpcie jeszcze chwilę", mówi Pan przez usta proroka Ageusza, „a wzruszę ziemię i władca przyjdzie". Jakób mówi: „Gdy będzie odjęte berło od Judy", a Ageusz dodaje: „Gdy kapłaństwo zostanie odjęte domowi Arona". Daniel liczy 70 tygodni, a Malachiasz mówi: „On ukaże się przed drugiem zburzeniem świątyni, przez naród obcy". Ależ pytam was, czy to wszystko nie zmusza ducha, nie mówię już do zdumienia, ale wprost do uwielbienia?

Dotąd widzieliśmy tylko linie obrazu, ale otóż i tony barw. Jego urodzenie, życie, śmierć, zmartwychwstanie, jego pojmanie i ofiarę, wszystko to prorocy widzieli, wszystko opowiedzieli. Królowie ze wschodu kłaniać mu się będą, przyniosą mu w upominku złoto, kadzidło i mirę. Od dzieciństwa ubogi, żyjący w niedostatku, będzie się żywił z pracy rąk własnych; ale jego królestwo będzie się rozciągało aż po krańce świata. A teraz słuchajcie opowiadania o jego apostolskiej działalności: on nie złamie do reszty pochylonej trzciny, on wzmocni słabych, będzie działał wielkie cuda dla dobra ślepych, głuchych i niemych;

a pomimo tego niebieskiego światła, które go opromienia, będzie przedmiotem zgorszenia dla wielu żydów. Jaka dokładna przepowieść!

Posłuchajcie o jego cierpieniach: On przyjął na siebie rzeczywiście wszystkie nasze cierpienia, całą naszą nędzę; my możemy go uważać za trędowatego, którego Bóg nawiedził i upokorzył; karanie, które miało na nas spaść, spadło na niego. Z powodu złości swego ludu został ukarany; pozbył się blasku, stracił całą piękność swoją, nie poznaliśmy go, podobny był raczej robakowi, niż człowiekowi. Co znaczą te rany, które masz na rękach twoich? Te rany otrzymałem w domu tych, którzy mię kochali; przebodli ręce moje i nogi moje, policzyli wszystkie kości moje, ryczeli jak lwy i jak psy rzucali się na mnie. Czy to nie są wszystkie okoliczności tego gorzkiego cierpienia, które się później tak dokładnie wypełniło? Ewangeliści to wszystko opowiedzieli, ale prorocy na kilka wieków przedtem to wszystko przepowiedzieli.

A teraz patrzmy na jego państwo: „Spuszczę ducha mojego; dam nowego ducha, nowe serce; nowy zakon powstanie między ludami i lew z jagnięciem będą mieszkali obok siebie". A ostatni rys, który na ten wspaniały budynek wkłada koronę; ten, który się odnosi do ofiary mszy świętej: „Moje imię będzie wielkie pomiędzy narodami", powiada Pan przez usta proroka Malachiasza „na wszystkich miejscach składają imieniowi memu ofiarę czystą".

Czy nie można z całą słusznością zawołać: Jakie następstwo, jaka harmonia, jaki obraz pełen życia! I jak to jest możliwe, aby nie widzieć w tem palca Bożego,

dzieła Pana? Tak, ja wierzę biblii, a biblia wystarcza mi, aby udowodnić, że Jezus Chrystus jest Bogiem.

I cóż możemy zarzucić przeciw zgodności tych faktów, czy możemy zaprzeczyć, że Chrystusa przepowiedziano i jego przyjście na tyle wieków wyprorokowano? Czy można twierdzić, że ci prorocy ze sobą się porozumieli? Sama odległość czasu i epoki czynią tę ideę niemożliwą! Czy istnieje może wątpliwość co do wiarogodności tych proroctw? Zupełnie nie, gdyż były już spisane przed przyjściem Mesyasza, i aby najmniejsza wątpliwość nie mogła powstać, sprawiła Opatrzność, że stary testament przetłómaczono na język grecki, już na 300 lat przed przyjściem Jezusa Chrystusa. Czy można powiedzieć, że są one owocem przypadku? Ale, sama rozmaitość rysów, i ich wzajemna harmonia są tego rodzaju, że nigdy nie można ich przypisać ludzkiemu wymysłowi, lub obrachowaniu, lecz są one wypływem boskiej mądrości.

Czy te przepowiednie sprawdziły się potem w Jezusie Chrystusie? Wystarczy wziąć ewangelię do ręki, aby się o tem przekonać. Jakaż zgoda, jakaż harmonia między starym a nowym Testamentem! Gdybyśmy nie wiedzieli napewno, że te przepowiednie powstały na tyle stuleci przedtem, to możnaby się naprawdę pokusić o przypuszczenie, że te wszystkie tak dokładne, tak wyraźne szczegóły, zostały spisane przez historyków po dokonaniu się wypadków, przez proroków przepowiedzianych. „Prorocy" mówi św. Paweł, „są świadkami, którzy przemawiają na korzyść Jezusa Chrystusa". A także i św. Piotr powołuje się na przepowiednie.

Prorocy przepowiedzieli, że Chrystus jest królem, że będzie siedział na tronie, a panowanie jego będzie

się rozciągało od końca do końca po całej ziemi, że zwycięży swoich nieprzyjaciół, a państwo jego będzie trwało wiecznie. A czy nie przepowiedzieli prorocy także jego poniżenia na krzyżu? Ten pełen światła i cieni wizerunek nie zawiera żadnej przesady. Ale, mówimy, żydzi go przecież nie uznali. To właśnie jest naszem zwycięstwem, bo i ta zatwardziałość została przepowiedziana. Ten lud rozprószony po całej ziemi, jest wyraźnym dowodem boskości Jezusa Chrystusa.

Ktośby nadmienił może, że Jezus Chrystus badał proroctwa, poznał je i do nich zastosował swoje życie. Jakżeby mógł zastosować życie swoje do takiej mnogości proroctw? Jakżeby mógł wybrać sobie taką matkę, jak oznaczyć ściśle miejsce i czas swojego urodzenia? Jak mógłby znaleźć takiego Judasza, który go najprzód sprzeda za 30 srebrników, a potem z rozpaczy obwiesza się na sznurku? Jak mógłby zmartwychwstać po śmierci, a potem kazać się uznać za Boga i cześć boską sobie oddawać?

O mój Boże, Ty, który proroków oświecasz, spraw to mocą swoją, abyśmy, na widok naszego Zbawiciela, a twojego jednorodzonego syna, który na tyle wieków przed przyjściem swojem został przepowiedziany i w rozliczny sposób przedobrażony, miłością się wzruszyli; i dozwól, abyśmy którzy syna twego poznali i uznali od zbytku radości i szczęścia do stóp mu się rzucili i rany jego święte uściskali!

Po tem, cośmy przed chwilą tu słyszeli, nie zostaje nam nic innego do czynienia, jak przytulić się do Chrystusa, jego przyjąć, jemu służyć. Ale jak można w dzisiejszych czasach wypełnić ten obowiązek? Sięgnijmy myślą wstecz, i przypomnijmy sobie, co się działo pod-

czas męki, przy śmierci naszego boskiego Zbawiciela. Gdy Jezus wyrzekł na krzyżu słowo: Consummatum est, wypełniło się, powtórzyło się to samo zdarzenie, które się w historyi ludzkości zawsze powtarza. Jedni spoglądali ku niemu i wyszydzali go, inni bluźnili aż do ostatniego tchnienia Zbawcy swego; inni przeciwnie słuchali słów jego z przejęciem, porwani miłością umierającego Odkupiciela. To samo widowisko mamy i teraz przed naszemi oczami. Jest wielu takich, co prawdziwie kochają Jezusa, ale są i tacy, i to bardzo liczni, którzy o Jezusie nic wiedzieć nie chcą, którzy go odpychają „Odrzucamy go w imieniu wolności“, wołają „nam wystarcza natura, nie potrzebujemy żadnego wcielenia, żadnego odkupienia; nie można na nikim wymuszać przyjęcie dobrodziejstwa, a my tego dobrodziejstwa nie. chcemy!“ Pomyślcie tylko; Bóg zstąpił z nieba na ziemię dla zbawienia naszego, z miłości ku nam zszedł na tę dolinę płaczu i zamieszkał między nami; przyjął na siebie niewolnictwo ciała i postać ludzką, naszą mową mówił, nasze rany leczył, naszych zmarłych wskrzeszał; co mówię, Bóg naraził się dla nas na szyderstwo, wystawił się na naigrawanie, pozwolił się ukoronować koroną cierniową, powiesić na krzyżu między dwoma łotrami; jednem słowem, umarł za nas — i my moglibyśmy go odrzucić? O, nie nadaremnie szczycimy się miłością Boga! Temu Bogu, który nam otworzył bramy szczęśliwości wiecznej, bramy zbawienia, nie można powiedzieć: „Idź sobie dalej, ja cię nie znam“. Święty Paweł, który nie mógł pojąć tak potwornej ślepoty, pytał: „Ale cóż was zaprawdę zaczarowało, że odwracacie oczy od prawdy, chociaż widzieliście Jezusa Chrystusa umierającego na krzyżu za nas?“

Czy człowiek ograniczy się wyłącznie na prawach natury i pozwoli się równocześnie uśpić dla głosu wyższego? Ażeby każdy, także i lud to pytanie dobrze zrozumiał, postawmy je w oświetleniu naturalnem. Jest n. p. młody człowiek, z rodziny bogatej, który woła: „Wszystkie moje oczekiwania zostały zawiedzione; czuję się pokrzywdzony w moich prawach; pozostawiono mi sławne nazwisko, które mi nakłada obowiązki, wcale mi się nie nadające do smaku; podarowano mi bogactwa, za które mogę sobie sprawić wiele przyjemności, ale one wzbudzają we mnie wstręt. Społeczeństwo przekroczyło granice swojej powagi; jestem pokrzywdzony w moich upodobaniach, w moich skłonnościach; poco mu nakładać ciężar sławnego imienia, poco obowiązek zarządu mojemi obszernemi dobrami? Życie stało mi się ciężarem!“ W czyjem sercu znalazłyby echo powyższe słowa? Niema nikogo, ktoby nie musiał zawołać: „Nieszczęsny, nieopatrzny, ty bluźnisz przeciwko społeczeństwu ludzkiemu, ty znieważasz społeczeństwo!“ Dobrze więc, to co jest zniewagą stosunku do społeczeństwa ludzkiego, nie byłoby zniewagą Boga? Miłość, którą Chrystus przyniósł na świat, nie jest pozostawiona upodobaniu poszczególnych ludzi; a choć ją nawet ktoś odrzuca, niemniej przeto zostaje jej zobowiązany. Chrystus stąpił na ziemię, aby wszystkich od zguby wyratować; wszyscy; są powołani do niego, a kto nie wejdzie do nieba na mocy jego przelanej krwi, zostanie strącony do piekła siłą ramienia jego sprawiedliwości. Tak, to niemożliwe, aby Chrystus objawił się u nas jak zbawcza gwiazda bez trabantów, jak słońce bez konstelacyi; Jezus Chrystus jest wprawdzie i w rzeczywistości słońcem, jest

punktem środkowym swojego systemu, około którego musi się obracać ludzkość cała.

II. Ludzkość musi iść do Jezusa, do Jezusa dążyć, około Jezusa obracać się, gdyż wszystkie słowa, jakie poprzedziły jego przyjście, można zebrać w zdaniu świętego Pawła: „To jest potrzebne, Oportet, ażeby Jezus panował“. To jest koniecznością, wielką koniecznością nieba i ziemi. Oportet, wszystkie stworzenia potrzebują Boga, każdy rozum musi go wyznawać“. A pomimo tego już od dziewiętnastu stuleci usiłują szatan i świat zadać kłam słowom św. Pawła. Ale z jakim rezultatem? Rzućcie tylko wzrokiem na ziemię, zapytajcie się historyi, cóż widzicie? Co pokazuje wam historya? Historya pokazuje wam, że najpotężniejsze państwa upadają, najlepsze urządzenia polityczne znikają z powiewem czasu, jakby zmiecione z powierzchni ziemi potężnymi skrzydłami orła. Iluż już królów tego świata i królów myśli ludzkiej, powszechnie oklaskiwanych za życia, znikło, nie zostawiwszy po sobie nic, jak tylko szelest słów i szczęk broni; zaledwie że wspomnienie po nich zostało! Ale królestwo Chrystusa trwa. Dziś nie chcemy już wierzyć ani historyi, ani doświadczeniu; czyni się wszelkie wysiłki, aby zetrzeć święty znak Chrystusa, ale jaki będzie skutek tych wszystkich wysiłków? Ludzie, którzyście zaledwie pierwszy krok w życiu postawili, dlaczego jesteście zatwardziali w waszych złorzeczeniach, dlaczego z taką zatwardziałością prowadzicie walkę przeciw Chrystusowi? Jeśli Chrystus, jak twierdzicie, jest tylko człowiekiem, jeśli dzieło jego jest dziełem ludzkiem, to zostawcie już w spokoju to dzieło Jezusa Chrystusa, które i tak jest już stare, a mianowicie starsze od was, niech samo zginie, pozwólcie mu zmarnieć! Ale

jeśli Jezus Chrystus jest Bogiem, jeśli królestwo jego jest dziełem Bożem, to zastanówcie się, że wszystkie pioruny wasze, wszystkie grzmiące słowa nie zburzą go; zastanówcie się, że wasze stulecie stanie się jednym więcej dowodem prawdziwości słów proroka. Tak, jeżeli Jezus Chrystus jest Bogiem, jeżeli dzieło Chrystusowe jest dziełem Bożem, wtedy, powtarzam wam, zastanówcie się dobrze, przeminiecie jak Nero, ale królestwo Jezusa Chrystusa zostanie na wieki!

Jest już 2500 lat odkąd Izajasz prorok przepowiedział upadek tym narodom, które nie chcą służyć Chrystusowi. Cały świat zna to Królestwo Boże, każdy umysł powinien się ukorzyć przed tą najwyższą władzą i wielbić potęgę Chrystusa. Tak długo musi Chrystus panować wśród zgiełku walki, jak długo są nieprzyjaciele, którzy muszą zostać pokonani. I tak nowy testament jest tyko potwierdzeniem starego, bo wieki przeniosły tylko proroctwa o Królestwie Jezusa Chrystusa do historyi.

Zaprawdę posłuchajcie tylko mowy wieków! Patrzcie na trzy pierwsze stulecia; tam zobaczycie apostołów i ich prześladowców, ich świętych, ich wiernych. Oni wszyscy przechodzą koło Chrystusa, kłonią przed nim głowy swoje i śpiewają: „Chrystus tryumfuje, Chrystus rządzi, Chrystus rozkazuje!“

Potem przychodzą stulecia żelaza; barbarzyńskie hordy, z których jedna drugą popycha naprzód, burzą państwo rzymskie; ale mnisi ocalają wiedzę i wolność od zagłady; wieki średnie ze swymi wielkimi wojownikami, ze swymi wielkimi charakterami przechodzą mimo Chrystusa, kłaniają się przed nim i śpiewają: „Chrystus tryumfuje, Chrystus rządzi, Chrystus rozkazuje!

Wiek szesnasty ze swemi rewolucyami, swojemi partyami, swojemi wojnami, swojemi ruinami ukazuje się. Stulecie siedemnaste ze swymi sławnymi mężami, swymi wielkimi duchami, a wreszcie ośmnaste, które się kończy we krwi, wszystkie ofiary i wszyscy kaci, wszyscy słowem przechodzą koło Chrystusa, kłonią głowy i śpiewają: „Chrystus tryumfuje, Chrystus rządzi, Chrystus rozkazuje“.

A w końcu nasze stulecie ze swą wysoką kulturą, swemi wielkiemi wojskami, swemi polami bitew, swemi wynalazkami, swemi odkryciami, swemi książętami Kościoła, wszyscy przeciągają koło Chrystusa i pozdrawiając go, wydają okrzyk radosny: „Chrystus tryumfuje, Chrystus rządzi, Chrystus rozkazuje“. Czy przyjdą jeszcze inne stulecia? Nie wiem tego. Ale co wiem napewno to to, że Bóg jest wieczny, i wieczne to, co Bóg zaprzysiągł, a swoich przysiąg nie żałuje nigdy ani je odwołuje!

I zaprawdę, wiecznem będzie Królestwo Jezusa Chrystusa i nie będzie miało końca; ziemska Jerozolima zaprowadzi nas do Jerozolimy niebieskiej, a jak długo trwać będzie bieg stuleci i kolej ziemi, jak długo jaśnieć będzie słońce, zobaczą wierni uczniowie Chrystusa, wyryte w marmurze następujące słowa: „Chrystus tryumfuje, Chrystus rządzi, Chrystus rozkazuje i niechaj nas Chrystus strzeże od wszelkiego złego!“

V.

Bóstwo i człowieczeństwo Jezusa Chrystusa.

Na początku świata wskazał Bóg pierwszym rodzicom naszym na przyszłego Odkupiciela i przez cały szereg stuleci utrzymywał tę wiarę zapomocą przeodbrażeń i zapomocą proroctwa. Noe, ojciec nowego ludu, Abraham ofiarujący syna swego Izaaka, Józef przez swoich braci zaprzedany, a potem ich wybawca, Mojżesz, wyprowadzający lud z niewoli Egipskiej, Dawid, Salomon i wiele, wiele jeszcze innych osobistości starego testamentu byli przedobrażeniami, żywymi symbolami Mesyasza, od ludów z utęsknieniem oczekiwanego. Słowo prorockie objaśniało te przedobrażenia, te symbole; ono utrzymywało i strzegło wiarę w Zbawiciela i dawało o nim świadectwo. Dawid opiewa w psalmach jego własne urodzenie, jego boleści, jego tryumfy. Izajasz, Jeremiasz i Ezechiel, Daniel i inni prorocy oznajmiają urodzenie, czas i miejsce, gdzie się objawi, wszystko, czem będzie, czego będzie chciał; słowem, jego życie, jego cierpienia, jego śmierć, jego zmartwychwstanie, jego pojmanie, jego ofiarę, założenie jego kościoła, wreszcie jego królestwo bez końca. Tym sposobem zaznajomił

Bóg już naprzód świat z tym, w którym i przez którego chciał zbawić świat.

A jeszcze więcej przygotował Bóg świat na jego przyjście przez prawa, które lud wybrany miały ochronić od czci bałwanów i nakładały hamulec jego pożądliwości. Wśród tego wybranego ludu wyszukał sobie jedną uprzywilejowaną rodzinę, i im więcej zbliżał się moment tego tajemniczego połączenia bóstwa i człowieczeństwa, tem więcej starał się Bóg człowieka do siebie zbliżyć. W końcu zjawiła się Marya, poczęta bez skazy grzechu pierworodnego. Niebiosa się otwierają, rosa niebieska skrapia jej łono i poczyna Zbawiciela. Jaki może być pierwszy obowiązek człowieka względem tego człowieka, względem tego słowa Ojca niebieskiego, które się ciałem stało? Obowiązkiem naszym pójść do niego, jego ogarnąć, do niego się przytulić, za nim postępować; czyni to wielu za dni naszych; idą za nim wszędzie i powtarzają okrzyk, który rozległ się najprzód u stóp krzyża, gdy Jezus wyrzekł słowo „Consummatum est“: „Miłość Jezusa zniewala nas; a kto może nas oderwać od Chrystusa i jego miłości“? Są inni, którzy nie chcą uznać Chrystusa, którzy go odpychają w imieniu wolności. A gdy się tych zapytamy: „Ale dlaczego nie chcecie uznać Chrystusa — dlaczego go odtrącacie“? odpowiadają: „Ponieważ jest tylko człowiekiem; jest on jedynie wielkim duchem; zresztą jest Chrystus takim samym człowiekiem jak każdy z nas, on nie jest Bogiem“. Czy mają słuszność ci, którzy mówią w ten sposób? Czy oni mówią prawdę? Wczoraj pytaliśmy biblię i usłyszeliśmy jej odpowiedź. Teraz zwróćmy się do ewangelii i posłuchajmy odpowiedzi ewangelistów.

I. Kim jest Jezus Chrystus? tak zapytałem się

ewangelistów, a oni odpowiedzieli mi: Jezus Chrystus jest Bogiem człowiekiem; prawdziwym Bogiem i prawdziwym człowiekiem, doskonałym Bogiem i doskonałym człowiekiem. Nasamprzód jest prawdziwym Bogiem. Słuchajcie tylko: „Na początku było słowo, a słowo było u Boga a Bogiem było słowo. Wszystko się przez nie stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało. A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami, i widzieliśmy chwałę jego, chwałę jako jednorodzonego od Ojca, pełnego łaski i prawdy". Tak rozpoczyna apostoł Jan. Nie można chyba dobitniej i wyraźniej udowodnić boskiej natury Jezusa Chrystusa. „Oto poczniesz i porodzisz syna, i nazwiesz imię jego Jezus; ten będzie wielki, będzie zwan synem Najwyższego; a będzie nazwanym synem Bożym". W tych słowach oznajmił Archanioł Gabryel Maryi, że ma zostać matką Boga najwyższego. Tutaj nie chodzi o przybrane, czyli adoptowane macierzyństwo; Jezus narodzi się z Maryi, będzie synem Najwyższego. Jezus będzie zatem tej samej, co Marya natury, będzie człowiekiem; ale on będzie także tej samej natury co Najwyższy, dlatego Jezus Chrystus jest Bogiem.

Święty Paweł mówi: „Bóg powiedział do syna swego: „Tyś jest syn mój, jam ciebie dziś urodził". Dlatego jest w nim natura boska, bo od Boga pochodzi. Od Boga może pochodzić tylko Bóg, bo jego jedność nie ulega podzielności; dlatego Jezus Chrystus jest Bogiem.

Inne zdania św. Pawła są podobnie silne i przekonywujące: „Jezus Chrystus jaśniejącym promieniem światłości ojca". Dlatego Jezus Chrystus jest Bogiem. I w rzeczy samej, światło, które od Boga wychodzi, nie może być nigdy czemś stworzonem, istniejącem samo przez się; z tego wynika, że każdy promień jest wieczny, niema początku

i nie będzie miał końca. — Takim promieniem jest syn Boży, który jest również wieczny. Promienie pozostaną zawsze złączone ze słońcem, światłość nie może się oddzielić; tak samo nie oddziela się syn od ojca; czyli nazwijmy to inaczej: on jest Bogiem.

Jednakże Chrystus jest nietylko Bogiem, on jest zarówno człowiekiem. Święty Mateusz, również i św. Łukasz wykazują nam jego przodków także i co do ciała — ci apostołowie prowadzą nas przez szeregi generacyi z cudowną pewnością i podziwu godną znajomością rzeczy od Judy aż do Dawida, od Jakóba aż do Izaaka, aż do Abrahama; a przez nieprzerwany ciąg patryarchów sięga ten łańcuch aż do pierwszego człowieka. Czy ta krew nie jest krwią syna człowieczego? „Bóg" mówi św. Paweł, „począł go z krwi Dawidowej, a w wypełnieniu przepowiedni został narodzony z niewiasty: factum ex muliere". Ileż to ciemności zostało rozprószonych przez te słowa? Mogą powstać heretycy i powiedzieć, że matka Jezusa nie jest matką Boga; factum ex muliere! Niechaj inni poczną dowodzić bezwstydnie, że Jezus został tak samo narodzony jak wszyscy inni ludzie! Jezus został poczęty w panieńskiem łonie za sprawą Ducha świętego; factum ex muliere.

Chciejmy zauważyć, jak ta boska i ludzka natura objawia się ustawicznie w osobie naszego Pana Jezusa Chrystusa. Przypatrzmy się jego narodzeniu. Chciał być narodzonym w najzupełniejszem opuszczeniu; ubogą stajenkę wybrał na swoje schronienie — żłóbek nędzny na swoją kołyskę. Czy zechcecie zaprzeczyć, że to są urodziny człowieka? Ale równocześnie ukazują się chóry niebieskie i spuszczają się z nieba na ziemię; na niebie wschodzi cudowna gwiazda; pasterze, magowie, poganie,

żydzi upadają na kolana przed jego żłobem i cześć mu składają. Taki Herod, popadający w przerażenie i to swoje przerażenie usiłujący ukryć pod obłudnym płaszczem pokory; ci aniołowie śpiewający nad stajenką niebieskie pienia, czy to wszystko nie dowodzi, że Bóg zstąpił z nieba na ziemię?

W czterdzieści dni po swojem narodzeniu, zostaje przedstawiony świątyni; odkupiony zostaje parą gołębiąt. Czy to nie jest ofiarowanie syna ubogiego żyda? Ale ten starzec, który żył tylko jego oczekiwaniem, i uznaje w nim tylko odkupiciela, obiecanego Izraela, i poznaje Mesyasza, czy znowu nie jest dowodem, że ów jest synem Bożym?

Zagrożony przez Heroda, ratuje się najspieszniej ucieczką do Egiptu; to jest z pewnością ucieczka człowieka. Ale anioł, który ostrzega św. Józefa we śnie, magowie w cudowny sposób uwiadomieni o podstępach Heroda, wybierający inną drogę z powrotem do swojego kraju, ziemia, która przed nim drży, czy nie są to nieomylne znamiona jego boskości? Wzrastał w latach i mądrości; możnaby powiedzieć, że jego mowa wyzwala się równocześnie z myślą — zwyczajne zjawiska człowieczeństwa i ludzkiego wzrostu. Ale w latach dwunastu siedzi pośród nauczycieli zakonu, którzy są pełni zdumienia nad jego cudowną mądrością; to już jest mądrość Boża. Marya i Józef zbliżają się do niego. Józef podziwia go w cichem uwielbieniu, ale Marya nie może się powstrzymać, jej serce macierzyńskie mówi: „Mój synu, dlaczego nam to uczyniłeś? Twój ojciec i ja w trwodze szukaliśmy cię“. Widzicie, tu znowu człowiek, którego rodzice upominają i ganią. Ale Jezus Chrystus odpowiada: „Czemużeście, mię szukali? Nie wiedzieliście, iż

temi rzeczami, które są Ojca mojego, jam się bawić ponien“? Wspaniała zaiste odpowiedź, przenikająca swoją prostotą, ale zarazem odkrywająca prawdę, że Jezus Chrystus nie uznaje innego ojca, jak Boga; sprawy tego Ojca są jego sprawami. Dom, w którym go należy szukać, leży poza obrębem domowego ogniska; jest to dom Boży. Kiedyś wypędzi wszystkich ze świątyni, którzy dom Boży znieważają sprawami ziemskiemi; dziś wypełnia tu posłannictwo swoje, dziś objawia on tu swoje bóstwo, gdyż to Bóg przemawia przez niego, to Bóg się tłómaczy.

Idzie on nad rzekę Jordan, upokarza się, aby przyjąć chrzest; tu jest znowu człowiek, podobny do każdego pospolitego grzesznika. Ale niebo się otwiera, Duch św. zstępuje i unosi się nad jego głową, a głos Boży woła: „To jest syn mój miły, w którym mi się upodobało“. Bóg się objawił.

Idzie na pustynię, aby się tam pozwolić kusić, jak inni ludzie. Tymczasem wnet pokonał szatana swoją boską siłą i mądrością. Cierpi głód, bo jest człowiekiom; ale aniołowie zstępują i pokrzepiają go, bo jest Bogiem.

Wśród burzy zasypia na łodzi; człowiek potrzebuje wypoczynku. Zaledwie się obudził, uspokaja jednym znakiem wiatry i fale wzburzonego morza, tak, że wszyscy wydają okrzyk: „Któż jest ten, komu i wiatry i burze są posłuszne? Jestem Bogiem.

Poddaje się słabościom ludzkim, bo jest właśnie człowiekiem; ale leczy je wszystkie, bo jest Bogiem. Kilkoma rybami i paru chlebami nakarmił zgłodniałą rzeszę na pustyni — zbytek, na który sobie tylko Bóg może pozwolić. Ucieka on przed swymi wrogami — ale szatan ucieka przed nim — i to jest moc Boża.

Na grobie Łazarza płacze i smuci się; tem świadczy o swej ludzkiej naturze. Ale na jego słowo zmarły podnosi się; tem pokazuje swoje bóstwo.

Nazywa się sam Bogiem, gdy mówi: „Ja i ojciec jedno jesteśmy“. Oskarżają go jako bluźniercę i zwodziciela, a on otrzymuje znak Mojżesza i Eliasza, które mu się okazują w jaśniejącej chmurze.

Jako syn Boży leczy choroby; na jeden znak jego znika trąd, sługa setnika odzyskuje znowu zdrowie, kobieta, cierpiąca długotrwały krwotok, pozyskuje zdrowie przez dotknięcie jego sukni, uschła ręka ożywia się na nowo, ślepi widzą, niemi mówią, głusi słyszą, chromi chodzą, umarli wstają z grobów swoich. Jako syn człowieczy stoi bezbronny przed swoimi sędziami, przed swoimi nieprzyjaciółmi.

Widzę go, jak podczas ostatniej wieczerzy klęczy przed swymi apostołami i myje im nogi i pozdrawiam w tym akcie pokory syna człowieczego; widzę go przemieniającego chleb i wino na ciało i krew przenajświętszą i pozdrawiam w tym akcie wszechmoc Syna Bożego.

W ogrodzie Gethsemani przypatruję się jemu; sam przez swoich opuszczony, których nadto nie może się dobudzić, w chwili, kiedy się przygotowuje umrzeć za nich; widzę go pokrytego krwawym potem i wołam: To jest słabość człowieka, który pod ciężarem upada. Widzę jak się majestatycznie podnosi, jak ze spokojem oznajmia uczniom swoim, że godzina ciemności nadeszła, jak postępuje naprzeciw wrogów swoich, którzy na jedno jedyne słowo z ust jego padają na ziemię; jest to bóstwo, które się objawia.

Postępujmy za nim aż przed sąd; chodźmy z nim do Piłata.

Na głowie ma koronę cierniową, na ramionach podarty płaszcz purpurowy, w swych rękach trzyma szyderską trzcinę, jako berło; kapłani żydowscy tłoczą się wokoło niego i obrzucają go zarzutami; lud żąda burzliwie jego śmierci, a mianowicie śmierci na krzyżu. Tutaj widzimy ludzkość, w jej najhaniebniejszem poniżeniu! Ale słyszę, jak jego usta mówią do Piłata o prawdzie, jak spokojnie oznajmia, że jest królem; widzę, jak zaprzaniec na jeden wzrok z oczu swego mistrza wchodzi w siebie, i opłakuje swój grzech, i mówię wtedy: To jest bóstwo wcielone, w swoich prawach niczem nieograniczone, wszystkiem rządzące wszechmocą swoją, które wzbudza w zdrajcach wyrzuty sumienia, sędziów wprawia w trwogę, a przygarnia w miłosierdziu swojem serca, pokutę szczerze czyniących.

Przed sędziami uznali go wszyscy jego nieprzyjaciele za syna człowieczego; nikt nie chce go sądzić, bo jest synem Bożym.

Popatrzmy się na niego na krzyżu; jego nieprzyjaciele potrząsają głową i szydzą z jego przedśmiertnej walki; to jest śmierć człowieka. Ale słońce zaćmiewa się, ziemia drży, zasłona świątyni rozdziera się, to jest śmierć Boga.

Gdy go tak obserwujemy w jego męczarniach śmierci, czujemy się zniewoleni powiedzieć: Tak cierpi i umiera człowiek. Ale w chwili jego śmierci, gdy z nadludzką siłą wydał ostatni głos, musimy powtórzyć z setnikiem: „Zaprawdę, ten był synem Bożym“.

Tak zatem widzimy Boga i człowieka współcześnie obok siebie występujące w Chrystusie. Jezus Chrystus jest Bogiem, bo wznosi się aż do nieskończoności boskiej wszechmocy; on jest człowiekiem, bo ukazuje się pod-

ległym boleściom ludzkim. A w jaki sposób znajdziecie wyjaśnienie tego przeciwieństwa, które ustawicznie widzimy w całem życiu Jezusa Chrystusa? Jedynem wyjaśnieniem tego jest zaiste, że Jezus Chrystus był Bogiem i człowiekiem.

Kiedy Jezus Chrystus szczególnie jasno pokazuje się jako Bóg i człowiek zarazem, to wtedy, gdy go złożono do grobu i gdy chwalebnie powstał z martwych. Zmartwychwstanie mówi wyraźniej jak wszystkie jego czynności i ze wszystkich cudów, jakie Jezus za życia zdziałał, jest to cud najznamienitszy. To samo wystarczy, aby dostarczyć ostatecznego dowodu na to, że Jezus Chrystus był naprawdę Bogiem, człowiekiem. W rzeczywistości uważał i stawiał Chrystus swoje zmartwychwstanie, jeszcze w rozlicznych przepowiedniach, jako ostateczny dowód i znak swego boskiego posłannictwa, tak, że apostoł Paweł nie wahał się twierdzić, że nadzieje chrześcijanina byłyby zwodnicze i próżne, gdyby Jezus Chrystus nie był zmartwychwstał. Nawet sami jego nieprzyjaciele uznawali potęgę dowodu zmartwychwstania, gdyż postawili koło grobu straże, aby zapobiedz wszelkiemu oszukaństwu; i dlatego przeciwnicy Chrystusa nie zaniedbali z biegiem wieków niczego, aby zburzyć wszelką pewność tego faktu. A teraz, czy zmartwychwstanie Chrystusa jest naprawdę tak pewnem? Aby się upewnić, wystarczy dowieść, że Chrystus w chwili złożenia ciała jego do grobu był rzeczywiście martwy, i że się później pokazał ludziom w pełni życia.

Czy Zbawiciel był naprawdę umarły? Prawdziwie wiarogodni ewangeliści, np. św. Jan, świadek naoczny śmierci Chrystusa, nie mają co do tego żadnej wątpliwości; dowodzą tego w najdobitniejszych słowach: on

umarł, on wyzionął ducha swego. Ale każda wątpliwość znika, jeśli się rozważy, jakie męczarnie musiał Jezus wycierpieć, zanim go przybili do krzyża; jest dziwnem, że Chrystus mógł jeszcze przez trzy godziny wisieć na krzyżu· „Samo ukrzyżowanie“, mówi historyk żydowski, Flawiusz Józef, „byłoby wystarczyło, aby Jezusa oddać śmierci; i dlatego powstrzymali się żołnierze od połamania członków Chrystusa, bo go znaleźli umarłym. Piłat chciał, zanim oddał przyjaciołom zwłoki Jezusa, mieć zupełną pewność, że Jezus jest rzeczywiście martwy; czy zatem przebicie lancą, które mu bok przebodło, nie byłoby wystarczyło, aby go zabić? O, gdyby żydzi mieli najmniejszą wątpliwość co do śmierci Chrystusa, nie wahaliby się przecież ani chwili, przyspieszyć ostatnie tchnienie. Oni, którzy postawili straż koło grobu, z bojaźni, aby nie przyszedł ktoś, ktoby ukradł zwłoki — ci musieli być naprawdę pewni, że Chrystus jest martwy.

A następnie, czy greccy i rzymscy sofiści myśleli kiedykolwiek o tem, aby zbić twierdzenie, że Jezus Chrystus nie umarł rzeczywiście i prawdziwie? Nie, ta sława została zachowana dla nowożytnych sofistów. I cóż zatem ci dowodzili?

Mówili, że Jezusa Chrystusa złożono do grobu w stanie pozornej śmierci, że moralne i fizyczne męczarnie mogły go pozbawić przytomności, że jednak zachował siłę żywotną. Dalej mówili, że wonności, któremi go namaszczono, mogły zagoić jego rany, a balsamiczne wyziewy tych wonności mogły obudzić życie w pozornie zmarłym.

Tymczasem wiedza medyczna dowodzi całkiem przeciwnie; dowiedziono, że te pachnidła mogą wywierać tylko wpływ odurzający, i podczas gdy ciała zmarłych chronią

od zgnilizny i rozkładu, zabijają żyjących. Oprócz tego dowiodła medycyna, że chłodne powietrze grobu było chyba najgorszym środkiem, aby Jezusa znowu do życia przywołać, i że dwa do trzech dni nie były wystarczające, do wyleczenia jego ciężkich ran.

Racyonaliści robią uwagę, że grecki wyraz oznaczający „ukłucie piką“ nie znaczy ukłucie głębokie, lecz tylko lekką rankę. Lecz krew i woda, które wypłynęły z rany, dowodzą dosadnie, że ściana serca została przedziurawioną, i że rana była zatem śmiertelna.

Gdyśmy już zbili twierdzenie naszych przeciwników, że Jezus Chrysts był tylko pozornie umarły, wtedy występują znów inne wątpliwości, a mianowicie, czy Chrystus naprawdę zmartwychwstał? Co do tego nie może istnieć żadna wątpliwość. Opowiadanie o zmartwychwstaniu pochodzi od naocznych świadków, którzy za życia znali Chrystusa i w jego otoczeniu przebywali, i na niego własnemi oczyma patrzeli. Ci sami widzieli go potem nie we śnie, lub sennem marzeniu, jako znikome widziadło, ale w biały dzień, kiedy były w pełnem posiadaniu wszystkich władz umysłowych. Ale oni nietylko go widzieli, lecz dotykali i wkładali rękę swoją w ślady ran jego; i to nie raz jeden, lecz przez dni 40, wśród rozlicznych okoliczności, w sali wieczernika, na brzegach jeziora Genezareth, na szczycie gór galilejskich. I któż chciałby dowodzić, że te zjawiska były zwyrodniałym płodem ich chorobliwej fantazyi! Jezus je, pije, ma ciało i wszystkie członki. I to mają być fantastyczne widziadła? Ale Jezus każe się dotknąć Tomaszowi, który nie wierzył w zmartwychwstanie i zupełna pewność zmusza Tomasza, że uznaje się pokonanym i pozdrawia Boga i mistrza swego.

A następnie co mogło tak zmienić apostołów, tak podczas męki Chrystusowej bojaźliwych, trwożliwych, którzy z taką trudnością dawali wiarę wieściom o zmartwychwstaniu, w mężów odważnych, którzy bez wahania, aż do samej śmierci swojej twierdzili, że Chrystus powstał z martwych, gdyby ten fakt nie miał rzeczywiście miejsca?

Może ktoś powie, że apostołowie podczas, gdy straż spała, skradli w nocy ciało Chrystusa, jak to śmieli twierdzić kapłani i faryzeusze. Ale któż nie czuje głupoty podobnej wymówki? Kto nie czuje, że tu kłamstwo wikła się w swoje własne sieci? Aby się puszczać na podobną niebezpieczną przygodę, jak ta, którą przypisują apostołom, musi się mieć w tej sprawie wielki interes; a jakiż mogli mieć interes apostołowie, jaką pobudkę, aby ciało Chrystusowe potajemnie zabierać? Albo wierzyli w zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, albo nie wierzyli w to, albo wreszcie wątpili. Jeśli w zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa wierzyli, to było zbyteczne zabierać jego ciało. Jeśli w to nie wierzyli, to musieli zaraz stronę tego człowieka rzucić i nie troszczyć się więcej o losy jego sprawy. Jeśli, i to jest najprawdopodobniejsze, wątpili w to, to musieli przeczekać i zobaczyć, czy zmartwychwstanie istotnie się dokona. Choćby nawet do tego stopnia stracili głowę, aby wpaść na tak nierozsądny pomysł, i to wszyscy współcześnie, bo co do tego musieli być jednego zdania, to jeszcze nie mogli wpaść na podobną myśl.

W dodatku połączyło się wszystko, aby odwieść od tego ryzykownego przedsięwzięcia. Najprzód otoczeni byli zewsząd wrogami Chrystusa, którzy go do krzyża przybili i którzy z pewnością nie oszczędziliby im osta-

tniego upokorzenia, zadaliby im wszelkie męczarnie, gdyby ten czyn, co staćby się musiało niebawem, wyszedł na jaw. Wiedzieli dalej, że Bóg wcześniej czy później ukarze ich oszukaństwo, wykryje kłamstwo; a w końcu mogli być zupełnie pewni, że im się to przedsięwzięcie nie uda i udać nie może. Dwunastu biednych, niepóświeconych rybaków, którzy nie otrzymali żadnego wychowania, nie pobierali nigdzie żadnej nauki, miałoby obmyśleć tak potężny plan człowieka zmarłego na krzyżu ogłosić za Boga? A jeżeliby się ich przedsięwzięcie nie udało, mogli być pewni strasznej kary, a zatem naraziliby życie swoje — i to dla oszusta!

Ale, przypuśćmy także i to. Przypuśćmy, że wpadli na myśl podobną i powzięli powyższy plan. Jakże to teraz doprowadzić do skutku? Grób był wykuty w skale, zamknięty wielkim kamieniem, zapieczętowany pieczęcią państwową, a naokoło stały posterunki straży. Jak mieli się zabrać do wykonania tego planu? Czy może użyli siły? Ale ci bojaźliwi, tchórzliwi uczniowie, którzy mistrza swojego zaraz z początkiem męki odbiegli i porzucili, ci sami mieliby się zdobyć na odwagę, aby rozpędzić rotę rzymskiej straży i połamać pieczęcie państwowe? A choćby to nawet zrobili, jak mogli potem przebywać bezkarnie i niepoznani w bezpiecznem ukryciu? Może usiłowali przekupić straże? Ale, byli to przecież ludzie ubodzy, nieznani i pogardzeni, jakżeby mogli uwieść tych wszystkich, rzymskich żołnierzy? Może uciekli się do podstępu? Ale, ileż niemożliwości zamykało im drogę! Jak mogli najprzód dotrzeć do samego grobu? Drogą podziemną. Ale w jaki sposób dałoby się wykopać tę drogę, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi straży? W jaki sposób mogliby potem otwór zamknąć, nie pozostawiwszy po sobie najmniejszego znakugwałtownego włamania do pieczary grobowej? A może dostali się do grobu drogą zwyczajną? A zatem, znaczyłoby to, że uczniowie przeszliby przez cały łańcuch żołnierzy, złamali pieczęć, odwalili kamień, odrzucili prześcieradła, zabrali ciało Chrystusa przez nikogo nie spostrzeżeni! „Ale“, powiedzą niektórzy, „strażnicy spali“. Idźcie, i powiedzcie to w oczy jakiej straży; usłyszycie tedy odpowiedź. Jakto, cała straż uśpiona, podczas gdy ją ustawiono naumyślnie, aby zapobiedz niesłychanie ważnej sprawie! A potem, jeżeli spali, jak to słusznie zauważył św. Augustyn, jakże mogli wtedy widzieć, że ciało Chrystusa zostało porwane i uprowadzone? Dlaczego nie ukarano winnych? Dlaczego jeszcze opłacono straże, aby coraz dalej rozszerzały swoją hańbę? Widzimy z każdej strony i złośliwość i kłamstwo, które same siebie okłamują.

Wielki Boże! Jak to boleśnie, moi kochani bracia, widzieć ludzi, czyniących wszelkie możliwe wysiłki, aby nie widzieć boskiej jasności i oczywistej prawdy! Ale jakże pocieszającem jest znowu to, że wszystkie ich wysiłki są nadaremne!

Przypuśćmy jednak jeszcze raz, że apostołowie przyszli w posiadanie ciała Jezusowego. W jaki sposób mogliby natchnąć całą ludzkość wiarą w zmartwychwstanie Chrystusa? W jaki sposób wpoić w nią wiarę w jego bóstwo? Człowiek, którego ziemska sprawiedliwość na śmierć zasądza, który umiera pogardliwą śmiercią między dwoma łotrami — bogiem! Ile przeszkód, ile niemożliwości utrudniało udanie się podobnego planu! Najprzód musieli się zdecydować wszyscy i być gotowymi, wszystko przecierpieć, nawet śmierć ponieść, aby zape-

wnić powodzenie swojemu przedsięwzięciu. Musieliby się postarać, łudzić tych i oszukać, którzy nic o tem nie wiedzieli; musieliby swoje twierdzenia i dowody każdej chwili przypieczętować bodaj śmiercią; pogan możeby się dało podeść, ale nigdy żydów, którzy mieli przecież swój interes, aby Chrystusa zrobić oszustem i zwodzicielem tak dobrze po śmierci, jak i za życia! A jeszcze zostaje jedna największa trudność; musieliby zacząć sprawę nawracania bez cudu, bo Bóg nie działa cudów dla poparcia kłamstwa. Czy to wszystko było możliwe? Przyznacie sami!

„Jezus Chrystus nie zmartwychwstał", mówi Strauss; jeśli nie znajdziemy innego środka na wytłómaczenie wiary w zmartwychwstanie bez cudu, jeśli źródła tej wiary musimy koniecznie szukać w cudzie, to musimy raczej zrezygnować i ten fakt odrzucić"! I dlatego wyszukuje wszelkich sposobów, aby nam wyłożyć, że ciało Chrystusa zostało w grobie. Ale czy to nie stoi w sprzeczności ze wszystkiemi ewangeliami? A przecież nieprzyjaciele Chrystusa byliby napewno wyciągli ciało, aby je okazać ludowi i tak zburzyć wiarę w zmartwychwstanie. Cóż było nadto łatwiejszem i bardziej naturalnem?

Renan mówi: „Próżne to jest pytanie, i którego nadto rozwiązać nie można". Ponieważ jednak czuje całą ważność tego pytania, szuka jakiegoś możliwego rozwiązania i znajduje następujące: „Ciało Chrystusa przypadkiem zniknęło".

Tak więc w oczach Straussa i Renana jest zmartwychwstanie jedynie owocem wybujałej i chorobliwej wyobraźni. Czy jeszcze po tych pozytywnych dowodach, których tyle przytoczyłem, muszę się do tego poniżać, aby zbijać te słabe zarzuty naszych nieprzyjaciół, aby

tymże odebrać siłę, jakiej w istocie są pozbawione? Przecież nie mogło się apostołom zdawać, że coś widzą, czego nie widzieli, albo słyszeć, czego nie słyszeli, dotykać się, czego się nie dotykali? Aby ich przekonać, musiał Chrystus, jak wiemy, kazać się dotknąć nawet pomacać, czyż tak się zachowują ludzie łatwowierni, pogrążeni w halucynacyi? Co dziwniejsze, że wszyscy chyba musieliby być zahypnotyzowani, i pozostawać w tym stanie przez 40 dni, bo z chwilą wniebowstąpienia halucynacya znika, nie słyszymy o niej więcej. A teraz ten strach straży, ten odrzucony kamień, czy to także halucynacye? Gdyby to wszystko wogóle było halucynacyą, nawet pusty grób, o czem przecież same straże opowiedziały żydom, czy nie miałoby się ochoty, nawet słuszności powiedzieć, że ci, którzy podobne rzeczy piszą są raczej w halucynacyi, a przynajmniej, że sobie kpią ze swoich czytelników.

Przecież i to wszystko jeszcze nie wystarcza. Przystajmy na wszystko, przyjmijmy każdą ewentualność, co do wykradzenia ciała, to jednak jedno należy koniecznie wyjaśnić, a mianowicie w jaki sposób chrześcijaństwo utwierdzone na kłamstwie, mogło się rozszerzyć, ugruntować, takie poważne zająć w świecie stanowisko, a nadto zachować swoje znaczenie aż do dnia dzisiejszego. Znaleźli się i tacy, którzy mieli odwagę powiedzieć, że książki, opowiadające to wszystko, nie są historyczne, że zawierają legendę. Zgodność u historyków pierwszych czasów chrześcijańskich, zarówno heretyckich jak pogańskich potwierdza wszystko, co się znajduje w ewangelii. A ci wszyscy historycy ani się nie łudzili, ani nie chcieli się łudzić, nie mieli wcale zamiaru ludzi oszukiwać, bo nie skłaniał ich do tego żaden interes. Ale, proszę was

tylko, przeczytajcie ewangelię; czy mogli ubodzy rybacy bez żadnego wykształcenia, bez żadnej nauki sporządzić i napisać dokładną charakterystykę tak wzniosłego charakteru — napisać dokładne sprawozdanie tego boskiego żywota? Uderzcie się w piersi, zapytajcie siebie sami, zmierzcie swoje siły, czy wy bylibyście w stanie zdobyć się na coś podobnego? Czy bylibyście zdolni stworzyć postać tak wysokiej moralnej piękności, jaką poznajemy w Maryi, św. Józefie, św. Elżbiecie; kto byłby w stanie wyobrazić sobie tak cudowną, tak bohaterską postać, jak Jezusowa z jego przeczystym żywotem, najświętszą moralnością, a mianowicie z jego boską nauką; nadto napisać z całą powagą prawdy, że panna pocznie i porodzi syna; kto śmiałby naprzód przepowiedzieć, że ten syn otrzyma wzniosłe imię Mesyasza, że będzie nazwanym synem Bożym; kto chciałby się narazić na takie niebiezpieczeństwa, aby bez obawy przed historyą i biegiem wypadków, które kłam zadać mogą jego przepowiedniom, twierdzić bez trwogi, że ten jednorodzony syn Boży będzie panował po całej ziemi; kto miałby moc otoczyć te przepowiednie czarem nadziemskiej piękności i nawiązać odpowiednie do momentów dramatycznych pierwszorzędnej siły i potężnego wyrazu; słowem kto byłby w stanie dać obraz życia, w którem najwznioślejsza chwała i wielkość łączą się z poniżeniem, pokornem wyrzeczeniem i poddaniem się? Charakter niejako podwójny, złożony z dwóch pierwiastków bóstwa i człowieczeństwa — cóż, czy znajdzie się kto pośród was, który tego dokaże? Zapytajcie przeszłość; może pomiędzy znakomitymi pisarzami przeszłości, jakich znacie z czytania, lub o jakich historya wspomina, znalazłby się bodaj jeden, zdolny do stworzenia takiego dzieła?

„Nie“, powiada Rousseau, „w ten sposób ludzie nie tworzą i nie piszą“. Nigdy człowiek bez wyższej pomocy, wsparty jedynie władzą swoich talentów, nie stworzyłby podobnego opowiadania; nigdy, przenigdy! Przypuściwszy nawet fakt podobny, jakaż potęga mogłaby zmusić, albo raczej nakłonić rodzaj ludzki do uznania i przyjęcia za prawdę podobnie zmyślonego opowiadania? Słuchajcie swojego sumienia, swojego zdrowego rozsądku, a będziecie zmuszeni przyznać, że ta księga nie jest wyłącznie dziełem ludzkiem, że nawet nie może niem być.

Te księgi są to zatem pisma historyczne, przez Boga natchnione; i jeśli chcecie myśleć logicznie, to musicie stąd wyciągnąć wniosek, że Jezus Chrystus jest Bogiem-człowiekiem, jest tym, przez którego wszystko się stało, który stał się człowiekiem i zamieszkał między nami, prawdziwy Bóg, a zarazem prawdziwy człowiek.

II. Jeżeli Jezus Chrystus jest Bogiem, cóż tedy należy nam czynić? Powinniśmy wierzyć w niego i czcić go. Tak postępowali wielcy ludzie pierwszych wieków chrześcijaństwa; tak czyniła wiedza prawdziwa, geniusz prawdziwy i sztuka we wszystkich stuleciach, tak musimy i my postępować. Tak postępowała sztuka piękna. Z wiarą w Chrystusa i wpływem tej wiary oświecona zdobiła płótna i ściany, obrabiała marmur i kamień, topiła metale; ona wzniosła owe wspaniałe katedry, które mają być wcieleniem tych, jakie w swoich wizyach widział Jan święty.

Tak sobie poczynał geniusz: wierzył w Jezusa i oddawał mu cześć należną w nieśmiertelnych pomnikach. Apologeci pobili na głowę nieprzyjaciół Chrystusa siłą swojej logiki: poeci poświęcili mu swoje najwznioślejsze utwory.

Tak czyniła i wiedza, której pionierami zostaną zawsze ci, którzy się nie pozwolili obałamucić sofizmatami.

Tak poczynali wszyscy wielcy mężowie; ci wierzyli zawsze w Chrystusa. Czy wiara w Jezusa Chrystusa nie była wiarą królów, wiarą książąt, wiarą naczelników republik wszelakich, czy nie ona wspierała i kierowała losami państw? Czy nie wiara w Chrystusa natchnęła św. Wincentego a Paulo, że dobrowolnie wyrzekł się wolności, takiego św. Karola Boromeusza, który skazał się dobrowolnie na najskrajniejsze ubóstwo? Czy i dzisiaj, pomimo wszelkich wysiłków spadkobierców Voltaira, nie obejmuje i nie wspiera wiara w Jezusa Chrystusa wszelkiej wiedzy, jaką wielką nazwać można? — Wiara jest tak dzisiaj, jak dawniej podstawą wszelkiej prawdziwej wiedzy. Może wskażecie mi jako odpowiedź zaparcie się kilku apostołów? Cóż to znaczy głos jakiegoś powieściopisarza, jakiegoś pokątnego poety, jakiegoś dziennikarza lub jakiegoś profesora, wobec głośnego okrzyku wszystkich ludów, które Chrystusa synem Bożym uznają i cześć mu oddają? Czemże jest legion współczesnych fałszów, jeśli go porównamy z niezmierzonem wojskiem wiernych, z tym zastępem duchowieństwa, rozmieszczonego na różnych stopniach hierarchii duchownej, które niezmordowanie głosi słowo Jezusa Chrystusa? Policzcie tych, którzy nie chcą nic wiedzieć o Jezusie Chrystusie i policzcie nas, którzy jesteśmy jego sługami i zróbcie porównanie! Jest nas więcej niż dwieście milionów, którzy gotowi są stanąć jak jeden mąż; nie mówiąc już o tych znakomitych pisarzach, którzy stanowią przednią straż wiary, widzimy tu na pierwszym planie książąt Kościoła, biskupów i najprzedniejszych kapłanów; jakież to porównanie z mizernym redaktorem antireligijnego dziennika?

Czy tamci nie wniknęli głębiej w tajemnice wiary, jak mędrkowie z akademii?

Czy widzicie dziecię nad brzegami rzeki? Rzuca kamień do wody i zdaje mu się, że tym sposobem cofnie rzekę do źródła; tymczasem woda w rzece bieży sobie spokojnie dalej i płynie aż do morza bez przeszkody. Tak samo dzieje się bezbożnemu. Podczas gdy jedno pokolenie po drugiem przemija, a każde z wiarą w Chrystusa umiera, podnosi się bezbożny i rzuca kamieniem niewiary między ludzi, myśląc, że pokolenia ludzkie odwrócą się i nie pójdą za Chrystusem; ale te wznoszą okrzyk św. Pawła: „Miłość Chrystusa przenika mię, któż mię oderwie od miłości Chrystusa?

Ale dlaczego, dlaczego usiłuje się nas rozdzielić z Chrystusem? Gdyby ci ludzie byli teraz między nami, zapytałbym ich: „Dlaczego chcecie nam odebrać Jezusa? Czy dla chwały Bożej, czyli też w interesie ludzkości“? Mówicie, że to leży w interesie Boga? Ale, ojciec, który nie ma syna, nie jest już więcej ojcem. Z Boga, który nas miłuje, nas pociesza, nas uzdrawia, robicie zimnego, samolubnego Boga, jak wy sami jesteście; Bóg jest nietylko wszechmocą, on jest także miłością. Zostawcie nam Jezusa; nikt nas nie nauczy lepiej miłości Bożej jak on.

Mówicie teraz w interesie ludzkości? Czyście się dobrze nad tem zastanowili? Weźmiecie, zaprzecie się Chrystusa, Boga-człowieka, jakiż symbol dacie potem ludzkości? Cóż dacie tym, którzy cierpią; co dacie ubogim, co dacie bogatym? Co położycie wtedy na głowę królów, na głowę sędziów? Co dacie do ręki cierpiącego ludu?

Jeśli ludowi kiedyś zabierzecie Jezusa Chrystusa, komuż on powierzy wtedy krzywdy swoje, komu taje-

mnice uciśnionego serca? W czyje ręce złoży on swój ból, do czyjego łona przyciśnie swoje serce, kiedy już bić przestaje? Miejcie litość nad nieszczęśliwymi; a jeśli nie chcecie nam zostawić Jezusa z miłości dla religii, to zostawcie go przynajmniej dla filantropii. Miejcie litość nad naszemi cierpieniami, nad naszemi boleściami! Jakto! Nie dozwolicie ojcu zmęczonego pracą dnia całego, wypocząć cokolwiek pod cieniem krzyża, i zaczerpnąć tam nowej siły i odwagi do życia? Matka nie będzie już mogła zaprowadzić swoją córkę do kościoła, aby jej tam wskazać przykład Zbawiciela i ustrzedz ją od pokus i złych skłonności? Wasze małżonki, wasze matki, wasze córki nie miałyby już płakać u stóp Chrystusa, tam szukać przebłagania swoich win, tam znajdować otuchę i moc do życia, i tam nauczyć się znosić wszystko, co od was znosić muszą? A wreszcie nie ma być dozwolonem zbliżyć znak krzyża do warg umierającego, aby mu w tym ostatnim, najcięższym momencie życia przynieść ulgę i skuteczną pomoc?

Jeśli Chrystusa chcecie ze świata usunąć, to należy wam usunąć najprzód cierpienia, głód, pragnienie z tego świata nędzy, a po pierwsze, zabierzecie światu najpotężniejszą broń. Bo, tego możecie być pewni, z chwilą, gdy wiara chrześcijańska zniknie z naszego środka, nie pozostaje nam nic innego, jak zakrywszy głowę i skronie rękami naszemi, oczekiwać strasznego karania. Wybuchnie wtedy bunt, przyjdzie do pewnej katastrofy socyalnej, lud zamiast krzyża weźmie do ręki, która złamała ten znak święty — morderczą broń; a wtedy kto wie, rozerwana ojczyzna zobaczy się zmuszoną wyjść na górę Kalwaryjską i tam umrzeć pod obcym uciskiem

w strasznych kurczach; ale nie użyczy ona przebaczenia, jak niegdyś Chrystus mordercom swoim, lecz umrze z przekleństwem na ustach na synów swoich, którzy wyrwali wiarę z jej serca; bo ci, którzy odbierają krajowi wiarę w Odkupiciela, są prawdziwymi katami i oprawcami swojej ojczyzny.

VI.

O nauce Jezusa Chrystusa

Kto to jest Jezus Chrystus? Pytałem się o to biblii, a biblia dała mi na to dostateczną odpowiedź: Jezus Chrystus jest odkupicielem przyobiecanym przez Boga Adamowi i Ewie; Zbawicielem przedstawionym w rozlicznych przeobrażeniach, przez proroków tyle razy przyobiecanym, przez tyle stuleci oczekiwanym, i w pełni czasów objawionym i narodzonym zbawcą świata.

Kto to jest Jezus Chrystus? Zapytuję się o to ewangelii, a ewangelia odpowiada mi na to: Jezus Chrystus jest synem Najwyższego i najczystszej dziewicy Maryi; jest słowem Ojca przedwiecznego, które się stało ciałem; i dlatego jest Jezus Chrystus współcześnie Bogiem i człowiekiem, prawdziwym Bogiem i prawdziwym człowiekiem, doskonałym Bogiem i doskonałym człowiekiem. Jezus Chrystus jest Bogiem rzeczywistym; dowiódł tego swoją wszechmocą, swoim wszechuświęcającym duchem, swojem wreszcie boskiem zmartwychwstaniem. Dowiódł tego swoją boską wszechmocą; całe jego życie, począwszy od błogosławionego objawienia się aniołów nad jego ubogą stajenką, aż do chwili jego krwawej śmierci na krzyżu, kiedy ziemia poruszyła się w posadach, całe to

jego życie błogosławione było tylko jednym łańcuchem cudów wszelkiego rodzaju, które zostały zdziałane, aby stwierdzić przed całym światem jego boskie pochodzenie; cuda zaś Chrystusa za życia zdziałane, nie ulegają żadnej wątpliwości i nie mają żadnych cech oszukaństwa. Dalej dowiódł swojej boskości, swoim wszystko uświęcającym duchem; jego to łaska, jego duch sprawiły tę nadnaturalną przemianę ludzkości, zamieniły one upadły, na pastwę zgnilizny oddany rodzaj ludzki w społeczeństwo dzieci Bożych, w zjednoczenie duchów czystych, słowem w społeczeństwo chrześcijańskie. Dowiódł boskości przez swoje zmartwychwstanie; to o czem nigdy najbujniejsza wyobraźnia nie marzyła nawet, tego chciał. to przepowiedział i to wykonał. Zaślepiony lud zamordował go, zbawiciela swego, śmierć jego potwierdziły urzędy, został złożony do grobu, który otoczono strażą i zamknięto pieczęcią państwową; wśród tych okoliczności podnosi się Chrystus w całym blasku boskiego majestatu — w całej swojej okazałości ze snu śmierci i rozpoczyna przed oczyma zdumionego świata nowe wieść życie, oraz zakłada na|świecie nowe państwo, któremu nie będzie końca na wieki.

Ale Chrystus jest nie tylko Bogiem, on jest także człowiekiem; on jest prawdziwym człowiekiem, bo okazał w całej pełni słabość i wątłość natury ludzkiej, doznawał wszelkich ułomności ciała; jak trafnie wyraża się św. Paweł, wziął on od Abrahama ciało i krew, chciał mieć bowiem udział we wszelkich radościach i boleściach braci swoich, chciał brać zupełny udział w ich ludzkiej naturze. Zaiste, tak, Chrystus jest prawdziwym człowiekiem; widzimy go w trwodze, pokrytego krwią i potem śmiertelnym; widzimy go obarczonym przekleń-

stwami, przymocowanym do krzyża, który miał go oddać śmierci, zostaje wreszcie złożonym do grobu — ale pocieszcie się, upomina apostoł, on nie umrze, powstanie jaśniejący od światłości i chwały z pośród zmarłych — on jest naszym bratem, przyjął na siebie ciało i krew ludzką; jest zarówno prawdziwym człowiekiem, jak i prawdziwym Bogiem.

Powyższy przedmiot dostarczył nam materyi do wczorajszej konferencyi i rozmyślania. Dzisiaj postaramy się rzucić wzrokiem na moralną stronę jego życia; zastanowimy się nad tem, co nam objawił w swej nauce, a skoro ujrzymy i poznamy jego zupełną i doskonałą świętość, jego nieskończoną mądrość, musimy się niejako zmusić do wyznania: Tak, Jezus Chrystus jest prawdziwie Bogiem — człowiekiem. W części ostatniej zastanowimy się wreszcie nad tem, przynajmniej pokrótce, co o tem myśli i pisze wiedza w teraźniejszości i przeszłości.

I. Przed przyjściem Jezusa Chrystusa popadła ludzkość w straszliwe zepsucie; życie było bez wszelakiej czci i godności. Nie należy jednak myśleć, że pogaństwo nie znało delikatności sumienia, albo że nie wydało żadnej, wzniosłej cnoty. Dążenie do doskonałości znajdowało się zawsze w duszach wielkich; byli ludzie, co czynili znaczne nawet wysiłki, aby osięgnąć ów ideał sprawiedliwości, który świeci jak gwiazda nawet wśród najciemniejszej nocy na moralnem niebie ludzkości. Ale to były usiłowania odosobnione; nie miały one żadnego wpływu na ogół, że tak powiem na masę ludzką, która się oddawała wszelkiej rozwiązłości ducha i serca bez upamiętania. Cały rodzaj ludzki czuł jakiś brak, tęsknotę za innem życiem, i to pragnienie czystszej egzystencyi

objawia się u szlachetniejszych jednostek w sposób wzruszający, a zdobywa się nieraz na porywającą wymowę. Chociażby rodzaj ludzki zapadł w najgłębszą przepaść nędzy, znajdzie w sobie zawsze nadzieję lepszego losu. Stąd też wypływa, że ludzkość podnosiła ciągle łzami zamglony wzrok ku niebu i z tej przepaści, w jaką zapadła, wołała głośno o lekarza, o przewodnika, o nauczyciela. I przyszedł wreszcie nauczyciel; był nim Jezus Chrystus!

Jezus Chrystns nie rozpoczął od tego, że zaczął dysputy naukowe albo od pisania prawniczych dzieł; rozpoczął od działania, od czynu. Nie tak zrobił, jak inni nauczyciele zwykli czynić; nie otoczył się gromadą chciwych wiedzy uczniów, których przywiązuje do nauczyciela czar jego słowa, przykuwa potęga jego wzroku, jego skinienie kieruje ich krokami. Jezus Chrystus nie w słowach się objawił, lecz w swoich czynach; jego nauka była najpierw historyą, potem stała się słowem i zamieniła się w teoryę. Teraz widzicie, zrozumiecie tajemnicze milczenie boskiego Zbawiciela w pierwszych trzydziestu latach jego życia; mógł spokojnie milczeć, bo jego cnoty mówiły głośno za niego.

Przypatrzmy się jego życiu w domu rodzinnym u boku Józefa i Maryi. Prawdę mówiąc domek ten, choć na pozór jest mieszkaniem rodziny, mało się jednak różni od stajenki Betlejemskiej; przez swoje ubóstwo prawie ją przypomina. Ale pod tym ubogim dachem skromnego rzemieślnika jakie znajdujemy bogactwa, jakie skarby! Jakąż rozkosz sprawia, widząc w tym świętym domu Jezusa, ćwiczącego się w wykonywaniu wielkich cnót ubóstwa pracy i posłuszeństwa! Ludzkość potrzebowała Boga ubogiego; zbyt wiele miała dotąd

sposobności podziwiać blask zewnętrzny bogactwa, zbyt wiele ceniono dotądzmysłowe używanie i rozkosz doczesną które wypływają z posiadania dóbr materyalnych. Bogactwo doszło w starożytności do absolutnego znaczenia, do wyłącznego panowania nad światem; starano się wmówić w siebie, że potrzeba wiele posiadać, aby być szczęśliwym bo zapomniano o tem, że właściwie etyczna wartość człowieka ocenia się miarą jego energii, jego siły, jaką wykazuje w walce z trudnościami i przeciwnościami życia. I to właśnie pokazał Jezus światu, rodząc się w ubóstwie. Móg przecież obsypać kołyskę swoją wszelkiemi dobrami, zdolnemi mu zapewnić niezamącone szczęście; ale nie! On wolał uchodzić za syna ubogiego cieśli i być w rzeczywistości synem ubogiej wyrobnicy. Przy warsztacie przepędzał życie swoje, wielkość swoją ukrył w cieniu ubogiego domku, i w ten sposób przygotował się do rzeczy wielkich.

Chciał Jezus Chrystus połączyć z ubóstwem także i miłość pracy. Pod tym względem musiał w nas przełamać odwrotne skłonności, naszą niejako niechęć do pracy. Ekonomiści i pisarze społeczni mogą co chcą pisać o pracy, wielbić jej piękność, wynosić i uwydatniać jej społeczną i ekonomiczną wartość; praca przecież nie straci nigdy charakteru trudu, charakteru przykrości i pewnego rodzaju poświęcenia, tych własności nie odbierze jej żadny moralista. Praca jest nużąca sama z siebie. A jakiż mamy tu na ziemi skuteczniejszy środek, do dojścia do doskonałości? Przez pracę zwyciężamy nasze złe skłonności, podbijamy materyę i czynimy ją podatną woli a skłonną do służby dla wyższych potrzeb. Z tego punktu patrząc, jest praca niezbędną. Cóż zrobił Jezus, aby pracę uczynić dla nas przyjemną, aby nas

skłonić do ukochania jej, do poddania się chętnie pod jej jarzmo? Stał się sam człowiekiem pracy i w dodatku nie wybrał takiego zajęcia, któreby mu mogło zjednać poklask i podziw świata; postawił się na najniższym stopniu, zaliczył się do najniższej klasy społecznej, słowem stał się robotnikiem i chciał w pocie czoła zarabiać na chleb powszedni. Czy ten wielki przykład pracy nie ma dla nas nic pociągającego? Kto teraz będzie się śmiał uskarżać na pracę, gdy Jezus Chrystus sam stał się robotnikiem, gdy syn Boży wybrał bez szemrania, życie pełne trudu i wszelkich niedogodności? Ci, których los zmusił do pracy, pojednają się teraz ze swym losem na myśl o trudach Jezusa Chrystusa; i gdyby tak wszyscy chcieli to samo myśleć, to kwestya socyalna zostałaby wnet rozwiązana, ta kwestya która zagraża porządkowi społecznemu i sprawia nam ustawiczne obawy.

Z tymi obu cnotami pracy i ubóstwa połączył Jezus Chrystus jeszcze inną cnotę; cnotę posłuszeństwa, cnotę zarówno trudną jak potrzebną, i którą właśnie w naszych czasach tak się rzadko spotyka. Wszędzie mówi się tylko o niezależności; ten zimny powiew niezależności powiewa nad ziemią, już nawet przekroczył poza progi ogniska domowego; wszędzie głoszą i sieją nauki przewracające przyrodzony porządek rodziny i społeczeństwa. Ale czy też wam nie nasuwa się teraz pewna uwaga? Dziś mówi się tyle o niezależności, ale czy nie spostrzegacie kto właściwie wśród nas i między nami rządzi? Duch niewolnictwa. Ludzie zrezygnowali z uczucia godności osobistej, potrafią zabić w sobie każde szlachetniejsze drgnienie, jeśli chodzi o dogodzenie ambicyi, interesom, lub nawet o zadowolenie próżności, pochlebianie namiętności; to dzieje się tak dobrze w klasach wyższych, jak

w niższych. Lud wybiera na swoich przewodników ludzi, którzy nie są godni jego zaufania, którzy nie dorośli do najwyższej godności, ale składa władzę w ich ręce, bo pochlebiają jego nizkim namiętnościom. W Chrystusie widzimy wzór spokojnego, a tak pełnego wdzięku w wykonywaniu cnoty zależności. Z pomiędzy trzech osób, składających świętą familię, ta, która piastuje najwyższą godność, jest poddana w posłuszeństwie rodzicom swoim. Wielkie musiały być cnoty i zasługi tego męża, którego Bóg wybrał na oblubieńca świętej dziewicy, ale czy jego zasługi można porównać z zasługami matki Boga, z wielkością Bożego dziecięcia? A jednak Józef jest tym, który rozkazuje: Marya i Jezus są mu posłuszni. Marya rozkazuje dzieciątku Jezus, a Jezus jest posłuszny; i jak doskonale jest posłuszny, z jaką żarliwością, z jak tkliwą czcią! Ale te rzeczy należy sercem rozważać, sercem pojmować, tylko oczami serca na nie spoglądać.

Dlatego, moi bracia, jeśli nas ogarnie duch buntu i przekory, jeśli w sercu naszem zupuści korzenie żądza zrzucenia ze siebie wszelkiego jarzma, jeśli nasza duma buntuje się przeciw posłuszeństwu, jeśli wszystko naokoło nas sprzysięgło się niejako, aby nas buntować przeciw wszelkiemu boskiemu i ludzkiemu autorytetowi, rzućmy jeno tylko wzrokiem na Jezusa, a spokój zawita wkrótce do naszego wzburzonego umysłu; błogi spokój zawita w naszem sercu i staniemy się na tyle silni, aby powtórzyć z Chrystusem: „Niech się dzieje wola twoja!“ Zaiste poddanie się ubóstwu, miłość pracy, która troszczy się sama o swoje potrzeby, uszanowanie dla władzy, i to uznanie wyższej władzy, które wypływa z poczucia prawdy i wewnętrznego przekonania, są to cnoty, które możemy obserwować w życiu Chrystusa od samych początków i które pozostaną zawsze przedmiotem naszego podziwu.

Ale przedewszystkiem musimy Jezusa obserwować przy wykonywaniu swego apostolskiego urzędu; pole jego działania jest tu znacznie obszerniejsze. Wybiła godzina, w której Jezus występuje na widok publiczny. Przyłączam się do ludu i postępuję zanim krok w krok. Gdy się go widzi, możnaby myśleć, że to taki sam człowiek, jak inni ludzie. Tymczasem, co za spokój niebiański wieje od niego! W całej jego istocie, w całem jego zachowaniu leży coś nieokreślonego, jakiś nadziemski urok, który nas porywa. Unosi się nad nim, nie wiem jak to nazwać: jakaś wzniosłość, jakaś wielkość, potęga i łaskawość razem złączone otaczają atmosferą, która go czyni raczej do anioła niż do człowieka podobnym. W jego rysach leży jakiś rzewny smutek, jakaś wzruszająca melancholia ofiary, wyraz tej ofiary, która się dobrowolnie skazuje na męki, rys, który podziwiamy w obrazie Rafaela, przedstawiającym dzieciątko Jezus; przez to właśnie obraz Rafaela ma niezaprzeczoną wyższość nad obrazami Murilla i Coregia, bo ci ostatni malują dzieciątko uśmiechnięte, radosne, podczas gdy Rafael daje się w swoim obrazie poznać jako głęboki teolog. Rafaelowski Chrystus zdaje się mówić: „Jestem ofiarą, która wzrasta, aby na krzyżu umrzeć za ludzkość!“

W jego czystych obyczajach odzwierciadla się cały blask nieba. Widzimy w nim duszę świętą, czystą, niepokalaną, słowem bez skazy, doskonałe wcielenie i wizerunek istoty boskiej. Niektórzy twierdzili, że Chrystus musiał wprost z nieba na ziemię stąpić, tak wielka była i niewzruszona czystość jego obyczajów, tak bardzo ludzie byli przekonani, że ta doskonała cnota nie może

być udziałem człowieka. A czegóżeśmy dożyli w naszych czasach? Dzisiaj chcemy przeciwnie zepchnąć Chrystusa z tej boskiej wysokości i policzyć go między ludzi! podoba się niektórym mówić, że boski Zbawiciel był tylko człowiekiem, wprawdzie wielkim, niepospolitym człowiekiem, że był altruistą, filantropem, słowem wielkim duchem. Jednak świętość Jezusa Chrystusa podnosi gwałtowny protest przeciw podobnemu twierdzeniu. Znamy wielkich ludzi, wielkich altruistów, wielkich filantropów; czemże są oni właściwie? Czy nie są często wielkimi nicponiami? Mają tylko więcej ducha jak ich otoczenie, powiedzmy raczej więcej sprytu i umiejętności korzystania z chwili, aby się wybić ponad tłum, a ten ostatni wielbi w nich bohaterów. Czy pomiędzy wielkimi zdobywcami, założycielami państw lub innymi ludźmi, jacy w historyi doszli do znaczenia, znajdują się tacy, których możnaby postawić obok Chrystusa? Czy znajdziecie choć jednego, któryby z nim wytrzymał porównanie? Zbadajcie ich działanie, ich cnoty i porównajcie je; czy znajdzie się choć jeden, któryby nie uczynił fałszywego kroku, któremuby nic nie można było zarzucić? Sokrates był wielkim bez wątpienia, jego śmierć była wzniosłą, ale czy zawsze w życiu swojem był bez skazy? Czy to nie obraza dla Zbawiciela porównywać go z synem Sofonika, o którego przymiotach tak mało słyszymy, a którego cnoty mają skryty ziemski charakter, czy mógłby on powiedzieć z Chrystusem: „Kto z was obwini mię winnym grzechu?“ Czy ziemia patrzała kiedy na podobny obraz etycznego piękna? Wystarczy tylko czytać ewangelię, aby przyznać, że w Jezusie były połączone wszelkie cnoty w najwyższym wprost boskim stopniu, a przytem tak znowu harmonijnie i w takiej równowadze, że tworzą prawdziwy ideał doskonałości, ów niedościgły ideał, jaki stworzyć może tylko Bóg sam. Prawdziwie, Jezus Chrystus jest jedynym człowiekiem, którego życie może się stać przedmiotem chwały i uwielbienia; w nim nie znajdziemy cienia i skazy, w nim jest wszystko światłem, wszystko oddycha spokojem i pogodą, powiedzmy dziewiczością.

Nadaremnie silą się ludzie dzisiejsi o sfałszowanie historyi Jezusa Chrystusa. Chrystus, którego uwielbiamy, to nie jest postać romansowa, stworzona legendarnie, taka jak ją przedstawia autor życia Jezusa, który jednak musiał Chrystusa podziwiać; to jest Chrystus ewangeliczny. Widzimy w nim zawsze połączenie natury boskiej i ludzkiej, obie występują wyraźnie obok siebie.

Natura boska objawia się w tej niepokalanej świętości; natura ludzka objawia się w prawdzie cierpienia i w rzeczywistości ofiary krzyżowej.

W całem życiu swojem jednego tylko przestrzega celu, szuka wszędzie i we wszystkiem chwały swego ojca, stara się go poznać, jego kochać, jemu służyć i przez to zbawić ludzkość. Jego cuda są więcej dowodem dobroci, niż mądrości, pokazują więcej serca niż wszechmocy. Przyszedłszy, aby zbawił grzeszników, nie wzdraga się zasiąść z nimi przy jednym stole i jeść z nimi. A gdy pycha gorszy się tem postępowaniem, daje za całą odpowiedź: „Nie przyszedłem aby uzdrawiać zdrowych, ale przyszedłem dla tych, co cierpią“. Grzesznikom zatwardziałym w grzechach, stawia przed oczy przykład syna marnotrawnego. Uczniom swoim, którzy żądają, aby spuścił ogień z nieba na dwa miasta, nie chcące go uznać i przyjąć, mówi: „Czy nie wiecie, jaki duch ożywia mnie? Nie przyszedłem, aby ludzi

gubić przyszedłem, aby ich zbawić". Faryzeusze usiłują go zmusić, aby na niewiastę cudzołożną wydał wyrok śmierci, ale on odpowiada: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamieniem".

Słowa jego nie są wyszukane, przeciwnie, przemawia zawsze z pełną prostotą; stosuje się zawsze do pojęcia ludzi, jacy go otaczają, wszędzie można w nim poznać syna Bożego, a brata swoich bliźnich. Szczególniej dzieci są przedmiotem jego czułej pieczołowitości i ciągłych błogosławieństw. Nieodpowiednie zachowanie się uczniów, ich nieświadomość nie zrażały go wcale; nazywa swoim przyjacielem nawet tego, który go zdradził, miłością swoją próbuje go nawrócić na dobrą drogę; gdy jeden z uczniów zaparł się go, rzuca nań wzrokiem pełnym miłości, a ten wzrok sięga do głębi Piotrowego serca i wyciska mu z oczu gorzkie łzy. Tylko dla obłudy jest nieubłagany, tę zwalcza wszędzie, tak samo nienawidzi pychy i skąpstwa. We wszystkiem pokazuje się prawdziwie wielki, prawdziwie boski. Zmęczony całodziennem kaznodziejstwem, wyczerpany obcowaniem z ludźmi, przepędziwszy cały dzień wśród nieszczęśliwych wszelkiego rodzaju, czyniąc dobrze każdemu, nie wypoczywa w nocy, ale trwa na modlitwie, polecając ojcu swemu niebieskiemu sprawę zbawienia i odkupienie ludzi. Popularny, ale bez poufałości, nie stara się o poklask tłumu, a jeszcze mniej o uznanie możnych. Kocha maluczkich i stara się ich wywyższyć — on podnosi ku niebu pochylone głowy, podnosi je z prochu ziemskiego w jasny blask niebieskiego światła, nie podkopując przez to porządku społecznego, ustanowionego przez Boga i nie buntując ubogich przeciw możnym, strzeże się łudzić ludzi fałszywemi obietnicami. Składa

siebie całego na ofiarę nie dlatego, aby gonić za popularnością, ale ponieważ grzechy ludzkie są wielkie. W chwili zapału lud chce go okrzyknąć królem; on wtedy ukrywa się. Zna obowiązki, jakie nakłada przyjaźń, dlatego pozwala Janowi spoczywać na swojej piersi. Ślepi, głusi, niemi, chromi wielbią jego dobroć, która dla nieszczęśliwych jest zawsze jednakowa. Wylewa gorzkie łzy nad nieszczęściem swojej ojczyzny i jakże chętnie zebrałby koło siebie wszystkich synów Izraela, aby ich doprowadzić do zbawienia!

Ale przedewszystkiem należy przypatrzeć się Jezusowi w godzinach jego męki, aby zrozumieć całą wielkość świętości jego duszy. Wprawdzie nieraz już widziała ziemia cnotę w walce z bezbożnością; ale nigdy nie widziano człowieka z taką godnością stojącego przed swymi sędziami, jak syn Boży przed swymi wrogami. Podczas badania zachowuje się jak najsprawiedliwszy z ludzi — bo takim był w rzeczywistości — z godnością Boga, który ani na chwilę nie zstępuje z wysokości swego bóstwa. Stojąc wobec wyraźnego oszczerstwa, przyjmuje postawę milcząca, otwierając usta tylko wtedy, gdy może potwierdzić prawdę. Uderzony w twarz, zadawalnia się tylko pytaniem, czy mówił fałszywie. Wleczony od sędziego do sędziego, widzi, że wszędzie uznają jego niewinność, ale ludzie mający w rękach władzę, chcą się go pozbyć i oddają go dlatego w moc rozpasanej tłuszczy. I cóż można pomyśleć o tych mężach publicznych, piastujących najwyższe urzędy, którzy tak są niegodni godności i charakteru, jaki reprezentują?

Wreszcie znajduje się w rękach swoich oprawców. Wloką go na górę Kalwaryi i jego święte nogi, które tyle się natrudziły, szukając owieczek zbłąkanych, przy-

bijają okrutnymi gwoździami do twardego krzyżowego drzewa; a te ręce, które każdemu spieszyły z pomocą, dla błogosławieństw zawsze otwarte, zamykają się na zawsze, bo i one także zostaną przybite do krzyża. Został mu jeszcze głos, którym się posługuje, aby powiedzieć, jak bardzo pragnie zbawienia dusz, zachował jeszcze wzrok gasnący, którym pociesza cierpiącą matkę swoją. Do jego ucha, które tak chętnie skłaniało się do próśb i słuchało skarg, dochodzą tylko obelgi i bluźnierstwa. Lud, który tak gorąco ukochał, żąda w szaleństwie jego śmierci; on, najlitościwszy, nie znajduje sam dla siebie u nikogo litości. I już umierając wstawia się jeszcze za tymi, którzy go krzyżowali i za tymi, co drwią z jego śmiertelnej walki.

Aby tak żyć i tak umrzeć, czy to wystarcza być tylko człowiekiem? Czy w tem życiu nie leży coś, co przenosi siły natury ludzkiej? Jest to życie niezrównane, przed którem albo należy oczy zamknąć, albo upaść na kolana, aby je uwielbiać?

I to jest ideał, który nam się ukazuje w całej swej piękności, i który od dziewiętnastu wieków wyzywa do walki obłudę i nienawiść; jest to najwyższy ideał porządku, sprawiedliwości i świętości. A tak wielki był wpływ Chrystusa na świat i na pokolenia, że zaraz od pierwszej chwili jego wystąpienia na świecie stał się Chrystus przedmiotem badań i naśladowania. „Żaden mędrzec“ powiada Voltaire „nie wywarł stanowczego wpływu na swoich współczesnych; Jezus Chrystus wywarł stanowczy wpływ na cały świat.

Od chwili poznania Chrystusa, spoglądała ludzkość z pogardą na te pęta, jakiemi skuta była z hańbą i bezprawiem, zapragnęła te kajdany rozerwać i zacząć

wolne życie. I ten postęp duchowy nie powstrzymuje się przez dziewiętnaście wieków, rozwija się wśród najrozmaitszych cywilizacyi, pod każdym klimatem on wywiera wpływ nie tylko na maluczkich, lecz i na wielkich, nie tylko na bogatych lecz i na ubogich, nie tylko na mędrców, lecz i na prostaczków.

Skorośmy się już zbudowali życiem Jezusa, zechciejmy teraz rozpatrzeć się i zapoznać dokładniej z jego nauką. Nie widzę potrzeby tłumaczyć wam lub wyjaśniać nauki Jezusa Chrystusa, bo Kościół ustawicznie to czyni, i wiecie aż nadto dobrze, co wam chcę powiedzieć. Ileżto już książek napisano jeszcze przed przyjściem Chrystusa o wielkich celach ludzkości? Ile to szkół pozakładano, które miały ludzi nauczyć mądrości? Ile to nocy strawili uczeni na studyowaniu człowieka i jego obowiązków względem Boga? A pomimo tego ileż niepewności, ile sprzeczności, ile ciemności panowało w pojęciu o tych najważniejszych zagadnieniach ludzkości? Noc była tak ciemna, że największe duchy zwątpiły, czy uda im się dojść kiedyś do światła. Wtem Jezus Chrystus ukazał się na świecie. Urodził się z narodu pogardzonego, z narodu, który miał pogardę dla filozofii, a dla wszelkich umiejętności pięknych był zupełnie obojętnym. Wychowywał się w Nazarecie, w mieście wzgardzonem z powodu ciemnoty swoich mieszkańców, nie uczęszczał do żadnej szkoły krom ciesielskiego warsztatu, nie miał innych nauczycieli, krom ubogiego wyrobnika. Jezus nie ma w Nazarecie żadnych związków z wyższą wiedzą, jest ubogim czeladnikiem, który żyje z pracy i potu swego czoła. Niema dla niego podróży, wysokich szkół, ani uczonych nauczycieli. Atoli zaledwie ukończył trzydziesty rok życia,

wychodzi z ukrycia, w którem żył dotąd, przestaje milczeć i zakłada państwo, o którem nikt przed nim jeszcze nie pomyślał: państwo światła, pokoju, miłości, jedyne państwo, które rozciąga się po całym świecie, które jednoczy wszystkich ludzi, jedyne państwo, w którem można być naprawdę szczęśliwym.

Gdzie też wzniesie Chrystus katedrę dla swojej nauki? Ateny i Rzym mają swoje wyższe szkoły, swoje akademie. Chrystus ma swoją akademię wszędzie: na ulicach, na brzegu morskim, na szczytach pagórków. Ile liczy uczniów? Filozofowie mają swoich uczniów swoich zwolenników; Jezus Chrystus wzywa do siebie wszystkich bez wyjątku. A jaką ma metodę nauczania? Czy może wspiera się na wiedzy? może pożycza od Sokratesa jego sławną metodę ironiczną, może naśladuje Platona i posługuje się czarem poetycznego stylu, może opiera swoją naukę na oryginalności Platońskich idei? Czy posługuje się mądrą retoryką; czy ujarzmia fantazyę słuchacza pięknem formalnem, poezyę, która opanować potrafi uszy, a w ślad za tem serce i umysł? Nie, żadnego z tych środków Chrystus nie używa. Temi metodami posługują się wszyscy, którzy chcą założyć szkoły filozoficzne, ale to nie jest metoda Jezusa Chrystusa.

Zrozumieć nie trudno, że człowiek, posługujący się metodą naukową musi się uciekać do analizy, że postępuje metodą indukcyjną, że wreszcie ucieka się do dyalektyki. Musi posługiwać się środkami, których udzielił Bóg ludziom dla zbadania prawdy. Ale czy tymi sposobami może się posługiwać nauka boska, czy słowa boże potrzebują ludzkiej pospolitej metody, aby się ludziom udzielić? Od Chrystusa nie mogli się ludzie spodziewać długich dyskusyi. Wiemy, że ruch jest jednem z praw

fizyologicznych; jesteśmy na świecie na to, aby iść naprzód i postępować do zamierzonego celu; ale cóżby się stało z naszym postępem naprzód, gdybyśmy tracili czas na dyskutowaniu tego prawa? Czy postępy na polu wiedzy leżą w zakresie poznania ubogiego ludu? Nie, nie taka jest metoda Jezusa Chrystusa. On zwraca się do wiary ludów. Jeżeliście czytali cokolwiek w księdze Ewangelii, to będziecie wiedzieli, że Chrystus dyskutuje mało; zadawalnia się twierdzeniem, a mianowicie twierdzi jak ktoś, kto wie, co mówi. Nie mniemajcie jednak, że jego twierdzenia nie mają podstawy, jego twierdzenia wspierają się na dowodach, które są proste, ale zupełnie przekonywujące.

Ten człowiek był ślepym od urodzenia, wszyscy go widzieli, bo mieli go ciągle na oczach; teraz widzi, bo ja tak chcę. Ów był chromym od urodzenia, także wszyscy go znali, bo ciągle obracał się wśród nich. Mówię do niego: „Wstań i chodź!“ i chromy wstaje, chodzi, bo ja tak chcę. Łazarz leżał umarły w grobie, ciało jego znajdowało się w stanie rozkładu; teraz żyje, powstał z grobu bo powiedziałem jedno jedyne słowo. Po tem co się widzi musi się wierzyć Chrystusowi, bo widzimy go ciągle działającego. Twierdzenia poparte takimi dowodami mnożą się na setki w jego księdze — to jest jego metoda; czy ta metoda nie najwięcej przystoi Boguczłowiekowi, który naśladuje w niej samego stwórcę?

Co mam powiedzieć o prawdzie jego nauki? Od dziewiętnastu stuleci jest już ta nauka przedmiotem badań i poszukiwań wszelakich, była i jest wystawiona na krytykę najostrzejszą; żadne ze słów ludzkich nie było w podobny sposób badane, nigdy nie było nic podobnie narażonego na różnorodne zarzuty, jak słowo

Jezusa Chrystusa. Począwszy od Juliana Apostaty aż do Voltaira i Straussa, nie oszczędzono niczego, ani ironii, ani pogardy, ani obelgi; próbowano wszelkich środków, nie zapomniano o niczem, aby zmniejszyć szacunek dla tej nauki, aby zburzyć jej wymowność. Nie brakło na niczem, ani na talencie ani na broni; tylko jedno nie dopisało, a tem jest zwycięstwo. Bywało już i to, że krytyka oszołomiona rezultatem odkryć i dumna ze swoich zwycięstw na polu wiedzy, wyszła ze zwykłej rezerwy i zanuciła pochwalny hymn na cześć niewiary, jedno i drugie zgniłe echo odpowiedziało i po wtórzyło ten głos. Ale okrzyki wierzących zdusiły te głosy, zagłuszyły te niewczesne okrzyki zwycięstwa i cały system znikł, jak znika noc przed światłem słonecznem. Zwyciężona w rezultacie, ale nie tracąca nadziei krytyka i w tej nadziei niezwyciężona, podjęła na nowo swoją pracę i nie pozostawiła niczego w spokoju, stawiała hypotezy, wymysły, zarzuty, nawet chytre wybiegi. Cała siła, do jakiej zdolnem jest serce nienawiścią tchnące i cała wytrwałość zazdrości, wszystko, na co się może zdobyć bystrość umysłu, wszystko podniosło głos przeciw nauce Zbawiciela, ale nikt nie doszedł nawet do cienia prawdy, nic nie upoważniło do twierdzenia, że ta nauka była kiedykolwiek w niezgodzie sama ze sobą, albo, że znaleziono bodaj ślad jakiś, wiodący do odkrycia drogi prowadzącej do fałszu. Jedyny i zupełnie odosobniony wypadek w dziejach i jedyne zwycięstwo! Jakiż musiałbym wystawić obraz, chcąc dać poznać te wszystkie błędy i zawikłania, w jakie wpadło tyle wybranych duchów ludzkości, te fałsze, w jakie te duchy się omotały! Poszukajcie poza nauką Jezusa Chrystusa chociaż jednego myśliciela bądź to w starożytności, bądź w naszych czasach, któregoby duch nie chwiał się; tylko Jezus Chrystus nie zachwiał się nigdy, i to właśnie dlatego, że był Bogiem.

Słowo Jezusa Chrystusa jest nietylko jedynie prawdziwe, ono jest także zupełne i doskonałe, bo odpowiada wszelkim potrzebom ludzkości; ono jest, było i zostanie na zawsze ostatniem słowem i odpowiedzią na te wszystkie pytania, które wchodzą w zakres moralności i religii; w niem znajdziemy wyjaśnienie najważniejszych kwestyi, jakie nie przestaną ludzkość zajmować. Kto lepiej mówił o Bogu, kto lepiej pojął Boga, jak Jezus? Kto nas lepiej pouczył o Jego nieskończonej istocie? On objaśnia nas w tym przedmiocie z całą naturalnością i prostotą właściwą tym, którzy wzrośli w tych rzeczach; to samo jużby wystarczyło, aby nam udowodnić jego bóstwo. Jedno jedyne słowo, pochodzące z jego ust, było wystarczające, aby zagrozić upadkiem starej cywilizacyi, a kazać powstać tej nowej, z której się dzisiaj chlubimy.

Zauważmy teraz, jak to pod wpływem pełnego miłości słowa Jezusowego świat się odmienia. Władza, którą dotąd uważano za przemoc siły brutalnej, staje się przedstawicielką Opatrzności Boskiej. Posłuszeństwo, uważane dotąd za obowiązek niewolnika, staje się wyrazem czci względem tego, który jest początkiem wszechrzeczy. Bogactwo zrozumiało, że ma tu na ziemi świętą misyę, że ma do spełnienia swoje zadanie, a ubóstwo nie zostało pozbawione wszelkiej nadziei. Należałoby przeprowadzić szczegółowe porównanie świata starożytnego z nowym, aby należycie zrozumieć wszelkie usługi, jakie nauka Chrystusowa oddała społeczeństwu ludzkiemu.

To nasze życie ziemskie nie może być ostatecznym

końcem wszystkiego; w piersi naszej żyje uczucie, które protestuje przeciw nicości, uczucie wybiegające, że tak powiem, poza granice życia, a sięgające do nieba – oczekujemy nieba, które nam przyrzeczono, jeśli zostaniemy wierni Bogu, tak, jak i piekła, jeśli umrzemy w grzechu. Czy jest gdzie piękniejsza, wznioślejsza, a zgodniejsza z rozsądkiem idea przyszłego życia, jak idea chrześcijańska? Prawda, że nauka chrześcijańska ma swoje tajemnice, ale ma te tajemnice tylko dlatego właśnie, że jest Boska. Czy Bóg ze wszelkich istot nie jest najtrudniejszy do pojęcia? Czy może jakaś nauka mówić o Bogu i nie być tem samem tajemniczą? Starożytnym kastom kapłańskim znane były wszelkie mity, wszelkie alegorye były dla nich zrozumiałe; tajemnice wiary świętej są tajemnicą także i dla kapłanów Chrystusowych, ponieważ są boskiego pochodzenia.

To co mówiły ludy, mówili także i mędrcy. Mędrcy postarali się o pochodzenie filozofii, prawodawstwa ludzkiego i ewangelii, ale rozum ludzki musiał tej ostatniej przyznać pierwszeństwo. „Jeżeli“ tak mówi jeden z myślicieli za dni naszych „poznam wiedzę i umiejętność pod przewodnictwem mędrców ziemskich, to napewno będę bardzo uczony, ale równocześnie bardzo smutny, bardzo melancholijny. Skoro jednak usłyszę owo słowo Chrystusa, to zdaje mi się, że z ciemności wyszedłem na światło, to słowo, które było pociechą młodości mojej, ogarnia mię całą swoją głębokością“. Tak, gdzie spotkamy jeszcze naukę, która pociesza maluczkich, oświeca wielkich, poucza ludzi o obowiązkach, prowadzi ich na drogę pracy i wskazuje im drogę ładu i porządku?

„Zauważyć chciejcie“, pisze Hegel, „jest jedna nauka, która stoi jeszcze na nogach, a to jest nauka

Jezusa Chrystusa“. Tak jest, moi bracia, tylko ta nauka zostanie żywotna w całym biegu stuleci; wszędzie przynosząc z sobą etyczną doskonałość, słowem cywilizacyę. Przez ośmnaście stuleci, podczas których stosowano tę naukę, nie uległa wcale przestarzeniu; ośmnaście stuleci ciągłych badań nie zdołały nic do niej dodać, ani niczego ująć, słowem nie uległa najmniejszej zmianie. Ta to nauka pochodzi od Chrystusa, który był Bogiem i człowiekiem.

II. Pewien sławny niemiecki racyonalista powiedział: „Uważając także i z punktu filozofii, jest chrześcijaństwo więcej aniżeli pojęciem, ono jest faktem oczywistym, a punktem środkowym tego faktu jest Jezus Chrystus“. Także i ja powtarzam wam, że Jezus Chrystus jest faktem, którego zaprzeczyć nie można, bez zaprzeczenia równocześnie faktom historycznym. Nikt nie śmie zaprzeczyć tego faktu, ale też nikt nie może go dostatecznie wyjaśnić, nie powiedziawszy: Jezus Chrystus jest Bogiem-człowiekiem.

Co też wiedza powiedziała o nauce Jezusa Chrystusa? Wobec postaci Jezusa Chrystusa nie można pozostać obojętnym; zostają tutaj tylko dwie drogi, albo go kochać i pójść za nim, albo go prześladować; albo go nienawidzieć, albo go wielbić. Nie chcę wam malować wszystkich walk, jakie toczyły ze sobą miłość i nienawiść w różnych czasach i podniebiach; chcę tylko zapoznać nas z tem, co mówiła i czyniła krytyka. Najprzód wiedza Jezusa wyśmiała. Taki Voltaire drwił z Chrystusa w słowie i piśmie. Ten filozof francuski obserwował Chrystusa i obchodził się z nim z tym samym sardonicznym uśmiechem, z którym go przedstawiają na nowszych obrazach. Nie można sobie nawet

Voltaira przedstawić inaczej, jak z tym szatańskim uśmiechem. Czasami zapominał o swojej roli i o tym uśmiechu, a posługiwał się inną bronią. „Wytępić tę infamię", wołał, aby zniesławić Chrystusa i jego kościół. Więc najszlachetniejsza krew Francyi musiała popłynąć, aby oczyścić ten kraj ze wstrętnych bluźnierstw tego racyonalistycznego filozofa. Francya została obmyta z brudów; ale nauka? Wiedza wzięła sobie to wprawdzie do serca, ale się nie nawróciła. Zrozumiała, że inaczej należy przystąpić do Chrystusa niż z sardonicznym uśmiechem na ustach, że musi się go brać poważnie, bo ludzie, narody, pokolenia nie tak łatwo odstąpią od Jezusa i nie bez wystarczających dowodów, że zostaną wierne religii, w której zostały urodzone i wychowane. Cóż zatem uczyniła wiedza? Zmieniła zupełnie metodę badania. Bez badania zaprzecza z góry nadprzyrodzonego pochodzenia historyi Jezusa, wcale się nie troszcząc o tyle wielkich duchów, które broniły nauki Chrystusa, ani o męczenników, ani na tyle świętych dziewic, które wszędzie po świecie głosiły naukę Chrystusa.

W Chrystusie odnajdujemy wszystko, co ludzka natura ma w sobie dobrego i doskonałego; między ludźmi niema większego, mówi pewien nowszy uczony. O czem musimy z tego wnioskować? Na pierwszem miejscu, że Jezus Chrystus nie był głupcem — przebaczcie mi to wyrażenie, które wasze uszy również obraża, jak pali moje usta. Jeżeli był wzniosłym wybranym duchem, to konsekwentnie nie mógł być oszustem i to na mocy uznania samej wiedzy, która mówi: „Chrystus był bohaterem wszelakiej cnoty, jakiego jemu równego nigdy nie było i nigdy żaden nie powstanie".

A zatem jeśli Jezus nie był oszustem, to musiał przecież wiedzieć co mówi i wierzyć w to co mówił. A mówił wyraźnie, że jest Bogiem; to twierdzenie da się udowodnić historycznie, gdyż mówił to wobec swoich apostołów, wobec całego ludu, przed sędziami swego kraju i właśnie za to poniósł śmierć na krzyżu. On wierzył w to, że jest Bogiem i dlatego był nim naprawdę, bo to przecież niepodobna, aby się w tym punkcie łudził; nie można się oddawać podobnej złudzie i uważać za Boga, nie będąc głupcem, a conajmniej szaleńcem.

Wiedza ludzka, zaprzeczając bóstwa Chrystusowego, daje tem najlepszy dowód jego bóstwa. Któżby pomyślał kiedykolwiek, że wiedza dojdzie do podobnych rezultatów? Dobrze panowie uczeni, postępujcie dalej tą drogą w waszych odkryciach, pozdrawiamy was z radością! pytajcie niebo i ziemię; nauczyliście nas tylko, że nie potrzebujemy się was obawiać. Postępy wiedzy, o ile nie są gołosłownemi hypotezami, muszą z czasem przyjąć i uznać boskość naszej wiary.

A teraz zapytuję: do jakiego wniosku musimy dojść po tych wszystkich dowodzeniach? Najprzód, gdy usłyszymy podobną wzmiankę, że Jezus Chrystus był człowiekiem, chociaż nikt nie przeczy, że był wielkim człowiekiem, mamy odpowiedzieć: Mówicie albo zadużo, albo za mało. Albo Chrystus jest Bogiem, albo waryatem, albo oszustem. Rzekniecie, że był głupcem? Ale tem samem twierdzicie, że głupiec może być największym mędrcem; to znaczy dowodzić, że głupiec może założyć państwo mądrości i rządzić niem przez przeciąg ośmnastu wieków; znaczyłoby to twierdzić, że głupiec może być królem wszechświata. I to nie tylko Chrystus byłby

głupcem, ale wszyscy jego zwolennicy, wliczając w to apostołów, żydów, pogan, którzy się nawrócili, wszystkie ucywilizowane ludy, artystów, wielkich uczonych, słowem trzebaby wszystko, co ziemia wydała wielkiego i niezwykłego, zaliczyć do rodzaju głupkowatych!

Albo mówicie może, że Chrystus jest oszustem? Czy wierzycie w to, że oszustwo może wlać w człowieka cnotę aż do heroizmu, a doprowadzić świętość aż do wyżyn męczeństwa? Nie, mądrość nie jest głupstwem, a sprawiedliwość i cnota nie są oszukaństwem! Dlatego musicie raczej milcząco wykrzyknąć wraz ze świętym Augustynem: „Jezus Chrystus oświadczył, że jest synem Bożym, dlatego wierzę w to, wielbię go i czczę!"

Drugi wniosek, do jakiego musimy dojść, jest, że pomimo wszystko, co czytamy w czasopismach, w dziennikach i w książkach przeciwnych wierze, mimo wszystkich potwarzy, jakiemi wiedza może obrzucać postać Chrystusa, powinniśmy wiernie i stale trwać we wierze, w niej żyć i umrzeć.

Po trzecie powinniśmy być dumni z naszej wiary, a mianowicie, dumnymi powtarzam, ale nie w ten grzeszny sposób, lecz z wdzięczności ku Bogu, który nam dozwolił urodzić się i wychować w prawdziwej wierze.

A w końcu muszę z całej siły, z całej duszy, z całego serca obstawać przy tem, abyście się modlili do Jezusa, modlili do Boga prawdy i miłości, aby raczył oświecić wszystkie dusze, a wzruszyć wszystkie serca. Módlcie się, by Jezus wyrugował z nas wszelką nienawiść, aby nas wszystkich połączył związkiem najczystszej miłości! Módlcie się, aby wszystkie stworzenia uwielbiały dobrotliwego Boga na niebie i jego boskiego

Syna, Jezusa Chrystusa, którego Ojciec przedwieczny przysłał na świat dla naszego Zbawienia!

A Ty, Panie Jezu, panuj nad światem, panuj nad rozumem, na co jedynie zasługujesz przez swoją prawdę, panuj nad sercem, na co zasługujesz przez Twoją miłość. Wylej na wszystkich ogień Twojej boskiej miłości, oświeć promieniami Twojego światła! Niech Ojciec niebieski pomaga, aby wszyscy poznali Twoją sławę, Twoją chwałę, tak Ty, Słowo wcielone głosiłeś chwałę i sławę wiekuistego ojca i światu ją objawiłeś. Potrzebujemy prawdy przedwiecznej, aby świat zbawić na nowo – potrzebujemy znowu połączenia z Bogiem, abyśmy się na nowo uświęcili. Wysłuchaj tej modlitwy o Panie Jezu! Połącz nas wszystkich w poznaniu prawdy, w czynieniu dobrze; uczyń z nas jeden lud, połączony Twoją miłością, abyśmy, którzy skosztowali już tu na ziemi słodkich owoców zgody i miłości, mogli się wiecznem szczęściem z Tobą cieszyć w niebie na wieki.

VII.

O miłości Jezusa Chrystusa.

Podnoszę ponownie mój głos i pytam: „Czy Jezus Chrystus jest Bogiem“? Tak, odpowiada biblia; ona już przedtem naszkicowała, że tak powiem jego obraz, aby go ludzie poznali w dzień jego przyjścia. Tak, odpowiada ewangelia; ona podaje nam obraz malowany ręką tych, którzy go widzieli i którzy z nim mówili. Tak, odpowiada Kościół, on go posiada, strzeże go niejako zazdrośnie przed każdym atakiem ze strony nieprzyjaciół, i trzyma go podniesionego wysoko przed oczyma całego świata. Tak, odpowiada także wiedza; bo inaczej musiałaby się zgodzić na to, że Chrystus był szaleńcem lub oszustem. Tak, odpowiada zdrowy rozsądek ludzki, bo inaczej należałoby wnieść do wiary i ofiarności tylu bohaterów chrześcijańskich, do miłości i całej istoty wiary chrześcijańskiej element głupstwa lub fałszu — z tych elementów takie rezultaty powstać nie mogły. Kłamstwo i oszustwo zasiadałoby w taki sposób w Kościele, na konsyliach, które oświecają kapłanów, u apologetów, którzy Kościoła bronią; głupstwem byłyby domy boże, które się wznoszą aż ku niebu, głupstwem krzyż, który zdobi ich wieże, a który czczą

tłumy wiernych; głupstwem byłyły słodkie wzruszenia i uczucia naszej pierwszej komunii, głupstwem cały nasz urząd apostolski, głupstwem najwyższa stolica św. Piotra i głupcami wszyscy, którzy ją otaczają i słuchają jej wyroków. Wszędzie naokoło kłamstwo, dokąd dochodzi głos ludzki, gdzie stąpi noga ludzka — kłamie człowiek udzielający chrztu, i ten, który go przyjmuje; kłamstwo i głupstwo mówią przez tego, który słowem Chrystusowem posila duszę umierającego na drogę wieczności, w kłamstwie i głupstwie umiera ten, który w tej ostatniej i najważniejszej chwili w Chrystusa ufa i wierzy. Kłamstwo rządziłoby w rodzinie, w państwie, w społeczeństwie, słowem w całym świecie; i to kłamstwo rządziłoby światem już 1908 lat, a w dodatku trwa jeszcze dotąd i ma trwać na wieki.

Jeśli to wszystko jeszcze nie dosyć, jeszcze nam nie wystarcza, zostaje jeszcze inny, najsilniejszy dowód. Ten dowód ostatni powinien nas tak ściśle połączyć z Jezusem, jak połączona jest atmosfera świetlna z ciałem niebieskiem, które otacza; ten dowód jest tego rodzaju, że nie możemy wzrokiem rzucić na Chrystusa, nie uczuwając niezbitego przeświadczenia, że Jezus Chrystus jest Bogiem-człowiekiem. I jaki to dowód? Jeśli będziecie łaskawi słuchać mię z tą samą uwagą, którą mie dotąd dobrotliwie darzyliście, to się tego dowiecie.

I. Który to dowód? pytacie z niecierpliwością, łatwo zrozumiałą. Postawmy najprzód argument. Jezus Chrystus jest równocześnie Bogiem i człowiekiem, prawdziwym Bogiem i prawdziwym człowiekiem, doskonałym Bogiem i doskonałym człowiekiem, jedno z ojcem swoim w niebie i zarazem jedno z naturą ludzką tu na ziemi. Tak więc objawia nam się Jezus Chrystus w swo-

jem bóstwie i w swojem człowieczeństwie. I co z tego wypływa? Jeżeli Jezus jest Bogiem prawdziwie, jeżeli on jest jedno z ojcem swoim w niebiesiech, czy myślicie, że można kochać Jezusa Chrystusa nie miłując równocześnie Boga? Czy sądzicie, że można miłować Boga, nie miłując Jezusa? „Ja i ojciec jedno jesteśmy“ powiedział nasz boski Zbawiciel „kto mnie miłuje, miłuje i ojca, a kto się mnie zaprze, zaprze się i ojca mojego, który jest w niebiesiech“. Tej podwójnej miłości nie podobna rozdzielić, ani da się o tem pomyśleć! Jeśli następnie Jezus Chrystus jest Bogiem, i to prawdziwym Bogiem, ponieważ jest on jedno z ojcem swoim w niebiesiech, czy ten, który nienawidzi Jezusa nie musi nienawidzieć Boga? A ten, kto nienawidzi Boga, czy nie musi nienawidzieć Chrystusa? Tak więc miłość i nienawiść Chrystusa są miernikami miłości i nienawiści Boga, a miłość i nienawiść względem Boga są miernikami nienawiści i miłości względem Jezusa.

Ten sam argument da się zastosować względem Chrystusa, uważanego jako człowieka; czyli, że Jezus jest nietylko Bogiem, ale także człowiekiem, a mianowicie absolutnem wcieleniem człowieczeństwa. Kto zatem miłuje Jezusa, to miłuje z konieczności cały rodzaj ludzki, który Jezus wciela i uosabia w sobie; i odwrotnie, ten kto czuje nienawiść ku Jezusowi, musi konsekwentnie dojść do tego, że czuje nienawiść dla ludzkości całej. Zatem więc, skoro tak się rzeczy mają, należy nam wnioskować, że nie można Jezusa miłować lub nienawidzić, nie żywiąc tych samych uczuć dla Boga i dla całego rodzaju ludzkiego.

Gdy Jezus na krzyżu oddał ducha swego w ręce ojca, zaszczepił u stóp krzyża świętego dwa wspaniałe kwiaty: z krzyża wyrosła ta podwójna miłość, miłość dla Boga i miłość dla rodzaju ludzkiego. Tę dwojaką miłość nosił on zawsze w swej piersi, wzrosła z nim razem, a pierścieniem łączącym obie jest jego osoba boska. Kto Jezusa kocha, miłuje Boga, miłuje ludzkość i te oba uczucia idą zawsze w parze ze sobą i w równej są mierze. A teraz zobaczmy, jak bardzo to zdanie się sprawdza.

Pewnego dnia powiedział Jezus do ludzi: „Masz mię kochać z całego serca twego, z całej duszy twojej, ze wszystkich sił twoich, chcę poddania twojej wiary, chcę twojego rozumu, chcę twojego serca“. Co Jezus uczynił, aby utrwalić tę wszechmoc, to nieprzezwyciężone panowanie, o jakiem dotąd nikt nie myślał, które miało trwać przez cały szereg stuleci i przetrwać tyle generacyi ludzkich, które go tak miłowały, jak nikt jeszcze dotąd miłowanym nie był? Człowiek potrafi przywiązać do siebie tłumy, przez obietnice, przez ogień swojej wymowy, przez urok swojego spojrzenia. A któryż z tych niezawodnych środków posiadał Chrystus? Na czem polegała jego zewnętrzna świetność? Zrodzony w stajni, żyjący w cieniu, wzrosły wśród twardej pracy, zmarły na krzyżu między dwoma łotrami, jakie może dać obietnice uczniom swoim, oraz tym, którzy go miłują i podziwiają? Nienawiść, prześladowanie, śmierć! Czy może być program życiowy gorzej pomyślany i mniej obiecujący? Aprzecież Chrystus miał odwagę plan taki powziąć, i pomimo tego był miłowany. Wszyscy mają tylko jeden głos, aby zawołać wraz z apostołem: „Panie, ty wiesz, że ja cię miłuję“.

Opowiadają, że wielki więzień z wyspy św. Heleny, znajdował upodobanie w długich rozmyślaniach i przed oczyma duszy jego przesuwały się wszystkie wielkie

osobistości historyczne; a gdy zobaczył jaśniejącą postać Jezusa Chrystusa, stojącą przed oczyma ducha swego, miał wykrzyknąć: „Patrz, oto jest ten, który się ludzkości kochać kazał“! Zapewne uważał ten wielki człowiek miłość ludzką za najwyższy atrybut ludzki i pragnął w historyi wyśledzić osobistość, któraby się bez zastrzeżeń kazała miłować — niestety między wodzami, zdobywcami, między wybitnymi umysłami nawet, niema takiego — jeden Chrystus może się tem pochwalić, że czyniąc dobrze jednym, nie krzywdził drugich — słowem, Chrystus był jeden absolutnem dobrem. „Ten, który się kazał ludzkości kochać“! Wspaniałe słowa! I ludzkość poświęciła też Jezusowi taką miłość, której trwanie jest bez końca i tylko z głębią bez końca może być porównana.

Czy jest jaki kraj na ziemi, chociażby jeden zakątek na wielkim chrześcijańskim świecie, gdzieby matka siedząc nad kołyską dziecięcia nie powtarzała słodkiego imienia Jezus — gdzieby nie uczono dziecięcia wymawiać to imię święte niewinnemi usty? Czy jest miejsce na ziemi, gdzieby umierający nie miał na wargach tego imienia, jako oznaki nadziei i otuchy w przebaczenie? Gdy królowie ziemi powstają do walki, aby stoczyć bitwę Bożą, rzucają się tysiące wojowników do stóp Jezusa i wołają z głębi serca: „Oto nas masz Panie, rycerzy twoich, za ciebie idziemy na życie i na śmierć“! Narody powstają, ludy idą pod broń, królowie, rycerze i książęta gotują się do wojennego marszu z okrzykiem: „Bóg tak chce“! I gdzież dążą? Oto dążą oswobodzić z rąk niewiernych ów grób święty, który zamykał ciało Chrystusowe.

W późniejszych czasach spieszą wierni ze wszystkich części świata na górę Kalwaryi, do ogrodu Getsemani, aby pocałunkiem uczcić tę ziemię, na której odbiły się ślady jego stóp, aby dotknąć się tej ziemi, która skąpała się w jego łzach, spłynęła jego krwią, zrosiła się jego potem. Rozliczni mowcy wysilają się, aby godnie uczcić jego cnoty, malarze wzywają na pomoc całą siłę fantazyi i natchnienia, aby zdobyć się na jego godny obraz, a rzeźbiarze, aby postać jego utrwalić w marmurze; artyści wszelkiego rodzaju pracują na wyścigi nad pokonaniem martwej natury, nad obrobieniem twardego kamienia, który drży niejako w radosnem wzruszeniu pod uderzeniem młotów robotniczych i piętrzy się w niebotycznych sklepieniach ku niebu, podnosząc serca ludzkie do Boga. Te wspaniałe katedry, któremi zaludnione są wszystkie miasta cywilizowanego świata, są żywymi pomnikami wiary i miłości.

Można powiedzieć, że prawie kroku nie da się zrobić, nie napotkawszy krzyża; stoi on zarówno nad brzegiem przepaści, jak i na wybrzeżach morskich, na równinach rozciąga błogosławiące ramiona i pod jego cieniem piętrzą się góry niebotyczne. Świątynie krzyża spotykamy wśród pustyń; na samotnych wyspach oceanu. Od lasów dziewiczych nowego świata, aż do hałaśliwych stolic Europy dochodzące głosy, łączą się w potężnym, a słodkim hymnie miłości, mającym na celu głosić i rozszerzać wiarę i sławę Jezusa.

Jezus Chrystus jest dalej symbolem jedności. Narodowość, mowa, różność interesów materyalnych, dzielą ludy i częstokroć wrogo względem siebie usposabiają. Ale niechno jakieś niegodne pióro ośmieli się Chrystusa napaść i znieważyć, to stajemy wszyscy jak jeden mąż, wszyscy połączeni jednem hasłem do wspólnej walki;

zdawałoby się, żeśmy wszędzie doznali trzęsienia ziemi, jak gdyby iskra natchnienia poruszyła umysły wszystkich, jak gdyby jedna myśl, jedno uczucie zagościły w sercach ludzkości.

Zaprawdę, nikt nie może pozostać obojętnym względem Chrystusa, albo trzeba mu przynieść miłość, albo nienawiść. Miłość ta, która nie dała się zamknąć w obrębie przestrzeni, przestąpiła także i granice czasu. Przed dziewiętnastu wiekami prawie został Chrystus do krzyża przybity; zanim wyzionął ducha, powiedział te wzruszające słowa: „Przyszedłem przynieść ogień na ziemię, i nie pragnę, jeno aby się palił“. I ten ogień rozpalił się, jak to Chrystus przepowiedział; nie tylko się rozpalił, ale nawet rozszerzył się w potężny pożar. Wiekowa walka, uprzedzenia i fałsze, różnice i rozdwojenia egoizmów, nie zdołały tego ognia nietylko zagasić, ale nawet oziębić. Nie lepiej poszło usiłowaniom schizmy, herezyi, bezbożnościom wszelkiego rodzaju. Udało się Focyuszowi oderwać wschód od Kościoła, nie potrafił jednak wyrwać z serc ludu wizerunku Jezusa Chrystusa. Henryk ósmy zapewne dość spustoszył Anglię schizmą i herezyą, ale duch Jezusa Chrystusa nie przestał dotąd unosić się nad tym potężnym narodem. Luter rozerwał związek jedności między wiernymi zachodu, ale wiara w Jezusa przecież dotąd ożywia mieszkańców Niemiec. We Francyi, Voltaire i Rénan usiłowali zniszczyć miłość Jezusa, ale ci obaj filozofowie przeszli, a Chrystus pomimo wszystko jest we Francyi miłowany; to przeświadczenie zmusiło Renana do wyznania, które uczynił: „Chrystus jest obecnie jeszcze więcej miłowany, niż za życia“. I cóż zdołają niewiara, obłęd lub nienawiść przeciw Chrystusowi? Mogą co najwyżej wydrzeć

Jezusowi jedno miasto, jeden kraj, jeden naród; mogą zburzyć jego ołtarze, zdruzgotać na kawałki jego krzyże, podrzeć na strzępy ewangelię, naukę jego rzucić na wiatr; ale podczas gdy wrze najzaciętsza walka, gdy szaleje burza, gdy mnożą się ruiny i zgliszcza zbliżają się ku Chrystusowi inne tłumy, przyjmują chrzest i znaczą czoła swoje znakiem krzyża świętego. Prześladowanie było i jest najskuteczniejszym posiewem wiary. Odstępstwo jednego narodu neutralizuje się nawróceniem innego; jeżeli pewna cywilizacya, wyrzekając się wiary, powraca do stanu barbarzyństwa, to zaraz występuje z drugiej strony morza jakiś nowy naród, który ze stanu dzikości wyzwala się przez chrzest i wstępuje w szeregi narodów kulturalnych, zapełniając przerzedzone szeregi; dzicy zajmują miejsca apostołów; mieszkańcy dziewiczych puszcz zaczynają nucić hymn miłości i niosą wysoko chorągiew krzyża — i tak panuje nieprzerwanie nad światem wiara Chrystusowa. Jeśli któryś naród nie chce być posłusznym jego prawom, wtedy bierze Chrystus do ręki krzyż, godło swoich tryumfów i swoich boleści, i mówi do swoich apostołów: „Naprzód, spieszcie pomiędzy ludy, które mię jeszcze nie znają!“ Apostołowie zaszczepiają drzewo krzyża na nowym gruncie, ono wzrasta, a nowe tłumy gromadzą się koło niego, padają przed nim na kolana i wielbią go.

I jakże nie kochać tej miłości, którą nawet czas, co wszystko burzy, tylko powiększyć może? Nie słyszeliśmy głosu jego, nie dano nam było widzieć jego cudów, nie przysłuchiwaliśmy się jego nauce; daleko stoimy poza jego życiem ziemskiem, a przecież my miłujemy go! Od czasów jego urodzenia doznała ziemia niejednego wstrząśnienia, znikły rozliczne państwa i republiki, niejedna

katastrofa spadła na głowy ludów. Ale poprzez szybko mijające stulecia, poprzez spieszące w ciągłym pościgu pokolenia ludzkie, błyszczy świetnie, jaśniejąc wizerunek Chrystusa, i chociaż oddaleni jesteśmy wiekami od niego, jednak przynosimy mu dar czysty i najlepszy, na jaki nas stać, naszą miłość.

A teraz zwróćmy uwagę na tę piękną historyę miłości ludzi ku Jezusowi. Najlepszym probierzem miłości jest ofiara. Widzimy najpierw apostołów, wystawionych na największe męczarnie, bitych, siekanych rózgami, znoszących wszelakie obelgi; idą oni chętnie na cierpienia, radując się, że uznano ich godnych cierpieć za Jezusa. Aby wyrazić tę miłość, na to nie wystarczy zwyczajna mowa ludzka; apostoł znajduje na to wyraz odpowiedni, wykrzykując: „Żyję, ale nie ja żyję, lecz Chrystus żyje we mnie“!

Oto znajdujemy się w Koloseum rzymskiem. Kto jest ten starzec, który wyprostowany stoi w samym środku areny? Jaki nieziemski zapał, jaki natchniony ogień błyszczy w jego wzroku, a jaka rzewność dźwięczy w jego słowach, zda się mówić: „Jestem ziarnem pszenicznem Bożem, muszę najprzód zostać zmielonym zębem dzikich zwierząt, abym został znaleziony, jako czysty chleb Chrystusów“! To jest miłość ku Jezusowi, która osładza każde cierpienie i przynosi ulgę każdej męczarni.

Kto jest owa dziewica, tak anielsko piękna, a tak niebiańsko czysta? Syn prefekta miasta ujrzał ją i został oczarowany jej wdziękiem; ale ona odpycha go, oświadczając mu, że innemu oblubieńcowi jest poślubiona, ona poślubiła się Jezusowi Chrystusowi; i nucąc wspaniały hymn weselny, oddaje radośnie swą niewinną głowę

pod miecz katowski. „Ona oszalała“! Prawda, ona oszalała, ale z miłości ku Jezusowi.

Patrzmy na tę matkę, otoczoną siedmiu synami, która stoi przed sędziowskiem krzesłem tyrana? Porywają jej pierwszego i zabijają w jej oczach, ofiaruje go dla Jezusa; również drugi ginie w straszny sposób przed jej oczami; i tak jeden po drugim aż do siódmego, ostatniego, wszyscy zostają wymordowani. Jakto, nawet tygrysica broni zajadle swoich młodych, a ona oddaje radośnie wszystkich swoich synów? Został jej jeszcze syn siódmy, wątła, słaba dziecina; matka drży i zaczyna się obawiać, ale nie dlatego drży, że malec ma pójść na śmierć; ona obawia się, żeby mu nie zbrakło odwagi, i w tej ostatniej chwili mówi mu o swojej miłości, o swojej trosce, pokazuje mu niebo, które go czeka; niesie go własnemi rękami na męczeństwo. Oto macie przykład miłości ku Jezusowi, doprowadzonej prawie aż do szaleństwa.

To co widział Rzym pogański, nie ustało z biegiem czasów; mogło zabraknąć oprawców, ofiar nie zabrakło nigdy. Miłość ku Jezusowi zapalała niewidzialne stosy, stawiała krzyże, na których było słodko umierać; poddawała w usta ludziom słowa, jak te św. Jana od krzyża: „Panie, czego pragnę od ciebie, jest, być pogardzonym dla imienia twojego“. Zaiste, miłość ku Jezusowi dodawała męczennikom sił do zniesienia męczarni, ona kształciła święte dziewice, stworzyła całe legiony świętych ona bladością powlekała czoła oprawców, a w drżenie wprawiała tyranów. Dlatego najlepiej można całą historyę miłości Jezusa Chrystusa streścić w słowie św. Pawła: „Miłość Jezusa przez nas“. To jest okrzyk apostoła, który dąży do odległych krajów, aby zanieść plemionom pogańskim światło chrześcijańskie, które mu za to zgo-

tują tylko męczarnie. a może nawet śmierć. Ten sam jest okrzyk najczystszej dziewicy, która na widok braci idących na zatracenie, sama siebie oddaje na ofiarę Bogu. To jest okrzyk niewinności, która przekłada ciszę i milczenie murów klasztornych nad zaszczyty i poklask świata: To jest wreszcie hasło każdego. który jest gotowy oddać każdej chwili swój dobytek, swoje życie na ofiarę Panu, całą swoją istotę służbie jego poświęcić.

W historyi znajdujemy takie ofiary, które nie w miłości Jezusa mają źródło swoje, ale nie potrafiłbym nigdy zrozumieć, odrzuciwszy miłość, jak św. Franciszek z Assyżu mógł zapraszać kwiaty na łące lub ptaszki leśne, aby z nim razem śpiewały chwałę Zbawcy. Nigdy nie zrozumiem inaczej, jak owa wielka włoska święta mogła zdjąć z czoła swego boskiego oblubieńca koronę cierniową, aby jej dać pierwszeństwo przed koroną uwitą z róż. A dzisiaj jeszcze, czy nie miłość Chrystusowa wlewa w serca bogatych litość względem ubogich, a biedakowi daje cierpliwość i poddanie się; czy nie miłość daje siłę tak wielu wśród nas do wytrwania na tej drodze kalwaryjskiej, która się życiem zowie? Czy nie miłość Chrystusowa pozwala nam zwalczyć nasze namiętności, naucza nas iść wiernie drogą obowiązku. Nie mówcie mi więcej, że Jezus Chrystus został już dawno typowo przedobrażony, że go prorocy przepowiadali a narody oczekiwały, nie mówcie że aniołowie przy jego narodzeniu śpiewali niebieskie pieśni, że przy jego śmierci skały się rozpadały; nie, jest jeszcze coś wznioślejszego niż te wszystkie cuda! Jezusa Chrystusa ludzkość miłuje! Czegóż potrzebujemy jeszcze więcej? Jezus Chrystus kochany jest na wschodzie i na zachodzie, na południu i na północy; kochany jest taką miłością, która przewyższa każde słowo, każdy wyraz czułości, która przenosi wszelką ofiarę. Na widok tej miłości, która tak głębokie korzenie zapuściła w sercach ludzkiego rodzaju mógł Napoleon powiedzieć: „Ja, który tak dobrze znam się na ludziach i rozumiem ich, ja mówię wam, że Jezus Chrystus jest więcej niż człowiekiem, Jezus Chrystus jest Bogiem“. A jeśli się spytacie świętych dla kogo cierpią, dla Jezusa czy dla Boga, to pospieszą z odpowiedzią: „Dla obu, bo oni są jedno“. Przedmiot ich miłości nie da się podzielić; a ta właśnie identyfikacya miłości dla Jezusa z miłością ku Bogu, jest rozstrzygającym dowodem serca, że Jezus Chrystus jest Bogiem.

A teraz przejdźmy do miłości względem ludzi. Równocześnie w tym samym czasie, gdy Jezus nauczał miłości Boga, sam będąc Bogiem, nauczał także równocześnie miłości ku ludziom, bo sam był człowiekiem. Od początku świata nazywał człowiek taką miłość, która dochodzi aż do ofiary samego siebie wyrazem „Głupstwo“. Zdumienie świata było zatem wielkie. Tak często mówiono; „Jak mamy kochać Boga, którego przecież nie widzimy?“ Mógłbym powiedzieć z daleko większą słusznością: „Jak mamy kochać ludzkość, skoro widzimy człowieka w całej jego nędzy?“ A jeśli dodają znowu: „Jak zdoła to sprawić Bóg, który jest ukryty przed oczyma naszemi, oddalony od nas, niewidzialny, że nasze serce wzrusza się miłością ku niemu?“, to dodaję ja znowu: „Jak zdoła to sprawić ludzkość tak nas blizka? Ta chora, grzeszna, nieszczęśliwa, ranami i wrzodami okryta ludzkość?“ Gdzie była miłość ludzi przed Jezusem Chrystusem? Gdzie była miłość bliźniego? Co

mówią o niej starzy nauczyciele? Co mówią o niej starożytni poeci i filozofowie? Nie chcę twierdzić, że wszyscy oni nic zgoła o miłości bliźniego nie mówią. Są w niektórych wyjątkach z pism filozofów wzmianki co do gościnności, jest mowa nawet o miłosierdziu; mówią o tem Cycero i Seneka, chociaż ostatni jest cokolwiek podejrzany, bo już za jego czasów postawiło chrześcijaństwo stopę swoją na świecie pogańskim. Ale cóż mogły te oderwane zdania, te chwilowe porywy najszlachetniejszych jednostek, te wyrazy powtarzane bezmyślnie w szkole przez uczniów naprzeciw wykształconej teoryi egoizmu, naprzeciw tej zatwardziałości serc, która wówczas rządziła światem? Etyka świata starożytnego była odwrotnym biegunem etyki chrześcijańskiej. U poetów czytamy takie rzeczy o ubóstwie, o niewolnictwie, o kobiecie, które nas przejmują dreszczem zgrozy. Czy to nie wielki Kato, ten surowy Kato żądał, aby starych niewolników jak stare woły sprzedawać? Czy nie wielki Seneka chwalił i żądał, aby słabe dzieci gładzić ze świata i powiedział przytem owo twarde zdanie, że to jest rzeczą rozumu nie serca? A czy Galeriusz, jeden z okrutnych, a okrutniejszą jeszcze filozofię wyznających cesarzy, nie kazał łapać ubogich na obszarach państwa rzymskiego, aby ich potem w morzu utopić? Taka była przed Chrystusem miłość człowieka, taka była miłość bliźniego przed przyjściem Odkupiciela.

Zaledwie Chrystus skonał na krzyżu za wybawienie rodzaju ludzkiego, powstaje na świecie nowa ludzkość, zostaje założonem nowe państwo, w którem zakwita ideał czystej, bezinteresownej miłości człowieka dla człowieka, ludność zapoznaje się z nowem uczuciem, z miłością bliźniego. Świat niezdolny na razie pojąć

i ocenić tej miłości, odpycha ją natychmiast daleko od siebie; aby ją wykonywać, muszą wyznawcy Chrystusa ukrywać się pod ziemią. Zaledwie świat znalazł tę perłę cnót wszelakich, zaczyna się zaraz epoka katakomb, era męczenników; miłość bliźniego rozwijała się wśród szczęku mieczy, oprawców, wśród mąk i śmierci. Godnym uwagi i szczególnym był ten opór świata przeciw tej miłości. Wszystko wystąpiło do walki przeciw niej, obyczaje, urządzenia, przesądy, uprzedzenia, przyzwyczajenia, filozofia, ludy, cesarze, słowem wszystko. Lecz nie obawiajmy się! Walka jest wprawdzie nierówna; po jednej stronie świat stary z całą ufnością i wiarą w siebie, z całą potęga zła; po drugiej stronie słabość siły fizycznej, ale potęga czystej miłości Jezusa Chrystusa — i zwycięstwo musi się przechylać na stronę tej miłości! Stare społeczeństwo rzymskie sporządza światu nowe widowisko. Widzę teraz społeczeństwo, w którem człowiek jest szanowany jedynie dla swej ludzkiej godności; w dziecięciu i kobiecie zyskuje szacunek sama słabość dla swojej słabości; widzę społeczeństwo, w którem zaczyna się pojmować, że i niewolnik ma duszę, która jest najwyższem prawem i podstawą równości pomiędzy ludźmi. Raz wszedłszy na tę drogę nie zna miłość spoczynku, nie zważa na granice krajów, na różnicę narodów; rozszerza się ona po świecie, aby go uszczęśliwić swemi dobrodziejstwami, aby mu pokazać, że podług słów poety Wirgilego „nowe plemię zstąpiło z góry na ziemię“. Zaledwie apostołowie przełamali chleb miłości, gromadzą się zaraz przy ucztach braterskich maluczcy, ubodzy, wydziedziczeni całego świata. Święci nauczyciele kościoła, spadkobiercy apostołów, dają sami przykład braterskiej miłości, naśladując w tem swoich

mistrzów. Na ich słowo wznoszą się szybko klasztory, domy dla sierót, ubogich i cierpiących, a te zakłady pobożne stają się, moi bracia, widowiskiem dotąd niewidzianem, stają się szpitalami dla chorych, miejscem schronienia dla trędowatych, dla dotkniętych nieuleczalną chorobą, którzy wszyscy znajdują tutaj pełną miłości opiekę.

To zjawisko zmusiło Juliana Apostatę do orzeczenia: „Patrzcie na tych oto Galilejczyków, ci nie tylko karmią swoich ubogich, ale chcą także żywić i naszych".

Dobrodziejstwa miłości bliźniego podwajają się w wiekach średnich. Nie podobna prawie kroku uczynić na ziemi chrześcijańskiej, nie napotykając szpitali: są one rozsiane wszędzie, dla każdego wieku, dla każdej potrzeby, dla każdego nieszczęścia; znajdujemy na szczytach niedostępnych gór gospody chrześcijańskie, tak samo u wejścia do dolin, wśród puszcz lesistych, wśród miast ludnych; wszędzie żyje czynna miłość chrześcijańska. A czego nie uczyniła ta miłość dla biednych niewolników? Niewolnik! Jaki los był udziałem niewolnika? Bez rodziny, bez ojczyzny, oddany na łup wszelakiej nędzy, obciążony kajdanami; skazany na ustawiczną ciężką pracę pod biczem nieludzkiego dozorcy, który w dodatku często był niedowiarkiem, jest aż nadto narażony na niebezpieczeństwo wyparcia się wiary swoich ojców dla poprawy losu, częstokroć dla zysku i dostojeństw.

Przypomnijmy sobie tutaj losy licznych Polaków i Polek w niewoli tatarskiej a później tureckiej. Jeńcom naszym przyrzekano nie tylko wolność, ale bogactwa i najwyższe dostojeństwa, jeśli wyprą się wiary i ojczyzny, wytrwałych w wierze sprzedawano jak niewolników w najodleglejsze kraje, gdzie nie było żadnego widoku powrotu do miłej ojczyzny, ile to możnych potomków znakomitych rodów przepędziło żywot w pracy niewolniczej, ile zacnych matron i szlachetnych dziewic musiało usługiwać w haremach! Wiary nie wyparł się żaden Polak, były to wypadki wprost nadzwyczajne.

Tylko miłość bliźniego łagodziła ciężki los niewolników i przynosiła im niejaką pomoc. Dwaj święci mężowie, św. Jan z Maty i św. Piotr Nolascus wybierają się za dalekie morze, w niegościnne kraje, aby wprowadzić w życie plan wielki, godny miłości chrześcijańskiej. Zakładają zakon dla wyzwalania niewolników; członkowie tego zakonu zobowiązują się uroczystą przysięgą poświęcić całe życie na usługi tej nieporównanej idei miłości chrześcijańskiej. Nic ich nie powstrzymuje; ani klimat niezdrowy, ani okrucieństwa plemion obcych; są każdej chwili gotowi poświęcić wszystko, aby tylko osięgnąć swój święty cel. I o czem opowiadają przytem, tym nieszczęśliwym, których oddają napowrót rodzinom i ojczyźnie? Opowiadają im o miłości Jezusa Chrystusa

I u nas w Polsce powstał Zakon dla wykupywania jeńców chrześcijańskich, z rąk niewiernych. Ojcowie Trynitarze zbierali składki i grosz uzbierany miłosierdziem chrześcijańskiem nieśli daleko na wschód, skąd każdego roku wracały setki jeńców z radością witających ojczyznę i rodziny swoje, których już nigdy oglądać nie mieli.

Czy zaprzeczymy, że to wszystko są dzieła miłości?

Przenieśmy się myślą na tę górę, która się nazywa górą św. Bernarda, a której szczyt jest pokryty wiecznym śniegiem. Jest noc ciemna; z zewnątrz widzimy

słaby promyczek światła, błyszczący w kościele na wierzchołku góry stojącym; uroczyste śpiewy rozlegają się z domu Bożego, podczas gdy na dworze szaleje zawierucha, która zda się, chce budynek pogrzebać w śniegu. Wejdźmy tam; widzimy młodzieńca, klęczącego na ziemi w ubogiej celi, młodzieńca z gorącem sercem i płomienistą duszą, a obok starca, który do niego przemawia: „Mój synu, czy obstajesz przy twojem postanowieniu?“ „Tak, mój ojcze“. „Przysięgasz zatem, że zostaniesz w tej pustyni, aby biednym zbłąkanym spieszyć na ratunek?“ „Tak mój ojcze, przysięgam to!“ „Pokój boży niech będzie z tobą!“ Młody człowiek podnosi się, jaśniejący radością i pomimo burzy śnieżnej, która szaleje w górach, rozpoczyna natychmiast swoją misyę; a gdy mu się uda uratować zbłąkanego wędrowca, powraca szczęśliwy do klasztoru. Ale często zaskoczy go śnieżna lawina, a śnieg, — ten symbol jego czystej duszy — staje się dla niego śmiertelnym całunem. To znowu miłość bliźniego, która śmierć za ocalenie braci, czyni słodką i lekką. Szukajcie zresztą pomiędzy zakładami dobroczynnymi; czy znajdziecie choć jeden, który nie zawdzięcza swego powstania miłości bliźniego!

Zaprowadziłoby nas zadaleko, wymienić te wszystkie rozmaite formy, które przybrała miłość Chrystusowa w kościele katolickim. Ale jakże tu przemilczeć i pominąć tego anioła ziemskiego, który się nazywa siostrą miłosierdzia? Podziwiajcie tę dziewicę! Wysokiego pochodzenia, uposażona zewnętrznym wdziękiem, łączy w sobie najpiękniejsze przymioty serca i ducha; bystry rozum, delikatne uczucie, wychowanie staranne, łagodność i siłę charakteru; zdawałoby się, że natura sama przeznacza ją do tego, aby panować nad światem, który

zdobi wszelkiemi darami ciała i duszy. Wtem słyszy nagle na dnie swej duszy głos słodszy nad wszelkie ponęty świata, głos ten mówi do niej: „Słysz, córko moja opuść dom twojego ojca, twojej matki, twoich braci, bo król królów zapałał miłością do piękna duszy twojej“. I wyrywa się dziewica od matki, od ojca, od braci; wyrzeka się rozkoszy świata, porzuca z radością zajęcia i uciechy ziemskie, a przywdziewa suknię zakonną. I oto widzimy ją w jej szarem odzieniu, w białym czepcu na głowie, który się porusza niby skrzydła Anioła miłości; dąży krokiem lekkim a szybkim na miejsca kędy ludzie cierpią.

Jedną ręką dotyka łoża chorego, i przewiązuje jego rany, drugą garnie do siebie biedne sieroty i prosi ludzi miłosiernych o łaskawe datki. Patrzcie na nią na polu bitwy między rannymi, konającymi, umarłymi; pociesza jednych, innych uczy godnie umierać, a usta jej szepczą modlitwę za tych, co polegli na polu chwały. Czy to możliwe, żeby miłość ku ludziom, miłość bliźniego objawiła się w piękniejszej formie, czy może dojść do wznioślejszego rozwoju?

Przypatrzcie się teraz innej dziewicy, która użycza schronienia ubogim i którą dlatego nazywają siostrą robotnika, siostrą biednych. Przypatrzcie się innym, które same mając ograniczone środki, tylu familiom udzielają pożywienia. Zapytajcie je, skąd pochodzi ta miłość bliźniego, ten duch ofiarny i słuchajcie uważnie; nie jest to dzieło ludzkie, żadna ludzka mądrość nie może natchnąć takiej ofiary samego siebie; nie, nie oddaje się rozkoszy, rodziny, ponęt świata za żaden ideał ziemski. Aby znaleźć przyczynę tych ofiar, trzeba wstąpić wyżej,

a wiecie dokąd? Jednego dnia była zatrudniona pewna siostra miłosierdzia pielęgnowaniem rannych na polu bitwy, gdy wtem szwadron nieprzyjacielskich żołnierzy przebiega galopem koło tego miejsca; jakiś dziki żołnierz rani ją swoją szablą i odcina rękę, uświęconą opatrywaniem obcych ran; ona nawet krzyku nie wydaje, ale spokojnie, jakby się nic nie stało, czyni krwawym mańkutem znak krzyża świętego. Oto macie tajemnicę tego poświęcenia; to Jezus, to miłość Jezusa Chrystusa! Tylko Jezus, który umarł za nas na krzyżu, może użyczyć miłości tej stałości, która zwycięża wszelkie przeszkody, na których noga nasza potyka się na każdym kroku! Tylko cierpiący, krew za nas przelewający Bóg-człowiek może działać takie cuda!

Zaprawdę kochać bliźniego, bo nas do tego skłania interes, to się często widzi i często także dawniej widziano. Kochać bliźniego kaprysem serca się kierując, dziś tak, jutro inaczej, pojutrze może nawet nienawiścią zapłonąć, i to także widziano i widzi się po dziś dzień jeszcze. Kochać drogą istotę, która należy do naszego domowego kółka — która nam życie upiększa i uprzyjemnia — to także widziano i widzi się codziennie. Ale wznieść świątynię braterskiej miłości na gruzach egoizmu, wszelakiej rozkoszy, każdego samolubstwa; kochać ludzi wszędzie i kochać ich zawsze, zarówno koło lodów bieguna północnego, jak w pustyniach podzwrotnikowych; miłować nawet dzikich, zostających jeszcze na poziomie zwierzęcym i módz im powiedzieć w szczerości i prawdzie: „Ja ciebie miłuję“, miłować człowieka, choć występek odziewa go brzydotą i napełnia wstrętem, to jest największy z cudów, na który wieki patrzały; to jest prawdziwie dzieło Boga, który się stał człowiekiem! Jezus Chrystus stał się dla nas prawie niewolnikiem, zniósł dla nas wszystkie boleści, ponosił wszelakie cierpienia, i dlatego wszędzie, gdzie dusza ludzka wije się w cierpieniu i boleści, tam żyje i mieszka Jezus Chrystus!

Zapytajcie się jeno sióstr miłosierdzia o przyczynę ich miłości; pokażą wam krucyfiks, wiszący im u paska; tym samym wzrokiem spoglądają na Ukrzyżowanego, co na ludzkość; w ludziach widzą Jezusa, w ranach i cierpieniach nieszczęśliwych widzą rany i cierpienia Jezusa, swego boskiego zbawcy. Miłość ma tę własność, że rada upatruje w każdej rzeczy podobieństwo do ukochanego przedmiotu; wszystko inne blednie i zaciera się; tak też i owe pobożne dusze widzą wszędzie tylko swojego Jezusa, a Jezus w zamian wlewa w ich serca te święte uczucia, które wytwarzają entuzyazm w ten sposób, kochając Pana i Boga w najwyższym stopniu, muszą z konieczności kochać ludzkość. Przeszukajcie całą starożytność, a nie znajdziecie nic podobnego; szukajcie u narodów, które nie wierzą w Chrystusa; badania wasze będą daremne. Tylko tu, u stóp krzyża znajdziecie te przykłady wielkodusznej miłości. A co widzicie jeszcze u stóp krzyża? Widzicie krew Jezusa Chrystusa. Droga krew Jezusa Chrystusa skłania nas, skoro wylała się za nas, miłować Boga i naszych braci. „Miłość Chrystusa prze nas; Charitas Christi noget nos“.

II. Miłość Jezusa prze nas do miłości Boga i do miłości ludzi; nienawiść ku Jezusowi pcha nas do nienawiści ku Bogu i ku ludziom. Zobaczmy, czy tak jest

w rzeczywistości. Nienawiść ku Chrystusowi! Już wymawiając ten wyraz pali mię coś w wargi. Nienawiść ku Jezusowi! Ale czy to jest możliwem nienawidzieć tego boskiego zbawcę? Czy to miałoby być możliwem? Moi bracia, wiecie zapewne, że hasłem Francyi stały się w zeszłem stuleciu słowa: „Wytępmy infamię“. Dobrze zatem, ponieważ Jezus zaczął być nienawidzonym, czy zaczęto miłować Boga więcej niż przedtem? Ponieważ wypędzono Chrystusa, czy ludzkość lepiej na tem wyszła? A takby przecie musiało być: gdyby Jezus był nauczycielem fałszu, boć ten, kto nienawidzi Chrystusa, powinienby więcej miłować Boga, a wypędzenie Chrystusa powinnoby ludzkości wyrządzić prawdziwą przysługę. Ale stało się przeciwnie i to powinno być najlepszym dowodem bóstwa Jezusowego.

A teraz przypatrzmy się tym, którzy zaprzeczają Jezusa, cóż oni zachowali Jeszcze dla Boga? Nie mówię już o miłości, ale oni jednej myśli dla Boga nie mają. nie wspominają Go wcale. W tym samym stopniu, jak my się oddalamy od Jezusa, oddala się Bóg od nas. Oddalenie od Jezusa jest oddaleniem od Boga, bo Jezus jest synem Bożym, który z nieba na ziemię przyszedł, opuścił łono swego ojca niebieskiego, aby nam objawić swoją świętość, nietylko słowami ale i dziełami swemi. Gdzieindziej są jeno symbole bóstwa, chrześcijaństwo samo tylko uznaje i posiada rzeczywiście Boga żyjącego. Tak, my go znamy, my go posiadamy; wiemy, jaką on ma siłę przyciągającą, jak on kocha, jak karze, jak nagradza. Dowiadujemy się o tem codziennie z nieustającego dramatu tej rewolucji, która prowadzi ludy do walki i zwycięstwa w imię Jezusa i ukazuje nam miłość Bożą, całą potęgę i całą moc Bożą, zbawiającą świat.

Jeśli odepchniemy Jezusa, cóż nam wtedy pozostanie z Boga? W miarę jak rozdzielamy się z Jezusem staje się Bóg dla nas niedostępny i niewiedzialny i powoli wpadamy w najzupełniejszy ateizm. A potem tacy ludzie szukają jakiegoś Boga, ale postępują jak ślepi, szukając wizerunku Bożego i napróżno macają w ciemności. Uważają wtedy Boga za rodzaj „chaosu“, a jeżeli ktoś czując się nieszczęśliwym, radby uciec od rzeczywistości i schronić się pod opiekuńcze skrzydła bóstwa, mówi mu się: „Każdy może sobie stworzyć Boga swojego, jak pająk swoją siatkę“. Ale świat powraca do tego samego stanu, w jakim się znajdował przed przyjściem Jezusa Chrystusa. Dlatego zostaję przy swojem: Jeżeli kto wypiera się Chrystusa, to z konieczności jest zmuszony wypierać się Boga.

Ale, myśli niejeden, choć Boga wypędzimy ze świata, przecież zostanie nam jeszcze ludzkość. Tutaj mamy właśnie dowód przeciwny o potężnej mocy przekonywającej. W którym stuleciu żyjemy? Żyjemy w stuleciu, w którem zmysł dobroczynności zdaje się być bardzo rozwiniętym, chęć czynienia dobrze owładnęła naprzód wszystkie serca; w którem koleje żelazne łączą narody, granice zdają się znikać, w którem ludzkość zdaje się, jednem słowem, święcić najwspanialsze tryumfy. Dlatego myślą niektórzy, że z wyrugowaniem Jezusa Chrystusa z serc, musiała w tej samej mierze wzrosnąć miłość ku ludzkości. Ale logika wypadków i faktów poucza nas przeciwnie. Obserwujcie tylko tych wielkich wrogów Chrystusa, a poznacie, że czegoś im jednak brak, brak czują w rozumie, jak i w sercu; ich rozum podobny

jest do chłodnej zimowej nocy, a ich serce do marmurów grobowych. Przypatrzcie się filozofom ubiegłego stulecia! Oni rozumieli to bardzo dobrze, że aby lud utrzymać w karbach, potrzeba czegoś innego, że nie wystarczy rozpętać dzikich namiętności motłochu, że na miejsce miłości bliźniego, która tyle dobrodziejstw wyświadczyła ludzkości, należy coś postawić i wymyślili filantropię; w rzeczywistości gorzką ironię miłości bliźniego, przybierającą atoli jej pewne pozory. A co czyni filantropia, co ona mówi? „Litość“, twierdzi przez usta jednego z najsławniejszych swoich nauczycieli (Condorcet), „jest tylko słabością, jeśli nie ma na celu ogólnego dobra. Dlatego filozof nie troszczy się o poszczególne indywidua rodziny, ale zwraca całą uwagę na potrzeby i interesa gatunku“. „Filantropia“, powiedział pewien święty biskup owych czasów, „zajmuje się gatunkiem, ale nie troszczy się o indywidua“; postępowanie obłudne, które spowodowało Roussa do zdania: „Ci filozofowie kochają Tatarów, a nie troszczą cię o swoich sąsiadów“. Posłuchajmy teraz, co mówi współczesna nauka socyalistyczna. W jednej z ich książek znajduję następujące słowa, które zasługują na szczególną uwagę: „Przewaga silnych spowoduje zanik słabych, to jest rezultat prawa ogólnego, które jest niezbędne dla powszechnego dobra. Gdyby tak nie było, to musiałby koniecznie nastąpić stopniowy upadek gatunku“. Podług tej nauki musi Pan Bóg chyba zupełnie pozostawić sobie słabych i niedołężnych.

„Jednak ojcze“, zechce ktoś natrącić, „rzeczywistość zadaje kłam twoim twierdzeniom. Czy nie widzisz ludzi, którzy wypierają się Chrystusa, a pomimo to działają bardzo wiele dla dobra ludzkości?“ Moja odpowiedź

będzie brzmiała jak następuje: I ten także, kto odpycha wiarę, zawdzięcza cnotę jaką posiada, religii chrześcijańskiej. Ten człowiek miłuje braci swoich, czyni im dobrze, ale nie wolno nam zapominać, że bez krzyża ten człowiek nie pomyślałby nigdy o czynieniu dobrze. Jego filantropia, którą on uważa za wyłącznie osobistą, czysto ogólną cnotę, jest biorąc rzecz z gruntu cnotą czysto chrześcijańską. Społeczeństwo nie tylko powstało na podstawie chrześcijańskiej, lecz żyje jedynie tą ideą, a gdyby miało oddychać innem powietrzem, musiałoby się udusić.

Więc gdy wygnamy Jezusa, gdy pogardzimy Bogiem, cóż się stanie z ludzkością? To stulecie, które zaczęło się od słów; „Wytępmy infamię“, zakończyło się tak strasznem widowiskiem, które ścina krew w żyłach. Na miejsce filozofów przyszli oprawcy i kaci; wszędzie chcą wygnać Chrystusa, zamyka się kościoły, burzy ołtarze, rozbija krzyże i zabija księży. Była chwila, gdzie ten nieszczęśliwy naród zdawał się nic innego nie nosić w sercu, jak nienawiść względem Chrystusa. Czy to się ludzkości lepiej przysłużyło? Wszędzie mnożą się zamachy, organizują niebezpieczne związki, występują takie potwory, które jak Neron żywiły życzenie, aby ludzkość miała jedną tylko głowę, bo wtedy można ją było ściąć za jednym zamachem.

Dlatego, moi bracia, zachowajmy Chrystusa, ten węzeł między niebem a ziemią, który jednoczy Boga z ludźmi, a jego braćmi. Gdyby wiara w Chrystusa znikła z pośrodka nas, coby się stało z nami, co z naszą ojczyzną, co z całem społeczeństwem ludzkiem?

O tak, moi bracia, zachowajmy zawsze w naszem

sercu miłość dla Jezusa, naszego boskiego Odkupiciela; w cierpieniach i troskach życia on nas pocieszy, a zawsze zostaniemy godni Boga, który nas stworzył, który nas chce ożywiać łaską swoją i tych braci świętych, których nam jako przykład zesłał na ziemię. Tak, zachowajmy zawsze nienaruszoną wiarę w Boga, miłość ku Jezusowi, i miłość dla biednej, nieszczęśliwej ludzkości.

VIII.

Dzieło Jezusa Chrystusa.

Kto jest Jezus Chrystus? To jest pytanie, jakie stawia ludzkość ubiegającym czasom, a na to pytanie odpowiada chrześcijańska społeczność, kładąc jedną rękę na ewangelii, drugą na biblii, a wzywając na pomoc zdrowy rozsądek ludzki, rozum, logikę i wiedzę, wydaje okrzyk pewności: „Jezus Chrystus jest Bogiem-człowiekiem“. Porwana jego pięknością, oświecona jego bożem światłem, pociągnięta jego miłością, piętrzy niezliczone świątynie, buduje dla niego ołtarze, oddaje mu swój rozum, swoje serca i u jego stóp rozciągnięta, wielbi go, głosi jego sławę i do niego zanosi błagania.

Ale podczas gdy my w naszych katedrach nucimy pieśni na jego chwałę, czy nie słyszymy na zewnątrz odgłosów wściekłej nienawiści? Ta nienawiść pochodzi od fałszywej wiedzy, która Jezusa zrobiła celem dla swoich pocisków. która sfałszowała jego historyę i zamieniła ją na senzacyjny romans; ona pochodzi wreszcie ze strony licznych herezyi, które zaprzeczają jego bóstwu. Jest to nienawiść ta sama, która wraz ze słowami Voltaira: „Tępmy tę infamię!“ rzuca się na jego ołtarze,

powala o ziemię jego krzyże, kopie je nogami na znak pogardy. Ta sama nienawiść mieszka w piersi każdego sekciarza, który najpierw w cichości i mroku swoje odstępstwo knuje, potem zostaje dziennikarzem, nareszcie sławnym pisarzem i przysięga szumnie a głośno, wypędzić Chrystusa ze szkoły, z urządzeń publicznych, z praw i sądów, a w końcu z ojczyzny.

Pozostańmy na chwilę pośród tych diametralnie przeciwnych prądów, które ludzkość dzielą na dwa obozy, aby przypatrzeć się bliżej dziełu Jezusa Chrystusa. Co Jezus Chrystus uczynił? Największą niesprawiedliwość, jaką Chrystusowi wyrządza nienawiść, żądza nowości, bezbożność ogółem powiedziawszy, jest zaprzeczanie Chrystusowi sprowadzenia ery chrześcijańskiej i jej dobrodziejstw. Usiłowanie, aby całą teraźniejszą cywilizacyę przedstawić jako historyczny owoc rozwoju ludzkości, jako wykwit rozumu bez żadnego wpływu idei chrześcijańskiej, powiedzieć nadto, że świat zawdzięcza Chrystusowi jedynie opóźnienie postępu, ale nie postęp, twierdzić, że na karb Jezusa należy położyć wszystkie przesądy, całą ciemnotę dotąd jeszcze panującą na świecie, jest największą, najwstrętniejszą niesprawiedliwością.

Ale by dokładnie ocenić, co świat Jezusowi Chrystusowi zawdzięcza, należałoby naprzód oddalić ze świata to wszystko, co Jezus nań przyniósł i dopiero wtedy się przyjrzeć, coby zrobił sam rozum ludzki sobie zostawiony ze świata. Taka abstrakcya jest zupełnie niemożliwa; jesteśmy już tak schrystyanizowani, tak przepojeni ewangelią, że sobie wyobrazić nie można prawie, jakby bez Chrystusa świat wyglądał, coby się było z nim stało. Ponieważ nie możemy osiągnąć ścisłej dokładności, postarajmy się o to, bodaj w przybliżeniu. Zobaczmy najpierw, co uczynił Chrystus dla świata, a czemby się stał świat bez Chrystusa.

I. Co więc uczynił Jezus Chrystus dla świata? Nie należy oczekiwać odemnie, abym dawał obraz podbicia świata przez Chrystusa; te niezwykłe dzieje stały się już zbiorowym punktem wdzięczności ze strony społeczeństwa ludzkiego, są to wydarzenia, jakich równych już ludzkość nie ujrzy nigdy. Na Golgocie nie miała jeszcze czasu zastygnąć gorąca krew Zbawiciela, a już dokonywała się odmiana starego świata.

Ponad biegiem czasów, ponad pochodami ludów błyszczy ten chwalebny tryumf Ukrzyżowanego, jak niegdyś krzyż na niebie w dniu rozstrzygającej walki Konstantyna, wśród chmur złotem i purpurą obramowanych, ze słowami: In hoc signo vinces.

Kto wypowiada wojnę, zapowiada również nienawirć. Jezus Chrystus różni się w swym pochodzie wojennym od innych zdobywców, którzy są twórcami ruin trupów, zostawiają po sobie pożary i zgliszcza; on przychodzi na świat po to, aby złagodzić jego cierpienie, aby uśmierzyć nędzę, bo ludzkość tylko dlatego spoglądała ku niebu, by je obrażać i zbezcześcić obrazami bożków swoich. Świat pogrążony był w nędzy etycznej do tego stopnia, że już nie mogło nawet o zgorszeniu być mowy; był pogrążony w nędzy socyalnej, bo ludzkość wydana była na łup każdego ukoronowanego potwora.

Ale jak zabrać się do ratunku z tej otchłani, w którą wpadło wielkie państwo rzymskie? Nie mówcie mi o starożytnej waleczności, ona była jedynie złośliwą gorączką; nie mówcie mi o starożytnej nauce, ta ogra-

nicza się jedynie na słowa stoików. A lud? Lud już tak upadł moralnie, że nawet nie czuje swojej nędzy i za chleb i igrzyska oddaje swoją wolność, zapomina o swojem upodlającem położeniu! Rzeczy zaszły już tak daleko, że wszystko zdawało się stracone, tylko cud mógł ocalić ludzkość i wydobyć ją z przepaści. Na nic się nie przyda, zwracać wzrok na oddalone plemiona, które rozwijają w sobie zdrową, ognistą żądzę życia; te plemiona, które na gruzach starożytności mają zaszczepić nowe życie, potrzebują koniecznie łagodnej, a zarazem silnej dłoni, aby mogły służyć do odmłodzenia świata i spełniły zadanie im przez Opatrzność wyznaczone. Te ślepe ciemności oświecił Jezus Chrystus, światłem swojej ewangelii. te ruiny pokrył bluszczem swych wiernych i swoich świętych; i to dzieło jest tak bardzo dziełem Jezusa Chrystusa, że ten, kto podnosi rękę przeciw temu państwu, temu królestwu Bożemu, musi ugodzić w samo jądro życia i zatamować źródło życiodajne. Skoro tylko powstrzymamy wpływ Chrystusa na świat, zatrzęsie się w posadach kula ziemska i stare pogańskie potwory z grobów powstaną, podnosząc potrójne, przerażające oblicza, bezbożności, niemoralności i zbydlęcecenia, te same zbrodnie, słowem ta sama hańba! A przecież jak brzmi okrzyk, który zewsząd do naszych uszu dochodzi, który rozdziera nasze serce, który nam ścina krew w żyłach? „Nie chcemy Chrystusa więcej! Nie chcemy Chrystusa!“ Tak wrzeszczą wrogowie wiary. „Niema Chrystusa! Niema już Chrystusa!“ tak się mówi i to samo się drukuje.

„Niema już więcej Chrystusa!“ tak wołają na pierwszem miejscu uczeni, ci fałszywi mędrce świata, którzy pozwalają sobie już teraz twierdzić, że „panowanie przesądu, królestwo ciemności doszły już do zenitu; godzina wiedzy wybija. Zabłysnął wreszcie dzień, w którym wiedza rozprószy nieprzystępne dla rozumu ciemności, w którym znikną wszystkie przesądy religijne. Ludy, idźcie do szkoły, ale nie do szkoły kościoła! Słuchajcie nauczycieli,którzy was pouczają, że pochodzicie od małpy, że właściwie zwierzętami jesteście; nie słuchajcie kapłanów, którzy nsiłują wam dowieść, że wasze pochodzenie jest boskie, że pochodzicie z nieba, że dziećmi Boga jesteście!“ „Niema już wiary, jest tylko obserwacya i doświadczenie!“ To słowo Bacona stało się dewizą współczesnej wiedzy; miało ono zwiastować nadejście epoki, w której duch wyzwala się ze wszystkich tajemnic, odrzuca wszystko, czego rozum ludzki przeniknąć nie zdoła.

Ale czy to tylko prawda, że koniec królestwa Chrystusowego oznacza początek panowania prawdziwej wiedzy? Czy naprawdę powinniśmy się trzymać tej wątłej przędzy pajęczej, jaką jest nauka, która przędzie na to, aby za chwilę znowu to przędziwo zniszczyć i znowu zacząć na nowo? Nauka, która po tylu wiekach nie zdobyła się ani raz na swoje wyznanie wiary i nie postawiła ani jednego niewruszonego pewnika?

Z końcem panowania Chrystusowego, ma się podobno rozpocząć panowanie umiejętności. Czy on nie jest Bogiem mędrców? Czy największe umysły wszystkich czasów nie wielbiły go? Czy św. Paweł, św. Augustyn, św. Tomasz nie byli cudami uczoności? Czy Pascal nie uginał przed nim kolana? Czy nie na jego cześć śpiewał Dante, zarówno głęboki teolog, jak natchniony poeta? Mówiono, i to całkiem słusznie, że wszelkie światło z jego wyszło kołyski. Rzućcie wzrokiem na rozwój duduchowy ośmnastu stuleci, cóż zobaczycie? Ludy chrze-

ścijańskie pokazują znaczny postęp w kulturze na każdem polu, podczas gdy te, które żyją poza chrześcijaństwem, tylko wegetują, nie wykazując żadnego prawie duchowego rozwoju. Tak od chrześcijaństwa, od zawitania ewangelii, datuje się ten wzrost wspaniały, ten polot ludzkości ku szczytom cywilizacyi.

A teraz przeprowadźmy porównanie między myślicielami pogańskimi a chrześcijańskimi. Co spostrzegamy u myślicieli pogańskich? Jednostajność, którą spotykamy wszędzie. Obok poglądów wzniosłych, wspaniałych, widzimy niezrozumiałe zawikłania, zamęt, sprzeczność, które z tymi poglądami nie zgadzają się wcale. Można śmiało powiedzieć, że podstawa filozofii starożytnej jest mglista i niepewna; można ją porównać do nocy ponurej, oświetlonej od czasu do czasu błyskawicą, ale tylko po to, aby nam ukazać przepaść, ziejącą pod naszymi nogami. Nigdzie nie spostrzegamy owego łagodnego światła, które napełnia oko, a nie nuży go, ani oślepia. A ileż zresztą tych świetnych gwiazd na pogańskiem niebie? Jeśli nazwiecie Platona i Arystotelesa, ich nauczyciela i mistrza Sokratesa, Cycerona, który powyższych naśladował, a wreszcie Senekę, to będziemy już przy końcu pogańskiej mądrości.

A teraz przypatrzcie się myślicielom chrześcijańskim! W nieprzerwanym szeregu następują myśliciele po sobie. filozofowie stanowią nieprzerwany, cudowny łańcuch, którego pierścienie wzajemnie się oświecają, którzy niosą ze sobą pełnię światła; a między tymi spotykamy gwiazdy pierwszorzędnej świetności i siły i to wszystko gwiazdy na świecącym firmamencie. Czwarte stulecie ery chrześcijańskiej, rozwinęło pomimo swojej szczególnej formy więcej idei, niż epoka Augustów. Zabierzcie nam oba

Testamenty, zabierzcie nam historyę kościoła, zabierzcie zbiór pism ojców kościoła i uczonych doktorów. a wtedy o cóż oprzemy nasze duchowe pierwiastki? Znajdowalibyśmy się na stopniu rozwoju umysłowego Tatarów i Chińczyków albo i niżej jeszcze, bo jeśli podług antropologii nowożytnej te narody są naszymi starszymi braćmi, to byłyby też i naszymi nauczycielami, gdybyśmy nie byli uczniami Jezusa Chrystusa.

A cóż mam powiedzieć o zdobyczach naukowych starożytności? Jeszcze za Pitagorasa, Galiena i innych mężów uczonych, ziemia zupełnie miała fałszywy kształt, także długo po tych mężach budowa naszej planety była nieznana, a architektura sklepienia niebieskiego wymykała się z pod znajomości wiedzy człowieka. A kto miał bodaj przeczucie o cudach elektryczności? Kto pomyślał o tem nawet aby zbadać wnętrzności ziemi? Kopernik, Kepler, Newton popchnęli astronomię na nowe tory. otworzyli nowe drogi. Cartezyusz wsparł ich nowym rachunkiem, tak samo Spalanzani, poprzednik fizyologii. Mógłbym dalej prowadzić tę listę, aby uwydatnić przodownictwo chrześcijańskich uczonych na polu naukowem.

Nie należy przeczyć, że i prześladowcy ewangelii starali się kultywować ducha Europy. Ale skoro ich nasienie zakiełkowało i owoc przyniosło, co znajdujecie? Oto znajdujecie nowożytnych uczonych, którzy Chrystusowi w twarz rzucają oskarżenie, że on opóźnił i utrudnił postęp; widocznie nie uważają się oni za źródło nowożytnego światła. Oni sami siebie tylko oświecają. Oni sami zapewne zadowolniliby się dymiącą lampą bezbożnej mądrości, ale wielcy założyciele wiedzy stali zawsze w pełnem świetle słonecznem. Jak nawet można

pomyśleć o wiedzy bez Chrystusa? Czy Jezus Chrystus nie jest Bogiem, a Bóg prawie materyalną dotykalną mądrością? A prawdziwa mądrość, czy nie jest tem samem prawdą? Jak można pomyśleć wiedzę bez prawdy? A jeżeli ostatniem słowem wiedzy jest twierdzenie, że królestwo Chrystusa się skończyło, a państwo wiedzy zaczyna się, to jakaż się wiedza zaczyna? Wiedza zwątpienia, zamieszania, powszechnej negacyi. Nazywa się to podpisaniem imienia na ruinach pod zdaniem: bez Boga, bez Chrystusa jest wiedza niepotrzebnem narzędziem.

Ale nie tylko mędrcy świeccy nie chcą nic wiedzieć o Jezusie Chrystusie. Także i politycy, i ci w szczególności nie chcą uznać Chrystusa i twierdzą, co następuje: Gdy ludzkość gnębiona i rozerwana między tyranów wschodu zmieniła pana swego. aby się ukorzyć i poddać pod jarzmo tyranów Zachodu, wtedy ukazał się Chrystus i nauczył ludzi cierpieć i spodziewać się, stał się tem samem pocieszycielem ludzkości. Zaludnił klasztory, zaludnił pustynie ludźmi, którzy umieli się wprawdzie modlić ale nie umieli zrzucić ze siebie jarzma niewoli. Dzisiaj powstało inne pokolenie, inne nastały stosunki, innego potrzeba Boga, musimy się zgromadzić koło innego ołtarza, a naszym Bogiem, naszym ołtarzem jest słowo „Wolność". Ludy, wyzwalajcie się! Słowo Boże dość już długo panowało; teraz rozpoczęło się panowanie socyalnego królestwa. A więc moi bracia. czy wolicie służyć nam i wolności, czy przesądom? Czy chcecie opuścić naszą chorągiew, a pójść za sztandarem Chrystusa, którym jest przecież krzyż, Chrystusa, który niedwuznacznie powiedział że dobra swoje da wam dopiero w życiu przyszłem?

Ale ci ludzie nie wiedzą. co to jest obyczajność, jeżeli chcą mieć świat bez wiary; nie wiedzą, co to jest wolność, jeśli chcą ją mieć bez modlitwy; nie wiedzą co to Bóg, jeśli chcą go wzywać bez Chrystusa. Prawda, że Chrystus powiedział: „Szukajcie najprzód królestwa Bożego"; ale dodał także przytem: „Reszta przydaną wam będzie". A co to jest ta reszta? To jest właśnie to, co umoralnia ludy i uszlachetnia narody. Bez Chrystusa niema moralności, a dowód na to znajdziemy u ludów odległego Wschodu, które nie były nigdy chrześcijańskie. Patrzcie, jak one stoją nieruchomo wśród ciemności; jak są dumne ze swej obojętności, ze swej martwoty, która tem bardziej jest charakterystyczną cechą politeizmu, im trudniej ją pokonać i rozegnać bez Chrystusa. A po tych narodach spójrzcie na te, które niegdyś były chrześcijańskie, ale już więcej chrześcijańskiemi nie są. Światło moralności, które niegdyś świeciło Aleksandryi, zagasło, skoro tylko z kraju tego wypędzono Chrystusa; jego mieszkańcy zapadli w stan ludów zwyrodniałych, a oświata i moralność przepadły w falach Islamu; oświata została pogrzebana nie dlatego, aby została nietknięta jak starożytne Pompei pod pokrywą popiołu, ale aby się rozłożyć, jak ciało zmarłego, leżące w grobie.

Zapewne — Chrystus miał na celu przedewszystkiem zbawienie duszy, a potem uszczęśliwienie ludów i narodowości, jako naturalny skutek tego; ale to było i zostanie faktem, że ludy i narody nie dojdą poza nauką Jezusa Chrystusa do żadnego stopnia cywilizacji na świecie. Poza nauką chrześcijańską znachodzimy zawsze barbarzyństwo; barbarzyństwo uczuć, barbarzyństwo w rodzinie, barbarzyństwo w moralności, barba-

rzyństwo w polityce, tak — powtarzam jeszcze raz — i w polityce.

Poza chrześcijaństwem znajdujemy na pierwszem miejscu barbarzyństwo w uczuciach; gdyż człowiek sam z siebie nie jest skłonny do miłowania równych sobie, szczególnej, gdy ci są ubodzy, chorzy, a nadewszystko, gdy są występni. Tę miłość Chrystus dopiero włożył w serce człowieka, a ona o wiele więcej przyczyniła się do szczęścia i dobrobytu ludów, niż wszelakie odkrycia i zdobycze materyalne. Przypomnijcie sobie tę twardość serca ludzkiego przed przyjściem Jezusa Chrystusa, o której tyle mówiliśmy na ostatniej konferencyi: trzeba było naprzód odkupić człowieka krwią boską, aby zrozumiał, jaką cenę posiada każda dusza ludzka w oczach Boga, aby pojął wysoką wartość człowieka i nabrał odwagi i zachęty poświęcić się dla dobra bliźniego. Tylko świat chrześcijański nie uważa się za dość bogaty, aby módz zapłacić duszę choćby jednego człowieka ubogiego, podczas, gdy w świecie pogańskim taki cezar nie wahał się poświęcić tysięcy ludzi dla uciechy i zabawy ludu, a Nero oświecał swoje ogrody chrześcijanami, oblanymi smołą i palonymi jak pochodnie. Porównajcie to z postępowaniem pewnego księcia kościoła, który sobie nałożył dwudziestodniowy post o chlebie i wodzie, bo w jego państwie pewien ubogi zmarł z głodu, a poznacie różnicę obu prądów i zrozumiecie, że tylko chrześcijaństwo wlało w serce ludzkie miłość bliźniego.

Bez Chrystusa macie następnie barbarzyństwo w rodzinie. Czy myślicie może, siedząc w kole rodzinnem i oddychając miłością, że to natura sama wytworzyła te czułe uczucia, że ona jest mistrzynią życia rodzinnego? Jakie to złudzenie! Natura przecież była ta sama przed co i po Chrystusie; ale wtedy ojciec był tyranem w rodzinie, miał prawo nad życiem i śmiercią swoich dzieci, żona była tylko jego niewolnicą. Natura jest także i tam, gdzie Chrystus nie rządzi. Dobrze więc, przypatrzcie się religii Mahometa; na miejscu ogniska rodzinnego postanawia ona harem. Najsentymentalniejszy z filozofów zeszłego stulecia pozwolił swoim dzieciom umierać w szpitalu, albowiem twierdził, że wzajemna zależność dzieci do matki i ich stosunki powinny tak długo istnieć, jak długo trwa karmienie niemowląt, zupełnie tak jak czworonogów. A nasze stulecie, które tak chętnie uważa się za cywilizowane, postawiło w małżeństwie na miejsce czystego związku dwojga dusz, układ prawny, a gdy się robi z tego zarzut, że zrównano człowieka ze zwierzęciem i postawiono na jednym stopniu, odpowiadają zagorzalcy: „Przecież to tylko różnica ubrania“. Inni żądają uporczywie rozwodów małżeńskich, tej obłudnej polygamii, która burzy do szczętu rodzinę i jest prawdziwym rakiem dzisiejszego społeczeństwa. Nie, rodzina została utworzoną w sercu Jezusowem, jego własne słowa przekazały ją, on ustanowił jedność, świętość i niezniszczalność małżeństwa, które podniósł do godności sakramentu, i jeżeli Jezus nie piastuje rodziny na łonie swojem, jeśli jej nie otoczy opiekuńczem ramieniem, to rodzina zupełnie upadnie.

Bez Chrystusa mielibyśmy następnie barbarzyństwo w moralności; bo powiedział któryś filozof, że chrześcijanin żyje z temi samemi namiętnościami w piersi co poganin, wcale nie ma mniej żądz niż poganin ale jaka różnica istnieje między oboma ze względu

na ich moralność! Jak były za czasów starożytnych pewne choroby, których już dzisiaj nawet z imienia nie znamy, tak też całej zbiorowej społeczności pogańskiej, była właściwą pewna zbiorowa niemoralność, wspólne zepsucie, o którem dziś wyobrażenia nie mamy, bo powietrze naszej ery zostało tak niejako odświeżone i oczyszczone oddechem Jezusa Chrystusa, że takie zepsucie stało się prawie, że niemożliwem. Ale w jaki sposób wyzwoliły się ludy z tej korupcyi i jak im się udało podnieść aż do wyżyn chrześcijańskiej cnoty? Jezus Chrystus powołał je do siebie, a ludy spojrzały ku niemu z ufnością, zerwały kajdany, któremi były skute z występkiem, jak Łazarz powstały z grobu na głos Jezusa i powoli, powoli podnosiły się, przykład Chrystusa mając przed oczami, aż do wysokości cnót, które widziały w jego życiu. Tym wszystkim, którzy chrześcijańskich bohaterów i chrześcijańskich świętych chcą porównywać do filozofów pogańskich, albo do świętych z dramatów przedchrześcijańskich, odpowiedział już Rousseau, mówiąc: „Nie należy nigdy społeczeństwu złych chrześcijan przeciwstawiać nawet dobrego filozofa; bo zostanie zawsze prawdą, że filozofia nie może się wykazać żadną cnotą, którąby była niemożliwą chrześcijaństwu; zato religia pokazuje takie cuda moralności, które dla fiilozofii nigdy nie są możliwe“.

W końcu mielibyśmy bez Chrystusa także b a r b a r z y ń s t w o p o l i t y c z n e. Co stanowi wartość cywilizacyi politycznej? Wolność. Wolność! Święte to zaprawdę piękne dobro, najpiękniejsze dobro, jakie Bóg dał swojemu stworzeniu! O niej śpiewa pasterz na łące wśród samotnego lasu; o niej rozmawia obywatel, siedzący przy domowem ognisku i używający błogich owoców pokoju; dla niej rusza młodzież, duma ojczyzny, daleko poza granice rodzinnego kraju i za nią przelewa krew aż do ostatniej kropli na polu walki. Ale cóż jest właściwie wolność? Co jest jej fundamentem? Co jest ostatnim wyrazem wolności? „Fundamentem wolności“, mówi św. Augustyn, „ostatnim wyrazem wolności jest wolność duszy. Jeżeli dusza jest niewolnicą, to wtedy niema wolności ani dla człowieka, ani dla rodziny, ani dla narodu“. Tak więc fundamentem wolności narodu, jest wolność duszy jego. „Ale fundamentem wolności duszy“, mówi dalej św. Augustyn, „jest Jezus Chrystus, jest jego nauka, w której znajdziecie prawdę, a prawda jest tym fundamentem, który wam da wolność“. I tak jest w rzeczywistości. Gdy ołtarze Chrystusa są w niewoli, gdy leżą w poniżeniu, wtedy i cały lud znajduje się w niewoli; gdy Chrystus zostanie wypędzony z kraju, tem samem wywraca się podwalina wolności; i zdaje się, jakoby zbliżał się z oddali człowiek, który powtarza słowa Jugurty na widok Rzymu: „O sprzedajne miasto, gdyby się na ciebie tylko trafił kupiec“! Bez Chrystusa nic naród nie wyda prawdziwie wielkiego, bo z konieczności musi się zaprządz do podwójnego jarzma, despotyzmu od góry i despotyzmu od dołu. Tak, tylko Chrystus broni wolności ludu i zobaczycie naród pragnący wolności zawsze koło krzyża zgromadzony, do krzyża przychodzący, tego prawdziwego sztandaru wolności!

Niestety, z tymi mędrcami ziemskimi łączy się i zastęp inny; z głosami tych ludzi łączą się i głosy tych, którzy tak wielki wywarli wpływ na zwyczaje i umoralnienie, głos dla mnie zawsze drogi, g ł o s a r t y s t ó w. Także i artyści nie chcą nic więcej słyszeć o Chrystusie; mówią oni, że „sztuka sama w sobie jest

religią, rozporządza ona światłem, które nie blednie nigdy, jest ona kryształem, który nie stłucze się nigdy". Zapewne, że sztuka jest rzeczą piękną, o tem nikt nie wątpi; jest najpiękniejszą gwiazdą, którą Bóg zawiesił na firmamencie, aby uprzyjemnić nam życie, ale sztuka w szacie Chrystusowej, nie jakaś rozpasana niewiasta. Nie chcą nic słyszeć o Chrystusie, ale skąd mogą czerpać natchnienie? Canowa powiedział: „Każda religia żywi i daje natchnienie sztuce, ale żadna w takiej mierze, jak religia chrześcijańska". Religia chrześcijańska przekształciła sztukę, ona doprowadziła ją do najwyższego stopnia doskonałości. Ona swojem uniwersalnem światłem ogarnia w swej przedziwnej jasności wszystkie sfery piękna. Oddzielcie religię od sztuki, to ta ostatnia wnet pogańską się stanie.

Rzućmy teraz wzrokiem na poszczególne sztuki. Weźmy np. architekturę: przypatrzcie się domowi Bożemu, co za cudowność! Jego architektoniczna budowa nie tylko mówi do oka; ona mówi równocześnie do ducha, ona odkrywa nam rzeczy niewidzialne. Czy to będzie styl gotycki, czy romański, każdy oddycha spokojem i pogodą; milczenie skupia duszę, przejmuje ją, a poprzez majestatyczne sklepienia ulatuje dusza w natchnieniu do nieba. Magiczne światło oświeca go; duch i życie przenikają wszystkie części domu Bożego; Bóg, który go zamieszkuje, napełnia go dotykalnie swoją obecnością, objawiając się we wspaniałej perspektywie, gdzie oko się gubi, nie znajdując punktu oparcia i dążąc do góry bez końca. Duszę przenika idea nieskończoności, gubi się w tajemniczości, każda linia wyraża ideę, każdy kamień budzi uczucie. Marmury mówią do człowieka przez rzeźbę symboliczną; kamień pozwala zdumionemu oku przeczuwać wspaniałość nieba. Z domem

Bożym, z kościołem katolickim nic nie może pójść w prównanie; to się czuje, że bazylika chrześcijańska jest naprawdę domem Bożym.

Spójrzmy na malarstwo. Cóż podobnego nawet po cudownych odkryciach Ostyi i Pompei może przeciwstawić chrześcijańskiej, sztuka pogańska?

Malarstwo chrześcijańskie, to plejada geniuszów, które pod wodzą takiego Perugina, Fra Angeliko, Leonarda da Vinci, a szczególniej takiego Rafaela zamieniły Włochy, Francyę, Belgię i Holandyę w jedno wielkie muzeum, które stanowi rozkosz wykształconego podróżnika i badacza sztuki. Obrazy błogosławionego Angeliko zdają się z nieba zstępować i do nieba unosić, są to modlitwy, są to raczej ekstazy. Obrazy Leonarda da Vinci ukazują nam rzeczy nadnaturalne, odkrywają nowe horyzonty, odtwarzają rzeczy zmysłowe i umysłowe skąd pochodzi nawet mało znane wyrażenie „antyk" i pokrewne.

Popatrzcie na rzeźbę, czy należycie do liczby tych, którzy rzeźbie starożytnej przyznają palmę pierwszeństwa? Choć nie przestaniemy podziwiać posągów, jakie zawdzięczamy geniuszowi Grecyi, nie możemy przyznać im pierwszeństwa przed dziełami Michała Anioła. W żadnem z dzieł Fidyasza nie znajdujemy tego wyrazu, który ożywia marmurowe twarze Michała Anioła; Fidyasz ogranicza się tylko na formie, Michał Anioł jako mistrz prawdziwy, rzeźbi duszę. U Fidyasza wszystko ożywia, nad wszystkiem panuje oko — u Michała Anioła czoło rozpromienione. W sztuce chrześcijańskiej widzimy wyższość łaski nad naturą, możnaby powiedzieć wyższość nieba nad ziemią.

A teraz przejdźmy do muzyki. Nasza religia, która

przywróciła harmonię między niebem a ziemią, która przedstawia aniołów ze złotem berłem, ta religia nie miałaby przeobrazić muzyki, najbardziej duchowej ze wszystkich sztuk, najpotężniej ku niebu porywającej sztuki? Religia i muzyka są to dwie siostry, które z nieba zstąpiły na ziemię. Czemby była religia, gdyby nie miała muzyki? Religia wyraża swoje uczucia, swoją radość zapomocą muzyki. Czemby była muzyka, gdybyście jej odjęli modlitwę, odjęli Boga, odjęli nieskończoność i polot ku niebu? Religia od początku posługiwała się muzyką, jej harmonią, aby wypełnić swoją świętą misyę. Na tę mowę cudowną przetłumaczyła religia najpotężniejsze i najrzewniejsze uczucia. Muzyka mówi mową nieskończoności, staje się głosem Boga. Przypomnijcie sobie melodye, które wprowadził do kościoła Grzegorz Wielki! Bez wątpienia muzyka chrześcijańska jest tworem chrześcijańskiej kultury; nie od profanów pożyczyła ducha do swoich kompozycyi; jej tony pokojem i miłością napełniają serce; to są dźwięki raju, a gdyby na świecie była tylko sama miłość bliźniego, byłaby muzyka jej mową. Szczęśliwy, komu było dano skosztować melodyi Rossiniego, który sam orzekł: „Wierzcie mi, ja podsłuchiwałem tylko aniołów“.

To prawda, mówią niektórzy, że sztuka stała się wielką pod Chrystusem, ale za Chrystusa miała sztuka tylko jedną epokę, dlatego sztuka dzisiejsza, którą my stworzyliśmy, nie jest chrześcijańską, dzisiejsza sztuka nie przyznaje się do Chrystusa. Zapewne, zanim odprawimy Chrystusa ze wszystkiem, wypada go uwieńczyć różami; zamkniemy go do grobu i położymy na nim pieczęcie; nie doczekamy się jednak, aż podniesie kamień

grobowy, zanim pozdrowimy nastanie wielkiego dnia, który ma zaświecić tym rzekomo nowym dziełom sztuki.

Te nowe losy sztuki! Ależ ci ludzie poniżają sztukę, czynią ją służebnicą zmysłów, gdy ją robią obcą religii. Jeśli sztuka ma być wierną swojemu przeznaczeniu i zadaniu, musi wyrażać nietylko fizyczną, ale i moralną piękność, musi duszę podnosić, a jak wypełni to zadanie, gdy się ją oddzieli od Chrystusa?

Widziałem raz wspaniały obraz, którego nie zapomnę nigdy. W środku tego malowidła siedział św. Tomasz na niewielkiem wzniesieniu, trzymając w ręku otworzoną Summę: jego oczy, jego przymknięte usta wyrażały ruch myśli, ruch słowa, około niego ugrupowała się mała gromadka uczniów z sześciu osób złożona; najprzód stary Perugino, wspierający się na swoim uczniu, Rafaelu, potem Dante, koło niego Buonaroti, Pergolese i Bramante. Było tam malarstwo, poezya, muzyka, rzeźba, architektura słowem wszystkie sztuki, a oprócz tego wiele gwiazd teologii. Widać było światło niebieskie, jaśniejące między osobami obrazu, oświecające tych wielkich śmiertelników, a na czołach tych potężnych duchów spostrzegało się odblask Stwórcy, który tyle cudów naraz chciał pokazać światu. Do przyjaciela stojącego obok mnie, zrobiłem uwagę: „Piękny obraz, bo tak prawdziwy, a tak prosty!“ Przyjaciel mój odpowiedział: „Zapewne, bardzo piękny, ale nie zupełny, brakuje jeszcze kogoś na tym obrazie“. „Kto miałby brakować?“ zapytałem zdumiony. „Obraz powinienby raczej przedstawiać historyę nauki Chrystusa, a święty Tomasz nie powinien być mistrzem otoczonym uczniami, lecz sam uczniem, piszącym pod dyktandem boskiego Zbawiciela swoją Summę; to jest tajemnica jego geniu-

szu, jego olbrzymiej wiedzy". Mój przyjaciel miał słuszność. Taka powinna być historya nauki i sztuki chrześcijańskiej. Wszystkie ich wspólne ideały powstały w Chrystusie i w Chrystusie są zawarte.

Ale jakiż to głos, który mię budzi z mojego rozmyślania? O, jest to głos przeraźliwy, głos ludzi bez imienia, tłuszczy ciemnej, idącej bez sztandaru, tłuszczy, która o Chrystusie nic wiedzieć nie chce, która nie chce jego panowania nad ludem. „Nie, nie", wołają oni; w naszych fabrykach, w naszych warsztatach, dokąd już teraz dochodzą książki i gazety, wiemy, co mamy myśleć o Chrystusie, co myśleć o jego ewangelii. Jeżeli cierpimy, to mamy naszą broń, jeśli umieramy, nicość przygarnia nas w swoje ramiona". Tak mówi lud, któremu Chrystus stał się obcy, który nie zna innego Boga prócz swojej namiętności, żadnej innej nadziei prócz nicości. Biedny lud! Nie zna on pokoju i pociechy wiedzy, nie zna rozkoszy sztuki; codzienna nużąca praca nie pozwala mu zakosztować przyjemności życia rodzinnego; on ma tylko poczucie swej siły, która go czyni niechętnym dla pracy, a często bardzo brakuje mu i odwagi do pracy. Troszczy on się mało o przyszłość, któraby go wynagrodziła stokrotnie za wszystko, czego mu na ziemi brakuje. Ale gdy już nareszcie wypędzą Chrystusa, gdy zamkną przed nim bramy miasta, gdy się obejdą z nim, jak z pielgrzymem, którego podczas burzliwej nocy ugoszczono, wysłuchano z radością pobożnych pieni, jakiemi uweselił i pobłogosławił ognisko domowe, a z nastaniem dnia kładą mu znowu kij pielgrzymi do ręki i pokazują drzwi; a gdy ten Jezus odszedł już daleko, myślą wtedy: co się z nami teraz stanie? Co się stanie z naszą rodziną? Co się stanie z naszą ojczyzną? Straszne przypuszczenie — zaraz oświecimy je bliżej i zastanowimy się nad niem.

II. Przypuśćmy, że błąd i sofizmaty zapanowały nad nami, że wzięły górę nad wiarą, że Chrystus chwyta za kij pielgrzymi i stoi przed nami, aby się z nami pożegnać. Zaprawdę, smutnaby to była godzina, w którejby Chrystus, stojąc na progu swego kościoła i proch otrzepując z nóg swoich, powiedział do nas słowa: „O Italio, ty kraju, który nadewszystko umiłowałem, opuszczam cię teraz i zabieram ze sobą wszystko, co mi zawdzięczasz!" Zapewne już na drugi dzień spostrzegłaby nieszczęśliwa Italia z boleścią i przerażeniem, tę olbrzymią pustkę, którąby nie tak łatwo przyszło zapełnić. Znacie miasta Italii, a jeśli nie znacie wszystkich, to znacie przynajmniej wasze miasto. Powiedzcie mi, gdyby Jezus zabrał ze sobą wszystko, co mu zawdzięczacie, coby wtedy zostało? Więzienia, galery i inne miejsca, których tu wymienić nie mogę i nie chcę.

A coby się stało po odjeździe Jezusa? „Après moi le déluge", powiedział raz pewien dumny władca, ale gdyby Jezus prawdziwie z jakiegoś miasta odjechał, mógłby rzeczywiście powiedzieć; „Po mnie potop błędu i złości!" W jakim chaosie pogrążyłyby się rodziny i poszczególne dusze? Co do tego niema prawie wątpliwości, bo historya jest tuż; historya daje nam dwie nauki; biorę tylko te dwie, bo w tych zawarte są wszystkie inne; te dwie są najstraszliwsze.

Pierwsza jest taka: Gdy Konstantynowi było za ciasno w Rzymie, przeniósł stolicę swego światowładnego państwa do Konstantynopola, na śmiejące się wybrzeża Bosforu; tu odbywał teraz zgromadzenia i narady, tu zaszczepił wspaniałość i zbytki cesarskiego dworu. Nauka

cofnęła się również w zacisza klasztorne. A teraz idźcie do tego miasta, spojrzyjcie na to miejsce, cóż znajdziecie? Rozpasanie pogańskie, upadek wielkiego państwa, lud dający wiarę śmiesznym bajkom Koranu, który żyje w najgrubszej niewiadomości, a dlaczego? Bo już krzyż nie błyszczy nad Hagia Sophia, którą fanatyzm turecki zamienił na meczet.

Drugą naukę daje nam Francya. Pewnego dnia pozamykano we Francyi kościoły Jezusa Chrystusa; zburzono jego ołtarze, połamano jego krzyże, pozabijano jego kapłanów. Ale skoro wypędzono Chrystusa, czegóż dożyto we Francyi? Zobaczono, że znikają te podwaliny co stanowią podstawę narodu. Nie było więcej autorytetu; Na jego miejsce powstała władza uzurpatora, który rządził postrachem. Nie było własności; na jej miejsce nastąpiło bankructwo narodowe. Nie było już wolności! jej miejsce zajęła tyrania, która urządziła hekatomby z praw i sprawiedliwości. Znikła równość, która wywyższa wszystkich, ślepa nienawiść zajęła jej miejsce, zapanowała gilotyna, krew. Nie było nawet Boga; motłoch oszalały postawił na ołtarzu krwią ociekłą boginię i tej oddawał cześć boską. Oto macie przykład praw, porządku społecznego, gdy się Chrystus od nas oddali!

Wyrzucają nam niektórzy, że nie chcemy postępu. Ale właśnie całkiem przeciwnie; kochamy go i chcemy go, ale z Jezusem Chrystusem, bo wierzymy i jesteśmy przekonani, że każdy postęp bez Chrystusa jest cofaniem się w tył; jest to postęp, który spotykamy u społeczeństwa, znajdującego się na szczycie pychy i zwyrodnienia, i dla którego już napisane są owe słowa, które podczas uczty Baltazara sprawiły zamieszanie i postrach na biesiadników rzuciły: Mane, Thekel, Phares!

O człowieku, który wpadasz w podziw nad twym cudownym geniuszem, nie poddawaj się zachwytowi szaleństwa, lecz wznieś ducha do tego, który ci geniuszu użyczył! Oddaj się twoim badaniom, uprawiaj pole chemii i fizyki, ale nie porywaj się myśleć zuchwale, że znajdziesz nowe prawa życia! Gdy się wychodzi na wysoką górę, to idzie się coraz wyżej, aż się dojdzie do szczytu; ale jeżeli chcemy iść dalej, to schodzimy na dół. A na drugiej stronie znajdziemy wnet przepaść, na której ponurych ścianach widnieje napis, krwawem wyryty pismem, a który ma straszliwe znaczenie, wyraz ten to „Nicość".

Ci, którzy tak koniecznie chcą wywrócić Chrystusa niechże zechcą sobie przypomnieć, co świat zawdzięcza Jezusowi w nauce, sztuce, pod względem wolności i moralności. Już raz niezmazanem pismem wypisaliśmy w naszych sercach słowa także i w kamieniu wyryte; Niech Jezus panuje!" Tak, niech Jezus króluje nad naszem sercem, niech króluje nad naszym rozumem, nad naszą wolą. Niech Jezus panuje! To słowo, które było naszą sławą w przeszłości, niech nas napełni odwagą w teraźniejszości, a otuchą i nadzieją na przyszłość. Tak, niech panuje Jezus! Tak, panuj Panie Jezu nad tym krajem, gdzie tylu świętych ciebie miłowało, tobie służyło, ciebie uświetniło. Panuj, o Panie Jezu, bo w naszych czasach szczególnie nam ciebie potrzeba, bo potrzebujemy światła, pociechy, odwagi!

O Panie Jezu nie opuszaj nas! Zostań przy nas Jezu, zostań przy grobie, aby pocieszyć w bólu wdowy i sieroty! Zostań w szkole, chociaż cię chcą stamtąd wypędzić, pozostań w szkole, aby oświecać nauczycieli, błogosławić dzieci! Pozostań w pracowni artysty, aby

zapalać jego ducha; zostań z ubogim w jego chacie, aby nieszczęśliwych nauczyć poddania się woli Najwyższego; pozostań w pałacach bogaczy, aby wlewać w ich serca miłość ku bliźnim i uczyć miłosierdzia; pozostań wśród ludu biednego, aby się nie dał łudzić i nie pozwolił uwodzić tym, którzy sobie go na łup upatrzyli! Zostań w pobliżu chorego w godzinę śmierci, zostań przy wszystkich o Jezu, a gdy Ci ktoś powie, abyś się oddalił, to nie wierz mu, bo coby było z wolnością, równością, coby się stało bez ciebie ze społeczeństwem, z ojczyzną!

Co do mnie, o Panie, to jesteś moim ideałem, moim przewodnikiem, moim pocieszycielem. Tobie zawdzięczam pierwszą łzę mojego natchnienia, mojej miłości bliźniego. Na chwilę wprawdzie wypędziłem cię z mojego serca, ale uczułem wnet, jak próżnem i pustem jest wszystko, gdy brakuje Jezusa, jak niema radości, jak brakuje pokoju, gdy Jezus w sercu nie mieszka! A gdy cię znowu znalazłem, nie chcę cię porzucić; zawsze cię przy sobie zatrzymam, bo czuję aż nadto dobrze, jak bardzo potrzebuję twojego światła przeciw ciemności, która nas zaczyna ogarniać, jak bardzo potrzebuję twojego serca wśród ruin, które coraz więcej się mnożą i nas otaczają.

A gdy zbliżę się kiedyś do mojego końca, wtedy z błogosławieństwem twej miłości na czole, pod opieką i osłoną ręki twojej chcę wyzionąć ostatnie tchnienie, w twoje ręce oddać ducha mojego na zawsze i na wieki!

IX.

Męka Jezusa Chrystusa.

„O vos omnes, qui transitis per viam, attendite et videte, si est dolor sicut dolor meus!“

To są słowa, które zaleca mi, do was dzisiaj skierować, umierający Chrystus, kiedy daniną łez naszych, mamy uczcić śmierć boskiego Odkupiciela naszego: „O, wy, którzy przechodzicie przez drogę naszego życia, drogą zwilżoną mojemi łzami, zroszoną moim potem, skropioną moją krwią, rzućcie wzrokiem na mnie, policzcie moje rany, zmierzcie głębię mojej goryczy i zobaczcie, czy jest boleść, jako boleść moja“. Posłuszni zaproszeniu umierającego Boga, udajmy się na to miejsce łez, obelg i męki Jezusowej; niech przed oczyma naszemi przeciągną najsławniejsze boleści i męczarnie, aby je porównać z cierpieniami jego. Ale kogo możemy porównać z naszym Jezusem? Jakich obrazów może nam dostarczyć pismo święte, aby stanąć mogły godnie obok męki Jezusa? Czyje cierpienia mogą wytrzymać taką boską paralelę? Abel jest zaledwie słabym obrazem jego niewinności, Kain wściekłości jego nieprzyjaciół. Job uginający się pod ogromem nieszczęść, Izaak obciążony drzewem ofiarnem, Józef przez braci swoich okropną

żądzą zemsty prześladowany, Dawid, uciekający przed własnym, niewdzięcznym, bezbożnym synem, uchodzący z trudem na górę Oliwną, od swoich opuszczony, podczas gdy Semei, obładowany kamieniami, obrzuca go przekleństwy i miota nań obelgi — to wszystko są typy i figury, ale obrazy i symbole bardzo niedoskonałe owych boleści, w których wyzionął ducha swego nasz Pan, Jezus Chrystus.

Nadaremnie będziemy szukali odpowiednich przykładów. Nie, niema cierpienia, któreby się równało cierpieniu naszego Zbawiciela. Jezusa można tylko z nim samym porównać, jego boleściom można przeciwstawić tylko jego własne boleści. Czegóż zatem możecie ode mnie oczekiwać? Izajasz, prorok siedzący na gruzach Jerozolimy, nie był w stanie znaleźć odpowiedniego wyrazu dla swoich boleści, a ja miałbym mieć taką odwagę, aby wam uzmysłowić mękę i śmierć naszego Jezusa? A jednak zrobić to muszę; a gdy mi zabraknie wyrażeń, gdy mi zabraknie wyrazów, to będę płakał razem z wami.

Postępujmy za nim do Ogrodu Gethsemani, przed tron niesprawiedliwych sędziów; idźmy za nim aż na krwawy szczyt Golgoty. Miłość, która podtrzymywała Jezusa w jego boleściach, podtrzyma podczas tych bolesnych rozmyślań także i duszę naszą.

Ale kto nas będzie prowadzić? Kto będzie naszym przewodnikiem? Bądź ty nim sam, o uwielbiony krzyżu mojego Jezusa, przedmiocie naszej szczególnej czci i uwielbienia w tych dniach!

O krzyżu godny miłości, pozdrawiamy cię; ty przyjąłeś Jezusa w ramiona swoje, ty stałeś się teraz naszą ucieczką! Do tego krzyża została wraz z Jezusem cała

nasza nadzieja; ty, wspaniałe łoże śmiertelne, na którem Jezus śmierć męczeńską poniósł, ty sam opiszesz nam boleści tego, którego opłakujemy! Pomóż mi cokolwiek, opowiedzieć godnie o męce Zbawiciela; ale spraw naprzód, aby nam przebaczył grzechy nasze, bo inaczej nie będziemy w stanie wytrzymać opowiadania o tych strasznych mękach, jakie na tem drzewie wycierpieć musiał; niech z twoich ramion błogosławionych spłynie łaska dla sprawiedliwych, a bogate strumienie przebaczenia dla nas grzeszników.

I. Jezus chciał ponieść bolesną mękę swoją z wielu powodów, które nam ewangeliści dokładniej opisują; ale przedewszystkiem stało się to z powodu naszych grzechów. A ponieważ są grzechy serca, grzechy ducha i grzechy ciała, dlatego chciał Jezus Chrystus odpokutować grzechy serca przez swoją śmiertelną walkę w ogrodzie Gethsemani, grzechy ducha przez swoje upokorzenia się przed sędziami, a grzechy ciała przez boleści swojego biczowania, przez swoje cierniem ukoronowanie, a w szczególności przez swoje cierpienia na Golgocie.

Odpokutował grzechy serca w ogrodzie Gethsemani. Serce jest źródłem wielu grzechów: życie wśród bezładnych przyjemności, wyuzdane rozkosze, zamach zabójczy, złamanie wiary małżeńskiej; i Jezus chciał te wszystkie grzechy odpokutować przez cierpienia swojego boskiego serca w ogrodzie Oliwnym. Pozostawiwszy przedtem ludziom najczulszy zakład swojej wielkiej miłości w Sakramencie Ołtarza, tym cudownym dziele swojej miłości, skoro dał apostołom ostatnie upomnienia, opuszcza wieczernik, gdzie przełamał z uczniami chleb miłości, i udaje się na górę Oliwną, kieruje niejako

kroki swoje ku ołtarzowi ofiary. Wreszcie znajduje się w ogrodzie. Opuszcza apostołów; sam jeden idzie dalej i dochodzi do samotnej pieczary. Jest już noc, gęste ciemności otulają ziemię; Jezus rzuca się na ziemię i zatapia się w modlitwie i w rozmyślaniu. Wtem bladość śmiertelna pokrywa jego oblicze, straszny dreszcz wstrząsa jego członki, konwulsyjne drganie ściska jego serce. Jezus podnosi się; czuje wewnętrzną potrzebę wylania swego niewymownego smutku w serce innego człowieka. Wraca do swoich apostołów i mówi do nich te śmiertelnie smutne słowa: „Moi ukochani, gdybyście wiedzieli, co ja cierpię, co ja znoszę; gdybyście wiedzieli, ile ja cierpię! Prawdziwie, cierpię tyle, że samo to wystarczy, aby mi zadać śmierć!“ Ale, na co się przyda to wylanie serca do głębi zasmuconego? Nikt go nie słyszy, wszyscy śpią — a przecież napominał ich Jezus, aby czuwali, czuwali, czuwali. Biedy Jezu — nawet godziny nie mogli czuwać z tobą! Wraca na miejsce swojej pierwszej modlitwy, modli się znowu w wielkiem udręczeniu serca i głębokim smutku; idzie poraz drugi do swoich apostołów i znajduje ich znowu uśpionych. Powtórnie wraca na modlitwę, powtórnie odwiedza apostołów, którzy śpią ciągle. W końcu udręczenie serca i bojaźń śmierci tak wzrastają, że podnosi do Boga głos łzami zduszony i błaga Ojca niebieskiego: „Ojcze, nie mogę wypić tego kielicha, jest nadto gorzki. Mój Ojcze, oddal ten kielich odemnie; miej litość nad twoim synem!“

Moi bracia, jaka to niezwykła mowa w ustach Jezusa Chrystusa? Niegdyś, dziękował już zanim otrzymał, pewien, że nic nie będzie mu odmówionem; a teraz prosi, błaga, zaklina! A co jeszcze szczególniejszego, to, że

Ojciec niebieski jest głuchy na prośby swego ukochanego syna; on chce mu udzielić kielicha goryczy, każe mu zeń pić. A Jezus przyjmuje jego wyrok z poddaniem i dodaje: „Twoja Ojcze, nie moja wola niech się stanie“.

Ale jak to? Bóg drży, blednie, staje się smutnym i zgnębionym? Tak, nie dziwmy się temu; miłość, którą czuł dla ludzkości, skłoniła go także do ponoszenia i podziału jej słabości.

Jakie były przyczyny tej męki Jezusowej? Zapewne widok boleści, które na niego czekały. To nie prawda, że ból przeczuwany jest mniej dotkliwy: co najmniej to nie zawsze jest prawdą. Wyobraźnia czyni go o wiele większym i dotkliwszym, niż w rzeczywistości będzie. W tej chwili wszystkie męczarnie, które wycierpieć musiał, przesunęły się przed oczyma jego duszy; szyderstwa i obelżywości, krzyż, ciernie i gwoździe stanęły mu przed oczyma jak straszliwe widma; to wszystko ścisnęło mu serce; wszystkie męki, jakie stopniowo będzie musiał przenieść, łączą się niejako nad jego głową, rzucają się na niego i sprawiają mu trwogę śmiertelną. Wśród tych gorzkich udręczeń, jedna męka wypływa z drugiej, nie ma czasu nawet oddechu zaczerpnąć, ale odczuwa bóle jeden po drugim, a chwilami wszystko naraz skupia się w jedno wielkie udręczenie. A jak wielkie musiało być udręczenie Chrystusa, zrozumiemy, znając męczarnie na śmierć skazanych, którzy po tysiąc razy śmierć przeżywają, zanim wybije godzina przeznaczenia. Czy będziemy teraz dziwili jego głębokim smutkiem?

A jednak spieszę wyjawić prawdziwą przyczynę jego strasznych cierpień w ogrodzie Oliwnym. W piersi

jego mieszkała ciągle tęsknota za śmiercią, która w usta jego kładzie słowa: „Muszę zostać obmyty krwawym chrztem i słyszę w piersi głos, niech się dokona“. Serce jego jest pełne niecierpliwości, że godzina wyzwolenia przeciąga się, a skoro ta utęskniona chwila nadchodzi, pragnąłby uchylić ten kielich goryczy. Tu więc leży ukryta tajemnica i musi być inna przyczyna, z której wypływają cierpienia Boga-człowieka.

W rzeczywistości cierpienia jego płyną z grzechu, obrazy Pana Boga, z nieuchronnej zguby wielu dusz. Zaiste tak jest — z grzechu. Któż mocen jest wypowiedzieć, co czysty jak lilia Jezus patrząc na tyle zbrodni całego świata cierpi? Począwszy od pierwszego grzechu Adama, aż do ostatniego antychrysta, nie jest zakrytem przed wszystkowiedzącem okiem Jezusa. Bracia w Chrystusie! Porównajcież w duchu wszystkie grzechy, które popełniono od początku świata, wszystkie grzechy, które się teraz dzieją a i te, które jeszcze mają być popełnione: wszystkie bluźnierstwa, wszystkie morderstwa, występki, otwarte i skryte zbrodnie, świętokradztwa, wogóle wszystkie występki, wszystkie, to wszystko wydaje się w jego oczach jeszcze straszniejszem, niż najstraszniejsze cierpienie; bo gdzie tylko może zwrócić swój wzrok, czy na prawo, czy na lewo, wszędzie zieją grzechy, wszędzie przestępstwa, które rzucają się na niego jak potoki zła wszystkich pokoleń i wszystkich wieków. Tak, na Jezusa w ogrodzie Oliwnym rzuca każdy człowiek kamieniem swej zbrodni, a i wy mili bracia w Chrystusie połączyliście się, ażeby go znieważać. Jak wielkiem i ciężkiem mogło być to uderzenie, które z naszych rąk ugodziło Chrystusa w ogrodzie Oliwnym! A potem pomyślcie tylko, że przypatrujemy się grzechom oczami

grzeszników; dlatego jesteśmy do pewnego stopnia nieczuli na wielkość obrażeń Bogu wyrządzonych, nie znamy bowiem, nie kochamy Boga; ale Jezus jest synem Boga żywego, on ma w sercu dla niego najgorętszą miłość i czuje całą przepaść hańby tych rzeczy, które w naszych oczach nie mają żadnego znaczenia. Jakąż straszną boleść musi czuć Jezus na widok całej złośliwości za którą został odpowiedzialny! O szczęśliwi bylibyśmy gdybyśmy tak grzechy osądzali, jak je Chrystus osądził, o szczęśliwi, jeżeli w naszem sercu wzbudzi się taka sama nienawiść dla grzechu, jak w sercu Jezusa! A co najmniej, Jezus pasujący się w ogrodzie Oliwnym ze śmiercią z naszej przyczyny, powinien być dla nas wzorem i pobudką prawdziwej pokuty.

Trzecią przyczyną, która doprowadziła trwogę śmiertelną boskiego Odkupiciela, aż do najwyższego stopnia, był beznadziejny, rzut oka w przyszłość, niepowetowana strata tylu dusz. Odkupiciel miałby był niejaką pociechę, gdyby mógł zobaczyć owoce swoich wielkich cierpień. Dla zbawienia rodzaju ludzkiego cierpiał i byłby stokroć więcej z ochotą przeniósł, gdyby tenże rodzaj ludzki było możliwe ocalić. Ale miasto tego musiał widzieć, że pomimo jego cierpień, pomimo strumieni jego kosztownej krwi, tyle dusz spieszy na potępienie. Jedna kropelka krwi wystarczyłaby, aby cały świat obmyć z grzechów, a teraz przelewa wszystką swoją krew, a pomimo tego zmuszony jest patrzeć, że tylu idzie na zatracenie; musi patrzeć, że niektórzy tę przenajświętszą krew depczą nogami, i rzucają się do piekła, że ta krew, która ma na celu przebaczenie, pewnego dnia zawoła strasznym głosem o zemstę.

Mili bracia, ażeby cierpienia Jezusa całkiem zro-

zumieć, trzeba pojąć niewypowiedzianą głębię jego miłości i czułości. Widzimy go jednego dnia, jak serdecznemi łzami swych boskich ócz zwilża kamienie grobu Łazarza; widzimy go, współczującego i zasmuconego nieszczęściem ubogiej wdowy, która jedynego syna odprowadza do grobu; widzimy go płaczącego z powodu strasznych ciosów, które mają uderzyć w niewdzięczne Jeruzalem; a teraz widzi przed swemi oczyma wszystkie te dusze przechodzące, które on bardzo kocha, dla których tyle niewypowiedzianych boleści ponosi, a te żadnej korzyści nie chcą ciągnąć z jego krwawej śmierci; te dusze stworzone na jego obraz i podobieństwo, wykąpane w jego krwi, mają pójść na zatracenie!

Miłosierny Ojcze, szlachetny przyjacielu ludzkości, cóż musiał wycierpieć w tej chwili twój boski syn! Zdaje mi się, jakobym słyszał z jego ust bolesną skargę: „A więc nadaremnie cierpiałem; nadaremnie urodziłem się w ubóstwie; nadaremnie wychowywałem się w zapomnieniu i twardej pracy; nadaremnie będę się wił pod razami biczów, nadaremnie umrę na krzyżu; wszystko, aby poruszyć wasze serca, które się jednakże wzruszyć nie dają! Aby was pozyskać, wy którzy się nie chcecie pozwolić pozyskać, aby was ratować wbrew waszej woli; moja zdradzona, nogami podeptana krew będzie o pomstę wołać do nieba, ja umrę nie na to, aby was ocalić, ale aby wasze boleści powiększyć, bo nie chcecie ciągnąć korzyści z mojej śmierci! O, aby wiedzieć jak strasznie ja cierpię, musielibyście wiedzieć, jak serdecznie was kocham!“

Wiecie teraz, co Jezusa tak gnębi, co go tak trwogą napełnia. Z jego świętych ócz płyną krwawe łzy, skóra pokrywa się krwawym potem, krwią przepocone suknie

lepią się na jego świętych barkach; krwią zroszona cała ziemia naokół. O ziemio, ziemio, nie chwytaj ty tej krwi; nie dla ciebie, o nie, dla mnie ona wylaną została! O miłosierny Boże, nie pozwól, aby ta krew nadarmo została przelaną!

Widzicież teraz, co cierpiał Jezus w ogrodzie Oliwnym. Jeżeli pomyślimy teraz, że przez tak długi czas sprzeciwialiśmy się łasce Bożej, nie wyrwież się z naszej piersi krzyk: Jezu, mój Jezu, straszna i wielka twoja boleść, wielka jak morze! Któż z nas zechce zwiększyć jego boleści? Któż nie zechce go pocieszyć w jego srogich cierpieniach? Zstąp, aniele z nieba i pociesz boskiego odkupiciela! Wy, dusze współczujące, przystąpcie bliżej, aby Jezusa pocieszyć; przystąpcie bliżej; waszą powinnością jest pocieszyć tego, który cierpi dla zbawienia wszystkich dusz, a te i wy musicie się starać ratować. Naokoło siebie macie braci, którzy postępują drogą występku; spieszcie ich ratować; oni mają także duszę nieśmiertelną, dla której Jezus tyle przecierpiał; ratujcież je, a Jezus zeszle wam stokrotną zapłatę!

Tak wiele kosztowały Jezusa grzechy serca, występna miłość i nieuprawnione skłonności. Zastanówmy się chwilę; pomyślmy, że to przecież Bóg, który pasuje się ze śmiercią: pomyślmy, że z bożego serca spływa krew na ziemię; czyż jest możliwe, by z tą krwią nie połączyły się nasze łzy? Podwójną naukę musimy z tego wyciągnąć; musimy znaleźć siłę, by w pokoju i cierpliwości przeciwności i cierpienia życia znosić. Zaiste możemy spojrzeć do góry, do Ojca niebieskiego za słowami: „Ojcze, smutną jest moja dusza“; nie śmiemy jednak do tego dodać: „aż do śmierci“. Nasze cierpienia bowiem nie mogą iść w porównaniu z cierpieniami

Jezusa. Nie pozostaje nam nic innego, jak posłusznie schylić głowę i rzec: „Panie, nię moja, ale twoja wola niech się dzieje“.

II. Rozliczne są grzechy, które powstają z ducha: duma, pycha, wygórowana ambicya. Popatrzmy, w jaki sposób pokutuje Jezus przez swoje upokorzenia za te grzechy.

Po chwili podnosi się z miejsca swojej przedśmiertnej walki wzmocniony i pocieszony; zdaje się, jakby w samym bólu znalazł potrzebną siłę. Zbliża się do apostołów i mówi z tym majestatycznym spokojem, który mu jest właściwym: „Wstańcie, ten który ma mię zdradzić, jest blizko“. Jezus nie boi się niebezpieczeństwa, idzie naprzeciw tym, którzy mu chcą wyrządzić najgorszą hańbę. Przez to poucza nas, że powinniśmy się przygotować na godzinę smutku przez ćwiczenie w modlitwie; a gdy niebezpieczeństwo już nadeszło, nie powinniśmy poddawać się bojaźni, ale położyć całą naszą ufność w Panu Bogu.

Tymczasem stanął Judasz na czele żołnierzy i zbliżył się do ogrodu. Jakto, Judasz, jeden z Apostołów? Świadek cnót, świadek cudów Jezusa? Judasz, zaszczycony przyjaźnią Jezusa, który został wyniesiony do godności kapłaństwa, do godności urzędu apostolskiego? Czy to możliwe? Jakież to zepsucie serca ludzkiego! W rzeczywistości to Judasz, który wyszukał nieprzyjaciół Jezusa i ułożył się z nimi, aby go wydać za trzydzieści srebrników. „Judaszu, Judaszu“, woła jakaś pobożna dusza, „dlaczego nie powiedziałeś mi, że go chcesz sprzedać; byłabym go kupiła i ukryła głęboko w mojem sercu!“ Ale Judasz nie zdradził nikomu swojego planu. „Bądź pozdrowion Panie“, mówi do Jezusa, „bądź po

zdrowion mistrzu“. Te słowa przenikają jak miecz kochające serce Jezusa; ojciec widzi się przez syna zdradzonym, przyjaciel przez tego, który się nazywał jego przyjacielem! Jezus uczynił wszystko, aby pozyskać Judasza. On klęczał przed nim i obmywał nogi jego; on nakarmił go swojem ciałem i krwią przenajświętszą przy ostatniej wieczerzy; teraz próbuje jeszcze jednego ostatniego środka. Z niewypowiedzianą słodyczą i miłością, która wzruszała wszystkie serca, powiedział do niego: „Amice, ad quid renisti?“ „Mój przyjacielu, jakie są twoje plany, twoje zamiary?“ Mój przyjacielu, ty, którego kochałem, i którego kocham zawsze, pocałunkiem, znakiem miłości, przyjaźni, wierności, zdradzasz syna człowieczego?“ Te słowa, któreby wzruszyły nawet kamienne serce, nie czynią na Judaszu żadnego wrażenia. Przyciska usta swoje do ust Jezusa; to był znak, który umówiono.

Zdrajco, ten pocałunek wnet ci zostanie oddany przez piekielne usta szatana! Zamach jest dokonany; ale szybko do nim nastąpi rozpacz i okrzyk: „Zgrzeszyłem, zdradzając krew niewinną!“ Wnętrzności twoje zostaną zasypane. Bezbożny uczniu, jeżeli jest dla ciebie jeszcze jaka pociecha, to chyba ta: Nie jesteś ostatnim, który zdradza Jezusa. Dałeś przykład zbrodni, dotąd nieznanej samemu piekłu; niestety dość często będzie ona naśladowaną. Uwielbiony Jezus jeszcze znajdzie swoich zdrajców!

O wy, aniołowie strzegący świętości Pańskich, którzy okrążacie ołtarz Najświętszego, ileż to razy modliliście się na widok świętokradzkich dusz, które zbliżały się do boskiego Zbawiciela! Miały one pozór pobożności, ale w sercu niosły pocałunek Judasza, bo grzech tam

mieszkał. Co nam powiedzieć tym nieszczęśliwym? Czy niema żadnej pomocy, żadnego ratunku, żadnej dla nich nadziei? Czy mam im powiedzieć: Uciekajcie z przed oczu tego, któregoście zdradzili? Nie, moje wargi wstydzą się powiedzieć takie słowo. Chcemy naśladować Jezusa, który mówi: „Prawda, zdradziłeś mię; pomimo tego jesteś moim przyjacielem, jeżeli tylko zechcesz pokutować!“ Judasz obraził mniej Jezusa przez swoją zdradę, niż przez swoje zwątpienie i rozpacz. Wracajcież przeto do swojego boskiego Odkupiciela; tylko jego krew jest w stanie obmyć wasze grzechy!

Zaledwie dano zdradziecki znak, rzucili się oprawcy na Jezusa. Chociaż Jezus umiera, umiera dobrowolnie; wystarczyłoby jedno słowo z ust jego, aby wszystkich tych położyć u swoich stóp; i dopiero skoro uzdrowił ucho Maltusa, odcięte mieczem Piotra, oddał się wtedy w ręce swoich nieprzyjaciół. Ci związali go jak złoczyńcę i popędzili do Jerozolimy. Jakież upokorzenie dla Jezusa, który pięć dni temu wchodził tryumfująco, wśród okrzyków ludu do tego miasta, ludu, który trzymając w ręku liście palmowe, słał mu szaty swoje pod nogi; Teraz prowadzą go jako złoczyńcę przez ulice miasta, a tłum znieważa go! Tak, — ufajcie oklaskom świata! Jakżeż łatwo zmienia się jego „Hosanna“ na „Ukrzyżuj go!“

Ale to wszystko, to dopiero prolog; Jezus nasz musi dojść aż do takiego stopnia upokorzenia, że z prorokiem musi wykrzyknąć: „Jak zasłona okryło zawstydzenie oblicze moje!“ Zbawca zostaje najprzód zaprowadzony do Annasza. Ten jest zaciętym wrogiem Jezusa Chrystusa; siedzi on na podwyższeniu w rodzaju tronu, po prawicy i lewicy jego znajdują się uczeni

w piśmie i faryzeusze. Z uśmiechem zadowolenia na ustach zadaje Jezusowi pytania. Jezus odpowiada ze spokojem i słodyczą, a podczas gdy jego odpowiedź brzmi całkiem pokornie, wymierza mu sługa arcykapłana policzek ręką uzbrojoną w żelazną rękawicę. Policzek tu na ziemi daje często powód do pojedynku; policzek, jest to zniewaga, którą tylko krew zmyć może, a Jezus znosi go ze spokojem i poddaniem.

Potem zaprowadzono Jezusa przed Kaifasza. Przeprowadzono przeciwko niemu pewien rodzaj procesu; ale w każdym procesie jest także obrońca. Nie było nikogo, ktoby Jezusa bronił. Cały świat ukrywa się. Gdzież są ci uczniowie, których krótko przedtem żywił ciałem i krwią? Chodźcież i brońcie swojego Pana i Mistrza. Ach, z jego uczniów jeden go zdradził, a drugi się zaparł. Ach, jak to boli, dobroczyńcę w dniu jego nieszczęścia widzieć się opuszczonym! Tymczasem słyszycie same fałszywe świadectwa, oskarżenie na oskarżeniu, kłamstwo na kłamstwie! Słyszycie obłudnego sędziego, który ze znaczącem słowem zwraca się do Jezusa: „Zaklinam cię na Boga żywego, powiedz, czyś jest naprawdę synem Bożym!“ Jezus odpowiedział z majestatycznym spokojem: „Tyś powiedział, ujrzycie syna człowieczego, przychodzącego w obłokach na ziemię, aby sądzić świat“. Na te słowa, które dusze naszą napełniają świętą trwogą, podnosi się arcykapłan, rozdziera szaty swoje i woła; „Zbluźnił, cóż dalej potrzebujemy świadków? Otoście teraz słyszeli bluźnierstwo“. Ty, jesteś tym, który bluźni Bogu, obłudny sędzio! Przyjdzie dzień, że ten, któregoś ty w jego poniżeniu nie chciał słuchać, będzie twoim sędzią, sędzią narodów, a przedewszystkiem sędzią tych, co zapominają o swoich obowiązkach! Wszy-

scy łączą się w okrzyku: „Winien jest śmierci!“ Skoro jakiś człowiek jest skazany, chociażby najgorszym był, wzbudza litość i poważanie; tylko Jezus był wyjątkiem, dla Jezusa nie znalazło się poważanie, nie było litości; został oddany w ręce siepaczy, którzy go wyszydzają, na niego plują, biją go i zabawiają się w ten sposób, że bijąc go, kazali mu zgadywać, kto go uderzył, mówiąc: „Prorokuj nam Chrystusie, kto jest, który cię uderzył“.

Jezus znosił te wszystkie zniewagi z cierpliwością, ale stokroć więcej zabolala go zniewaga, która go jeszcze więcej upokorzyła; gdyż nic nie boli więcej nasze serca, jak to, gdy musimy patrzeć na przyjaciół, zapierających się starej przyjaźni; milszem nam jest otwarte prześladowanie. Piotr, którego Chrystus przyrzekł mianować głową swojego Kościoła, który głośno i uroczyście twierdził, że woli raczej tysiąc razy umrzeć, niż go opuścić, zrobił się niezdecydowany i na podwórzu domu arcykapłana, chciał przeczekać wynik zamachu, dokonanego przez Judasza na Jezusie, wtedy zobaczyła go pewna służebnica i rzekła do niego: „I ty jesteś jednym z jego uczniów!“ Mylisz się — powiedział Piotr — nie znam tego człowieka. Obstaje przytem i po trzykroć przysięga Piotr, ostatni raz nawet wśród przekleństw i złorzeczeń przysiągł, iż nie zna Jezusa.

O nieszczęśliwy uczniu, tak daleko zaprowadziła cię obawa ludzka! Och, jakżeż wielu ta sama obawa przeszkadza zwrócić się do swego boskiego Zbawcy, a strach przed ludźmi oddala ich od Boga! Także i my, kochani bracia mówiliśmy w gorliwości nieraz: „Lepiej umrzeć, aniżeli ciebie o Panie opuścić!“ Ale z obawy przed wejrzeniem czyjemś, przed jednem słowem sprzeniewierzyliśmy się Bogu. Powiedzieliśmy sobie: Będą się

z nas ludzie śmiali; i wyśmialiśmy Jezusa, nie myśląc, że Jezus zapewnił: „Kto się mnie zaprze przed ludźmi, zaprę się i ja jego przed Ojcem moim, który jest w niebiesiech“.

Jednakowoż, moi bracia, jeżeliśmy mieli nieszczęście naśladować Piotra w jego upadku, naśladujmy go także w pokucie. Jezus spojrzał na Piotra, a ten wzrok sięga głęboko w kłamliwe serce ucznia; Piotr wchodzi w siebie, poznaje swoją winę i zaczyna gorzko płakać. Czy wzrok Jezusa sprawi podobny cud w mojej duszy? Jeżeli mamy nieszczęście grzeszyć, to przypomnijmy sobie, że Jezus na nas patrzy; a jeszcze lepiej zanim zgrzeszymy, przypomnijmy sobie, że Jezus nas widzi, a nie będziemy mieli odwagi zrobić coś, co nam może przynieść tyle złego.

Z pierwszym brzaskiem dnia wloką Jezusa do Piłata, od Piłata do Heroda. Ci obaj są nawzajem wrogami; ale znika nieprzyjaźń, jeśli chodzi o uciśnienie niewinności, zaraz zapomina się o całej nienawiści, Herod był ciekawy zobaczyć Jezusa, bo spodziewał się, że ten uczyni jakiś cud przed jego oczami. Ale Jezus nie działa cudów, aby schlebiać próżności, zadowolnić pychę. Nie mówi nawet do tego pysznego, lecz milczy. Zawiedziony w swoich oczekiwaniach, postępuje z nim Herod jak z głupkowatym, jak z szaleńcem; każe go odziać w białą szatę, jak zwyczajnie odziewano waryatów. Wielki Boże! Nieskończoną mądrość, słowo, które się ciałem stało, wystawione jak szaleństwo na pośmiewisko ludzkie! A może i lud, który zebrał się przy drodze, którą miał Jezus postępować, wołał: Oto idzie waryat!“.

Zaprowadzono Jezusa z powrotem do Piłata; i tu przed pogańskim namiestnikiem rozgrywa się opłakana scena. Ten lud, który Jezus tak bardzo ukochał, oka-

zuje się dla niego okrutnym. On poganin, chętnie byłby ocalił niewinnego, ale nie ma odwagi, uznać go wolnym. Jezus nie odpowiada na zarzuty, jakie mu czynią; zachowuje pełne wymowy milczenie! Aby się bronić, nawet ust nie otwiera. O mój Jezu, w tem pragnę cię naśladować; krzyż ukryty, to kosztowny klejnot, a gdybym nie był wstanie dłużej go nosić w milczeniu, to przyniosę go do ciebie i tobie powierzę udręczenie mojej duszy.

Ale jaki ja to krzyk słyszę? Największem upokorzeniem dla cnoty jest, jeśli się ją widzi postawioną na jednym poziomie z przewrotnością i podłością. Piłat miał w swojem więzieniu osławionego mordercę, a że było w zwyczaju na święta Wielkanocne wypuszczać na wolność jednego z więźniów, dlatego zwracając się do ludu, zapytał, którego ma wypuścić, Jezusa czy Barabasza. Sama natura wzdryga się na podobne podobieństwo; ale Jezus i to musi wytrzymać, niewdzięczny, oszalały lud woła:

„Non hunc, sed Barabbam! Nie chcemy Jezusa, a wypuść nam Barabasza!“

Jezus, zatem stoi niżej, nie tylko od każdego pospolitego człowieka, ale nawet od pospolitego złoczyńcy, Piłat zapytuje krwi żądną tłuszczę: „Ale co nam uczynić z tym człowiekiem?“ — „Ukrzyżuj go!„ jest na to odpowiedź. „Czy on nie jest waszym królem?“ „Nie znamy innego króla, jak cesarza. Nie chcemy, aby ten panował nad nami; krew jego niech spadnie na nas i na dzieci nasze!“ — Na to jest Piłat bezradny, nie wie, co uczynić i dziwną zaiste litością powodowany, chce, Jezusa skazać na biczowanie.

Niesprawiedliwy sędzio, jeżeli Jezus jest winnym, to wydaj na niego wyrok; ale jeśli jest niewinny, to wyznaj publicznie i umrzyj z nim razem, jeśli tego potrzeba! Ale Piłat odchodzi na stronę i myje ręce swoje na znak, że nie winien śmierci. Tak, tyle niewinny, co okrutni oprawcy, którzy rwą na szczępy ciało Zbawiciela, tak niewinni, jak ci, co łaknąc jego krwi, zrywają mu suknie z ciała, przywiązują go do słupa i gradem uderzeń biczów krwawią jego ciało przenajświętsze. Krew przenajświętsza spływa strumieniami, ciało odpada od kości, czerwone bicze ociekają krwią, krwią pomazane ręce i ramiona katów, ziemia krwią się napawa. Ten straszny widok nie wzrusza tych ludzi okrutnych; gdy pierwsi oprawcy zmęczeni ustępują, występują nowi i znowu nowi, a wszyscy dodają nowych boleści, nowych ran, nowych męczarni.

O mój Jezu, widzę, jak kierujesz twoje miłości pełne, krwią zabiegłe oko w moją stronę i mówisz: „Patrz, to wszystko cierpię dla ciebie, czy jesteś zadowolony?

Gdy dzicy oprawcy widzą Jezusa w takim opłakanym stanie, szydzą jeszcze z niego wśród boleści. Dają mu trzcinę w rękę jako berło, szmatę purpurową zarzucają mu na ramiona, niby płaszcz purpurowy, na głowę wciskają mu wieniec cierniowy. Widzę, jak kładą na jego głowę świętą, tę koronę szyderską, jak ciernie wbijają się w jego skronie, tak, że krew występuje i napełnia jamy oczne — Jezus już stracił w zupełności ludzki wygląd i wszelkie ludzkie względy.

Czy jesteście nasyceni? Przynajmniej Piłat tak myśli; wyprowadza go w tym przerażającym stanie i przedstawia ludowi: Ecce homo! Patrzcie do jakiej nędzy doprowadziło go okrucieństwo nasze!

Moi bracia, pozwólcie, że i ja także użyję tego słowa, że go położę na ustach Boga, na ustach naszego cierpiącego Jezusa, i każę mu powiedzieć: Ecce homo! Widzicie wasz wzór, dusze litościwe, widzicie waszego pocieszyciela! Teraz nie narzekajcie na wasze cierpienia; nie skarżcie się na waszą cierniami ukoronowaną głowę!

Wy, którzy nie umiecie kochać, którzy chcielibyście się zbawić bez żadnego trudu, bez żadnej ofiary, przypatrzcie się Jezusowi; wtedy nic nie wyda wam się zbyt wielkiem dlatego, kto tak wielkie dla was poniosł cierpienia. Ecce homo! Niech to słowo będzie dla nas wyrazem współczucia i zbawienia. Nie zapomnijmy o tem, że na sądzie ostatecznym nie będzie się nazywało: Ecce homo! lecz: tu jest sędzia, tu jest świadek! A kto, moi bracia, będzie w stanie wytrzymać gniew jego, jeśli jedno jedyne wejrzenie z jego gniewnych oczu strąciło aniołów z nieba? Na miłość Jezusa, na miłość ku naszej duszy nieśmiertelnej, nie ociągajmy się dalej! Tu stoi Jezus, który za nas cierpiał; tu jest nasza dusza, stworzona na obraz i podobieństwo jego i jego krwią obmyta, nawróć ją do siebie, o Panie, w żalu prawdziwym i szczerym; ten cud będzie godnem zakończeniem tego dnia godnego pożałowania.

III. Ręka w rękę z występkami serca i ducha, idą występki ciała; pierwsze odpokutowali Jezus walką śmiertelną w ogrodzie Oliwnym, za nie poniósł obelgi przed sądem; za ostatnie pokutuje cierpieniami na górze Kalwaryjskiej. Zaledwie przebrzmiał okrzyk: „Ukrzyżuj go!“ zaraz wydano Jezusa w ręce katów; widzimy krzyż, którym go obciążą. Wydaje się niemożliwem, aby Jezus nie upadł pod tym ciężarem; ale to, co jest dla natury niepodobnem, staje się możliwem dla miłości;

obejmuje go ramionami, przyciska do piersi jak drogi klejnot i wśród tłumu ludzi opuszcza miasto w towarzystwie dwóch złoczyńców.

Dokąd idziesz, mój Jezusie? „Idę, aby umrzeć za ciebie; a gdy już umrę, to przypomnij sobie tego, który za ciebie umarł i staraj się kochać mię, choć trochę!“

On spotyka swoją matkę. Biedna matka! Widzi Jezusa zgarbionego pod ciężkim krzyżem, z obliczem obryzganem śliną i krwią — zaledwie poznać może swojego drogiego syna! „Mój synu“, powiada Marya. „Matko!“ odpowiada Jezus. W tych dwóch słowach wszystko zostało powiedziane. Marya podnosi swe oczy ku niebu i mówi tak jak syn jej w ogrodzie Gethsemani: „Nie moja, ale twoja wola niech się stanie!“ I postępuje za Jezusem, aby się z nim nie rozłączyć więcej. Tak samo powinniśmy i my postępować za Jezusem, ale nie kontentujmy się tem, że naśladujemy go jedną godzinę, ale idźmy za nim dziś, jutro i zawsze.

Wtem ukazuje się Szymon Cyrenejczyk. Czego ten człowiek chce? Wracał właśnie ze wsi do miasta i żołnierze obawiając się, żeby Jezus nie umarł na drodze, zmusili go do niesienia krzyża. Z początku opierał się Szymon. O, gdybym tam był obecnym, jak czułbym się szczęśliwym, mogąc ująć ciężaru ramionom Jezusa; z jaką rozkoszą porwałbym krzyż jego! A jednak jak często na drodze mego życia spotkałem krzyż i odwróciłem się, nawet go widzieć nie chcąc! Odtąd Panie Jezu, będzie inaczej; ochotnie przyjmę krzyż na ramiona i pójdę za tobą aż na górę Kalwaryjską!

Jezus spotyka kobiety płaczące; on mówi do nich: „Nie płaczcie nademną, ale płaczcie nad sobą i nad dziećmi waszemi!“ Jaki Jezus zawsze łaskawy! Nie

myśli o swoich własnych boleściach, ale o boleściach innych; widzi los, jaki ma ugodzić w to miasto i mówi: „Nie płaczcie nademną, lecz płaczcie nad sobą; ja cierpię niewinnie!“

Na szczyt góry przyszedłszy, rzucają Jezusa na ziemię i rozciągają go na krzyżu; przybijają do krzyża mocno jedną, potem drugą rękę, uderzenia młotów rozlegają się ponurem echem na górze Kalwaryjskiej. Krew tryska i rumieni gwoździe, młoty, ręce; czuje ciało odrywające się aż do najdelikatniejszych tkanek; niewypowiedziany ból maluje się na jego świętem obliczu, ale usta jego nie wydają żadnej skargi.

Jak straszną jesteś sprawiedliwości Boża! Nie wystarczyły ci zatem boleści góry Oliwnej, boleści biczowania; żądałaś jeszcze boleści Kalwaryjskiej góry, boleści ukrzyżowania!

Podnoszą krzyż, zbliżają go do jamy, otwartej, aby go przyjąć; jednym zamachem rzucają krzyż do otwartego dołu. Wtem bledną promienie słońca, cała ziemia pokrywa się tajemniczą ciemnością; ale jeszcze można poznać zarysy jego świętego ciała, na którem spełniły się słowa proroka Izajasza: „Od podeszwy do szczytu głowy niema zdrowego kawałka ciała. Ci, co przechodzą, potrząsają głową i nie poznają go; uważają go za okrytego trądem“.

Podczas gdy Jezus znosi tak niewypowiedziane boleści, szydzą z niego kaci u stóp krzyża stojący; wyśmiewają go, bluźnią mu. Czy to nawet możliwe? Uważajmy Jezusa, jak zwyczajnego człowieka, to i wtedy szczytem złośliwości szydzić z człowieka cierpiącego tak okrutnie i pasującego się ze śmiercią. Jezus podnosi oczy do nieba, otwiera usta, zapewne, aby przywołać

gniew Boży na swoich prześladowców? Ach nie! Czas sprawiedliwości przeminął, zaczął się czas miłosierdzia, teraz mówi się o miłości, o przebaczeniu.

On otwiera usta swoje i błaga o łaskę, o zmiłowanie: „Ojcze, odpuść im, bo oni nie wiedzą, co czynią; to są dzieci twoje, o Ojcze, a moi bracia, dlatego przebacz im!“

Ale, czy nie wiedziałem, co robię, gdy grzeszyłem? Czy nie miałem w rękach prawa twojego? Uznaję moją winę; niech miłosierdzie twoje przewyższy wszystkie moje grzechy, bo ty mówisz przecież do grzesznika po prawicy twojej: „Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju!“

Jezus otwiera znowu usta i mówi inne słowo. Przytulmy się do krzyża, aby usłyszeć ostatni wyraz jego testamentu. Dał nam już wszystko, swoje łzy, swoją krew, siebie samego w najświętszej Eucharystyi; została mu jeszcze matka i tę nam teraz oddaje. O matko Boża, w jakiejże godzinie zostałaś matką moją! A potem okiem ducha przeszłość, przyszłość i teraźniejszość ogarniając woła: „Consummatum est!“ a po małej chwili dodaje: „In manus tuas, Pater, commendo spiritum meum!“ Oczy jego zamykają się, i Jezus, który przez lat trzydzieści pracował, przez trzy lata nauczał, prześladowany przez wrogów, a opuszczony przez przyjaciół, ten Jezus oddaje Bogu ducha swego. Już umarł, umarł z miłości do nas, umarł abyśmy żyli, abyśmy nie zginęli! Moi mili bracia, czy nie należy nam tej miłości miłością zapłacić! Napełnijmy oczy nasze, nasyćmy serce nasze tem widowiskiem miłości i bólu; to serce, które z miłości dla nas zostało przebite, niech będzie ucieczką i obroną naszą!

Mili bracia, czy jest dzień odpowiedniejszy dla na-

szego nawrócenia, jak dzisiejszy, w którym rozpatrywaliśmy mękę i śmierć Zbawiciela naszego? Zanim Zbawiciel ducha wyzionął, modlił się za nas, a i po śmierci wzywa nas nieustannie, abyśmy się nawrócili. Czyż mamy być zatwardzialsi, niż ów złoczyńca, który płakał, wisząc na krzyżu? Czy jesteśmy twardsi, jak te skały, które pękały przy śmierci Jezusowej? Jezus wylał za nas krew, a my nawet łzy dla niego nie mamy? Ale nie tylko łez naszych żąda Jezus; chce postanowienia poprawy, życzy sobie stałego przedsięwzięcia nawrócenia.

O mój Jezu, ty powiedziałeś: „Skoro podwyższonym zostanę, pociągnę do siebie wszystkich“. Racz, Jezu spełnić to przyrzeczenie; a jeśli jest jeszcze kto między nami, któryby cię nie kochał, kogo nie wzrusza twój przykład, kto żywi w swem sercu złość lub gorycz, pamięta winę niedarowaną; jeśli między nami jest kto niewolnikiem swej namiętności, chodzi drogą występku, to Panie Jezu, uczyń cud i nawróć go!

Niech nikt o Panie nie zostanie wyłączony od błogosławieństwa twego; niech go przyjmą wszyscy, skoro dowiedzieli się już, co dla nas cierpiałeś! Chcemy odtąd rozpocząć nowe życie i cierpliwie ponieść za tobą krzyż, który włożyłeś na nasze barki, a ty racz nam odpuścić ciężar grzechów naszych. Tak Panie Jezu, przebacz nam! Niech twoja kosztowna krew, twoje gorzkie łzy nie zostaną przelane nadaremnie; błogosławieństwo twoje, które wybłagać pragnę dla moich braci, niech będzie zadatkiem twojego przebaczenia, twojego miłosierdzia. Tak, pobłogosław nas wszystkich o Panie Jezu, a przedewszystkiem pobłogosław nasze liczne, zbłąkane dusze!

X.

Wiara.

Skoro Jezus przyszedł na świat i przebywał między ludźmi, musiał z konieczności mówić z nimi o religii. „Religia“, tak mówi św. Augustyn, „jest wstęgą, która łączy Boga z ludźmi, i tę właśnie wstęgę przerwaną albo uszkodzoną naprawić, było zadaniem Jezusa Chrystusa“. Jezus Chrystus nie mógł mieć innego celu, jak naprawić zepsuty węzeł między Bogiem a człowiekiem; i tylko dlatego zstąpił z nieba na ziemię. Wszystkie ludy potrzebowały tej boskiej pomocy, bo wszystkie, wyjąwszy jednego, straciły prawdziwą wiarę; wszystkie pozostawały w stanie ciemności i błędu. Wśród tych ciemności i tego błędu głosił Jezus Chrystus swoją ewangelię i nauczał ludzi, jak Boga czcić powinni.

Jeśli chcemy poznać podstawy, na których miała zostać religia odnowioną, zobaczymy, że w ewangelii łączą się trzy główne cnoty: wiara, nadzieja i miłość. Wiara, nadzieja i miłość tworzą ten tajemniczy węzeł, który łączy skończoność z nieskończonością, Boga z człowiekiem, niebo z ziemią.

Wiara w Boga, nadzieja w Bogu i miłość ku Bogu, to jest, czego Jezus wymagał od każdego. Wiara jedno-

czy nas z Bogiem, nadzieja łączy nas z nim w tajemniczy sposób, a miłość jest węzłem jeszcze doskonalszym; a wszystkie trzy stanowią ogół tych prawd, które nas łączą z ojcem niebieskim — który ze swej strony zbliża się do nas przez łaskę, przez dobrotliwość i miłość.

Religia jest więc wzajemną wymianą stosunków między nami i Bogiem, argumenty, któremiśmy się dotąd zajmowali, prowadzą nas logicznie do omówienia tych wszelakich aktów zewnętrznych, na których ten wzajemny stosunek polega. Dzisiejszego ranka będziemy mówili o religii.

Wiara! potrzebujemy zaledwie wymówić ten wyraz, a już modni niedowiarcy patrzą na nas wielkimi oczyma; śmieją się, kiwają głową i mówią: „Pozostałość z wieków średnich!“ Ale my także możemy się im przypatrzeć, roześmiać się, pokiwać głową i powiedzieć: „Głupcy dziewiętnastego stulecia“. Cóż znajdujecie w naszej wierze, coby się sprzeciwiało waszemu rozumowi? Wiara i rozum to są dwie strony zapisane tym samym tekstem; gdy prawda dotyka jednej strony ręką prawą, dotyka drugiej strony, lewą ręką. Są to dwa strumienie wypływające z jednego źródła, dwa promienie tego samego słońca; są to dwie harfy różnego kształtu i formy, które atoli wydają ze siebie jednaki ton. Wiara chrześcijańska jest tak samo jak rozum światłem nadprzyrodzonem, które rozjaśnia i uzupełnia światło przyrodzone. Rozum oświeca nam tylko niektóre rzeczy, a i te w sposób niedoskonały. Ale teleskopem wiary uzbrojeni, odkrywamy nowe, nieznane światy, rzeczy, które nam się wydawały przedtem zamglone, odzyskują wyraźną postać. Dlatego już Dawid powiedział: „Secreta et occulta sapientiae tuae manifestasti mihi“.

Jednak jakże możemy wierzyć, wtrącają niewierzący, gdy wiara stoi w tak rażącej sprzeczności z wiedzą i wolnością ducha? Mamyż się zupełnie wyprzeć rozumu, jego praw, a trzymać się ślepo prawd wiary? Przyjmujemy moralność, ale odrzucamy dogmaty, odrzucamy filozofię chrześcijańską!

Co mamy na to odpowiedzieć? Jeżeli mili bracia zechcecie mię posłuchać, to usłyszycie następującą odpowiedź.

I. Wiara pozbawia ludzi osobistej godności, wiara ich poniża, zmusza ich sprzeniewierzyć się prawom rozsądku; to są zarzuty, jakie czynią pospolicie niedowiarki. Jednak dlaczego? Po pierwsze, bo wiara przymusza nas, uznać coś za prawdę, czego się nie widzi. Zupełnie, jak gdyby nasza filozofia zadawalniała się samem tylko doświadczeniem oka. Czy nie wierzymy np. w bieguny ziemskie? Czy nie wierzymy w siły natury? A przecież to wszystko nie podpada pod nasze zmysły. Gdy się nie przyjmuje wiary, gdy się spuszcza kto na samo jeno świadectwo zmysłów, znaczy pozbawiać człowieka, arcydzieło natury, najszlachetniejszego narzędzia, inaczej, czynić go kaleką.

A potem, czy nie dlatego dał nam Bóg ciało, aby nam ułatwić porozumienie się z światem zmysłowym? Ale równocześnie dał nam także i duszę, aby nas połączyć niewidzialnie ze światem nadzmysłowym; dlatego kto się chce ograniczyć wyłącznie do spostrzeżeń zmysłowych i dowodów zmysłowych, stawia się na równi z koniem i osłem, którzy nie mają rozumu.

Bez wiary byłby zakres naszych spostrzeżeń bardzo

ograniczony. Nie wierzylibyśmy w ludzi, którzy nas na ziemi poprzedzili; nie wierzylibyśmy w nic, co się przed nami na ziemi działo; nie wierzylibyśmy w narody, których nie widzimy; poprostu trzebaby nam rzucić w kąt całą historyę i geografię. Nie wierzylibyśmy nawet w duszę naszą i nasze komory mózgowe byłyby zastraszająco puste.

Z wiarą ginie także życie socyalne. Społeczeństwo mówi nam: Twoje imię, twoja rodzina, twoja ojczyzna istniały już dawno przed tobą. Jeślibyśmy w to nie uwierzyli, to trzebaby nam zaprzeć się rodziny i ojczyzny. Społeczeństwo otwiera nam wielką księgę, która zawiera historyę ojczyzny naszej, oraz całego ludzkiego rodzaju. Zabierzcie nam wiarę, a znajdziecie się bez historyi, będziecie osamotnieni, sami, bez patryotów, bez chlubnych wspomnień, bez przeszłości. Społeczeństwo mówi do nas przez swoich nauczycieli: to są prawdy historyczne, prawdy moralne; zabierzcie tę wiarę, a nauka stanie się zupełnie niemożliwą.

Wiara jest więc konieczna, tak w życiu prywatnem, jak w życiu publicznem. Wierzy się w nieskazitelność przyjaciela; wierzy się nauczycielowi, który nam wyjaśnia zasady obcego języka; wierzy się w układy małżeńskie — wszystko rzeczy, których widzieć nie można; a przecież wyparcie się tych faktów byłoby jednoznacznem z obaleniem podstaw społeczeństwa ludzkiego.

Jeśli zatem stosunek człowieka do człowieka polega na wierze, dlaczego również na wierze nie może polegać stosunek człowieka do Boga i na wierze się kształtować? Jeżeli pod wpływem rozsądku „wierzę“ jest podstawą społeczeństwa ziemskiego, dlaczego nie miałoby również być podstawą społeczeństwa religijnego? Jeśli

już chcemy uznać za prawdę tylko to, co widzimy, to bądźmyż przynajmniej konsekwentni; opuśćmy społeczeństwo, udajmy się na pustynię i tu z samym rozsądkiem jedynie, opuszczeni przez Boga i braci naszych, zagrzebmy się w grobie tak doskonale głębokim, żeby go i sam szatan nie mógł odkryć, bo i on nawet wierzy. Credunt et contremiscunt!

Sławna przez swoje polityczne losy, jak zarówno przez skandaliczne intrygi, Anna Gonzaga, miała raz szczególny sen. Zdawało się jej, że idzie przez las i zabłąkawszy się napotyka chatkę, w której mieszkał ślepy. Zbliża się do niego i pyta, czy jest ślepym od urodzenia, czy też stracił wzrok z biegiem czasu; ten odpowiada, że się już ślepym urodził. „Nie znasz zatem piękności słońca, natury, barw kwiatów?“ „Nie, nie znam żadnej z tych rzeczy“, powiedział ślepy; „ale wierzę, że te rzeczy egzystują, i wierzę, że są piękne, tak piękne, że tego opisać nie można. A moja ślepota może być dla każdego nauką, że bywają rzeczy, których oko ludzkie podziwiać nie może, które nigdy niewidziane, godne są przecież pożądania“. Anna zdumiała się tą mową; wzruszona uściskała ślepego człowieka, który jej ukazał piękniejsze światło niż to, którego był pozbawiony, i nawróciła się znowu do Boga, którego opuściła.

„Przypuściwszy nawet“, mówią inni, „żeby uwierzyć w rzeczy, których się nie widzi; nie można przecież zgodzić się na to, aby wierzyć w to, czego się nie pojmuje. Dla nas decydującem jest zdanie filozofa: Pojęcie jest miarą wiary“.

Chcecie zatem wierzyć w to tylko, co rozumiecie? No, w cóż zatem wierzycie? Bacon powiedział: „Człowiek

nic właściwie nie rozumie". Czy rozumiecie istotę materyi, firmament, życie? Po tysiącu badań i poszukiwań stoicie zawsze na miejscu; tajemnice otaczają was; na każdym kroku pytanie, na które nie umiecie odpowiedzieć; na ustach waszych „Dlaczego" nigdy nie schodzi; w każdym zakresie, czy to życia społecznego, czy przyrodniczego macie przed oczyma rzeczy niepojęte.

Pewnego dnia był uczony zajęty w swej pracowni: „Znalazłem, znalazłem prawo siły przyciągającej!" „Ale cóż to jest za prawo?" zapytano go. „Sam tego nie wiem", odpowiedział.

Inny uczony wsadził ziarno nasienne w ziemię swojego ogrodu; zakiełkowało, wzrosło, rozwinęło się w roślinę i wydało mile woniejący kwiat. Jakże to było możliwem? „No przez wzrost!" „Ale cóż to za siła, co daje wzrost roślinie?" „Nie wiem tego; bo chociaż namy cuda natury, nie znamy jej tajemnic".

I to my, co nie możemy odgadnąć tajemnic natury chcemy zrozumieć tajemnice wiary? Tajemnica jest tą pieczęcią, którą Bóg naznacza wszystkie swoje dzieła; religia bez tajemnic byłaby godną pogardy, boby jej brakowało znamienia boskości, cechy wyższości i nieskończoności. Podróżny, który przebywa równinę, nie spostrzega swojej małości; ale gdyby się znalazł u stóp Kordylierów, musiałby mimowolnie wykrzyknąć: „Jak małym jestem!"

Nie, to tylko uznawać, co rozum pojmuje, byłoby nietylko dumą, byłoby szaleństwem. A zresztą, czy nasz rozum jest ostatniem kryteryum prawdy? Czy człowiek zbadał tajemnice ziemi? Bóg złożył je w łonie ziemi; i Bóg nie miałby zasługiwać na to, aby mu wierzono?

Jeżeli człowiek przekona się, że to Bóg mówił, to nie pozostaje mu nic innego, jak milczeć, wierzyć i czcić.

A teraz pomyślcie, co to za anomalia! Zuchwały człowiek, który odrzuca tajemnice wiary, ale z największą pokorą schyla głowę przed tajemnicami natury, ten sam człowiek całe życie poświęca na to, aby obliczyć wszelkie możliwości wiedzy; a nie chce ani chwili na to obrócić, aby obliczyć to, co się odnosi do Boga. Tym niedowiarkom możnaby powiedzieć: Chcecie wierzyć w to tylko, co pojmujecie? Zatem nie wierzcie w panteizm, który uznaje tylko jednę substancyę i przyznaje jej sprzeczne przymioty; nie wierzcie w materyalizm, który chce przyznać materyi zdolność myślenia; nie wierzcie w deizm, który zaprzecza Bogu wszelkich doskonałości; nie wierzcie w ateizm, który cnotę i występek uważa jedynie za zrządzenie losu i ze sobą równa, spychając z tronu istotę doskonałą, sędziego dobra i zła. Nie, tych teoryi przyjąć nie można, bo stawiają na miejscu tajemnic sprzeczność i absurd. Metafizyka religii stoi o wiele wyżej, niż metafizyka filozofii; tamta odnowiła świat, wlewając w zimne serce ludzkie miłość ku bliźnim; ta nic nie przyniosła krom ruin i beznadziejnego spustoszenia.

„Przecież wiedza sprzeciwia się zupełnie religii", zarzucają pospolicie. Ale jak, dlaczego? Czy Bóg wiary naszej nie nazywa się zarazem Bogiem wiedzy? Czy objawienie i wiedza nie są promieniami tego samego słońca? Inne religie mogą się zapewne obawiać wiedzy, ale nasza religia stoi do wiedzy, jak rodzona siostra.

Niema żadnego postępu umiejętności, któryby doznał złego przyjęcia, broń Boże potępienia ze strony wiary; nawet wszystkie postępy w nauce służą do ce-

lów wiary i doznają jej opieki. Biedni bracia klasztorni wynaleźli w wiekach średnich proch, także odkryli ruch ziemi i gwiazd. Kepler i Newton, dwaj głęboko religijni mężowie dali pierwszy popęd, temu rozwojowi potężnemu nauk, który trwa do dnia dzisiejszego.

A następnie, aby dowieść, że wiara i wiedza wrogo do siebie stoją, trzebaby dostarczyć dowodu, że pomiędzy prawdziwie uczonymi nie było wierzących chrześcijan. Historya dowodzi wprost przeciwnie. Pico z Mirandoli był zapewne uczonym mężem; a był przytem tak religijnym, że nie namyślał się ani chwili napisać do Aldusa Manucyusza, że „filozofia bez religii jest niczem". Descartes twierdził, że prawdy objawienia są najprawdziwsze z prawd i że musi się zatem wierzyć w autorytet Boga. Newton, taki uczony, nazywał biblię księgą natchnioną i ona stanowiła jego codzienną lekturę. Ampère postawił twierdzenie, że wszyscy prawdziwi mędrcy trzymali się zasady, że religia jest boską.

„Ale na cóż nam Bóg dał rozum, tylko abyśmy się nim posługiwali, nie dlatego, aby go dla ślepej wiary zarzucać!" Któż wam przeszkadza posługiwać się rozumem? A potem bez rozumu jest wiara wogóle niemożliwa; ona szanuje prawa rozumu jeszcze bardziej niż my. Rationabile obsequium vestrum, mówi św. Paweł. Św. Augustyn szuka i znajduje w swoim rozumie wspaniałe dowody dla swojej wiary. Kościół posługuje się także środkami rozumowymi, aby niewierzących nawracać. A czy nie używa także dowodów, na które tylko rozum może się zdobyć, aby przekonać przeciwników, a potępić nieprawowiernych? Czy jest jaki dogmat, który trzyma w ukryciu, jaka herezya, przeciw której nie walczy, jakie badanie, którego się lęka, albo sędzia, którego pragnie pozyskać? Tak, tylko religia katolicka nie cofa się nigdy przed dowodami — inne religie zapewne.

Prawda jest, że i ci, co się wypierają wiary, posługują się także rozumem, ale w jaki sposób? Zaprzeczają istności Boga odwiecznego, a zato chcą przyznać nieśmiertelność światu, który sami w sobie tworzą; odpychają siłę uświadomioną, a opierają się na siłach ślepych; nie chcą uznać najwyższego rządcy świata, a uznają panowanie przypadku. A co do duszy? Każdy z nich słyszał, że jest jakaś dusza, szukał jej, ale jej nie znalazł. I zadawalnia się przekonaniem, że to garstka prochu, która ma być natchnieniem geniusza, podnietą artysty, a zapałem poety. I czy to się nazywa używaniem rozumu?

Naturalnie, jeśli wiara zostanie z serca wypędzona, wtedy na to miejsce wciska się niewiara, „próżnia musi być zapełniona". „Wszystko jest dobre dla tego, kto nic nie ma", mówi Lacordaire. Tylko, aby nie wierzyć w Jezusa, wierzono w bezwstydne nauki gnostyków, niecne nauki Mahometa, bezbożne nauki Voltaira. Widzimy, że ludzie wierzą nawet takiemu Szymonowi Magusowi, a apostołom wierzyć nie chcą. Widzimy takiego cesarza Juliana, porzucającego prawdziwą wiarę, a badającego ze drżeniem wnętrzności swoich ofiar. Gdy w wiekach średnich zaczęła się chwiać wiara, wtedy zaczął się wiek czarownic i wróżbiarzy. W ośmnastym wieku, w stuleciu wielkich bluźnierców, spotykamy takiego marquis d'Argent, który się boi liczby 13; inny, marszałek Francyi zmyka z pokoju, bo się na stole przewróciła solniczka; spadkobiercy Voltaira kończą saturnalie filozofii wyznawaniem Mesmeryzmu. Dzisiaj

znowu nie chcą wolnomyślni nic wiedzieć o kościele, ale zato rzucają się w objęcia spirytyzmu; wyśmiewają proroctwa, a wierzą przepowiedniom magnetycznym; nie wierzą ani w aniołów, ani w dyabłów, ale usiłują połączyć się z duchami przez gadające stoliki.

Tak to z utratą wiary traci się i zdrowy rozsądek. Wierzy się we wszystko, tylko nie w prawdę; chwyta się każdego błędu, każdego kłamstwa, a szczególniej jeśli to obiecuje zysk lub zabawę. A do jakich szaleństw prowadzi podobne postępowanie? Kapłan, który całe życie poświęcił poważnym studyom nad zagadnieniami religijnemi, ogłasza i uznaje ewangelię za dzieło Boże; jakiś uczony ze wsi, jakiś szewc może, który jej nigdy nie otworzył, oświadcza przeciwnie; ale on ma słuszność, a ksiądz nie ma słuszności. Biskup układa list pasterski, papież ogłasza encyklikę; pisarze i publicyści, którzy znają wszystkie tajemnice, oprócz tajemnic religii, narzucają się na cenzorów; i znajdują się ludzie, którzy przyznają słuszność dziennikarzowi, a odmawiają posłuchu papieżowi. To zaprawdę nie jest posługiwanie się rozumem; to jest nadużywanie rozumu. Taki nie może przecież o rzeczy sądzić, który się na niej nic nie rozumie. A jeśli kto robi tak zły użytek z praw rozumu, czego się można po nim spodziewać? Zaraz to zobaczymy.

II. Czego możemy się od tych ludzi spodziewać, którzy w taki zły sposób posługują się swoim rozumem? „Wy, księża i mnisi“, mówią, „nie rozumiecie swojej misyi, powinniście dogmaty zostawić na boku, a mówić tylko o moralności“. Ale czy można ogłaszać moralność, skoro się ją oddzieli od wiary?

W liście, który otrzymałem przed dwoma dniami

i który wbrew memu zwyczajowi otworzyłem, radzono mi, abym w tych kazaniach zamiast o przedmiotach wiary mówił o cierpliwości, prawdzie, o duchu poświęcenia i poddania się. Ale czy to możliwe posiadać te cnoty bez wiary i bez zasad? Nie można mieć cierpliwości, miłości bliźniego, ducha poświęcenia, jeśli się nie wierzy w Boga i w życie przyszłe. Przypomnijcie sobie słowa Bossueta: „Dobrze wierzyć, jest to dobrze żyć“. Życie podobne jest do budynku, składającego się z dwóch części, fundamentu i właściwego budynku. Bez fundamentu runie dom przy pierwszem wstrząśnieniu; tak samo moralność bez wiary.

Mamy do wyboru dwie moralności: chrześcijańską i filozoficzną. Czy moralność chrześcijańska może być bez wiary? Zapewne, że nie; bo między jej przykazaniami jest jedno, które brzmi: „Kochaj twoich nieprzyjaciół“. Czy to prawo polega na prawach natury? Żadną miarą; prawo natury uczy nas zasady: „Oko za oko, ząb za ząb“. Moralność chrześcijańska nie opiera się zatem wyłącznie na prawie naturalnem, ale całkowicie na dogmacie o przebaczeniu, o łasce i miłości Bożej; z tajemnicy wcielenia i odkupienia wypływa wiara nasza.

Czy moralność filozoficzna jest wystarczająca? Nie, bo nie ma wyższej sankcyi, brakuje jej wiary w życie przyszłe z jego nagrodą i karą. Dzisiaj wprawdzie głosi się moralność niezależną, oddzieloną zupełnie od wiary. I jakiż jest skutek tego? Mówi się, że w moralności zbliża się kryzys; słyszymy zdanie powtarzające się często, że nie wiadomo na jakiej podstawie teraz zbudować moralność; wątpi się nawet, czy w ogólności jest jaka moralność; a nowe systemy, o ile się widzi, nie

wytrzymują zdrowej krytyki. A dlaczego to? Bo moralność oddzielona od wiary traci zasadę, regułę; rzuca wszelki autorytet precz i traci dyadem swojej królewskiej godności. Cóż poradzić? Trzeba nam powrócić do prawdziwej moralności chrześcijańskiej. Racyonaliści wolą wątpić i zaprzeczają wiary, kokietują raczej z moralnością; ta ich moralność postępowa, ruchoma, nieoznaczona, zależna od najrozmaitszych zmian społecznych, jest bardzo wątpliwa i na współczucie zasługuje tylko społeczeństwo, którego obyczaje tak się zapowiadają. Jakąż prawość i uczciwość mogą mieć jeszcze ludzie, jeśli im wolno puszczać cugle swoim namiętnościom, jeśli mogą sobie na wszystko pozwolić? Z powodu braku wiary widzimy wzrost złego w sposób zastraszający; moralność zeszła na nic; zła wola w układach prawnych mała wierność w przyjaźni, brak szacunku dla honoru i niewinności.

Dlatego błagajmy Boga, bracia mili, aby ustała niezgoda religijna, aby miłość zapanowała między ojczyzną a religią; ażeby wiedza i wiara pracowały wspólnie dla tryumfu prawdy. W ten sposób zabłyśnie dzień spokoju, radości chwały i szczęścia dla nas wszystkich, i przeminie niebezpieczeństwo, że postęp dzisiejszy wtrąci nas napowrót w stan barbarzyństwa.

XI.

Wiedza i wiara.

Młodzież dzisiejsza, obałamucona przez tych, na których spadł obowiązek nauczyć ją prawdy, twierdzi, że nasza wiara nie odnosi się przychylnie do rozwoju wiedzy, ani nie sprzyja ruchowi owych wielkich idei, które prowadzą ludzkość na drodze postępu. Takie i tym podobne zarzuty słyszymy ze wszystkich stron. Porównuje się nas chrześcijan do egipskich mumii, które w swoje prześcieradła poobwijane leżą nieruchomo w grobie, do którego nie dochodzi ożywczy promień światła. Nasza wiara jest dla wielu bajką mamek dla dzieci, dobrą zresztą dla ludów, żyjących w ciemności przesądów; ale zbyteczną, a nawet szkodliwą dla wymagań wiedzy, dla rozwoju wykształconej ludzkości. „Skończyło się już panowanie wiary!“ wołają. „przesądy przeszłości ustąpiły miejsca wiedzy; przesąd ustąpił ze wstydem z drogi, którą postępuje ludzkość“.

To są owi mędrcy, którzy nie znają nieśmiertelnej młodości wiary naszej, a zamykają oczy, aby nie widzieć jej wiekuistej płodności i nie być zmuszonym przyznać, że każda nauka znajduje w niej swoją podporę. Przypatrzcie się wielkim umysłom wieków śre-

dnich! Ręka w rękę z wiedzą przysposabiają tę wspaniałą budowę wiedzy; z trudem chwytają promienie przedwiecznej mądrości i słowa Boga, który na ziemię przyszedł, aby je znowu obnosić, po wszelkich nowo odkrytych i uczęszczanych drogach. Nie — wykształcony chrześcijanin nie jest wcale głuchy na głos wiedzy! On nie zadawalnia się wcale powtarzaniem wyuczonych formułek, nie jest ani fanatycznie zarozumiały, ani nieuświadomiony; wiara człowieka wykształconego jest daleka od przesądu. Odwrotnie — jest to człowiek stojący na wysokości swojego czasu; człowiek nowożytny, zawsze przejęty ideami swojej epoki, ideami, które postępują na czele rozwoju cywilizacyi! nie odrzuca od siebie wiedzy, nie wzdraga się przed badaniem najzawilszych pytań; interesuje się nowemi odkryciami, każdym postępem, a nawet sam jest częstokroć odkrywcą i wynalazcą.

Tym przedmiotem zajmiemy się dzisiaj; ze wszelkich rodzajów broni, któremi się zwalcza religię, najniebezpieczniejszą jest właśnie ta, dowodzenie zupełnej niemożliwości pogodzenia wiedzy z wiarą.

I. Jeśli się zapytamy, dlaczego to wiara sprzeciwia się wiedzy, i przeszkadza rozwojowi postępu, otrzymujemy taką pierwszą odpowiedź: Ponieważ nasza wiara zakazuje nam kochać wiedzę. Ale czyż to jest prawda? Właśnie kochamy wiedzę dla wiary; kochamy ją więcej niż wolnomyślni; dla wiary właśnie kochamy ją w sposób wielkoduszny i z oddaniem się; kochamy ją dla miłości Boga, dla miłości dobra i dla tych korzyści, jakie przynosi światu.

Kochamy wiedzę dla niej samej. Nie jest ona dla nas bowiem samem tylko wytłumaczeniem faktów, nie

jest wytężeniem wszelakiej siły; aby się wyzwolić z pęt ciemności, które krępują nasz rozum; dla nas jest ona potęgą, niewypowiedzianem pięknem; pouczeniem Bożem i wyjaśnieniem jego dzieł; jest ona światłem Bożem rozpraszającem mgły, otaczające naszego ducha, mającem w sobie cząstkę jasności piękności Bożej. Jak podziwiamy sen fantazyi artysty, rzucony na płótno lub wykuty w marmurze, tak samo przez naukę możemy podziwiać myśli, plany i dzieła Boże.

Miłujemy wiedzę z miłości ku Bogu. Wiedza, która od Boga pochodzi, prowadzi nas napowrót do Boga. Odkrywa nam nieporównane piękno Boże; zbliża nas ona o jeden stopień do Boga i Pana naszego: jest ona instrumentem, za pomocą którego możemy coraz więcej głosić chwałę Stwórcy. Tak, wiedza podnosi nas do Boga, ukazuje nam jego potęgę, jego wielkość, jego piękność jego chwałę. „Najwznioślejszy cel wiedzy polega na tem, że uczy nas miłować Boga“. „Kocham wiedzę, bo mi daje prawo odzywać się do ludzi, gdy mówię o Bogu i o religii“, powiedział wielki Leibnitz. A w końcu miłujemy wiedzę z powodu dobra jakie przynosi światu. Wiara wlewa w nas miłość i poczucie, że powinniśmy się przyczyniać do szczęścia ludzkości, do postępu moralności, a i ta miłość właśnie każe nam miłować wiedzę w całej rozciągłości i we wszelakiem zastosowaniu.

Prawda, że wiedza nie jest uniwersalnym środkiem uzdrawiającym, nie jest wybawieniem od wszelakiej nędzy, ani środkiem zaradczym przeciw każdemu złemu; nie jest także celem ostatecznym dążeń ludzkich. Wiedza jest raczej środkiem potężnym, dobrym lub złym, zależnie od intencyi tego, kto się nią posługuje, a oderwana od religii sprawia jedynie zamieszanie ducha, a na-

wet spustoszenie w duchu. I właśnie dlatego żądamy wiary w prawdę chrześcijańską; to żądanie jest chyba usprawiedliwione, a co najmniej niekarygodne.

W rzeczywistości niezbędnym warunkiem popierarania wiedzy jest staranie, aby sama sobie nie przeszkadzała w spełnianiu swych dobroczynnych zadań. Do tego pomaga jej religia, która, jak nawet Bakon przyznaje, zapobiega rozkładowi wiedzy. Religia potrafi wszystko pogodzić! We wszystkich wiekach, czy to w czasach upadku, czy odrodzenia, w czasach barbarzyńskich i w czasach kulturalnych, zawsze religia była opiekunką i ochroną wiary i wiedzy. Przez wiele wieków byli uczniowie Kościoła jedynymi apostołami wiedzy jedynymi mecenasami, że się tak wyrażę naukowego postępu. Kościołowi zawdzięczamy organizacyę i rozwój edukacyi publicznej, czego starożytność nie znała wcale, starożytni bowiem filozofowie udzielali swej wiedzy nielicznym wybranym uczniom, Kościół zgromadzał około swych katedr ludzi wszelakich stanów, wszelkiego wieku, wszelkiej płci; bogatych i ubogich, wielkich i maluczkich, uczonych i prostaczków. Nauka, która rozwinęła się pod opieką wiary, jest zawiązkiem oświaty ludowej, oświaty wszystkich warstw społecznych. Do świętości swoich wprowadza kościół tylko dusze wybrane, ale poza świątynią zwraca się ze słowem Bożem do wszystkich dusz i udziela im nauki, dzieli ze wszystkimi chleb słowa, które jest wyłącznie słowem chrześcijańskiem.

Kościół nie robi zupełnie różnicy w klasach społecznych. Ponieważ wszyscy są powołani do uczty Pańskiej, powołuje też kościół wszystkich do nauki; ponosi największe ofiary, aby o ile możności wszyscy

udział w niej wziąć mogli. Wystarczy tylko przerzucić karty historyi, aby znaleźć wspaniałe dzieła kościoła w kierunku oświaty. Zaledwie ujrzał światło dzienne, powiedział do swoich sług. Docete omnes; Uczcie wszystkich! Nauka chrześcijańska wciska się na zgromadzenia publiczne i do synagog; idzie do miast i występuje na placach publicznych; daje się słyszeć w świątyniach i katakombach, i ani nauka rzymska ani mądrość grecka nie odważają się przeciw niej występować. Uczy i poucza bez względu na to, czy to jest w duchu czasu, czy nie — opportune et importune.

Apostołowie występują i wnet szkoły się wznoszą; najsławniejsze stare szkoły w Jerozolimie, w Antiochii, w Aleksandryi stają na czele chrześcijańskiej nauki. Tacy filozofowie, jak Justyn, krytycy, jak Orygines, uczeni, jak Klemens Aleksandryjski, apologeci, jak Tertulian, nauczyciele kościoła, jak Ireneusz, wyszli ze szkół kościelnych. Jaśnieli wielką nauką obaj Grzegorze, nie mówiąc o Chryzostomie, Ambrożym i Augustynie. A gdy najazd ludów barbarzyńskich zniósł państwo rzymskie, i zmiótł dawne stare szkoły w Rzymie, Atenach i Aleksandryi, gdy po tej burzy wszystkie ludy zaczęły zatracać swoje stare tradycye, ubodzy mnisi zabrali się do ratowania nauki i ocalili we Włoszech Hiszpanii i Angli wiele skarbów cennych i nieoszacowanych. Szkoły klasztorne mają w Europie wielką i piękną tradycyę.

Gdy nauka zaczęła się odradzać, wyniósł św. Anzelm filozofię do takiej wysokości, że dopiero Kartezyuszowi udało się go dosięgnąć. Święty Bernard objawia swego potężnego ducha, a św. Tomasz z Akwinu wyprzedza wiedzę o całe wieki. Wierze zawdzięczamy uni-

wersytety, między innemi także w Bolonii i w Ferrarze, w Oksfordzie i Cambridge w Anglii, Salamankę w Hiszpanii i Sorbonę w Paryżu. Papieże je pozakładali bądź to pośrednio, bądź bezpośrednio, otaczali swoją opieką i popierali swym wpływem.

Dowodzi się, że wiara stoi wrogo do wiedzy. Rzućmy okiem na okrycia naukowe. Cóż zdziałała starożytność w czterech stuleciach na polu arytmetyki, astronomii i geologii? Kształt naszej kuli ziemskiej był nieznany; nie miano wyobrażenia o budowie sklepienia niebieskiego; tajemnicą była budowa ciała ludzkiego; cuda światła i elektryczności były dla człowieka zamknięte. Potrzeba było pracy Kopernika, Keplera, Newtona, samych mężów chrześcijańskich, aby odkryć tajemnice astronomii; Kartezyusza i Leibnitza, także chrześcijan zdecydowanych, aby te odkrycia poprzeć wynikami badań matematycznych; potrzeba było takiego Spalanzaniego dla fizyologii, a Cuviera dla geologii. Mógłbym ten spis uczonych ciągnąć nierównie dalej; ale myślę, że tyle wystarczy aby dowieść, że wiarę można o wszystko inne posądzić, aniżeli o wrogie usposobienie dla naukowego postępu.

Inne religie zapewne — są dla nauki wrogo usposobione, bo nie mogą wytrzymać naukowej krytyki. Biedny Mahometanin, albo biedny poganin nie mogą się zwrócić do wiedzy bez obawy wyparcia się swojej wiary. Ale w naszej religii właśnie łączyła się zawsze wiara z wiedzą; widzimy to u wielkich umysłów w każdem stuleciu; a i jeżeli bezstronny historyk wyciągnie bilans z nauki bieżącego stulecia, to się pokaże także, że wszyscy uczeni, którzy wnieśli cokolwiek nowego światła byli chrześcijanami.

Za dni naszych usiłowali niektórzy uczeni na podstawie pewnych odkryć i wynalazków dowieść niezgodności wiary z wiedzą. Godni oni pożałowania. Za każdym razem, gdy wyszli za granice hypotezy, za każdym razem gdy badania sprowadziły hypotezy do ich właściwej wartości, wykazało, się, że fakty dowodzą tego właśnie, czemu przeczyć chcieli. Znowu następują inni, którzy pokładają nadzieje w nowych odkryciach; ale powiedzmy sobie: to co jest prawdą dla wiedzy jest prawdą dla wszystkich — to, co jest dowiedzionem dla wszystkich, to i nauka przyjmuje i taką prawdą niezbitą jest, że tylko Bóg mógł nakreślić ten plan świata, nad którego urzeczywistnieniem pracują i pracowali najlepsi ludzie i dla którego poświęcili swoje najlepsze siły.

Drugi zarzut, jaki się podnosi przeciw religii, jest, że religia „przeszkadza światłu“. Ma się całkiem przeciwnie. Wiara rzuca właśnie wspaniałe światło na zasady wiedzy i na ich zastosowanie. Wiara oblewa światłem budowę poznania, i oświeca jasno klucze, odmykające świątynię wiedzy. Wiara jest wykończeniem i koroną wiedzy ludzkiej.

I w rzeczy samej, jeśli uczony zbada świat w każdym kierunku i dojdzie aż do jego granic, to tylko wiara może go dalej zaprowadzić. Ona zawiera prawdy innego porządku i ona wyprowadza świadomość uczonego poza granice widzialnego świata. Jeśli uczony znajduje na swej dalszej drodze zagadki i tajemnice, to wiara daje mu odpowiedź i wyjaśnienie. Wiara wspiera rozum i przystępuje do niego, skoro uczony musi weń zwątpić; ona go prowadzi dalej i pokazuje mu wszystko w jasnem świetle, co dawniej stało w ciemności.

Filozofia odnosi się do Boga i do duszy; ona odkrywa tajemnice życia Bożego i również tajemnice duszy; ona odkrywa nowe horyzonty, przyciąga do siebie wiedzę i wiąże ją z Bogiem, jak łańcuch wiążący ziemię z nieskończonością.

Można zatem powiedzieć, że wiara jest tem dla wiedzy, co kopuła dla świątyni; przez nią wchodzą promienie światła do domu Bożego. Nie, nie należy oddzielać góry od podnóża, szczytu od podstawy; nie należy rozdzielać tego, co Bóg połączył. Jaki byłby tego skutek? Religia bez wiedzy, wiara bez wiedzy byłaby tylko wspaniałą kopułą, która bez podpory unosi się w powietrzu; a wiedzę bez religii, bez tego łańcucha, który ją łączy z Bogiem, możnaby porównać do budynku z pałacem, którego budowy nie dokończono i który stał się ruiną.

II. Trzeci zarzut przeciw wierze jest ten, ze poddaje uczonego pod kontrolę. Jeśli to wogóle prawda, że wiara wykonuje kontrolę nad nauką, to dzieje się to w tym celu, aby ustrzedz uczonego przed fałszywym krokiem. Wiecie tak dobrze jak ja, że jest na świecie pewna konieczna zależność i pewna niebezpieczna niezależność. Ślepy, który chce iść sam naprzód, albo któryby się powierzył ślepemu przewodnikowi, musiałby niezawodnie wpaść do rowu. Tak samo człowiek, kierujący się kaprysem, chwilową fantazyą, bez przewodnika i kontroli musi wpaść w przepaść. Jak w życiu materyalnem tak i w ruchu naukowym muszą być przewodnicy, muszą być pewne reguły; tych przewodników i reguł powinien szukać uczony w żywych tradycyach i w nauczającym autorytecie.

Są naprawdę pomiędzy chrześcijańskimi uczonymi pewne podania, których należy przestrzegać dla interesu postępu i nauki; a te tradycye nie są wcale wałem na drodze uczonego, którego mu przestąpić nie nie wolno; są to raczej linie graniczne, które kierują krokami podróżnego i wskazują mu, gdzie kończy się grunt pewny, a gdzie zaczyna się spadek ziemi prowadzący do przepaści.

Autorytet naukowy, który o ile chodzi o niepewności i niebezpieczeństwa, te tradycye wyjaśnia, ustananawia te linie, uzupełnia je i kreśli; a jeżeli zakazuje le linie przekraczać to dlatego, aby przez sprzeczność wiary z wiedzą nie szkodzić sprawie nauki i naukowego postępu.

Fałszywe nauki lubią się rozwodzić nad tą tyranią ze strony wiary, ona to przestąpiła zakreślone linie i zawsze starała się je przestępować, ale osądźcie sami z jakiem powodzeniem. Zrobiła kilka kroków i te były fałszywe. Zwróciła się do człowieka i rzekła do niego: „Twoje pochodzenie nie jest boskie; ty pochodzisz w prostej linii od zwierzęcia“. Zwróciła się do duszy i powiedziała: „Twoje myśli, twoje uczucia, twoje porywy, jakiejkolwiek są one natury, są tylko ruchem małych, niewidzialnych atomów“. Do cnoty powiedziała: „Ty jesteś próżnem słowem“; a do występku: „Ty jesteś prawem, bo sprawiasz rozkosz“. I ludzkość upadła na ziemię przyduszona tą straszną tyranią. Ale trzeba się przekonać, czy to wszystko prawda. Czynności moralne potrzebują pewnych reguł, jak maszyny, które wynalazł rozum ludzki; one potrzebują stróża, jak koło fabryczne, aby nikt nie był narażony na niebezpieczeństwo, zostać zmiażdżonym w zębach straszliwego koła pomyłek. Duch prawdziwej wiedzy nie może lekceważyć reguł i zaka-

zów tego najwyższego autorytetu nauki, który nazywamy kościołem.

„Ale mój ojcze, zapominasz chyba o Galileuszu. Przecież to, co spotkało Galileusza jaskrawo dowodzi niemożliwości pogodzenia wiary z wiedzą".

Galileusz! Tak, jest to zapewne jedyny fakt, któryby można przytoczyć na dowód tego twierdzenia. Dobrze, przyjmuję to do wiadomości i postaram się odpowiedzieć na to z całą szczerością i swobodą. Najprzód przyznaję, że Galileusz istotnie został potępiony; został potępiony ponieważ myślano, że jego system sprzeciwia się pismu świętemu, stoi w sprzeczności z pismem świętem. Trybunał, który go sądził i potępił, pomylił się. Ale skoro uczyniłem to ustępstwo i zrobiłem wyznanie z całą szczerością, jakiej po nas wymaga wiara, postaram się dać kilka wyjaśnień, abyśmy dobrze zrozumieli, doniosłość tego potępienia.

Po pierwsze wyrok wydany na Galileusza nie zmienia w niczem naszej wiary i nauki o nieomylności kościoła. Galileusz nie został potępiony przez wiarę, ani przez kościół, lecz przez trybunał złożony z teologów, których poglądy mające za sobą całą powagę autorytetu, nie mogą mieć pretensyi do nieomylności. Następnie ten trybunał łudził się co do sposobu wykładu pisma św. i pomylił się. Zdawało się mu, że wyrażenia jakich użył odnośny pisarz, były absolutne i doktrynerskie, podczas, gdy to był tylko tradycyjny sposób mówienia, wypływający z powszechnie przyjętego mniemania, a użyty dla spopularyzowania odkrycia pomiędzy ludem; dziś także mówimy, że słońce wschodzi, słońce zachodzi, a wiemy przecież z nauki, że te wyrażenia są fałszywe. Trybunał znajdował się nadto pod wpływem fałszywych

mniemań współczesnych uczonych, którzy byli przeważnie wrogo usposobieni dla Galileusza. Bez wątpienia, Galileusz miał słuszność; ale zaostrzył swoje odkrycia złymi dowodami. Gdy się czyta jego najznakomitsze dzieło „Il saggiatore", nieznajduje się żadnego prawdziwie naukowego dowodu jego odkrycia. Można śmiało powiedzieć, że Galileusz rzecz pojął właściwie, ale ją źle wyłożył.

Niesłusznie zatem starają się nasi przeciwnicy przytoczyć to oskarżenie, jako naukowy dowód pomyłki Kościoła względem Galileusza; a jeszcze niesłuszniej posługiwać się tem na dowód niezgodności pomiędzy wiarą a postępem wiedzy. Ani wiara, ani nieomylność kościoła nie mają z tem nic do czynienia. Cóż zatem zostanie do powiedzenia w tym i w podobnych wypadkach? Nic innego, jak przyznanie, że wiara nie sprzeciwia się ani wiedzy, ani postępowi badań naukowych, ani uczonym przeszkadza. Tym, którzy uparcie chcą obstawać przy swojem, daje odpowiedź Benjamin Constant: „Wszyscy oni dają jasny i wyraźny dowód swojej niewiadomości i głupoty".

Błagajmy Boga, aby ci wszyscy na drodze błędu zostający, nawrócili się, niech piękna budowa wiedzy wiarą ukoronowanej wzrasta na coraz szerszej podstawie. Prośmy, aby nam było danem oglądać własnemi oczyma to wspaniałe widowisko, które przewidział Plato, a które ludzkość w ciągu ośmnastu stuleci już trzy razy podziwiać mogła; najprzód w czwartym wieku, gdy po zwycięskiem ukończeniu walki z pogaństwem, uczeni złożyli ręce swoje w rękę kościoła; potem, gdy po ciężkich bolach porodu nasza religia zapanowała wśród nowo powstałych chrześcijańskich ludów, a nauka

nałożyła koronę na głowę kościoła; w końcu, gdy w stuleciu siedmnastem nauka i sztuka przystąpiły zgodnie do ołtarza, aby dodać religii blasku i podziękować za zwycięstwa i chwałę, jakiej pod jej opieką dostąpiły. Z całej mojej duszy błagam Boga o podobnie spokojne i zgodne stulecie. Modlę się z całego serca o porozumienie i zgodę między temi dwoma potęgami, które na to są stworzone, aby wspólnie pracować! Ich połączenie doprowadziło do skutku piękne dzieło chrześcijańskiej obyczajności, najwspanialsze ze wszystkich dzieł na przestrzeni ziemskiej. I zdaje mi się, że chwila obecna sprzyja temu błogosławionemu połączeniu.

Na stolicy św. Piotra posadziła opatrzność wielkiego uczonego; jego głęboko przemyślane i wzniosłe słowa skierowały nań uwagę wszystkich wyższych umysłów, poruszyły i ożywiły interes u wszystkich uczonych. Anioł szkoły kościelnej, doktór anielski, św. Tomasz z Aquinu jest jego natchnieniem; z nieporównaną gorliwością stara się Leon XIII rozszerzyć nauki tego cudownego umysłu, stara się połączyć prawdy wiary i rozumu w jedną budowę, doprowadzić do dowodu, że filozofia i religia są jednem, a połączenie ich może być źródłem zbawienia dla świata i dla ludzkości.

O jakże pięknym będzie ten dzień, w którym zniknie wreszcie to nieporozumienie, w którym wiara i wiedza połączą się w serdecznym uścisku w naszej ojczyźnie! Jak pięknym dla ojczyzny naszej, błogim dla ludzkości będzie ten dzień, w którym wiedza współczesna zbliży się, do wiary i z nią połączy; zginie nienawiść, walka, zamęt, a zapanują wszędzie zgoda, pokój, miłość i szczęście!

XII.

Nadprzyrodzoność.

Od pierwszej chwili rozwoju chrześcijaństwa istnieje kwestya sporna o stosunku wiary do rozumu, wiedzy do religii. Ale aż do wieku ośmnastego nie odważyli się nasi przeciwnicy wypowiedzieć wyraźnie absolutnej niemożliwości pogodzenia obu kierunków. Wprawdzie rozum tu i ówdzie wypowiedział walkę pewnym dogmatom, nie chciał przyjąć pewnych prawd wiary; ale nigdy nie rzucano się na nadprzyrodzoność wiary, właśnie dlatego, że pewne rzeczy wydawały się nadprzyrodzone. Dopiero wiedza współczesna wypowiedziała objawieniu otwartą wojnę i prowadzi ją z całą potęgą naukowych środków. Obowiązkiem jest zatem apologety chrześcijańskiego użyć wszelkich środków, aby złamać ten opór. Zwołuje on wszystkich przeciwników do nadprzyrodzonego zródła wiary, a opierając się na krytyce i wiedzy powiada do nich: „Przypatrzcie się temu początkowi, przypatrzcie się tej historyi! Nigdy człowiek nie przemawiał w sposób podobny, jak ten mąż! Nigdy tyle pozornej słabości nie zamieniło się w taką wielką siłę, nie wydało takiej potęgi, jak chrześcijaństwo!“ Jest się zmuszonym przyznać, że to jest jedyny

fakt w historyi świata, którego nie można wytłumaczyć sposobem przyrodzonym i który musi być nadprzyrodzonym. Dlaczego nie mamy w to wierzyć? Racyonalistom nie brakuje sposobów do zwalczania wiary; stawiają poprostu aksyomaty, nie siląc się na ich przedyskutowanie. Pierwszą ich formułką jest najpospolitsze przeczenie i zaprzeczanie pierwiastka nadprzyrodzonego, jako nie dającego się pogodzić z nauką. Następnie stawiają formułkę: „Nadprzyrodzoność jest absurdem, tak jak i wiara jest absurdem“. Inni twierdzą, że wiedza nie zajmuje się i nie może się troszczyć ani o rzeczy nadprzyrodzone, ani o wiarę. Inni mówią jeszcze, że wiara jest przeszkodą dla swobody myśli i niewolnictwem ducha. Wszyscy wyciągają zgodny wniosek, że wiara jest okresem przejściowym z dziecięcego wieku ludzkości do okresu dojrzałości, który oznacza dla ludzkości panowanie wiedzy.

Zabierzemy się dzisiejszego ranka do zbadania tych rozmaitych przesłanek, i z pomocą Bożą nie dopuścimy do tego, aby obrażano godność ludzką w umyśle szczerze wierzącym, i aby z drugiej przedstawiano w wątpliwem świetle wartość umysłową ludzi, twierdzących i dowodzących nieśmiertelnego pochodzenia ewangelii. Jeśli my, którzy schylamy głowę przed Bogiem, nosimy ją wysoko przed ludźmi i śmiało patrzymy im w oczy, czynimy to dlatego, że czujemy się wolni jak ptaki niebieskie i chętniej staniemy się męczennikami prawdy, niż niewolnikami, zwłaszcza, jeśli to niewolnictwo odnosi się do rozumu.

I. Dlaczego mówicie, że nadprzyrodzoność ma być niezgodna z duchem naukowym? Tylko dlatego, że ci

ludzie są uprzedzeni i zupełnie bezowocnem byłoby przedsięwzięcie, wznieść cokolwiek światła do ich duszy, rozjaśnić ich mniemania. Ich dusza podobna jest do chorego oka, które nie jest w stanie odróżnić poszczególnych barw od siebie. Czy oni są pewni, że nie chorują na zupełnie odwrotną chorobę, i jeśli potrafię udowodnić, że na dnie ich duszy znajduje się wyłącznie negacya w formie aksyomatu, w formie zaciętego uprzedzenia, to muszą przyznać, że ich położenie wcale nie jest lepsze od naszego i muszą się logicznie i szczerze uznać za zwyciężonych. Twierdzę zatem, że jeśli w naszej duszy znajduje się wiara w pierwiastek nadprzyrodzony, w ich duszy jest absolutna negacya. Otworzywszy którekolwiek z ich dzieł, czytam wszędzie: „Pierwiastek nadprzyrodzony jest sprzecznością, jest czemś niemożliwem“. To, co oni nam jako aksyomat chcą narzucić, nie jest ani jasnem, ani dowiedzionem. Pouczają nas z katedr, że ogólny wynik wiedzy współczesnej poucza nas o tem, że nic nadprzyrodzonego nie egzystuje, a równocześnie oświadczają, że to nie jest wniosek rozumowy; i takiej sprzeczności daje się imię naukowej krytyki; więc nie dlatego, że wiedza i sztuka koniecznie żądają tego dowodu, tylko dlatego, że podług kodeksu filozoficznego dziewiętnastego stulecia, nie powinno być tajemnic wiary, nie powinno być objawienia, nie powinno być nic nadprzyrodzonego. To hasło nazwano krytyką. I jeżeli ci uczeni oświadczają, że to hasło jest zasadą i że nie potrzeba niczego dowodzić, to możemy śmiało ową pogardę, z jaką na nas spoglądają przeciw nim odwrócić. Wolność i niezależność myśli, jaką się chełpią, są prawem przywłaszczonem, bo uznają za prawdę, której pojąć nie mogą, uznają aksyo-

mat. Są niewolnikami niewiary, jeśli my patrzymy na świat przez pryzmat dogmatu, oni patrzą na świat przez pryzmat aksyomatu: „Rzeczy nadprzyrodzone są niemożliwe“; dlatego znajdujemy się wszyscy w tem smutnem położeniu.

Gdyby naprawdę nie mogło być zgody między duchem wiedzy a duchem wiary, to wierzący chrześcijanie byliby tak samo wolni i rozumni, jak racyonaliści, niewolnicy wiedzy. Duch wiedzy nie jest dla nas wyrazem nieznanym, gdyż od ośmnastu stuleci dowodzą uczeni tej miary, co Orygines, Augustyn, Tomasz, Anzelm, Bakon, Leibnitz zgody wiedzy z wiarą. Naukowy duch dowodzi ducha nauki, ale jakiej nauki? Bez wątpienia racyonaliści rozumieją przez to swoją naukę, ale ich nauka jest tylko krytyką. Święty Tomasz przeciwnie mówi: „Wiedza jest pewną świadomością, wyprowadzoną z jasnych przesłanek, które są współcześnie twórcami wiedzy prawdziwej. Wiedza jest budynkiem; ale w każdym budynku jest fundament, a ten fundament stanowią u wiedzy pewne przesłanki, na których ona polega“. Mamy zatem prawo zapytać się tych ludzi, na jakich przesłankach zbudowana jest właściwie ich wiedza, zwana krytyką. Widzieliśmy to już, że, ich fundamentem jest zaprzeczanie pierwiastka nadprzyrodzonego; mówią albowiem wraz z Renanem: „To pytanie uważa wiedza jako rozwiązane“. I dlatego uznają je jako sam w sobie jasny aksyomat. Jednak są zmuszeni przyznać, że nawet w dziewiętnastem stuleciu pytania odnoszące się do istnienia świata nadzmysłowego, zaprzątały umysły najznakomitszych myślicieli, a wiara w świat nadzmysłowy może być źródłem bardzo wielu wniosków rozumnych, które nie polegają wcale

na dowodach lekkomyślnych. Jeśli się zadowolnimy tem minimum zgody na istnienie świata nadnaturalnego, to jakże wytłumaczymy sobie to zuchwalstwo, z jakiem rzucają się niewierzący na tych, którzy przeciwnie wierzą i szyderstwem ich obrzucają? Prawdziwie nie jest to oznaką dobrego smaku ani siły dowodzenia, jeśli się swoich przeciwników, jak to u nich zwykle bywa, mianuje oszukańcami, komedyantami, a najłagodniej już nieświadomymi. Ta część ludzkości, którą w nizki sposób nazywają „głupkowatą“, zaraz się silnie wzmocni, gdy się dowiedzie, że warstwa „wykształcona“ jest również niemądra. Bo to przecież niemądrze, oddawać się takiej wiedzy, której podstawy ani nie są pewne, ani dowiedzione. Od tysiąc dziewięciuset lat wierzą ludzie w nadzmysłowość, a jeśli nie chcemy uciekać się do proskrypcyi, to nie należy nam zapominać reguły, że „auctoris est probare“. Kto stawia dowód, musi przeprowadzić twierdzenie; czyli w tym wypadku musi dowieść, że wszystko nadprzyrodzone jest niemożliwe. Lecz tego uczynić nie zdołano, i nie będzie można z tego prostego powodu, bo całe postępowanie jest ani mądre, ani sprawiedliwe.

Zamiast zatem mówić, że pomiędzy nadprzyrodzoną wiedzową prawdą panuje niezgoda, widzą się oni zmuszonymi powiedzieć, że pierwsze i ostatnie są względem siebie wrogo usposobione. Ta antyteza jest dla nas mniej niebezpieczna. Sami niewolnicy dogmatu przeczenia nadprzyrodzoności, nie mogą nas obwiniać o niewolniczą służbę dogmatu o rządach nadprzyrodzoności. Uczeń wiedzy, która nie jest prawdziwa, nie może zaprawdę zarzucić naszej wiedzy jej mniejszej wartości. A jeśli owi krytykują naszą wiarę, to nie dajmy się odstraszyć, bo

wiedza wiary jest zgodna z rozumem. „Wasze posłuszeństwo niech będzie zgodne z rozumem“, pisze św. Paweł, a św. Augustyn dodaje: „Szukajcie tego, co w wierze waszej godzi się z rozsądkiem“.

Zaprosiliśmy dlatego racyonalizm, aby się postawił na słusznem stanowisku względem pytania: Czy nadprzyrodzoność jest możliwa, czy nie? Ale co racyonalizm zamiast tego uczynił? Nie chciał przyjąć wcale nadnaturalnej zasady Kościoła, nie chciał go wcale zwalczać. Utworzył sobie za to wytwór fantazyi, aby potem wyprowadzić z niego wniosek przeciw Kościołowi, podobnie jak w swoim czasie św. Augustyn, który mówi sam o sobie: „Utworzyłem sobie o Kościele szalone wyobrażenie i przeciw temu wyobrażeniu walczyłem!

Zajmijmy się teraz poszczególnemi formułkami. Najwięksi zapaleńcy oświadczają, że nadprzyrodzoność sprzeciwia się zdrowym zmysłom. Ale czy może być sprzeczność pomiędzy skończonością a nieskończonością? Jeśli się raz przyjmie egzystencyę tych obu rzeczy, musi się wyjaśnić, jak one się mają względem siebie, jak skończone wyszło z nieskończonego, jak skończone wybudowało się na nieskończonem, jak wreszcie jedno z drugiem ściśle jest połączone. Jeżeli nadprzyrodzoność jest doskonałem i zupełnem objawieniem Bożem, to jakże można udowodnić sprzeczność między Chrystusem a nadprzyrodzonością?

Ale wiedza wcale się o podobne rzeczy nie troszczy, ona się nie troszczy wcale o rzeczy wiary. Ona bada przedmiot złożony ze zjawisk, praw, przyczyn i skutków. Botanik robi zbiór roślin, anatom studyuje trupa, polityk poszukuje środków, aby uszczęśliwić narody. Oni

ani twierdzą, ani zaprzeczają pierwiastka nadnaturalnego; oni nie znają go poprostu.

Jak jednak ta wiedza jest krótkowidząca! Jakto jest możliwe, aby przy swych zajęciach specyalnych nie spotkała się nigdzie z Panem Bogiem? Przecież prawa natury nie wystarczą same, aby wyjaśnić wszystkie zjawiska. Pytania dotyczące pochodzenia, początku i końcowego celu wszechrzeczy dadzą się bardzo trudno wytłumaczyć bez światła wiary.

„Pierwiastek nadprzyrodzony nie da się dowieść zapomocą metodycznego procesu, dlatego jest nienaukowy“. W porządku nadprzyrodzonym trzeba rozróżnić dwie rzeczy: ideę i fakt rzeczywisty. Dlatego porządek nadprzyrodzony można rozważać z dwojakiego punktu widzenia; jest on zrozumiały, a więc dlatego i z nauką zgodny. Idea w porządku nadnaturalnym nie koniecznie musi być tajemnicą. Duch umiał zawsze odkryć tajemny związek rzeczy i będzie zawsze wiedział, co łączy świat wyższy ze światem niższym; a wielka filozofia ojców naszych polega zupełnie na zgodzie porządku logicznego z porządkiem nadprzyrodzonym. Tak się utworzyła. Jeśli pierwiastki są dane, jeśli początek jest starożytny i chwalebny, jeśli jego skutki są namacalne, to nie da się pierwiastek nadprzyrodzony odrzucić. Czy coś podobnego nie dzieje się blizko nas? Czy astronomia uznała za rzecz nienaukową nadać imię Saturna tegoż pierścieniom? Choćby nigdy nie odkryła centrum tej planety, to przecież nie wpadłoby jej do głowy wykreślić go z rzędu ciał niebieskich.

Ale pierwiastek nadnaturalny jest faktem i dlatego jest ściśle naukowy. Istnienia Jezusa Chrystusa można tak dobrze dowieść, jak istnienia Napoleona lub Ale-

ksandra Wielkiego. Jego bóstwo należy do teologii; ale o Jezusie Chrystusie można zresztą tak dysputować, jak o Zoroastrze lub Mahomecie. Ewangelia jest taką książką, jak miliony innych, w tysiącach egzemplarzy rozsianych po świecie; w ewangelii znajdują się proroctwa, wypowiedziane w przeczuciu wydarzeń nadejść mających, a które się potem sprawdziły; w tej księdze czytamy o cudach, faktach, które mają swoją przyrodzoną i nadprzyrodzoną stronę, ale niemniej są i pozostaną faktami. Czegoż się chce więcej jeszcze pod zmysły podpadającego? Czy racyonaliści nie korzystają z historyi? Czy ona nie daje im żadnej nauki? Niech wiedza zapytuje prochy zmarłych, niech gromadzi marmury pałaców, bada gruzy świątyń; rzeczy nadprzyrodzone nie mają żadnej obawy przed badaniem. Przestańmy już obwiniać je o brak warunków naukowych.

Lecz może inny zarzut można brać poważnie, a mianowicie że wiara w nadprzyrodzoność sprzeciwia się wolności ducha? Zapewne, pierwszem prawem ducha ludzkiego, powiedzmy nawet istotą ducha ludzkiego jest wolność. Duch ludzki jest wolny z istoty swojej i nie zna innych granic, jak granice prawdy, które atoli żadną miarą nie ścieśniają jego wolności, lecz podnoszą ją i upewniają, bo przecież dana jest człowiekowi wolność krzątać się około poznania prawdy. Jakże miałaby wiara czynić zamach na ten przywilej człowieka, który się nazywa wolnością? Wiara jest wolną z istoty swojej; ma charakter osobiście dobrowolny, spontaniczny. Wiary na nikim wymusić nie można, ani mu jej wmówić. Nawet nacisk moralny nie zdoła w nas nic w stosunku do wiary zmienić.

Cóż wam powiedział kapłan, gdyście jako dzieci

stanęli u furty kościelnej? „Czy chcesz być ochrzczonym?“ zapytał was. A gdyście przyszli do poznania rozumu i mieliście zamiar po raz pierwszy przyjąć Chrystusa do serca swego, kapłan zwrócił się do was z innem pytaniem: „Czy chcesz odnowić przyrzeczenie, któreś na chrzcie św. uczynił Panu Bogu?“ A gdy już wiara zamieszkała i utrwaliła się w waszem sercu, czy jest jaka potęga na świecie, któraby ją powstrzymała? Wiara polega na wolnem przyzwoleniu woli; jest to wolność ożeniona z prawdą; jakże można nazwać ją niewolnictwem? Wiara nie tylko zapewnia wolność, ona rozszerza także widnokrąg naszego myślenia; ona daje siłę skrzydłom naszego ducha, do przebywania w sferach wzniosłych, w sferach dla zmysłowości niedostępnych.

Dzisiaj wierzyć nie chcemy, bo widzimy w wolnomyślności zdobycz ducha nowożytnego. A ileż już jest tych wolnomyślnych, a przynajmniej iluż, którzy noszą imię „wolnomyślnych“? Znajdujemy ich w każdym stanie, w każdej płci, w każdym wieku, jak to jasno wynika z samego czytania dzienników. Pewnego razu zapytano dziecko od 8 do 9 lat, o jego wiarę. Mały odpowiedział: „Jestem wolnomyślny“. To jest skutek współczesnego wychowania! „Jestem wolnomyślna“, mówi nowożytna dama, która się wyzwoliła od wszelakich przesądów.

Popatrzmy się jednak, czy ci, którzy się nazywają wolnomyślni, są nimi w rzeczywistości. Aby być wolnomyślnym, trzeba przedewszystkiem być myślicielem. A czy ci ludzie są myślicielami? Zostawmy na boku głupie dziecko i swawolną damę; bo czem zajmuje się właściwie ta ostatnia? Czy rozważała kiedy wielkie teologiczne i filozoficzne pytania, które stanowią przed-

miot uczonych dyskusyi? Byłoby szaleństwem nawet o czemś podobnem pomyśleć. Czem się taka dama zajmuje? Myśli o swojej toalecie, o modzie, o najnowszej sztuce w teatrze, o koncertach, balach, a połknąwszy pewną ilość modnych romansów i ilustrowanych dzienników, nazywa się wolnomyślną. A teraz przejdźmy do rodzaju męskiego, który zwykł więcej myśleć. Czy taki np. robotnik, który od rana do wieczora jest zajęty ciężką pracą, może być myślicielem, on, który zarabiać musi ciężko dla siebie i swej rodziny na codzienny kawałek chleba? Czyta on dzienniki, a wiecie, jak dzienniki myślą i jak się o wszystkiem powierzchownie wyrażają i jakie rozszerzają poglądy. A czy np. nawet wykształcony polityk może być myślicielem, jeśli zajmuje się tylko ciągłą zmianą konstelacyi politycznych, głosowań, wyborów, powstawaniem i upadkiem ministeryów? Albo czy znajdziemy myślicieli wśród młodych ludzi powierzchownych, chciwych zabaw i rozrywek, którzy przepędzają czas w kawiarniach i innych miejscach rozrywek? Nie, aby znaleźć myśliciela, trzeba go szukać wśród ludzi wolnych od troski o chleb powszedni, wolnych od domowych kłopotów, którzy mogą się swobodnie nauce poświęcać i w regionach myśli przebywać.

No, ale przypuściwszy nawet, że ci wszyscy ludzie są myślicielami, czy są oni także wolnymi myślicielami? Zapytajcie ich, a usłyszycie ich odpowiedź! Odpowiedzą wam tak, jak niegdyś Żydzi Chrystusowi Panu, gdy ten powiedział do nich: „Jeśli zostaniecie przy słowie mojem, będziecie mieli prawdę, a prawda uczyni was wolnymi. „Co nam mówisz o wolności“, zawołali, „jesteśmy wolnymi synami Abrahama; nie byliśmy nigdy

niewolnikami“. Tak samo i ci powiedzą nam: „Nie nałożymy na siebie niczyjego jarzma, zależymy tylko sami od siebie“. Ale cóż to ma znaczyć „sami od siebie“? Ja wam zaraz powiem: wasze stulecie, towarzystwo, do którego się zaliczacie, wreszcie dziennik, z którego za 5 lub 10 hal. każdego ranka myśli na cały dzień czerpiecie! To jest ich wolność! Dużo już takich znaliśmy, którzy pod pozorem wolności odepchnęli od siebie jarzmo wiary! Obawiają się, aby nie ugięli głowy przed słowem Bożem, a znajdują całkiem naturalnem, oddać się na niewolniczą służbę utopii. Wszystko to dlatego, aby ich nie posądzano, że służą Bogu. Wiara pogardza takiem nizkiem usposobieniem, takim brakiem odwagi cywilnej, ale zato otwiera dla pokornego ducha nowe rozległe horyzonty.

Przysłuchajcie się następującej rozmowie, którą prowadzą ze sobą dwaj młodzi studenci, odbywający studya w pewnym zagranicznym uniwersytecie. Opowiadano mi o tem, ale mogę was zapewnić słowem i honorem, że tak się rzeczywiście rzecz miała. Jeden z tych młodych ludzi odpadł od swojej wiary, aby stać się wolnomyślnym. Drugi został wiernym wierze, i w głębi duszy serdecznie ubolewał nad swoim przyjacielem, widząc go na błędnej drodze. Pewnego dnia powiedział do niego: „Co też powie twoja dobra matka, gdy się dowie o twem zbłąkaniu, o twem odstępstwie od wiary?“ Aj, co to znaczy, nie chcę mieć żadnej zapory dla rozumu, dla polotu mojego ducha“. No tak, ty zostałeś wolnomyślnym, ja trwam w wierze, a powiedz mi, jaka jest różnica w polocie twojego a mojego ducha, o ile twój polot jest potężniejszy niż mój? Co ty więcej widzisz, jak ja? Patrz na świat, na niebo, na ziemię, na gwiazdy

niebieskie, i cóż ty widzisz takiego, czego ja nie widzę? Bez wątpienia, gdy Laplace, o którym nam dziś mówił profesor, otworzył swoją księgę przedemną, aby mi cuda świata wyjaśnić, to zaniemiałem zdumiony z podziwu. ale także i P. Sechi otworzył swoją księgę przed nami. W świecie rozumu, w świecie moralnym, cóż ty widzisz czego ja nie widzę?

Może to, że nasi filozofowie, a szczególniej św. Tomasz nie głębiej wniknęli w świat idei, jak on?... Posłuchaj tylko, co niedawno widziałem. Do O. Lacordaira przyszli raz dwaj młodzieńcy, którzy mu oświadczyli, że mają mu zrobić ważne wyznanie, oto, że przekonali się dowodnie o nieprawdziwości istnienia Boga i mają na to niezbite dowody. Lacordaire słuchał ich ze swą zwykłą dobrocią i pobłażliwością. A zaraz potem wziął książkę i rzekł im: „Widzicie, mnich, który napisał tę książkę, mógłby o wiele więcej powiedzieć o Bogu, aniżeli wy. Odwróćcie tylko pierwszą stronicę i czytajcie!“ Była to Summa św. Tomasza. Młodzi ludzie czytali i stanęli zadziwieni wobec wielkiej ilości przeciwko wierze przytoczonych zarzutów „Videtur quod Deus non est“. „Zdaje się, że Bóg nie istnieje“. „Ale — ciągnął dalej Lacordaire — czytajcie dalej, a przekonacie się“. At contra. „Ale przeciwko tym zarzutom, mam następujące dowody“. Oni przeczytali i musieli się uznać za pobitych. „Nie – powiedział młody człowiek — postępuj tylko za mną coraz wyżej, w świat faktów i czynów, wtenczas nie będziesz mógł żądać odemnie czegoś podobnego, ponieważ mój duch wnika głębiej niż twój. Moja wiara pokazuje mi nowe światy, mój wzrok widzi głębiej, aniżeli twój. Wiem dobrze, co zechcesz mi odpowiedzieć: Ten nowy świat nakłada na rozum okowy,

jest pułapką swobody. Tymczasem jest ona tak samo okowami dla wolności, jak np. Ameryka jest przeszkodą dla komunikacyi okrętowej; jest taką samą przeszkodą, jak nowo odkryte planety są przeszkodą dla astronoma. Nie, wiara tak samo nie jest przeszkodą dla wolności ducha, jak linia kolejowa nie jest przeszkodą dla lokomotywy, która tę samą linię na skrzydłach wiatru przebiega, skoro je jednak tylko opuści, zaraz wpada w przepaść zniszczenia“. Tak, wolny rozum bez ożywczego światła wiary przygotowuje sobie samemu, ojczyźnie i kulturze upadek, tak jak lokomotywa wykoleiwszy się, grzebie sama siebie, wagony i podróżnych pod tą samą kupą gruzów.

II. Cóż mam przeto powiedzieć o ostatecznych wnioskach tych ludzi? Wiara jest czasem przejściowym wieku dziecięcego w rodzaju ludzkim. Wiedza zaś jest stanem zdecydowanym ludzi dojrzałych! Ciekawym jednak byłbym usłyszeć, w jakim właściwie czasie przebyła ludzkość swoje lata dziecięce, by przejść w okres wieku dojrzałego.

W Rzymie było to uroczystością familijną, skoro dziecko składało swój dziecięcy strój, aby przywdziać togę męską „toga virilis“. Musiała przeto i ludzkość święcić jakąś przedziwną uroczystość, jeżeli tę samą ceremonię podejmuje. Obawiam się jednak bardzo, czy ta wzniosła chwila została przez jakiegoś współczesnego myśliciela odkrytą, który, aby się uwolnić od tego „nadprzyrodzonego“, tamującego orli lot jego fantazyi, odkrył nowy środek wyjścia, to jest drogę naturalnej ewolucyi. Coby jednak mogli jeszcze powiedzieć, jest już zapóźno, aby między filozofią a religią wystawić zaporę. Kościół chrześcijański jest pełen ludzi, którzy według

mniemania wszyskich wielkich duchów, należą do wieku dziecięcego ludzkości, a imiona ich: Augustyn, Tomasz, Bakon, Newton, Galileusz, Kopernik. Zatem ludzie ci nie umieliby myśleć. Ewolucya rozpoczęła się dopiero z Voltairem i jest przez tych kontynuowaną, którzy przyznają się do tych samych poglądów, a których spadek nasze stulecie objęło. Spadek ten wykładają z powagą profesorowie na katedrach, zmuszając tem młodych ludzi do porywających oklasków.

Nie ulega wątpliwości, że dzieci pokazują niepokonaną skłonność, prawie instynktowną, wierzenia we wszystko co im się mówi. Ale ten fakt dowodzi raczej, że wiara jest popędem człowiekowi wrodzonym, niezbędnym i będącym istotnym atrybutem duszy ludzkiej. A jeśli tak łatwo jest odkryć w ludziach ten popęd, czy to upoważnia nas do wniosku, że to jest stan przejściowy, który musi koniecznie zniknąć? Nasza potrzeba wierzenia, trudność, w jakiej się znajdujemy, aby uniknąć błędu, dowodzi, że nauka wtedy dopiero jest nieomylna, jeśli jest podjęta w interesie całej, zbiorowej ludzkości i odpowiada jej istotnym potrzebom.

Dodaję to chętnie, że dzieci i narody w wieku dziecięcym lgną do cudowności; dalej przyznaję z chęcią, że tej łatwowierności często nadużywano. Ale czegóż jednak dowodzi to przyznanie? Tylko tego, że w porządku nadnaturalnym, więcej niż w naturalnym, wiara musi być wyjaśniana, regulowana i kierowana.

Dlatego chcemy w rzeczach religii być zależnymi od pewnego autorytetu, który stoi ponad wszystkiemi słabościami i niepewnościami rozumu ludzkiego. Nie, nie wiedza uwolniła ludzkość od przesądu, była to wiara nasza, która rozprószyła to, co w nadprzyrodzonym

świecie jest fałszywego i ukazała nam rzeczy prawd nadprzyrodzonych, które były i będą stanem ostatecznym ludzi dojrzałych.

Zaprzeczam całkiem wolnomyślnym możliwości oznaczenia punktu, w którym nasza wiara jest słabszą. Nasza wiara jest dziś dokładnie tą samą, jak była pierwej i jaką zostanie zawsze. Tak, podziwiajcie tylko nasze katolickie wyznanie wiary: Wśród ustawicznych zmian rzeczy i ludzi, śpiewa się je niezmiennie pod sklepieniami domów Bożych, powtarzają je miliony ust przez ośmnaście ubiegłych wieków, które były wiekami ustawicznych walk przeciw wierze; a czy nasze wyznanie wiary utraciło chociażby jedno słowo, chociażby jedną zgłoskę? Nie, ono stoi wspaniale w swej niezmienności jak piramidy na pustyni.

„Zapewne, kiedyś odkryje się sprzeczności między wiedzą a wiarą“! Czy to prawdziwe? Twierdzi się zawsze, że już je odkryto; ale gdy się dokładniej przyjrzymy, to było tylko złudzenie; i tak będzie na pewno zawsze, bo między wiarą a wiedzą istnieje pokrewieństwo krwi: Bóg, sprawca wiary, jest także sprawcą umiejętności. Prawda nigdy nie może wpaść w sprzeczność sama z sobą. Może być czasami jakaś sprzeczność pozorna, w rzeczywistości jest zawsze pozbawioną głębszej podstawy; a to pochodzi jedynie ze słabości ludzkiej, z jego krótkowzroczności; oko śmiertelne nie jest w stanie objąć całego widnokręgu absolutnej prawdy.

Gdy Kepler swój nowy system ogłosił, znaleźli się uczeni, którzy podnieśli przeciw niemu swoje zarzuty. Między innymi czyniono trudność następującą: „Jeśli owo twierdzenie jest prawdziwe, to Wenus musi odbywać te same fazy co księżyc“. „Możecie mieć słuszność —

dał Kepler jako odpowiedź; — nie potrafię udowodnić przeciwnie; wy znowu także swojego udowodnić nie potraficie". Wtem zjawił się Galileusz i z pomocą swego udoskonalonego teleskopu udowodnił, że Wenus ma w rzeczywistości owe fazy. Tak samo dzieje się z religią. Jeśli promień wiary połączy się z promieniem nauki, wtedy utworzą jaśniejącą pochodnię, która posyła swoje światło w daleką odległość i rozprasza najgęstsze ciemności.

Przed kilku laty ogłosił Wilhelm Grant książkę, która nosiła tytuł: „Historya konfliktów między wiedzą a rewolucyą", której przepowiadali wolnomyślni wielkie powodzenie; wierzyli nawet napewno w upadek dogmatycznej wiary i tego oczekiwali. Ale już kilka lat upłynęło, a nikt już o tej książce nie mówi; nawet nikt o niej nie wspomina. Nasze dogmaty zostały zawsze te same, jakie były zawsze, i zostaną takie aż do końca czasów.

O. A. M. D. G.

Ks. Józef Smulczyński

O. AUGUSTYN DE MONTEFELTRO:

KONFERENCYE I KAZANIA WIELKOPOSTNE.

TOM III.:

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA.

KONFERENCYE I KAZANIA WIELKOPOSTNE

O. AUGUSTYNA DE MONTEFELTRO
ZAKONU BRACI MNIEJSZYCH.

TOM III.:

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA.

KRAKÓW 1909.
NAKŁAD KONWENTU BRACI MNIEJSZYCH.

Ks. Józef Smulczyński

JEZUS CHRYSTUS I PRAWDA CHRZEŚCIJAŃSKA

KAZANIA

OJCA AUGUSTYNA DE MONTEFELTRO
ZAKONU BRACI MNIEJSZYCH
WYGŁOSZONE W KOŚCIELE ŚW. KAROLA W RZYMIE
PODCZAS WIELKIEGO POSTU 1889.

KRAKOW 1909.
NAKŁAD KONWENTU BRACI MNIEJSZYCH.

L. 426.

Ze strony Prowincyałatu Braci Mniejszych pozwalamy ogłosić w polskim języku Kazania Wielkopostne O. Augustyna de Montefeltro.

Lwów, 14 września 1908 r.

L. S. *O. Daniel Magoński*
Prowincyał.

Tłomaczenie Kazań O. Augustyna nie zawiera nic przeciwnego z duchem nauki Kościoła katolickiego.

W Krakowie, 22 września 1908.

X. Dr. Józef Kaczmarczyk
cenzor.

L. 5325.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

Z KSIĄŻĘCO BISKUPIEGO KONSYSTORZA.

W Krakowie, dnia 23 września 1908 r.

† Kard. J. Puzyna.

ODBITO W DRUKARNI A. RIPPERA W KRAKOWIE.

PRZEDMOWA.

Trzeci tom Kazań O. Augustyna de Montefeltro zawiera w sobie szereg nauk, odnoszących się szczególnie do prawd chrześcijańskich, jakie ten sławny zakonnik św. O. Franciszka miewał we Florencyi, Turynie i Rzymie. Rozbiera w nich prawdy naszej wiary św., które mistrzowie życia duchownego zaliczają do drogi, tak zwanej, jednoczącej. Po konferencyi bowiem „o domu Bożym“, mówi o Eucharystyi, Sakramencie Pokuty, Czyścu; następnie przechodzi do czci Najśw. Maryi Panny, św. Józefa i czci Całunu, którym owinięto Ciało. Resztę kazań O. Augustyna, nie pozostające w związku z konferencyami wielkopostnemi, wkrótce w osobnym tomie IV wydamy.

Kraków, w sierpniu 1908.

O. Zygmunt Janicki
Zakon Braci Mniejszych.

TREŚĆ:

	Str.
Przedmowa	V
I. Dom boży	1
II. Eucharystya	23
III. Spowiedź	45
IV. Błogosławieństwa spowiedzi	68
V. Czyściec	88
VI. Najświętsza Panna Marya	112
VII. Święty Józef	132
VIII. Całun Pana naszego Jezusa Chrystusa	148
IX. Ojczyzna	162
X. Tryumf Kościoła	180
Pożegnanie i błogosławieństwo	194

I.

Dom boży.

Religia, której celem jest zjednoczenie człowieka z Bogiem, spełnia tu na ziemi podwójną misyę, jedną odnoszącą się do Boga, a drugą dotyczącą człowieka. Misya odnosząca się do Boga, jest misyą modlitwy i orędownictwa, której celem jest — jeżeli się tak wyrazić mogę — ściągnąć Boga ku nam i zatrzymać Go w pośrodku nas, a zarazem poznanie wielkości i łaski bożej i wyjednanie takowej dla ludzi. A misya, która dotyczy nas, jest misyą odrodzenia, uskuteczniającą się przez słowo, łaskę i Sakramenta, misya, która zespalając ludzi w tej samej wierze, nadziei i miłości, prowadzi ich następnie i łączy z Bogiem, ostatecznym ich celem.

Ażeby religia mogła rzeczywiście wprowadzić w czyn to zespolenie, potrzebuje niejako miejsca stycznego, gdzieby się Bóg z człowiekiem spotykali, zbliżali i łączyli ze sobą. Na początku wieków miejscem tem był wszechświat, w wieczności będzie nim niebo,

gdzie Bóg objawi się człowiekowi w całej swej piękności. Gdzież jednak jest to miejsce obiecane na ziemi? Miejscem tem jest to, w którem znajdujemy się obecnie; jest niem świątynia, dom boży, w którym spotykają się Bóg z człowiekiem, i gdzie człowiek łączy się ze swym Stworzycielem.

I patrzcie jak w tym domu bożym wszystko mówi nam o Bogu i Panu! Oto ołtarz, góra Kalwaryjska, na której Chrystus był ukrzyżowany, grób z którego chwalebnie zmartwychwstał, a nad nim wznosi się Krzyż, na którym zawisł z miłości dla nas; dalej, wieczernik, w którym Chrystus ciałem swojem i krwią karmi swoje dzieci, a tam ambona z której słowo boże pada do serc naszych, słowa wypowiedziane przez usta Chrystusa Pana, które świętym zapałem rozogniły apostołów. A dalej spostrzegacie trybunał pokuty, a w końcu w głębi św. chrzcielnicę.

W istocie, świątynia napełniona jest Bogiem i majestatem Jego, to też staje w niej człowiek w obecności bożej. W posągach zdobiących świątynie, widzimy wyobrażonych bohaterów naszej św. religii, bohaterów ludzkości, a te obrazy opowiadające nam dzieje świętych dają świadectwo chwały, prawdziwej wielkości ludzkiej, która wieńczy wawrzynem nietylko poetów, uczonych i wodzów, lecz ludzi wszystkich stanów, począwszy od wątłej dziewicy do skromnego pastuszka.

Patrzcie, jako łódź Kościoła rozszerza się, aby objąć całą ziemię, i jak spieszy człowiek do stóp ołtarza, tego wyrazu widomego jego wiary! Cudne zespolenie człowieka z Bogiem! Dom boży jest jakoby łukiem pokoju przewieszonym nad przepaścią, która dzieliła ich od siebie, dom boży jest furtą tajemniczą łączącą ziemię

z niebem, doczesność z nieskończonością. I to uszanowanie do jakiego nas pobudza dom boży.

Na ten temat chcę dzisiaj do was mówić. Pomyślicie może, iż przedmiot ten małego jest znaczenia i korzyści; lecz posłuchajcie mnie łaskawie do końca, a może zmienicie pod tym względem zdanie.

I. Gdy zejdzie rozmowa na dom boży, nie rzadko słyszymy zdanie: „Na co domów bożych? Czy potrzebuje Bóg tu na ziemi, specyalnego dla siebie budynku? Jest to niedorzeczność i uchybiająca Panu najwyższemu, którego własnością jest wszechświat cały i który wszędzie jest obecnym. Podnieście się ku niebu, tam jest Bóg, zejdźcie do otchłani, i tam go znajdziecie, rozwińcie skrzydła, aby przebierzyć oceany, a dłoń Jego kierować wami będzie. Czyż zdołamy wznieść Mu piękniejszą i bardziej majestatyczną świątynię od otaczającego nas wszechświatu? Ten firmament, który jak niezmierzony namiot rozpościera się nad nami, posiane na nim słońce i gwiazdy siejące jasność i światło, i ziemia nakształt bogatego kobierca, wszystko to mówi o Bogu, o Jego dobrodziejstwach, wspaniałości i piękności; a w tym wszechświecie zajmuje człowiek stanowisko najwyższego kapłana, serce jego jest jak gdyby ołtarzem, z którego wznosi się ku Stwórcy wonny dym ofiary, i w tej ogólnej harmonii sfer i istot żyjących, jako wzruszające solo rozlega się głos człowieka, któremu odpowiadają chóry aniołów. I poco wobec tej wszechmocną ręką Bożą wzniesionej świątyni, chcieć budować inne, ręką ludzką klecone, gubiące się jako okruszyny w przestrzeni, a których piękność nie dorówna nigdy choćby piękności polnego kwiatu? Obalcie zatem świątynie, rozsypcie mury, i jeżeli religia wymaga obrządków, ja-

wnej służby Bożej, niechaj jako świątynia służy jej wszechświat!“

Bez wątpienia jest wszechświat świątynią, objawiły nam to już same św. księgi. Niebiosa głoszą chwałę bożą, a firmament opowiada cudowność swego Stwórcy; a więc na co domów bożych? A gdy chcecie się wznieść w wyższe sfery, wołajcie wtedy: „Czyż serce ludzkie nie jest piękną świątynią Pana? Jest ono daleko piękniejszą i godniejszą Boga świątynią od innych! Dusza ludzka, stworzona na obraz i podobieństwo Boże, krwią Bożą odkupiona, oczyszczona modlitwą i Sakramentami, dusza człowieka, człowieka sprawiedliwego, oto godna Boga świątynia! Posłuchajmy słów św. Augustyna: „Gdzież jest świątynia Pana? Może w obrębie tych murów? Czyż świat użycza świątyni jej piętna majestatu? Nie, świat nie zdoła tego nigdy! Cóż stanowi zatem świątynię Pana? Jest nim dusza sprawiedliwego; i jeżeli chcecie pomodlić się w świątyni, usuńcie się w zacisze serca waszego lecz wpierw uczyńcie z niego godną Boga świątynię, oczyszczając je z grzechów“. — Więc nacóż domów bożych?

Wiecie to chyba sami, iż wszelkie rzeczy tego świata noszą pewne cechy, które rzekomą względem siebie zawierają sprzeczność, które jednak człowiek, przejęty prawdziwym duchem miłości i prawdy łatwo zrozumieć i pogodzić potrafi, a wtedy cechy te zamiast wykluczać się nawzajem, łączą się w jedno piękne światło zrozumienia. I tak rzecz się ma w omawianej przez nas sprawie.

Św. Tomasz powiada: „Dom boży nie jest w pewnym znaczeniu potrzebny Bogu, ponieważ Bóg nie potrzebuje naszych świątyń, kościołów i ołtarzy. Bóg

w chwale swej nie potrzebuje naszej nędzy. Lecz my to, my sami potrzebujemy domów bożych, my ludzie czciciele Boga“. I na czem zasadza się nasza potrzeba domu bożego? Posłuchajcie: Przedewszystkiem jest nam dom boży potrzebny, ażeby wznieść do odpowiednich wyżyn i uświęcić modlitwę naszą. Natura ludzka jest tego rodzaju, iż powszednieją jej rzeczy codziennego użytku i mniejszą otacza je czcią. I jeżeli twierdzicie, iż w domu modlić się możecie, to jednak ta modlitwa domowa nie nie jest ani tak żarliwą ani tak skupić się przy niej możecie jak w kościele. Bezwątpienia — niewolno nam i tutaj przesadzać — można modlić się doskonale i poza obrębem kościoła, czasem nawet lepiej jak w samym kościele, ponieważ stosunek nasz do Boga zależnym jest od nastroju naszych uczuć; a jednak nikt zaprzeczyć nie zdoła, iż obręb domowy, w którym się obracamy codziennie, właśnie tą codziennością myśl naszą zaprzątuje, i odbiera świeżość uczuciom.

Nawet starożytni poganie uznawali potrzebę domu bożego. Cyceron powiada: „Istnieją tacy, którzy nie uznają świątyń, twierdząc iż usiłuje się w nich więzić majestat boży. Ja jednak należę do tych, którzy rządają świątyń, ponieważ są one potrzebą uczuć religijnych i pobożnego skupienia“.

Po drugie — potrzebujemy domów bożych bowiem przez rzeczy widome docieramy do niewidomych. Zapewne gdyby dusza nasza wolną była od więzów ciała, wtedy nie potrzebowalibyśmy tych murowanych swiątyń. Dusza niemateryalnie podążyłaby w objęcia boże, aby spocząć w Bogu, swym celu ostatecznym. Lecz dusza złączona jest z ciałem i w ogólności potrzebuje pomocy zewnętrznych widomych czynników ażeby wznieść się

do nadprzyrodzonych. Gdzież są tacy, których by wiara zrzec się mogła form zewnętrznych? Takich uprzywiliowanych jest bardzo niewielu. Taka św. Katarzyna Seneńska, św. Teresa, taki św. Bernard i św. Ludwik, który biciem serca odczuwał obecność Jezusa i dla tego mawiał zawsze wskazując na pierś własną: „Tutaj jest Jezus!“. U innych jednak, jak zauważa św. Augustyn, koncentrują się serce i dusza w oczach i potrzebują czegoś coby działając przez wzrok, wznosiło ich do Boga. A właśnie domy boże, te cudne dzieła sztuki chrześcijańskiej są środkami których dostarcza nam Opatrzność aby wznieść nas ku Bogu i zjednoczyć z Nim.

Domy boże są zatem potrzebne ażeby pobudzać lud do modlitwy, i aby modlitwę uczynić bardziej skuteczną. „Twierdzicie iż modlicie się w domu“, powiada św. Jan Chryzostom, „lecz modlitwa taka nie może dorównać tej, którą odmawiacie w domach bożych, gdzie modlitwy wszystkich wiernych przedkłada Bogu kapłan. Czy sam Chrystus Pan nie zatwierdza jak gdyby potrzebę domu bożego, gdy mówi: „Gdzie dwóch albo trzech zejdzie się w imię moje, tam jestem i ja pomiędzy nimi“.

Religia potrzebuje dalej kościołów dla posiadania miejsc zbornych do publicznych zebrań w którychby zgromadzone społeczeństwo chrześcijańskie jawnie i uroczyście cześć i hołd Bogu skadać mogło. „Miryady gwiazd“, powiada prorok „radują się, iż łącząc swe światło składają Stwórcy swojemu jakoby wspólny haracz światła“. A przewyższająca je jeszcze liczba stworzonych a nieśmiertelnych dusz nie miałaby odczuwać potrzeby łączenia się, ażeby ożywiać i zasilać to światło, którem promienieją i składać nim pospołu hołd najwyższy, najwyższemu Panu? I w istocie czy zdoła cokolwiek tak

wzniosłe na nas wywrzeć wrażenie, jak zgromadzone w domu bożym zastępy wiernych? Jeden rzut oka na ten tłum ludu ożywia wiarę naszą; jedno spojrzenie na ten w nabożeństwie pogrążony lud, wzbudza w nas, żywiej czasem aniżeli kazanie, poczucie iż jesteśmy chrześcijanami. Czyż żołnierzy stojących w szyku bojowym nie pokrzepia i odwagi nie dodaje myśl, iż na tym polu bitwy, na którem postanowili zwyciężyć lub umrzeć tysiące ich braci, gotowi są również raczej ponieść śmierć, aniżeli poddać sztandar narodowy?

Ale przytoczę wam powód, który żywiej jeszcze do nas przemawia i dobitniej jeszcze zaznacza potrzebę domów Bożych. Syn Boży, aby zbawić ludzi chciał sam stać się człowiekiem, przebywał pomiędzy ludźmi poddając się dobrowolnie cierpieniom i śmierci. I jak gdyby nie dosyć mu było na tem, przydłuża swój pobyt na ziemi w Przen. Sakramencie, w Eucharystyi. W Eucharystyi udziela się człowiekowi, ażeby go odradzać, uświęcać i Bogu upodabniać. Ale ta najwznioślejsza tajemnica kultu katolickiego, potrzebuje, wymaga niezbędnie domu bożego. Od tej chwili, w której Bóg odkupiwszy nas, zechciał zostać stałym gościem ziemi, od chwili, kiedy rozpiął swój namiot w pośród rzeszy ludzkiej, ażeby udzielać Siebie Samego dzieciom swoim, od tej chwili zachodzi potrzeba domu, do którego spieszyliby ludzie, ażeby oddawać cześć Bogu, a domem tym jest dom boży.

Zanim postąpimy dalej, pozwolę sobie na jedną jeszcze uwagę. Jeżeli Chrystus Pan zamieszkuje dom boży, jest on rzeczywiście mieszkaniem Jezusa Chrystusa, i tedy domowi bożemu należy się od nas cześć Należy Mu się od nas przynajmniej ten szacunek, który oddajemy mieszkaniom naszym. Prawo gospodarza jest

świętem i nienaruszalnem prawem; gdy wchodzimy do mieszkania człowieka, czujemy, iż on jest panem w domu swoim, i szanujemy to jego prawo. Z prawa tego wypływa obowiązek wdzięczności dla tych, którzy zaznają cudzej gościnności; objaw ten przejawia się ogólnie w dziejach ludzkości. I nigdy przybysz obcy nie żegnał gościnnej rodziny, ogniska rodzinnego, które przygarnęło go i stołu, u którego zasiadał; nie odczuwając względem niego pewnego rodzaju czci religijnej; a uczucie to wznieca w piersi naszej nastrój podniosły, tak iż przodkowie nasi odległych czasów zwoływali pod broń obrońców ojczyzny hasłem: „Za Ołtarz i ognisko!“ A więc dla świętej sprawy. Jest to więc rodzajem kultu, a do pewnego stopnia świętokradztwem jest uchybiać kultowi. Zdaje się nawet jakoby Bóg uczucia te wlał w stworzenia bezrozumne i one bowiem otaczają zapobiegliwem przywiązaniem gniazda swoje. Czyżby tylko mieszkanie Boga, dom Jezusa Chrystusa stanowił wyjątek? Ten dom, w którym doznajemy tak wzniosłej duchowej gościnności nie miałby wzbudzać w nas czci dla jego Pana? A więc człowiek może spokojnie i pewnie przemieszkiwać pod dachem swoim, dziki zwierz w swoich norach, a tylko najwyższy Prawodawca ma być wyjęty z pod tego ogólnego prawa? Czy rozumieją i przemawiają prawdy te do tych, którzy zachowują się w domu bożym tak, jakby to na sali tanecznej nawet nie uchodziło? Czy zrozumieli i pojęli prawdy powyższe ci, którzy wchodząc do kościoła podziwiają znajdujące się w nim skarby sztuki i klękają raczej przed zdobiącemi dom boży dziełami sztuki, a nie przed zamieszkującym go Bogiem i Panem? Czy rozumieją prawdy owe ci,

którzy przechodzą przez kościół i stąpają po jego płytach kamiennych jak po ulicy? Czy rozumieją je może owe damy, które na to tylko zjawiają się w kościele aby wyszydzać cześć Chrystusa Pana? Kto nauczył je obrażać Pana w Jego własnem mieszkaniu i świątyni? Dzicy ludzie czczą domostwa swych fałszywych bogów, a my uwłaczamy domowi Boga prawdziwego? I czy taki brak uszanowania uchodzić miałby bezkarnie? Gdy Jezus wyganiał ze świątyni przekupniów i bezczestników, pokazał wszystkim katolikom jak surowo karać będzie tych, którzy nie uszanują domu bożego! Dlatego to ilekroć noga nasza stanie na płycie kościelnej uprzytamniajmy sobie, iż jesteśmy w mieszkaniu Jezusa Chrystusa.

Lecz — idźmy dalej. Dom boży jest koniecznością nie tylko z wyżej wymienionych przyczyn, lecz także dlatego, iż uobyczaja człowieka. Jestto oczywiście prawda przykra dla ludzkiej pychy, lecz niemniej pozostaje prawdą. Co w istocie uobyczaja człowieka? Czego najbardziej potrzebuje cywilizacya? Prawdy. Zapoznanie prawdy wywołało zło, a zło występek, i dlatego nie dojdziemy nigdy do prawdziwej cywilizacyi bez ujawnienia prawdy. A gdzież ukrywa się ta prawda? Gdzież ukrywała się przed przyjściem Chrystusa Pana? Przed Chrystusem panowały ciemności, i zalegała noc błędu. W ciemnościach pracowały nawet najsławniejsze szkoły, i w ciemności pogrążone były generacye jako w całunie grobowym. I po czterdziestu wiekach błędu i kłamstwa, rozum ludzki jak żeglarz zbłąkany na wzburzonem morzu bez steru ni gwiazdy przewodniczej, woła z rozpaczą ku niebu: „Co jest prawdą?“ I przychodzi Chrystus Pan na ziemię i odpowiada: „Jam jest prawdą“.

Gdyby się jednak tylko Chrystus Pan był zjawił,

a potem znowu oddalił, gdyby pobyt Chrystusa na ziemi trwał był tylko przez czas krótki, coby się było stało z prawdami, których udzielił tym niewielu uczniom Swoim? Dajmy na to, że Jezus uczniom swoim podał tylko część prawdy, toby jej reszta była tylko mglistym mitem. Dajmy na to, że uczniowie Jego zgromadzili na około siebie ludzi, aby ich o tej prawdzie pouczać, to nauka jego stworzyłaby tylko szkołę, jak tyle innych. Dajmy na to, iż ograniczył się do powiedzenia nam: „Oto biblia!“ Ale biblia jest zamkniętą księgą dla tych, którzy czytać nie umieją i dla tych, którzy rozumieć jej nie mogą, księgą tysiąckrotnych, wielorakich znaczeń dla tych, którzy chociaż czytać umieją, jednak pojąć jej przez to jeszcze nie zdołają i nie posiadają daru tłomaczenia jej tekstu.

Komu więc miał Chrystus, powierzyć prawdę? Czy ludziom? Książętom? Lecz Bóg książętom powierzył berło a nie kij pasterski, książętom przysługuje prawo do życia i śmierci swych poddanych, lecz tylko w zakresie polityki państwowej, i nie oni to rządzą w sprawach religii. Statystyka wykazuje, że w dwudziestym roku, w wieku, w którem prawo pod broń powołuje młodzież, trzecia jej część zaledwie umiała czytać w trzydziestym zaś roku, w którym to wieku ludzie zazwyczaj w związki małżeńskie wstępują, również zaledwie trzecia część tylko pisać i czytać umiała, zaiste opłakany stan rzeczy w stuleciu światła, jeżeli „światłc“ polega na tem, aby umieć pisać, czytać i rachować. I komuż miał by Bóg powierzyć prawdę? Może dziennikarzom? Zróbcie przegląd wszystkich instytucyi ludzkich, a pomiędzy nimi ujrzycie jedną, wszystkim niezbędną, a tą jest szkoła prawdy. Napotkacie wprawdzie i utopie, zmieniające się kolejno po sobie i tworzące systemata podlegające ciągłej zmianie, lecz prawda pozostaje niezmienną. Oto co spostrzegamy, lecz nie tego wyglądała ludzkość od Chrystusa.

Pewnego dnia, zabrał Chrystus głos w jednej synagodze i powiedział: „Litość wzbiera w sercu mem nad tym biednym ludem, który zdał mi się być trzodą bez pasterza. Uczeni przywłaszczyli sobie klucz wiedzy zamykając ją zazdrośnie przed innymi. Lecz Ja przyszedłem aby oświecić lud, i spełnić poselstwo moje, które polega na uwielbieniu Ojca mojego“. Następnie wybrał dwunastu uczniów i rzekł im: „Idźcie na wszystek świat“! Na co to posłannictwo? Czy ażeby walczyć słowami? Czy ażeby udzielać rad? Na to tylko ażeby pouczać. A kogóż to? Wielkich i małych, uczonych i prostaczków, lud i króli. Wszystkich, bez wyjątku wszystkich! I w jakiż to sposób mają pouczać oni? Głośno i jawnie! A jakiemi środkami? Bez srebra i złota! Za jaką zapłatę? Zapłata ich będzie nienawiść i prześladowanie znoszone dla miłości Chrystusa Pana? Na jakiż autorytet powoływać się będą? Na autorytet boży. „Kto was słucha, mnie słucha; bo nie wy to mówicie, tylko ja mówię w was, a przezemnie Ojciec mój, który mnie posłał“. Zatem Ojciec objawia się nam w Synie, a Syn w Kościele, przeto Kościół ustanowiony został nauczycielem prawdy. Ale dalej, gdzie wykonywać ma Kościół ten urząd swój? Ze swoich katedr Stolicy papieskiej, na której zasiada Namiestnik Chrystusowy, ze stolic biskupich, które ze Stolicą papieską najściślejszym połączone są węzłem, i z parafialnych, które związane z biskupiemi podlegają wraz z niemi Stolicy papieskiej. Poza stolicami temi, szerzy się tylko poganizm, herezya,

i szyzma; i widzimy rozsiane gęsto stolice błędu a obok nich stolice systemów filozoficznych, które nawet jeszcze cienia prawdy nie zdołały nam odsłonić, dowodem czego jest ich zmienność, podczas gdy prawda pozostaje niezmienną. Wchodząc do jakiegoś kościoła i słuchając słów dolatujących nas z kazalnicy, wołamy: „To, co Ojciec ten wygłasza prostą swą wymową jest prawdą, nie jest to bowiem jego nauka, lecz nauka Chrystusa Pana". Ksiądz w mniej lub więcej barwną szatę odziewa słowa swoje, lecz istota ich nie jest tworem jego, lecz dziełem Jezusa Chrystusa, dlatego to w domu Bożym przemieszkuje prawda.

Lecz w domu Bożym obok prawdy przemieszkuje i miłość. Rozglądnijmy się poza obręb domu bożego, a ujrzymy tylko egoizm, wroga wszelkiego uobyczajenia. Lecz gdybyśmy poza obrębem domów bożych szukali skutecznego przeciw niemu środka, nie znajdziemy zaiste żadnego odpowiedniego. Usuńmy Chrystusa ze świata, a runie świat w otchłań zepsucia i zniszczenia. Wykazałem wam to dopiero co w kazaniu o boskości Chrystusa Pana, więc nie chcę wracać już dzisiaj do tego samego przedmiotu. Gdzie jednak założył Chrystus Pan szkołę miłości bliźniego? W domu Bożym. Słuchając prawdy, zastosowujemy ją do życia i to na korzyść miłości bliźniego, powtarzając owe wielkie słowa: „Kochajcie się nawzajem; kochajcie tych, którzy wam czynią źle; czyńcie dobrze tym, którzy wyrządzają wam krzywdę, nie zaniedbujcie biednych, bowiem przez nich przebywa pomiędzy wami Chrystus Pan we własnej osobie. Dla tego to, z domu bożego wypływa źródło miłości bliźniego. Miłość nieskończona zstąpiła z nieba pomiędzy nas, ażeby nas pobudzić do ofiarnej ku bliźnim miłości.

Napotkacie zapewne i poza obrębem katolickich ołtarzy filantropię, lecz nigdy miłość bliźniego; jednak taka filantropia jest herezyą miłości bliźniego. Tutaj w domu bożym wszystko dookoła nas nakłania nas do miłości, wszystko łączy nas, a nic nie dzieli. Dom boży jednoczy dusze w jednej i tej samej prawdzie, a serca w jednej i tej samej miłości. Tutaj w świątyni pańskiej wszystko skierowane jest ku temu, ażeby zasiewać wszędzie miłość braterską; wspólna modlitwa do jednego Boga w jednej i tej samej wznoszone myśli, wspólne uczestnictwo w Ofierze przedkładanej przez nas Bogu za pośrednictwem jednego kapłana, a przedewszystkiem Komunia, w której jednoczą się wszyscy na łonie bożem. W istocie w domu bożym słyszymy jak gdyby to jedno tylko słowo: Miłość, braterska miłość! Tutaj, blednie nienawiść upada nieprzyjaźń i spór każdy bywa załagodzony — i tak dom boży staje się w istocie szkołą miłości. Lecz wychodząc poza obręb kościoła, ujrzycie rychło jak zimny egoizm zawładnął berłem panowania, i podczas gdy w kościele jednoczyło nas wszystko, wszystko dzieli nas poza nim, i każdy dąży swojemi drogami i spotyka się z innymi chyba na to, aby zazdrościć sobie i nienawidzieć się wzajemnie, a co gorsza, aby się zbroić jedni przeciw drugim. Bo w istocie, cóż widzimy poza obrębem murów kościelnych? Nieokiełzane namiętności niweczące całe generacye bezwzględną i chciwą swą siłą a z drugiej strony zazdrość złośliwą, która nie wacha się nawet przed bratobójstwem, aby zaspokoić swoje żądze. Ujrzycie wszędzie egoizm siejący nienawiść i złość, i czyhający tylko na sposobną chwilę aby podsycać płomienie tego trawiącego ludzkość ognia. O wy rozdarte serca w rozłące, wypocznijcie w świątyni Pana,

w której chwalimy Boga pokoju i przebaczenia! Wy, przez dumę i korzyści światowe rozdzielone rodziny, przyjdźcie do kościoła, zaczerpnijcie tu ducha zgody i braterstwa, wznosząc znękane oczy ku niebu. Wy! którzy śnicie o równości, przestąpcie próg świątyni, tam tylko bowiem, biedak klęczący obok bogacza, jest mu równy!

To co się dalej przyczynia do uobyczajenia ogólnego to cnota. Grzech bowiem nie uobyczaił jeszcze nigdy nikogo. Ale czego wymaga stworzenie cnoty? Ażeby zaszczepić w jakimś sercu cnotę potrzebną jest siła, która zabija nietylko już zewnętrzny widomy czyn lecz występne życzenia i myśli. Cnota jest czemś nadprzyrodzonem i dlatego moc cnoty czerpie się tylko w Sakramentach, w Eucharystyi, w Sakramencie pokuty, a wszystko są to rzeczy, z któremi się tylko w kościele spotkać można.

A teraz zapytam was: jeżeli posiędziemy prawdę, miłość bliźniego i cnotę, czyż wtedy i wolność nie stanie się naszym udzialem. Nie ta wolność, o której mówi się nieustannie, a która nie jest niczem innem jak rozwięzłością i tyrańskwem, lecz wolność prawdziwą, której podstawą jest prawda, i która wypływa z miłości bliźniego. A wtedy doczekamy się, iż braterstwo i równość zapanuje pomiędzy nami. W istocie, wolność, braterstwo, równość są w pewnem znaczeniu świętemi słowami, lecz nabierają one właściwego znaczenia dopiero pod sklepieniem domu bożego. Tylko tam, w obrębie ołtarza Najwyższego przemieszkują istotnie prawidła prawdziwego braterstwa, prawdziwej równości i wolności, zasad, które zawierają i dzisiaj, moc odradzającą.

Ażeby więc posiąść uobyczajenie rzeczywistne, potrzebne nam są te trzy czynniki: prawda, miłość bliźniego i cnota. Pierwszą otrzymujemy z ambony, drugą u Stołu Pańskiego, a trzecią u trybunału pokuty. Weźcie te trzy czynniki i rozpleńcie je wszędzie, a ujrzycie zaiste rozkwit obyczajności.

I w istocie, co zabiera ze sobą w drogę młody misyonarz, opuszczający ziemię i niebo ojczyste ażeby krzewić pomiędzy szczepami ludów pogańskich — obyczajność? Za jakąż chwyta on broń? Oto za kamień święcony. Kładzie następnie ten kamień święty na odłam skalny, klecąc nad nim z gałęzi na prędce małą kapliczkę, w której odprawia świętą Ofiarę Mszy św. ofiarując Bogu oczyszczającą i zadośćczyniącą krew Jego Syna jednorodzonego; i oto zaczątek, źródło wolności, braterskości i równości. A gdy biedni dzicy przebywać będą pod cieniem Krzyża, staną się rychło chrześcijaninami, a nawet i męczennikami. Poza obrębem jednak tego cienia, daremnie szukalibyśmy cywilizacyi, tam gdzie krwawe barbarzyństwo panowałoby wszechwładnie.

A więc dom boży uobyczaja człowieka, lecz nie dość na tem, uświęca go i przygotowuje do nieba. Jakże bowiem wszystko, cokolwiek w kościele widzimy, zwrócone jest do tego jednego celu! Oto woda święcona, która przywodzi nam na myśl czystość duszy nakłaniając do odzyskania utraconej niewinności serca przez Sakrament pokuty. Oto kazalnica, z której głoszonym bywa kodeks obyczajów zawartych w Ewangelii św.; a cóż zdoła uświęcać nas bardziej od tej etyki Ewangelii św.? Zbliżcie się do ołtarza, a ujrzycie Jezusa, najwznioślejszy ideał czystości i słodyczy, ujrzymy Maryę, wzór kobiet, matek i wdów. Obejdźmy kościół, a wszędzie napotkamy ślady Sakramentów; widzimy te piękne, symboliczne ce-

remonie, które przejmują duszę świętym dreszczem i unoszą ją ku niebu. A zatem w domu bożym uświęca się człowiek.

Powiedziałem wyżej, iż dom boży przygotowuje człowieka do nieba, do raju szczęścia. Powiedziano o jednem z miast naszych pięknych Włoch, iż jest ono przedsionkiem nieba, i jeżeli powiedzenie to zawiera cokolwiek przesady, to jednak prawdą jest całkowitą iż kościół jest wstępem do nieba. Kościół jest jak gdyby przedziwnym wodociągiem, który czerpiąc wodę u źródła, wprowadza ją do naszych spragnionych dusz, a ponieważ woda unosi wszystko na swej powierzchni, tak też i Kościół unosi duszę ludzką i przywodzi do stóp bożych.

I tak gdy myślę o tych, którzy zaprzestali chodzić do kościoła, nie dziwi mnie ten surowy wyrok Zbawiciela, iż: „wielu jest wezwanych, lecz mało wybranych!“ Bo nie powinno być pod tym względem dla nas najmniejszej wątpliwości, że przez Kościół, i to jedynie przezeń, jesteśmy chrześcianami. „Jakże to przez Kościół? Czyżby przez ten kamienny budynek? Co za nieopatrzne słowa Ojcze!“ Posłuchajcie mnie jednak a zrozumiecie! Św. Augustyn opowiada, iż żył swego czasu w Rzymie sławny mowca, zwany Wiktorynem; spieszyła młodzież, aby usłyszeć słowo jego, spieszyli mężowie stanu i wojownicy; wymowa jego wysługiwała mu posąg na forum. Pewnego razu wpadła do rąk Wiktoryna Księga Ewangelii św., której wzniosłe piękno uderzyło go niepomiernie. Pospieszył więc do pewnego świątobliwego kapłana zwiastując mu: „Oto jestem chrześcijaninem“, „Jesteś chrześcijaninem“ co za radość, zawołał ksiądz, „pójdźmy do kościoła!“ „Na co, czyż przez kościół staje się człowiek chrześcijaninem? Wierzę, i niechaj ci to wystarcza!“

I ilekroć pobożny kapłan wznawiał propozycyę odwiedzenia domu bożego, spotykał się ze stanowczym oporem mówcy, który twierdził mówiąc: „Czyż to owe kamienie murów kościelnych przemieniają człowieka w chrześcijanina? Modlę się i wierzę, a to wystarcza aby być dobrym chrześcijaninem!“ Pewnego jednak dnia wpada mu w oczy ustęp z temi słowami Zbawiciela: „Jeżeli zaprzecie się mnie przed ludźmi, zaprę się i ja was przed Ojcem moim w niebiosach“! I nagle światło boże rozświeca umysł jego, spieszy do księdza i prosi: „Zaprowadź mnie do kościoła, gotów jestem przestąpić próg świątyni Pańskiej!“ Ale gdy ukazał się w kościele, podniósł się zewsząd szmer zdziwienia Wiktoryn wtedy wyszedł na chór, ażeby z tamtąd wygłosić swoje wyznanie wiary; a tłum nie zdołał dłużej powściągnąć zdziwienia i woła głośno: „Wiktorynie, Wiktorynie, czyś ty jest chrześcijaninem? „Tak, jestem nim, odpowiada wielbiony mowca, i odczuwam dopiero w tej chwili co znaczy prawdziwie być chrześcijaninem!“

Bo w istocie jakże może zwać siebie chrześcijaninem ten, kto się nigdy nie modli wraz ze swemi współbraćmi? Ten, który nie uczęszcza do spowiedzi i nie przyjmuje nigdy Komunii św.? Czyż taki może się zwać chrześcijaninem? Może z imienia, ale nie jest nim w istocie i w prawdzie; bowiem Kościół stanowi chrześcijanina, tak jak obręb domowy cichą małżonkę, sala sądowa adwokata, a pole bitwy bohatera, tak jak mury miasta stanowią o dzielnym mieszczaninie! Zapytajcie tych, którzy nigdy do kościoła nie chodzą na czem zasadzają się ich wewnętrzne praktyki religijne, i o ile i jaki wpływ wywiera religia na ich prywatne i oficyalne życie? Czy serce ich bije raźniej dla Pana i Stwórcy? Czy pa-

nują dzielniej nad swojemi namiętnościami? Czy darowują łatwiej doznane urazy? Czy pospieszają chętniej bliźniemu z pomocą w potrzebie? Nie — a jednak nie wystarcza wołać: Panie! Panie!, lecz słuchać trzeba słów bożych, rozgłaszać takowe i wypełniać!

II. Czy chcemy poznać dokładniej jeszcze dlaczego dom boży jest nam tak potrzebny, tedy rzućmy okiem na różne położenia życia ludzkiego. Jeżeli jesteście bogatymi, to dom boży będzie wam szkołą mądrości i szczęścia prawdziwego. Bogaci zapominają aż nadto łatwo o swem właściwem stanowisku na świecie, zapominają iż są tylko biednemi słabemi stworzeniami, pokładając szczęście w tem, w czem znaleźć go nie podobna. To też dom boży staje się ich nauczycielem. Gdy bogaty wchodzi do kościoła, spostrzega zaraz, iż nie ma tu do czynienia z osobami światowo wysoko postawionemi, nie stoi u drzwi jego wzorowo wytresowany lokaj, i nikt go nie zgłasza. I nie po miękkich stąpa dywanach, lecz zato majestat służby bożej, daje mu odczuć podwójnie jego małość, a ogarnia go wielkość boża. Klęka, a koło niego klęczy ubogi syn ludu, któremu jednak nie może i nie chciałby powiedzieć: „Wstań, nie masz prawa klęczeć obok mnie!“ Wszystko co widzi objawia mu wyższy porządek rzeczy; wznosi wzrok ku niebu i bijąc się w piersi mówi: „Panie bądź miłościw mnie grzesznemu!“ Wierzy i wie z własnego doświadczenia, iż jedna modlitwa złożona u stóp ołtarza więcej zawiera szczęścia aniżeli wszystkie bogactwa jego pałacu, i dlatego łatwo mu powtórzyć z Dawidem: „Prawdą jest Panie, iż jedna chwila spędzona z Tobą słodszą jest aniżeli sto lat życia pod złocistym dachem!“

Jesteście biednemi, bez przyjaciół opieki i pociechy

wszelakiej? Oto dom boży stanie się waszym schronieniem i pocieszycielem. Wejdź tylko do kościoła ty biedaku, brama jego stoi ci zawsze otworem, wejdź śmiało, bo nie usłyszysz tam groźnego głosu wołającego na cię: „Czego chcesz tutaj? gdzie idziesz!“ Przeciwnie, słodki głos, głos miłości bliźniego dotrze do uszu twoich i rzeknie ci: „Bracie mój, podnieść wzrok twój i niechaj spocznie na „tabernaculum“ i na krzyż nad nim stojący, który ci przypomina ubóstwo twego Zbawiciela! I w porównaniu do tego krzyża Zbawiciela wyda ci się los twój lżejszym, posłuchaj słów, któremi do ciebie przemawia sam Zbawiciel: „Błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest królestwo niebieskie!“

Jesteś sprawiedliwym? Dom boży jest dla sprawiedliwego chłodem wieczornym, tą palmą w pustyni. Kościół jest dla sprawiedliwego jak gdyby przedsmakiem życia przyszłego, z ziemi przenosi go stopniowo do wyżyn niebieskich; oczy jego widzą Baranka zgładzonego za grzechy świata, widzi otaczających go aniołów i pogrążony myślą w tej niebieskiej ojczyźnie, doznaje przedsmaku szczęścia wiecznego i zda się wsłuchiwać w słodką harmonię chórów niebieskich; po takiej modlitwie nasyconą jest dusza jego, i wstaje umocniony w cnocie i uzbrojony do dalszej walki życiowej.

Jesteś grzesznikiem? O jakże bardzo potrzebujesz wtedy domu bożego! W istocie bracie mój, będąc grzesznikami potrzebujemy tembardziej domu bożego. Gdy dzikie namiętności chylą nas ku ziemi, nie łatwo wtedy wznieść wzrok swój ku niebu i trudno nawet bardzo wchodzić do domu bożego, gdy poczucie winy obciąża sumienie nasze. Lecz, skoro raz dostrzeże nas Jezus, gdy wyciągnie ku nam dłoń swoją pomocną, jak do owej

ewangelicznej niewiasty, wtedy dom boży stanie się dla nas istotnie pośrednikiem miłosierdzia bożego, miejscem schronienia skruszonego grzesznika i zadatkiem przebaczenia. I o ile, naśladując celnika, przejęci naszą niegodnością u wejścia pozostając ze skruchą w piersi uderzać się będziemy, to wiedzmy o tem iż jestto niechybny środek wyjednania sobie przebaczenia i obfitego błogosławieństwa bożego.

Jesteście zasmuceni? Pociechy wam tedy potrzeba. O! jak wielu może z Panem Jezusem powiedzieć: „Liszki mają nory, ptaki gniazda, Ja tylko niemam nawet kamienia na którym mógłbym złożyć utrudzoną głowę moją, a jeszcze bardziej serca, w którembym spocząć mógł. A więc dusze wy beznadziejne i serca rozdarte, zasmucone, wnijdźcież do kościoła! Widzicie wy ten ołtarz? Zdaje się, że wyczekuje On tych biednych istot, któreby przed nim uklękły! Wylejcie jedną po drugiej łzy gorzkie nagromadzone w sercach waszych, a dusza wasza odejdzie ztąd pocieszona. Bo któż zliczy łzy osuszone przez Jezusa u stóp tego ołtarza, otarte z ócz płaczących przez Maryę, przez Nią, która jest przedewszystkiem „pocieszycielką utrapionych“!

Przygnębieni jesteście i prześladowani? O nie rozpaczajcie, lecz spieszcie do kościoła, a znajdziecie tam opiekę bożą i niezawodną nadzieję! Obroni was Bóg, bo tutaj w kościele, w obliczu bożym nie znajdzie już tyran i prześladowca poparcia, lecz ostrą naganę. I znajdziecie nadzieję niezawodną, bowiem Bóg podnosi zgnębionych. Zdarzyło się w dziejach przeszłości, o czem nawet pewnie słyszeliście — iż stolica jednej z rzeczypospolitych włoskich zmuszona została do zwinięcia swojego, a wywieszenia sztandaru obcego zdobywcy. I cóż czyni

miasto to? Oto — niesie oblaną łzami chorągiew swą do kościoła i składa u stóp ołtarza ze słowami: „Żywię nadzieję niezachwianą, iż tutaj w obliczu bożem powstanę znowu w godności i sile, bowiem przez moc bożą stanie się kościół kolebką zmartwychwstania“. Czyńcie tak i wy, uciemiężeni i prześladowani, oddajcie się w opiekę wszechwiedzącej Opatrzności bożej, bowiem pod okiem bożem stanie się kościół dla was kolebką nieśmiertelności!

Znużeni jesteście troskami ziemskiemi, potrzebujecie wypoczynku, tęsknicie za ciszą i spokojem? I któżby z nas bracia moi, nie łaknął pokoju? Poeta, którego skronie podwójny zdobił wieniec, bo wieniec sławy i cierpienia, poeta wielki duchem twórczym ale i gorzkiem cierpieniem sławny, przechadzał się pewnego razu w nocy owinięty szczelnie w fałdy długiego płaszcza, po krużgankach klasztornych, tam i z powrotem. Mnich, który przypadkiem zwrócił na niego uwagę, zapytał tajemniczego przybysza: „Czego szukasz tutaj i czego sobie życzysz?“ „Szukam i pragnę pokoju“, odpowiedział Dante, bowiem on to był. Otóż — i my wszyscy szukamy i pragniemy pokoju, wszystkim nam, przytłoczonym troską ziemską tęskno do spokoju. A gdzież go szukać mamy? W domu bożym; przestępując próg jego, ogarnia nas już spokój boży, a gdy tam z czcią uklęknicie, to wraz z pierwszą łzą skruchy, ukoi cisza niebieska znękane serca wasze.

Jesteścież wy chrześcijaninami? — Za łaską bożą jesteśmy nimi wszyscy, i dlatego dom boży jest nam domem ojcowskim i ogniskiem rodzinnem. Tutaj w kościele koncentruje się jakoby nasze życie; tutaj przez żywą wodę chrztu, staliśmy się dziećmi bożemi, tutaj,

zstępując do nas w pierwszej Komunii św. po raz pierwszy zachwycił Bóg dziecięce serca nasze radością i upojeniem; tutaj z kazalnicy padały na grzeszne dusze nasze słowa boże jako rosa odświeżająca, o, wtedy przejmował nas nieraz lęk, lecz był to lęk święty, ponieważ nakłaniał on nas do wyrzeczenia się grzechu, a hołdowania cnocie. Tutaj zjawiamy się tak często, zmęczeni zdradą i zawodami świata, ażeby doznać nieco spokoju, pociechy i pokrzepienia. Tutaj w kościele w obliczu dobrotliwego Boga złączył kapłan dłonie oblubieńców na życie całe — a gdy śmierć zabrała nam drogiego ojca, ukochaną matkę lub inną drogą istotę, czyż nie spieszyliśmy do kościoła, ażeby zaczerpnąć pociechy w pięknych owych modlitwach, przepełnionych radosną nadzieją, odmawianych przez księdza przy mszach żałobnych? Tak jest, każdemu stoi dom boży otworem! Dziecko uczy się w nim mądrości, dorosły krzepi się w nim modlitwą, starzec niedołężny uczy cierpliwości i poddania. O spieszcie wszyscy do kościoła, w niedzielę aby oddać cześć Bogu, a w dnie powszednie aby uświęcić samych siebie, spieszcie w każdej okoliczności życiowej a odejdziecie i szczęśliwsi i lepsi! Dom boży jest początkiem chwały niebieskiej, tu więc tylko człowiek uczy się prawdziwej miłości bliźniego i stawiania oporu własnym złym skłonnościom. W domu bożym ręka Boga najhojniej udziela nam dobrodziejstw, odnajdujemy bowiem tam Tego, który tu na ziemi będąc naszą nadzieją i pokojem, jest w niebie rozkoszą aniołów, wyzwoleniem ludzkości, i nieustannym przedmiotem upodobania Ojca przedwiecznego. Z domu bożego przemawia do nas Chrystus: „Upodobałem sobie to miejsce, aby serce moje przebywać mogło pomiędzy wami!“

II.

Eucharystya.

Śledząc dzieje katolicyzmu dostrzeżemy łatwo, jak według mądrego planu Opatrzności bożej, religia rozwijała się stopniowo, i to w równomiernym stosunku do rozwoju ludzkości. I w istocie, na początku pojawiały się tylko allegorye, jakoby cienie, zapowiadające niezawodnie, z biegiem czasu dopełnić się mające tajemnice. A im więcej zbliżało się ich spełnienie, tem allegorye stają się jaśniejsze, tem wyraźniej i dobitniej występują owe cienie, zapowiadające zejście Słońca sprawiedliwości, które poprzedzały i bez którego wcale by nie były istniały.

Religia raju mniej wyraźnie dotyka tajemnic tych, aniżeli religia czasów patryarchalnych; a ta znowu z mniejszą od zakonu określa je dokładnością. Z przyjściem Jezusa Chrystusa datuje się nowy, epokowy rozwój religii. Z Jezusem Chrystusem zjawia się prawda, światło, znikają allegorye i cienie.

Co obwieścił Jezus Chrystus? Jezus oznajmił: „Przyszedłem aby dopełnić zakonu“. I Jezus jest prawdą, co

więcej, najwyższem objawieniem prawdy, jej istotą. Przebywając osobiście w łonie ludzkości, podnosi religię do najwyższej doskonałości, do jakiej na ziemi jest zdolna. Jednak i po osobistem objawieniu bożem, nie osiągnęła religia jeszcze ostatecznego swego rozwoju i udoskonalenia. Bo tak, jak po starym testamencie nastąpił nowy, obecny porządek rzeczy, tem samem prawem rozwoju przebywać będzie coraz to nowe fazy udoskonalenia, dopóki twarzą w twarz, bez żadnych osłon, nie ujrzymy jasno tego, co teraz oglądamy, tylko jak gdyby w odbiciu lustrzanem lub przez mglistą zasłonę. I tak jak ongi synagoga wyłączoną została od Kościoła, tak kiedyś i Kościół zastąpi niebo, które będzie ostatecznym kresem osiągniętej doskonałości. Widzimy przeto, iż Kościół po przyjściu Chrystusa Pana, stanowi łącznik pomiędzy starem a niebieskiem Jeruzalem, pomiędzy synagogą a niebem i tak względem jednej jak i drugiego czynną odgrywa rolę.

Czem była Synagoga starej Jerozolimy? Symbolem, obrazem, cieniem Jezusa Chrystusa. Czem będzie niebo, ta niebieska Jerozolima? Oglądaniem i posiadaniem Jezusa Chrystusa bez symbolu i osłony. A co stanowi istotę Kościoła? Symbol i posiadanie równocześnie. Symbol, gdyż tu na ziemi nie jesteśmy zdolni do osobistego oglądania Boga, a posiadanie, ponieważ Chrystus Pan zstąpił do nas na to, aby zaspokoić pragnienie ludzkości. A tem zaspokojeniem jest właśnie Eucharystya.

Lecz, że ta podniosła tajemnica w czasach obecnych tak często wyśmianą i wyszydzaną bywa, poświęcimy poranek dzisiejszy ku jej obronie przeciw niewierze, do czego pobudza nas również i przedmiot wczorajszego rozpamiętywania, bo czemże byłby dom boży bez Eucharystyi?

I. Gdy tylko o Eucharystyi mowa, to natychmiast odzywają się głosy: „Ale jakże można przypuścić istnienie takiej tajemnicy? Jakżeż można wogóle wierzyć w Eucharystyę?“ Moglibyśmy odpowiedzieć na to: „Tak jak od dziewiętnastu wieków wierzyli i wierzą weń członkowie chrystyanizmu, i tak jak po dziś dzień wierzy weń niezliczona liczba dusz wybranych; trochę tylko dobrej woli i pokory serca, a bez trudu i sama z siebie rodzi się w nas wiara w tę tajemnicę“. Pogańscy filozofowie z czasów Augusta, Tyberyusza i Nerona nie wierzyli w nasze święte Tajemnice, dopóki nie słyszeli Apostołów; gdy jednak pouczeni zostali w wierze — uwierzyli. I dlaczegóż nie mielibyśmy iść ich śladami? Czyż nie musieli oni walczyć z daleko większemi trudnościami i przesądami od naszych? Skoro społeczeństwo chrześcijańskie wierzyło silnie w Eucharystyę, dowodzi to, że wiara ta jest możliwą i zbawienną. I chociażbyśmy najbardziej chcieli uniewinnić naszą niewiarę, to nawrócony i wierzący świat będzie zawsze żyjącem świadectwem, że wiara istnieje i jest możliwą.

Gdy słyszę zdanie: „Jak można wierzyć w Eucharystyę?“, pytam nawzajem: „Jak można nie wierzyć w Nią?“ Skoro raz zrozumiałą dla nas jest wiara w niezaprzeczone istnienie Boga, Jezusa Chrystusa Syna Jego i w Kościół, niezawodną instytucyę Syna, to ten sam Bóg, Chrystus Pan i Kościół, zapewniają nas, iż Jezus jest obecnym w Tajemnicy Ołtarza. I cóż nam pozostaje innego, jak uwierzyć i uwielbiać Ją?

Bóg, w obrazach i proroctwach, zapowiadał od początku świata ludzkości, tę niewymowną tajemnicę. Przyjrzyjmy się bliżej kilku z tych symboli, a więc Drzewo życia, Melchizedech, Manna na pustyni, Baranek wiel-

kanocny. Przysłuchajmy się kilku proroctwom: Malachiasz mówi o Ofierze czystej, która Bogu, od wschodu do zachodu słońca składaną będzie; Salomon zaś opisuje świątynię, pomiędzy siedmiu kolumnami, w której ustawione są stoły tajemnicze, i tak wszędzie spotykamy obrazy wskazujące jakąś rzeczywistość i wszędzie proroctwa zapowiadające wielkie wydarzenie. A gdy nadchodzi uroczysta chwila, w której symbol ustępuje rzeczywistości i wypełniają się proroctwa, wtedy zjawia się Jezus Chrystus, którego nauki posłuchajmy. — Jezus w rozmowie Swej z Samarytanką, u studni Jakóbowej zapowiada nadchodzącą Światłość; na wzgórzach galilejskich wypowiada ośm błogosławieństw i rozmnaża chleb na pustyni. Pewnego razu, tłum, który w tak przedziwny sposób nasycił, karmiąc go cudem łaski Swojej, rzekł do Niego: „Nie jesteś od Mojżesza większym, Mojżesz bowiem, przez lat 40 żywił lud w pustyni, a Tyś nas raz tylko nakarmił chlebem“. A Jezus spojrzał na niewdzięczny ten tłum i tak odpowiedział: „Mówicie, iżem nie jest większy od Mojżesza, a ja wam powiadam, iżem jest Chleb żywy, który zstąpił z nieba“. Co za wielkie słowa! I dopełnił tego Swojego, uroczystego oświadczenia słowami: „Jeśli nie będziecie spożywać Ciała Syna człowieczego, i nie będziecie pić Krwi Jego, nie będziecie mieli żywota w sobie“. A zdziwiony tłum woła: „Ciało Jego i Krew? Ale jakże zdoła On nam dać Ciało i Krew Swoją ku spożyciu?“ Wiecznie ta sama ludzkość, rzucająca Bogu pytanie: „Jakże, jakże to być może?“ A Bóg uśmiecha się z pobłażaniem i cierpliwością na to niedowierzanie ludzi. Chrystus Pan zapewnia nas jednak o tem i to w formie uroczystego oświadczenia: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iż

Ciało moje prawdziwym jest pokarmem, a Krew prawdziwym napojem!“ A żydów zdjęło zdziwienie większe jeszcze: „Ciało Jego i Krew spożywać i pić mamy? Zaprawdę, mowa ta jest surowa i któż jej słuchać zdoła?“ I oddalają się, a Chrystus pozwala im odejść.

A gdy się już byli oddalili, spojrzał Chrystus na Apostołów, w oczach których czyta pytanie i wyrzut: „Dlaczego pozwalasz odejść ludowi temu? Dlaczego pozwalasz im błąkać się w ciemności, Ty, który przyszedłeś, aby zbłąkane owce naprowadzić na drogę prawdy? Tak łatwo byłoby Ci ich zatrzymać jednem słowem, jednem wytłomaczeniem, iż słowa Twoje przenośnią były i porównaniem“. On jednak odpowiada Apostołom: „Czy i wy opuścić mnie chcecie? Czy i wy chcecie odejść?“ Piotr św. odpowiada jednak z głębi miłością przejętego serca: „Odejść? A dokądże odejść mamy? Ty jeden Panie, masz słowa żywota wiecznego!“

I oto, od dziewietnastu stuleci powtarza się nieustannie ta sama scena: Pycha ludzka zapytuje: „Jakże może On dawać nam Ciało i Krew Swoją za pokarm? Porzućcie tę złudną chimerę! Odłączcie się od Niego!“ My jednak, od stóp ołtarzy Boskiego Baranka odpowiadamy całą siłą duszy naszej: „Ciebie porzucić, o! Chryste? Ależ Ty jeden, Panie, masz słowa żywota wiecznego; wierzymy słowu Twojemu, albowiem słowo Twoje prawdą jest“.

Owego wieczoru, w którym boski Zbawiciel po raz ostatni zgromadził się z uczniami Swoimi w wieczerniku jerozolimskim, obmyślił dla nich i dla nas wszystkich testament tak cudny i wzruszający, na jaki zdobyć się mogło tylko najbardziej kochające serce ojcowskie. Zda się, iż mamy przed sobą umierającą matkę, która

odzywa się do swych dzieci: „Dzieci moje ukochane, i co się z wami stanie teraz?“ „Odchodzę“, powiada Jezus do dwunastu wybranych, i ból, który przenika Serce Jego, odbija się w Jego obliczu, „idę umrzeć za was“. Lecz szczęśliwszy od owej matki, dodaje: „Nie zostawiam was sierotami. Miłość, która mnie popchnęła do ofiarowania się za was, nie pozwala mi już rozłączyć się z wami. Dlatego też patrzcie! To, co wam tutaj daję pod postacią chleba, jest Ciało moje, a to, co podaję wam pod postacią wina — to Krew moja. I pod temi postaciami pozostanę z wami jako wasz pocieszyciel, do skończenia świata; jest to to samo Ciało, które za was poddaje się cierpieniu i ta sama Krew, która dla was do ostatniej kropli przelaną będzie. I ofiarę, którą jutro spełnię na drzewie Krzyża, odnawiać będziecie nieustannie, aż do skończenia wieków. To czyńcie na pamiątkę moją; na upamiętnienie miłości, którą was umiłowałem i przez którą dla was cierpiałem!“ Oto testament Jezusa Chrystusa. W chwili gdy się udaje do Getsemańskiego ogrojca, w przededniu krzyżowej ofiary i śmierci, pozostawia nam tak piękną pamiątkę po sobie.

Gdy się rozłączamy z rodziną naszą by się udać daleko, za morze, to wtedy zwykle pozostawiamy bliskim naszym, przynajmniej nasz wizerunek. I to jest wszystko, co uczynić możemy, jesteśmy bowiem stworzeniami ograniczonej władzy i możności. Lecz Jezus Chrystus jest Bogiem, pozostawia więc po sobie pamiątkę dorównywującą Jego dalszej, rzeczywistej pomiędzy nami obecności, utrwala tę pamiątkę obecności Swojej w darze, który czyni nam z własnej Swojej Istoty. Słowa Jego są wyraźne i stanowcze, tak, iż jest to rzeczą niemożliwą, by umysł trzeźwo myślący i serce prawe, które

pragnie zrozumienia rzeczywistego znaczenia słów Chrystusowych, a nie wkłada w nie całą spuściznę przesądów i namiętności ludzkich, nie odczuło rzeczywistej obecności Chrystusa Pana w tym Sakramencie.

„Starałem się usilnie dowieść“, powiada Luter sam, „iż Eucharystya nie jest Krwią i Ciałem Jezusa Chrystusa, byłby to bowiem ciężki cios dla stolicy papieskiej. Jednak nie udało mi się, tekst jest bowiem za jasny i dobitny“. Jak potrafili ci odłączeni bracia nasi, oprzeć się sile dowodzenia i prawdzie tego tekstu? Musieli zadać gwałt znaczeniu słów, musieli popaść w sprzeczność ze słownikiem, musieli przekręcać słowa boskiego Zbawiciela i dopiero wtedy nadali im miano bezsensownych. Lecz czegóż to dowodzi? Że nie biorą w rachubę prawdziwej zawartości słów tych. Apostołowie jednak pojęli znaczenie mowy tej i zawartość jej słów; natychmiast też po zesłaniu Ducha św. rozprószyli się po świecie, zaprowadzając wszędzie Obrządek Ofiary bezkrwawej; do dziś dnia przechowuje się ołtarz, na którym Książę Apostołów na intencyę całej ludzkości tajemnice święte odprawiał — wymowny dowód i poparcie zaprowadzenia obrządku przenajśw. Sakramentu Ołtarza.

Św. Paweł pisał: „Kto spożywa niegodnie Ciało i Krew Pańską, ten staje się winnym Ciała i Krwi Pańskiej“. — Czy słowa te dosyć są wyraźne? Tak wyraźne, iż drżeniem przejmują człowieka.

I czy można wobec tego pytać: „Jakże można wierzyć w Eucharystyę?“ Posłuchajcie! Gdyby Jezus Chrystus pomimo wszystko, nie był istotnie obecnym w przenajśw. Sakramencie, wtedy na sądzie bożym mielibyśmy prawo przeciw Niemu powstać i rzec: „Polegając na Twem słowie, w wyraźnym dekrecie Ewangelii i na

pismach Twych Apostołów, przyjmowaliśmy te święte postacie z wiarą, iż przyjmujemy Ciebie. Podeszłeś nas i poddałeś złudzeniu!“ Mielibyśmy prawo wkraczać w słowa Chrystusowe, jednak słowa Pana wieczne są i niezmienne!

Do tej wyraźnej treści słów Ewangelii dołączmy jeszcze świadectwo historyczne. Kościół po wszystkie czasy zatwierdzał istotną obecność Chrystusa w przenajśw. Sakramencie ołtarza. W pierwszych latach żywota swego, zmuszony był Kościół kryć się w podziemiach katakomb. Zejdźmy i my do podziemi tych, czyż te rozległe krużganki przesiąknięte krwią męczenników, nie są jednym dowodem więcej boskiej istoty Eucharystyi św.? Na grobach męczenników odprawiano bezkrwawą Ofiarę Boga-człowieka, i w przytomności grobów tych, udzielano chrześcijanom Komunii św. przed śmiercią męczeńską. Gdy Kościół odzyskał wolność, wznosiły się jedna po drugiej wspaniałe bazyliki, strzegące Tabernakulum, w którym Odkupiciel obrał sobie mieszkanie. Przez dziewietnaście wieków już, przechowuje i strzeże zazdrośnie w swem łonie Kościół, Swego boskiego Oblubieńca, a skoro odniesiemy się do Ojców Kościoła, od św. Ignacego z Antyochii do św. Augustyna, od św. Augustyna do św. Bernarda, od św. Bernarda do św. Franciszka Salezego, to ten święty orszak wyda nam się jako nieprzerwany łańcuch, którego każde ogniwo jest zatwierdzeniem prawdy, iż: „Jezus Chrystus jest w Eucharystyi rzeczywiście i istotnie obecnym“.

I czegóż żądamy więcej jeszcze? Skoro nam te autorytety nie wystarczają, jakichże wymagamy jeszcze? Jeżeli nie chcemy wierzyć w rzecz mającą wszelkie wiarygodne świadectwa za sobą, w cóż tedy wierzyć będziemy?

A teraz odpowiedzcie mi! Co sądzicie o tem, o czem Kościół poucza nas o Eucharystyi? Prawdą jest-li to według was, czy fałszem? Jeśli mi odpowiecie, że prawdą, to wtedy w prawdę wierzyć musicie. — Jeśli jednak odpowiecie, że fałszem, to pytam was, jak wy pojmujecie Chrystusa? Byłoby już daleko lepiej zaprzeczyć Chrystusowi boskości. Chrystus powołał Kościół, aby był świecznikiem prawdy i nauczycielem ludzkości, i czyżby pozwolił popaść mu w błędy, przesądy i bałwochwalstwo? I cóżby to był za Bóg? Byłby to Bóg pozbawiony mądrości, dobroci i godności! Bogiem pozbawionym mądrości, tak jest w istocie, gdyż nie umiałby ustrzedz własnego Swego dzieła. Bogiem pozbawionym dobroci, gdyż przez XIX stuleci gubiłby dusze ludzkie. I Bogiem pozbawionym godności, gdyby do odnowienia Swego dzieła użył był ludzi, na wzór reformatorów.

Wiem ja dobrze, że podnoszą się przeciwko nam zarzuty, słyszy się bowiem często: „Ale jakże może przebywać Chrystus w tak ciasnym obrębie? I jakże może przebywać Jezus pod postaciami chleba i wina, które już nawet obecnie nie są chlebem i winem?“ Och! to wiecznie ludzkie jak, i dlaczego! Czyż nie możemy w końcu dać się przekonać, że Bóg może więcej, aniżeli my popojąć zdołamy? Czyż nie wiemy, iż wszechmoc boża przekracza nieskończenie granice naszego rozumu? Czyż prosty zdrowy rozsądek nie pokazuje nam, że pomiędzy Bogiem a człowiekiem leży przepaść, przepaść, którą sam sobie pozostawiony człowiek, nigdy zapełnić nie potrafi. Gdy patrzymy na ludzi, usiłujących dociekać spraw bożych, czyż nie przypomina nam się ów astronom, który

wspinał się na drabinę, aby z bliska przyjrzyć się niebu. Prosty, zdrowy rozsądek poucza nas, iż rozum boży przewyższa nieskończenie ludzki, i że tylko wiarą całokształt spraw bożych i ludzkich objąć zdołamy. Gdy patrzymy na tych, którzy własnym rozumem wszystko wytłomaczyć by chcieli, czyż nie nasuwa się myśli naszej natarczywie ów szaleniec, którego Dante umieścił w dziesiątej pieśni swojego raju?

„Ale, cóż znowu, Chrystus mógłby przebywać w tak ciasnym obrębie?“ Lecz, czyż nie chcemy przyjąć, że istnieją tajemnice wiary, zarówno jak istnieją tajemnice natury? Bo jakże dzieje się choćby to zjawisko, że cała przyroda ze swemi zielonemi łąkami i niebem gwiaździstem, odbija się w mojej małej źrenicy? Lub jakże być może, by ziarnko nasienia zawierało zarodek olbrzymiego dębu? Lub jakże się to dzieje, iż trochę prochu i okruszyna dynamitu podłożone pod budowlę, całą w powietrze wysadzić potrafią? Fizyk odpowie na to: Bowiem materya posiada zdolność rozszerzania się i skupiania w nieskończoność. Czyście zapomnieli, o czem poucza nas wiedza ludzka? Newton i Leibnitz, ci dwaj wielcy ludzie, zwykli byli mawiać: Gdyby zdołano znieść prawo ciężkości, wtedy możnaby cały świat pomieścić w zagłębieniu dłoni.

Ale jakże można przyjąć przemianę istotną, t. j. przemianę chleba i wina w Ciało i Krew Jezusa Chrystusa? Jednak czyż nie patrzymy codziennie na zjawisko przemiany istoty chleba w nasz organizm, a wina w krew naszą? I skoro Bóg dokonując w zwierzęcem ciele ten przedziwny objaw wszechmocy Swojej, chciał przenieść go i na Eucharystyę św., dlaczegoż my przyjąć nie chcemy tego objawionego nam życia eucharystycznego, my którzy w naszem ciele organicznem nosimy niezaprzeczony dowód możliwości tego cudu? Jeżeli nie chcecie przyjąć tego drugiego zjawiska przeistoczenia, zasłaniając się tem, iż je nie rozumiemy, dlaczego tedy przyjmujemy pierwsze, nie rozumiejąc go również? Bo i jakże to zrozumieć, ciągniecie dalej, tę postać chleba, która nie jest chlebem i tę postać wina, winem nie będącą? Wydaje się wam to niepodobieństwem; posłuchajcie, co w tej kwestyi powiedział św. Tomasz: „Bóg może pobudzić działanie przyczyny, bez przyczyny poprzedzającej w zwyczajnych warunkach to działanie; i tak stworzył Bóg człowieka nie płodząc go, bowiem wszechmoc Jego jest nieograniczoną, więc mógł Bóg stworzywszy przyczynę, stworzyć również zwykłe jej następcze skutki, bez poprzedniego istnienia tej przyczyny“. I tak zachowuje Bóg postać chleba i wina, chociaż niema już w nich istoty wina i chleba. Czyż okazy skamielin nie są analogią tego zjawiska? Oto substancya zwierzęca lub roślinna wypartą została przez substancyę mineralną, zachowując jednak swój kształt zewnętrzny.

Ale jakże może Jezus w tylu cząstkach być równocześnie obecnym? Czyż jednak podobnym fenomenem nie jest w tej chwili słowo moje? Jest was tutaj wiele, podczas gdy ja was jednem tylko obdzielam słowem; mówię Bóg, Jezus, Marya, a słowo moje rozmnaża się, dając każdemu z was pojęcie Boga, Jezusa, Maryi. A jeżeli więc słowo moje w naturalnym porządku rzeczy, dziwo to wywołuje, to dlaczegóż by słowo Chrystusa Pana nie mogło mieć podobnej mocy w porządku nadprzyrodzonym? Chrystus Pan pod postacią chleba nie jest umiejscowionym, lecz istnieje rzeczywiście i istotnie, w każdej cząsteczce substancyi tego chleba, o czem

pamiętać trzeba. Zresztą zbytecznie rozprawiać nad rzeczami dowiedzionemi od dawna. I cóż nam tedy pozostaje do czynienia? Oto co następuje: Św. Tomasz, zwany „aniołem zakonu“, największy duch z wszystkich może, jacy przebywali na ziemi, umierał; przyniesiono mu tedy Wiatyk św. i zapytano: „Tomaszu, czy wierzysz w rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystyi?“ Spojrzał tedy Święty na Hostyę konającym wzrokiem i zbielałe Jego wargi wyszeptały: „Jezusie, Boże chwały, Boże nieba i ziemi! Ciebiem wyznawał, dla Ciebiem walczył i pracował! Tak jest, wierzę, iż w Przenajśw. Sakramencie przebywa Jezus Chrystus rzeczywiście i istotnie!“

W dwa wieki później, inny znowu mnich ulega strasznej pokusie pychy; wachał się on długo pomiędzy posłuszeństwem a buntem, aż w końcu uległ temu ostatniemu. Mnichem tym był Luter, zwany słusznie mężem spustoszenia. Odmówił on Najśw. Pannie i wogóle Świętym i zmarłym czci wszelkiej, zaprzeczył również dogmatowi odpustu. Ten sam człowiek jednak, przed otwartemi drzwiczkami Tabernaculum wyrzekł następujące słowa: „Nie mogę, zaiste nie mogę! Słowa Chrystusowe zamykają mi usta, nie mogę zaprzeczyć rzeczywistej istności Jezusa w Eucharystyi!“ I cóż nam tedy pozostaje do czynienia? Nic innego, jak tylko wierzyć, usiłując dopełnić tego aktu wiary aktem miłości. Pamiętajmy też zawsze o jednem: gdyby Eucharystya nie była prawdą, to jednak zaprzeczyć nie można faktowi, że jest Ona ustanowieniem bożem, tak, czy nie? Bo albo jest Ona wymysłem ludzkim, albo darem bożym, i z tego dylematu niema innego wyjścia. Zostawmy przez chwilę na uboczu niemożliwość przypuszczenia, by rozum ludzki tak wzniosłą tajemnicę wymyślić zdołał, i przypuśćmy,

że Eucharystya jest istotnie wymysłem ludzkim, i czyż nie widzimy już z góry, ile błędów i sprzeczności wywołałoby takie przypuszczenie? Jakże to, człowiek miałby być możniejszy w pomysłach, aniżeli Bóg w darach Swoich? Panie, Tyś się dawał nam od stajenki betleemskiej aż do góry kalwaryjskiej, dar to wielkości niepojętej; jednak więcej ponad to uczynić mogłeś dla nas jeszcze! Udzielałeś się nam przez lat trzydzieści trzy, rozdając maluczkim dary Swoje, rozgrzeszając grzeszników, uzdrawiając chorych, i my byśmy to przewyższyli Ciebie, ustanawiając tę tajemnicę miłości? Miałażby miłość boża być opanowaną rozumem ludzkim? I czyż coś takiego przyjąć można jako pewnik? Zaiste nie! Przypomnijmy sobie to powiedzenie Bossuet'a: „Niema dwóch miłości, istnieje bowiem tylko jedna miłość, to znaczy, że ta sama miłość, którą odczuwa serce ludzkie, przemieszkuje i w sercu Bożem“. A miłość serca Bożego jest nieskończoną. Czy chcecie wiedzieć, co dzieje się w sercu bożem? A więc wyobraźcie sobie miłość serca ludzkiego, posuniętą w nieskończoność.

Jeżeli zatem chcemy zrozumieć nieco tajemnicę eucharystyczną, przyłóżmy rękę do serca naszego, wysłuchując trzy jego uderzenia, trzy uderzenia niewymownej, cudnej piękności. Pierwsze uderzenie objawi wam nieprzepartą chęć, jaką odczuwamy, by przebywać nieustannie z ukochanemi osobami, dlatego to płaczecie, skoro rozstajecie się z niemi, a cieszycie, skoro do nich powracacie. I dlatego to twierdzi pewien pisarz nowożytny, iż z wynalazku telegrafu i kolei nie dokonano tyle w interesie przemysłu i handlu, ile pobudziły je do życia wzajemne nasze skłonności. A więc skoro my stworzenia ułomne, odczuwamy tak silnie potrzebę istotnego

przebywania z przedmiotem naszej miłości, o ileż silniej odczuwa je doskonałe serce Boże?

Przyłóżmy powtórnie dłoń do serca naszego, i cóż wyjawia nam drugie jego uderzenie? Oto, że czujemy potrzebę poświęcenia, cierpienia dla istot ukochanych. Bo czyż uczucia tego nie odczuwa silnie serce doznające miłości? Uczucia tego doznaje również i Bóg, zresztą zbyteczną tutaj byłaby dyskusya, bo czyż nie dowiódł On nam tego stajenką betleemską, ogrodem getsemańskim i górą kalwaryjską?

I po raz trzeci przyłóżmy dłoń do serc naszych; wyczuwamy trzecie uderzenie, a treścią jego jakież jest uczucie? Oto pragnienie, abyśmy sami mogli żywić i utrzymywać przy życiu ukochane osoby. Bo czyż ojciec każdy nie cieszy się myślą, iż praca jego i trud zapewniają byt dzieciom jego? I jakimże byłby syn, któryby walcząc o wieniec chwały, nie kierował się i tą szlachetną pobudką, iż złoży go u stóp ukochanej staruszki matki? Opowiadają, iż pewna matka karmiąc swe dziecię, zauważywszy, iż ubywa jej pokarmu, zawołała: „O gdybym mogła karmić je krwią moją!“ Nie rozstrzygając w kwestyi, czy było to rzeczywistem zdarzeniem lub wytworem natchnienia wielkiego ducha Dantego, pamiętacie opowieść jego o Hugolinie. Wtrącony on został do więzienia i skazany na śmierć głodową. Przez trzy dni ukrywał twarz w dłoni, nie mogąc znieść widoku walczących ze śmiercią dzieci swoich. W końcu głód i ból przyprawiły i jego o drgania śmiertelne; wtedy to przyczołgało się ku niemu dwoje jego dzieci i wyciągając do niego ręce, rzekło: „Jedz z nas ojcze!...“

...*Tu ne vestisti. Queste misere carmi, e tu ne spoglia.*
(Dałeś nam te nędzne ciała, zabierz je z powrotem).

Bracia moi, jeżeli człowiek zdobywa się na takie pomysły względem osób, które kocha, dlaczegóżby się Chrystus nie miał zdobyć na powiedzenie: „Bierzcie i jedzcie, oto Ciało moje! Pijcie wszyscy, oto Krew moja!“ I to powtarza się nieustannie w Eucharystyi, bowiem Eucharystya jest objęciem nieskończonej miłości; Eucharystya jest Bogiem, idącym za głosem serca, udzielającego nam pociech wszelkich, których wszyscy tak bardzo potrzebujemy.

Otóż, tajemnice Wiary naszej posiadają tę właściwość, iż pogardzają niemi ci, którzy ich nie znają, a dziwnemi wydają się tym, którzy znają je tylko powierzchownie. Zapoznawszy się z niemi jednak bliżej, widzimy jasno, iż są one dziełem serca, i to serca bożego, tedy łzy cisną nam się do ócz, a słowa kształtują się w akt uwielbienia.

Usuńmy na bok wszelkie wątpliwości, czyż jest bowiem coś naturalniejszego, jak wiara w ten wzniosły Sakrament? Wiara w Eucharystyę, jako w istotną obecność Chrystusa Pana? Bo w istocie, na czemże polegał pierwotny porządek rzeczy, będący wyrazem naturalności? Wystarczy na to otworzyć Biblię, by się przekonać, iż polegał on na poufałym stosunku pomiędzy człowiekiem a Bogiem. „Adam“, powiada Pismo św., „rozmawiał z Bogiem, znał głos Jego i odgłos kroków Jego, rozlegający się wśród drzew raju“. — A gdy zgrzeszył Adam i to przez zmysły, cóż wtedy czyni Bóg? Karze go przez zmysły jego, — kara przez zmysły dosięga duszy, innemi słowy, w godzinie gniewu i przekleństwa ustaje widome obcowanie Boga z człowiekiem. Lecz zarazem obiecuje mu Odkupiciela, który nie tylko Bogiem lecz i człowiekiem będzie, którego nietylko uwielbiać,

lecz i widomie oglądać będzie można, i który przywróci istotną obecność bożą na ziemi; i oto po godzinie gniewu następuje godzina wybawienia i łaski. A cóż dzieje się w międzyczasie raju i Betleemu? Jak zaspokaja człowiek potrzebę istotnego obcowania z Bogiem? A potrzeba ta jest za silną, aby stłumić ją można; — oto dzieje się straszna pomyłka, bo popada człowiek w bałwochwalstwo! Lecz fałszywe bogi oddają też niejako świadectwo św. Eucharystyi, dowodzą one bowiem, iż człowiek w międzyczasie pomiędzy rajem a Betleemem nie umiał cierpliwie przeczekać, wypełniając go złudzeniem, które doprowadziło go do odstępstwa. Lecz gdy „Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami", cóż dzieje się natenczas? Oto poniechane są bożyszcza, a wiara św. święci tryumf zwycięski!

Nie chcąc uznać Boga jako takiego, uznajemy Go jednak, poniekąd pomimo naszej wiedzy i woli. Bo jakkolwiekbyśmy urągali Mu, i jakkolwiekbyśmy zaprzeczali prawdziwości i wierze w Przenajśw. Sakrament, to jednak w gruncie ludzkiego serca tkwi niezaprzeczalny akt wiary weń! Rozpatrzmy się tylko w naszych modernistycznych systemach i wierzeniach, do czego prowadzą one? Do panteizmu. Zaprzeczają Boga, ale zwracają się do nieba, ziemi, stworzeń, mówiąc: Wy jesteście Bogiem!

I tak, człowiek przeczący rzeczywistemu istnieniu Jezusa Chrystusa w Przenajśw. Sakramencie, równa się owemu ojcobójcy, którego prześladują na każdym kroku okrutne widma zemsty, stworzone przez jego chorą grzechem wyobraźnię. A jest to nieuniknionem następstwem, bowiem serce ludzkie posiada wrodzone niezawodne antidotum przeciw apostazyi rozumu.

W dniu, w którymby katolicyzm w łonie swego

kościoła przestał posiadać eucharystyczną Ofiarę, miałby w całej pełni, wraz z nieszczęśliwym O'Connelem, który utracił swoją ukochaną Irlandyę, zawołać prawo: „Oto pozostałem sam i opuszczony, oto jestem sam!" Tak jest, wówczas katolicyzm miałby prawo zawołać „Pozostałem sam!" i o ile obecnie tęsknotę duszy ludzkiej ucisza nadzieja, o tyleby wówczas nastała nowa epoka, którąby zwać można erą rozpaczy!

II. Czy chcecie jeszcze więcej dowodów, iż Chrystus rzeczywiście jest obecnym w Eucharystyi? A więc obserwujmy Jej działanie. Jakkolwiek natura ludzka jest dla nas poniekąd tajemnicą, wiemy tyle, że potrzebuje światła i mocy, że łaknie życia. Potrzebuje światła i mocy, aby obalić królestwo zła, a ustanowić i ustalić królowanie dobra. Przez upadek grzechowy, duszę pozostawioną samej sobie ogarnia wnet przesyt zamętu, cierpienia, a nawet szczęścia, duszy, pozostawionej samej sobie uprzykrza się. A serce nasze? Biedne serce, jakież ono słabe! Zło wypływa z niego samo przez się, tak, iż powiada Paweł św.: „Jesteśmy wszyscy na równi zaprzedani złemu!" A człowiek powtarza tak często: „Chciałbym, ale nie mogę, namiętności moje biorą górę nademną!" Stąd też wypływa potrzeba siły i światła. Ale gdzież szukać owej mocy i światła? Czy może w łonie rodzaju ludzkiego (ludzkości)? Jednak Pismo św. powiada, iż człowiek każdy jest jako więdnąca trawa. Gdzież więc czynników tych szukać mamy? W Bogu, w Jezusie Chrystusie, w Eucharystyi, bowiem Jezus jest światłem i mocą bożą. Człowiek łączący się w Eucharystyi z Jezusem Chrystusem, napełnion bywa życiem i nosi w sobie moc bożą.

Ale czy jest prawdą, iż Eucharystya właśnie udziela

człowiekowi siły tej? Wystarcza przyjrzeć się dziełom Eucharystyi. Któreż to są dzieła? Jest ich wiele. Pierwszem dziełem Eucharystyi jest — kapłan; kapłan jako wyznawca, kapłan jako ofiara, kapłan jako ideał urzeczywistniony tylekroć razy w łonie Kościoła. Tak jest, kapłan jest dziełem, tworem Eucharystyi. Eucharystya i kapłaństwo są dwoma pojęciami zamiennemi; bez kapłaństwa niema Eucharystyi, a bez Eucharystyi nie egzystuje kapłaństwo.

Drugim tworem Eucharystyi to dziewica. Co za słowo! Dziewica, wcielenie anioła, uduchownienie materyi, aby godnem stała się czystej duszy mieszkaniem, dziewica, promieniująca czystością, której woń uwesela wszystkich dookoła! Nawet cesarze pogańscy oddawali cześć dziewiczej czystości i zatrzymywali swój orszak, aby ustąpić miejsca spotkanym na ulicy westalkom. Z jakiegoż to jednak ziarna wyrasta św. dziewictwo? Protestantyzm nie posiadał nigdy tej siły. Słuchajcie wyzwania, które rzucono protestantyzmowi z wysokości katedr, aby wydał z łona swego siostrę miłości chrześcijańskiej. Inne kulty religijne ukształcały wprawdzie dziewice, lecz — rzec można — przemocą, tak jak np. Rzym westalki. Jednak dziewice chrześcijańskie, te anioły ziemi, przewyższające aniołów przywilejem śmierci i które życie swe całe na usługi biednych i chorych poświęcają, te nie gromadzą się koło tych kazalnic, z których pada słowo: „Panie, Panie“, lecz tylko tutaj, u stóp Eucharystycznego ołtarza.

Innem jeszcze dziełem Eucharystyi to męczennik, męczennik, który kata radośnie obejmuje przed ciosem śmiertelnym. A jakaż to była siła, która krzepiła ludzi na widok panter i tygrysów? A któż to umacniał owych

młodzieńców, którzy w zachwycie i upojeniu szczęścia skłaniali głowy pod miecz katowski? I któż to podtrzymywał one dzieci, które ze zmiażdżonemi członkami wołać nie przestawały: „Jesteśmy chrześcijaninami!“ Cudu tego dokonywała Eucharystya, którą chrześcijanom w katakumbach jako wijatyku udzielano.

Mnich, który czyni z siebie ofiarę dla współbraci, jest dalszym wytworem Eucharystyi. Podążmy duchem na wiecznym śniegiem pokrytą Górę św. Bernarda. Znajdziemy tam zgromadzenie braci klasztornych, które od dziewięciu lub dziesięciu stuleci trwa nieprzerwanie, których ani utrata wzroku wskutek oślepiającej jasności śniegu i nawet śmierć czyhająca na nich z każdej przepaści, nie przeraża. Trwają oni statecznie przy dokonanym raz ślubie, iż braci swoich zbłąkanych odszukiwać będą, i odnawiają ślub ten corocznie, o północy dnia Narodzenia Pańskiego. Zapytano pewnego razu jednego z owych mnichów, jak to być może, iż nie doznaje uczucia strachu wobec niebezpieczeństw, na które nieustannie bywa wystawiony. A mnich odpowiedział, wskazując na staczającą się właśnie lawinę: „Jakżebym się miał bać lawiny, skoro noszę w piersiach moich boskiego Odkupiciela?“ I na tem właśnie polegała tajemnica jego siły. Św. Wincenty a Paulo mawiał do swych sióstr: „Czy po przyjęciu Jezusa nie doznajecie potrzeby poświęcania się dla bliźnich?“

Misyonarz jest również jednem z dzieł Eucharystyi. Patrzcie na tego młodzieńca, który postanowił głosić wśród dzikich plemion prawdy Ewangelii św. I cóż to skłania owego młodzieńca ku tej dziczy? Pragnienie przysparzania dusz Bogu. Ale któż to pragnienie włożył w pierś młodzieńca? Jezus Chrystus, którego przyjął

w Eucharystyi, i oto dojrzały władze serca jego i zaznał potrzeby poświęcenia się dla swych współbraci.

I jeszcze jednego cudu dokonuje Eucharystya, mianowicie cudu nawrócenia. Oto człowiek, którego życie upływa w rozterce dzikich namiętności, lecz nagle zastanawia się, płonie wstydem sam przed sobą, chciałby się nawrócić, lecz przeszłość przeraża go, powstrzymują namiętności i sidłają szaleństwa, które chociaż opłakane w skutkach, jednak drogiemi być mu nie przestały, stawszy się niejako drugą jego naturą. Pewnego dnia zdobywa się przecież na heroiczny wysiłek, udaje się do spowiedzi św., otrzymuje rozgrzeszenie, zbliża się do Stołu Pańskiego i oto nowe światło i życie wstępują do jego starganej duszy i w uniesieniu radości woła on: „O jakże czułbym się szczęśliwym, gdyby mi danem było raz jeszcze przystąpić do Komunii św.!“

A więc Eucharystya zawiera w sobie tajemnicze kryte życie, podnoszące duszę i użyczające jej iście nadprzyrodzonych sił. Dlatego to bracia moi, nie wystarcza słowem i nawoływaniem do wykonywania cnoty nawracać innych, bo w czasach obecnych ludzie rozmyślnie zatykają uszy i zamykają oczy i dlatego błądzi tak wielu, Więc zaczerpmy siłę w Eucharystyi, bo kto nie przystępuje do Stołu Pańskiego, ten niema życia i mocy w sobie, staje się narzędziem i łupem namiętności, goniąc nieustannie za rozpasanemi przyjemnościami, które go wstydem okrywają, lecz tego nie można zwać życiem. jest to raczej nędzna wegetacya, wlokąca za sobą wszędzie okowy ciężkiego łańcucha; bo takim zaiste jest życie tych, którzy zaniedbują Komunii św., jest ono gorączkową gonitwą, kończącą się w kałuży błota. I ludzie

tacy stojąc u progu grobu, rzec nie mogą: Żyliśmy! Lecz słusznie raczej: Cierpieliśmy, cierpieliśmy strasznie!

Nie dziwcie się zatem bracia moi, jeżeli spotykacie ludzi przygnębionych, w rozterce i męce, i których wewnętrzne niezadowolenie objawia się w ruchach, słowach i miotanych przekleństwach; nie dziwcie się, bo ludzie ci nie komunikują nigdy; ci nieszczęśliwi podobni są tym, którzy zażywszy truciznę, okrutne znoszą męki, lecz odpychają rękę, która podaje im antidotum mogące ich uratować, i w zaślepieniu swem wołają: „Pozostaw mnie cierpieniu, pozostaw mnie śmierci!“

Lecz my nie możemy zezwolić na to, aby biedni bracia nasi cierpieli i umierali! Nie tego Chrystus od nas żąda; raczej módlmy się za nich i żałujmy ich, bowiem cierpią w istocie dotkliwie. I gdyby jeden z takich był tutaj obecnym, powiedziałbym mu: „Bracie mój, przestań cierpieć! Pozwól nareszcie Bogu twemu, uszczęśliwić cię! Łakniesz miłości i prawdy! Idźże do Jezusa, On wskaże ci najlepiej co i jak czynić masz, lepiej aniżeliby to uczynić zdołało wszelkie ludzkie słowo!

Nie będę wam tutaj opisywał radości i szczęścia Komunii św., jest to bowiem upojenie, które słowami oddać się nie da. Powiedzcie mi tylko, czy nie wracacie czasami wspomnieniem do waszej pierwszej Komunii św., którą obchodziliście tak piękną uroczystością rodzinną, i czy pamiętacie ten entuzyazm święty, z jakim składaliście u stóp Boga niepokalanego serce wasze bez zmazy? Radzę wam, pomyślcie czasem i o tem, co czeka was na łożu śmierci, o tej ostatniej Komunii św., która zasili was na drogę do żywota wiecznego. Lecz pomiędzy temi dwoma Komuniami św. istnieje ta, którą zaniedbujecie tak często, a do której zapraszam was dzisiaj! Bracia

moi, nie wykluczajcie się dobrowolnie i sami ze społeczeństwa Chrystusowego! Uchylcie głowy, przystąpcie do Stołu Pańskiego i doznajcie na samych sobie prawdy słów zastępców Chrystusa Pana: „Jakże wszystko bez Jezusa beznadziejnem jest i smutnem, a jakże przeciwnie z Nim, wszystko dobrem i słodkiem!“

III.

Spowiedź.

Religia nasza, zasadzająca się na wierze, nadziei i miłości, wymaga niejako specyalnie sobie poświęconego dnia, w którymby się cnoty te wybitnie ujawniać mogły, dniem takim jest niedziela, który dlatego także dniem Pana nazwanym został. Lecz człowiek i wogóle rodzina ludzka, łaknie jeszcze i miejsca świętego, w któremby te cnoty święte zajaśnieć mogły uroczyście, w całym swym blasku, a miejscem tem jest dom boży. A dom boży koniecznym jest i niezbędnym, jest on bowiem mieszkaniem Jezusa sakramentalnego, następnie, atmosferą swą uobyczaja, uświęca i przygotowuje człowieka do niebieskiej ojczyzny. Niezbędną człowiekowi również jest Eucharystya, której dziełem są kapłani, dziewice, zakonnicy i apostołowie, a która dusze życiem obdarza.

Lecz nie na tem koniec. Potrzebną nam jest tu na ziemi koniecznie jeszcze rzecz jedna, mianowicie instytucya, która do pewnego stopnia wszystkie inne, zarządzenia boskie zawiera w sobie, czyniąc takowe użytecznemi sercu i duszy ludzkiej. Jakąż jest ta instytucya?

Jakąż ta siła wszystko w sobie zawierająca, i wszystko ku sobie pociągająca? Czy dacie wiarę? Tym środowiskiem, tą siłą, jest Spowiedź św. Tak jest, spowiedź jest zarazem wcieleniem chrystyanizmu. Od stajenki aż do góry kalwaryjskiej jest nieustanną myślą Chrystusa Pana, bowiem nieustannie nawołuje nas do nawrócenia i pokuty, i tylko przez pokutę chce ludzi podwyższyć ku Sobie.

Czy znacie owych ludzi, którzy po dokonanej ofierze krzyżowej na Golgocie, gdzie własnemi oczyma widzieli spływające potoki krwi z ran Syna bożego, podążają w świat? Gdzież oni idą? Idą w świat szeroki, aby ludziom obwieszczać, iż Syn boży stawszy się człowiekiem, poniósł śmierć dla nich; chcą zwiastować światu wyzwolenie. I w istocie, wyzwalają świat, uwalniają od grzechów i ratują od zguby!

Spowiedź jest arcydziełem miłosierdzia i miłości Jezusa Chrystusa, jest ona najdoskonalszym środkiem do osiągnięcia końcowego celu odkupienia. A jednak właśnie dogmat ten stał się przedmiotem najbardziej nieubłaganych napaści, i jemu to wypowiedzianą została otwarta walka. Powstaje przeciw niej z zaciętością protestancki teolog, twierdząc, że spowiedź nie jest w Piśmie św. nigdzie zadokumentowaną; zwalcza ją i protestancki historyk, twierdząc, że spowiedź jest wynalazkiem XIII. stulecia; i powstaje przeciw dogmatowi temu filozof, głosząc, iż nakłada ona rozumowi więzy, że jest niewolą duszy i niegodnym przesądem; powstają przeciw temu dogmatowi wszyscy nasi przeciwnicy, twierdząc, iż spowiedź jest wierutnem tyrańskwem, istną rzeźnią dusz, że przenigdy nie była ustanowioną przez Chrystusa, lecz, że jest wstrętnym wynalazkiem księży.

Od samego początku postawiliśmy sobie jedno tylko celowe zadanie, i jak dotąd, pozostaliśmy wierni postanowieniu naszemu, a było nim, dążenie do prawdy; bowiem prawda jest nietylko światłem naszym, lecz i pocieszycielką naszą. I dzisiaj również nie pragniemy niczego innego, jak odnalezienia prawdy, lecz wobec tego wyrzec się musimy wszelkich uprzedzeń, bowiem nic bardziej nie szkodzi prawdzie, jak przesądy. Zbadajmy więc z zimną krwią stan rzeczy, a zajaśnieje prawda przed oczyma duszy naszej, w całym swoim blasku.

I. Czy prawdą jest, że dogmat spowiedzi nie jest ugruntowanym na podstawie Ewangelii? Otwieram Ewangelię św. Jana i czytam w niej następujące słowa: „Pokój wam! Tak jak mnie posłał Ojciec, i ja posyłam was. Komu odpuścicie grzechy, będą im odpuszczone, a komu zatrzymacie, będą im zatrzymane“. Są to słowa Jezusa Chrystusa. Więc według słów Jezusa, według słów boskiego Zbawiciela, są wierni, którym powinny być grzechy zatrzymane, i tacy, którym powinny być odpuszczone. Trzeba więc módz odróżnić jednych od drugich. Ażeby jednak odróżniać, trzeba powziąć zdanie, sąd; lecz wyrok musi być oparty na znajomości wewnętrznego usposobienia, trzeba jednem słowem znać czyjeś grzechy, bo inaczej byłby to sąd bez obznajmienia się ze stanem rzeczy. Ale jakże zdoła poznać ksiądz wewnętrzne usposobienie grzesznika bez spowiedzi? Dlatego to słowami temi ustanowił boski Zbawiciel nigdy nieustający urząd, który grzechy ludzkie odpuszcza, lub zatrzymuje, dlatego ustanowił spowiedź. I czy wobec tego można twierdzić, że spowiedź nie opiera się

na fundamencie Ewangelii św.? Przeciwnie, jest raczej Ewangelia jej gruntem, jej źródłem.

W istocie, gdyby Chrystus nie był przykazał spowiedzi, gdyby wyznanie grzechów nie był zaliczył do rzędu surowo obowiązujących przepisów, na czem zasadzałaby się moc kapłańska odpuszczania grzechów? Byłaby śmieszną illuzoryczną, i pozwólcie, że powiem — nieuprawnioną władzą! Byłaby śmieszną, cobyście bowiem pomyśleli o człowieku chełpiącym się władzą, której nigdy nie będzie w możności wykonywać? Wystawiłby się na pośmiewisko. Dajmy na to, że nigdy żaden chrześcijanin nie przystąpiłby do kapłana ze słowami: „Jestem winny; wyznaję grzechy moje; żałuję za nie". Działoby się tak, gdyby Chrystus nie był nadał spowiedzi charakteru obowiązku. I kiedyżby w takim razie był ksiądz w możności wykonywania tej władzy swej kapłańskiej? Nigdy.

Przytem moc ta byłaby tylko illuzoryczną. Złudną jest bowiem władza, z pod której się jedni uchylać, a której drudzy dobrowolnie poddawać się mogą wobec bezsilności tego, który władzę domniemanie posiada. Tego rodzaju właśnie byłaby moc kapłańska, bez obowiązującego wyznania grzechów. A uznanie takiej illuzorycznej mocy, równałoby się twierdzeniu, że Chrystus chciał sobie żartować ze Swych apostołów!

Ale powiecie może, apostołowie, księża mogliby przecież zatrzymywać grzechy lub takowe odpuszczać, bez koniecznego wyjawiania tychże przez chrześcijan. Byłoby to jednak bardzo nierozsądne żądanie. Bo przypisywalibyście w takim razie Apostołom i ich następcom w urzędzie kapłańskim wykonywanie tyrańskiej, samowolnej i nieuprawnionej władzy. Kapłani sądziliby na ślepo; szliby

chyba przez świat mówiąc na chybił trafił: „Tobie odpuszczam winy", drugiemu: „Ciebie nie rozgrzeszam", bez jakiejkolwiek przyczyny lub podstawy. Czy możnaby pomyśleć bardziej niedorzeczną, bezrozumną i niesprawiedliwą władzę?

Chyba więc jasnem jest, że gdy Chrystus Pan do Apostołów, a przez nich do wszystkich księży, wyrzekł słowa: Zatrzymujcie, odpuszczajcie winy! ustanowił ich tem samem sędziami grzechów; ażeby jednak sądzić grzechy, znać je trzeba, ażeby je znać, trzeba je usłyszeć; dlatego też boski Zbawiciel w tej samej chwili, w której udzielał mocy owej kapłanom, nałożył również wiernym obowiązek spowiadania się przed nimi z grzechów swoich.

Zamyka się jednak oczy na ten przekonywujący dowód — wołając: „Spowiedź nie jest przenigdy zarządzeniem boskiem lecz ludzkiem". Ja zaś odpowiem wam, że jestto zupełnem nieprawdopodobieństwem. Zastanówcie się uważnie nad tem słowem: nieprawdopodobieństwo; dojdziecie zresztą sami do przekonania, że mam racyę.

Bo w istocie, kto twierdzi, że spowiedź jest ludzką instytucyą, zmuszony jest twierdzić temsamem, że był czas, w którym się chrześcijanie nie spowiadali; i to twierdzenie właśnie rozlega się we wszystkich tonacyach. Lecz posłuchajcie dowodu, jakim was przekonać chcę: jeżeli spowiadają się dzisiaj wierzący, to spowiadali się po wszystkie czasy. I twierdzę co więcej, że oba te zdania nie podlegają dyskusyi, i że drugie wypływa niezbędnie z pierwszego. A dowodzę tego w następujący sposób: spowiadają się współcześni wierzący, jest to fakt, któremu nikt zaprzeczyć nie może. Wy-

starcza otworzyć oczy, aby to zobaczyć, i uszy, aby usłyszeć. Wierzący spowiadają się nie tylko tutaj we Włoszech, lecz i we Francyi, Hiszpanii i wszędzie, gdzie istnieje kościół katolicki; i wierni ci spowiadając się — pamiętajcie o tem dobrze — nie mają poczucia spełniania, samowolą narzuconego im obowiązku, lecz zadośćuczynienia wyraźnemu nakazowi Chrystusa Pana. To też jeżeli wierni uczęszczają do spowiedzi, to czynią to dlatego, iż wierzyli zawsze w to silnie, że spowiedź bożą jest instytucyą.

Zaliczać spowiedź do szeregu ludzkich wymysłów, jest więc wprost niedorzecznością. Bo albo wymysł ten doraźnie, albo stopniowo zaprowadzonym został. Dajmy na to, że doraźnie; lecz byłoby to to samo, co twierdzenie, że wczoraj aż do samego wieczora żaden z katolików całej kuli ziemskiej, nie słyszał o żadnej spowiedzi, nie miał najmniejszej wiadomości o tem, że spowiedź jest przez Chrystusa ustanowionym Sakramentem, niezbędnym, koniecznym środkiem dla dostąpienia przebaczenia grzechów. Tej jednej nocy dopiero śniło im się, iż spowiedź jest tym właśnie przez Chrystusa zarządzonym istotnym środkiem pojednania się z Bogiem i odzyskania przez grzechy ciężkie utraconej łaski bożej. I śniło im się dalej, że obowiązani są do spowiedzi zarówno jak ich przodkowie, którzyby w rzeczywistości nigdy do spowiedzi nie przystępowali. A po obudzeniu się nietylko, że obstają z uporem przy tym błędzie, lecz wszyscy, lud, księża, świętego są przekonania, że zawsze do spowiedzi przystępowali. A w tym ogólnym obłędzie niema ani jednej zdrowemi zmysłami opatrzonej głowy, i nie podnosi się ani jeden głos protestu, przeciw tej dziwacznej inowacyi. — Więc jeżeliby tego

rodzaju kombinacya nie była absurdem, to nie wiem coby tem mianem określać można!

Nie mniejszym absurdem jest twierdzenie, że spowiedź stopniowo zaprowadzoną została. Przypuśćmy, iż rozpoczął akcyę tę jakiś ksiądz w swojej parafii. Czy myślicie, że parafianie jego przyjęliby to jarzmo bez oporu i protestu? Czyby nie odezwał się nikt: „Na co nam ciężaru, którego ojcowie nasi nie dźwigali? Czyż droga do nieba ma być dla nas uciążliwszą aniżeli dla innych? Mówisz nam: Jezus Chrystus obowiązał chrześcijan do spowiedzi. Dlaczegóż jednak ojcowie nasi, stróżowie wiary, nigdy o tym ważnym przepisie nie słyszeli? Jak się to dzieje, iż w żadnej sąsiedniej parafii nie słychać o czemś podobnem? Nie jesteś bezwątpienia jednym jedynym, który pojął ducha Ewangelii; być może iż przypadło ci w udziale szczególne objawienie boże, lecz w takim razie musiałbyś nas o tem przekonać dowodnie“. Zapewniam was, że tak a nie inaczej, byłby odparł zdrowy rozsądek parafian na inowacyę owego proboszcza, i upadłaby spowiedź w zarodku. Lecz dajmy na to, że jakiemuś księdzu udało się nakłonić ciemny lud do spowiedzi i przekonać go o tem, iż przez Chrystusa ustanowioną została, toby jednak jeszcze daleko było do tego, aby się przez to stała na cały świat chrześcijański rozciągającym się zwyczajem! Jakże zdołanoby tego rodzaju inowacyę społeczną narzucić krajom całej kuli ziemskiej? I tego rodzaju byłaby moralna struktura człowieka, iż bezkrytycznie przyjmowałaby to, co najbardziej sprzeciwia się pysze i wrodzonym skłonnościom serca ludzkiego? Nie byłoby łatwem nakłonić człowieka do ugięcia kolan przed drugim i wyznania tego, co sam przed sobą najchętniej radby ukry-

wać, gdyby mu dobitny rozkaz nietykalnego autorytetu bożego, tego obowiązku nie nałożył? Każdy przyzna, że byłoby to poprostu niepodobieństwem.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Istniałoby jeszcze jedno niepodobieństwo, mianowicie niewytłomaczone milczenie stuleci o zapoczątkowaniu tej instytucyi. Gdy Luter przeciw spowiedzi wystąpił, była spowiedź własnością wiary i praktyką świata. Łacinnicy i Grecy uklękali przed kapłanem i wyznawali mu grzechy swoje. Gdyby spowiedź ludzkim była wynalazkiem, wiadomem byłoby może nazwisko jej inowatora, wynalazcy, propagatora tej instytucyi, wiek, w którym powstała, o pierwszej miejscowości, w którejby dokonywaną była. Bo jakżeby historya, która nas nawet z błachemi faktami zaznajamia, o tak ważnej sprawie milczeć mogła, i jakżeby dla niej obcem pozostać mogło imię człowieka któryby tak doniosły wpływ na serca i umysły tylu i tylu pokoleń wywrzeć zdołał? Czyż można przypuścić, iżby nam obcą była epoka, która zapoczątkowała tak przeciwne dumiel udziej ustanowienie? Niechże jej więc poszukują niewierzący; i poszukują w istocie od bardzo dawna, lecz poszukują bezowocnie. Czego to więc dowodzi? Że jeżeli historya, któraby nas o tego rodzaju fakcie zawiadomić musiała i powinna, pozostawia nas odwrotnie w najgłębszej co do tego niewiadomości, (z punktu widzenia ludzkiego) to wynika z tego jasno, że instytucya spowiedzi, bożego jest zaprowadzenia i że usiłowanie podporządkowania jej do szeregu ludzkich pomysłów jest najśmieszniejszym z wszystkich uroszczeniem.

Gdyby wam ktoś dowodził, że nie Curier jest twórcą geologii, lecz kto inny, ale zarazem nie umiał wam powiedzieć kto, jak, kiedy i gdzie, jakieby to na was

wywarło wrażenie? Z pewnością że nie wywołałoby protestu, ani pobudziło was do dysputy opartej na argumentach dat i faktów, lecz zbylibyście go uśmiechem politowania. Otóż są ludzie, którzy utrzymują, iż nieprawdą jest, że spowiedź bożego jest pochodzenia, że przeciwnie ludzkim jest pomysłem, lecz nie umieją podać wam ani nazwiska wynalazcy, ani kiedy i gdzie wynalezioną była, czyby to nas nie pobudziło do uczuć powyższym podobnych? Od dłuższego czasu odzywają się tu i ówdzie głosy, że ziemia nie jest jedynie zamieszkałą planetą, lecz, że tego rodzaju istnieją i inne w liczbie wędrownych planet firmamentu. Gdyby jednak podawał ktoś jako fakt, że księżyc zaludniony jest mieszkańcami, to przedewszystkiem, (przypuściwszy iż traktujecie go seryo) pytalibyście się go: kiedy uczyniono ten tak zajmujący wynalazek? W której części świata? Jakich do tego instrumentów użył wynalazca? Chcielibyście dokładnie wiedzieć nazwisko, czas i miejsce, a gdyby wam na to nie mógł odpowiedzieć, tobyście zamiast uwierzyć mu, powiedzieli: Jest to bajka jakich pokrewnych jej wiele. I zamiast czas daremnie tracić, odwrócilibyście się od człowieka zwiedzionego wyobraźnią. Otóż istnieją ludzie, którzy wam dowodzą, że spowiedź przez ludzi tylko wymyśloną została, lecz nie umieją powiedzieć kiedy, gdzie, przez kogo? I takich więc chyba zmuszeni jesteśmy również traktować jako ludzi o chorej wyobraźni.

Jeszcze jedno więcej nieprawdopodobieństwo: pycha książąt. Władcy tego świata, którymi włada nieprzeparta żądza panowania, mieliby się pewnego dnia tak bez oporu dać skłonić do ugięcia kolana przed pierwszym lepszym mnichem w obrębie państw swoich

i wyznania przed nim win swoich? Jedno z dwojga: albo poddali się temu dobrowolnie, co byłoby objawem powolności, która nie jest cechą rządzących, albo że zostali do tego zmuszeni; lecz któżby ich do tego zmusić zdołał? Człowiek? Tego przecież przypuścić nie można. Lecz przedewszystkiem tak w jednym jak w drugim wypadku, dlaczegoby historya tak zupełne o tej kapitulacyi dumy książecej zachowywała milczenie? Książęta przecież nie zdołają uczynić kroku, któregoby nie oddało echo stuleci — a oto pewnego dnia klękają przed księżmi, poddanymi swemi, może przed synem biednego robotnika, biją się w piersi i spowiadają z grzechów, a roczniki dworskie zamilczałyby ten dziwny nowy obyczaj? Widzicie więc, że wchodzimy z konieczności w zakres absurdów nie chcąc uznać spowiedzi zarządzeniem boskiem.

Dalsze jeszcze nieprawdopodobieństwo: nienawiść wrogów Kościoła. Kościół ma zawsze wrogów, i to jak zaciętych! Argusowym okiem śledzili wszelkie jego czyny, Midasowym słuchem chwytali każde Jego słowo, aby je tłomaczyć po swojemu. Każde rozstrzygające wystąpienie Kościoła wywoływało nawałnicę, która często zaznaczała się krwawemi śladami. Więc czyżby w chwili, w którejby człowiek tak tyrańską inowacyę narzucić chciał ludzkości, jaką z punktu widzenia ludzkiego jest spowiedź, nie spotkał się był z zaciętą walką i oporem nieprzyjaciół Kościoła? Czyby nieprzyjaciele Rzymu nie podnieśli protestu przeciw „tej rzymskiej inowacyi? Cóż mi na to odpowiecie? Epigramy, wywody nie są żadną odpowiedzią — obrażają tylko zdrowy rozsądek ludzki, lecz nie przekonują go.

Jeszcze inna trudność: spowiedź przez kogoś jednak

wymyśloną być musiała; może przez wiernych? Ale czyżby ludzie mogli zaprowadzać coś, co tak bardzo skłonnościom ludzkiego serca się sprzeciwia? Albo może spowiedź jest wymysłem księży? Moi drodzy, księża są takimi ludźmi jak i wy, a ludzie działają zawsze z jakichś przyczyn i powodów, więc pobudziłyby ich do tego działania jakieś pobudki. Czy więc interes? Ale tegoby już nikt chyba twierdzić nie śmiał, bo każdy wie, że nikt za spowiedź nie płaci. Przejrzyjcie wasze księgi rachunkowe, znajdziecie tam różne pozycye, ale nigdy rubryki kosztów spowiedzi. — Więc może dla swej przyjemności wymyślili księża spowiedź? Rzeczywiście, szczególnego rodzaju przyjemność, siedzieć oto zamkniętym, wciśniętym pomiędzy czterema deskami i wysłuchiwać monotonnych spowiedzi, brzydkich poniżających czynów! Nadzwyczajna przyjemność, zrywać się ze snu w nocy, by wysłuchać spowiedzi biednego umierającego! Wielką jest także przyjemnością w czasie panującej cholery lub innej epidemii, podążać do łoża tych nieszczęśliwych, aby wraz z wyznaniem grzechów nabawiać się od nich zarazku wrogiej choroby! Przypuszczam, że nie tęsknicie za tego rodzaju przyjemnościami! Więc jakiż skłonił ich do tego powód? Czy ażeby się wtajemniczać w stosunki rodzinne? Ale czyż obowiązkiem waszym jest spowiadać się u księży, którzy wiedzą kim wy jesteście? Czy nie wolno wam spowiadać się u księży, którzy ani nazwiska, ani rodzin waszych nie znają? Tajemnice rodzinne! Ale nie wiecie wy o tem, że księdzu, nawet pod grozą utraty życia nie wolno wyjawić tego, co przy spowiedzi usłyszał? — Czy może wymyślili to celem zapanowania nad umysłami ludzkimi? Gdyby to jednak było pobudką zaprowadzenia spowie-

dzi, toby jej wynalazca wynalazł już jakiś sposób uchylenia się samemu od niej. A jednak spowiadają się księża zarówno jak i wy, a nawet częściej od was, i nietylko księża i zakonnicy, lecz także i biskupi, i sam Papież. Tak jest, uznaje sam Ojciec św., iż grzesznym jest człowiekiem i prosi o rozgrzeszenie, i On także uklęka, wyznaje swe winy, i otrzymuje absolucyę.

I inna jeszcze niemożliwość staje temu posądzeniu na przeszkodzie.

Obznajmijcie się nareszcie z genealogią spowiedzi. Wróg spowiedzi, zmuszony w końcu przez opinię do wyjawienia nazwiska domniemanego wynalazcy spowiedzi, woła: „Wykryłem go, wykryłem go!“ I któż to woła w ten sposób? Oto człowiek, który wzrósłszy pod dachem klasztoru, ujrzawszy piękność ludzką, zapomniał o piękności bożej, a ponieważ spowiedź stawała na przeszkodzie jego pragnieniom, zawołał z oburzeniem: „Precz ze spowiedzią!“ Aby zaś upozorować to wystąpienie, dowodzi, iż spowiedź jest wynalazkiem kapłanów, a autorstwo jej przypisuje komu? Oto Innocentemu III, na czwartym Laterańskim soborze. Pozostawmy wynalazcy chwałę odkrycia tego, bowiem autentyczność nazwiska jego nie ulega wątpliwości.

A więc znikła „niemożliwość“, którą nadmieniliśmy wyżej? Nie, albowiem niemożliwość nie znika. Człowiek ów, Luter, dowodzi, że spowiedź zaprowadzoną została przez Innocentego III, na czwartym soborze Laterańskim; lecz sobór ten nie powiada: „Musisz się spowiadać“, tylko że obowiązkiem naszym jest: „Raz do roku się spowiadać“. Jest to więc wielka różnica, bowiem w pierwszym wypadku mogłoby to być rzeczywiście

zaprowadzeniem spowiedzi, w drugim zaś przeciwnie, zatwierdza on bowiem już istniejącą praktykę, oznaczając pewien ścisły dla niej termin czasu, co jest najoczywistszym dowodem, że spowiedź praktykowaną była przedtem. I w istocie, spowiedź istnieje i u Greków odłączonych od Kościoła naszego przez szyzmę. Lecz nie przejęli jej z pewnością od Kościoła rzymskiego, którego są zaciętemi wrogami, a więc istniała już przed odłączeniem się ich od kościoła macierzystego.

W okresie pomiędzy czwartym soborem Laterańskim, a czasami apostolskiemi, tyle istnieje świadectw na poparcie nieprzerwanie istniejącej spowiedzi, że możnaby z niej ułożyć księgę. Biorąc zatem jako punkt wyjścia ten wiek trzynasty, postępujmy wstecz aż do czasów Chrystusa Pana, aby zbadać dokładnie i kolejno owe świadectwa spotykane na naszej drodze.

Posuwając się zaraz o wiek wstecz, napotykamy św. Bernarda i św. Anzelma, którzy są niezaprzeczonymi przedstawicielami współczesnego im Kościoła, i jakże się Oni zapatrywali na tę kwestyę? „Wszystkie grzechy odpuszczane są przez spowiedź;“ tak brzmi świadectwo pierwszego z nich. „Trzeba kapłanom Kościoła spowiadać się z grzechów swoich, ażeby otrzymać przebaczenie Kościoła“; oto świadectwo drugiego. Przeto spowiadali się katolicy dwunastego stulecia. Wkroczmy dalej do dziesiątego stulecia, a napotkamy nauczyciela Kościoła, który mówi: „Spowiedź jest jedyną drogą, którą można dotrzeć do Ojca“. A więc spowiadano się i w dziesiątem stuleciu. Uczyńmy jeszcze jeden krok wstecz, a w czwartem i piątem stuleciu napotkamy pisma św. Augustyna, który głosi: „Okażcie

przez spowiedź jakim bólem skruchy przejęte są serca wasze". A zatem i w czwartem i piątem stuleciu spowiadali się ludzie z grzechów swoich. Przenieśmy się jeszcze dalej w drugie i trzecie stulecie, a uszu naszych dochodzi głos Tertuliana, który mówi: „Czy lepiej jest być potępionym przez jeden zatajony grzech, czy wyzwolonym przez wyznanie takowego?" Przeto w drugiem i trzeciem stuleciu istniała już spowiedź. Jesteśmy w pierwszem stuleciu i oto pisze św. Barnaba, uczeń św. Pawła, w liście do nawróconych Żydów, znajdującym się w zbiorze listów Ojców apostolskich: „Wyznajcie grzechy wasze". Zatem już w pierwszem stuleciu z polecenia apostołów zeznawali chrześcijanie grzechy swoje.

Wystarcza nam już teraz wyciągnąć rękę, ażeby dosięgnąć Jezusa. I oto doszedłszy do tej chwili, widzimy jasno i dowodnie, że to nie Innocenty III. wynalazł spowiedź, bowiem Innocenty III był tylko spadkobiercą św. Bernarda, tak jak św. Bernard następcą św. Anzelma; św. Anzelm zaś spadkobiercą nauczycieli Kościoła od dziesiątego do siódmego stulecia wstecz, a ci znowu spadkobiercami św. Augustyna, Tertuliana, Klemensa, św. Barnaby, św. Apostołów i samego Chrystusa Pana, Syna bożego. Widzicie więc, iż oto dzierżę w dłoniach oba końce jednolitego łańcucha dziejów, od czasów Jezusa Chrystusa aż do czasów Lutra. Szesnaście stuleci odbija echem słowo moje; lecz nie moje zaiste to słowo, są to bowiem słowa nauczycieli Kościoła i męczenników; dlatego też bracia moi, trzeba je szanować.

Jeżeli po tem wszystkiem cośmy powiedzieli, uznajemy, że spowiedź przez ludzi wynalezioną być nie mogła, zatem nie może polegać również na ludzkim nakazie. Jeżeli zaś nie jest zarządzeniem ludzkiem, jest instytucyą boską, a skoro nią jest, zatem powinniśmy ją poważać i przystępować do spowiedzi.

Powiadamy, iż spowiadamy się Bogu z grzechów naszych. Czy zeznajecie to w istocie? Komuż zatem przystoi dyktować warunki przebaczenia, obrażającym, czy obrażonemu? Bezwątpienia obrażonemu; i dlatego to zależą od Boga warunki odpuszczenia grzechów. Więc żąda Bóg, ażebyśmy chcąc otrzymać przebaczenie grzechów, wyznali je przed sługami Jego, musimy więc zadośćuczynić temu zarządzeniu bożemu. Spowiadam się Bogu! Lecz jest to w pewnem znaczeniu zbyteczne, bowiem Bóg lepiej od nas zna grzechy nasze. Spowiedź wyznana Bogu samemu jest dlatego bez znaczenia, że nie upokarza nas, niema przeto mocy zadośćczyniącej i nie chroni nas od ponownego upadku, jak spowiedź uczyniona przed kapłanem. Spowiadacie się Bogu! Ale czyż przybiera Bóg na tę chwilę kształty i wargi człowieka, aby powiedzieć wam: „Przebaczam ci!" Jakiej doznajemy potrzeby po dokonanym złym czynie? Potrzebę, tęsknotę słów: „Odejdź w pokoju, albowiem grzechy Twoje są ci przebaczone". Pewna biedna córka kaznodziei protestanckiego mówiła mi pewnego razu: „Od lat dziesięciu noszę grzech w sercu moim. Ojciec mój powiada mi: „Wyznaj grzech Twój Panu!" Wyznaję go codziennie, lecz grzech pozostaje nadal w duszy mojej!" Spowiadam się Bogu! Czyliż Bóg bezpośrednio szepce ci do ucha rady Swoje i nagany? Gdy zaś wyznamy księdzu grzechy nasze, otrzymujemy od Niego dobrą radę, która naprowadza nas z powrotem na drogę obowiązku i cnoty. Z chwilą, gdy klękamy przed księ-

dzem, aby wyznać przed Nim grzechy nasze, to nie mówimy do człowieka jako takiego, lecz do zastępcy Chrystusowego, w imieniu którego rozgrzesza nas ksiądz. Wyznać zatem księdzu grzechy swoje, nie znaczy nic innego, jak wyznać je Bogu w sposób jaki nam to czynić nakazał.

Ale czy wogóle traktują rzecz seryo ci, którzy twierdzą, że spowiadają się Bogu tylko z grzechów swoich? Niestety! gdy kto raz już tak powiada, to z pewnością nie spowiada się szczerze i Bogu. „Nie powiadajcie", napomina św. August, „że w skrytości czynicie pokutę, bo wtedy niepożyteczną stałaby się od Boga dana władza Apostołom, rozwiązywania lub zatrzymywania grzechów. Bezwątpienia, iż zbawienną jest rzeczą wyznawać przed Bogiem grzechy swoje, lecz obok tego, wyznawać je trzeba zastępcy bożemu, szafarzowi łask Jego i przebaczenia. Prośmy w ten sposób o przebaczenie, a możemy być pewni, iż nie tak, jak się to dzieje u władców tego świata, o łaski których ubiegamy się często daremnie, lecz, że zawsze i bezwątpienia łaska boża hojnie na nas spłynie.

Jednak powiadają, spowiedź tak jest upokarzającą! Lecz trzeba sobie uprzytomnić, że nie spowiadamy się człowiekowi, lecz zastępcy bożemu. Pozostaje on pozatem wam równym, bowiem wymówiwszy nad wami słowa: „Bracie mój, odejdź w pokoju", uklęka sam na miejscu, z któregoście powstali, wyznając swoje winy i prosząc o przebaczenie tychże. I jakiegoż w tem dopatrzyć się można upokorzenia? Ja widzę równość względem wszystkich. Czy jest upokorzeniem dla żołnierza, na rozkaz przełożonego, prezentować broń przed dowódzcą? Nie, w istocie żadnym, są oni bowiem w gruncie obaj, równemi sobie obywatelami tej samej ojczyzny. Jakże można więc czuć się upokorzonym wyznaniem grzechów przed księdzem? Przecież pomijając godność kapłańską, są obaj, tak ksiądz jak i penitent, równi w obliczu Boga.

Spowiedź jest upokarzając.ą Ależ bo powinna być do pewnego stopnia upokorzeniem! Grzesząc, obrażamy Boga w Jego nieskończonym Majestacie, ażeby więc naprawić to zło, musimy ukorzyć się przed Nim. Upokorzenie takie niema jednak w sobie nic hańbiącego, bowiem hańbi się ten tylko, kto czyni zło, a przeciwnie wzrasta w godność, kto zło usiłuje naprawić. Przyjrzyjmy się cesarzowi Teodoziuszowi, w jakiej chwili był cesarz ten większym, czy czyniąc pokutę u wrót kościelnych za krew przelaną w Tessalonice, czy na polu bitwy? Bezwątpienia u drzwi świątyni. Przyjrzyjmy się wielkiemu umysłowi Fenelona, czy jest on większym przez swoje pisma, czy przez pokorne wyznanie swego błędu?

Kiedyż przestaniemy nareszcie upatrywać wielkość w tem co nie jest wielkością, i szukać sławy tam, gdzie osiągnąć jej nie możemy? Czy zdołamy zaprzeczyć, że złem jest wprowadzać w błąd bliźniego, że złem jest trwać samemu w błędzie? W takim razie najwięksi nicponie zasługiwaliby na nasz szacunek. Przeraża was taka ewentualność, ale przedewszystkiem przerażać powinny was zasady, które niechybnie do tego rodzaju wyników doprowadzają.

Powtarzam wam więc za św. Augustynem: „Nie wstydzimy się kaleczyć duszy naszej obrazą Boga, nie powinniśmy się również wstydzić leczyć ją spowiedzią". A za św. Franciszkiem Salezym dodaję: „Bracia, grzech

dopiero wtedy zniesławia nas, gdy w nim trwamy. Człowiek, który czyni pokutę, szanuje swą godność".

Lecz spowiedź jest czynem tak uciążliwym! Nie przeczę. Zważmy jednak, czy nie uciążliwiej było Zbawicielowi nieść Krzyż na ramionach Swoich, i znieść dla korzyści dusz naszych biczowanie i cierniową koronę? Spowiedź jest uciążliwą zapewne, ale nie tak bardzo znowu jak sądzicie. Pewien oficer, kawalerzysta nie spowiadał się od dawna, tedy jeden z jego towarzyszy począł go namawiać, ażeby przystąpił do spowiedzi.

„Ja miałbym pójść do spowiedzi", odparł tenże, „ja się jej bardziej boję, aniżeli całej bateryi wojska!" Jednak na usilne nalegania swego przyjaciela zdecydował się wreszcie na ten czyn bohaterski. Oczyściwszy sumienie swe, odszukał natychmiast towarzysza swego, i rzekł mu: „Zapewniam cię, na moją cześć żołnierską, że spowiedź równa się tym upiorom, które tylko z daleka są strasznemi, bowiem rozwiewają się przy zbliżeniu się do nich. Spowiedź jest czemś tak nieskończenie dobrem i słodkiem, i takiej pozwoliła mi zażyć radości, iż nigdy w życiu nie czułem się tak wzmocnionym i pocieszonym jak dzisiaj".

Czybyście wy jeszcze nie dowierzali temu, że ksiądz nie zdradza tego co usłyszał na spowiedzi? Zapewniam was tedy, że jest to zupełnem nieprawdopodobieństwem, bowiem wszystkie prawa boskie i ludzkie stoją jednozgodnie na straży tajemnicy spowiedzi. Przecież od dziewietnastu stuleci spowiadają się chrześcijanie, a jednak tego rodzaju zgorszenie nie zdarzyło się jeszcze nigdy. Mamy na to świadectw podostatkiem. W pierwszym rzędzie świadczy o tem głębokie zaufanie chrześcijan

do powagi tajemnicy spowiedzi, któreby w przeciwnym razie nie dało się niczem wytłomaczyć. Św. Augustyn powiada: „O tem, czego dowiedziałem się przez spowiedź, wiem mniej zaprawdę, aniżeli o tem, o czem nie wiem wcale". — Powołajcie się na inne jeszcze świadectwo, mianowicie na zaburzenia społeczne. Byli tacy księża, którzy poniżyli się do służby kaznodziei demagogii; byli i tacy, którzy zapominając swych ślubów najświętszych, zawierali związki małżeńskie, lecz takich, którzyby zdradzali tajemnicę spowiedzi — nie było nigdy. Posłuchajcie słów Marmontel'a: „Dlaczego nie przywiedziono nigdy przed trybunał rewolucyjny księdza, któryby wyjawił tajemnicę spowiedzi?" Ponieważ żaden ksiądz nie popełnił nigdy takiego przestępstwa, w przeciwnym bowiem razie nie zabrakłoby z pewnością oskarżycieli.

Zda się jakoby Bóg szczególną opieką swą otoczył tajemnicę spowiedzi, chroniąc ją i broniąc widocznie. Istnieli ludzie, którzy swą nikczemną bezczelność posuwali aż do bezeceństwa, ludzie, którzy prześladowali krew swą własną, lecz cofnęli się zawsze jeszcze przed zbrodnią odsłonięcia tajemnicy spowiedzi. I niema takich wypadków, ani okoliczności, któreby tego rodzaju przestępstwo usprawiedliwiały. Gdyby nawet wchodziło w grę dobro ojczyzny, dobro całej ludzkości, to wolno poświęcić je, ale nigdy świętej tajemnicy spowiedzi!

II. Czy pozwolicie zadać sobie jedno pytanie? Chciałbym się was mianowicie zapytać, dlaczego właściwie powstają ludzie obecnie z taką zaciętością przeciw spowiedzi? Czy istnieje przyczyna usprawiedliwiająca to ich postępowanie? Nie — bo niema powodu powstawać przeciw temu, co okazało się podporą ładu

i sprawiedliwości społecznej. A taką okazała się spowiedź niezaprzeczenie. Zastanówmy się nad naturą spowiedzi, a będziemy zmuszeni przyznać to sami.

Zastanówmy się tedy nad jej istotą. Jaki jest jeden z najważniejszych czynników spowiedzi? Przedewszystkiem — żal za grzechy. Co to jest ten żal? Żal ten jest to całkowity rozbrat ze złem; żałować swych grzechów, znaczy zeznać iż: „Byłem dotąd pysznem, nieposkromionem stworzeniem, żałuję tego i postanawiam stać się odtąd pokornym i wstrzemięźliwym! Obraziłem sprawiedliwość, o! jakże żałuję tego; będę się starać wynagrodzić zło, które uczyniłem“. Czy człowiek ten dotrzyma tego co obiecuje? Bóg raczy wiedzieć, a my wiemy, że w danej chwili czyni dobrze, czyni bowiem dobre postanowienia.

Jaką jest druga ważna chwila spowiedzi? Oto — przy spowiedzi otrzymujemy przebaczenie, a pod jakiemi warunkami? Pod warunkiem, iż człowiek odtąd poprawi życie swoje. Można powiedzieć, iż przy każdej sposobności zawartą bywa umowa pomiędzy Bogiem a człowiekiem: Bóg udziela człowiekowi przebaczenia win jego, a człowiek składa u stóp bożych postanowienie poprawy.

Można określić istotę spowiedzi następującym dyalogiem: „Synu mój“, przemawia ksiądz, „obraziłeś Boga; zgrzeszyłeś przeciw wszechwiedzącemu Bogu, Ojcu Twemu dobrotliwemu, a w przyszłości sędziemu. Czy żałujesz swej winy, czy gotów jesteś naprawić dokonanego zła?“ „Uznaję nieprawości moje, odpowiada penitent, żałuję za nie z całego serca, i postanawiam uczynić wszystko, co jest w mej mocy, ażeby je zmazać“. Pytam was, i cóż w tem złego tkwić może? Wezwijcie wszystkich filozofów nowożytnych, a zarówno i starożytnych, Platona, Sokratesa i Pitagoresa, niechaj orzekną, jakie zło wyniknąć może ze spowiedzi? Co w tym Sakramencie nie zgadza się z prawidłami rozsądku? Komu spowiedź zaszkodzić zdolna? Czy może spowiadającemu się? Ależ ona dwojako czyni mu dobrze, chroni go przedewszystkiem od upadku, a upadłego już, podnosi na nowo. Kto umacnia młodzież w walce i niebezpieczeństwach życiowych? Spowiedź, która ją wspiera i ochrania. Kto przybywa z pomocą biednym upadłym duszom i chroni je od powrotnego nieszczęścia grzechu? Spowiedź. Czyżby może spowiedź szkodziła w jakikolwiek sposób szczęściu rodziny? Ależ sprowadza ona dwojakie błogosławieństwo: najpierw zgodę pomiędzy poszczególnemi jej członkami i bojaźń bożą, a u dzieci posłuszeństwo względem przełożonych. Jakimże innym środkiem zdołamy, za dni naszych zwłaszcza, wszczepić w serce dziecka posłuszeństwo, jeżeli nie kapłan przemawiający w Imię boże? Czy spowiedź może wyrządza zło ogółowi ludzkiego społeczeństwa? Ależ przeciw temu protestuje nie jeden, lecz tysiące głosów wraz z pisarzem Rousseau, wykazując, iż spowiedź społeczeństwu nieskończenie wiele wyświadcza dobrego! Nie można zatem spowiedzi nic zarzucić złego. Lecz dlaczego powstaje tak wielu przeciw niej? Nie wiecie dlaczego? A więc towarzyszcie temu oto człowiekowi, który pomimo odrazy wewnętrznej, pomimo buntu swych namiętności, przystępuje do spowiedzi. Towarzyszy mu zatem namiętność; posłuchajmy tedy dyalogu pomiędzy nim a spowiednikiem: „Synu mój“, powiada ksiądz, czy chcesz rzeczywiście wprowadzić w czyn twe zamiary poprawy?“ „Przyszedłem tutaj jedynie w tym

celu". „Zatem powinieneś przedewszystkiem zerwać z grzeszną przeszłością, bowiem Bóg jest dobrem, więc pomiędzy dobrem a złem nie może być żadnej łączności, a ponieważ złą była przeszłość twoja, musisz ją zaniechać". „Jest to jednak niepodobieństwem, nie mogę tego uczynić. Jakże to, dla pojednania się z Bogiem musiałbym się wyrzec tego co kocham, ćwiartować serce własne?" — „Bóg ofiaruje ci Swe przebaczenie, lecz pod warunkiem, iż uczynisz dlań tę ofiarę". — „Lecz czy niema ku temu jakiejś pośredniej drogi, jakichś ustępstw?" „Niepodobna, albowiem nie może być tutaj mowy o żadnych". — „A więc pozostawcie mi przynajmniej myśli moje i pragnienia, a ja poświęcę wam czyny". — Kiedy i to niepodobna. „Przynajmniej jeszcze po raz jeden ostatni!" — „Nie, niepodobna". — Możecie sobie wyobrazić bunt zwalczonych tak stanowczo namiętności! „Nie chcecie zatem pozostawić mi niczego, odbierając wszystko! Nie chcecie udzielić mi przebaczenia? Zemszczę się wołając wszędzie: „Precz ze spowiedzią!"

Otóż widzicie skąd pochodzi nienawiść, albowiem spowiedź i namiętność takiemi wręcz przeciwnemi są sobie żywiołami. Spowiedź — jest to Chrystus Pan, który pragnie zawładnąć duszą, jest to Bóg, który wziąć chce serce ludzkie w Swe posiadanie. Namiętność jednak nie znosi wędzidła ani przeszkód, a natrafiwszy na takowe przesadza je w swym niepohamowanym pędzie. Namiętności ludzkie są owemi wrogami spowiedzi. Dlatego to ci, którzy mówią: „Nie spowiadamy się, albowiem spowiedź ludzkim jest wynalazkiem", mówią właściwie: „Posiadam cudzą własność, którąbym natenczas oddać musiał; oczerniłem bliźniego, a musiałbym to oczernie-

nie odwołać. Nie będę się spowiadał, bowiem musiałbym się stać chrześcijaninem".

Bezwątpienia, że namiętność odciąga nas wszelkiemi sposobami od spowiedzi. Ależ czy raczej jej, aniżeli Bogu powolnymi być chcemy? Cóż dać nam zdoła namiętność? Tylko w rezultacie wyrzuty sumienia. Dlatego zdobądźcie się na odwagę pogardzenia waszemi namiętnościami, a jeżeliby to nawet wymagało z waszej strony ofiary, to — ponieście ją. Nie przyjdzie wam to z trudnością, szczególnie w obecnym czasie, w którym obchodzimy pamiątkę tak bezmiernej ofiary, jakiej dopełnił Bóg-Człowiek dla zbawienia dusz naszych! Czy nie słyszycie tego łzami dławionego głosu, który w ciszy nocnej dochodzi nas przez długi szereg dziewietnastu stuleci? Jest to głos Jezusa Chrystusa, który w ogrodzie Oliwnym stacza walkę śmiertelną. „Ojcze", woła nasz boski, krwawym potem oblany Zbawiciel. „Twoja, nie moja wola, niechaj się spełni!" Tedy i my bracia moi, wznieśmy wzrok ku niebu i mówmy: „Panie, Twoja nie nasza wola, niech się stanie! Obraziliśmy Cię ciężko, ciężko bardzo, przeto łakniemy przebaczenia Twego. Ponieważ warunkiem Twego przebaczenia jest wyznanie grzechów, tedy wyznać chcemy zastępcy Twojemu w pokorze i skrusze grzechy nasze, aby zadość stało się woli Twojej!" Tak jest, czyńmy wolę Pana naszego Jezusa Chrystusa, a wtedy wraz z rozgrzeszeniem kapłana wstąpi do serc naszych spokój, pociecha i radość.

IV.

Błogosławieństwa spowiedzi.

Pan Bóg niczego tak gorąco nie pragnie, jak nawrócenia grzeszników i zbawienia tych, którzy już prawie, że zgubieni byli; to było celem Jego przybycia na ziemię. „Nawróćcie się do mnie!“ Tak nawoływali prorocy po miastach i krajach różnych i słowa te mieli także później uczniowie Jezusa głosić wszędzie. Ale żeby ludziom umożliwić i uprzystępnić ten cud nawrócenia, ustanowił Boski Zbawiciel w łonie Kościoła nader zbawienne zarządzenie, postanowił spowiedź! Gdy pragniemy odpuszczenia naszych grzechów, gdy wznosimy oczy do nieba, i w poczuciu popełnionych win, wołamy: „Zlituj się nademną Panie i przebacz mi!“ Natenczas spływa głos z nieba, który nam mówi: „Synu mój, jeżeli chcesz przebaczenia za twoje upadki, to spełnij warunki, do których przywiązane jest przebaczenie: Wyznaj twoje grzechy przed moim zastępcą!“ Zapewne spowiedź jest środkiem pojednania człowieka z Bogiem. Jeżeli kto chce na nowo zostać dzieckiem Bożem — wiemy to wszyscy — idzie do spowiedzi. Czy nie widzicie tam

w głębi kościoła to sędziowskie krzesło? Siedzi tam ktoś wyczekujący tych, którzy czują potrzebę powierzenia mu tajemnic serca. Mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci, uczeni i prostaczkowie, biedni i bogaci zginają kolana i szepcą kilka słów księdzu. Tak samo i ksiądz wypowiada słów parę, a potem błogosławi ich i odchodzą stamtąd wszyscy, jeżeli nie zawsze usprawiedliwieni, to w każdym razie pocieszeni. Dlaczegoż jednak pozostają niektórzy zdala od tego konfesyonału, podczas gdy tak wielu odnosi stamtąd pociechę i usprawiedliwienie? Ponieważ obrzucono złośliwemi oskarżeniami Sakrament pokuty, ponieważ powiedziano, że spowiedź ludzkim jest wymysłem, a nie boskiem ustanowieniem. Ale czyż to jest prawdą? Widzieliśmy wczoraj, jaką niemożliwością jest twierdzenie, żeby spowiedź polegała na ludzkim wynalazku i że dlatego boskiem ustanowieniem być musi.

Pewnego dnia czytano Chateaubriandowi ustęp z pewnej książki, której autorstwo przypisywano wygnańcowi z wyspy św. Heleny, ustęp w którym mówi tenże o Jezusie Chrystusie i w którym nieco rubasznie nawet przytacza wszystkie powody, które go skłoniły do wiary w Chrystusa. Zapytano Chateaubriand'a, czy myśli, że ustęp ten, jest rzeczywiście pióra Napoleona? Chateaubriand przeczytał go raz jeszcze i po chwili namysłu odpowiedział: „Możliwe, że ustęp ten źle odpisano, że uczyniono zmiany niektóre, ale dlaczegóż wątpić o jego autentyczności? Pazury zdradzają lwa!“ Chciał tem wyrazić, że geniusz tak doniosłem znaczeniem piętnuje swe dzieła, iż chociaż brak im czasem zewnętrznych zalet, bezwątpienia treścią swą naprowadzają na swe pochodzenie. Weźcie jedną tylko pieśń Dantego, malowidło Rafaela, rzeźbę Michała Anioła, choćby te dzieła nie

zdradzały nazwiska autora, zaraz się domyślić możecie, czyjem są arcydziełem, gdyż właśnie owe „pazury zdradzają nam lwa“, to jest geniusza. Dlatego więc, kto zbadał wewnętrzną istotę spowiedzi, koniecznie przyznać musi, że: „tkwi tutaj lwi pazur, tutaj widocznym jest palec Boży; to urządzenie pochodzić może tylko od Boga!“

I. Spowiedź tak jest obrachowaną na potrzeby duszy ludzkiej, odpowiada tak bardzo z jednej strony jej wymogom i skłonnościom, z drugiej jej głębokim ranom grzechowym, że im bardziej się ją studyuje, tem więcej czuje się i widzi jasno, że jest ona zaprawdę urządzeniem Bożem, instytucyą Stworzyciela dusz ludzkich. Odnosząc się do tego, napisał Demaistre te piękne słowa o spowiedzi: „Niema w kościele katolickim żadnego dogmatu, żadnej instytucyi społecznej, któraby bardziej sięgała w głąb, w jądro duszy ludzkiej i bardziej odpowiadała najszlachetniejszym potrzebom tejże“. Jest to jeden z punktów zapatrywania się na spowiedź, ma ona i inny, do którego zastosować można podobne, a następujące słowa: „Niema w katolickim kościele dogmatu, niema żadnej instytucyi, któraby nie goiła ran dusz i niezabliźniła ich“. — Tak, jak gdy badając dusze nasze, odkrywamy w nich dwie strony, jedną krwawiącą i rozbitą, drugą wesołą i niebiańską, tak badając spowiedź, widzimy w niej dwie cechy, jedną smutną, drugą wesołą, a obie łączą się ze sobą, pracując wspólnie.

Czy zwiedziliście kiedy Assyż? Czy byliście w tym małym klasztorze, w którym mieszkała Św. Klara, w San Domenico? Czy byliście w tamtejszym kościele? Jeżeli tak, natenczas z pewnością zauważyliście krycyfiks, który się znajduje po lewej stronie ołtarza. Artysta chciał wy-

razić równoczesnie na twarzy Jezusa smutek i radość, których doznawała dusza Boskiego Zbawiciela w chwili rozstania się z Ciałem. Gdy obserwujemy, patrząc od ołtarza, profil Ukrzyżowanego, to spostrzegamy tylko smutek i przygnębienie, a patrząc od drzwi, jaśnieje na tej twarzy największe szczęście, początek tryumfu nad śmiercią i piekłem! Mocą mistrzowskiego pędzla artysty, łączą się w obliczu Zbawiciela oba te uczucia, tak, że gdy patrzymy w twarz krycyfiksu widzimy równocześnie smutek i radość, zgnębienie i tryumf. Widzicie bracia moi, jest to niejako obraz spowiedzi! Ma ona bowiem dwie strony, jedną wesołą, drugą smutną, ale z boskiej dobroci i miłosierdzia, łączą się obie te strony w jedną piękną, kojącą całość! Smutna strona składa się z trzech aktów, które znacie, mianowicie z aktu upokorzenia, ofiary i posłuszeństwa. Akt upokorzenia: klękacie i mówicie: „Ojcze pobłogosław mi, albowiem grzesznikiem jestem!“ Akt ofiary: otwieramy Bogu nasze serca i wymawiając ustami wyznanie, które zazwyczaj napełnia nas trwogą. Akt posłuszeństwa: schylamy głowę i przyjmujemy karę, którą nam spowiednik naznacza. To jest owa smutna strona spowiedzi. Lecz gdyby posiadała tę jedną tylko stronę, to oprócz tych dusz doskonałych, które dobrze czynią, nawet wtedy, gdy żadna stąd dla nich nie wypłynęła pociecha, nikt nie przystępowałby do spowiedzi. Jednak obok tej smutnej strony znajduje się również i radosna. Bo podczas gdy jeden głos woła na cię: przyjdź, uklęknij, upokórz się, cierp i słuchaj! to inny woła znowu: przyjdź, uklęknij, a otrzymasz trzy wielkie dobrodziejstwa: pociechę, światło i przebaczenie; a z przebaczeniem spłynie do serca twego spokój i zadowolenie czystego sumienia!

Znajdujemy pociechę. Bracia moi, któż z nas tu na ziemi nie potrzebuje bodaj trochę pociechy? Wszyscy jej potrzebujemy. Ale gdzież ją znaleźć? Czy w wiedzy lub filozofii? Dowiodłem wam innym razem, że wiedza i filozofia nie umieją pocieszać, są na to za zimne. Czy u naszych braci? Mogą oni współczuć z nami, ale i oni łakną pociechy. Czy u naszych przyjaciół? Nawet starożytność znała słabe strony natury ludzkiej; jeden z jej poetów zostawił nam następującą sentencyę: „Jak długo jesteście szczęśliwi, będziecie otoczeni przyjaciółmi, ale gdy wiatr się odwróci, gdy nadciągną chmury nad samą głową waszą, natenczas rychło znajdziecie się osamotnieni!“ Przypuśćmy nawet, że przyjaciele pozostaną wam wierni, czy niema jednak bólów, których nikomu powierzyć nie można? I czy nie najcięższe właśnie są te cierpienia, o których się najmniej mówi? Nosi się natenczas śmierć w duszy, przytem często uśmiech na ustach a włosy strojne kwieciem. Tak, ileż to nieszczęśliwych kryje w swych sercach najstraszniejsze tajemnice, a może i ciężkie przestępstwa, które tak ciężko taić w ukryciu, tak iż niejednemu zadają śmierć. Rzeczywiście, jak wiele biednych istot przygniotły one swym ciężarem i nie spotkały one na swej drodze żadnego przyjaznego głosu, któryby umiał wydobyć z ich serca i duszy tę przygniatającą tajemnicę bólu! Na pewnem świetnem zebraniu towarzyskiem znajdował się człowiek, który nie brał udziału w ogólnej zabawie i miał łzy w oczach, a gdy zapytano go dlaczego płacze wśród tej ogólnej wesołości, odpowiedział: „Płaczę, gdyż i wśród tej ogólnej zabawy czuję się tak samotnym“. Oto tragedya wielu ludzi. I jakże zdoła ich pocieszyć świat ze swą szumną ochotą i rozpustną zabawą? Nie zdoła

żadną miarą, gdyż świat nie rozumie łączności dusz, stosunki ludzkie są wielorakie, ale niema w nich najczęściej żadnej wspólności dusz; zawierają oznaki przyjaźni, sympatyi, ale żadnej wymiany osobistych nastrojów dusz. Widzi się tam ceremonialną uprzejmość i naciągniętą życzliwość, ale nie przemawiają one do duszy naszej, tak, że czujemy się ustawicznie osamotnionymi nawet w pośród wielu ludzi, możnaby powiedzieć prawie, że wśród tłumu jeszcze bardziej czujemy się osamotnionymi, aniżeli w odosobnieniu. A jednak wymiana uczuć jest jedną z najgłówniejszych potrzeb człowieka, jedną z głównych potrzeb duszy. Bywają dnie, w których dalsze dźwiganie ciężaru staje się niepodobieństwem. Bywają godziny, w których serce pęka prawie z nadmiaru bólu i czuje nieprzepartą potrzebę przelania tego smutku i cierpienia, które go uciska, w drugie serce. W samej rzeczy, któż z was choćby raz w życiu nie czuł tego pragnienia drugiego serca, przed którem mógłby odsłonić się zupełnie! Tak już jest ustanowionem, że człowiek sam być nie może i biada mu, jeśliby sam był! Rozum jego nie może pozostać osamotnionym, a osobliwie sumienie jego nie może pozostać samo! Równałoby się to cierpieniom człowieka, który znajduje się w obcym kraju, gdzie nie rozumią jego mowy, gdzie też z nikim nawet przez znaki porozumieć się nie może.

Pewien młodzieniec, który się oddał studyom na obczyźnie, przechadzał się wieczorem wśród ciżby, szukając wypoczynku po całodziennej pracy i znoju, ale nikt z otoczenia nie rzucił na niego życzliwego wejrzenia, nikt nie powiedział mu miłego słowa, nikt nie uścisnął mu ręki. Uciekł on do swego mieszkania, usiadł przy biurku i napisał do swej siostry: „Kochana siostro,

o jak smutno, jak przygnębiająco jest znaleźć się samemu wśród wielkiego zgiełku ludzi, gdzie nie bije dla cię kochające serce!“ Oto jest obraz cierpień duszy i sumienia, które nie ma nikogo, przed kimby się wywnętrzyć mogło. A jest to uczucie tak prawdziwe i ludzkie, że widziano winowajców, którzy uciekali w gąszcza lasu, ażeby drzewom powierzać swoje winy. Opowiadają, że jeden z takich potworów ludzkości pochylił się pewnego dnia nad kołyską dziecka i chcąc ulżyć swemu sumieniu i otworzyć przed kimś swe serce, wyszeptał mu: „Dziecię, jestem mordercą twej matki!“

A więc jest to faktem niezaprzeczonym, że człowiek czuje potrzebę wypowiedzenia i powierzenia komuś tajemnic swych błędów. Ale komuż ma on się z tem zwierzać? Czy ojcu? Niepodobna, nie mielibyśmy do tego odwagi, boby nas chyba nieraz przeklął. Czy matce? Ale i to niemożliwe; nie wierzyłaby często w przestępstwa ukochanych swych, a gdyby uwierzyła, złamałoby jej to serce. Czy przyjacielowi? Lecz z chwilą tą, straciłbyś najczęściej tego przyjaciela. Czuję, że istnieją rzeczy, które nie powierzyłbym nawet aniołowi z nieba; zdaje mi się, że anioł nie zniósłby ciężaru mych błędów.

Zaprawdę urzędem godnym miłości pełnego Zbawiciela, było stać się tajemnym powiernikiem dusz. On tylko potrafił naznaczyć miejsce, gdzieby człowiek mógł znaleźć pociechę i uspokojenie, a miejscem tem jest konfesyonał. Tutaj spotykają się dusze, wnikają w siebie nawzajem i następuje wymiana uczuć; z jednej strony pociecha i rada, z drugiej wyznanie win. Tutaj opadnie wszelka zasłona; tutaj wyjawionem będzie to, czego syn nie wyzna ojcu nawet, a córka matce, narzeczony swej narzeczonej, przyjaciel przyjacielowi. Tutaj wyjawia się

to wszystko, co obciąża serce, tak, iż każdy stamtąd odchodzi pocieszony. Jednak w spowiedzi czerpiemy nietylko pociechę, lecz także i światło. Wprawdzie nie to ogólne światło wypływające z Ewangelii; nie to światło, które ze słowem Bożem zstępuje z kazalnicy; tylko to tajemnicze, osobiste światło, które zużytkowujemy i które nas chroni od niejednego nieszczęścia. Mówiłem wam powyżej, bracia moi, gdzie mamy szukać pociechy. A teraz stawiam wam pytanie: kto nam da tę pociechę? Nie liczcie na to, że znajdziecie ją u waszych przyjaciół. Wyobraźcie sobie, że u jednego ze znajomych zejdzie rozmowa na kogoś, kogo znacie i który jest także przyjacielem młodości waszego znajomego i o którym słyszeliście różne rzeczy, przynoszące mu niezawodnie wielką szkodę. Proście waszego znajomego, ażeby swojemu przyjacielowi doniósł o tych, tak szkodliwych dla niego wieściach, żeby się mógł usprawiedliwić i ratować swoje dobre imię. Myślicie, że wasz znajomy da się nakłonić do tego wyznania? „Jestem wprawdzie jego przyjacielem“, odpowie wam, „ale tego rodzaju sprawami niechętniebym się zajmował“. Widzicie tę panią? Każdy mówi o jej lekkomyślności, próżności i światowości. Każda jest tego zdania, że zgubi się, jeżeli się jej nie zwróci uwagi na podobny sposób życia i niebezpieczną drogę, którą idzie. Ale choćbyście najwięcej dołożyli starań, celem opamiętania tej osoby, daremne będą wasze zabiegi.

Dlatego godnem to było miłosierdzia Zbawiciela, ustanowić miejsce, gdzieby nam to światło udzielonem zostało chroniąc nas od największych nieszczęść; godnem było Jesusa Chrystusa, ustanowić to miejsce, gdzie troskliwy o nasze zbawienie wieczne, głos ojcowski

zwraca naszą uwagę na niebezpieczeństwa, w których się znajdujemy. A więc konfesyonał, ksiądz, udzielają nam tego boskiego światła. Mówią nam: „Patrz dziecię moje, masz te i owe błędy, strzeż się i miej na baczności! Jesteś dumny i to bardzo dumny, ta duma mogłaby cię wtrącić w przepaść“. Lub mówi ksiądz znowu: „Córko moja, oddajesz się próżności i żądzy strojenia się; miej się na baczności i popraw ten błąd, mógłby cię on dalej zaprowadzić, aniżeli myślisz“. Widzicie, oto jest światło, które znajdujecie w konfesyonale, to światło, którego wam ani przyjaźń dostarczyć nie może, ani nawet ojciec lub matka. Zaiste, raz jeszcze powiem, godnem było Chrystusa oznaczyć miejsce, z którego to zbawcze światło udzielone nam bywa. Jednak nietylko światło i pociechę znajdujemy w konfesyonale, lecz zarazem i przebaczenie. Przebaczenie! Co za piękne słowo! Tak, któż nie czułby potrzeby, ażeby mu przebaczone zostały winy jego? Gdy Jezus Chrystus po raz pierwszy podniósł rękę, żeby udzielić tego przebaczenia, poruszył się świat cały podziwem i zdumieniem: „Któż jest ten, który przebacza?“ I słusznie się dziwił. Bóg tylko bowiem przebaczyć może; ludzkie społeczeństwo nie przebacza; ono pogrąża, sądzi, a gdyście spłacili wasz dług i wtedy nie podnosi was napowrót. I świat nie przebacza; gdy się kto okrył pogardą, popełnił czyn niehonorowy, to zwala na niego cały wstyd raz wypowiedzianego sądu i już się taki nie podźwignie na nowo. Sumienie również nie przebacza; może kto dojść do najwyższego szczeblu potęgi; lecz gdy doszedł do tego nieprawą drogą, to i pod kapiącą złotem osłoną, nie daje mu sumienie spokoju; porusza nim i woła: „Boją się ciebie, otaczają cię szacunkiem, a jednak jesteś tylko

złoczyńcą!“ Bóg tylko przebacza. O! co za radość słyszeć ten głos, który nam zapewnia przebaczenie Ojca w niebiesiech! Widzicie, oto jest mistrzowskie dzieło spowiedzi. W chwili, gdy błogosławione słowo zastępcy Jezusa Chrystusa zabrzmi w uszach naszych: „Rozgrzeszam cię, przebaczam ci twoje winy w imię boże!“, cichną w duszy wyrzuty sumienia; stajemy się na nowo usprawiedliwieni w oczach naszych, ponieważ odzyskaliśmy utraconą niewinność. Cichną wyrzuty sumienia; człowiek, który źle czyni, osądza sam siebie, nosi bowiem w sobie poczucie swej winy, rozterkę wewnętrzną, co jest koniecznem następstwem tego fałszywego kroku. Sokrates swym genialnym sposobem uzmysławiania, przedstawił ból i radość przykute do tego samego łańcucha: „Nikt nie może odczuć radości“, mówi on, „ktoby nie musiał wziąć w rachubę boleści“. Jednak lepiejby uczynił Sokrates, przedstawiając występek i wyrzuty sumienia, które zawsze jednocześnie wkraczają do duszy i biorą serce w posiadanie. Czy przestępstwo jawnem jest lub nie, wyrzut sumienia opanowuje duszę i obejmuje ją, jakoby zwojami wężowymi.

Czy może człowiek zmusić sumienie swe do milczenia? Nie, nigdy! Gdyby człowiek zachował choć trochę godności, gdy posiada chociaż szczyptę honoru, to będzie czuł w grzesznym swym stanie, to co możnaby nazwać „zaszczytem“ wyrzutów sumienia. Bywają ludzie, którzy urągają temu gniewowi własnej duszy, chcąc w ten sposób zagłuszyć wyrzuty sumienia; ale częściej, niż im się to zdaje, zdarza się natenczas, że zagłuszone sumienie zakłada w duszy straszliwe miny, które grożą sercu rozdarciem, a życiu ludzkiemu zniszczeniem. Na to istnieje w spowiedzi jedyny środek zaradczy.

Widzicie ową maszynę, która spieszy po szynach, ciągnąc za sobą szereg wagonów? To co pędzi tę maszynę jest parą, która uwięziona w kotle, prze wozy naprzód. Lecz gdy siła ta, przez nadmierne nagromadzenie pary za silną się staje, co się natenczas dzieje? Maszyna zostaje wysadzoną w powietrze, a życiu biednych podróżnych grozi wtedy wielkie niebezpieczeństwo. Cóż zrobiono, żeby zapobiedz nieszczęściu? Dodano do kotła parowego małą klapę bezpieczeństwa, usuwając w ten sposób niebezpieczeństwo. W razie jednak zaniechania tego środka, następuje natychmiast katastrofa. A więc bracia moi, serce nasze jest podobną maszyną, znajdującą się pomiędzy dwoma ciśnieniami boleści i wyrzutów sumienia. Spowiedź zatem jest tym wentylem bezpieczeństwa; gdy ten wentyl otworzymy na czas, nie mamy się czego obawiać, lecz zaniedbawszy to uczynić, grożą nam dwie ostateczności, obłąkanie lub samobójstwo.

Doświadczenie aż nadto potwierdza te słowa! Jak często słyszy spowiednik tego rodzaju słowa: „Dzięki, tysięczne dzięki, tak wiele zrobiłeś mi dobrego! Czuję się teraz innym człowiekiem, podniosłeś mnie na nowo. Czy mam wyznać Ojcu? Tak, wdzięczność żąda tego! Oto przyznaję, że życie było dla mnie męką; nosiłem się właśnie z myślą zrzucenia z siebie tego nieznośnego ciężaru. Ale teraz odżyłem na nowo. Oto jest trucizna, którą miałem zażyć; proszę ją wziąć, chcę jako gorliwy katolik rozpocząć lepsze życie“.

O! jak wielką szkodę wyrządzają duszom, rodzinom społeczeństwu ci, którzy trzymają ludzi zdala od konfesyonału. Dlaczego owe szkodliwe przesądy wstrzymują, ludzi szukać spokoju i ukojenia tam, gdzie jedynie znaleźć je można? Jak często słyszy się zdziwienie, iż morderstwa szerzą się w zastraszający sposób? Że liczba zbrodni zwiększa się wśród nas! Jednak bracia moi, któż wie, czy w tej liczbie nie znajduje się niejedna ofiara naszych występnych słów, naszych ironicznych uwag? Kto wie, czy pomiędzy niemi nie znajduje się jakaś biedna istota, która mogłaby nam rzucić w twarz te słowa: „Oddaj mi ojca, syna lub opiekuna, zrabowałeś mi go, przeszkodziłeś mu paść do nóg zastępcy Boga, który byłby go podźwignął!“ Kto wie, czy niema tam syna, który do cię woła: „Pozbawiłeś mnie matki; w chwili rozpaczy odebrała sobie życie. Gdyby była religijna — a jesteś winien, że taką nie była — nie bylibyśmy teraz sierotami“. Uchodzimy za honorowych ludzi, ale któż wie, czy jaki wielki zbrodniarz nie może nam zarzucić: „Popchnąłeś mnie na drogę zbrodniczą! Przez twoje ironiczne słowa, przez twój szydzący uśmiech, stanąłeś między moimi religijnymi obowiązkami i mną a księdzem, który mógł był mnie ratować; jestem winny, ale nie ja sam jedynie!“ I ten człowiek ma słuszność.

Biada tym, którzy trzymają zdala narody od tego krzepiącego Sakramentu! Bowiem jeżeliby zaniedbany został ogólnie, nietylko dusze poszczególne ucierpiałyby na tem, ale i całe społeczeństwa. Gdy bowiem cierpienia ludzkości nie mogą znaleść upustu w łzach i westchnieniach, w skargach u stóp zastępcy Jezusa Chrystusa, natenczas szukają gwałtowniejszego wyjścia, prowadzącego do katastrofy rodzaju ludzkiego. Dlaczego snują narody obecnie tak straszliwe rojenia? Dlaczego buntują się przeciw prawom nałożonym im przez Boga. Ponieważ wewnętrzne bóle i troski, nie bywają składane u stóp konfesyonału, gwałtownie powstrzymane westchnie-

nia doprowadzają do konwulsyjnych drgawek; cierpienia, które nie będą sercu odjęte, gromadzą się w piersi człowieka i grożą jej pęknięciem. Dlatego nie powstrzymujmy nigdy nikogo od konfesyonału, gdyż spowiedź jest jedynym środkiem, przez który człowiek może się podnieść w swych oczach. Człowiek potrzebuje czasami takiego podniesienia samego siebie, inaczej zwątpi i spada w stan zezwierzęcenia. Jednak, gdy zostanie podniesiony na duchu, natenczas nabiera odwagi i siły do cnotliwego życia. Ale jakże podnosi się go na nowo? Tem, że się zwraca duszy jego dawniejszą jej niewinność. Ale gdzież znaleźć środek ku temu?

Posiadamy ten środek w spowiedzi. Szukajcie, rozglądnijcie się po świecie, czy znajdziecie inny środek, ażeby grzechem obciążonemu przywrócić na nowo jego niewinność. Stańcie przed wszystkimi sądami, przed trybunałem sprawiedliwości, przed trybunałem publicznej opinii, przed trybunałem ziemskiej potęgi! Przekonajcie się, czy osiągniecie ten pożądany cel?

Dajmy na to, że cnota i występek stają zarówno przed trybunałem sprawiedliwości; dajmy na to, że cnota, jak się to często zdarza, przegra swój proces. W istocie jesteś winnym i li tylko dzięki zdolności twego adwokata, albo z jakiej innej przyczyny tryumfuje twoja sprawa. Przedstawiciel sprawiedliwości uznając sprawę za dostatecznie wyjaśnioną, powstaje ze swego miejsca. kładzie rękę na sercu i mówi: „Na honor i sumienie moje, jesteś niewinny!“ Ale równocześnie, gdy prawo ludzkie uznaje twoją niewinność, słyszysz w duszy głos, który woła: „Nie, nie, jesteś tylko złoczyńcą!“ Apelujcie natenczas do trybunału jawnej opinii, wszyscy ludzie uznają was za człowieka honoru, wszyscy myślą, że zostałeś świetnie uniewinnionym; ale czyż sumienie twoje jest echem tego mniemania? Nie, decydująco nie! Trudno ci będzie udowodnić mu to. Odwołaj się do tych, którzy wszystko tutaj na ziemi mogą, królami, cesarzami albo prezydentami republiki mianują się i powiedz im: „Pokażcie, dokąd się rozciąga władza wasza, który z was uczynić może winowajcę niewinnym?“ Któż zechce uskutecznić takie arcydzieło? Nikt.

Czyż podobni Kainowi, nosić mamy wszędzie ze sobą ciężar naszej winy? Czy niema środka do podniesienia nas we własnych oczach z tego błota grzechu i występku, ażebyśmy odnaleźli potrzebną siłę do pełnienia obowiązków i cnoty? Tak, jest środek, nazwałem go wam właśnie, jest nim spowiedź! Pan Bóg dał księdzu moc odpuszczania ludziom grzechów w Swem zastępstwie, i wprowadzenia na nowo do duszy ludzkiej niewinności i pokoju. Czy widzicie tego człowieka, siedzącego na swem skromnem krześle sędziego? W Imię Boże przywołuje on do siebie wszystkich, grzechem obładowanych: „Przyjdźcie wy wszyscy, których przygniata tajemna wina! I wy przyjdźcie także, których odtrąciło społeczeństwo od siebie, przyjdźcie, wrócę wam waszą cnotę!“ Podziwiajcie, jak Boski Zbawiciel umie łączyć przeciwieństwa ze sobą! Oto człowiek, który idzie na śmierć, żeby życiem swem odpokutować przestępstwa, któremi zawinił przeciw społeczeństwu. Temu człowiekowi towarzyszą dwaj inni, kat i ksiądz; z jednej strony przedstawiciel ludzkiej sprawiedliwości, a z drugiej przedstawiciel Boskiego miłosierdzia. Jeden kroczy na to, ażeby za chwilę wykreślić tego człowieka z liczby żyjących, drugi, żeby mu otworzyć wrota niebios. Jeden posługuje się mieczem i pniem, nieubłagany w swojem cięciu, drugi

krzyżem, którym błogosławi. Jeden chwyta za topór i woła: „Giń, zniknij z ziemi potworze!“ Drugi wyciąga rękę, żeby wesprzeć swego współbrata w Chrystusie i mówi: „Synu, twoja skrucha oczyszcza cię; Jezus czeka na ciebie w swej nieprzebranej litości, tam w górze, u wrót niebieskich!“ W tej strasznej chwili, która życiu na ziemi daje kres, któż odbiera ostatnie modlitwy tego nieszczęśliwca? Ksiądz, który do niego przemawia: „Bywaj zdrów, synu mój; odchodzisz stąd, ale zostawiasz przyjaciela, który przy ołtarzu pamiętać o tobie będzie“. I jeszcze raz daje mu rozgrzeszenie, a gdy rozłączona z ciałem dusza wstępuje do wieczności, czeka go na progu tejże modlitwa księdza, która go prowadzi przed tron sędziowski Boga.

A więc widzicie, co czyni Jezus dla naszych nieszczęśliwych braci. Dlatego nie powątpiewajmy o Jego miłosierdziu, byłoby to bowiem największym grzechem. To też, jakkolwiekby wielkiemi były winy nasze, nie ustawajmy zawierzać temu miłosierdziu Boskiemu. Nie mówmy wraz z Kainem: „Za wielkim jest grzech mój, ażeby mógł być przebaczonym“. Nie zapominajmy, co powiedział Jezus, że większa jest radość w niebie z jednego grzesznika czyniącego pokutę, aniżeli z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty. Czyńmy, jak Dawid, który Bogu przedłożył winy swoje, żeby uzyskać przebaczenie: „Panie, przebacz mi, gdyż wielkim jest grzech mój“. I Pan Bóg przebaczy nam.

„Czy prawdą jest, że Bóg przebacza grzech każdy?“ Tak synu, każdy szczerze obżałowany. „Jakto? Nazwałeś mnie synem swoim? Byłby w samej rzeczy Bóg Ojcem moim?“ Z pewnością i choćbyś ty zapomniał, że

jesteś dzieckiem Bożem, to Bóg nie zapomni, że jest Ojcem twoim, Ojcem twym dzisiaj i na zawsze.

„Jednak tak dużo i ciężko zawiniłem!“ „Bóg nie pamięta więcej grzechów twych. Patrz, pokutne łzy twoje zmięszały się z krwią boskiego Zbawiciela i zgładziły wszystek grzech. Jesteś na nowo dzieckiem Ojca swego niebieskiego“. Któż może opisać radość, spływającą z temi słowami do duszy grzesznika! Jest ona nieopisaną! O jakże nieszczęśliwi są ci, którzy się pozbawiają tej słodkiej pociechy, trzymając się zdala od trybunału pokuty. Lecz jeszcze biedniejsi, a raczej gorsi, bardzo źli bywają ci, którzy drugich odwodzą od spowiedzi. Wierzcie mi, bywają tak niegodni ludzie, którzy przeszkadzają biednej duszy ludzkiej czerpać pociechę i siły w spowiedzi. Nawet do dnia i godziny śmierci posuwają to swoje okrucieństwo, stają nawet przy łożu śmierci. Oto nasz przyjaciel z czasów młodości, chce uzyskać przebaczenie gniotących go win grzechowych, zanim przestąpi próg wieczności, dlaczego mielibyśmy się temu sprzeciwiać? Ale znaleźli się ludzie, którzy odsuwają księdza, gdy tenże chce go pocieszyć i przynieść mu przebaczenie boże. O wy ludzie okrutni! Dlaczegóż nie idziecie z nim w wieczność, przed tron tego surowego Sędziego, którego miłosierdzie powstrzymujecie, odbierając nieszczęśliwym możność osiągnięcia go? I bardzo często żona, przyjaciel, ojciec lub syn popełniają takie okrucieństwo. Straszne to zaiste!

Lecz bywa jeszcze coś bardziej okrutnego! A mianowicie bywają ludzie, którzy posiadają tę smutną odwagę, znieważać publicznie ten Sakrament miłości. Kto czyni coś podobnego, jest rzeczywiście nieprzyjacielem duszy, rodziny i społeczeństwa. Czyż nie widzicie, jak

owi mordercy dusz, rabują wam ostatni promień nadziei? Gdyby tutaj obecny był jeden z tych ludzi, powiedziałbym mu: „Milcz ty morderco dusz! Nie odbieraj nam ostatniej deski ratunku w rozbiciu, gdyż inaczej zgubieni jesteśmy!“

II. W spowiedzi czerpiemy nietylko pociechę, światło i przebaczenie, a z przebaczeuiem i spokoj duszy, która odzyskała dawną swą niewinność, ale także zapewnienie pokoju dla rodziny i całego społeczeństwa. Skąd powstają tak liczne przestępstwa, które rozprzęgają rodziny i do gruntu niszczą całe kraję? Bez wątpienia źródłem ich jest serce ludzkie, W niem przygotowują się i dojrzewają wszelkie ludzkie występki. Chcąc zatem ażeby cnota zapanowała w rodzinach i społeczeństwie, musi najpierw i przedewszystkiem zapanować w sercach. Lecz cóż to za potęga, która jedynie potrafi ujarzmić serce ludzkie? Cóż to za władza, która objąwszy najskrytsze głębiny serca tego, oczyszcza je i przeobraża? Prawa ludzkie mogą kłaść tamę przestępstwom, ale nie potrafią nigdy wysuszyć ich źródła, gdyż ludzkie prawa normują tylko zewnętrzne uczynki, ale nie myśli i pragnienia, które są jednak źródłem obyczajności. Tą władzą daną, jest li tylko religia. Ale gdzież przedewsztkiem wykonuje ją religia? W konfesyonale. U krat jego otwiera się serce ludzkie zupełnie, tutaj wyjawia się wszystko księdzu, który w imię Boże jako sędzia, ale także jako litościwy przyjaciel, używa wszystkich środków potrzebnych do rozgrzeszenia i leczenia. Sięgając do głębi duszy, ażeby wyplenić zło w jego zarodzie, wlewając weń zamiłowanie do obowiązku i cnoty, które dawno już zeń znikły były; udziela sercu i rozumowi nowego życia, nowego prądu siły. Tak, czy znacie jakąkolwiek publiczną lub prywatną sprawę, którąby spowiedź nie wzięła pod swą ochronę? Spowiedź chroni prawo od samowoli; chroni podwładnego przeciw nadużyciu i gwałtom; chroni praw rodziców przeciw samowoli dzieci, lecz chroni także dzieci przeciw egoizmowi rodziców; chroni honor i prawo własności przeciw namiętnościom, które obrały sobie siedlisko w sercu ludzkiem, w piersi biednych dzieci Adamowych.

Jaką wielką odpowiedzialność biorą tedy na siebie ci, którzy tak bardzo powstają przeciw spowiedzi! A jednak bez spowiedzi może to, co jest najdroższem i najbardziej ukochanem, dawnoby już uległo niesławie; bez spowiedzi możeby oszukaństwo i podstęp dawno były wyniszczyły wasze dobro i możeby nawet wasze życie bez spowiedzi przedwcześnie zostało zniszczone. Któż wyliczyć zdoła zło, któremu zapobiega spowiedź? Wszystkie nieprzyjaźni, które załagodziła i wszystkie wzajemne wynagrodzenia, których stała się pobudką? Dobrodziejstwa jej tak jasnemi są dzisiaj dla wszystkich, iż często ze względów utylitarnych chodzą ludzie do spowiedzi. I to uznanie oddane bywa spowiedzi nawet przez protestantów. Odrzucili oni spowiedź, ale gdy spotrzegli później, jak bardzo wzięły występki górę, postanowili prosić Karola V o wprowadzenie jej na nowo, jako jedynego środka zażegnania grożącej katastrofie. Bywały niezawodnie i bywają jeszcze osoby, które pogardzają spowiedzią, lecz prawda wyższą jest nad oszczerstwo i tryumfować będzie nadal!

Mógłbym skończyć na tem, jednakowoż pozwólcie mi postąpić dzisiaj tak, jak w dniu, w którym mówiłem o nieśmiertelności duszy, tuszę, iż nikogo przez to nie dotknę za blizko. Mówiłem natenczas: pozwólcie dodać

do załączonych dowodów jeszcze jeden więcej praktycznej natury. Cóż są ci za jedni, którzy pragną nieśmiertelności duszy i ci drudzy, którzy jej zaprzeczają? Dzisiaj pytam się was bez jakiejkolwiek ubliżającej myśli: kto z was uznaje spowiedź, a kto ją odrzuca? Kto odrzuca spowiedź? Najpierw idzie legion egoistów, który zjada swój majątek, jak zwierzę swą zdobycz, oddając się zabawie, rozrywkom, nie myśląc wcale, że może obok nich umierają z głodu ludzie. Któż z nich spowiada się? Z pewnością żaden.

Obok egoistów widzicie rozwiązłych; ci oddają się wszystkim popędom zepsutego serca i są prawdziwymi bohaterami żądzy użycia. Wieluż z nich przystępuje do spowiedzi? Z pewnością żaden. Miejcie odwagę udać się między nieszczęśliwych, skazanych na przymusowe roboty na galarach. Oto widzicie dwudziestodwuletniego młodzieńca, a już mordercę; obok niego stoi starzec zatwardziały w występkach. Jak dawno temu spowiadali się oni? Bóg raczy wiedzieć, ile lat temu! Przystąpcie do nich, słuchajcie jak oni mówią: „Nie chcemy się spowiadać!“

A teraz zwróćcie się ku lepszej stronie. Oto nadchodzi legion dzielnych robotników, którzy myślą tylko o swych dzieciach, rodzinie i swej pracy. Którzy z nich spowiadają się? Wszyscy, choćby raz w roku. Dalej postępuje legion dusz czystych; i one staczały walki, ale nie zachwiały się. W walce zaciętej z pokusami, zdobyły sobie chwalebny tytuł aniołów w ludzkiem ciele. Które z nich spowiadają się? Wszystkie a wszystkie. Oto stoi legion ludzi honoru; oparli się pokusie zbogacenia się i powiększenia swego majątku zapomocą małych nierzetelności, stanowiąc rzadki wyjątek w dzisiejszych czasach. Którzy z nich chodzą do spowiedzi? Wszyscy bez wyjątku. A oto aniołowie miłości bliźniego, zjawiający się wszędzie, gdzie jest ból do ukojenia, łza do osuszenia i podobni aniołom niebieskim, poruszają się wśród nieszczęśliwych, cierpiących narodów; zapominając o sobie, myślą tylko o korzyści swych braci. A z nich iluż się spowiada? Wszyscy, bo bez spowiedzi nie mielibyśmy Aniołów na ziemi.

Widzicie więc bracia moi, jak pomiędzy tymi dwoma skrajnymi biegunami świeci w całym blasku majestatu swego, prawda! Doświadczyliśmy, że ten, kto myśli o złem, nie chce słyszeć o spowiedzi; przeciwnie zaś, kto ciągnie do dobrego, kocha spowiedź i praktykuje ją. Do któregoż więc stronictwa przystąpimy? Myślę, że do stronnictwa tych, którzy dobro wypełniają.

Jeżeli więc ktoś odmawia cię od spowiedzi, postaw mu czem prędzej pytanie: „A odkąd stałeś się nieprzyjacielem spowiedzi? Jak dawno nie spowiadałeś się? i z jakiej przyczyny?“ Jeżeli nie da ci na to żadnej odpowiedzi, obserwuj jego życie, a odkryjesz rychło sam przyczynę jego postępowania. Jeżeli nie znasz życia jego, popatrz na jego czoło; na czole tego człowieka, przed którym niedość strzegą się ludzie, wyciśnięte jest znamię Kainowe odrzucenia.

V.

Czyściec.

Co za widok godny głębokiego naszego współczucia, a budzący zarazem poważne i smutne myśli, przedstawia bowiem oczom naszym miejsce poświęcone umarłym, cmentarzem zwane. Wodząc wzrokiem po mogiłach, które zapełniają to miejsce, zatrzymujemy go ze współczuciem na marmurowych tablicach i kamiennych pomnikach. Robi się smutno na duszy, jak gdyby zimna ręka przyciskała nasze serce! Tutaj znalazły kres wszystkie ludzkie nadzieje; tutaj znikła cała wspaniałość życia, wielkość, potęga i piękność jego! Prawdą jest zaiste, że piętno kary wyciśniętem zostało na czołach biednych dzieci Adamowych, i że sen śmierci pokona nas wszystkich! Jakże byłoby smutne i beznadziejne wszystko, bez wiary naszej katolickiej, bez tego promyka nadziei na życie przyszłe? Grób i zgnilizna byłyby celem końcowym naszego życia; byłyby ciężarem, który przygniata nasze dusze, a gdyby kto chciał pocieszyć się myślą o swych ukochanych zmarłych, cofnąłby się przerażony, bo widziałby tylko zgniliznę i robactwo. Zapach grobowy byłby naszem kadzidłem, westchnienia i skargi naszym śpiewem, złorzeczenia naszemi hymny, i nic nie uwolniłoby duszy naszej od ogólnego jarzma znicestwienia.

Lecz Bogu dzięki jakiś donośny głos mówi mi o miłości, a drugi o nadziei, mówią one oto: „Podnieś wzrok swój ku górze! Z tego grobu powstanie nowe życie, po drugiej stronie czeka na cię niebo, gdzie wiecznie mieszkać będziesz, gdzie ujrzysz słoneczne, nigdy nie zachodzące światło. W tej ojczyźnie znajdziesz wszystkich twych ukochanych, którzy cię uprzedzili na drodze życia!“

Skądże pochodzi ten słodki głos, który każde drgnienie serca naszego porusza i zlewa taki balsam kojący na rany, które odnieśliśmy w tem ziemskiem życiu? Tyś to święta religio Jezusa Chrystusa, ty pochylasz się nad grobem, jak matka, która strzeże snu dziecka swego nad kolebką! W obliczu zwycięstwa śmierci przypominasz nam obietnicę życia przyszłego! Witam cię zatem, ty królowo życia mojego i mojej śmierci! Przed tobą uklękam w pokorze, gdyż ty napełniasz mnie tą słodką nadzieją, która serce moje napełnia zachwytem i nadzieją lepszego życia, trwającego wiecznie, i w którem odnajdę wszystkich ukochanych moich tu na ziemi.

Tak, religia nasza oddala obawę przed grobem, gdyż mogiły nasze otoczone gałęźmi oliwnemi nadziei, ukazują kolebkę nieśmiertelności, a nad marami ojca lub matki uczy najpiękniejszych modlitw, które wzajemne przywiązanie i miłość między silnym i słabym utrwalają i napełniają słodką pociechą. Jako wspólna matka wszystkich zbiera wiara westchnienia tak tych, którzy odbywają jedną wspólną wędrówkę życia, jak i tych, którzy nie weszli jeszcze w posiadanie wiekuistej chwały; wyciąga rękę, ażeby łzy nasze osuszać, a drugą, żeby swe dzieci

cierpiące na tamtym świecie pocieszać, i nie spocznie dopóki nie doprowadzi wszystkich powierzonych jej opiece na ziemi, tych, którzy zmarli w miłości Boga, do łona Najwyższego.

Widzicie więc, dlaczego żąda religia, ażebym wam o umarłych mówił, abym wasz ból ukoił przypominając wam o miejscu wiecznej nieśmiertelności. Dlatego proszę was dzisiaj nie tylko o posłuch, ale i życzliwość dla mnie i przychylność! Nie tylko o was samych chcę bowiem mówić, ale także i o tych, którzy wam są drodzy i blizcy.

Jezu mój, o Twojej Oblubienicy mam mówić dzisiaj! Pobłogosław moim biednym słowom, i udziel im siły, która wstępując do duszy obudza w niej tę czynną miłość, która wyciąga dłonie, ażeby podnosić i wybawiać.

I. Nic nie można łatwiej udowodnić i pojąć, jak istnienie czyśćca. Niema dogmatu naszej wiary, któryby bardziej wiarogodnym był. A w porządku rozumu nie egzystuje żadna prawda, któraby tak przemawiała do duszy, a sercu tyle niosła pociechy. Czyściec więc ma przedewszystkiem tradycye wszystkie za sobą: Najpierw tedy poetów, filozofów w pogańskiej starożytności i mitologię starożytną, a potem świadectwa Patryarchów, Proroków, Ewangelię, pomniki malarstwa, architektury i rzeźby, aż do czasów Lutra. Zostawmy Platona na boku, który mówi o przyszłej egzystencyi dusz podobnej do naszej egzystencyi teraźniejszej w której przez cierpienia odpokutować można grzechami obarczone życie. Pomińmy Wirgiliusza, który mówi że dusze muszą się wpierw oczyścić zanim wejdą w elizejskie pola. W każdym razie znajdujemy wszędzie żywe serce przemawiające i podanie o tem, że musi się gdzieś znajdować miej-

sce, w któerm zmarli muszą odpokutować swe winy i gdzie możemy im nieść pomoc.

Biblia nakazuje nam w pierwszych swych kartach, ażeby modlić się za umarłych, z którego to wezwania wynika, iż istnieje czyściec, gdyż nie modlimy się za Świętych ani za potępionych. Biblia poucza nas także o ofiarach, które za umarłych czynione były. Tobiasz pouczał syna swego, ażeby nie zapominał, składać chleba i wina na grobach umarłych. Słyszymy w pieśniach Dawida opiewane radości tych dusz, które przez czas próby, lepszego dostąpiły życia. Izajasz utrzymuje, że Bóg oczyści ludzi z ich zmazy. W chwili, gdy obyczaje hebrajskie doszły do swego szczytu, ukazuje się Juda Machabeusz, który po wygranej bitwie przeciw bałwochwalcom, nie tylko poległych grzebać godnie każe, ale zarządza składkę i zbiera w ten sposób dwanaście tysięcy srebrnych drachm, które posyła do Jerozolimy na ofiarę Panu Bogu za umarłych. Ten bohater widział jasno prawdę zmartwychwstania dusz, dodając, że świętą i zbawienną myślą jest modlić się za umarłych. „*Santca et salubris est cogitatio pro defunctis exorare*“.

Gdy ukazał się Jezus Chrystus nie potrzebował już dogmatu tego tak wyraźnie objawiać, jak n. p. dogmatu o Trójcy Przenajświętszej; zadowolnił się wywołaniem go z zapomnienia: „Starajcie się tak mówił, żeby życie wasze wedle prawa zastosowanem było, gdyż kto wpadnie w ręce sędziego wrzuconym zostanie do więzienia, z którego nie prędzej się wydostanie, aż ostatniego nie wypłaci szeląga“.

Jakież to jest więzienie? Nie jest niebem, które jest ojczyzną wybranych, ani piekłem, miejscem wiecznej

kary dla grzeszników; jest to miejsce pośrednie między niebem, a piekłem: jestto czyściec.

Jezus Chrystus wypowiedział jeszcze inne słowa, które nam przechowuje Ewangelia, słowa, które również dają świadectwo czyśćcu: Ten kto grzeszy przeciw Duchowi Św. dopuszcza się zbrodni, która ani w tem ani w przyszłem życiu odpuszczoną mu nie będzie. „Istnieją zatem grzechy", zauważa Św. Bernard „które w przyszłem życiu odpuszczone będą, ale gdzie? Nie w niebie, bo tam żadna dusza, choćby najmniejszym grzechem splamiona wejść nie może; ani w piekle, bo tam nie masz już wybawienia; a więc w jakiemś pośredniem miejscu, zatem w czyścu". Apostołowie, spadkobiercy, uczniowie swego boskiego Mistrza Jezusa Chrystusa nauczali także o czyścu. Czyściec ma Św. Paweł na oku, gdy mówi, że każde kolano giąć się powinno na dźwięk Imienia Jezus, w niebie, na ziemi i pod ziemią. Mówi on jasno i wyraźnie o miejscu oczyszczenia, gdy pisze w swoim pierwszym liście do Koryntu (3. 11—15): „Dzień pański sprawy każdego na jaw wywiedzie... a jakiemi sprawy te będą, wypróbuje ogień. Jeżeli ostanie się dzieło czyje, otrzyma nagrodę swoją. Jezeli zaś spali się szkodę poniesie, ale on sam błogosławionym będzie, jednak jakoby przez ogień.

Św. Augustyn równie, jak Św. Jan Chryzostom mówili o modlitwach, które za umarłych odmawiać należy. Pytajcie następnie pomniki chrześcijańskiej starożytności od wieku do wieku a spotkacie tę samą myśl, tę samą szczerą dbałość o zmarłych. Napisy w katakumbach są wymownym dowodem wiary w czyściec u pierwszych chrześcijan; stare liturgie Greków, jak i Łacinników, Assyryjczyków i Etiopczyków zawierają formuły modlitw

za umarłych, a memento za nich przy Mszy św. nie tylko obowiązywało księży ale i wszystkich obecnych.

Malarstwo przedstawia nam płomienie oczyszczające dusze i dusze już przez nie oczyszczone. Pod ręką artysty przybiera marmur i kamień kształt tlejącego ognia i w ten sposób widzimy na grobowcach żywe wyobrażenie tych scen bolesnych, które wprawdzie artysta nie widział żywem okiem, ale które przejęta grozą wiara pozwoliła mu wyrazić i odczuć.

Poeci opowiadają nam również o czyścu, którego sami przecież widzieć nie mogli. Dante w swym wspaniałym poemacie wypowiedział nietylko wiarę swego stulecia, ale wiarę wszystkich innych stuleć. Do czasu reformacyi wiara w czyściec była pociechą i nadzieją wszystkich, całego świata chrześcijańskiego.

Upływa teraz trzy wieki, jak głos jednego człowieka zaburzył ogólną wiarę w modlitwę, zadośćuczynienie za naszych drogich zmarłych. Tym człowiekiem był Luter. Któż był ten Luter, którego głosowi posłuch dano? Był to rozwiązły, obłudny mnich. Skąd przybył, iż mu uwierzono? Wyszedł z pewnego klasztoru, który swem świętokradztwem zbeszcześcił, żył bowiem przez 20 lat z jałmużn dawanych za spokój dusz zmarłych. Jakiegoż dokonał odkrycia, ażeby występować w ten sposób? Zgoła żadnego. Że niechciał uznać czyśćca, nie było niczem innem, jak następstwem jego nauki, którą w tych słowach streścić można: wszyscy jesteśmy święci. Było to jednak za śmieszne twierdzenie, aby je bronić można, i dlatego spotykamy wielu protestantów wierzących w gruncie w czyściec, chociaż nie zgadzają się na definicyę tego dogmatu. Pewnego protestanta zmusiła logika do wypowiedzenia tych słów: „Tylu z nas umiera

za dobrych, aby do piekła wtrąconymi zostali, lecz nie dość świętych, żeby zaraz do raju wejść mogli". A więc nie pozostaje nic innego, jak czyściec. I tego też pragnie nasz rozum i serce.

Przedewszystkiem wymaga tego nasz rozum. Ażeby to wyjaśnić przedstawmy niektóre zasady i dyskutujmy nad niemi spokojnie. Czy myślicie, że ostatecznym celem dusz pobożnych w tem życiu nie jest pragnienie posiadania Boga i połączenie też z nim? Nawet filozofia ludzka przyznaje, że z tamtej strony grobu znajduje się drugie życie i że ono musi być nagrodą dla dobrych. Dalej czy wierzycie, że Pan Bóg jest najdoskonalszą dobrocią, sprawiedliwością i świętością? Że jest wolny od każdej niedoskonałości i winy? To mniemanie nie może być zaprzeczone, nawet przez pogan i dlatego mniemania tego nawet nie wykluczała filozofia. Czy myślicie w końcu, że bywają ludzie cnót heroicznych, godni natychmiastowego połączenia się z Bogiem, wolni od wszelkiego błędu, bądącego smutnym wynikiem ludzkiej słabości? Jest to tak jasną prawdą, że doprowadza nas do niej doświadczenie życiowe. A więc dusza stworzoną jest na to, ażeby się z Bogiem połączyć, ale Bóg jest najdoskonalszą czystością; dlatego zanim to połączenie nastąpi musi dusza być zupełnie czystą, a jeśli nią nie jest jeszcze, oczyszczoną zostać. Ale, że w ogólności rzadko się zdarza, żeby dusza całkiem czystą odeszła z tego świata, więc to twierdzenie przemawia za tem, że potrzebuje jeszcze oczyszczenia, a to oczyszczenie odbywa się właśnie w czyśćcu.

A więc czyściec jest zarazem zadośćuczynieniem sprawiedliwości; dobrodziejstwem miłosierdzia. Jest zadośćuczynieniem sprawiedliwość i która i najmniejszej

winy nie może zostawić bez kary, a dobrodziejstwem i miłosierdzia ,bo daje nam możność dojścia do wiecznej szczęśliwości, usuwając z drogi prowadzącej doń wszelkie przeszkody, któreby nas mogły pozbawić jej. I któryż z wiernych mógłby do posiadania Boga dojść bez czyśćca? Jak wielu świętych i męczenników zostałoby wiecznie pozbawionych swego ostatecznego celu i końca dla osiągnięcia, którego krew swoją przelali dla niewielkiej zapory, która im na przeszkodzie stała? Bóg jest samą czystością, ale dusza nie jest zawsze czystą i dlatego musi zostać oczyszczoną. Cóż znaczą przeciwstawione tym dowodzeniom drwiny, któremi obrzuca się naszą wiarę zastawiając się jej miłosierdziem? To też na miłosierdziu opiera się nasz dogmat czyśćca. Czyściec nie jest tylko żądaniem naszego rozumu, ale także programem serca. Dogmat o miejscu oczyszczenia jest dogmatem pobłażliwości Boga i naszej słabości. Bóg zna doskonale proch z którego zbudowani jesteśmy; zna rozczyn grzechu, który w sobie nosimy. On wie, że ogólnie biorąc nie posiadamy dosyć zaparcia i przezwyciężenia, żeby sobie samym dostateczną pokutę naznaczyć. I dlatego sprawiedliwość Jego nie zadowolona ze sposobu pokuty jaki nam dał w tem życiu, dała nam jeszcze inny w przyszłem przydłużając w ten sposób czas miłosierdzia. W chwili śmierci nastąpi likwidacya ten wielki ostateczny obrachunek z człowiekiem. Będzie on bez zaprzeczenia dłużnikiem i co się z nim stanie? Wskutek podziwu godnego porozumienia między miłosierdziem a sprawiedliwością, przyczem prawa jednej i drugiej strony całkowicie zachowane będą, zostanie dłużnikowi podany nowy środek wypłaty, przez co będzie w możności długi swoje wyrównać i ostateczna będzie to możliwość do-

stania się do nieba! Bez tego środka dusza ludzka wskutek strachu za popełnione grzechy, nie byłaby od rozpaczy ochronioną. Niepojmuję czem nasi protestantcy bracia mogą uspokoić dusze swe. Któż mógłby sobie podchlebiać, że bez tej nadziemskiej pokuty, bez tego całkowitego oczyszczenia cel swój ostateczny osiągnie?

Ależ zuchwałością musiałoby się nazywać to, co teraz błogosławioną nadzieją zwiemy. Z pewnością byłyby zuchwałe te słowa: „Spodziewam się wejść do nieba“, gdyby chciały to wypowiedzieć: „Jestem tak czysty tak wolny wszelkiej zmazy grzechowej, że gdybym teraz umarł, poszedłbym zaraz w objęcia Boga“. W czyichże ustach mogłyby takie słowa niebyć zuchwalstwem? Niemam tu na myśli ust naszych i chyba tylko usta prawdziwych Świętych. Bez miejsca oczyszenia niema żadnej ostoi dla grzechem zatwardziałego chrześcijanina, który się znajduje w tem trudnem położeniu, że odpokutować swe winy w tem życiu ciężko mu, a bez czyśćca nie mógłby to uczynić w przyszłem. Jeżeli dla tych przyczyn myśląc o naszym końcu ogarnia nas uczucie rozpaczy, jakąż tu będzie nasza boleść, gdy pomyślimy o drogich naszych! Choćbyśmy jaknajlepiej myśleli o naszym ojcu kochanym i najdroższej matce, niemożem jednak nie widzieć ich błędów, a może czasem i większych przekroczeń. Skąd natenczas wstąpi pociecha do serca naszego zatrwożonego o los naszych ukochanych? Leżą tu jeszcze ciepłe zwłoki twojej matki i w ich obecności pozwalam sobie postawić pytanie: „Będzie twoja matka zbawioną, czy też potępioną?“ Straszne pytanie! „Niewiem“ odpowiesz mi; odpowiedź która jest jeszcze straszniejszą od od zapytania! Starasz się dowieść, że jest w niebie. Była ona czysta i bez skazy, zawsze i w najmniejszem nawet

swym obowiązkom wierna, w ostatniej swej słabości nigdy najlżejszej niecierpliwości się nie poddawała; matka zatem twoja była skończoną świętością. Ale czy twoje mniemanie odpowiada całkiem prawdzie. Mówisz tak, tylko zadając sercu kłam, bo inaczej musiałbyś raczej przypuszczać, że twoja matka znajduje się w liczbie potępionych. Któryż z protestantów będąc w tem przykrem położeniu mógłby rozwiązać to pytanie? Byłoby to dla niego zupełną niemożliwością, gdyż tylko religia katolicka jest zdolną do tego rozwiązania. Składa ona na mary twej matki ostatnie, wzruszające modły, mówi do syna: „Dusza twej matki tylko w tym wypadku zostałaby potępioną, gdyby w grzechu zatwardziałym ze światem się rozstała. Ale jeżeli swoich upadków szczerze żałowała, to choćby one i największe były, a skrucha w ostatniej chwili dopiero nastąpiła, uratowaną będzie, oczyściwszy się najpierw i przygotowawszy się do nieba!“ Co za pociechę zawiera ta myśl! Powołuję się na słowa tych, którzy drogą sobie osobę utracili, ojca, matkę, brata, syna lub córkę. A zatem egzystuje czyściec. Nietylko Biblia i Ewangelia uczą nas tej prawdy ale rozum i serce żądają tego nieodwołalnie. Ale cóż jest właściwie czyściec? Czyściec jest to miejsce cierpienia, gdzie się dusze oczyszczają, ażeby się na oglądanie Boga stały godnemi. Cierpienie! I cóż dusze owe tam cierpią? Bracia moi, jakże ja wam to wyłożę? Posłużę się chyba słowami Św. Augustyna i innych Ojców Kościoła, którzy wszyscy zgadzali się na jedno, że to co one tam cierpią wszelkie przechodzi pojęcie o tem, co sobie o cierpieniu wyobrażamy. A Św. Cyryl dodaje do tego: „Wszystko, co tutaj możemy cierpieć, wszystko, co możemy sobie o cierpieniu wyobrazić, ulgą byłoby

jeszcze dla tych dusz nieszczęśliwych w czyśćcu! Bracia, o Bracia, co to za niewymowne cierpienia być muszą. Zwiedzałem szpitale i na widok tych mężczyzn, kobiet i dzieci, dręczonych strasznemi dolegliwościami, serce ściskało mi się, słuchając skarg ich i jęków i zawołałem: „Jak bardzo cierpisz biedna ludzkości!“ Czytałem akta męczeńskie; czytałem, jak Św. Łucyi w okrutny sposób oczy wyłupiono, jak jednemu Apostołowi żywcem skórę ściągano, jak Św. Wawrzyńca na ruszcie, zwolna na śmierć upieczono. Czułem wtedy jak w żyłach moich stygnie krew, książka z rąk mi wypadła i łzy z oczu popłynęły. A przecież bracia moi, musimy się z tą myślą oswoić, że cierpienia owe, w porównaniu z temi, które nieszczęśliwe dusze w czyśćcu cierpieć muszą niczem są; i że byłyby dla nich tam ulgą i ochłodą! Ale jakiż istnieje rodzaj cierpienia w tem miejscu oczyszczenia? Żebyśmy nie popadli w pomyłkę, posłuchajmy głosu tradycyi; woła ona do nas ze wszystkich stron te smutne słowa, że jest to kara ogniowa.

Św. Paweł mówi o płomieniach ognistych, przez które wszystkie dusze przejść muszą gdy chcą być zbawione. Słyszę z daleka głos jednego z proroków, który wzywa mnie do oglądania Boga, siedzącego nad krawędzią czyśćca i podsycającego płomienie ogniste. Słyszę Św. Tomasza jak mówi: „Panie, jeżeli ogień, który w swem miłosierdziu dałeś ziemi, tak strasznym jest, jakiż jest ten, który twoja sprawiedliwość dla oczyszczenia dusz rozpala?!“ A jednak to jeszcze nic. „Ogień powiada Św. Jan Chryzostom, znośniejszym byłby może jeszcze, ale jest inna kara w czyśćcu, straszniejsza, a nią niemożność oglądania Boga“. Czy i tutaj na ziemi ból rozłączenia nie jest największy z bólów? Zapytajcie

serca własnego; spytajcie go: „Dlaczego cierpisz?“ A serce odpowie nam z westchnieniem: „Cierpię, bo jestem rozłączone z istotą ukochaną“. I ten ból prawdziwym jest czyśćcem! A owe biedne dusze są rozłączone i to z kim i z czem? Są rozłączone z niebem swą ojczyzną, z Bogiem swym Ojcem, i z ostatnim swoim celem i końcem! Nie możemy nawet zdać sobie rzetelnej sprawy z ogromu tego cierpienia; gdyż omamieni przez stworzenia, zwodzeni przez zmysły, słabe tylko wyobrażenie o Bogu mieć możemy i niedostateczną tęsknotę za niebem. Lecz ledwie śmierć dotknęła nas swą ręką, zamykając oczy nasze i duszę z ziemi uniosła, natenczas dusza nasza ogląda Boga, który się jej objawia w całej swej boskości. Zobaczy Go w całej Jego piękności, wspaniałości i Majestacie, poczuje się pociągniętą do Niego z nieprzepartą siłą; usłyszy Aniołów głoszących chwałę Stwórcy, i tak chętnie przyłączyłaby się do tych chórów niebieskich i spoczęła na łonie Boga! Jak płomień tlejący, gdy zostanie rozdmuchany, wznosi się nagle do nieba, taksamo dusza przy rozłączeniu się z ciałem dąży spragniona do Boga, celu i końca, dla którego stworzoną została. Ale Bóg widzi na jej czole zmazę: i odsuwa ją od siebie dopóki nie zostanie oczyszczoną. Któż zdoła opisać męczeństwo tej duszy? Trzebaby poznać Boga, trzebaby oglądać Go w całej Jego piękności, jak ta dusza która Go zaledwie przez chwilę oglądała. Trzebaby kochać Go, jak ona Go pokochała, żeby zrozumieć cierpienie jej. Tak, ujrzyć Boga, tęsknić za Bogiem całą siłą, jaką człowiek tęsknić zdolny, i nie czuć innej miłości ani pragnienia oprócz tego, żeby oglądać Boga i być od tego Boga odrzuconym, co za męka i ból nie do opisania. Chociaż Absalon napowrót został przyjęty do

łaski ojca swego, to jednak wysłany został do Jerozolimy i niewolno mu było pokazać się na dworze ojca i oblicze ojca oglądać. Zakaz wejścia do pałacu i zbliżenia się do tronu, zdawał się nieszczęśliwemu synowi straszniejszym od śmierci samej. „O mój ojcze“ zawołał on „pozwól żebym mógł ujrzeć oblicze twoje! Jeżeli pamiętasz moją winę i chcesz mnie zdala od siebie pozostawiać, lepiej każ mnie stracić, bo życie takie gorsze jest od śmierci!“ Tak mówił nieroztropny syn, który się przyłączył do buntu przeciw kochającemu ojcu! A więc co za ból, co za ucisk odczuwać musi, gdy przy rozstaniu się z tym światem Boga zobaczy i czuje się przez Niego do nadziemskiej miłości porwaną, a ta miłość zostaje wzgardzona i przez Boga odrzucona!

Ależ Boże miłosierny, czy nie widzisz, że to jest jedna z tych dusz wybranych, o której powiedziałeś, że została do twej owczarni przyjęta, jedna z tych dziewic czystych, która swemu Oblubieńcowi niebieskiemu poślubioną została, na Twoje podobieństwo stworzoną była i której przeznaczeniem wiecznie z Tobą w niebie królować? Pragnie rzucić się w Twoje objęcia, dlaczego wzbraniasz jej tego uścisku?
Dlaczego nie dopuszczasz ją do tego pocałunku pokoju? To całe jej szczęście do którego wzdycha i bez Ciebie nie może być szczęśliwą! Tylko przy Tobie znajdzie spokój i szczęście; dlatego słuchaj Swego miłosierdzia i przyjm ją do łaski i Swego królestwa! Jednak sprawiedliwość Twoja odmawia. Ta dusza ma jeszcze karę do odpokutowania, musi najpierw zadość uczynić sprawiedliwości bożej. A ona, ta pożałowania godna dusza, nie złorzeczy przeciw niebu i Bogu Sędziemu swemu! Korzy się tylko pokornie pod tą ręką ojcowską, która ją

w czyśćcu zatrzymuje. A gdy się skarży to tylko przeciw sobie samej, gdy wspomina ten czas błogosławiony, kiedy mogła w tak łatwy sposób zadośćuczynić Boskiej sprawiedliwości obecnie już nieubłaganej; i cierpi i czeka. Ale któż zdoła policzyć wszystkie jej łzy i westchnienia w ciągu tego czasu oczekiwania na niebieską ojczyznę? Któż zdoła sobie wyobrazić, jak trawiącą jest dla niej tęsknota? Żeby pojąć ten ból, przedstawcie sobie matkę, która straciła jedyne dziecko, albo sierotę, która bez ojca i matki sama stoi na świecie; wygnańca, który na obczyźnie za ukochaną tęskni ojczyzną; młodego jeńca, który w więzieniu jęczy i tęskni za wolnością! Wszystko to jest bólem, który swą wielkością duszę przytłacza, a pomimo tego nie może się równać jeszcze z męką czyśćcową.

Czyściec jest jakoby rozdzierającą walką śmiertelną duszy spragnionej miłości, która chciałaby już w Bogu spocząć, a Bóg ją ciągle od siebie oddala. Czy zdołam jeszcze cokolwiek większą litością wzruszyć serca wasze, ażeby skłonić was, o ile w waszej mocy do niesienia ulgi tym biednym duszom? Zapewne odmierzonym jest czas ich cierpień; ale w waszej poniekąd leży mocy czas ten ukrócić. Płonie ogień sprawiedliwości boskiej, ale wy go ugasić możecie; więzienie jest co prawda, zamknięte, ale wy go otworzyć zdołacie. A wszystko uczynić możecie przez wasze dobre uczynki, modlitwy, ofiary i jałmużny. Któżby chciał opuścić te dusze?! Chyba tylko bezbożny, który wtrąciwszy blizkich swych do więzienia o nich później nie myśli.

II. Istnieje więc czyściec, a w tym czyśćcu cierpi się; ale my możemy dla tych, którzy w tym czyśćcu cierpią dużo uczynić. W jaki sposób? Zawsze okrutny

błąd utrzymuje, że nasze modły po za grób nie sięgają. że mogiła tamuje pobożne uczynki i westchnienia. Barbarzyńskie słowa! Przeszywają one, jak gdyby mieczem serca tych nieszczęśliwych, którzy klęczą na grobie swych ukochanych. Jedynie religia pełna miłości, łagodności, przemawia do nas: „Módlcie się, a nieustawajcie! Grobowiec marmurowy twoje błagalne nie zdoła zatrzymać modlitwy i przebiją one również niebiosa i u tronu Najwyższego pociechę i ulgę wyjednają tym za których się modlimy“. W istocie niema bardziej pocieszającego i dobroczynnego dogmatu, jak ten o czyśćcu! Jak brzmi ten dogmat? Modlimy się w składzie apostolskim: „Wierzę w Świętych obcowanie“. Cóż jest to Świętych obcowanie? Katechizm objaśnia go, jako środek przez który sprawiedliwi nawzajem udzielają sobie zasług dobrych uczynków, a boskie Serce Jezusa zbiera te dobre uczynki wszystkich: składa jakoby do skarbony, z której rozdziela je później między wszystkich. Możecie więc prosić tych co już doszli do nieba do celu swych pragnień, ażeby się za wami modlili, a znajdziemy w nich potężnych orędowników. I my również, którzy po ziemi pielgrzymujemy, jeszcze możemy Serce Boga wzruszyć modłami do litości nad biednemi duszami w czyśćcu cierpiącemi. Katechizm uczy, że niebo, ziemia i czyściec, stanowią jeden kościół w trojakim przejawie, a więc kościół wojujący, cierpiący i tryumfujący, a pomiędzy temi trzema postaciami istnieje wzajemny związek miłości i przynależności. Jakżeby mogło tej miłości, która jest sercem naszej religii, zbywać na poczuciu świętego obowiązku dusz względem siebie? Jakże ona, w której niema nic ziemskiego na ziemskie i przemijające uczucia, na zimny marmur grobowca ograniczyć by się mogła, nie przenikając

granicy zaświata, dokąd pociąga nas tajemny głos serca? Protestanci, nasi bracia radziby dogmat o czyśćcu wytrącić ze składu apostolskiego, lecz ze serca nie zdołają wydalić poczucia, że potrzebnie jest i użytecznie modlić się za umarłych. Serce, które rzetelniejszem jest od ust, uznaje dogmat w tej samej chwili, w której go się usta zapierają. A gdyby było inaczej, cóżby znaczyły psalmy i modły odprawiane w chwili, gdy zwłoki umarłych składamy na miejsce wiecznego spoczynku? Bracie mój, biedny protestancie, jeżeli miedzy moimi słuchaczami jesteś tu obecny i wznosisz wzrok załzawiony do nieba, żeby miłosierdzia Boga ubłagać dla twej matki, nie daj się uwieść, twój błąd nie od ciebie pochodzi, zawdzięczasz go raczej twej sekcie nieprzejednanej! Ona twierdzi: matka twoja jest już nieodwołalnie osądzona, dlatego nie módl się za nią, choćby serce kładło ci modlitwę na usta! Któryż z potestantów zadowolniłby się czemś podobnem? Jakaż różnica z drugiej strony między tą bezmyślną nauką, a nauką o skuteczności modlitwy za umarłych? O ileż ta pierwsza piękniejszą, rozsądniejszą i bardziej pocieszającą! Posłuchajcie następującego przykładu: Ktoś za swe długi na więzienie skazanym został, a wierzyciel jego żąda zapłaty do ostatniego szeląga. Obiecuje jednak na prośby brata że się o wykupno dla tego nieszczęsnego postara, iż go wolnością obdaruje. I cóż tutaj widzicie? Z jednej strony dłużnika, który ziszcza całkowitą wypłatę, z druiej wierzyciela, który łaskę świadczy, i brata, który spełnia akt miłości bliźniego! Czy nie jest to piękne? Czy nie odpowiada słuszności i sprawiedliwości? Lecz to, co słuszności i sprawiedliwości odpowiada, gdy o ziemskie chodzi sprawy, nie miałoby być jeszcze piękniejsze słu-

szniejsze, gdy dotyczy spraw religii i zbawienia wiecznego? Chodzi tu naturalnie o Długi Duchowe; ale czy Pan Bóg niema prawa, pokutą za nasze złe uczynki rozrządzać? I dalej, czy nie jest to aktem wielkiego miłosierdzia, ta możność zanoszenia modlitw na korzyść biednych dusz? Czyż nie widzicie że w ten sposób Pan Bóg uszlachetnia nasze modlitwy i udziela im skuteczności przez którą uzyskujemy uwolnienie niejednym braciom cierpiącym i łączy sposób węzłem nadziei i miłości tych, którzy są jednej wiary i miłości wyznawcami!

Pytam się was, co bardziej odpowiada naszym uczuciom, czy dogmat o skuteczności próśb za zmarłych, czy nauka, która tego zaprzecza? Odwołuję się do was którzy stoicie ledwie nad zawartym grobem. Potrzeba modlitwy ciśnie się mimowoli do serc waszych! Pomijając przesądy widzicie się zmuszeni do wiary w ten dogmat; gdyż serce nasze zranione przez stratę ukochanej istoty, która miłość naszą do grobu ze sobą wzięła w skuteczność modlitwy wierzyć się musi, jak i w to także, że łzy jego pomocne będą tym, za którymi płacze!

Wielki jeden myśliciel powiedział: „Jedno serce szlachetne wystarczyłoby, ażeby wpoić innym wiarę w skuteczność modlitwy za umarłych, a gdyby tej wiary nie było musianoby ją stworzyć!“ Tak, musianoby ją stworzyć, ażeby pocieszyć umierających, a zarazem pokrzepić tych, co pozostają na ziemi! W istocie, co za wielką pociechę dla dusz naszych zawiera ta wiara w sobie. Patrzcie, oto leży na łożu śmierci nasz brat w Chrystusie, i w ostatniem swem tchnieniu obejmuje ręką brata swego. Dziecię na łonie tego, który mu życie dał, wydaje ostatnie tchnienie; wszyscy płaczą, ale wierzą i mówią: „Modlę się za was, a wy za mnie ażebyśmy kiedyś wszyscy

w wiecznej szczęśliwości połączeni zostali“. Słodka nadzieja i słodka pociecha! Ten stosunek wzajemnej miłości pomiędzy dzieckiem umierającem, a ojcem żyjącym, między życiem, a śmiercią jest potrzeba serca naszego! Jeden młody protestant, gdy brata stracił powiedział: „Przejdę na katolicyzm, żeby módz się modlić za brata mojego; czuję potrzebę modlenia się za niego i za siebie!“

Oto jest mowa serca naszego! Pociesz się bracie mój po stracie ukochanego, którego opłakujesz! Pociesz się ojcze, któremu śmierć dziecię jedyne zabrała! Jako wygnaniec pozostałeś sam na świecie! Ale Pan Bóg nie przeciął związku miłości, który was z drogimi wam łączył! Pozwala wam, każdej chwili łączyć się stosunkiem wzajemnej modlitwy.

Ale gdzie są ci, którzy zmarłych kochają? Widzę rozsiane kwiaty na grobach, widzę łzy i słyszę głoszone pochwały, widzę zaszczytne napisy na grobach i wspaniałe pogrzeby. Ale to wszystko przebrzmi prędko jak głos dzwonów pogrzebowych, łzy oschną szybko, kwiaty zwiędną, nawet napisy na grobowcach zniszczy czas, cóż więc tedy pozostanie? Modlitwa! Św. Monika na łożu śmiertelnem tak przemawiała do syna swego Św. Augustyna: „To wszystko czego od ciebie żądam jest, ażebyś się za mną przy ołtarzu modlił, żebyś duszę moją Bogu polecał, modląc się za mną“, Ale gdzież są ci, którzyby się za umarłych modlili? Niestety przyznać musimy, że ogólnie biorąc prędko się zapomni o zmarłych. Jak długo w objęciu trzymamy rękę umierającego, a on omdlałym głosem nas błaga: „O nie zapominajcie o mnie“. Odpowiadamy: „Nigdy, prędzej pomrzemy!“ Jak długo ranę sercu naszemu przez tę stratę zadaną czujemy, pamiętamy o zmarłym i przysięgamy, że nigdy o nim nie

zapomnimy. Ale czas mija: w tydzień, w miesiąc, a bawić się już zaczynamy! Z początku ta zabawa jest wyjątkiem, ale rychło staje się zapomnieniem. I wkrótce jakby zasłona jaka zakryła nam naszych ukochanych zmarłych; widzimy ich, jakby zdaleka i mgłą osłoniętych, a często, i bardzo często kwiaty nawet i wieńce z grobu jeszcze nie znikły, rok żałoby nie minął, a my w innej już miłości koimy żal.

A jednak to zapomnienie jest o tyle okrutne o ile nieludzkie, gdyż biedni zmarli znajdują się w zupełnej niemocy i dopomódz sami sobie nie mogą! Nie możemy mieć pojęcia o tego rodzaju stanie, gdyż i najbardziej opuszczony człowiek na tym świecie znajduje w sobie nieprzeparte źródło samopomocy. Gdy mu brakuje prawej ręki, posługuje się lewą, a w braku obuch zostaje mu serce, a w tem sercu znajdzie zawsze ucieczkę i miejsce na dobre uczynki; a każde westchnienie i akt miłości, łza każda może się stać środkiem niesienia ulgi tym biednym duszom cierpiącym, które gorzkie łzy wylewają, a z których przemawia ból trwogi, iż znajdują się w położeniu uwięzionego, niemogącego sobie pomódz w żaden sposób, i dlatego widzi się zmuszonym do tego rozpaczliwego wykrzyknika: „Ależ nie mogę otworzyć sam wrót więzienia mojego, musi przyjść ktoś inny, żeby mnie uwolnić“. Czy może istnieć bardziej od tego wzruszające litość, i przygnębiające uczucie? Tak jest, a jest niem zapomnienie!

Gdy wiemy, że na tym świecie ktoś z nami współczuje, że nasz ból dzieli, ulgę nam to przynosi. Ale gdy przekonani jesteśmy, że nikt się o nas nie troszczy, nikt łez naszych, gdy płaczemy nie dzieli, jestto ból nowym

bólem zdwojony; jest to coś, co serce nasze przygniata i rozdziera i to jest właśnie ból tych biednych dusz!

Starożytni myśleli, że gdy się ciało z duszą rozdziela, wystarczy jej napić się wody ze strumienia Lety, ażeby zapomnieć całą przeszłość. U nas przeciwnie: my to jesteśmy, którzy o biednych zmarłych zapominamy. Gdy poeta chce nas rozrzewnić, przedstawia nam młodą dziewczynę, opuszczoną, samotną na nagiej skale wśród morza rozhukanego, falom na pastwę rzuconą, włosy jej spływają w nieładzie na skronie, wzniesione ręce wyciągają się do przejeżdżającego okrętu, i z piersi przepełnionej trwogą wyrywa się krzyk o pomoc, którego nawet bałwany morskie przygłuszyć nie mogą: „Ratujcie, ratujcie!“ Żeglarz, jeżeli jest człowiekiem litościwym, spieszy tonącej z pomocą. A więc to, co u poetów byłoby obrazem ich fantazyi, jest rzeczywistością w naszym wypadku. Dusze te nieszczęśliwe wołają również: „Ratujcie, ratujcie nas!“ Zwracają się do nas, którzy jedziemy jeszcze przez to morze wzburzone życia i wołają: „Zlitujcie się nad nami, przyjdźcie, a obaczcie czy jest boleść podobna naszej boleści?“ Ale my przechodzimy mimo, aż i na nas kolej przyjdzie wtedy zmienią się role, a ponieważ zapomnieliśmy, zapomnieni również będziemy!

I kogóż my to zapominamy? Istoty, które za życia bardzo drogie imiona dla nas nosiły, imiona które serca nasze głęboko wstrząsały, imię matki, ojca, brata, siostry. I to są istoty, które tak łatwo zapomnieliśmy! Znajdują się one w miejscu oczyszczenia, może z powodu małych tylko przekroczeń, które jeszcze muszą odpokutować i może z naszej cierpią winy? Tak, ojciec nasz i matka znajdowaliby się już w niebiesiech, gdyby tak

pobłażliwi dla nas nie byli. Ów przyjaciel byłby już może w wiecznej szczęśliwości, gdyby za naszym złym przykładem z dobrej drogi nie był zeszedł. A my zapominamy o nich; nie możemy się zmusić, żeby zmówić choć jeden za nich pacierz.

Ale takie postępowanie wykracza nietylko przeciw słuszności, ale także przeciw prawu. Względem kogo bowiem mamy być sprawiedliwi, jeżeli nie względem zmarłych? Bądźmy więc dla nich sprawiedliwymi, a i oni nigdy o nas nie zapomną! Zważmy; jak święty dług mamy im spłacić! Jednak nie żądają oni naszego wstawienia jako obowiązku, tylko jak o pomoc i o jałmużnę o nie proszą i co w gruncie serca, jako słuszną im należność odczuwamy. Czy nie słyszycie ich słodkiego głosu, czy nie widzicie jak ich wzrok jest smutnym? Jest to ostatnie wejrzenie, które wasi drodzy na was rzucili, ostatnie słowa, które do was mówią, żegnając się z wami. Gdybym jakimś cudem wszystkich waszych drogich mógł w tej chwili tutaj zgromadzić, poznalibyście ich głosy w moim głosie. Usłyszelibyście, że o nic więcej Boga nie proszą jak o modlitwę tylko! „Bracia, to samo nosiliśmy nazwisko, tem samem mlekiem karmieni byliśmy, w tej samej spali kołysce! Jak często pomocną rękę podawaliśmy wam, o modlitwę, o jedno pozdrowienie Anielskie błagamy was!“ Dalej woła matka: „Dziecię, przez dziewięć miesięcy pod sercem swoim ciebie nosiłam, tyle nocy przy twoim posłaniu strapiona spędziłam każde tchnienie twoje licząc, przyszlij mi choć jedną modlitwę, jedno westchnienie“. „Ojcze mój któryś mnie tak czule na ziemi kochał, nie zapominaj o mnie, polecaj mnie Bogu wszechmogącemu i módl się za mną!“

A te wszystkie dusze są tutaj blizko was, spragnione oczekują waszej pomocy, co odczuwać przecież musicie.

Jezus, który krew Swą drogocenną za nas wylał ażeby nas wszystkich w jedno stado połączyć, do ich próśb także się przyłącza i błaga o modlitwę dla nich! Któżby mógł tej prośbie gorącej odmówić? Tylko ten, który ani wiary, ani serca niema!

III. Czyściec egzystuje i w czyścu się cierpi, a więc za tymi którzy tam cierpią błagajmy Boga Ojca. Bracia moi, modły, które za naszymi drogimi zanosimy nie są dla nas stracone. Kropla wody z miłości ku Bogu, biednemu ofiarowana, podług świadectwa Ewangelii, bogatą nagrodę nam przyniesie. A więc to wszystko, co czynimy dla naszych dobrych zmarłych nietylko im ulgę, a może wybawienie przyniesie, ale i dla nas ten dowód naszej dla nich miłości bez nagrody nie pozostanie.

Miłość bliźniego dla tych dusz biednych nie może się ujawnić lepiej, jak przez modlitwę za nich, która daje nam trojaką nagrodę: nagrodę tyczącą przeszłości nagrodę na teraźniejszość i nagrodę na przyszłość! Bracie mój, rzuć okiem wstecz na życie twoje! Minęła w nim niejedna godzina, nie jeden dzień, tydzień, a może i rok niejeden bez łaski Bożej! A że Panu i Bogu zrabowane były, jak długie pasmo grzechów przedstawiają one! Zapewne rozgrzeszenie przez księdza udzielone ci, od zmazy grzechowej duszę twoją uwolniło, ależ czy to wszystko? Czy nie pozostaje ci do spłacenia dług za grzechy twe ciężkie? Sumienie powiada mi, że istnieje pustka, która choćby najobfitszemi łzam zroszona przepaści najgłębszej nie zdoła napełnić, która itylko przez nadziemską pomoc modlitwy wyrównaną być może.

A teraz nagroda na teraźniejszość: myślicie, że

dusze, gdy wejdą do szczęśliwości wiecznej zapominają, iż wam tę szczęśliwość zawdzięczają? Niebo jest przecież ojczyzną wdzięczności; a dusze z płomieni czyśćcowych wyzwolone będą o was tak długo pamiętały, dokąd w wiecznej chwale nie będziecie z niemi złączeni! Dlatego módlcie się za umarłych, bo i oni w niebie za wami modlić się będą. Dalsza jeszcze nagroda na przyszłość. Co za pomoc i pociecha w nieszczęściu, co za oparcie w niebezpieczeństwie, a uspokojenie w godzinę śmierci przyniosą wam dobre uczynki za zmarłych. Szczególnie w godzinę śmierci te dobre uczynki staną po waszej stronie a gdy przez miejsce oczyszczenia przechodzić będziemy musieli, ażyby dojść do nieba, jak radośnie będziemy to wspominać cośmy tutaj dobrego dla zmarłych uczynili. Nie zapominajmy słowa Boskiego Zbawiciela naszego: „Tą samą miarą, którąście mierzyli i wam oddano będzie!“

Tak moi Bracia, szukajcie pociechy w tej podwójnej pobudce, ratowania zmarłych i siebie samych. Płaczcie za nimi, ale o nich nie zapominajcie, płacz wasz nie będzie bez pociechy, ani łzy bez pomocy. Wdowo biedna, która mnie słuchasz, matko nieszczęśliwa, która marmur zimny, pokrywający zwłoki dziecka twego ozdabiasz, starcze biedny, któremu śmierć opiekę zrabowała wznieście oczy wasze do góry! Nie widzicie tej korony niebieskiej? Jest ona dla waszych ukochanych prędzej czy później do osiągnięcia przeznaczoną nagrodą! Miejcie dlatego o nich staranie, dawajcie jałmużny za nich, a przedewszystkiem jałmużnę cierpień waszych! A najlepszą jałmużną ze wszystkich to modlitwa i jeszcze raz modlitwa! Któżby się nie chciał modlić za tych, których kocha i obżałowuje? A dalej czyńcie jałmużnę z waszych uczynków dobrych.

Kroku zrobić nie możecie, ażeby nie spotkać biednego nieszczęśliwego. Wspomagając biednego pocieszacie nieszczęśliwych, tem najlepiej pocieszacie zmarłych. W końcu czyńcie jałmużnę z waszych cierpień. Któż tutaj nie musi cierpieć? Jak wielu cierpi przez obrazę, rozczarowanie i zdradę! Znoście to wszystko z cierpliwością dla miłości dusz waszych drogich zmarłych. Zbudujcie ołtarz, na którym sami jako ofiary spoczniecie, a krew wasza, ta krew serdeczna i łzy gorzkie bólu, duszom zmarłym przyniosą ulgę, szczęście i spokój!

VI.

Najświętsza Panna Marya.

We wszystkich sercach katolickich, na całym szerokim świecie, żyje głęboka, szczera miłość ku Najśw. Pannie Maryi. Pod każdem wezwaniem, jak i mianem. w najmniejszej kaplicy, jak i najwspanialszej bazylice. tak w cichem uwielbieniu serca, jak i wzniosłym locie poetyckim, uznają katolicy Maryę najdoskonalszym po Bogu przedmiotem swej miłości. Można o niej rzec to zresztą, co tylko do Stwórcy odnieść można, że niebiosa pełne są chwały Jej.

Być może, że niektórzy nie znają dobrze tej najlepszej Matki; przecież instynktowo, przez mimowolny pociąg serca, odczuwają Jej wielką dobroć i godność, a to wystarcza, żeby ukochać Ją świętą miłością.

Żyjemy jednak w czasach, w których za mało jest tylko kochać; trzeba bowiem przedmiot ukochany umieć i bronić. Któżby się spodziewał, że to jest możliwe, by w naszych Włoszech, które słusznie nazwać można narodem Maryi, istnieli jawni i skryci nieprzyjaciele tej najdroższej Matki bożej? W tym kraju, gdzie i najgorsi nie przechodzą koło obrazu Matki Najśw. bez pokłonu,

gdzie nawet ci, którzy najbardziej oddalili się od drogi zbawienia, przecież skaplerz noszą; w tym kraju, którego znamieniem i tradycyą jest kult Maryi, i który przetrwał wszystkie koleje; w tym kraju, którego literatura obrała sobie cześć Maryi za przedmiot ulubiony; gdzie malarze pałają świętym entuzyazmem dla tej Królowej niebios; w tym to kraju ośmieliło się niedowiarstwo w czasach naszych głosić obelgi i bluźnierstwa, nazywając tę cześć zabobonną!

Widzicie, że w czasach teraźniejszych nie wystarcza kochać, i nawet szczerze kochać, lecz trzeba przedmiot ukochany dobrze poznać, ażeby o nim innych objaśnić i módz go bronić w potrzebie. Nie wystarcza dzisiaj, żeby cześć dla Maryi żyła w sercach naszych, jako odległe echo ubiegłych stuleci, lub była niejako tradycyą, uświęconą zwyczajem. Nie, trzeba poznać samemu powody i korzyści wypływające z tego nabożeństwa, ażeby nasza miłość o tyle trwałą była, o ile jest żywą i gorącą.

Zatem, czy słusznie czynimy i rozsądnie, oddając cześć Maryi? Tak jest, niema bowiem nic bardziej słusznego, rozsądnego i zbawiennego! Ale że przeciwnicy nasi, w imię zdrowego rozsądku występują przeciw nam, będę ich zwalczał również w imię zdrowego rozsądku. Zostawię na boku wszystkie subtelności teologiczne, prosząc was tylko o skupienie i uwagę, jak też o dobrą wolę, a przedewszystkiem o serca wasze, i to bez podziału. Oby niebiosa słowom moim udzieliły siły, ażeby wchodząc w serca wasze, napełniły je odwagą i pociechą.

I. Cześć, którą otaczamy Najśw. Pannę Maryę, polega na dwojakiej prawdzie, której nikt przy zdrowych zmysłach będący, zaprzeczyć nie może; a jest nią: wznio-

sła godność Matki bożej i znaczenie, jakiem Marya cieszy się u Boga, wskutek Swego boskiego Macierzyństwa.

W pierwszym rzędzie nasza cześć dla Najśw. Maryi Panny polega na jej wzniosłej godności Matki bożej. Jest to artykułem naszej wiary. Wspólnie roztrząśnijmy go, badajmy i rozważajmy szczegółowo. Syn boży, przychodząc świat zbawić, przyjął na Siebie ciało i duszę ludzką. Zatem prawdziwą naturę ludzką. Tę ludzką naturę, w którą się Słowo przedwieczne oblec chciało, nie chciał Bóg stworzyć na podobieństwo Adamowe, lecz chciał w cudowny sposób ukształtować je z łona Ewy, przez hipostatyczne połączenie z Bogiem tak wysoko podniesionej istoty. Jak wielką jest godność tej natury ludzkiej, żadne słowo ludzkie wyrazić nie zdoła! A jakąż dopiero jest godność niewiasty, z której chciał narodzić się Bóg, tego pojęcie stworzonego rozumu ludzkiego ogarnąć nie może!

Rozważcie te słowa: Niewiasta piastowała przez dziewięć miesięcy w Łonie swem Syna bożego, z krwi Jej ukształtowało się ciało Jego, nosiła Go na swych rękach, mlekiem swem karmiła, słysząc się przez Niego, tego Syna Najwyższego, słodkiem mianem Matki zwaną! A tą niewiastą jest Marya. „Marya“, mówi ewangelia, z cudowną prostotą, „Marya, z której się narodził Jezus, zwany Chrystusem“.

Wobec tego blednie wszystko, coby jeszcze o Maryi powiedziane być mogło! W samej rzeczy, cóż możemy więcej jeszcze powiedzieć o Maryi? Że była łaski niebieskiej pełna? Ależ nie mogło być inaczej, i to nie powinno nas dziwić, gdyż Marya przez Boga samego na matkę Jezusa obraną została. Może to, że bez grzechu pierworodnego poczętą była? Ależ i to zupełnie staje

się naturalnem, bowiem krew Zbawiciela w źródle swojem zmazaną być nie mogła! Może, że życie Maryi, ten wzór wszystkich cnót i doskonałości, był ustawicznie nadnaturalnym blaskiem uświęcony? Ależ czy mogło być inaczej, u Tej, która dziewięć miesięcy Syna bożego w swem Łonie nosiła, mlekiem swem karmiła i na rękach swych samą Świętość piastowała? Trzebaż nam mówić, że po Bogu najwyższą posiada chwałę, że Aniołowie hołd jej składają i Królową swą nazywają? Nieodzownie tak być musi, gdyż Marya jest Matką Króla najwyższego i Matką Boga!

Chcemy tutaj zauważyć, że Marya, będąc Matką Boga, więcej jest matką, aniżeli inne, bowiem inne matki dzielą swe macierzyństwo z ojcami, że zaś poczęcie Zbawiciela w Maryi, było dziełem Boga i Ducha św. i dlatego nie dzieli Ona tej godności z nikim na świecie, i że Jej Syn nie uznaje innego pochodzenia swego jak z Maryi i dlatego Jezus bardziej jest i więcej Jej synem, aniżeli wszyscy synowie ziemscy, synami swych matek, i że Marya jest w wyższym stopniu matką, od wszystkich innych matek.

Jednak może mi kto zarzuci, że Marya nie udzieliła Jezusowi boskiej Jego istoty, i dlatego nie może być nazwaną dosłownie matką bożą. Ale czyż z matek biorą inni synowie dusze swe? Marya jest Matką Jezusa Chrystusa jako Boga-człowieka, jest Matką Jego istoty ludzkiej, która z boską w drugiej osobie bożej nierozdzielnie zjednoczoną była. Jakżeż zatem powinniśmy wielbić Maryę? Przedewszystkiem jako Matkę bożą. Wobec tego, czy uzasadnione są zarzuty naszych odpadłych współbraci, że przez oddawanie tej czci, stajemy się bałwochwalcami? Są one zupełnie nieuzasadnione; nie myśle-

liśmy bowiem nigdy oddawać Maryi czci boskiej, ubóstwiamy Boga, a Maryę czcimy. Ubóstwianie jest hołdem najwyższym, tylko Bogu należnym, i nie ważylibyśmy się nigdy ten hołd najwyższy oddawać Maryi. Lecz czcimy Maryę i ta cześć jest kultem szacunku i miłości, okazywanym osobom, tego godnym. Cześć tego rodzaju okazujemy w życiu powszedniem wysoko położonym osobom, jakoteż i ich matkom. Dlaczegóż nie mielibyśmy Założycielowi religii naszej okazać tej czci, czcząc Matkę Jego? Dlatego to stoją w sprzeczności nasi przeciwnicy nietylko z artykułem wiary, ale także wymaganiami zdrowego rozsądku. Tak jest, zdrowy rozsądek dopomina się, abyśmy nawet bohaterom narodowym okazywali cześć pełną szacunku, dlaczegóż więc mielibyśmy wyłączać od niej naszych bohaterów religijnych? Gdy cześć, którą naród księciu swemu przynosi w dani i na jego się rozciąga matkę, chociażby według prawa nie była królową, dlaczegóż cześć, którą oddajemy Chrystusowi, nie miałaby się rozciągać i na Maryę, Matkę Jego? Gdy więc czcimy Maryę, to nawet z punktu widzenia ludzkiego działamy roztropnie, i odpowiadamy wymogom zdrowego rozsądku.

Cóż wam powiem o władzy, którą przypisujemy Maryi? Wielką jest bez wątpienia władza królewska, gdyż król przedstawia najwyższy autorytet, ale wielkim jest także wpływ matki na serce swego syna. Marya nie jest sama przez się wszechmocna, utrzymywać to byłoby herezyą i obrazą bożą.

Jednak Marya dużo może u Jezusa, Syna swego, i dlatego możemy się do Niej uciekać, błagać, prosić, ażeby się za nami do swego boskiego Syna wstawiła i wspomagała Swą własną modlitwą.

„Ależ dlaczego“, tak mówią nasi odstępni bracia, „dlaczego mamy modlić się do Maryi? nie jestże Jezus Chrystus dostatecznym pośrednikiem między Bogiem a człowiekiem? Czy nie oświadczył solennie, że wysłucha naszych modłów? Modlić się do Maryi? Ale cóż może Marya? Jest stworzeniem nam podobnem, nie może nawet przeszkodzić, by włos spadł z naszej głowy, jakżeby więc mogła uleczyć choroby nasze?“ Posłuchajcie mnie, a znikną wątpliwości wasze. Przytoczmy najpierw to, co nam zarzucają nasi przeciwnicy, okażemy najlepiej w ten sposób naszą bezstronność i dobrą wolę. Tak jest, wystarczy wzywać Jezusa; ściśle mówiąc, nie potrzeba innego wezwania. Lecz jeżeli coś nie jest koniecznie potrzebnem, czy można twierdzić temsamem, że jest niestosownem i bezużytecznem? Jakżeż? Dlatego, że coś nie jest koniecznie potrzebnem, orzekać mamy zaraz, że jest tylko do odrzucenia godnem? Widzimy w tem bardzo jasno złą wolę przeciwników naszych; oni to kształtują artykuły wiary podług swego widzimisię i zwalczają sami następnie, te nieudałe płody swej fantazyi.

Pocóż więc zwalczać tę potrzebę kultu Maryi, Matki Bożej, skoro kościół poucza nas o jego korzyści i ważności? Zakwestyonować to możecie, jeżeli zdołacie. Czy nie powiedział Jezus Chrystus, że powinniśmy się modlić jedni za drugich, żebyśmy zbawienia dostąpili? Czy nie pisał św. apostoł Paweł, do uczniów swoich, że obiecuje się modlić za niemi po swej śmierci? Czy nie mogą ci, którzy przebywają już w niebie, modlić się za nami? Żadne prawo boskie nie sprzeciwia się temu i dlatego działamy roztropnie i słusznie, gdy wzywamy Maryi i jesteśmy w tem w zgodzie z biblią i ewangelią.

W gruncie rzeczy polega to oskarżenie na nie dość

ścisłem wyjaśnieniu słowa „wzywać“. Wzywamy Boga i wzywamy Maryi; Boga wzywamy, żeby nas wspomagał swą wszechmocą; Maryę wzywamy, żeby nas wspomagała swą przyczyną u boskiego Syna swego. Wzywamy Boga, żeby rozkazywał, a Maryę, żeby prosiła. W modlitwach przez kościół uznanych, w pismach ojców św. nie znajdą oskarżyciele nasi ani jednego słowa, któreby temu objaśnieniu kłam zadało. Weźcie najzwyklejszy przykład. Król, cesarz, prezydent jakiejś republiki, ma matkę, żonę, siostrę, którą czule kocha i której wszystkie możliwe świadczy usługi. Proszę was, czy byłoby to nonsensem, gdyby poddani, pragnąc jakiejś łaski, udali się do matki, żony, siostry tego władcy? Czy niesłusznie działa ubogi, gdy prosi ją o wspomożenie, dłużnik o uwzględnienie, a uciśniony o sprawiedliwość? A gdy ona przyczyną swoją osiągnie rzecz pożądaną, czyż nie słusznie należy jej się miano pocieszycielki zasmuconych, wspomożenia biednych? Czy możnaby królowi za obrazę poczytać, jeżeli osobom, które najbardziej kocha, dobrze świadczy? Czy może kto dopatrzeć się obrazy króla w tytułach i czci oddawanych osobom, które on najbardziej na świecie kocha? Tak samo rzecz ma się w naszym wypadku. Marya nie jest bóstwem, nikt w to nigdy nie wierzył, lecz Marya może przez swoje pośrednictwo otrzymać u Jezusa to, co naszym małym zasługom nigdy nie byłoby przyznane. A gdy za Jej wstawieniem otrzymaliśmy, czegośmy pragnęli, czy nie jest to dostatecznym powodem, żebyśmy tej Matce bożej wdzięczności naszej nie okazywali? I oto jest prawdziwe przedstawienie kwestyi.

Widzicie, jak zła wola wszystko czyni, co tylko może, żeby nas zwalczyć, a czułe przywiązanie, które

żywimy dla Maryi, Matki Jezusa, jest nieustannym przedmiotem zaczepki przeciwników. Ażeby tę kwestyę na naszą korzyść rozwiązać, trzeba się tylko odwołać, jak w dużo innych wypadkach, do zdrowego rozsądku.

Nie potrzebujemy na to nawet Maryi, jako Matki bożej uznawać, bo dajmy na to, że uważamy Ją za zupełnie nam równą. A czyż do równych sobie nie mówimy często: „módlcie się za nami“? Czybyście mi nie wyświadczyli tego dowodu miłości? Więc i my nic innego nie czynimy, prosząc Maryi o pośrednictwo, wołając do niej: „módl się za nami“. Jakże dziwnem w istocie jest twierdzenie tych ludzi, którzy utrzymują, że uczczenie Maryi, wzywanie Maryi, zawiera w sobie obrazę dla Jezusa! Nie tylko zadziwiający, gdy mówią, że daleko lepiej wielbić Boskiego Zbawiciela, nie uznając Maryi? Zaprawdę, szczególny to sposób czczenia syna, pogardą matki; przecież podobne zachowanie nawet w zasadach tych ludzi, nie znajduje usprawiedliwienia! Zadziwiającym zaiste objawem jest u tych, którzy się chrześcijanami zowią, brak czci dla Matki Boga. Szczególne bowiem zjawisko, ażeby poddani, jako wierni słudzy swego księcia, matką jego pogardzali!

Gdy niegdyś archanioł przyszedł do Maryi, żeby Jej oznajmić z rozkazu Najwyższego, że zostanie Matką bożą, cóż Jej powiedział? „Bądź pozdrowioną, ty łaski pełna!“

Dobrze więc, bracia moi, my katolicy całkiem po prostu to pozdrowienie, te słowa anioła, powtarzamy w dalszym ciągu. A jakże się zachowują nasi biedni odłączeni bracia? Chcą być podobni upadłemu aniołowi, któremu Bóg powiedział w raju: „Położę nieprzyjaźń pomiędzy tobą a niewiastą“.

Marya nawiedza Elżbietę, która do niej mówi: „Skądże mi ta łaska, że nawiedza mię matka Boga mojego? Błogosławionaś ty między niewiastami, i błogosławiony owoc żywota twojego!“ Jeżeli więc kochamy Maryę, starajmy się Jej tem pozdrowieniem świętej Elżbiety okazać cześć. Ci biedni bracia odstępcy, podobni są mieszkańcom Betleem, którzy oczekiwali Zbawiciela, ale Matki jego przyjąć nie chcieli. Zapomnieli oni, że Pan Bóg nigdy darów Swoich nie skąpi. Pan Bóg raz tylko dał nam Jezusa przez Maryę i powołuje pasterzy i króli, żeby powitali Jezusa na ręku Maryi. Czy nie przyniosła Marya w ten sposób Jezusa niewiernym? Jeden ze św. Apostołów pisze: „Ukazując obraz Maryi niewiernym narodom, prowadzimy ich do Jezusa“.

Posłuchajmy, co odpowiedziała Marya świętej Elżbiecie, gdy ta, w powyższy powitała ją sposób. „Odtąd wszystkie narody zwać mię będą błogosławioną!“ Któż jednak te słowa wprowadza w czyn, czy narody katolickie, które czczą Maryę, czy też ci drudzy, którzy pomijają Ją, myśląc, że tym sposobem chwalą Boga? Okazuje się w pełni, płytki sposób myślenia odstępców. W ich świątyniach widzimy posągi ich współbraci, widzimy tam często wspaniałe pomniki tychże, ale nigdy obrazu Maryi. Obraz Matki Bożej usunięty został, jakoby obraz bożyszcza, albo pozostałość pogańska.

Ale zauważcie jeszcze jedno, jak mogą niektórzy czcić tajemnice naszej wiary, jeżeli czczą je jeszcze wogóle, nie ukazując sympatyi tym, które ścisłym węzłem z innymi są połączone.

Jak mogą oni modlić się u stóp Jezusa, przy Jego żłóbku, ażeby ich serce nie zabiło żywiej dla tej Matki, która pierwsze uspokajała skargi Jezusa i ostatnie przyjęła tchnienie Jego! Czy nie byłoby tu na miejscu zapytać ich, czy nie zrezygnowali także z innych świętych porywów serca swego? Przesądy i uprzedzenia, które z mlekiem matki wyssali, przeszkadzają im sądzić stosunki nasze słusznie i bezpartyjnie. To jedynie tłumaczy ich zaciętość.

A więc nie tylko modlimy się do Maryi, lecz czcimy ją także. Żywimy dla Maryi kult poszanowania i miłości, bo jest Matką naszego Zbawiciela, gdyż Jezus podczas Swej wędrówki na ziemi, również okazywał Jej szacunek i miłość.

„Et erat subditus illis“. Żeby to pytanie na korzyść naszą rozwiązać, potrzeba tylko nieco zdrowego rozsądku. Ale nie, trzeba również i serca i więcej jeszcze serca, aniżeli rozsądku, a następnie miłości, która rozszerzyła wiarę i cześć Maryi Najświętszej po całym świecie. Protestantyzm datuje się od wczoraj; szesnasty wiek, w którym powstał, należy do nowożytnych czasów. Ale piętnaście wieków przedtem, okazywały ludy jednozgodnie cześć przeczystej Matce Bożej, której oni Jej odmawiają. Utrzymują, że cześć dla Maryi, nie była w zwyczaju w pierwotnych czasach istnienia Kościoła św. A zatem rozpatrzmy się w tem twierdzeniu. Zanim Apostołowie według rozkazu bożego rozeszli się po świecie, ułożyli wyznanie wiary, które uczniów Jezusa Chrystusa od innych ludzi odróżniać miało. W tem streszczonem wyznaniu wiary, niektóre dogmaty Kościoła znajdują nie całkiem dokładne oddanie, ale Marya zajęła w nich miejsce, a jakie? Oto stoi Ona obok trzech osób boskich. „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jednorodzonego, Pana naszego, który się począł z Ducha św. i narodził z Maryi Panny“.

Co za wielkość bije z tych słów dla Maryi! Wobec niej każda inna zblednąć musi.

Po apostołach następują Ojcowie Kościoła. Święty Ignacy, uczeń apostoła Jana, wysławiał cudowne narodzenie Najśw. Panny. Św. Justyn, wielki filozof, który opuścił szkołę Platona, ażeby do Chrystusowej wstąpić, stawia paralelę między Maryą a Ewą; Maryą, która tak wielką odegrała rolę w dobrem, jak Ewa w złem. Ireneusz prowadzi tę paralelę dalej, gdyż wyprowadza pokolenia wybranych z Maryi, a odrzuconych z Ewy. Tertulian uzupełnia go, gdy mówi: grzech, który popełniła Ewa, gdy usłuchała węża, naprawiony został przez Maryę, gdy usłuchała archanioła. Św. Cypryan, wyrocznia kościoła afrykańskiego, czci Maryę także dziecinnym pietyzmem, a Klemens alexandryjski, jeden z ojców pierwszej ery chrześcijańskiej, spogląda nie z mniejszą czcią na Maryę. Wszyscy pozdrawiają, wzywają Ją, wszyscy ubiegają się o Jej wstawiennictwo, jako wspomożycielki wiernych. Męczennicy dalej, uciekają się do Niej, jak do swej królowej, a piękny ten tytuł daje Jej Orygenes w swoich homiliach. Św. Krystyna gorąco się modliła do Maryi, żeby broniła Jej anielską koronę czystości. Męczennicy, zanim szli na śmierć za wiarę św., pozdrawiali wpierw tę najczystszą dziewicę, królowę niebios. A kościół zebrał ich szczątki i przechowuje w Panteonie, poświęciwszy tę wspaniałą świątynię dziewiczej Matce Bożej, a nad portalem namieścił napis: „Sancta Maria ad martyres“.

Gdy później rozpowszechnił się kościół i rozszerzył po wszystkich krajach ziemi, zabrzmiał świat od wschodu do zachodu, od południa do północy chwałą Maryi.

Stulecia następują jedne po drugich, przeradzają się narody, ale hymny i pochwały o Najśw. Pannie Maryi, która porodziła nam Zbawiciela, będą spadkiem najczulszego przywiązania i serdecznej wdzięczności dla Niej, całego świata chrześcijańskiego.

O bracia moi, dlaczegóż nie mogę wam przedstawić w całej jego wspaniałości, tego wzniosłego koncertu, na cześć Maryi, trwającego i obejmującego szeregi stuleci? Któż jest wśród stworzenia podobny Maryi? Któż jest większym od Niej? Nic się z nią porównać nie może! Ani Apostołowie, ani Dziewice, ani Patryarchowie, Prorocy, ani Cherubini i Serafini, żadne stworzenie nie może się z Nią równać! „Służebnico i Matko Boża, Dziewico i Matko, módl się za nami“. To nie są słowa moje, znalazłem je w pismach św. Ambrożego, jako najpiękniejsze słowa, jakie na cześć Maryi w łacińskim języku napisane były.

Św. Jan Chryzostom, Homer mowców, chwalił Jej imię, a Azya, Afryka, Rzym i Konstantynopol słuchały słów Jego. Wszyscy nauczyciele kościoła, zacząwszy od św. Bernarda aż do Bossueta i św. Alfonsa Liguorego, zapełniali najpiękniejsze karty swych pism pochwałą Maryi, rzucając anatema na tych wszystkich, którzy Jej czci odmawiali!

W ten sposób zbierały się te pomnikowe świadectwa. Uczona archeologia, ale nie archeologia tych uczonych, którzy zwykli mówić raz: „być może“, a drugi raz: „być nie może“, ta głęboko uczona archeologia, odkryła w Katakombach obraz Przenajśw. Maryi Panny i Matki Bożej, a słynne poszukiwania Markiza de Rossi, odnalazły w tych podziemnych grobowcach napisy z pierwszych czasów chrześcijaństwa, składające wymowne świadectwo o czci dla Najśw. Panny Maryi u ówczesnych

narodów. Przejrzyjcie starodawne liturgie, a wszędzie na wezwanie Maryi natraficie. Ujrzycie później stowarzyszenia powstające pod sztandarem Maryi. I na wszystkich pomnikach publicznych ujrzycie obok wizerunku Syna, wizerunek Matki. Wstąpcie do kościołów, tam obok ołtarza Jezusa Chrystusa wznosi się wszędzie ołtarz Matki Najśw.! Jednem słowem, wszystkie stulecia usiłowały przyczynić się do większej czci Maryi!

Czyście kiedy rozważyli dokładnie te słowa prorocze Maryi, które spełniają się codziennie przed oczami naszymi? Czy rozważyliście, że one same wystarczają, ażeby dowieść boskości religii katolickiej? Bo powiedzcie, kto w istocie słowa te wypowiedział i do kogo one powiedziane były? Gdzie odbyła się ta pamiętna rozmowa? Posłuchajcie! Dziewietnaście stuleci temu spotkały się dwie ubogie niewiasty żydowskie w nieznanej miejscowości Ziemi św., jedna była dziewicą, druga niewiastą pochyloną ciężarem lat. Wtem woła młodsza, iż otoczy ją blask świętości, i że pokolenia, które po niej nastąpią, do stóp jej hołdy składać będą! I czyż spełniają się słowa te?!

Po podboju świata przez Aleksandra, a następnie przez Cezara i Augusta, po wiekopomnych zdobyczach Platona i Sokratesa w dziedzinie wiedzy, pomimo że ich geniusze mieczem i słowem poruszyły świat cały, ujarzmiając wszystkich ludzi, czyżby w końcu milczenie i zapomnienie stało się ich losem?

Pomijając wykształcenie klasyczne, które tylko dla mniejszej części ludzkości jest dostępne, pamięć ich dla wszystkich innych żyć przestała. A tu woła nieznana żydowska dziewica, że wszystkie narody błogosławić ją będą! Mówi to w cichym domku Elżbiety, w zapadłej

górskiej wiosce, a potem usuwa się napowrót w cień, zanim nie okaże się znowu na wysokości góry Kalwaryjskiej. Ale powtarzam pytanie, czy zdarzenia nie zadały kłamu słowom tej nieznanej Dziewicy? Ludzie, którzy tak łatwo zapominają, mieliby pamiętać o cichej dziewicy, której całkiem nie znali? Mieliby pamiętać o biednej matce, która, aby swe dzieciątko na świat wydać, musiała szukać schronienia w stajence? Jednak fakta świadczą za siebie wymownie. Bo oto dziewietnaście stuleci otacza Maryę nieustającą czcią. Ludzkość wywiodła Maryę z Jej cichego ukrycia, wzniosła Jej tron obok tronu Boga, i wszystkie oczy zwracają się ku Niej, wszystkie usta chwalą Ją i sławią! Czy jest naród, któryby nie czcił Maryi, któryby wszystkie swoje radości i smutki do nóg jej nie ścielił?

Czy jest państwo, któreby losy swoje pod potężną opiekę tej królowej niebios nie oddawało? Na północy Polacy obrali Ją za swoją potężną Królowę i patronkę; książęta bawarscy schylają kolana na dźwięk Jej imienia; Włodzimierz, ów srogi Duńczyk, nosi Jej wizerunek na tarczy; Dożowie weneccy każą się malować klęczący u stóp Maryi; Flamandzcy baronowie używają imienia Maryi, jako swego hasła wojennego; Portugalia wprowadza post w sobotę, ku czci Maryi. Szkocya i Węgry zowią się wasalami tej Królowej, Anglia sławi Jej tryumfy, a Francya jest dumna z nazwy „narodu Najśw. Panny Maryi“. A cóż mam powiedzieć o naszych Włoszech, gdzie kroku zrobić nie można, ażeby się nie natknąć na Bazylikę lub kościół poświęcony Jej czci? Śmiało powiedzieć można, że nie mamy ani jednego większego państwa, któreby wolności swojej pod opiekę Maryi nie oddało. Genua, Sienna, Turyn, wzywają Maryę.

A gdy wy Florentczycy, obraliście Jezusa Chrystusa za króla waszej republiki, to zarazem i Maryę za królową i wznieśliście Jej tę wspaniałą świątynię, która urąga czasowi wieków, wzbudzając u wszystkich pokoleń zdumienie i podziw.

Wszystkie sztuki wreszcie wstąpiły do służby Maryi; poezya, muzyka, rzeźba i architektura. Widziałem raz piękny obraz, którego nigdy nie zapomnę. Przedstawiał on Maryę, będącą źródłem natchnienia artystów odrodzenia. Zacząwszy od Dantego, który wzniósł Maryę do najwyższych wyżyn raju, czarującą uśmiechem Swym, chóry niebieskie, aż do pieśni ludowych, które sławią Matkę Bożą, czy istnieje choćby jeden instrument muzyczny, któryby nie rozbrzmiał na cześć Maryi? Dalej, począwszy od naiwnych rysunków w katakumbach, aż do wspaniałej Madonny pędzla Rafaela i Murilla i dłuta Canowy, wszyscy oni próbowali oddać piękność i chwałę Maryi. Któż policzy Bazyliki, te kamienne pomniki, które wznoszą się w niebo na Jej cześć? I począwszy od „Stabat Mater“ Rossiniego, aż do skromnej piosenki ludowej, czy istnieje choćby jedna nuta w muzyce, któraby nie dźwięczała w hymnie miłości na cześć Maryi? I czyjąż duszę dźwięki wspaniałego „Ave Maria“ i „Regina coeli“ nie napełniają zachwytem? Skąd jednak pochodzi ta nieprzemijająca nieskończoność tej chwały? Bowiem to Syn Matkę uczcić chce w ten sposób, a Bóg Ojciec przez wieki prowadzi ludzkość do stóp tej przeczystej Dziewicy, więc zmuszeni jesteśmy uznać w tem dzieło boże, ze wszechmiar cudowne!

II. Zapytacie mnie, dlaczego czas, który wszystko burzy, cześć Maryi ustalił tylko i rozkrzewił, a odpowiem wam: oto chciał Bóg ażebyśmy wszyscy bez wyjątku największe żywili poszanowanie dla Maryi. Ale mam jeszcze jeden powód, który powinien by was tem bardziej przekonać. Oto, że ta cześć odpowiada najwyższym pragnieniom serca naszego. Człowiek, bracia moi, miał Odkupiciela, ale to mu jeszcze nie wystarczało, potrzebował czegoś więcej, czegoś, czego potrzebę odczuwamy wszyscy, a mianowicie pragnął spocząć na sercu matki, i Pan Bóg dał nam tę Matkę. Matka! nazwa tak słodka dla ust naszych i dobroczynna dla serca! Czy istnieją bardziej wzruszające uczucia od tych, które noszą nazwę czułości, dobroci, litości, oddania się i poświęcenia? Marya jest Matką Jezusa, którego Najwyższy Synem swoim pierworodnym nazwał, ale Marya jest także i naszą Matką, więc przez człowieczeństwo Jezusa staliśmy się Jego braćmi.

Ale Bóg nie chciał, żeby to drogie Macierzyństwo obeszło się bez bólu, chciał owszem uświęcić je nim, żebyśmy tem droższymi dla Maryi byli. Wyobraźmy sobie te smutne sceny na Kalwaryi! Jezus do krzyża przybity, poszarpany, krwią zbroczony, wzgardzony i od wszystkich opuszczony, wisiał między niebem a ziemią blizki śmierci. Wtem pada wzrok Jego na Maryę, Matkę swą, stojącą pod krzyżem i obok stojącego Jana, umiłowanego ucznia, przedstawiciela ludzkości i mówi do niego: „Patrz, oto matka twoja“. Człowiekowi za którego umiera, pozostawia to jedno, co mu pozostało, Matkę swoją! I w tej chwili rodzi się w sercu dziewiczem Maryi uczucie najczulszej miłości dla nas ludzi, miłości, która w boskiem sercu Jezusa zapałała dla nas grzeszników, która jak potok spłynęła z góry, do Jej serca mieczem bólu przebitego. Tak została Marya naszą Matką, pocieszycielką, nadzieją, ucieczką i uzdrowieniem.

A wszystko to dał nam Jezus, gdy wyrzekł te słowa: „Patrz, oto matka twoja!“

Dar Swej Matki był ostatnim aktem testamentu naszego umierającego Zbawiciela, ostatnim objawem Jego czułej miłości. Wszystko dał on człowiekowi, słowa swoje, łzy, pot swój, krew i życie. Pozostawił nam w Najśw. Sakramencie substancyę Swojej miłości, Siebie Samego, została Mu tylko jeszcze Matka Jego, którą dał nam również, jako koronę Swej szczodrobliwości!

Matka Jezusa jest więc i naszą matką. Bracia kochani, któż nie odczuwa słodyczy zamkniętej w tych słowach? Jakże zdołamy dostatecznie podziękować za dar tak wielki, naszemu boskiemu Zbawicielowi? Jak zdołamy wyzyskać wszystkie korzyści, płynące z tego świętego macierzyństwa Maryi, dla zbawienia dusz naszych? W ten sposób, że położymy w Maryi całą naszą ufność, że w każdym wypadku i potrzebie duszy i ciała do Niej się uciekniemy. Chociaż najgorzej i najsmutniej dzieje się z nami, potrafi Ona sprawy nasze szczęśliwie pokierować; chociażby rany nasze były najbardziej zadawnione, potrafi je uleczyć; i chociażby serca nasze najbardziej zatwardziałemi były, zmiękną pod łagodnem dotknięciem ręki Maryi.

O jedno proszę was, bracia moi, módlcie się do Maryi, wzywajcie Jej, ale nie przez jeden dzień, lecz codziennie rano i wieczór, za was samych i za waszych najbliższych, i bądźcie przekonani, że zostaniecie wysłuchani i pocieszeni. Czy może wątpicie o tem? Ale dlaczego mielibyście wątpić? Czy o potędze Maryi wątpicie? Przecież Marya jest Matką bożą, i potężną, tak przez łaskę jak i swoją istotę. Może powątpiewacie o Jej miłości? Ależ Ona jest naszą matką! Nieszczęśliwy, kto

tych słów ocenić nie umie. Znakiem to jest, że nie znał Matki i nie spoczął na jej sercu. Tak, Marya jest naszą matką, pełna miłości, czułość Jej nie zna granic. O, nie zapominajcie nigdy o tym skarbie! A wy matki oddajcie się zupełnie pod Jej opiekę, mówcie często dzieciom waszym o Maryi, ażeby to słodkie imię zawsze było na ich ustach, żeby niewygaśle żyło w ich sercach. I wy dziewice, zwracajcie często wzrok wasz ku tej dobrej Matce, żeby was i waszą cnotę płaszczem Swej opieki okryła. Wy biedni, przedstawiajcie Maryi wasze potrzeby, Ona będzie waszą pomocą, zasmuceni uciekajcie się do Maryi, pocieszy was i posili. Wszyscy spieszcie do Maryi, pamiętajcie zawsze, że Marya jest naszą Matką i że Matka nigdy o Swych dzieciach zapomnieć nie może. A gdybyśmy nawet o Maryi zapomnieli, to jednak Marya nigdy nie zapomni o nas.

Wieczorem po bitwie z Abdelkaderem, widziano przy słabem świetle latarni w namiocie oficera z przestrzeloną piersią, leżącego na ubogiem posłaniu. U stóp jego stała żona i córka, po prawej stronie stał młody lekarz, syn jego. Daremnie błagały we łzach te panie umierającego, żeby pamiętał o swojej duszy nieśmiertelnej. Ranny odmówił, a syn nie chciał przyłączyć się do próśb matki i siostry. Nadużywał często ten oficer swego wysokiego stanowiska i wyśmiewał żołnierzy, którzy chcieli umierać z odznaką wiary na piersiach. Nagle nastąpiła kryzys; panie myśląc, że śmierć już się zbliża, upadły na kolana i głośno zaczęły wołać: „Maryo! o Maryo!“ Także i młody lekarz ukląkł mimowoli i począł powtarzać machinalnie to samo słowo „Maryo“. Wtem otworzył oficer oczy i zapytał: „Coście mówili, czy nie wymawialiście imienia Maryi?“ „Tak jest, wzywaliśmy

Maryi", odpowiedzieli obecni. Wtedy przypomniał sobie ten oficer rok 1812, kiedy w swej wiosce rodzinnej po raz pierwszy przyjmował komunię św. Francya natenczas potrzebowała żołnierzy, w ostatnich wojnach dużo ich bowiem straciła; powołano więc i jego pod broń. Zanim jednak wstąpił do chorągwi, wziął go za rękę jego pobożny proboszcz i powiedział: „Synu mój, bardzo się obawiam o twoją duszę, gdyż w wojsku często panuje rozwiązłe życie. Obiecaj, że zawsze będziesz czcił Maryę i że Jej nigdy niczego nie odmówisz". Więc gdy proszono go tutaj po raz pierwszy w imię Maryi, czy mógł odmówić? Zawezwano tedy wojskowego kapelana, oficer wyspowiadał się przykładnie, otrzymał pociechę świętej wiary naszej na godzinę śmierci i wyzionął ducha ze słowami: „Zobaczymy się znowu w ojczyźnie niebieskiej". Całą noc nie odstępował syn od zwłok ojca, a gdy ranek nastał, powziął silne postanowienie: Oto dotychczas był apostołem szatana, lecz odtąd chce zostać apostołem Chrystusa i zażądał uwolnienia z wojska. Przepłynął morze i zapukał do furty jednego cichego klasztoru. Ciężkie przebywał tam próby. Ukończywszy studya, wyświęcony został na księdza, i prosił o pozwolenie udania się do odległych misyi. Potem swoim użyźniał jałowy grunt Indyi, dokąd niewierni nie ujeli go w niewolę i zamordowawszy go, pomogli w ten sposób do osiągnięcia palmy męczeńskiej. Siostra jego wstąpiła również do klasztoru i została ofiarą swej miłości dla niewiernych, a matka ich zmarła jak święta.

A więc bracia moi, ponieważ te trzy osoby padłszy na kolana wezwały imienia Maryi, a już otworzyła im Marya serce swoje. Przedstawiła Marya Bogu zasługi Swoje i wysłuchał Ją Wszechmocny! Dlatego módlmy

się do Maryi. Widzicie, żyjemy w czasach materyalizmu, tego odrzucenia godnego materyalizmu, będącego ruiną rodziny i ojczyzny. Podnieście oczy do Maryi, jest Ona uosobieniem chrześcijańskiego uduchownienia; gdy myślimy o Maryi, podnoszą się nasze myśli i oczyszczają serca. Żyjemy między tymi naszymi nieszczęśliwymi braćmi, którzy się dzielą na frakcye i partye. A więc wznośmy oczy ku Niej i módlmy się do Maryi, naśladujmy tych siedmiu obywateli, którzy, gdy to miasto rozdwojone było niezgodą Gwelfów i Gibelinów, udali się do senatu, błagając pomocy Maryi, poczem wyszli na ulicę. żeby głosić pokój ludowi. Znajdujemy się często pomiędzy takimi, którzy niechcą uznać Jezusa; dlatego prośmy Maryi o zmiłowanie nad nimi, wzywajmy tej Najśw. Panny i pamiętajmy, co ongi powiedział Dante: że, ażeby dojść do Jezusa, trzeba wpierw oglądać oblicze Maryi, gdyż tylko za Jej macierzyńską pomocą, dojdziemy do osiągnięcia tego celu.

VII.

Święty Józef.

W czterdzieści dni po swem chwalebnem Zmartwychwstaniu, chciał Zbawiciel wstąpić do nieba, ażeby tam uwielbić swoje człowieczeństwo święte na prawicy Ojca, a nam wśród błogosławionych duchów przygotować miejsce. Jednakże nie na tem skończyło się Jego posłannictwo.

Przemijające zjawienie się Jezusa na ziemi nie mogło wystarczyć wielkości Jego miłosierdzia, chciał On wszystkich ludzi przypuścić do udziału w owocach Odkupienia. Cóż uczynił w tym celu? Wybrał Kościół, powierzył mu swe prawdy i także moc nauczania wszystkich ludzi. „Kto was słucha, mnie słucha“, powiedział do Swych Apostołów. Nietylko udzielił On Kościołowi nieomylności urzędu nauczycielskiego, ale także mądrości św.: potrzebnej do ważności tego urzędu.

Zatem od Jezusa Chrystusa otrzymał Kościół ten skarb do życia niezbędny, i rozdziela go wedle potrzeb chwilowych, podobnie jak płomienie ogniska, które gdy na wszystkie strony ciepło swe wysyłają w jednym i tym samym ogniu złączone, dążą ku górze.

Wprawdzie umysły powierzchowne nie widzą całej mądrości urzędu nauczycielskiego Kościoła w stopniowym rozwoju prawd religijnych w miarę potrzeb, i występują natychmiast z oskarżeniem rażącem nieświadomością, podobnie jak nieumiejętny głębszą myśl uczonego zwie głupstwem. Ale człowiek myślący rozpozna zaraz stosunek istniejący między złem, a środkami zaradczymi, które Kościół im przeciwstawia, który trwa nieustannie, i trwać będzie nadal. Chcę to poprzeć niektórymi przykładami.

Szydzącej niewierze zeszłego stulecia przeciwstawił Kościół gorące nabożeństwo do Serca Pana Jezusa, które płomienną miłością puls wiary na nowo ożywiło. W naszem stuleciu przeciwstawił Kościół nieczystym tendencyom, grzesznym dążeniom i wszystkim namiętnościom wyzutym z obyczajności, jak też i wciskającemu się zepsuciu, Dogmat Niepokalanego Poczęcia, jako przykład niewysłowionej czystości. W obecnem pokoleniu, u którego przywiązanie do zysków ziemskich, uciech zmysłowych, jak też pokus pychy, wszelkie granice przechodzące, wskazuje Kościół św. Józefa, tego pokornego, czystego, pilnego człowieka pracy. Stara się ożywić cześć względem Niego, podnosi Go wysoko na ołtarzach, ażeby wzrok wszystkich mógł ku Niemu się skierować, pobudzając w ten sposób, gorącą miłość ku temu wielkiemu Świętemu!

A skuteczność tego środka dowodzi najlepiej mądrości jego obmyślenia! Dzisiaj w dzień św. Józefa, gdy mam do was przemawiać, nie mogę sobie wybrać bardziej pięknego przedmiotu, jak celowość Jego uczczenia. I to właśnie rozmyślać będziemy, ażeby ożywić w sobie

nabożeństwo względem Niego, to też bez dalszych spostrzeżeń przystępuję wprost do przedmiotu.

I. Jakież są ujemne strony naszych czasów? Szukajmy najpierw ich przyczyn. Pierwszą z nich jest pycha, która nas od Boga oddala, któremu winniśmy wszystko oddać, gdyż wszystko od Niego otrzymujemy. Co dzisiaj panuje w świecie? Ubóstwienie siebie samego. Dumą nadęta ludzkość woła do Boga te słowa zuchwałe: „Jesteś Bogiem, ale i ja chciałbym Nim być; mówisz, niema odemnie innego Boga, a ja do tego dodaję: oprócz mnie niema Boga innego“. Moje są usta, któremi bluźnię dowoli, moje jest serce, które plamię jak mi się podoba, moje ciało, które brudzę występkiem. I rzeczywiście nie jest inaczej, bo gdy się człowiek od Boga odłączył, gdy zaprzeczył istotę całego stworzenia, natenczas szuka w sobie tego środowiska i nietylko przeciw Bogu powstaje, ale i całemu światu! Nic niema wartości w jego oczach, co nie schlebia jego próżności i nie podnosi jego chwały, i wszystko poświęca na ołtarzu pychy. Panem chce być, zwierzchnikiem wszystkiego, i dlatego tylu niezadowolonych wimy na swych stanowiskach. Każden chce być głową, a nikt słuchać; każden królem, a nikt poddanym. Ale gdzie pycha berło zagarnie, tam bezład tylko i nieporządek panuje. Każden chce rozkazywać, a nikt słuchać, i tak wygórowana pycha do swego orszaku zalicza tylko buntowników i niewolników.

Drugie źródło zła nowoczesnego to pożądliwość. Złoty cielec, bardziej jak za dawnych czasów, stał się bożyszczem narodów. Poświęca mu się nietylko kadzidło, ale duszę, serce i sumienie! Zaprawdę jest to szatańska tyrania, która myśli, że wszystko jej wolno, a więc oszukańczą sprzedaż, niedozwolone bankructwo i srogą lichwę uprawiać. Honor, rodzina, ojczyzna, wszystko temu potworowi musi ustępować, podobnemu do obrzydłego ptaka wodnego, który ze swych bagien nie wznosi się nigdy w sfery wonią kwiatów przepojone; albo jak Anioł Miltona, który nad złotym potokiem schylony, wspaniałościom niebios pozwala się oddalać. Złoto, szczęście, zysk, jest dzisiaj miarą, podług której polityk, nacjonalista, ekonomista sądzonym bywa. I cóż tym ludziom mówić o wierze, cnocie i obyczajach! Zyskiwać, dużo zyskiwać, i zawsze zyskiwać, to jedno im na sercu leży.

Trzecim źródłem zła naszego stulecia to rozkosz; ścisły zachodzi związek między nią a pychą. Społeczeństwo pysznych zarówno jak Babilończycy nosi na czołach swych znamię zezwierzęcenia, zaprzeczają wyznaniu wiary, bo Dekalog jest im za uciążliwy, „Serce“, powtarzam za jedną sławną kobietą „czyni głowę chorą“. Nie obawiajcie się jednak, żebym wasze uszy opisem wszeteczności obrażał, zresztą niema tu żadnego, ktoby o nich nie wiedział.

Oto są źródła naszego upadku, szybka reakcya koniecznie jest potrzebna, a tylko w naprawie obyczajów może się ona znajdywać. Wszelki postęp, wszelkie usiłowania daremne będą bez tej koniecznej zmiany obyczajów, i wszelkie socyalne reformy nic nam bez tego nie pomogą. Ażeby tę zmianę obyczajów na lepsze wprowadzić tory, zaprasza nas Kościół do uczczenia Św. Józefa, bo ten wielki Święty cudownym przykładem jest i wzorem zachęcającym dla każdego, dla rodziny i społeczeństwa. Był On biednym rękodzielnikiem, chociaż z królewskiego pochodził rodu; cały majątek jego przed-

stawiał warstat, żyjąc z biedną również niewiastą i dzieciątkiem, które synem rękodzielnika pozwala się nazywać. Ale ten robotnik jest królem Świętych, a ta Niewiasta królową Aniołów, a to Dziecię Bogiem! Co za nauka! Można tu przytoczyć wersał Salomona: „Wszystko próżnością nad próżnościami, jeżeli się Boga nie kocha i Jemu nie służy".

Przystąpcie zatem wy bogaci do św. Józefa, nauczy On was pokory w zamożności, wyrzeczenia się dostatków, a ćwiczenia się w miłości bliźniego, w obyczajnej godności, w prawdziwej podniosłości serca, tak potrzebnej bogatym, i niezbędnej pobożności, gdyż jedynie potrzebnem jest szukanie królestwa Bożego, a reszta dodana wam będzie. św. Józef będzie was uczył jak kochać biednych bliźnich, którzy nie są waszymi niewolnikami, tylko braćmi przez Boga samego za szczęśliwych, a nie za upośledzonych uznani! A wy ubodzy przyjdźcie do Nazaretu i podziwiajcie jak Bóg biednego szanuje, kiedy mu tenże jest poddany, ale nie, kiedy szemrze, ubogiego który się modli i kocha, a nie tego, który nienawidzi i przeklina. Ubóstwo na wzór Jezusa to nie jest nienawiść względem bogatych, dla tego że są bogaci, a gdy ubogi pożąda mienia cudzego, przestaje być ubogim, a zostaje potępiony dla swej niedozwolonej żądzy. Wy biedni, którzy darmo rękę po okruchy spadające ze stołu bogacza wyciągacie, pójdźcie do św. Józefa, On do was zawoła: Odwagi, ubóstwo nie jest wstydem, tak jak bogactwo nie jest szczęściem. Tak, idźcie do św. Józefa, On także cierpiał ubóstwo, a cierpienia podobne naszym budzą w nas współczucie.

Druga cnota, którą wielbimy u św. Józefa, to Jego czystość; po Maryi był On najczystszym z ludzi! Mło-

dzieży! która skarb miłości i nadmiernej siły życiowej w piersi przechowujesz, zbliż się do św. Józefa, On cię nauczy skromności i obyczajności, umocni w ciężkiej walce życia, podeprze w upadku i ozdobi was symbolem czystości, lilią i różą, koroną chwały wiecznej!

Podziwiajmy dalej u św. Józefa przykład pokory; u Świętych widzimy ten lub inny wybitny promień świętości; u św. Józefa wszystko tak proste, zrównoważone i ukryte! Wie się mało, albo wcale nic o życiu Jego ziemskiem, a przecież On największy ze Świętych! On, którego Ewangelia sprawiedliwym nazywa, i skromnym Oblubieńcem Królowej Aniołów, wiernym Stróżem wcielonej w Jezusie świętości! Tak jest, ubogi ten zapoznany i nieznany cieśla posiada tajemnice nieba i ziemi, pracuje pokornie tam, gdzie Jego przodkowie berło dzierżyli. A teraz obok swojej Oblubienicy Przeczystej tronuje w niebiesiech, będąc żywym przykładem pokory, o której sam Bóg niezmieniający słowa swego powiada: "Kto się poniża, wywyższon będzie".

Przypatrzmy się teraz, jakie zło wypłynęło ze źródeł, które wyliczyliśmy powyżej. Najpierw obniżenie obyczajów, to chwytanie pozorów z pominięciem prawdy; jest próżnem zuchwalstwem, kłamstwem bezczelnem, bez obawy o jestestwo ludzkie. Ileż grobów pobielanych, zaiste więcej, aniżeli za dni Faryzeuszów, spotykamy w naszych czasach! Patrzcie, z pozoru wszystko bogactwem, szczęściem, prawością i uczciwością, ale podnieście w górę zasłonę, a zobaczycie zgniliznę i poczujecie woń pleśni!

O! pobożność dzisiaj w tym względzie często grzeszy i dużo religijnych ćwiczeń wartości niema, gdyż gruntują się jedynie na pozorach. A więc rozbudzenie

czci ku św. Józefowi jest reakcyą przeciw temu szkodliwemu kierunkowi. Znamienną oznaką świętości św. Józefa jest prostota Jego; sylwetka tego kochanego Świętego nie byłaby prawdziwą ani wierną, gdyby się Mu tę własność odebrało. Ta prostota jest szczerością serca; jedność z Bogiem przez zgodność uczynków z wiarą, jedność chrześcijańska z współbraćmi w zgodzie i miłości, a brak wszelkiej obłudy, jest to prostota, której przykład wzniosły daje nam św. Józef. W życiu swem ukrytem, nad stan się nie wynosząc, osiągnął ten wielki Święty cnoty najwznioślejsze i doskonałość najwyższą! O! gdyby chciano pojąć wielkość tego przykładu i na wzór św. Józefa zaprzeć siebie samego, żeby tylko dla Boga i bliźnich żyć, ziemia stałaby się rajem, a świat uratowanym by został!

Drugą przyczyną złego, które początek swój z owych mętnych bierze źródeł, jest upadek pracy. Przed upadkiem grzechowym praca była koroną chwały, po nim karą i trudem się stała. Dopiero Chrystus ją podniósł, rodząc się ubogim i czyniąc warstat pracy widownią Swej chwały i Swego majestatu, a głosząc swe nauki pod nazwą Syną rękodzielnika! Również z trzydziestu trzech lat życia Swego ziemskiego, trzydzieści spędził jako pomocnik, podnosząc w ten sposób pracę i świat z nią godząc! Dłonią Swą boską ujął za narzędzie pracy ludzkiej, a mądrości Swej na władanie siekierą ciesielską użył, i podobnie jak krople krwi przy ofierze zbawienia, tak perły kropliste potu przy cichej pracy w warstacie nazaretańskim okrywały skroń Jego! W ten sposób nadał Zbawiciel podwójny charakter pracy, charakter pokuty za grzechy i szlachectwa dzieci Bożych.

W dzisiejszych czasach jednak, usiłuje się odebrać pracy jej prawdziwe znamię, nie uważa jej się jako koniecznej pokuty za winy grzechowe, lecz jako drogę do spoczynku w gnuśności. Inni znowu, tacy jak niewolnicy uginają się pod jej ciężarem, wołając do zamożnych: „Dajcie nam pieniędzy, dużo pieniędzy, a sprzedamy wam pracę naszą“. Widzicie więc, w jaki sposób dochodzi się z jednej strony do wzgardy, a z drugiej do odrazy pracy. A głównym powodem tego jest chęć zysku i pragnienie zadowolenia swych namiętności. Nie szuka się pracy wyłącznie dla kawałka chleba, tylko żeby uzyskać środki do upajania się widowiskami teatralnemi, strojami i orgiami. Biedny robotniku, a cóż ci jeszcze zostaje poza tem?

Przyjdą złe czasy i oto znajdujesz się bezdomny, ze sztyletem w ręku i wściekłością w sercu! Ale patrz, religia wskazuje ci Jezusa, Maryę i Józefa! św. Józef, chociaż z królewskiego pochodzi rodu, poddał się chętnie ciężkiej konieczności pracy. A jak uszczęśliwia Go obecność, słowa, przykład i pociechy boskiego Dzieciątka Jezus przy pracy! On także pił z gorzkiego kielicha upokorzenia, wytężenia, i nawet braku pracy. Czy może być dla Ciebie pierwowzór wspanialszy? Przyglądaj się biedny robotniku Jezusowi, Maryi i Józefowi, czyż nie są Oni wzorem Twej godności, twej wielkości. Nie mówią ci Oni, że pot twego czoła bardziej jest cennym, aniżeli korona królewska? Że narzędzia Twej ręki więcej są warte, aniżeli miecz zdobywcy? Że śpiew, którym się rozweselasz w wolnych chwilach, podobny jest hymnom anielskim! Że dym z twej fabryki przyjemniejszym jest Panu, że stuk twej maszyny harmonią, która Świętych w niebie rozwesela! Na wspaniałych tronach posa-

dził Bóg synów pracy, spadkobierców Józefa tego cieśli, księcia arystokracyi ludowej, pierwowzoru rzetelnej pracy, który po śmierci tem wyżej był wyniesiony, im mniej na ziemi był znany!

Tak jest, św. Józef uczy robotnika, że choć pracę swą zawdzięczą maszynom ludzkim, to duszę Bogu tylko; że gdy pracą swych rąk zdobywa chleb codzienny, równocześnie na wieczną szczęśliwość oglądać się powinien i że teraźniejsze ubóstwo jest pewnym znakiem powołania go do niebieskiej chwały.

W takiej szkole uspakaja się serce robotnika, które co dopiero przepełnione było gorzką i dziką nienawiścią, bowiem wie, iż każdą kroplę potu zamieni mu Pan na klejnot drogocenny. A gdy jest ojcem rodziny, dom jego podobny będzie do domku w Nazaret, tego przybytku wszelakich cnót pokoju i miłości!

Inne znowu zło wypływające z wymienionego już źródła, a będące same przyczyną innych dolegliwości, jest niewiara. Poszczególny człowiek może się jeszcze za ateistę podawać, pozostając przytem w oczach ludzkich uczciwym człowiekiem, ale cały naród nigdy! Wstąpiłby wtedy bezwarunkowo w ślady dzikich zwierząt. Dzisiaj brakuje nam tego, na czem zbywało Rzymowi w dobie jego upadku. Nie bogactwa, ani postępy, nie nauki, ani prawodawstwa, tylko cnoty nam brakuje, ażeby się uchronić przed niechybnem zepsuciem. Nie potrzebujemy reakcyi politycznej, lecz religijnej, a wiary nietylko ludziom światowym brakuje. Gdzie jest dzisiaj nawet u tych, co się pięknem mianem chrześcijan szczycą, ta gorąca wiara męczenników i Świętych? Wierzy się, ale tak z przyzwyczajenia, i dlatego w przeciwnościach niezawsze ma się siłę odporną. Modlitwa bez szczerości, komunia

bez zapału i prawdziwej pobożności, bez prawdziwego nabożeństwa, są przyczyną, że strach przed grzechem opuścił nas. Ale jak ożywić na nowo wiarę! Wywyższając Świętego, który się najbardziej odznaczył, a więc św. Józefa! Poświęca On się cały Jezusowi; w słabości Dzieciątka Jezus widzi Jego wszechmoc i wierzy w Jego Boskość! Ukazuje Mu się Anioł i woła: „Uchodź zaraz wśród nocy“. Jest to ostrożność słabych a trwożliwych, którą Mu Anioł zwiastuje. Jakto? Czyżby trwoga dotarła i do Nieba? Jednak Józef wierzy i uchodzi. Jest to pierwowzór naszej wiary, jaką być powinna. Józef nic nie dyskutuje, tylko słucha, wierzy i modli się. Gdybyśmy i my przed każdą objawioną prawdą powiedzieli „Wierzę“ tak wobec Bóstwa Jezusa, tak wobec Sakramentów, jak w obliczu każdego Dogmatu, moglibyśmy przed ołtarzem św. Józefa słusznie o naśladowanie innych cnót Jego się kusić. Pismo święte mówi: „Niech ci się stanie według wiary twojej“. Wiara uświęca nas, ona jest podstawą dobrych uczynków i naszego zbawienia.

Mógłbym się na tem zatrzymać, ale chcę jeszcze odsłonić wam jedną przyczynę złego, którą dzisiaj zaliczyć można do najszkodliwszych, mianowicie upadek rodziny. Rodzina, źródło ludzkiego społeczeństwa, podstawa ojczyzny, opiera się na małżeństwie. Ale cóż się stało u nas z rodziną, co z małżeństwem? Roztrząśnijmy to, czego im nie dostaje. Najpierw zgodności charakterów; łączą się korony, tytuły, kraje i majętności, tylko o zgodność usposobień troszczy się niewielu. Ogólnie widzi się w małżeństwie interes, spekulacyę. Spojrzyjmy jednak na św. Józefa, łączy się On z Maryą, gdyż Jej cnoty Go pociągają.

W drugim rzędzie brak zgodności; nasze małżeństwa

podobne są tym podróżom, odbytym koleją, które dwa indywidua w oddzielnych wozach odbywają. Widzą się przy odjeździe, a spotykają wróciwszy, a może gdzie niegdzie w hotelach. Ale Kościół uczy nas, że Józef z Maryą w sercu Boga się połączyli.

W trzecim rzędzie brak obopólnego szacunku, który jest stróżem miłości. Kościół pokazuje nam Maryę uległą Józefowi we wszystkiem, a Józefa tak pełnego szacunku dla Maryi, że prawie nie śmie się zbliżyć do tego żywego Tabernakulum Najwyższego!

W czwartym rzędzie brakuje czystości. Możemyż powiedzieć, że nasze małżeństwa są skromnemi tak, jak nas o tem Pismo o Tobiaszu poucza! Więc wskazuje nam Kościół w św. Rodzinie niebiańskie małżeństwo ażeby miłość do czystości w świecie pobudzić.

Czyż w dzisiejszych małżeństwach nie widzimy również braku poświęcenia? Znosić się nawzajem, jest w małżeństwie bardziej potrzebną rzeczą, aniżeli kochać. Ktoż jest bez błędu? Niezawodnie nie celem obopólnego znoszenia błędów, gdyż te wykluczone były w tym świętym małżeństwie, ale do mężnego znoszenia prześladowań świata, ukazuje nam Kościół w św. Józefie pierwowzór ducha ofiary. Nie opuścił On nigdy Jezusa i Maryi, a przecież Jego związek z Maryą miał więcej cierni, aniżeli róż, więcej cierpień, niż radości.

Św. Józef jest także szczególnie pierwowzorem ojcostwa. W rodzinie brak zazwyczaj powagi ojcowskiej; patrz jak Józef rozkazuje, a Marya i Jezus słuchają! Jest On pierwowzorem ojcostwa, gdyż wie, że jest zastępcą Boga, cieniem Ojca niebieskiego. Ale dzisiaj zapomniano o boskiem pochodzeniu władzy ojcowskiej i dla tego ojciec niema odwagi doradzać tego, czego

zresztą sam nie wykonuje. Nie chcąc jednak być zastępcą Boga, stajemy się zastępcami szatana, i tem samem ofiarą niesfornych dzieci, które szatan do otwartej przeciw ojcu podjudza walki. Józef jest dalej doskonałym opiekunem. Z jaką miłością strzeże On Boskie Dzieciątko! Jezus chciał, żeby o Nim myślano, iż się zabłąkał w drodze; był to największy ból, jakiego doznał Ojciec Jego przybrany, i Bóg dopuścił, żeby Józef odczuł ból ten, dostarczając mu przez to zasługi odnalezienia Jezusa, i chcąc Go przez to uczynić wzorem ojców rodziny. A jakżeż strzeżeni są dzisiaj synowie nasi? Nawet pod dach ojcowski, do tego świętego przybytku rodziny, wciskają się liche książki, złe dzienniki, nieprzyzwoite rozmowy, i podobni im towarzysze, przyjaciele!

Jeszcze jednej właściwości zbywa naszym ojcom, a tą jest — być wychowawcami. Dzisiaj uczy się tylko a nie wychowuje, uczy się czytać a nie kochać, pisać a nie umacniać się w dobrem, zestawiać rachunki a nie badać sumienie; stara się o przyjemności i rozrywki, a nie o posłuszeństwo dzieci, zaznajamia się z modą a nie z cnotą. I stąd tyle nieszczęśliwych rodziców, głęboko upokorzonych, którzy swoją godność rodzicielską postradali wskutek karygodnej miękości i pobłażliwości. Mogą oni w św. Józefie ujrzeć wzór wychowawcy, którego to synem domniemanym chciał być Syn Boży.

W końcu brakuje rodzinom naszym matek. Tak, gdyby można zmienić serce matki, odmieniłoby się oblicze świata, gdyż na kolanach matki wychowuje się człowiek. Obecnie nie pamiętają już o miłości, gdyż Jezus został wydalony ze serca, duszy, oczów i obyczajów w tych rodzinach. Jedynie tylko Jezus, Król rodzin,

mógłby wprowadzić na nowo do rodzin ojcowską pieczołowitość i miłość matczyną, a posłuszeństwo i posłuch u dzieci. Zaszczepić na nowo Jezusa w serca dziecinne, oto powinien być cel wychowania; rozumem Go poznać, sercem ukochać, wolę Mu poddać, oto jest sekret skutecznego i użytecznego wychowania!

O! Rodzino z Nazaretu, błogosławiona Rodzino, opowiedz nam cuda, które kryłaś w sobie, ażeby Twój święty przykład mógł pouczyć nas naszych obowiązków i zarazem udzielił siły do wypełniania ich wszędzie i zawsze.

II. Czy uwierzycie mi, że jeszcze o jednej i to niemałej przyczynie złego muszę z wami pomówić? Jest nią zapoznanie chrześcijańskiego cierpienia, tak niestety; zapoznanie prawdy! Żeby dojść do nieba, trzeba przejść dolinę łez.

Okrutna to konieczność! Ażeby tę konieczność osłodzić, mówi Jezus: „Błogosławieni, którzy cierpią, albowiem jest ich Królestwo niebieskie". I dalej jeszcze: „Kto chce iść za mną, niechaj weźmie swój krzyż i wstępuje w ślady moje". W ten sposób będzie On naszym przewodnikiem, i przykładem swoim równa nasze uciążliwe drogi. Ale któż słucha dzisiaj tej boskiej nauki? Jedni podjudzani przez złych doradców przeklinają lekceważą swych panów, jak gdyby oni byli przyczyną wszystkiego złego. Inni zaś wołają: „Jeżeli Bóg jest, dlaczego pozwala, żebym tak bardzo cierpiał?" Ale wszystko ułożyłoby się całkiem inaczej, gdyby człowiek nie był zatracił właściwego pojęcia o życiu ziemskiem od którego cierpienie nie da się odłączyć. Życie jest walką i bojowaniem, i Rousseau pisał, że kto nie wytrwał w walce życia, nie jest godzień osiągnąć palmę zwycięstwa.

Ale patrzmy na św. Józefa, On to uczy nas cierpieć. Nikt oprócz Maryi nie wycierpiał tyle co On. Cierpiał w swej dobroci, która z rozkazu Boga przez prześladowania ludzkie na ciężkie próby wystawioną była. Cierpiał w swej godności, gdy widział się wzgardzonym, opuszczonym, zwłaszcza w nocy Narodzenia Pańskiego, i gdy musiał Matkę Bożą wprowadzić do chaty nędznej Podjął się trudu podróży; zakosztował chleba wygnania; przyjął na siebie domniemaną stratę Jezusa i obawę odnalezienia Boskiego Dzieciątka. Czy nie wskazuje nam to wszystko, że i my cierpieć musimy? Gdyby zabrakło cierpienia, zabrakłoby tem samem zadatku zbawienia.

Dlatego oby przykład św. Józefa był nam pociechą w naszych cierpieniach! Któż był bardziej od Niego uległym, pokornym względem rozporządzeń boskiej Opatrzności? I dlaczegoby nie miał być takim? Nie jestże Bóg nieograniczonym Panem i władcą? Ale tutaj właśnie wchodzi w grę pycha, która człowieka zaślepia. Nie chcemy Boga uznać Panem swego stworzenia, uważamy Go nie jako właściciela, ale jako dłużnika, odnośnie do wszystkich dobrodziejstw, które wyświadcza! Ależ wielki Boże, nie jesteś Ty naszym Panem, a jeszcze więcej naszym władcą, bardziej stokroć, aniżeli my panami zwierząt, które nam służą? Czyż nie Tobie należy się hołd wszystek? A cóż my jesteśmy, że śmiemy krzyżować tajemnicze drogi Twej nieskończenie mądrej Opatrzności? Czy nie jest największą pociechą myśl, że wszystko i wszystko, radość jak i smutek z Twej pochodzą ręki? To też czerpał św. Józef coraz to nową pociechę u Boskiego Dzieciątka Jezus. Jego obecność

zachwycała Go nieustannie. Jakież strapienie mogło Mu się wydawać wielkie, gdy Jezus dzielił go z Nim? Uczeń nie jest większym od swego mistrza, a skoro Syn Boży poddał się cierpieniu, jakże więc może uchylać się od niego nędzny człowiek?

Dlatego wy dusze, które cierpicie, niech was podniesie przykład św. Józefa! Miał On ku Swej ustawicznej pociesze Jezusa, lecz czyż nie macie i wy Go ustawicznie w Najświętszym Sakramencie Ołtarza? O! jak słodko i skutecznie rozmyślać te słowa jednego wielkiego Świętego: „Istnieją dwie piękne rzeczy w życiu, Komunia i cierpienie“. Zapewne, gdyby to wielkie tajemnicze prawo cierpienia zrozumianem było, zmieniłoby się natenczas oblicze ziemi. Każda klątwa i występek zmieniłby się w modlitwę. Zamiast zimnego egoizmu, tryumfowałby duch ofiary, i życie tutaj stałoby się rzeczywiście niebem na ziemi!

Ale bywa jeszcze zło daleko gorsze od cierpienia bez pociechy, a jest nim śmierć bez przygotowania. Nigdy częściej, jak za dni dzisiejszych nie zdarzało się tyle niespodziewanych wypadków śmierci w późniejszych latach, po długiem życiu, które bynajmniej nie było przygotowaniem do dobrej śmierci. Jest to właśnie groźne następstwo obojętności i bojaźni ludzkiej, które doprowadziły do tego, że i łoże śmiertelne strachem otoczone. Może nigdy jeszcze nie widziano tylu nieszczęśliwych ludzi, smutno kończących, a którzy mimo to z wielką pompą byli pochowani, święcąc prawdziwy tryumf bezbożności. Nie widziano może nigdy jeszcze tylu umierających w sposób pogański, a otrzymujących mowy pochwalne, podnoszące treścią swoją człowieka do rzędu zwierząt! Nigdy tyle wypadków śmierci u chłodnych

chrześcijan, którzy przez rodzaj swej śmierci niewiele pozostawili nadziei, co do zbawienia swej duszy nieśmiertelnej.

Chcielibyście z pewnością ujść tak smutnego losu, to też podaje wam skuteczny srodek ku temu wołając: „Udajcie się do św. Józefa! Jest On patronem dobrej śmierci, On, który ją miał najpiękniejszą, najsłodszą, najświętszą na rękach Jezusa i Maryi! Wyobraźcie sobie godzinę Jego śmierci; Z jednej strony klęczy Marya, płacze i modli się, z drugiej stoi Jezus, podpierając jedną ręką bladą twarz umierającego, a drugą wskazując Mu niebo: „Wejdź doń Ojcze ukochany“, tak mówi do Niego, „idź do mieszkania Świętych Patryarchów, jako miły wysłannik oczekiwanego wybawienia! Ale przyjm najpierw pocałunek pokoju Twego Jezusa, któregoś jako wierny ojciec strzegł i czule kochał“! Józef uśmiecha się na te słodkie słowa, i pozwala radośnie uściskać się Boskiemu Zbawicielowi, i tym uśmiechem, którym objawia zupełne poddanie się woli Bożej, chętnie i dobrowolnie rozłącza się z Jezusem i Maryą, którzy tak drodzy są Jego sercu i oddaje swa świętą duszę w ręce Stworzyciela.

O! jakże byłbym szczęśliw, gdybym i ja mógł tak, jak Ty chwały pełen Patryarcho, umrzeć w objęciach Jezusa i Maryi, z Ich słodkiemi Imionami na ustach! O gdybym mógł jak Ty umrzeć śmiercią sprawiedliwych! Z pewnością bracia moi, wszyscy możemy tak umrzeć, jeżeli będziemy wiernymi czcicielami św. Józefa, wzywając Jego pomocy, i gdy nasze usta zamkną się na wieki w tem ostatniem westchnieniu: „Jezus, Marya, Józef, światło moje, podporo i pociecho moja, i życie! Byliście mi słodką nadzieją w czasie, i pozostaniecie miłością moją, radością na wieczność całą“.

VIII.

Całun Pana naszego Jezusa Chrystusa.

W chwili przyjścia na świat Boskiego Zbawiciela, wrogo względem siebie usposobione, stały naprzeciw siebie dwa obozy, w jednym z nich znajdowali się żydzi, w drugim poganie. Żydom objawił wprawdzie Bóg swoje prawa, ale krnąbrny ten naród, coraz bardziej oddalał się od nich. Pogaństwo dobiegało swego kresu, lecz gdy zaświtała era chrześcijańska, ostatnim potężnym wysiłkiem kusiło się obalić krzyż, z którego spływały na świat potoki prawdy. — Walka ta przeciw Kościołowi, pomimo upadku pogaństwa, trwa nieustannie od dziewietnastu wieków, gdyż duch pogański, pobłażający wszelkim występkom i namiętnościom, nie może znieść widoku życia cnotliwego prawdziwie wierzących. Ta część ludzkości, która w obyczajach swoich zawsze pogańską została, ta wytoczyła wojnę Chrześcijaństwu, gdyż ono potępiało owo „inde irae“. Ażeby pogaństwu przywrócić na nowo władzę, zarządzili monarchowie pogańscy te krwawe prześladowania w pierwszych trzech

wiekach ery chrześcijańskiej, dając chrześcijanom do wyboru albo pokłonić się bogom, albo śmierć męczeńską na arenie amfiteatru. Aryanie i Gnostycy, którzy starali się zaprzeczyć boskości Jezusa Chrystusa, nie mieli innego celu, jak pchnąć świat na nowo w objęcia pogaństwa.

W siódmym wieku zjawił się Mahomet; i jakąż postawę zajął on wobec chrześcijaństwa? Przedewszystkiem zaprzeczył Jezusowi Chrystusowi Bóstwa, a potem przyjął część Jego nauki, z dodatkiem licznych błędów pogańskich, poświęcając namiętnościom ludzkim czystość i wzniosłość nauki Ewangelji. I jeżeli Koran ostał się po dziś dzień, to zawdzięcza on to wyłącznie tkwiącym w nim ziarnom Chrystjanizmu. Jednakże na południowych wybrzeżach Afryki, Mahometanie nie wzdrygali się przed ofiarami ludzkiemi, ażeby zażegnać grożącą zarazę. Ale i wśród chrześcijan powstała fałszywa nauka, która opierając się na panteizmie pogańskich filozofów, zaprzeczyła Objawieniu, głosząc zasady, że z ciałem ludzkiem i dusza umiera, i że użycie jest najwyższym celem życia. Nie zdajemy sobie dotychczas dostatecznie sprawy z tego, jak głęboko wniknęły w owych czasach formy pogańskie w społeczeństwo chrześcijańskie, i jak po dziś dzień trudno je wykorzenić doszczętnie.

Petrarka, który w czternastem stuleciu był świadkiem tych gorszących napaści filozofów na naukę chrześcijańską, powiedział: „W oczach tych filozofów ci wszyscy, którzy zwalczają Jezusa Chrystusa, są wielkimi ludźmi i wybitnymi umysłami, lecz ja im bardziej Jezusa Chrystusa poniżanym i prześladowanym widzę, tem bardziej uwielbiam Go i uznaję. Jak syn, który pała gniewem, gdy kto waży się naruszać sławę jego matki, tak

i ja staję się ogniem i płomieniem, gdy ktoś waży się szarpać świętość Kościoła".

Czyż tak nie dzieje się i po dziś dzień, czyż nie powstają przeciw Kościołowi zastępy biednej młodzieży naszej? Z katedr włoskich rozbrzmiewają wrogie Kościołowi nauki, bowiem niektórzy profesorowie tem właśnie chcieliby sobie zdobyć popularność i sławę uczonych, potępiając to, czego nawet nie znają. — Lecz prawdziwi chrześcijanie im bardziej Jezusa Chrystusa Zbawiciela Swego poniżanym widzą, tem bardziej skupiają się dokoła Niego, uznając Go za Pana swego i Boga, i płoną jak Petrarka świętym zapałem w obronie sławy Kościoła Matki swej.

Święta wasza spuścizna, Turyngczycy, jest też dla wielu przedmiotem czci najwyższej i uwielbienia, lecz i dla wielu przedmiotem zgorszenia. Na jej widok serce moje napełnia radość święta, a łzy, które cisną się do oczu na myśl o tych zbłąkanych braciach, osusza nadzieja i miłość gorąca. Cóż mam powiedzieć wam dzisiaj o tym świętym Całunie? Sławiły go po tysiąc razy wzniosłe umysły, głosząc i wielbiąc tajemniczy i święty blask Jego, a sklepienia domu bożego powtarzały mnogie razy te pochwały, i wszystko co mogło dla Niego wzbudzić w sercach waszych uczucie, i utrwalić je, wszystko to zostało już przedemną wypowiedziane. Chcę przemówić do was dzisiaj i ja, ale nie w formie panegiryka lub wykładu, pragnę tylko rozpłomienić jeszcze bardziej uwielbienie wasze dla tej przeświętej relikwii Pana naszego, i pragnę, aby cześć ta stała się podporą waszą w wierze, nadzieją waszą i miłością!

Turyngczycy, upraszałem was zawsze o pobłażliwość dla wszystkich kazań moich, lecz dzisiaj odwołuję

się do niej bardziej niż kiedykolwiek, gdyż inaczej nie byłbym w stanie o tym przedmiocie do was przemówić.

I. Bywają ludzie chciwi o tytuły, które im się wcale nie należą, bo sprzeciwiają się prawdzie, lecz gdy tylko widzą nas klęczących przed tą relikwią, wyśmiewają się z nas i mówią o głupocie przesądów i o profanacyi, jak gdyby ich rzeczą było wyrokować o sprawach Przedwiecznego, i oskarżają nas o bałwochwalstwo, zarzucając, iż wznowić chcemy rzymskie i greckie przesądy pogańskie. Zarzut ten nie jest nowy, jest on dawnym, zastarzałym błędem. Nie, uczczenie świętego Całunu nie jest przesądem, niedorzecznością, ani profanacyą! Cześć nasza dla Niego wypływa z mimowolnego popędu serca, leży w istocie natury ludzkiej, w świętości religii, jest wolą Bożą! Tak jest, powtarzam, polega na popędzie serca. Gdyby ktoś powrócił teraz z Afryki, i przywiózł wam chorągiew zbroczoną krwią bratnią, poległych w obronie ojczyzny, któżby z nas do ust nie przycisnął sztandaru tego i nie oblał łzami i nie przytulił do piersi wezbranej patryotyzmem i dumą narodową? Nie jestże dla nas ten święty Całun tym najświętszym sztandarem, nie jestże to chorągiew chrześcijańska, nosząca na sobie znamiona cierpień wyzwolenia?

Pomyślmy sobie o kimś, kto po długiem wygnaniu powraca do miejsc rodzinnych, gdzie przeżył szczęśliwe dnie swego dzieciństwa. Cała okolica, każde z jej zakątków, domy, drzewa, wszystko to zda się przemawiać do niego głośno. Chociaż z biegiem czasu zmieniło się niejedno, to jednak wspomnienia młodości opanowują go niepodzielnie, przepełniając serce słodką rzewnością. Wstępując do domu, który widział pierwsze jego kroki,

ogarnia go najpierw bolesne wzruszenie, a następnie obejmuje łagodne tchnienie miłości i spokoju; woń dobrego przykładu ojca i matki rozjaśnia wszystkie jego wspomnienia, wnika w jego serce i napełnia pobożnym zachwytem. Najzwyklejsze przedmioty wzbudzają niewymowne uczucie miłości, i mają w oczach jego wartość nieocenioną! Jeżeli może zerwać kwiat z grobu swoich ukochanych, lub jeżeli pozostawili mu medalik albo skromną jakąś pamiątkę, to przechowuje ją jako relikwię domowej świętości.

I jeżeli uczczenie to należy się słusznie tej relikwii rodzinnej, dlaczego tem więcej nie mielibyśmy czcić relikwię wiary naszej, jaką jest ten Całun święty, na który Jezus Chrystus nietylko że spoglądał, ale i ślady krwi Swojej, Swych ran i zarys Swego Ciała świętego zostawił?

Jeżeli rzucimy okiem na historyę narodów, to widzimy z jakim pietyzmem i z jaką czcią przechowywały pamiątki swych wielkich ludzi i bohaterów.

Świadczą o tem wznoszone im pomniki, a wszystko co do nich należało, staje się przedmiotem ogólnej czci narodowej! Z pewnością zdarzają się pod tym względem wyjątki, lecz świadczą one tylko jak daleko czasami powtarza się niewdzięczność ludzka; ale zostawmy na boku te wyjątki, które nie są czem innem jak potwierdzeniem ogólnej czci i pamięci oddawanych wielkim ludziom tego świata. Patrzmy jak to miasto szanuje pamięć jednego z tych synów swoich, który imię jego okrył chwałą, albo dowódcę, który walecznością swą uwolnił miasto i do potęgi doprowadził; lub też artystę, który stworzył arcydzieło napełniające świat podziwem! Po jego śmierci przechowuje naród dom,

w którym się urodził, lub w którym ostatnie wydał tchnienie, i poświęca go narodowej chlubie. Jeżeli tak wielką jest cześć narodów dla swych wielkich bohaterów, dlaczego pytam, nie miałaby religia swemu Boskiemu Założycielowi oddawać czci podobnej? I niechaj ci, którzy się tak chętnie z czci tej naigrawają, powiedzą nam, czy oni to może zwiastowali światu wolność chrześcijańską, obejmującą całą ziemię swem światłem wspaniałem? Czy oni to założyli tyle zakładów dla nędzy ludzkiej, w których ból bywa łagodzony, a cierpienie uśmierzane? Czy sprawili to oni, czy też nasz Boski Odkupiciel, który nadał światu te cudowne prawa, tak zbawczo wpływające na ludzkość? Oni to byli czy Chrystus, który cnotę z pyłu podniósł, poddaństwo z brutalnej przemocy uwolnił. i nadał prawny byt rodzajowi ludzkiemu? Nie, obyczaje naszej religii nie są fantastyczne lub przesądne, są bowiem głęboko zakorzenione przez Boga w rozum i duszę ludzką. Religia obejmuje nasze dusze i kieruje naszemi popędami duchowemi, leczy je i czyni godnymi Boga. Kult relikwii nie jest żadną miarą dobrowolnym aktem osobistej pobożności, lecz obowiązuje wszystkich katolików, zarówno będąc spadkiem wszystkich katolickich narodów. Kościół uposażył je swemi odpustami, pobożność treścią swoją, rozum swem uznaniem. Kult ten istnieje od samych zaczątków chrześcijaństwa. Św. Antoni posługiwał się w dniach pokuty pasem Św. Pustelnika Pawła; chrześcijanie przechowywali z prawdziwą czcią piasek, nasiąknięty i uświęcony krwią męczenników z amfiteatrów. Wszystkie narody chlubią się relikwiami swych Świętych, szczycą się ich świątyniami, w których klęcząc, wzywają przyczyny świętych Patronów swego kraju.

Kościół wiedzie nas do grobów swych Świętych, przez których Bóg czyni cuda swe. I czy ten objaw ostatni nie jest jawnym głosem nieba? Bo żeby zaprzeczyć cuda, trzebaby zaprzeczyć Boga samego. Jednak mówią niektórzy, że kult relikwi jest czcią oddawaną rzeczom materyalnym. A więc dobrze; lecz oni sami przytem nabywają przedmioty, które należały do jakiegoś sławnego artysty; za drogie pieniądze kupują starą monetę, albo nabywają kwiaty z grobu znanego poety; a nam czynią zarzuty, gdy okazujemy cześć i otaczamy się relikwiami naszych Świętych!

Trzeźwo rzecz biorąc, Całun święty jest rzeczywiście tylko kawałkiem płótna, lecz kawałkiem płótna skąpanego we krwi Chrystusa, ze śladami tych ran, które nas zbawiły; jest to płótno, które osuszało łzy Jezusa, które objęło Jego śmiertelne szczątki i stało się znakiem tryumfu naszego zbawienia! Ale wtrącają niektórzy, czy kult obejmujący przedmioty materyalne, nie jest jednak katolicką przesadą? A ja pytam, czy owi, którzy nam tę przesadę zarzucają, czy też oni sami przypadkiem nie starali się nabyć kapelusza, laski lub tym podobne materyalne przedmioty po ludziach, których uważali za wielkich? Protestują oni przeciw czci okazywanej Całunowi świętemu, lecz niechże protestują tak samo przeciw czci oddawanej przez wojsko sztandarowi swemu, dla którego żołnierz bez wachania życie swe oddaje. Przecież to nie jest cześć dla tej materyalnej strony chorągwi, która się w ten sposób manifestuje, tylko cześć pojęcia siły wolności i honoru ojczystego! W Całunie świętym widzimy świadectwo naszego zbawienia, które wzmacnia wiarę naszą, podtrzymuje nadzieję i miłość zapala.

Bo czyż nie powinien Całun święty wzmacniać wiary? Utrzymują niektórzy, iż twierdzenie takie jest istną niedorzecznością, jednak dla myślących i rozsądnych ludzi, nie jest to niedorzecznością żadną. W Całunie widzą oni Objawienie boskiej mądrości i uzupełnienie nauki Jezusa. Nasza wiara opiera się tryumfalnie na zmartwychwstaniu Pańskiem. Gdyby Chrystus nie był zmartwychwstał, nie bylibyśmy odkupieni, jak mówi Apostoł. Całun więc jest niejako świadkiem ale i dowodem Zmartwychwstania Jezusa. Po trzech dniach spoczynku w grobie, ujrzał Całun pierwszy zmartwychwstałego Chrystusa, otrzymał pierwsze Jego boskie spojrzenie, usłyszał pierwsze słowa, odczuł pierwsze uderzenie kochającego serca i padł na Niego pierwszy promień chwały, który z ran cierniowej korony zajaśniał na skroniach Boga-Człowieka, i wkońcu złożony został ręką Samego Zbawiciela, gdy Tenże powstał w chwale Zmartwychwstania. O święta relikwio, ileż ty mogłabyś mi opowiedzieć, jak delikatne poruszasz struny w mem sercu, jak dużo świętych wspomnień poruszasz w mej duszy! „Linteamina posita....“ mówi święty Jan Chryzostom, jest świadectwem Zmartwychwstania Jezusa. Gdyby uczniowie porwali byli zwłoki Chrystusa, nie traciliby z pewnością czasu na składanie Całunu, w którym zwłoki te owinięte były. Kościół w swych liturgicznych śpiewach pyta Magdaleny, co też ujrzała, gdy spotkała zmartwychwstałego Zbawiciela? A Święta odpowiada: „Ujrzałam Całun zwinięty“. A jest to właśnie ten Całun, który czcimy, a który owijał sobą śmiertelne szczątki Zbawiciela. Niepodobna zaprzeczać Jego autentyczności, wschód, zachód, historya i tradycya, zgadzają się w tem jednozgodnie, i nie było wypadku, ażeby łańcuch

tych dowodów przerywał się bodaj w jednem miejscu. Święty Piotr, pierwszy pasterz Kościoła, potwierdza Jego istnienie, a następnie wszyscy Papieże i Biskupi zatwierdzają również prawdziwość Jego. Monarchowie otaczają Go czcią i wznoszą Mu świątynie. Ludzkość wreszcie cała jednym wielkim głosem oddaje Mu hołd w ciągu wieków, a niebo samo chcąc prawdę tę zatwierdzić, zachowało Go nieuszkodzonym wśród płomieni aż po dziś dzień. A cóż mówi nam wiara święta? Przytakuje i ona chętnie i radośnie.

Tak o Jezu, Boski Odkupicielu, mój Nauczycielu i Zbawco, prawda wiary zstępuje z Twego świętego Całunu do mojego serca, jak niegdyś krew Twoja cenna spłynęła zbawczo na mnie z Twych ran.

Dla tych, którzy umocnieni są w wierze i ustaleni w nadziei, jest Bóg-Człowiek najwyższą i najświętszą tajemnicą, zespala się w Nim bowiem skończoność i nieskończoność, śmierć i życie, ból i radość, wzgarda i chwała, powstają z tej tajemnicy dwojakie prawa, obejmujące całe chrześcijaństwo, cały przeciąg dziejów jego, w którym obok śmierci stoi życie, Zmartwychwstanie i zbawienie nasze.

Narzędzia gorzkiej męki Chrystusa biorą niejako udział w Jego cierpieniu; Całun więcej aniżeli wszystko inne, i ma On dwojakie znaczenie. Będąc świadkiem poniżenia, cierpienia i śmierci, stał się hasłem Zmartwychwstania, Przemienienia i życia!

Jest znakiem śmierci, gdyż okrywał zwłoki Zbawiciela, a życia, bowiem świadkiem był Zmartwychwstania Jego. Ten podwójny symbol mówi nam, że próby i cierpienia życiowe przemieniają się w pociechy i szczęście wiekuiste. Tak jest, po ziemskich cierpieniach następują niebiańskie radości. Całun jest głosem tej pociechy z góry wołającej ludzkości: „Ufaj, ufaj!“ Jednakże ufność ta napotyka przeszkody z naszej strony. Pierwszą z nich jest pamięć mnogich grzechów naszych. Bo jeżeli moglibyśmy powątpiewać o miłosierdziu Bożem, to tylko z obawy sprawiedliwości Jego. Św. Paweł powiada: „Śmierć grzechowa krąży w żyłach człowieka“. Ale Chrystus przyjął na Siebie ciężar naszych grzechów, krew Jego i rany wołają ustawicznie do Ojca Przedwiecznego: „Przebacz, przebacz!“ a do nas: „Ufaj, ufaj!“ I dlatego powiedzieć nikt nie może, — grzechy moje są za wielkie, gdyż Całun przypomina nam nieskończone zasługi, które Boski Zbawiciel przez Swoje cierpienia zaskarbił ludzkości! Dlatego to z Całuna świętego wieje ku nam powiew miłości i wiary, tej miłości, która Chrystusa o śmierć przyprawiła! Więc i my wołamy na widok tego Całunu: „Któż mi da skrzydła jako gołębicy, ażebym się wzniósł ku Bogu mojemu?“ Chrystus poniżył się aż do ciemności grobu, ażeby nas podnieść aż ku chwale niebieskiej; i skoro spełnił tylko Swą ofiarę, odkłada Całun i powstaje wspaniały, pełen chwały w pośród zmarłych!

Drugą zaporą dla nadziei jest cierpienie; taką już bywa małoduszna natura ludzka, że gdy cierpi, czuje się opuszczona od Boga! Ale rzućmy okiem na Całun, a wstąpi do duszy naszej otucha i siła, bo oto Jezus Sam woła do nas, okazując ten Całun Swój: „Odwagi, odwagi synu mój! Czy chcesz żeby uczniowi lepiej się działo od mistrza?“

Dzisiaj cierpisz, lecz jutro radować się będziesz; dzisiaj w grobie, lecz jutro czeka na cię szczęście wiekuiste. Całun więcej od innych narzędzi brał udział

w Jego męce, obejmywał On w sobie rany, krew, łzy Chrystusowe, i dlatego szczególnie przez Niego uprzywilejowanym został. Do kogóż z nas nie przemawia ten Całun świętą swą wymową? Dlatego wy, którzy udręczeni jesteście cierniem złych myśli, schylcie czoła przed tym świadkiem miłości pełnym bólu! Wy, którzy cierpicie męki cielesne, stańcie przed tą świętą tkaniną, i rozmyślajcie o męce waszego Jezusa! Wy, którzy złorzeczycie pod ciężarem krzyża, oglądajcie ślady łez i krwi najświętszej Zbawiciela! Wy zasmuceni, zastosujcie się do tego świętego pierwowzoru — i Jezus cierpi, i Jezus umiera, lecz ten sam Jezus powstaje z martwych...., niechaj to będzie waszym balsamem i pociechą. Całun ten kryje w sobie coś bardziej jeszcze wzruszającego i słodkiego, kryje w sobie miłość, zapalającą miłość naszą, miłość zstępującą z nieba, upiększającą wiarę swą wonią i niewypowiedzianą radością. Miłość jest rozkoszą wybranych, jest boskim przekazem, i będzie przez całą wieczność szczytem wszelkich szczęśliwości! Jezus jest ogniskiem miłości, z miłości przyszedł na ten świat, ażeby dokonać dzieła naszego zbawienia. Ale nic bardziej nie przypomina nam cierpienia wypływającego z tej miłości, jak właśnie Całun! On to zawiera obraz, o którym przed wiekami mówił Prorok Izajasz: „Oblicze Jego będzie przedmiotem wzgardy, suknia Jego zbroczona krwią jak tego, który winograd wyciska“.

„Nie bierzcie jednak zgorszenia z tego“, nawołuje dalej Prorok; z miłości bowiem zstępuje On do łona Dziewicy, „z miłości cierpi i umiera, a z grobu Jego wytryska światło, które zapala ogień miłości“.

Z pewnością, że widok krzyża św. budzi w sercach naszych ogień miłości, ale nie bardziej od tego Całuna św.

mówi nam On: „Gdy ciało Jezusa okryłem fałdami memi, to nastąpiło spełnienie programu odwiecznej miłości, którą ongi Aniołowie w nocy wcielenia obwieścili ludzkości: „Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!“ Całun mówi nam dalej: „Strzeż się przyjemności, zaszczytów, grzesznych radości, bowiem one zabijają miłość. Odłączcie się od nich, tak jak Zbawiciel przy Zmartwychwstaniu odłączył się od tego Całunu“. Gdy spojrzycie na teraźniejsze społeczeństwo, ujrzycie z przerażeniem wzmagającą się bezbożność i egoizm. Gdzież znajdziecie ludzi jeszcze, którzyby Boga prawdziwie kochali, którzyby bezinteresownie do swych braci przemawiali: „Kochajmy się, jesteśmy tutaj na ziemi na to, ażebyśmy się nawzajem wspomagali i wspólnie do nieba doszli! A ty święta relikwio, ty przypominasz nam nasz cel i koniec ostateczny, i nawołujesz do miłości Jezusa! Gdybyśmy mogli naukę naszą w czyn wprowadzić, natenczas miłość na ziemi zmieniłaby się w wieczyste szczęście w niebie.

Nie dziwmy się zatem oddawanej temu św. przedmiotowi czci, i ogólnego dla niego uwielbienia. Podziwiamy pomniki, które wznoszą Mu książęta, i pobożny zapał, którym Go w ciągu wieków obdarzają wierni. O! bo widok obrazu tego łzy z ócz naszych wyciska, a dusza orlim lotem wznosi się ponad przestrzeń czasu, przypada do góry Kalwaryjskiej, wciska się do Grobu św., a następnie szybuje poprzez chóry błogosławionych duchów, i szuka w blasku niebios uwielbionej Ofiary zadośćuczynienia, szuka jagnięcia, które zabite zostało, aby odżyło, i porwana św. zachwytem, pada na kolana, i łącząc się z chórem Aniołów, woła: „Chwała,

cześć i uwielbienie Temu, który króluje z wysokości Tronu Swego".

II. Wszystkie rzeczy tu na ziemi mają swe znaczenie symboliczne, i słusznie Gioberti mówi, że niema nic piękniejszego nad to tajemnicze wyobrażenie tychże. Także i Całun ma takie symboliczne znaczenie, a jest niem miłość! Całun, ta tajemnicza zasłona, uzmysławia niejako tę drugą zasłonę, pod którą podobało się Bogu dobroć Swą ukrywać. Zatrzymując wzrok na tem wspaniałem dziele stworzenia, porywa mnie ono do uwielbienia Boga, i widzę Majestat Jego, ale nie Boga samego; Stworzenie jest tą zasłoną, pod którą się Jego dobroć ukrywa.

Dalej przechodzę koleje wcielenia Bożego. Patrzę na człowieka, który płacze, cierpi i umiera, lecz o! dziwo, wraca z powrotem zmartwychwstały. Jego człowieczeństwo było tylko zasłoną, którą się miłość Jego osłoniła. Wyobrażam sobie Wieczerzę Pańską, przy której tak Chrystus do uczniów Swych przemawiał: „Bierzcie i pożywajcie, to jest Ciało moje. Pijcie, bo to Krew Moja!"

Szukam tej krwi i ciała Boskiego Zbawiciela, a widzę tylko Eucharystyczne postacie zmysłom moim podpadające. Eucharystya zatem jest zasłoną Jego Boskości.

Przypominam sobie słowa Jezusa Chrystusa:

„Pozostanę z wami aż do skończenia świata!"

Szukam Jezusa w kościele, ale widzę tylko jak ten Kościół się rozrasta pomimo prześladowania i walki, bo i kościół jest zasłoną Jezusa Chrystusa, zasłoną Jego zwycięstwa! Wasze nabożeństwo do św. Całunu ma również coś tajemniczego w sobie; dusza wasza odnajduje w Nim zasłonę, w którą Jezus ukrył się przy śmierci.

I gdyby kiedy pyszna, nadęta krytyka zarzucała wam fantazyę, dzieciństwo i brak zmysłu rzeczywistości, to ze wzgardą odeprzyjcie te pedantyczne napady i słowa bez znaczenia.

Odpowiedźcie z dumą godną waszych zasad: „Nie, to nie jest fantazya, gdzie rzeczywistość do rozumu i serca przemawia, nie jest żadnem dzieciństwem, żadną niedorzecznością, to co historya i tradycya utrzymuje, i czem wiarę moją podtrzymuje. A jeżeli jest nieumiejętnością, to przenoszę ją nad wasze niedowiarstwo, które mnie wszelkiej pociechy pozbawia i podpory. Wiara oświeca mnie, nadzieja podtrzymuje, a miłość łączy chrześcijan współbraci i do Boga podnosi!

IX.

Ojczyzna.

Obserwując człowieka, widzimy, iż nie żyje on tylko życiem prywatnem w zaciszu domowego ogniska, ale także życiem publicznem; wykonując bowiem swój urząd państwowy lub miejski, wykonuje prawa, spełnia urząd, używając przywileji z których wypływają obowiązki. Widzimy, że człowiek nie tylko bierze czynny udział w tym miłym, małym świecie, który się rodziną zwie, ale także w tym drugim, dużo większym, który nazywa się ojczyzną, widzimy, że nie tylko nosi imię ojca, syna, małżonka, ale także piękną nazwę obywatela! Niech was to nie dziwi, że słyszycie te słowa z wysokości kazalnicy. Wiem, że słowo to, jak wiele innych sprofanowanem było przez bezbożne doktryny, nadużyte w antysocyalnych celach. Lecz gdy zostanie raz wymówionem pod sklepieniem domu Bożego, wymówione przed ołtarzem i przed ukrzyżowanym Jezusem, zostanie oczyszczone i uzyska pierwotną swą godność, tę godność, to szlachectwo, które Św. Paweł wysoko cenił, gdy się pogańskiemu Prokonsulowi powoływał na prawa swoje, jako obywatel rzymski.

Co zatem określa nazwa ta, to wyrażenie? Życie obywatelskie i obowiązki, które ono nakłada, przedstawiają dzisiaj jedną z najważniejszych spraw, któremi chrześcijanin zająć się powinien, a ponieważ jest to właśnie punkt, koło którego po największej części grupują się fałszywe idee, które nasze stulecie wiodą do zepsucia. Nie ma może przedmiotu, koło którego by się gromadziły groźniejsze niebezpieczeństwa i groźniejsze chmury; jak właśnie około niego; a gdy tym chmurom bliżej się nieco przyjrzę, to widzę, iż powstały one z błędów i oskarżeń, z oskarżeń rzuconych na katolików, żeby ich obalić, obrazić w ich charakterze miejskich obywateli; z błędów, które dla życia mieszczańskiego żądają zupełnej niezależności od zasad chrześcijańskich, nawet od Boga samego!

Pytam was, czy mają podstawę te oskarżenia? A te błędy na jakim opierają się fundamencie? Rozpatrzmy to dzisiaj; chcę wam pokazać, jak wiara nasza daleką jest od tego, żeby obrażać patryotyczne uczucia, przeciwnie, jest najpewniejszą ich gwarancyą; chcę wam przedłożyć, do jakiego stopnia wiara nasza nie sprzeciwia się zupełnie obowiązkom dobrego obywatela, lecz przeciwnie, staje mu się w wypełnieniu tychże skuteczną pomocą. Zbytecznem nawet byłoby tutaj zaznaczać wyraźniej, że żadną miarą, nawet ubocznie, nie chcę tykać kwestyi politycznych. Znacie mnie już na tyle i wiecie, iż głoszę tylko Ewangelię i wystrzegam się, by nie zawadzić o kwestye, które z mojem zadaniem nie mają nic wspólnego. Jednak mogliby niektórzy podsunąć słowom moim błędne znaczenie i cel, którego one nie mają, więc dlatego niechaj wiedzą wszyscy, iż stałoby się to zupełnie wbrew mojej woli.

I. Skąd pochodzi ta ogólna nieufność względem ka-

tolików, skąd prześladowania, do których przeciwnicy po dziś dzień uciekać się nie wzdrygają? Widzimy, jak inne wyznania pozostawione bywają w spokoju, nikt się o nie nie troszczy; nawet przewrotny ateizm zażywa spokoju, który przecież jednem swem pchnięciem całą budowę ludzkiego społeczeństwa zachwiać zdoła. I nikt nie myśli wystąpić przeciw niemu. Tylko katolika uważa się jako obcego wśród swych braci. Tylko katolika chcianoby pozbawić praw wszelkich; jego tylko chcianoby wyłączyć z pośród społeczeństwa cywilizowanych narodów. Dlaczegóż tak jest? O, nienawiść ta nie jest dzisiejszą, postępowanie to nie jest nowe, sięga ono do początków chrześcijaństwa. Tak samo mawiał pogański Rzym, tak samo się zachowywał względem pierwszych chrześcijan, i skoro nie chcieli się pokłonić ich bożkom, uważani byli za złych obywateli, chociaż zresztą pozatem podporządkowywali się w zupełności pod prawa państwa rzymskiego. Ponieważ jednak ugiąć się przed ich wstrętnemi bożyszczami nie chcieli, wyłączeni zostali z tego strupieszałego społeczeństwa, które dobrze wiedziało, że nie może żyć dalej po swojemu na widok tych cnót niebiańskich, których przykład ciągle przed oczyma mieli.

Niezawodnie po dziewiętnastu wiekach dobrodziejstw chrześcijaństwa, moglibyśmy słusznie mniemać, że chrześcijanie dali dostateczne dowody swego wiernopoddaństwa. Ponieważ jednak w nieszczęsnym wieku, w którym żyjemy, z niepojętą zawziętością wygrzebują się z popiołu przesądy, które zdały się być dawno pogrzebane i podsyca się na nowo nienawiści, które zda się zagasły, nie pozostaje nam nic innego, jak podjąć na nowo argumenta dawnych apologetów. Cóż mówili oni

rzymskim Cezarom, taki Origines, Tertulian, taki Cypryan? Wykładając Ewangelię wykazywali, że zasady jej okazały się najwłaściwszemi i najskuteczniejszemi do wykształcenia dobrych obywateli i przytaczając niezbite przykłady, żądali, aby przedstawiono obywatela, któryby był bardziej uległym zwierzchności, aniżeli ci, którzy byli zwolennikami Jezusa Chrystusa.

Któreż to są rzeczywiście obowiązki, do jakich zobowiązany jest dobry obywatel? Pierwszym obowiązkiem jest poszanowanie prawa, władz, które utrzymują porządek w kraju, które kraj strzegą przed wszystkiem, coby zakłócić jego byt, wielkość i spokój mogło. Czyż jednak wiara nasza lekceważy te obowiązki? Czy nie umacnia powagi prawa, okazując nam zwierzchność jako odblask autorytetu nieba, uszlachetnia posłuszeństwo, ucząc nas nie zapatrywać się nań jako na niewolniczy obowiązek, lecz jako na hołd dla źródła porządku? Czyż nasza wiara nie popiera i nie uświęca tych obowiązków? Czyż śmianoby katolickim nazwać tego, któryby pogardzał tymi obowiązkami? Nigdy, ponieważ działałby wbrew nauce i przykładowi Jezusa Chrystusa, grzeszyłby przeciw nauce Apostołów, przeciw wszystkiemu, co Kościół uczy i nauczał.

Działałby wbrew nauce i przykładowi Jezusa Chrystusa. Przykład tego boskiego nauczyciela i Mistrza, Jego uległość dla władzy, Jego poważanie prawa, datują się od samej kolebki, bo z tej to kolebki właśnie uczy nas poważania prawa i uległości. Urodził się w Betleem, dokąd zaprowadził Go nakaz obliczenia ludności; został więc uobywatelnionym, urodzenie Jego zarejestrowane zostało w publicznej gminie. Rośnie, stosując się do praw swego kraju, od których się nigdy nie usuwa. Pewnego

dnia przyszli do Niego urzędnicy podatkowi i zażądali od Niego podatku; pytają Piotra, czy Jego Mistrz płaci obowiązujące podatki. A Piotr odpowiedział, nie pytając nawet Jezusa: „Z wszelką pewnością!"; tak bardzo znał obyczaje swego Mistrza. I w samej rzeczy, Jezus, pomimo Swego boskiego charakteru, który Go uwalniał od podatku, mimo Swego ubóstwa, które Mu uniemożliwiało płacenie tegoż, wolał raczej uciec się do cudu aniżeli uchylić się od tego, co było uważanem za obowiązek obywatelski.

Przyjrzyjmy się tedy nauce Jezusa Chrystusa. Faryzeusze zapytali Go dnia pewnego: Czyli godzi się płacić czynsz cesarzowi, czyli też nie?" Żądali oni od Niego tym sposobem aktu politycznego wyznania wiary. Pytanie było trudne i niebezpieczne. Gdyby się był oświadczył za Rzymianami, mógł być pewnym, iż z dumnych Izraelitów uczyni sobie wrogów; jeżeli zaś naruszy prawo podatkowe, wykazany będzie przez gminę, jako podburzyciel. Sieci więc zastawione były z wielką chytrością. Jednak, podczas gdy ludzkość łapie się w tego rodzaju paście, postawił Boski Zbawiciel kwestyę tę wyżej i jednem słowem rozwiązał oba te obowiązki człowieka, odłączając prawa Boskie od praw ludzkich: „Oddajcie cesarzowi co jest cesarskiego, a Bogu co jest boskiego!"

Inny również wielki przykład posłuszeństwa względem zwierzchności dali nam Apostołowie. Idąc za przykładem i słowami Jezusa, ich boskiego Mistrza, ulegają prawom swego kraju. Posłuchajcie Pawła Św., który pisze: „Słuchajcie zwierzchności, gdyż każda zwierzchność pochodzi od Boga". Chce On, żeby było oddane każdemu, co się mu należy, a więc szacunek, komu szacunek powinny, a daninę, komu danina należną. Możnaby spisać traktat prawa cywilnego, gdyby się zebrało to wszystko, co Św. Paweł odnośnie do tej kwestyi w Swych pismach zostawił. Św. Piotr, książę Apostołów, pisze: „Bądźcie podlegli stworzeniom z miłości dla Boga". Okażcie się ludźmi wolnymi, ale nie takimi, jako ci, którzy się posługują fałszywą wolnością jak zasłoną, aby pokryć niegodziwość swych czynów.

Lecz nauka nie wystarcza; muszą jej bowiem odpowiadać również i postępki. Dziesięć milionów męczenników za czasów przed Juliańskich, którzy oddali swe życie za wiarę, są wspaniałym komentarzem do słów świętego Apostoła.

Kościół dokumentował zawsze słowa Jezusa Chrystusa; i On, który naukę Jezusa Chrystusa w czyn wprowadzał, bronił jej zawsze przeciw jej napastnikom. Gdy Kalwin starał się dowieść, że wyznawcy Ewangelii w sumieniu swem obowiązani nie są do posłuszeństwa względem praw obywatelskich, podniosła się cała Katolicka szkoła, ażeby go zwalczyć.

W jednym tylko wypadku, mianowicie gdyby prawo obywatelskie stanęło w przeciwieństwie z boskiem, tylko natenczas nie obawiamy się, my katolicy, wystąpić przeciw nieprzyjaciołom Boga i powiedzieć im wraz z Apostołem: „Trzeba Boga więcej słuchać, aniżeli ludzi! Rozstrzygajcie sami w tej kwestyi!" Skąd jednak przychodzą te oskarżenia? Wyszły one od ludzi, którzy nie umieli ustrzedz świętości swego kapłańskiego stanu i dlatego udawali się tu i ówdzie, ażeby te zgubne szerzyć nauki, których echo dzisiaj nie przebrzmiało jeszcze. Ale katolicy mają tutaj do przeciwstawienia wymowną obronę. Przypomnijcie sobie tego starego Rzymianina, którego

oskarżono pod koniec życia jego, jakoby konspirował przeciw ojczyźnie. Zamiast wszelkiej odpowiedzi, odsłonił on pierś swoją i pokazał blizny, które pozostawiły rany, zadane mu przy obronie ojczyzny. Ten dowód uwolnił go od dalszych dochodzeń. Czyż katolicy Irlandyi, Anglii i Francyi nie mogliby uczynić tak samo? Czego bowiem nie wycierpieli oni? Agitatorami nie byli nigdy, lecz chociaż wiernymi byli krajowi, który w zamian tylko anatema i prześladowanie miał dla nich, powątpiewano o ich miłości dla ojczyzny, i nie chciano uznać, że i oni mieli wszelkie prawa wolności. Rany ich nie są jeszcze tak zabliźnione, żeby wszystkim nie wpadały w oczy, ich więzy nie są jeszcze od tak dawna rozerwane, ażeby nie mogli śladów ich udowodnić; mogą powołać się na świadectwo tych niemych świadków, mogą powiedzieć śmiało nieprzyjaciołom; „Dajcie wy podobne dowody wierności dla waszej ojczyzny, a wówczas przyjdźcie i zmierzcie się z nami!“ Drugim obowiązkiem dobrego obywatela jest miłość dla ojczyzny. Ojczyzna! Co za wielkie słowo! Ojczyzna, ta idea, która stoi przy kolebce każdego narodu, ta wysoka, czci godna idea, którą wszędzie najgorętsza otacza sympatya, wszędzie najwznioślejsze wywołała ofiary! Tak, miłość ojczyzny jest jednem z tych nieśmiertelnych uczuć, które podobnie, jak uczucie dla rodziny, nie zostało narzucone przez ludzi, lecz przez naturę w serce ludzkie wszczepione. Wszędzie i zawsze żąda ojczyzna miłości i przywiązania. Córka Moaba wyrzekła do tego, któremu została oddaną za żonę: „Pójdę z tobą wszędzie, kędy ty pójdziesz, twój naród będzie moim narodem, twój Bóg moim Bogiem!“ W tych słowach zawartym jest wyraz naturalnego uczucia. W idei ojczyzny zajmuje element

religijny uprzywilejowane miejsce. Jaką była dawniej dewiza patryotyzmu? „Za ołtarz i ognisko domowe!“ Przedewszystkiem bronić ołtarza, bronić go wpierw aniżeli żony i dzieci, tak pojmowali hasło to bohaterowie dawnych czasów, tak brzmiał napis na ich sztandarach i tak wyryte były słowa te w ich sercach.

„Pro aris et focis! Za ołtarz i ognisko domowe!“ Ateny, które pod Termopylami i Maratonem zdobyły sobie nieśmiertelność, wypowiedziały przez usta jednego ze swych poetów: „Ołtarz więcej jest wart od fortecy, nie można wyobrazić sobie istnienia ojczyzny bez ołtarza; niema ojczyzny bez Boga, tak jak niema żyjącego ciała bez duszy, a Bóg jest duszą ojczyzny“. Znajdujecie zatem głębię patryotyzmu u tych, którzy umieli w sercach swoich łączyć podwójną miłość, religii i ojczyzny.

Zapytajcie tylko Machabejczyków, co ich tak bardzo przeciw królowi Syryi, temu potężnemu nieprzyjacielowi imienia izraelskiego podburzało, a odpowiedzą wam: „Lepiej paść z bronią w ręku, aniżeli patrzeć na znieważanie świętości!“ Gdyby chodziło o nich samych, o ich rodziny, to ugięliby się może wobec konieczności. Lecz gdy w grę wchodzi swiętość, budzi się w nich siła i odwaga, która stwarza męczenników. Od widoku świętokradzkich rąk podnoszących się na ich ołtarz ofiarny, przekładają po tysiące razy śmierć, szczęśliwi, jeżeli padną na polu chwały, gdyż ujdą przez to bezecnej hańby.

Czyż nie widzimy, iż Rzym burzy ołtarze zwyciężonych narodów, żeby obok wolności pozbawić ich i ojczyzny? Czy chrześcijan, jak to wam z początku mówiłem, nie dlatego uważano za nieprzyjaciół państwa, ponieważ nie chcieli wielbić fałszywych bogów? Nawet

błąd popiera nasze twierdzenie; gdyż są prawdy, których nic zaprzeczyć nie może. Jakżeby zdołał młody żołnierz bronić swej chorągwi bez tego kultu dla niej, która jest istotą ducha wojskowego? Czy nie miały może te wojenne znaki, które niesiono przed wojskiem na pole bitwy, wszystkie religijnego znaczenia? Od czasów szlachty rzymskiej do czasów Labarum Konstantyna, od Labarum Konstantyna, aż do godeł naszych republik, aż do sztandarów naszych żołnierzy, czy istniała jakakolwiek tego rodzaju oznaka, któraby co do swego źródła albo swej formy nie zawierała religijnego pierwiastku? Czy jest chorągiew, któraby chociaż raz pobłogosławioną nie była, któraby chociaż raz nie zbliżyła się do ołtarza? Gdyby chciano sekularyzować te chorągwie, gdyby na miejsce wierzącej ojczyzny ustanowić chciano nową bezbożną, czem natenczas zdołanoby rozbudzić ten heroizm, ten zapał, którego wymaga patryotyzm?

Mówicie jednak: „Pozostawmy inne religie na boku, lecz wasza wiara sprzeciwia się z pewnością miłości ojczyzny". Miałażby nasza wiara sprzeciwiać się miłości ojczyzny? Bez wątpienia, gdyby miłość ojczyzny zawartą była w okrzyku samolubnej ambicyi, albo w zupełnej anarchii, gdyby miłość ojczyzny polegała na namiętności, na utopii, natenczas oczywiście mogłaby potępić ją wiara. Gdy jednak miłość ojczyzny polega na gorącem pragnieniu, ażeby uczynić ojczyznę wielką i potężną, czcić ją przez cnoty, wiedzę, sztukę i przemysł; gdy miłość ojczyzny polega na wspaniałomyślnem postanowieniu poświęcenia jej majątku, nawet życia, ażeby poprawić jej byt, ażeby bronić jej granic przeciw zaborowi cudzoziemców, gdzież znajdujecie wtedy przykład, iż wiara potępiła ludzi choćby raz jeden? Jezus Chrystus,

Alfa i Omega wiary naszej, uczył nas Sam, jak powinniśmy czcić ojczyznę. Któż się ofiarował w bardziej heroiczny sposób dla dobra ojczyzny, jak Jezus? Przyszedł, żeby wszystkich odkupić; a przecież gorące wylanie Swego kochającego serca, szczególnie ojczyźnie swojej poświęcił, dla niej jedynie zachował porywającą wymowę Swego słowa. Któż płakał więcej nad nieszczęściem ojczyzny, aniżeli Jezus? Nawet w drodze do miejsca Trupiej Głowy, zapomina o cierpieniach Swego Serca własnego, ażeby skarżyć się nad upadkiem Jerozolimy, która Go przecież na śmierć wydała; dlatego to powiedział do niewiast płaczących: „Nie płaczcie nademną, ale nad sobą i synami waszemi!

Dla nas zawiera ojczyzna w sobie Pana naszego Jezusa, który począł i rozniecił miłość wszelką; pokój Ewangelii, łaskę Sakramentów, ten ołtarz przy którym przyjęliśmy pierwszą Komunię, relikwie Świętych, historyę przeszłości, nadzieję przyszłości — wszystko to zawartem jest dla nas w ojczyźnie, tak samo, jak dosłuchujemy się w niej głosu bożego, który powołuje narody do ich przeznaczeń i obowiązków. Porównajcie tę dawną i tę nową, przez chrystyanizm odnowioną ojczyznę, i cóż widzicie? Cóż brakowało tym starożytnym narodom, gdy je badamy z punktu widzenia ludzkiego? Zaiste nie brakowało im uczoności i rozumu, nie poloru społecznego uobyczajenia, lecz pod tem wszystkiem kryło się błoto, krew i łzy. Zdobycze naukowe nie rozszerzały granic ojczyzny, tylko panowanie oręża. W sercu zwycięskiego narodu wznosił egoizm szańce, które odtrącała ojczyzna. I gdy hordy barbarzyńców jak gdyby ognistą lawiną zalały Europę, któż z gruzów tej Europy, którą natenczas można było nazwać tabula rasa, poczucie narodo-

wości podniósł, a mianowicie narodowość chrześcijańską na nowo wzbudzić potrafił? Kto tym chrześcijańskim narodowościom dał poważania i szacunku godną ojczyznę? Wiara.

Bez wątpienia w czasach, w których panowała wiara zdarzały się występki; ale kiedyż ich nie było? Ale wówczas zachowywano przynajmniej poczucie ludzkiej godności; wówczas mogła wolność zwycięsko opierać się egoizmowi; natenczas miano jeszcze polot ducha, moc charakteru, odwagę, która do heroizmu zagrzewała! Hiszpania przez cudzoziemca powalona, wypartą została aż po góry Asturyi; ale pod dowództwem Świętego, piędź po piędzi zdobyła napowrót ziemię ojczystą. Polska i Węgry wspierane patryotyczną miłością, którą wiara wlewa, stworzyły również wał ochronny przeciw najazdowi nieprzyjaciół religii. Anglia ze swą wyspą Świętych, szczyci się autorstwem praw, które z wolnością narodu pogodziły autorytet królewski. I podczas gdy w naszych Włoszech powiewają wszędzie sztandary możnych republik, nastąpił równocześnie w nauce i sztuce genialny rozwój; usłyszawszy bowiem takiego Dantego i Savonarolę stanęły w podziwie przed mistrzowskiemi płótnami Michała Anioła i Rafaela. O Francyi powiedział nawet protestant jeden, że kraj ten jest jedynie dziełem swych biskupów. A Szwajcarya, która wzrosła pod ożywczem tchnieniem wiary, która rzec można, wiarą wykształconą została, jest niezaprzeczenie najchwalebniejszym, najpiękniejszym odłamem chrześcijańskiej ojczyzny. Jest to więc kłamstwem, że wiara nasza sprzeciwia się miłości ojczyzny. Przeciwnie, wiara uczy, że miłość ojczyzny jest obowiązkiem i cnotą.

Z miłością do ojczyzny musi się także łączyć miłość dla bliźnich. Wiecie z doświadczenia tak dobrze jak i ja, że nie zawsze łatwo kochać bliźniego, że trzeba sobie na to często gwałt zadawać i że wymaga to często heroizmu i ofiary. Musi się gwałt sobie samemu zadawać, ażeby przezwyciężać antypatyę, przebaczać uchybienia, ażeby nieprzyjacielowi rękę podać do zgody. Któż jednak dodaje nam siły, aby w tych warunkach odnieść zwycięstwo nad samym sobą, któż wlewa w naszą pierś te uczucia? Przecież tylko wiara. Mówi ona do nas: „Kochaj Boga i bliźniego twego!“ Wiara, która nam przedstawia Jezusa Chrystusa na krzyżu; uczy nas, że gdy usuniecie wiarę z miłości bliźniego, stanie się ona zaiste tylko interesowną. Bo na czem ogranicza się miłość bliźniego u tych, którzy o wierze wiedzieć nic nie chcą? A siłę, żeby antypatyę przezwyciężyć, przebaczyć krzywdę, gdzież ją znajdziecie?

Ludzie są właśnie niewolnikami antypatyi względem siebie nawzajem i ta antypatya rozciąga się czasem nawet, aż do barwy i kroju ich sukni! Spotyka się tak często podróżnych na kolei, którzy wsiadając do wagonu, w którym jakiś biedny braciszek klasztorny miejsce zajął, uciekają wnet stamtąd, nie chcąc nic mieć z nim do czynienia. I tacy ludzie mówią o wolności, o obyczajach nie mając nawet wyobrażenia o dobrem wychowaniu i przyzwoitości. Cóż mam dalej mówić o zadawanym sobie przymusie, gdy chodzi o przebaczenie obrazy? Czytajcie gazety, a przekonacie się, iż są przepełnione kłótniami, pojedynkami i zemstą. Cóż dopiero mówić o heroizmie? Nie o heroizmie, ale raczej o egoizmie może być mowa, o egoizmie do szpiku

kości, który wszystko sprowadza do zimnego wyrachowania. Widzicie więc, na czem się ogranicza miłość bliźniego bez wiary chrześcijańskiej.

Lecz istnieje jeszcze jeden obowiązek obywatelski, a tym jest obowiązek służenia swej ojczyźnie. Gdy się rzeczywiście kocha, trzeba umieć się poświęcić dla ukochanej osoby. A gdzież znajdziecie religię, wiarę, któraby skłaniała ludzi do tak zupełnego oddania się ojczyźnie, jak nasza? Wiara nasza woła do obywateli: „Masz obowiązki względem ojczyzny tak święte, jak względem swej rodziny. Jesteś ojcem rodziny, masz obowiązki względem twojej żony, względem twych dzieci, obowiązki, od których żadna władza uwolnić cię nie może. Jako obywatel masz także obowiązki względem ojczyzny, od których żadna władza uwolnić cię nie zdoła. Jeżeli zaniedbujesz te obowiązki, jeżeli nie służysz ojczyźnie, popełniasz przestępstwo i jeżeli ludzie cię nie osądzą, to musimy my, księża, osądzić cię w imię prawa Bożego!“ Jednak może ktoś zarzucić: „Ażeby służyć ojczyźnie, trzeba mieć odwagę; wiara jednak nakazuje dobroć i łagodność, osłabiając przez to duszę. Czego by wam wasza wiara użyczyć zdołała w chwili, w którejby ojczyzna znajdowała się w niebezpieczeństwie?“ Zarzut ten uczynili poganie naszej wierze. Gdy ujrzeli, że Chrystus ukazał światu Krzyż, zakrzyczeli głośno o zgorszeniu i głupocie; jednak głupota ta wykazała dwanaście milionów męczenników i jeżeli to siły wiary nie dowodzi, to nie wiem zaprawdę, gdziebyśmy większą znaleźć mogli. Z pewnością i nikt temu przeczyć nie chce, że i pogaństwo miało swych bohaterów; Rzym, Ateny, Sparta wydały niezwykłych mężów. Nie można bez podziwu pełnego szacunku czytać owe życiorysy wielkich ludzi,

które zostawił nam Plutarch; lecz jakichże bohaterów starożytności możnaby porównać z bohaterami, których ukształciła nasza wiara? Otwórzcie tylko historyę; gdzie znajdziecie takiego obrońcę narodu, takiego nieprzyjaciela tyranii, któryby tak wielkim był duchem, jak Tomasz z Cantenburg, mąż ten bowiem zamknął długi łańcuch heroicznych czynów, heroiczną śmiercią. Kogo znajdziecie, kogobyście mogli postawić obok Jana Chryzostoma, który opuszczając Kościół, czynił wyrzuty cesarzowej o to, iż uciskała wdowę? Takiego św. Ambrożego, który po krwawej kąpieli Tessaloniki, zabronił cesarzowi wstępu do Kościoła? Sławicie jedynie męczenników wolności, niezależności, czyż są oni może więksi niż męczennicy wiary? Brutus umarł za wolność Rzymu, ale przypomnijcie sobie tylko tych, których nasza święta wiara natchnęła do czynu w chwili, gdy ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie; przypomnijcie sobie zwycięzców z pod Lepanto, obrońców Famagosty, Rodusu i Wiednia! Przedewszystkiem tutaj w tem mieście, pójdźcie tylko do Kościoła, poświęconego św. Reparacie, św. Michałowi de San Miniato; wstąpcie do sali pięciuset, a przekonacie się, do jakiego zapału zdolna jest wiara w chwili niebezpieczeństwa ojczyzny.

Ci, którzy stawiają tego rodzaju pytania, zdradzają tylko tem, że nie znają historyi własnego kraju, a nawet historyi swojego miasta. Gdyby znali historyę swojego kraju, wiedzieliby natenczas także, że Genueńczycy przy wyprawie na Chioggię dlatego tylko okazali się tak wielkodusznymi, że powodowały ich uczucia religijne; wiedzieli oni, że święta dziewica św. Róża z Witerbo, która chociaż nie stała na czele wojsk osobiście, tak jak Joanna d'Arc, to jednak podtrzymała gorący zapał oporu

przeciw ciemiężcy Fryderykowi II. Może pamiętacie nazwiska Ferrucia, Andrzeja Doryi, Piotra Capponi, osobliwie Piotra Capponi, którego słowa nie wyszły wam zapewne z pamięci: „Niechaj zabrzmią wasze trąby bojowe; my zadzwonimy w nasze dzwony!“ Przypomnijcie sobie o Piotrze Micca!

Nie, nie, to nie chrześcijaństwo osłabia dusze, tylko niewiara, materyalizm! Na cóż się zda mówić adeptom tej szkoły o ojczyźnie? Wiemy dobrze, czego właściwie chce ten niecny kierunek i do czego dąży. Dożyliśmy w naszym wieku, w łonie jednej naszej nacyi siostrzanej, iż jej bohaterowie zamiast spieszyć do granic kraju, ażeby odeprzeć najeźdźców, uciekali do Kościołów, profanując je, zamiast użyć swoich sił przeciw obcemu nieprzyjacielowi, użyli ich przeciw braciom własnym; zamiast przelać krew wrogów, rozlewali krew współobywateli. Tak jest, tam gdzie wiara w narodzie zanikać zaczyna, tam okrucieństwo rozpoczyna swe dzieło. Tak bywało zawsze. Gdy Ateny uległy bezczynności i sofistom, przybył Alexander i zarzucił im na szyję więzy niewolnicze. Gdy Rzym zaprzestał modlić się do swych bogów, padł do nóg Heliogabala i modlił się o zmiłowanie do tego występnego cesarza. Gdy państwo greckie odstąpiło od wiary swych ojców, przyszedł Turczyn i obalił państwo to do Bosforu. Gdy Francya odstąpiła od wiary, postrach w niej wszczął swe panowanie. I tak już jest, a nie inaczej, gdy naród chce być rzeczywiście wolnym, musi posiadać wiarę i dlatego to zauważa słusznie Benjamin Constant: „Gdy zbliża się ten czas, ta epoka, w której niknie wiara w narodzie, wtedy zbliża się również czas i epoka, w której ten naród zatraca cnotę!“ Dlatego wołam do was, wy, którzy posiadacie

jeszcze wiarę: „Rozszerzajcie wiarę coraz więcej w waszej drogiej ojczyźnie, gdyż wierzący naród okazuje się zawsze zazdrosnym o swą wolność i silnym w obronie swej niezawisłości i wielkości!“

II. Liczne są usługi, które winniśmy naszej ojczyźnie; ale są chwile, w których usługa jakaś potrzebniejszą jest, aniżeli kiedyindziej i można wtedy usługę taką nazwać usługą danej chwili. Gdy ojczyzna zagrożona brutalną przemocą, gdy nieprzyjaciel stoi u granic jej, natenczas potrzebnem jest zastosowanie siły materyalnej, natenczas trzeba odwagi wojskowej; zwraca się wtedy ojczyzna do dzieci swoich i woła: „Baczność, powstańcie, nieprzyjaciel stoi u wrót, odeprzyjcie go!“ I wtedy widzi świat walkę siły materyalnej, tryumf miecza i wybija natenczas godzina służby wojskowej.

Gdy ojczyzna błędem zagrożona, potrzebuje wtedy jak najszybszego zetknięcia się z prawdą i to przez żywe słowo; ojczyzna zwraca się do swoich synów i mówi im: „Zniweczcie ten błąd, gdyż on mógłby być zgubnym w swych następstwach!“ Natenczas powstają jej synowie i widzi świat walkę duchową i tryumf słowa; wybija wtedy godzina służby wiedzy.

Gdy gnębi ojczyznę niezgoda partyjna i wewnętrzne rozruchy, gdy z jednej strony nieprzyjaciel dręczący ojczyznę zwany egoizmem, a z drugiej nędza, wtedy potrzebuje ona większego świadczenia ofiarności i miłości. I zwraca się wtedy ojczyzna do synów swoich, zwołuje ich energicznie i mówi: „Dzieci moje, kochajcie się nawzajem!“ Wtedy to patrzy świat na zapaśne boje miłości, i to jest godzina służby miłości. A ta ostatnia wydaje mi się obecnej godziny pożądaną służbą, zadaniem chwili bieżącej. Otwórzcie uszy wasze, czy nie

słyszycie, czy nie słyszycie ze wszystkich stron stłumione westchnienia, zewsząd wołanie: „Na pomoc, na pomoc!“ Głos ten i skargi pochodzą od biednych, od maluczkich i nieoświeconych. I któż nam tę pomoc przyśle? Może wiedza? Lecz ona to właśnie potrzebę tej pomocy wywołuje, pozbawiła nas bowiem pomocy bożej, pomocy Jezusa Chrystusa. Może filozofia? Jednak filozofia dąży jedynie do tryumfu myśli i słowa. Czy możni świata tego? Ależ myślą tylko o sobie. Czy egoizm i zarozumiałość? O nie! bo trzeba poniżenia i pieniężnych ofiar, ażeby wesprzeć lud! Od kogóż więc wyjść ma ta pomoc? Od wiary. Jedynie bowiem religia nasza wlewa w nas miłość bliźniego. Bracia moi, miłość zbliżyć się musi do tej biednej, cierpiącej ludzkości z prawdą na ustach, a pieniądzmi w ręku, musi ją do serca przygarnąć. Musi ją wyrwać z nędzy obyczajowej, ażeby ją uwolnić następnie od nędzy materyalnej.

Zatem do czynu! Rozprzestrzeńcie serca wasze, uczcie je pomijać ciasne granice egoizmu! Powstańcie i ratujcie ojczyznę przez miłość! Bóg tego chce! Gdy niegdyś społeczeństwo chrześcijańskie ujrzało się zagrożonem przez Islam, natenczas pospieszyli wielcy i mali, zaciągnęli się pod sztandary Jezusa Chrystusa i odwrócili niebezpieczeństwo, zagrzewając się hasłem: „Bóg tak chce!“ Widząc to nowoczesne barbarzyństwo, grożące naszej ojczyźnie, naszym drogim Włochom, wołam tedy do was: „Bracia moi, spieszcie z pomocą, powstrzymajcie egoizm, wydalcie pożądliwość, a przedewszystkiem błąd, będący rdzenną przyczyną obojga. Bóg tego chce, Bóg tego chce!“

A więc bracia moi, ratujcie nasz kraj, ratujcie ojczyznę naszą! Ratujcie samych siebie, zastosowując jak najszerzej miłość bliźniego, ratujcie tę miłość, łącząc ją wszędzie z prawdą, stawiając ją w rzędzie cnót najwyższych!

X.

Tryumf Kościoła.

Żyjemy w niezwykłych i smutnych czasach; we wszystkiem dookoła panuje zamieszanie i wszystko jest znakiem zapytania. Różni nas pomiędzy sobą polityka, każdy ma swój odrębny sztandar, rozdwojeni jesteśmy przez literaturę; każdy bowiem postępuje za swoją szkołą; rozdwojeni przez naukę, ponieważ każdy ma swój system. Jest to rozprószenie sił wśród zalewu bezmyślnego rozpowszechniania zgubnych idei i bezczelnych utopii; w potopie zbrodni zła i kar, którego wody podmywają i podnoszą się coraz wyżej i rychło dosięgną najwyższych szczytów, podobnie jak potop pierwszych czasów świata, zalał najwyższe szczyty gór.

Gdzie szukać schronienia w tem ogólnem zepsuciu? Gdzie szukać pewnego gruntu, na którym możnaby śmiało postawić stopę, i na którym moglibyśmy się ratować przed upadkiem? Czy może stojąc u szczytu wiedzy, zabezpieczeni jesteśmy przed sofizmatami i zwątpieniem? Ależ od dawna już ateizm i materyalizm zajmują te wyżyny, a obcowanie z niemi nie uzdrawia. To co powiedzieliśmy o wiedzy, da się zastosować i do polityki. Prawdą jest, iż

wielkie formuły, przednie idee, jeżeli chcecie powstawały wśród narodów, ale pochłonęła je bezbożność. Niezawodnie piękne są wynalazki, zadziwiające odkrycia, których dokonało nowożytne społeczeństwo, jednak potop błędu zalał i ten szczyt chwały ludzkiej.

I co tu począć? Trzeba się zwrócić gdzieindziej po uzdrowienie. Spojrzyjcie na łódź Kościoła! Stawia czoło burzom, zwycięża stulecia i płynie ponad przepaścią wód. Ona to jedynie panuje nad dziko wzburzonemi falami błędów i gromadząc resztki rozbitej nadziei ludzkiej na tym świecie, odnawia go swoim wpływem. Im wyżej podnosiły się wody, tem wyżej wznosiła się Arka starego Testamentu, i zdala już była widna trwożliwie szukającemu oku. Im bardziej mnożą się błędy, tem bardziej również wznosi się Arka Kościoła, płynąc spokojnie po tem dzikiem morzu, które usiłuje wciągnąć wswą przepastną głębinę serca, umysły, narody i państwa, wiedzę i obyczaje. I otchłań ta olbrzymieje, pochłaniając coraz większą liczbę ofiar, lecz ponad nią ukazuje się tajemnicza arka, kryjąca w swem łonie nadzieję całego chrześcijańskiego świata. Do tej to arki wejść musi każdy, kto zginąć nie chce!

Nie przemawiam do was celem namówienia was do wstąpienia do niej; samo bowiem takie przypuszczenie byłoby dla was obrazą. Pomimo tylu okalających was błędów sprzeniewierzeń nie opuściliście kościoła, nie utraciliście kosztownego skarbu nadziei chrześcijańskiej. Byłoby obrazą dla ojczyzny, dla pierwszej prawnej księgi naszego państwa, której podstawą jest katolicka, apostolsko-rzymska religia, i którą ogłasza jako jedyną religię państwową. Przyszedłem, ażeby was umocnić w tym kościele, któremu Pan Bóg powierzył Swe Słowo i pie-

część wiecznego zbawienia. Przyszedłem, ażeby was umocnić w tej religii, z której czerpiemy światło, miłość i siłę.

I. Potrzebujemy zaiste światła, miłości i siły; potrzebujemy światła, któreby nami kierowało, potrzebujemy miłości, któraby nas pocieszała, potrzebujemy siły, któraby nas podnosiła. A te wszystkie trzy czynniki znajdujemy w Kościele.

Kościół, który z krwi boskiego Zbawiciela zrodzonym został, zrodzonym jest w świetle, postępuje w nim nadal i rozszerza dokoła siebie to światło po świecie. Jest ową bogatą w światło krainą Gozen w pośród ciemności zalegających Egipt. Kościół wstępuje do Synagogi, Areopagu i Akademii; wciska się do katakumb, osiada w świątyniach, wstępuje na mownicę, przebywa na placach publicznych, naucza wszędzie, wszędzie światło roznosi „oportune et importune".

W czasach starożytnego chrześcijaństwa zgromadzają publiczne jego nauki w świątyniach wszystkie stany, tak książąt jak i lud: głosi tam o próżności, o światowych przywilejach, o chrześcijańskim braterstwie, o równości wszystkich przed Bogiem, o miłości bliźniego, która rozciągać się powinna na wszystkich bez wyjątku, i o bezgranicznem apostolstwie. św. Paweł powiada, że wszystka świętość, wielkość, wszystka wiedza prawdy, piękności i dobra, zawarta jest w Kościele.

Nauka Jego podwójny posiada charakter, Jemu tylko właściwy; jest On z jednej strony najbardziej popularnym, a z drugiej najbardziej wybranych duchów godnym. Zgromadza dokoła swej katedry, jak gdyby u stołu Pańskiego najwyższych i najgodniejszych, jak i tych najniższych, upośledzonych ziemi, głuchych, ślepych, chromych opuszczonych, zarówno jak atletów ducha

i olbrzymów słowa i każdemu rozdzielając w sposób słuszny odpowiedni pokarm Swej nauki. Nie, Kościół nie wyłącza nikogo od swej wzniosłej, uniwersalnej wiedzy, ani poszczególne osoby, ani zbiorowe klasy. Również ogólna ludowa oświata, o którą tyle podnosi się wrzawy, z chrystyanizmu wzięła swój początek. Kościół nie tylko, że ruchowi temu nigdy nie przeszkadzał, ale go zapoczątkował, życzy sobie jego rozwoju, ochrania go i umacnia. Papież Innocenty III ogłosił nawet edykt, celem uprzystępnienia nauki coraz to szerszym kołom. Kościół nie chciał, żeby była wyłącznem prawem klas uprzywiliowanych. Kto raz przez Boga przypuszczonym został do uczty życiowej, powinien być także przypuszczonym do uczty wiedzy. I czego nie ucierpiał, nie uczynił Kościół, żeby naukę uogólnić i rozpowszechnić! Apostołowie dzielą świat między siebie, zakładają Kościół, a zaraz obok niego szkołę, z której wyszli nauczyciele i mistrze wymowy, teologowie i filozofowie. Jerozolima, Antiochia, Aleksandria widziały pierwsze chrześcijańskie szkoły, z których wyszli filozofowie, gruntownie wykształceni filologowie, apologeci, doktorzy, jak Klemens. Tertulian, Origines, Ireneusz. Imiona te są zaledwie cząstką tych wszystkich, które zdobią księgę pamiątkową chrześcijańskiej wiedzy pierwszych czasów chrystyanizmu. Przyszli potem Anastazy, Grzegorz, Chryzostom i Augustyn, obaj Bazylowie, Hieronim tak, iż zajaśniał świat cały od wzniosłego światła, którem promieniowały oświecone duchy tych wielkich mężów.

W czasach, gdy państwo rzymskie ciemiężonem było przez barbarzyńców, gromadził Kościół w ochronnych miejscach skarby wiedzy starożytnej i przechował następnym pokoleniom,. A później, w wiekach średnich,

czyż nie św. Anzelm jaśniał światłem tej prawdy, której promienie przyczyniły się do późniejszych odkryć Deskarta? Czyż to nie św. Bernard z szczerością gorąco kochającego serca połączył największą wzniosłość umysłu? Dalej zjawił się geniusz, ten cud uczoności św. Tomasz z Akwinu, który taki polot nadał nauce, iż dwie królowe tej wiedzy teologia i filozofia wyprzedziły na jakie dwa stulecia swe czasy.

Obok teologii, filozofii i literatury rozwijają się i nauki przyrodnicze, medycyna, astronomia i matematyka. Dalej rozwijają się na łonie kościoła również i sztuki piękne i wznoszą się pod jego ożywczem tchnieniem do niebywałej wyżyny, a przemysł, zastosowanie sztuki materyalnej, dopełnia piętna wspaniałego kierunku rozwojowego, jaki Kościół nadał myśli ludzkiej.

Zapewne, jeżeli rzetelnie i szczerze poszukiwać będziecie źródła ożywczego elementu wiedzy i sztuki, to uznacie, iż tkwi on w łonie Kościoła, który czerpie go ze światła, spływającego z góry Kalwaryjskiej. Wstąpcie do uniwersytetów, kolegiów i akademii i dowiadujcie się o ich powstaniu, a odnajdziecie zawsze wszędzie rękę jakiegoś Papieża albo księdza, którzy jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio w Imię Boskiego Zbawiciela rzucili ten piękny zasiew w grunt przesiąkły krwią Jezusa Chrystusa. Kto założył nasze uniwersytety, te ogniska wiedzy, do których zdążała cała Europa, aby u ogniska światła niebieskiego zapalić pochodnie wiedzy? Kto założył wysoko stojące szkoły w Bolonii i Ferrarze, które wydały tysiące uczonych z wszystkich stron świata? Kto założył te dwa własne uniwersytety w Oxfordzie i Cambridge, które zachowały dotychczas swe znaczenie w świecie wiedzy? Pójdźmy dalej, badajmy założenie

szkoły wyższej w Coimbrze, Salamance i Paryżu i tych innych, które w średnich wiekach rozszerzały światło wiedzy z tak zdumiewającem powodzeniem? Znajdziecie wszędzie i zawsze, że były one wszystkie dziełem Kościoła św. I byli to ponownie Papieże, którzy swym możnym wpływem wznieśli katedry obcych języków, które umożliwiły poznanie zwyczajów i obyczajów zagranicznych narodów. Czy nie dożyliśmy tego sami, że cały świat objawił swój poklask, gdy Papież Leon XIII nadał studyom historycznym ożywczy popęd, otwierając im nowe drogi? Czyż nie są to oczywiste dowody, popierające nasze twierdzenia?

Bracia nasi protestancy twierdzą tak chętnie, że Kościół podporządkowuje rozsądek dogmatów, iż pęta skrzydła krytycznemu zmysłowi wiedzy. Lecz w chwili, gdy ludzie ci ujrzeli światło dzienne, Kościół od pietnastu wieków kształcił w szkołach swych zastępy uczonych, którzy dokonywali największych wynalazków w dziedzinie wiedzy. Sztuka drukarska, ten dar wspaniały, którym Bóg udarował ducha chrześcijańskiego, ażeby światłem swem objąć mógł świat cały, wykorzeniając ducha błędu i herezyi, wyszła z rąk Kościoła. Vasco de Gama przebywa ze swoim kompasem pustynie morskie, ażeby odszukiwać nowe ludy, którymby udzielić można światła Ewangelii, a Krzysztof Kolumb, ten wierny syn Kościoła katolickiego, przywiódł liczne zastępy ludzkie pod skrzydła wiary katolickiej.

Wystarcza rzucić okiem na te narody, które chciwie przyjęły światło podane im przez Kościół, jak też i na inne, które przed nim oczy swe zamknęły, ażeby się przekonać o wpływie, jaki wywarł Kościół na rozwój wiedzy. Zachód żyje w oświecie i postępie; Włochy,

Hiszpania, Francya, Niemcy, Anglia, posiadają przywilej naukowego wykształcenia, podczas gdy Wschód jest jeszcze ciągle pogrążony w ciemności, leży odłogiem, wraz ze swymi indyjskimi, japońskimi i chińskimi ludami. Historya poucza nas zatem wyraźnie i stanowczo o ożywczym wpływie Kościoła katolickiego na rozwój wiedzy ludzkiej.

Ale Kościół nie jest tylko światłem, jest on także miłością. Cóż wam powiem o miłości Kościoła ku wam? Widzicie jak ramiona swe wyciąga od wschodu do zachodu, żeby łączyć wszystkie serca w tej swojej miłości. Miłość Kościoła? Spotykacie ją wszędzie, osobliwie w tych liturgiach, w których przemawia do nas słowami miłości, słowami matki! Rzeczywiście dał nam Bóg w Kościele św. Matkę. Uświęca ona pierwsze tchnienie życia naszego, spieszy nam z pomocą na każdym kroku, który czynimy na tym łez padole, napełnia serca nasze zachwytem dla dobra, posiada środki kojące na wszystko zło, i niema wielkości, którejby nie przewyższyła, ani nędzy duchowej, którejby nie objęła. Obserwujcie tylko, jak dzień po dniu wypełnia swą świętą misyę, z jaką czułością i oddaniem dziecinnym z małymi, pogodą z dojrzałymi wiekiem pełną pociechy, ze zgrzybiałymi starcami się obchodzi. Jest ona towarzyszką i przyjaciółką człowieka w każdem położeniu życiowem, podpiera go w każdej walce, kładzie balsam na każdą ranę, leczy wszystkie jego ułomności, łagodzi wszystkie jego cierpienia. Czyż Kościół nasz nie jest Kościołem głoszącym ustawicznie prawo miłości? Nie jestże on tym, który, gdy chociaż z ciężkiem sercem karze zbłąkanych synów, udziela im równocześnie wraz z surowością sprawiedliwości i pociech swego miłosierdzia? Któż zliczy pociechy,

które Kościół ma w pogotowiu dla najboleśniejszych zrządzeń losu i najcięższych chwil życiowych? Gdzież jest druga na świecie potęga, któraby w takiej mierze umiała łagodzić boleści i niweczyć zło?

Jezus Chrystus poruczył Kościołowi Krzyż Swój, dając mu zarazem możność i zdolność wypełnienia trudnego połączonego z nim zadania. Dał mu serce i słowo Swe i natchnął Go miłością, dając Mu za zadanie kochać i pocieszać na wzór Jezusa. I dlatego używa On po dziś dzień słowa, które tak dobrze wyraża niezgłębioną miłość boskiego serca ku nam biednym ludziom: „Misereor! Lituję się!“ Słowo to jest dewizą Kościoła św. Bo nazwijcie mi jakikolwiek ból, na któryby Kościół nie posiadał lekarstwa, cierpienie, na któreby nie zaradził, zło, na które nie miałby środka lekarskiego! Któż zajął się litościwie maluczkimi sierotami? Kościół, bo stworzył im ochrony. Kto troszczy się dziewicami, umacnia je w modlitwie i strzeże ich niewinności? Kościół, który zakłada klasztory i zakony. Kto podjął się pielęgnowania chorych? Kościół w szpitalach. A któż otworzy bramy miłosierdzia tym nieszczęśliwym, których świat odrzucił, gdy się splamili występkiem, dając im możność zaczęcia nowego poważnego życia? Kościół ze swymi domami poprawy.

Zatem więc Kościół, wiodąc ludzkość z macierzyńską miłością i troskliwością po przez smutki i radości życia, doprowadza ją do kresu pielgrzymki, zdwajając w owej chwili swą miłość i opiekę. A od ostatniej naszej godziny zależy nasze zbawienie. Cóż się przedstawia oczom naszym w chwili, gdy świat odstępuje nas? Oto leży umierający na swem łożu boleści, zimny pot oblewa jego drgające członki i śmierć zbliża się szybkim krokiem. Ksiądz z polecenia Kościoła umacnia uchodzącą

duszę modlitwą, nadzieją i przebaczeniem, składa tę duszę na skrzydła Anioła, i pocałunkiem pokoju poleca ją Bogu na wieczne z Nim połączenie. A gdy dusza dotarła do ostatecznego swego celu, żegna Kościół ciało — to mieszkanie pobytu ziemskiego — święconą wodą życząc, żeby te ziemskie szczątki człowieka wzięte z ziemi wróciły do niej jako święty zadatek lepszej przyszłości, i chwalebnego zmartwychwstania. I na miejscu przez księdza poświęconem, kładzie te pełne nadziei słowa: „Módlcie się!“ Lecz nie opuszcza nas od tej chwili i nie zapomina o nas. Obleka się w suknie żałobne, wstępuje na stopnie ołtarza ofiary zadośćuczynienia i błaga o nasz wieczny odpoczynek. Ludzie zapomną rychło o nas, Kościół nigdy. Gdy wszyscy zapomnieli nas, gdy grób przerwał związek miłości i przywiązania, gdy rodzina, honor i miłość nie istnieje już dla nas i imię nasze wykreślone jest z pamięci żyjących, natenczas Kościół wiernie jeszcze obdarowuje nas modlitwą, swem Requiem i De profundis. Zaś w chwili końca świata, gdy Sędzia żywych i umarłych zjawi się w obłokach nieba, natenczas zbierze On wszystkie swe dzieci w koło siebie te, które zeszły w prawdziwej wierze, i zawiedzie je jako wspaniałe trofea chwały swojej po błogosławieństwo Boga wszechmocnego. To jest miłość macierzyńska, którą Kościół otacza nas! Zapewne, gdyby Kościół nie był boską instytucyą, przez Swe zarządzenie i Swój charakter, gdyby był tylko tworem ludzkim, miałby spadkowe prawo do wdzięczności i uznania tych, którzy kochali ludzkość.

Chociaż mówi się tak wiele o postępie wszelkiego rodzaju, ludzkość zawsze podlegać będzie bólom i cierpieniu; i zawsze potrzebować będzie spokoju i pociechy.

A te tajemnicze skarby spokoju i posiłku złożone są na łonie Kościoła. Dlaczegóż jest tyle na świecie rozpaczy za dni naszych? Dlaczego tyle bólu, któremu zbywa pociechy? Chcę powiedzieć wam dlaczego. Ponieważ nie uczęszcza się do Kościoła, nie szuka się w św. Sakramentach siły do cierpienia, ponieważ w nieszczęściu nie czerpie się pomocy w wierze.

Dobrze uczynili filantropi zmieniając swe nazwisko. Zmuszają swym humanitarnym systemem człowieka do nieustannego spoglądania na ziemię, i nie znoszą, ażeby wznosili wzrok swój ku niebu, gdzie tronuje Chrystus w Swym majestacie i blasku, Ten nasz Zbawiciel, który cierpiał, ażeby nam wesele zgotować. Pod pozorem pocieszania nieszczęśliwych ofiarowują ludowi rozrywkę za rozrywką. A wiecie dlaczego? Bo gardzą nim. Ludzie ci, nie zapomnieli tych słów machiawelskich: „Żeby lud trzymać w ryzach, trzeba nim pogardzać!“ Ależ co do tego, nie ma żadnej wątpliwości: lud, który wołając chleba, goni za rozrywkami, jest narodem chylącym się ku upadkowi. Żądni rozrywek trzymają się jeszcze na nogach, ale dotąd, dopóki w najbliższej okazyi przy pierwszem uderzeniu nie runą na ziemię. O zaiste, wieńce z kwiatów przygotowują narodom dużo prędszy upadek, aniżeli jarzmo niewoli.

Ci ludzie omamiają człowieka słodkiem słowem „Postępu“, zdzierają z niego znamię chrześcijańskie, które jedynie może go uczynić użytecznym członkiem społeczeństwa. Weźcie ten przykład: Przypatrzcie się pociągowi kolejowemu. Znajdujecie się w wagonie, który stojąc na innym torze nie jest połączony z lokomotywą, pędzącą w dal, z szybkością wichru. Jeżeli patrzycie na inny pociąg będący w biegu, zdaje się wam, że i wy

jedziecie, a jednak stoicie na miejscu. Drugi pociąg bieży ciągle naprzód, porwany pędem szybkiej lokomotywy, lecz ten pierwszy z nią nie połączony, nie rusza się z miejsca. Podobnie dzieje się i z ludźmi. Wsiadają oni do wagonu, nad którym wypisują ozdobne słowo „Postęp“. Lokomotywa Kościoła przejeżdża mimo i dąży naprzód w Swym tryumfalnym pochodzie z biegiem czasu i ideami i ludźmi; a ci drudzy wołają: „Patrzcie, jak postępujemy naprzód!“ Tymczasem Kościół ten bieży naprzód, a oni zostają w tyle. Zda się chwilami, iż to wóz Cezarów, Brutusów poruszał się naprzód; lecz jestto złudzeniem, tylko Kościół jeden ożywiony ogniem miłości przebiega szeregi stuleci; On jedynie posiada ten ogień święty, który zapala, oświeca i porywa!

II. Kościół nie jest tylko światłem i miłością, jest także siłą, tą siłą, która zwycięża czas, przestrzeń i ludzi. Opanowuje czas, który zmagając wszystko inne, jedynie Kościoła zmódz nie może. W samej rzeczy czas powalił pokolenia, państwa, republiki i rozpostarł nad ich ruinami milczenie. Kościół jednak wsparty na Krzyżu stoi niewzruszony, jak kolumna z granitu wśród rozszalałej burzy i patrzy z góry spokojnie na mijające u stóp Jego wieki i upadek nieprzyjaciół Swych i prześladowców. Przyjrzyjcie się tylko hierarchii kościelnej. Głową Kościoła jest obecnie Pius X, ale przed nim widzimy przez długi bieg stuleci, nieprzerwany szereg nadpasterzy aż do Piotra i Jezusa. Od Jezusa Noego, od idziemy dalej wstecz do Abrahama, od Abrahama do Noego do Adama, od Adama do Boga.

Widzimy, jak nieprzerwany jest węzeł łączności pomiędzy Stwórcą a ludzkością. Przez Proroków pouczany, przez Apostołów wiedziony, dąży Kościół przez wieki na

skrzydłach gołębich tam, gdzie w końcu spocznie na łonie Najwyższego, albowiem grobowiec czasu zamieni się dla Niego w kołyskę wieczności.

Kościół opanowuje przestrzeń. Któż zdoła powstrzymać Go w Jego tryumfalnym pochodzie? Słup graniczny, który mieczowi zdobywcy zaznacza kres, nie stanowi zapory dla Kościoła, który nie zna ograniczenia przestrzeni, ani też granicy narodów nie uznaje. Kościół nie czekał zastosowania wynalazku siły pary, ażeby wysłać w świat swoich Apostołów w najdalsze kraje, ażeby tam głosić miłość braterską. Czy też on, ten zwycięzca czasu i przestrzeni ustąpił kiedykolwiek człowiekowi? Człowiek wystąpił przeciwko Kościołowi uzbrojony łańcuchami, żelazem i bronią, zaopatrzony w narzędzie zniszczenia i kary, a Kościół pokonał go i uczynił podległym Sobie. Zwołał narody do braterskiego uścisku, a narody zgromadziły się w obliczu Jego. „Błogosław nam“, i pobłogosławił je Kościół, a one kwitły pod Jego błogosławionym tchnieniem pokoju. A gdzież są nieprzyjaciele Jego i prześladowcy? Wszyscy oni legli w grobie, a Kościół odmówił nad nimi Requiem.

Przypatrzcie się lampie: zdaje się, że płomień jej gaśnie przy każdym najlżejszym powiewie. Jednak świeci ona dzień i noc, czuwa w milczeniu ciemności będąc wymownym symbolem Kościoła, który nigdy i nigdzie nie przestał czuwać nad dobrem człowieka. Przed każdą grożącą burzą truchleją dobrzy, a źli cieszą się przewrotnie! „Jeszcze jedna katastrofa“, mówią oni, „a duch złego osiędzie tryumfalnie na ruinach Kościoła z okrzykiem: Wszystko się skończyło!“ Jakto skończyło? Czy nie widzieli Żydzi kresu wszystkiego w dniu, w którym wznieśli Krzyż na górze Kalwaryjskiej, i w którym przez

morderstwo Syna Bożego, dopuścili się mordu Boga? Tylko z ofiary śmierci Jezusa powstał ten wspaniały Kościół! Czy nie było wszystko skończonem dla pogan, kiedy się zdawało, iż Kościół pogrzebanym został w katakumbach, a dzieci Jego napawały areny krwią swoją, a imię chrześcijaństwa wykreślone zostało z rejestrów cesarstwa rzymskiego? Jednak sygnał ostatni, który miał oznajmić pogrzeb Kościoła, zmienił się w tryumfujący okrzyk zwycięstwa i zmartwychwstania! Czy nie miało się w Afryce podczas najścia Maurów wszystko ku końcowi, gdy te dzikie hordy napawały swą wściekłość we krwi chrześcijan, wznawiając wszędzie pogaństwo? A cóż widzimy obecnie? W piaszczystych pustyniach Afryki, przygotowuje się tryumfalny wzjazd Jezusa Chrystusa! Czy we Francyi u schyłku zeszłego stulecia nie miało się wszystko ku końcowi, gdy burzono ołtarze Jezusa, a wznoszono je dla bogini rozumu? Lecz czyż to nie ta sama właśnie Francya obdarza dzisiaj Kościół jak najgorętszymi obrońcami?

Tak jest bracia moi w chwili, gdy wszystko zda się chylić ostatecznie ku końcowi, podnosi się Kościół pełen chwały i promienny. A gdyby nawet wybuchła w Kościele katastrofa podobna do tej niegdyś w Herculanum i Pompei, która pogrzebała wszystko, ludzi i pomniki, uczucia i pamiątki, Kościół — bądźcie tego pewni — powstałby tryumfująco i z takiego grobu! Gdy gnębi Go przemoc, zarzucając Mu purpurowy płaszcz dokoła ramion, i kładąc w rękę trzcinę wzgardy, płacze On natenczas, gorzkie wylewa łzy, ale nie o Siebie Mu chodzi, tylko o was! Płacze, rzucając wam pełne miłości wejrzenie, a wy nowi Piłaci zadajecie Mu pytanie: „Czy jesteś Ty królem?“ „Tak“, odpowiada on, „Jestem

królem“. A potem z szyderstwem i drwinami piszecie nazwę tą na tablicy i zawieszacie Mu ją na czole, używając z niewysłowioną pogardą tego słowa „Król“. Kładziecie do grobu, który pieczętujecie pieczęcią prześladowania i niewiary; lecz chwilę cierpliwości, skoro się już gotujecie do tryumfalnego pochodu, rozbija On natenczas kamień i pieczęć i lśniący blaskiem, pełen miłości powstaje z grobu i woła: „O nie poddawajcie się złudzeniu! Jestem w istocie królem!“

Pożegnanie i błogosławieństwo.

Zakończyłem wielkopostne kazania, zadanie moje wśród was spełnionem zostało. I nie pozostaje mi jako biednemu pielgrzymowi nic innego do czynienia, jak tylko zwinąć mój namiot, pożegnać się z wami i odjechać.

O! jak szybko mijają dnie życia tego; a o ile prędzej od innych przechodzą dnie szczęścia! To też nie dłużyły mi się dnie w pośród was spędzone, gdyż były one w istocie szczęśliwemi dla mnie. Ale jakże krótkiem jest szczęście tutaj na ziemi! I zważcie, że po szczęściu następuje zawsze smutek! Rozważając w tych dniach postu świętego, o słodkich prawdach religii, aniśmy spostrzegli, że wybija już godzina rozstania. Rozstanie to, przyznaję otwarcie, bolesne jest sercu mojemu; bije w tej chwili serce moje tajemniczem uderzeniem wzruszenia, jak przy pożegnaniu przyjaciela, albo — pozwólcie, że powiem — brata. Ażeby się pocieszyć, nabrać otuchy, wypowiedzieć muszę wam kilka słów uniewinnienia i podziękowania.

W istocie, bracia moi, potrzebuję waszego przebaczenia za to, że służyłem waszej sprawie, sprawie Bożej tak niedołężnie. Mówię sobie w tej chwili: „Jeżeli kto nie powrócił do życia prawdy, jeżeli nie postąpił na drodze cnoty, kto wie, czy nie stałem się ja tego przyczyną? I myśl ta cięży mi na sercu“.

Muszę wyrazić wam również kilka słów podziękowania; przyjmijcie je, tak po prostu i szczerze, jak były przezemnie pomyślane: pochodzą one od człowieka, który chciał czynić wam dobrze. Nie zapomnę nigdy waszego licznego udziału i przejęcia, które budowało mnie tak bardzo; niechaj Bóg wam to wynagrodzi! Co się mnie tyczy, to obiecuję wam chętnie, że nie zapomnę o was nigdy. Wprawdzie nie będę mógł już więcej mówić do was o Panu Bogu, ale będę mówił Panu Bogu o was, prosząc, ażeby was i rodziny wasze uszczęśliwił. A jeżeli zechcecie wspomnieć czasem o mnie, to proszę o krótką modlitwę, ażebym drugich nawracając, sam nie został potępiony. I jeżeli dnia pewnego usłyszycie, iż odwołał mnie Bóg, to nie poskąpcie mi modlitw swoich, gdyż ja i tam z góry nie przestanę modlić się za wami.

A więc rozłączamy się z rozkazu Boga! Ale jakże to słowo pożegnania cięży sercu! Oprócz bólu rozstania, inna myśl jeszcze napełnia mi oczy łzami. Może nigdy więcej, a przynajmniej tak licznie zebrani nie zobaczymy się tu na ziemi; jednak chcę zachować nadzieję, że się odnajdziemy tam w niebie, gdzie przypominać sobie będziemy te drogie nam dnie, w których wam kazałem śmiało o prawdzie, a wy słuchaliście mnie z taką uwagą i w ten sposób wspólność uczuć stawała się pomiędzy nami coraz ściślejsza, jak między ojcem a synem. Pozwólcie mi rozstać się z wami z tą nadzieją i z tą po-

ciechą! Jednakże bracia moi, jeżeli chcemy się obaczyć tam w górze, to musimy koniecznie strzedz prawdy i propagować ją. Inni będą inaczej do was przemawiać, aniżeli ja przemawiałem, ale przysięgam wam na przytomnego tu Zbawiciela, że nie kazałem wam nic innego, jak tylko Jego naukę i prawdy; a jeżeli chcecie na to nieomylnego dowodu, to porównajcie to, co ja wam mówiłem z tem, co inni wam mówią. To ostatnie będzie schlebiać może waszym namiętnościom, lecz pierwsze za to odpowie waszym szlachetnym uczuciom i potrzebom serca waszego.

A więc niechaj się dzieje wedle rozkazu Bożego! Bogu was oddaję, najpierw was dzieci; zachowajcie te cnoty, które zdobią wasz wiek młodzieńczy, zachowajcie niewinność, która stroi was tak pięknie! Bogu was oddaję chrześcijańska młodzieży, dla której w mem sercu gorliwość i pragnienie jej dobra wzrasta nieustannie; w dniach niebezpieczeństwa zachowaj prawość, stój wiernie i niezachwianie przy religii i pamiętaj o tem, że, aby być cnotliwym, trzeba pewnej mocy ducha, tak, jak aby być pobożnym, trzeba pewnej odwagi! Bogu was oddaję rodzice chrześcijańscy, starajcie się, ażeby dzieci wasze szły za waszym przykładem i naśladowały cnoty, a obowiązek uczyniły celem życia swego. Bogu polecam was, dobrzy starcy, mężowie mądrej rady! Oby dnie wasze płynęły pogodnie! Bywajcie z Bogiem wy wszyscy, których kocham i w tej chwili do serca przyciskam.

A Ty, dobry Jezu, wysłuchaj w tej bolesnej chwili rozstania biedne moje modlitwy! Przysłałeś mnie do tego ludu, ażeby mu kazać o prawdzie i ten lud słuchał jej i zwrócił się ku niej. Panie, wyciągnij rękę, ażeby pobłogosławić ich wszystkich! W pierwszym rzędzie pobło-

gosław naszego dobrego Ojca Świętego, ukochaną głowę Kościoła naszego, Twego widzialnego zastępcę na ziemi Tak błogosław mu, żeby ujrzał ziszczenie Swych świętych życzeń! Błogosław pasterza tej dyecezyi, a z nim kler świecki i zakonny świata całego, który otacza Namiestnika Twego i podpiera Go w ciężkim urzędzie ratowania dusz.

Błogosław także ojczyznę naszą, o Boże! Serce mi się kraje przy tych słowach, łzy cisną do ócz! O Jezu, jest to kraj, który kochamy, który chcielibyśmy ratować; jest to kraj, który ci całkowicie oddać chcemy! Uchroń go od niezgody, od rozdwojenia; strzeż go od jego nieprzyjaciela, ażeby wierny został zawsze swym tradycyom i godności! Z ojczyzną błogosław Tego, który przez wysoki swój urząd powinien ją wieść do godności i chwały; a z Nim błogosław tych, którzy mu pomagają w rządzeniu krajem, oświeć ich i daj im zrozumieć, że bez wiary i religii ojczyzna szczęśliwą być nie może!

Błogosław także lud; widzisz Jezu, ten lud znajduje się w podobnem do Twego położeniu, gdyś przyszedł na ziemię. O! biednym zaiste jest ten smutny, opuszczony, otoczony przez nieprzyjaciół lud; ratuj go i pociesz, o Jezu! A teraz pozwól, ażebym Ci przywiódł wszystkie rodziny tego miasta! Błogosław je, a to błogosławieństwo oby przeszło z ojca na syna, z matki na córkę, ze starca na dziecko, z bogatego na ubogiego! Niech spocznie na nich, oby przeszło z pokolenia na pokolenie, do ostatniego prawnuka; niech wstąpi do dusz i zaszczepi tam prawdę, niechaj wstąpi do serc i radość w nie wniesie, do mieszkań i wniesie tam pokój!

Niechaj błogosławieństwo otoczy was ze wszech stron, jak powietrze, którem oddychacie; oby błogosławieństwo Boże uczyniło was cnotliwymi na ziemi i dokonało tego, ażebyście w końcu zostali szczęśliwymi na wieki i świętymi w niebie!

O. A. M. D. G.